Vincent van Gogh

LISTY DO BRATA

Vincent van Gogh

LISTY DO BRATA

HAGA sierpień 1872 — maj 1873

Pierwszy list do brata Theo napisał Vincent van Gogh w Hadze, w sierpniu 1872 r. Vincent miał wtedy dziewiętnaście lat. Urodził się 30 marca 1853 r. w Groot-Zundert (małej wiosce w holenderskiej Brabancji). Ojcem jego był pastor Theodoras van Gogh, matką Anna-Cornelia Carbentus, córka nadwornego introligatora. Właśnie ze strony matki Vincent obciążony był dziedzicznie epilepsją.

Rodzina van Goghów należała do poważanego średniego mieszczaństwa. Ich genealogia sięga XVI wieku; szczycili się dwoma czy trzema wybitnymi przodkami. Dziadek malarza był pastorem. Miał wiele dzieci; jeden syn był wiceadmirałem, trzech handlowało dziełami sztuki w Brukseli, Amsterdamie i Hadze; piąty, urodzony w roku 1822, został pastorem i miał sześcioro dzieci, między innymi Vincenta i o cztery lata młodszego Thea.

W okresie od urodzenia do napisania pierwszego znanego nam listu do Thea, Vincent miał dość szczególny charakter, był chłopcem dzikim i trudnym. W internacie dla chłopców w pobliżu Zundert był uczniem posłusznym, nie odznaczającym się jednak błyskotliwością umysłu. Po ukończeniu szkoły nie zdradzał żadnych wyraźnych zamiłowań. Trzeba było jednak zarabiać na życie: pastor nie miał majątku, a brak swady oratorskiej skazywał go przez całe życie na wiejskie parafie. Obarczony liczną rodziną, prosi o pomoc swego brata, a zarazem szwagra, Vincenta (ich żony były siostrami). Życie stryja Vincenta było jednym pasmem sukcesów. Zaczął od małego sklepu z farbami w Hadze, ale potrafił dorobić się poważnej galerii obrazów,

którą odprzedał później dużej i sławnej firmie Goupil & Co z Paryża. Firma ta miała filie w Londynie, Brukseli, Berlinie i w Nowym Jorku. Zdobywszy majątek, osiadł w pięknej willi w Prisenhage, niedaleko swego brata. Dawny handlarz obrazami widzi tylko jedno wyjście: z jego polecenia zaangażują na pewno siostrzeńca w firmie, która dawniej do niego należała. W Hadze Vincent okazał się sumiennym pracownikiem. Toteż po dziesięciu miesiącach wysłano go do filii w Londynie. Był to awans.

Sierpień 1872

Dziękuję ci za list; wiadomość, że szczęśliwie przyjechałeś do domu, sprawiła mi wielką radość. W pierwszych dniach bardzo mi cię było brak i nie mogłem się przyzwyczaić do tego, że cię nie ma, gdy wracam po południu do domu.

Przeżywaliśmy razem piękne dni; ileż to razy wędrowaliśmy podczas deszczu oglądając różne rzeczy poprzez ulewę.

Straszna pogoda; myślę, że wędrówki w Oisterwijk nie sprawiają ci przyjemności. Wczoraj były tu wyścigi kłusaków z okazji otwarcia wystawy, ale iluminacje i sztuczne ognie zostały odłożone ze względu na złą pogodę. Dobrze, że nie czekałeś tutaj na te atrakcje.

Styczeń 1873

Nowy rok dobrze się dla mnie zaczął. Dostałem podwyżkę, 10 guldenów na miesiąc i obecnie zarabiam już 50 guldenów. Prócz tego mam dostać premię 50 guldenów. Czy to nie wspaniale!? Myślę, że będę mógł teraz sam zarobić na swe utrzymanie.

Ogromnie się cieszę, że pracujesz w tej samej firmie — jest ona rzeczywiście doskonale prowadzona i im dłużej się w niej pracuje, tym większe ma się ambicje, żeby osiągnąć jeszcze lepsze wyniki. Początki są może trudniejsze niż gdzie indziej, ale bądź tylko wytrwałym, a z pewnością dojdziesz do celu.

LONDYN czerwiec 1873 — maj 1875

W Londynie Vincent przebywa prawie dwa lata. Ma lat dwadzieścia. Kupuje sobie cylinder, żeby wyglądać jak kupiec. Jego korespondencja z Theo, który właśnie zaczął pracować u Goupilów, zaczyna się ożywiać. Vincent prowadzi życie człowieka statecznego i pobożnego. Jeżeli chodzi o sztukę, to podobają mu się Anioł Pański Milleta oraz wypracowane obrazy Meissoniera. Zakochuje się w pannie Urszuli Loyer, córce swej zacnej gospodyni. Panna Loyer nie gardzi flirtem, ale gdy Vincent zaczyna mówić o małżeństwie, oświadcza mu krótko, że jest zaręczona i że kocha swego narzeczonego. Był to cios tak silny, że zakochany Vincent wyjeżdża do rodziców. Tam, ponury, gniewny, w braku innego zajęcia zaczyna rysować. Wraca do Londynu, gdzie panna Loyer daje mu wyraźnie do zrozumienia, że naleganie jest bezcelowe; dyrektor firmy, wzruszony losem Vincenta, przenosi go wkrótce do filii w Paryżu, żeby zmienił powietrze, otrząsnął się po zawodzie miłosnym i nabrał chęci do pracy. Po dwóch miesiącach Vincent ucieka znowu do Londynu, aby jeszcze raz nadaremnie próbować szczęścia, po czym stara się osiąść na stałe w Paryżu.

13 czerwca 1873

Znalazłem pensjonat, w którym chwilowo bardzo dobrze się czuję. Mieszkają tu prócz mnie trzej Niemcy, którzy uwielbiają muzykę. Grają często na fortepianie i śpiewają, wieczory są przez to bardzo urozmaicone. Nie mam tu tyle pracy co w Hadze, muszę być w sklepie tylko od 9 rano do 6 wieczorem, a w soboty do czwartej. Mieszkam na jednym z przedmieść Londynu, w dość spokojnej dzielnicy. Przypomina mi to czasem Tilburg. W Paryżu spędziłem kilka miłych dni i, jak się możesz domyślić, zachwycałem się wystawami w Luwrze i w Galerii Luksemburskiej. Filie naszej

firmy w Paryżu są doprawdy imponujące i większe, niż to sobie wyobrażałem; zwłaszcza sklep przy placu Opery.

Życie jest tu bardzo drogie. Za mieszkanie płacę 18 szylingów tygodniowo, nie licząc prania i jedzenia na mieście.

Ubiegłej niedzieli wyjechałem z moim szefem, panem Obach, za miasto, do Boxhill. Jest to wysoki pagórek (około 6 godzin drogi od Londynu). Z jednej strony wapienna gleba i palmy, z drugiej wysoki las dębowy. Okolica jest tu naprawdę tak cudna, że nie można jej porównać z Holandią czy Belgią. Wszędzie widuje się wspaniałe parki z wysokimi drzewami, otoczone żywopłotami. Wszędzie można spacerować. W Zielone Święta zrobiłem piękną wycieczkę z moimi Niemcami, ale ci panowie wydają za dużo pieniędzy. To nie dla mnie, w przyszłości nie będę mógł im towarzyszyć.

13 września 1873

Mój drogi! Tak bym chciał, żebyś tu był ze mną i żebym ci mógł pokazać moje nowe mieszkanie, o którym zapewne już słyszałeś. Mam tutaj osobny pokój, taki, o jakim od dawna marzyłem, bez skośnych belek i bez niebieskiej tapety z zielonym szlakiem. To bardzo przyzwoity dom, gdzie teraz mieszkam; mają tu szkołę dla little boys .

Przed kilku dniami, w sobotę, wybrałem się z dwoma Anglikami na Tamizę, żeby trochę powiosłować. Była to rzeczywiście wspaniała wycieczka!

19 listopada 1873

Wszystko jest tutaj all right, mam przyjemne mieszkanie i choć praca nie jest tak interesująca jak w Hadze, to Jednak nie żałuję, że tu przyjechałem. Pewno później, gdy handel obrazami rozwinie się, będę tu bardziej potrzebny.

Naprawdę, trudno mi opisać, jak interesujący jest Londyn, jego obyczaje kupieckie i sposób życia, tak odmienny od naszego.

Styczeń 1874

Jakże chętnie porozmawiałbym z tobą o sztuce; trzeba, byśmy przynajmniej dużo pisywali do siebie na ten temat; powinieneś odkrywać piękno, gdzie tylko można; większość ludzi w ogóle nie dostrzega piękna.

Rób częste wycieczki i kochaj przyrodę — tylko w ten sposób można się czegoś nauczyć i rozumieć sztukę coraz lepiej, coraz lepiej. Malarze rozumieją i kochają przyrodę i dlatego uczą nas, jak należy na nią „patrzeć". Są przecież malarze, którzy potrafią malować tylko dobre obrazy, którzy nie potrafiliby źle malować. Zresztą zdarzają się i zwykli śmiertelnicy posiadający dar robienia rzeczy doskonałych.

Dobrze mi się tutaj powodzi; mam rozkoszne mieszkanie i z zapałem poznaję Londyn, angielski sposób życia i samych Anglików, A oprócz tego mam przyrodę, sztukę, poezję i gdyby to wszystko nie miało mi wystarczyć, cóż by mi wystarczyło?

A jednak nie zapominam o Holandii i często myślę o Hadze i o Brabancji.

30 marca 1874

W liście z domu dostałem od ciebie gulden na zakup spinek do mankietów. Sracie drogi, dziękuję ci za to serdecznie, ale nie powinieneś był tego robić. Pieniądze są ci przecież bardziej potrzebne niż mnie.

To dobrze, że przeczytałeś książkę Burgera. Czytaj o sztuce, ile się tylko da, a przede wszystkim zaglądaj do Gazette des Beaux Arts itp. Staraj się śledzić pilnie rozwój malarstwa, jak tylko będziesz mógł.

30 kwietnia 1874

Gdy tylko przyjadę do Holandii, to wpadnę do Hagi na dzień lub dwa, gdyż Haga jest dla mnie jakby drugim miastem rodzinnym (zamieszkam u ciebie).

Chętnie wziąłbym udział w wycieczce do Vink. Spaceruję tu, ile tylko się da, ale jestem bardzo zajęty. Jest tu naprawdę cudnie (choć mieszkam w mieście). We wszystkich ogrodach kwitną bzy, głóg i złoty deszcz, drzewa kasztanowe są doprawdy bajecznie piękne.

Gdy się kocha przyrodę, wszystko wydaje się piękne. A jednak czasem tęsknię za Holandią, zwłaszcza za moim Helvoirt.

Jestem bardzo zajęty pracą w moim ogródku; zasiałem w nim groszek pachnący, mak i rezedę; teraz trzeba odczekać i zobaczy się, co z tego wyrośnie. Wielką przyjemność sprawiają mi spacery rano z domu do sklepu, a wieczorem powrót do domu. Każde przejście zajmuje mi mniej więcej trzy kwadranse.

31 lipca 1874

Cieszę się bardzo, że przeczytałeś książkę Micheleta i że tak ją właśnie zrozumiałeś. Po przeczytaniu tej książki dochodzi się do wniosku, że miłość to znacznie więcej, niż ludzie zwykle w niej widzą.

Lektura ta była dla mnie rewelacją a jednocześnie jakby nową ewangelią.

„Nie ma starych kobiet"! (Nie znaczy to, żeby nie było starych kobiet w ogóle, ale kobieta nie będzie starą tak długo, jak kocha i jak długo jest kochana.) Weź na przykład taki rozdział jak Les aspirations de 1'automne, jakie to wspaniałe!

Zgadzam się z tobą, że kobieta jest „zupełnie inną istotą" niż mężczyzna (istotą, której nie znamy albo znamy tylko powierzchownie).

Tak samo wierzę, że mężczyzna i kobieta mogą stanowić całość, jedną całość, a nie dwie połowy.

Tu, w Anglii, odeszła mnie ochota do rysowania, ale może któregoś dnia mi wróci. Dużo czytam.

20 sierpnia 1874

„Ty sądzisz ludzi według ich ciała. Ja nie sądzę nikogo."

„Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy na nią kamieniem rzuci".

Bądź wierny swoim zasadom, a gdy masz wątpliwości, czy są dobre, porównaj je z zasadami tego, który odważył się rzec: „Jam jest prawdą", albo też z zasadami innych bardzo ludzkich pisarzy, choćby np. Micheleta.

Dziewictwo duszy i nieczystość ciała mogą iść w parze. Znasz zapewne Małgorzatę u źródła Ary Scheffera. Czy może być istota bardziej czysta od tej dziewczyny, „która tak wiele kochała".

Za pieniądze, które masz ode mnie, kup książkę Alfonsa Karra Voyage autour de mon jardin, zrób to koniecznie, gdyż zależy mi, żebyś ją przeczytał.

Co wieczór spaceruję z A. Zaczyna się już jesień i przyroda staje się jakby poważniejsza i bardziej zamknięta w sobie

Mamy się przeprowadzić i zamieszkać w domu, który jest całkowicie porośnięty bluszczem. Niedługo napiszemy ci o tym obszerniej.

6 marca 1875

Czy nie uważasz, jakie to dziwne, że życie układa nam się pomyślnie. Tobie powodzi się nie najgorzej i mnie powodzi się dobrze. Chyba mamy jeszcze przed sobą długi okres powodzenia, ale przyjdzie jeszcze kiedyś taka chwila, gdy powiedzą nam: „Będziesz przebywał "i będziesz cierpiał w miejscu, które ci wyznaczono, wbrew twojej

PARYŻ maj 1875 — marzec 1876

W Paryżu Vincent wynajmuje pokój na Montmartrze. Malarstwo interesuje go coraz bardziej, ale nie to, które jest na sprzedaż, ani sztychy wydawane przez firmę Goupil. Ściany swego pokoju ozdabia reprodukcjami Rem-brandta, Corota, Milleta... Czyta bardzo wiele. Pewnego razu oznajmia swemu bratu, że powyrzuca książki Micheleta i Renana, i radzi mu zrobić to samo, dla spokoju duszy. Coraz bardziej pogrąża się w pobożnych rozmyślaniach i rozprawia o Biblii ze swym młodym angielskim kolegą. Jako pracownik staje się coraz bardziej nieznośny, tak że po niespełna roku firma Goupil (która zmieniła nazwę na Boussod et Valadon) daje mu wymówienie. Co z nim teraz będzie? Theo na podstawie kilku szkiców odkrywa jego nadzwyczajne zdolności do rysunku. Lecz to się nie liczy. Vincent jest przekonany, że jego prawdziwym powołaniem jest niesienie pomocy biednym. Pełen pokory, nie chce już żyć dla siebie, chce należeć do Boga, jak jego ojciec. Ale jego pokora objawia się często w gwałtownych wybuchach.

19 czerwca 1875

Myślałem, że ją jeszcze przed śmiercią zobaczę, a jednak stało się inaczej. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Nie wiem, jak długo tu jeszcze zostanę, ale zanim powrócę do Londynu, chciałbym przyjechać do Helvoirt i mam nadzieję, że cię tam jeszcze zastanę. Podróż zapłacę sam.

Chyba nie zapomnisz tak prędko o Annet i będziesz pamiętał, jak umierała; staraj się jednak z nikim na ten temat nie rozmawiać.

Takie wypadki smucą nas, ale i cieszą zarazem. Powinniśmy czerpać z nich pociechę.

29 czerwca 1875

Chciałbym bardzo, żebyś wyjechał z Hagi. A może i ty nosisz się z tym zamiarem? Napisz mi nareszcie, czy tak, czy nie. Mam zamiar

pozostać tu jeszcze do jesieni i do Holandii pewno się na razie nie wybiorę.

6 lipca 1875

Musisz mi koniecznie napisać, jak ci idzie nauka angielskiego i czy robisz postępy? Jeżeli masz trudności, to nie wysilaj się, nie będzie z tego powodu wielkiego nieszczęścia.

Wynająłem pokoik na Montmartrze, jestem pewien, że będzie ci się podobał. Pokoik jest mały, a okna wychodzą na ogródek zarośnięty bluszczem i dzikim winem.

Bądź zdrów, mój stary. I pamiętaj, że trzeba z wszystkich sił starać się być wyrozumiałym i łagodnym.

15 lipca 1875

Był tu niedawno wuj Vincent. Widziałem go kilkakrotnie i rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Zapytałem go, czy nie widzi możliwości przeniesienia cię do naszego oddziału w Paryżu.

Z początku nie chciał o tym słyszeć i twierdził, że będzie dużo lepiej, jeśli zostaniesz w Hadze; nalegałem jednak i sądzę, że będzie pamiętał o tej sprawie.

Gdy wuj przyjedzie do Hagi, to prawdopodobnie będzie chciał z tobą rozmawiać; bądź wtedy opanowany i pozwól mu mówić, co tylko będzie chciał; nie zrobi ci to chyba zbyt wielkiej przykrości, a w przyszłości możesz go jeszcze potrzebować. Najlepiej nie rozmawiajcie na mój temat, jeśli to nie będzie konieczne.

Poproś go po prostu, żeby załatwił twoje przeniesienie do nas lub też do Londynu.

Dziękuję ci za list, który otrzymałem dziś rano, i za wiersz Rückerta. Czy masz jego wiersze? Chciałbym bardzo je poznać. Jak będę miał okazję, przyślę ci Biblię po francusku i Naśladowanie Chrystusa.

Ojciec kiedyś do mnie tak napisał: „Czy wiesz, że te same usta, które mówiły: »bądźcie szczerymi jak gołębie , dodały w tej samej chwili »i roztropnymi jak węże«." Miej to na uwadze i ufaj mi zawsze.

13 sierpnia 1875

Chciałem już dawno do ciebie napisać. Bardzo się cieszę, że ojciec zgodził się przyjąć duszpasterstwo w Etten; w obecnych warunkach dobrze się też składa, że W. i A. z nim pojadą. Szkoda, że nie mogłem być z wami w niedzielę, gdy byliście w Helvoirt; pewno pisałem ci już, że tej samej niedzieli byłem z panem Soek i jego rodziną w Ville d'Avray. Niespodzianką było dla mnie odkrycie tam w kościółku trzech obrazów Corota.

W ostatnie dwie niedziele chodziłem do kościoła, by posłuchać pastora Bercier. Słyszałem kazanie na temat: „Tym, którzy miłują Boga, wszystko dopomaga ku dobremu" i „Stworzył człowieka na wyobrażenie swoje". Było to naprawdę piękne i podniosłe.

Jeżeli tylko masz czas, powinieneś co niedzielę chodzić do kościoła i choć nie zawsze kazania będą tak piękne, nie pożałujesz tego z pewnością.

12 września 1875

Flügel, Flügel über's Leben! Flügel uber Grab und Tod!

Takich skrzydeł nam trzeba i nawet widzę, w jaki sposób można je będzie zdobyć. Weź na przykład ojca, ten chyba je ma, a wiesz dobrze, że zdobył je modlitwą i jej owocami — cierpliwością, wiarą — i dzięki Biblii, która była światłem na jego drodze i lampą przed jego stopami.

Dziś przed południem słuchałem bardzo podniosłego kazania na temat: „Zapomnijcie o wszystkim, co jest już za wami". Przypominam sobie takie oto zdanie: „Powinniście żyć bardziej nadzieją, a mniej wspomnieniami: to, co było poważne i świątobliwe w waszej przeszłości, nie zaginie; nie zajmujcie się tym więcej, odnajdziecie to gdzie indziej. Idźcie naprzód. Wszystko stało się nowe w Jezusie Chrystusie".

17 września 1875

Odczuwanie piękna przyrody, nawet bardzo subtelne, nie jest tym samym, co uczucia pobożne, choć przypuszczam, że między obydwoma tymi uczuciami istnieje ścisły związek.

Wszyscy chyba kochają przyrodę, jedni więcej, drudzy mniej, ale niewielu ludzi wyczuwa, że Bóg jest duchem, a ci, którzy go czczą, winni mu w duchu i w prawdzie cześć oddawać. Nasi rodzice należą do tych nielicznych jednostek, a chyba i wuj Vincent także.

Wiesz, że powiedziano w Piśmie świętym: „Świat przemija i pożądliwość jego", ale jest tam też mowa o „tej cząstce, która nie będzie nam odjęta" i o „źródle żywej wody, która wytryska ku żywotowi wiecznemu". Módlmy się o coraz to obfitsze laski Boże. Nie staraj się zgłębić od razu wszystkich problemów, bo te stopniowo będą się stawały dla ciebie coraz bardziej zrozumiale, ale postępuj, jak ci radzę. Oby nam dane było stać się ubogimi w królestwie bożym, sługami bożymi. Cel ten jeszcze nie został osiągnięty, prośmy więc Boga o dar prostoty, abyśmy się stali ludźmi prostymi i uczciwymi. (Podobnie dzieje się z odczuwaniem sztuki. Nie poświęcaj się sztuce bez reszty. Twoje zainteresowania powinny obejmować więcej dziedzin, jak sklep, praca codzienna, ludzi, z którymi się codziennie spotykasz, i wiele, wiele innych. Jeżeli pan Tersteeg robił ci kiedykolwiek uwagi z tego powodu, to , nie miej mu tego za złe. Kiedyś zrozumiesz na pewno, że miał rację, bo jest to człowiek zasługujący ze wszech miar na szacunek. Powinieneś unikać przesady.

Czy odżywiasz się dobrze? Powinieneś zwłaszcza jeść tyle chleba, na ile masz ochotę. Dobranoc; muszę jeszcze oczyścić sobie buty na jutro.)

25 września 1875

Ścieżka naszego życia jest wąska i dlatego powinniśmy stąpać po niej ostrożnie. Uprzytomnij sobie tylko, w jaki sposób inni osiągnęli to, do czego my dążymy. Najlepiej trzymać się ścieżek prostych.

Ora et labora.

Każde nasze codzienne zadanie, które nam wpada w rękę, powinniśmy wykonywać starannie, wkładając w to wszystkie nasze siły. Wierzmy, że gdy będziemy o to prosić, otrzymamy od Boga dary, które nigdy nie będą nam

odebrane. „A tak, jeśli kto w Chrystusie, ten jest nowym stworzeniem; stare przeminęło, oto wszystko stało się nowe" (II Kor., w. 18).

Chciałbym się pozbyć wszystkich książek Micheleta i jeszcze kilku pisarzy. Zrób to samo.

30 września 1875

Mój drogi, wiem dobrze, że w chwili obecnej masz poważne trudności, trzeba jednak być stanowczym i odważnym. Czasem trzeba sobie powiedzieć: „Nie śnij, nie wzdychaj". Pamiętaj, „nie jesteś sam, ale Ojciec Niebieski jest z tobą".

6 października 1875

Wprawdzie pisałem do ciebie niedawno, postanowiłem jednak napisać znowu, bo wiem, co to znaczy, gdy się wszystko przeciw człowiekowi sprzysięga. Trzymaj się mocno, stary, pamiętaj, po deszczu przychodzi słońce, trzeba w to wierzyć. Deszcz i słońce przychodzą na przemian. the road that goes uphill all the way, yes to the very end . Od czasu do czasu trzeba odpocząć podczas the journey that takes the whole day long, from morn till night .

Pomyśl o tym i nie zapominaj, że this also will pass away .

„Każdy ma swe piękne dni" — mawiał często Jules Dupré. Powinniśmy w to także wierzyć. Dziś miałem sposobność wysłania paczki do A. i W. Posłałem im między innymi Naśladowanie Chrystusa oraz kilka ksiąg Biblii, w tym samym wydaniu co Psalmy wysłane dla ciebie.

Przeczytaj je bardzo dokładnie. Czy chciałbyś mieć także cztery ewangelie i kilka Listów z Pisma świętego wydanych

oddzielnie?

Pragnąłbym bardzo posiadać pieśni holenderskie. Gdybyś miał sposobność przysłać mi przy okazji choćby naj tańsze wydanie, jakie tylko można będzie znaleźć, to będę ci bardzo wdzięczny. Psalmy już mam.

11 października 1875

Dziękuję ci za list; otrzymałem go dziś rano. Tym razem chciałbym do ciebie napisać trochę inaczej niż zwykle; przedstawić ci trochę bardziej szczegółowo, jak mi się tutaj życie układa.

Jak już pewno wiesz, mieszkam na Montmartrze. W tym samym domu mieszka pewien młody Anglik, sprzedawca w naszym sklepie, ma 18 lat, jest synem handlarza obrazów w Londynie i prawdopodobnie obejmie w przyszłości sklep po ojcu. Nigdy dotąd nie wyjeżdżał poza dom rodzinny i w pierwszych tygodniach pobytu w Paryżu był nadzwyczaj niezaradny; jadał na przykład rano, w południe i wieczorem chleb za 4 do 6 sous (nb. chleb jest tutaj bardzo tani) i uzupełniał to kilku funtami jabłek, gruszek lub innych owoców. Jest więc chudy jak szczapa, ma dwa rzędy mocnych zębów, duże czerwone wargi, błyszczące oczy, parę dużych odstających uszu, zazwyczaj czerwonych, włosy krótko ostrzyżone (czarne) itd. Wszyscy drwili sobie z niego, nawet ja z początku. Ale z wolna przekonałem się do niego i mogę cię zapewnić, z przyjemnością spędzam wieczory w jego towarzystwie.

Jest to chłopak jeszcze bardzo naiwny i niezepsuty, w sklepie pracuje bardzo ciężko. Co wieczór wracamy razem do domu, spożywamy coś niecoś w moim pokoju i potem przez resztę wieczoru czytam głośno, przeważnie Biblię. Mamy zamiar przeczytać ją całą. Z rana między 5 a 6 przychodzi, żeby mnie obudzić; jemy śniadanie w moim

pokoju i około ósmej idziemy razem do sklepu. Od pewnego czasu mój towarzysz jada już rozsądniej. Zaczyna kolekcjonować sztychy, a ja staram się mu w tym pomagać.

Wczoraj byliśmy razem w Galerii Luksemburskiej i pokazywałem mu obrazy, które mi się najbardziej podobają.

Bernier — Pola w zimie

Cabat — Staw, Jesienny wieczór

Emile Breton — zimowy wieczór

Bodmer — Fontainbleau

Millet — Kościół w Gréville

Daubigny — Wiosna, Jesień

Français — Koniec zimy, Cmentarz

Gleyre — Stracone złudzenia

Herbert — Chrystus w Ogrójcu, Malaria

Rosa Bonheur — Orka ltd.

Doprawdy ludzie prości rozumieją wiele rzeczy, których nie rozumieją wykształceni.

W sklepie robię wszystko, co mi tylko się nadarzy; taką będzie chyba nasza praca przez całe długie życie. Mój drogi chłopcze, obym tylko mógł tak pracować, ze wszystkich sił!

Czy posłuchałeś już moich rad i wyrzuciłeś książki Micheleta, Renana itp.? Myślę, że dopiero wtedy zaznasz spokoju, gdy się ich pozbędziesz. Kartki z książki Micheleta z opisem portretu kobiecego pędzla Filipa de Champaigne nie powinieneś zapomnieć, tak samo nie zapominaj Renana, a jednak musisz te książki powyrzucać. „Znajdzieszli miód, jedzże, ileć potrzebą, byś snadź objadłszy się go nie zwrócił" — tak chyba napisano w Przypowieściach albo podobnie.

14 października 1875

Ojciec napisał kiedyś do mnie: „Nie zapominaj dziejów Ikara, tego, co chciał wznieść się na skrzydłach do słońca, ale gdy już był na dużej wysokości, zgubił swe skrzydła i spadł do morza".

Pojmujesz to pewno doskonale, że żaden z nas nie jest takim, jakim by być pragnął, brak nam wielu zalet ojca czy nawet zalet innych wybitnych ludzi, brak nam solidności, prostoty i szczerości; często jesteśmy nienaturalni i mówimy nieprawdę.

Ale bądźmy wytrwali. Powinniśmy przede wszystkim odznaczać się cierpliwością, ci, co prawdziwie wierzą, nie spieszą się nigdy. Jest jednak pewno duża różnica między naszym pragnieniem, by stać się prawdziwymi chrześcijanami, a utopijnym marzeniem Ikara, który chciał wzlecieć do słońca. Myślę, że w miarę silne ciało nie jest przeszkodą. Dbaj więc o siebie, odżywiaj się dobrze, a gdy jesteś bardzo głodny lub gdy masz na coś apetyt, nie żałuj sobie tego. Mogę cię zapewnić, że sam to czynię, w każdym razie czyniłem dotąd.

Mój drogi chłopcze, myślę, że chleb powinien być naszym głównym pożywieniem. Bread is the staff of life mawiają Anglicy (choć bardzo lubią mięso i na ogół jedzą go za dużo). Napisz do mnie znowu, jak tylko będziesz mógł najszybciej i nie zapominaj w twych listach o sprawach dnia powszedniego.

9 listopada 1875

Co za piękna jesień, z pewnością robisz często długie spacery. Czy wcześnie wstajesz? Jeśli o mnie chodzi, to wstaję codziennie wcześnie rano i rad jestem, że się do tego przyzwyczaiłem. Te godziny o świcie są dla mnie cenne i

lubię je najbardziej. Przeważnie kładę się też bardzo wcześnie.

15 listopada 1875

Ten mój miły Anglik gotuje sobie teraz co rano płatki owsiane, przysłane przez ojca: 25 funtów w jednej paczce! Jaka szkoda, że nie możesz tych płatków spróbować.

Jestem bardzo rad, że spotkałem tego młodego człowieka. Wiele się od niego nauczyłem, ale także zwróciłem mu uwagę na grożące mu niebezpieczeństwa.

Po raz pierwszy wyjechał na dłużej z domu i, choć nie dawał tego po sobie poznać, tęsknił chorobliwie (to zresztą szlachetne) za ojcem i domem.

W takim stopniu wolno tylko tęsknić do Boga i do nieba. Ubóstwianie przestaje być miłością. Kto kocha swych rodziców, powinien kochać ich tak samo przez całe życie. Mój przyjaciel zrozumiał \o i chociaż cierpi, znajduje odwagę i chęć, by iść dalej swoją drogą.

Czy ojciec powiedział ci już kiedyś to, co mnie raz powiedział: „Nad wszystko, czego ludzie strzegą, strzeż serca twego, bo z niego żywot pochodzi". Starajmy się postępować według wskazówek ojca, a przy Bożej pomocy powinniśmy dojść do celu.

13 grudnia 1875

Widzę, że tobie także podobają się poezje Heinego i Uhlanda. Trzeba jednak uważać, mój chłopcze, to niebezpieczna lektura; iluzje nie trwają długo, nie należy ulegać im zbyt pochopnie.

Czy wyrzuciłeś już książki, o których ci pisałem w mych poprzednich listach? Książki Heinego i Uhlanda wpadną ci jeszcze kiedyś w rękę, a wtedy będziesz je czytał w innym nastroju i ze spokojniejszym sercem.

Bardzo lubię Erckmanna-Chatriana — o tym zapewne wiesz. A może znasz jego książkę: L' Ami Fritz?

Wróćmy jednak jeszcze do Heinego.

Gdyby tak ustawić sobie przed oczyma podobizny naszego ojca i matki i Pożegnanie Briona, to dopiero wtedy, patrząc na te trzy obrazy, moglibyśmy dobrze zrozumieć poezje Heinego. Zrób tak, a zrozumiesz, co mam na myśli. Bracie drogi, nie myśl, że mam zamiar dawać ci nauki lub wygłaszać kazania umoralniające. Wiem dobrze, że w sercu czujesz to samo co ja, dlatego pozwalam sobie czasem na poważniejsze rozmowy. A w każdym razie spróbuj zrobić tak, jak ci radzę.

10 stycznia 1876

Odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, nie pisałem jeszcze do ciebie, a w tym czasie zdarzyło się coś, co nie było dla mnie zupełną niespodzianką.

Spotkawszy pana Boussod zapytałem, czy Jego Ekscelencja zgadza się na to, żebym w tym roku w dalszym ciągu pracował w firmie i czy Jego Ekscelencja nie ma w stosunku do mnie jakichś poważniejszych zarzutów.

Niestety, okazało się, że zarzuty były, Jego Ekscelencja skorzystał z okazji i oznajmił, że od 1 kwietnia nie będę już u niego pracował i że powinienem być wdzięczny moim przełożonym za to, czego się w firmie dotychczas nauczyłem.

Gdy jabłko jest dojrzałe, nawet lekki podmuch wiatru strąca je z drzewa. Tak też było i w moim wypadku.

Rzeczywiście, popełniłem szereg większych i mniejszych błędów, dlatego też niewiele mam do powiedzenia na swoją obronę. .

Drogi bracie, muszę ci się przyznać, że chwilowo nie wiem dobrze, co z sobą pocznę, ale staram się nie tracić nadziei i odwagi.

Bądź tak dobry i daj ten list do przeczytania panu Ter-steeg. Jego Ekscelencja może wiedzieć, co zaszło, ale sądzę, że lepiej będzie, jeżeli chwilowo nie będziesz nikomu więcej o tym wspominał, udając, że nic się nie stało.

Bez daty

Dziękuję ci za list, powinieneś do mnie częściej pisywać, bo to mnie podtrzymuje na duchu. Pisz wyczerpująco o twych codziennych sprawach, zauważyłeś chyba, że i ja to czynię.

Bywają chwile, gdy czujemy się bardzo osamotnieni. Potrzeba nam wtedy przyjaciół i wyobrażamy sobie, że będziemy dużo szczęśliwsi, gdy znajdziemy tego „kogoś", gdy zjawi się ów przyjaciel, o którym będziemy mogli powiedzieć: „to ten". A jednak czy nie zdajesz sobie sprawy, że w ten sposób często oszukujemy samych siebie i że pragnienia te, gdy stają się zbyt silne, mogą nas łatwo sprowadzić na manowce.

Są w Piśmie świętym słowa, które od pewnego czasu nie dają mi spokoju, jak np. tekst na dzień dzisiejszy: „Synowie jego będą się korzyć ubogim".

A teraz posłuchaj ostatnich wiadomości: mój przyja ciel Gladwell ma zamiar wyprowadzić się. Jeden z pracowników drukarni namówił go, żeby u niego zamieszkał. Już od dawna starał się ściągnąć go do siebie.

Wydaje mi się, że Gladwell robi to nie myśląc zupełnie

o mnie ani o tym, że wyrządza mi przykrość opuszczając mnie. Przeprowadzka ma się odbyć w najbliższym czasie, prawdopodobnie już z końcem tego miesiąca. Od pewnego czasu mysz przychodzi do naszej „kabiny", wiesz pewno, że tak nazywamy nasz pokój. Co wieczór zostawiamy jej trochę chleba, a mysz wie już dobrze, gdzie go szukać.

Przeglądam ogłoszenia w angielskich dziennikach i na kilka z nich już wysłałem ofertę. Trzeba mieć nadzieję, może się uda.

7 lutego 1876

Piękne są słowa Ewangelii na dzień 8 lutego: „Wierny jest, który was powołuje, który i uczyni t o".

Nie wiemy, co owo „to" będzie oznaczało dla naszego ojca i dla nas samych, powinniśmy jednak zaufać Temu, którego zwiemy „naszym Ojcem" i: „Będę, który będę".

Dziś otrzymałem list z odpowiedzią na jedno z moich podań. Pytają, czy mógłbym uczyć francuskiego, niemieckiego i rysunków, i proszą, żeby im przesłać moją podobiznę.

Byłem wczoraj na nabożeństwie w tutejszym kościele anglikańskim. Lubię bardzo ten obrządek, robi on na mnie zawsze przyjemne wrażenie, bo ma w sobie dużo prostoty

i piękna.

Kazanie było na temat: The Lord is my shepherd, I shall not want.

15 marca 1876

Jak się pewno domyślasz, pojadą wpierw do Etten, o ile nie zajdzie coś nieprzewidzianego. Chciałbym wyjechać stąd

1 kwietnia lub 31 marca.

Pisano mi z domu, że zamierzasz także wstąpić do Etten W czasie swej podróży. Kiedy wyjeżdżasz?

Chyba będę miał sposobność przysłać ci przed twoim wyjazdem poezje Longfellowa. Może będzie to dobra lektura na podróż.

Chwila wyjazdu zbliża się; pozostały już niecałe trzy tygodnie. Powinienem być cierpliwy i opanowany aż do końca, o tym trzeba czasami pamiętać.

Ciotka Kornelia pożyczyła mi śliczną książką Bulwera Kenelm Chillingly. Mnóstwo w niej pięknych rzeczy. Syn pewnego bogatego Anglika nie może znaleźć spokoju i zadowolenia w swym własnym środowisku i zaczyna ich szukać wśród innych warstw społecznych. W końcu wraca do swoich, ale nie żałuje niczego, co zrobił.

28 marca 1876

Jeszcze tylko kilka słów; będą to chyba ostatnie, jakie do ciebie piszę z Paryża.

Chciałbym wyjechać stąd w piątek wieczorem i być w domu w sobotę rano, tak jak wtedy, na Boże Narodzenie.

Etten, 4 kwietnia 1876

Rano przed wyjazdem z Paryża otrzymałem list od pewnego nauczyciela z Ramsgate. Proponuje mi, żebym przyjechał na jeden miesiąc próby (bez pensji). Po upływie tego czasu ma się zdecydować, czy będzie mógł mnie zatrudnić.

Nie wyobrażasz sobie, jak jestem szczęśliwy, że znalazłem wreszcie jakiś grunt pod nogami. Mieszkanie i

utrzymanie będę miał w każdym razie zapewnione.

Jakie to szczęście, że zobaczę ciebie przed moim wyjazdem.

Jak zapewne wiesz, Ramsgate jest miejscowością kąpielową ; czytałem gdzieś, że ma 12 000 mieszkańców, ale

to jest wszystko, co wiem.

ANGLIA Ramsgate — Isleworth kwiecień 1876— grudzień 1876

Vincent przyjmuje skromną posadę w Anglii, niedaleko Londynu. Zostaje nauczycielem języka francuskiego, który zna niezbyt dobrze, i jednocześnie korepetytorem w internacie (internat ten zostanie przeniesiony potem z Ramsgate do Isleworth). Pensji nie dostaje, może później, to się zobaczy... Jest to internat dla chłopców z niezamożnych rodzin. Gdy go posyłają, by zbierał czesne od rodziców, Vincent wywiązuje się źle ze swojej misji, gdyż ma za miękkie serce. Rezygnuje więc z pracy nauczycielskiej i idzie na służbę do pastora metodystów jako pomocnik kaznodziei. Nie potrafi jednak poruszyć swojego skromnego audytorium: brak mu daru wymowy i słabo mówi po angielsku. Oto tytuł jednego z jego kazań: Sorrow is better than laughter (smutek jest lepszy od śmiechu).

W dwudziestym trzecim roku życia Vincent jest już wykolejony. Powraca na Boże Narodzenie do swych rodziców, którzy mieszkają w Etten (jeszcze mizerniejsza parafia niż w Zundert). Rodzice zwracają się raz jeszcze do Vincenta van Gogha, dawnego handlarza obrazami, żyjącego w dostatku ze swoich rent, a ten znajduje dla bratanka skromną posadkę u księgarza w Dordrechcie.

Ramsgate, 17 kwietnia 1876

Przyjechałem tu wczoraj w południe, około godziny i zdrów i cały, i zaraz po przyjeździe spostrzegłem, że okna naszej niedużej szkoły wychodzą na morze.

Przy naszej szkole jest internat, dla 24 chłopców w wieku od 10 do 14 lat.

Pan Stokes wyjechał z miasta na kilka dni, więc nie miałem jeszcze okazji poznać Jego Ekscelencji, dziś wieczorem spodziewają się jego powrotu.

Pracuje tu jeszcze drugi, młodszy nauczyciel, ma dopiero 17 lat.

Wczoraj wieczorem i dziś rano zrobiliśmy już dwa duże spacery wzdłuż wybrzeża.

Domy na wybrzeżu są zbudowane przeważnie z żółtej cegły i przypominają mi trochę Aleję Nassau w Hadze, z tą jednak różnicą, że domy w Anglii są wyższe i mają małe ogródki, pełne cedrów i ciemnych, zawsze zielonych krzaków.

Jest tu także port, a w nim wiele najrozmaitszych statków. Port jest chroniony kamiennymi groblami, po których można spacerować. Wczoraj wszystko było szare.

Ramsgate, 21 kwietnia 1876

Pan Stokes wrócił dopiero dzisiaj. Jest to dosyć wysoki mężczyzna, zupełnie łysy, z bokobrodami. Widać, że chłopcy odnoszą się do niego z pełnym respektem, a jednocześnie bardzo go lubią. Parę godzin po powrocie grał już z nimi w kręgle. Często chodzimy na plażę, a dziś rano pomagałem chłopcom budować fortecę z piasku, taką jaką czasem budowaliśmy w naszym ogrodzie w Zundert.

Szkoda, że nie możesz wyjrzeć z okna naszej szkoły. Budynek stoi na placu (wszystkie domy dookoła są do siebie podobne, zresztą tak samo jest w innych miastach). Pośrodku jest duży trawnik, otoczony żelaznym ogrodzeniem i krzakami bzu. Tam bawią się chłopcy w

południe. Dom, w którym mam pokój, znajduje się także przy tym placyku.

Ramsgate, 28 kwietnia 1876

Pan Stokes powiedział mi, że po wakacjach zamierza przeprowadzić się, oczywiście z całą szkołą, do małej wioski nad Tamizą, odległej od Londynu o jakieś 3 godziny.

Po przeprowadzce szkoła ma być zreorganizowana, a może nawet rozbudowana.

Wczoraj byliśmy na długim spacerze i chciałbym się podzielić z tobą wrażeniami. Szliśmy wpierw do zatoki morskiej drogą prowadzącą przez pola wschodzącego zboża albo wzdłuż żywopłotów z głogu itp.

Po przybyciu do celu naszej wyprawy zobaczyliśmy po lewej stronie strome zbocze wysokości dwupiętrowego domu, pokryte piaskiem i kamieniami. Na szczycie wzgórza wznosiły się stare sękate krzaki głogu o pniach porosłych grubą warstwą szarego lub czarnego mchu, z gałęziami pochylonymi w jedną stronę skutkiem silnych wiatrów, a także kilka krzaków bzu.

Stąpaliśmy po drodze usłanej wielkimi kamieniami, wapnem i muszlami.

Na prawo leżało morze, spokojne jak sadzawka; odbijała się w nim delikatna szarość nieba o zachodzie słońca.

Był właśnie odpływ i woda odeszła daleko od brzegu.

Obaj przeżywamy bardzo ważne lata naszego życia, od których wieje zależy. Oby nam się powiodło.

Ramsgate, 1 maja 1876

Wczoraj po południu dął tak silny wiatr, że pan Stokes nie wypuszczał chłopców na dwór. Poprosiłem go jednak, żeby pozwolił mi wyjść z sześciu najstarszymi chłopcami na małą przechadzkę. Poszliśmy na brzeg. Morze było wzburzone i nie było wcale łatwo iść pod wiatr. Zobaczyliśmy łódź ratunkową, holowaną przez statek parowy. Łódź wracała z wyprawy do innego statku, który trochę dalej osiadł na mieliźnie. Ale nie ściągnęła statku.

Pytasz, czego mam uczyć chłopców.

A więc przede wszystkim początków francuskiego, a jeden z nich zaczyna niemiecki. Poza tym wszystkiego po trochu, zwłaszcza rachunków, ponadto muszę przesłuchiwać ich z lekcji, robić z nimi dyktanda itp. Na razie nie sprawia mi to większych trudności, chociaż nie jest łatwo nakłonić chłopców do nauki.

Dziś są twoje urodziny, więc chociaż w myślach ściskam twoją dłoń i z całego serca życzę ci błogosławieństwa Bożego i wszelkiej pomyślności.

Oczywiście, poza lekcjami mam jeszcze godziny, w których dozoruję chłopców, tak że w rezultacie jestem bardzo zajęty, a w przyszłości będę zapewne jeszcze bardziej. W sobotę wieczorem wyszorowałem sześciu młodych paniczów raczej z amatorstwa niż z obowiązku; zależało mi na tym, żebyśmy byli gotowi na czas, więc musiałem zabrać się sam do roboty.

Próbuję zachęcić chłopców do czytania i wyszukuję im nawet odpowiednią lekturę, np. The wide, wide world itp.

Ramsgate, 6 maja 1876

I znów sobotni wieczór po pogodnym dniu: morze jest spokojne, trwa właśnie odpływ, niebo ma odcień bladobłękitny, zamglony na horyzoncie. Rano była także

piękna pogoda, wszystko, co wtedy było jasne, teraz pokrywa mgła.

Przeżywam tutaj dni naprawdę szczęśliwe, każdy dzień z osobna sprawia mi radość, a jednak nie dowierzam w pełni temu szczęściu i spokojowi. Wszystko może się szybko zmienić. Człowiek rzadko bywa zadowolony: albo obawia się, że mu jest za dobrze, albo narzeka, że mu źle.

Ramsgate, 12 maja 1876

Dziękuję ci za list; piosenka Tell me the old, old story mnie również bardzo przypadła do gustu. Po raz pierwszy słyszałem ją w Paryżu, w małym kościółku, do którego często chodziłem.

Ludność wielkich miast odczuwa potrzebę religii. Wielu robotników fabrycznych lub subiektów ze sklepów miało młodość piękną i pobożną. Ale życie w dużym mieście strząsa przedwcześnie the early dew of morning ; pozostaje jednak tęsknota za the old, old story, to, co było na dnie serca, zostaje tam na zawsze. Eliot w jednej ze swych książek opisuje życie robotników fabrycznych, którzy założyli małą gminę i odprawiali nabożeństwa w kaplicy, w Lantern yard. Zdaniem Eliot „ludzie ci stworzyli sobie królestwo Boże na ziemi, nie więcej i nie mniej". Trzeba przyznać, że jest to wzruszający widok, gdy tysiące ludzi zbiera się dla słuchania Ewangelii.

Ramsgate, 31 maja 1876

Czy pisałem ci już o burzy, jaka szalała ostatnio na naszym wybrzeżu? Morze, zwłaszcza blisko brzegu, miało żółtawy kolor, na horyzoncie widać było wąski pasek światła, a nad nim wisiały wielkie, ciemnoszare chmury, z

których padał deszcz ukośnymi smugami. Wiatr porywał kurz z białej ścieżki na nadbrzeżnych skałach i targał kwitnącymi głogami i powojem, które kwitną na skałach.

Z prawej strony mieliśmy pola wschodzącego zboża; przed nami w dali rozciągało się miasto ze swymi wieżami, młynami, dachami łupkowymi i domami w stylu gotyckim, a poniżej port zamknięty dwoma wrzynającymi się w morze falochronami. Wyglądało to jak miasta na akwafortach Albrechta Dürera. Ubiegłej niedzieli w nocy poszedłem znowu, żeby popatrzeć na morze; wszystko było ciemne, szare, ale na horyzoncie zaczynało już dnieć.

Choć było jeszcze bardzo wcześnie, śpiewały już skowronki w polu i słowiki w ogrodach nad morzem. W oddali migotały światła latarni morskiej i straży nadbrzeżnej.

Tej samej nocy patrzyłem z okna mego pokoju na dachy domów i wierzchołki wiązów, odcinające się ciemną plamą od nocnego nieba; w górze świeciła jedna, jedyna gwiazda, piękna, duża, przyjazna. Myślałem wtedy o nas wszystkich, o minionych latach, o domu rodzinnym. Wzru szony, zacząłem szeptać: „Spraw, Panie, abym nie wyrósł na syna, którego trzeba się wstydzić; daj mi Twe błogosławieństwo, nie dlatego, żebym na nie zasługiwał, lecz ze względu na moją matkę. Tyś jest miłością, niech więc miłość Twa nas osłania. Bez Twego nieustającego błogosławieństwa nic nam się nie powiedzie".

Isleworth, 5 lipca

Może kiedyś będę marzył o owych „tłustych krowach egipskich", to znaczy lepszych posadach, które umożliwiają większe zarobki i pod wieloma względami zapewniają szacunek ludzi — tak, przewiduję, że to nastąpi.

To prawda, że w domach, do których będę musiał wchodzić, jeśli pozostanę na obranej drodze, jest „obfitość

chleba", ale nie ma obfitości pieniędzy.

A jednak widzę wyraźnie przed sobą jasność w mroku i jeżeli niekiedy tracę ją z oczu, to jest to przeważnie moja własna wina.

Zadaję sobie pytanie, czy wytrwam na tej drodze i czy te 6 lat spędzonych w firnie Goupil & Co, w czasie których powinienem był przygotować się do zawodu, będą mi nadal leżeć w żołądku. Nie wolno mi jednak zawrócić z obranej drogi, choćby nawet jedna cząstka mojej duszy tego pragnęła (później, na razie jeszcze nie).

W ostatnim czasie myślę, że nie ma dla mnie innego zawodu jak nauczyciel, pastor lub coś pośredniego: kaznodzieja, London missionary itp. Wydaje mi się, że taki „londyński misjonarz" to dość interesujące zajęcie; trzeba odwiedzać nędzarzy i robotników i rozpowszechniać wśród nich Biblię, a po nabyciu pewnego doświadczenia prowadzić szczere rozmowy z ludźmi. Wynajdywać cudzoziemców poszukujących pracy i osoby będące w trudnej sytuacji, starać się im pomagać itd., itd.

W ubiegłym tygodniu byłem kilka razy w Londynie, gdyż chciałem się zorientować, jakie są możliwości otrzymania takiej pracy. Z uwagi na moją znajomość języków obcych, pobyt w Paryżu i Londynie, gdzie — sam będąc cudzoziemcem — stykałem się z ludźmi należącymi do najuboższych warstw, także z cudzoziemcami, mógłbym się nadawać do tego zajęcia i stopniowo pracowałbym coraz lepiej.

Ale trzeba mieć ukończone 24 lata, muszę więc jeszcze rok czekać.

Pan Stokes powiedział, że nie może mi przyznać pensji; twierdzi, że dosyć jest chętnych, gotowych pracować za mieszkanie i utrzymanie. I to jest prawda.

Jak wyjść z tej sytuacji? Wkrótce okaże się, czy mi się to udało.

Bracie drogi, jakkolwiek będzie, chciałbym powtórzyć ci raz jeszcze, że ostatnie dwa miesiące moich poszukiwań związały mnie bardzo z tym środowiskiem, na którego jednym krańcu stoi nauczyciel, a na drugim pastor; poznałem zarówno radości związane z zawodem, jak i kolce, których mi nie szczędzono. Nie mógłbym już z tej drogi zawrócić.

A więc naprzód! Nie będę jednak ukrywał, że od samego początku czeka mnie wiele trudności i że coraz to nowe będą się wyłaniały. Ale zapewniam cię, że jest to zupełnie inne otoczenie niż w sklepie firmy Goupil & Co.

Gdy będziesz miał chwilę wolnego czasu, pamiętaj, napisz do mnie. Najlepiej na adres naszych rodziców, bo mogę zmienić adres, a wtedy rodzice pierwsi zostaną o tym powiadomieni.

W ubiegłym tygodniu byłem w Hampton Court; podziwiałem wspaniałe ogrody, długie aleje, wysadzane kasztanami i lipami. Na wierzchołkach drzew gawrony i kruki zakładały gniazda. Zwiedzałem także pałac i galerię obrazów.

Mimo woli w mojej wyobraźni stanęli jak żywi dawni władcy Hampton Court: Karol I i jego żona. (To ona mówiła: „Dziękuję Ci, Boże, żeś mnie stworzył królową, chociaż królową bardzo nieszczęśliwą". Bossuet wygłosił nad jej trumną mowę pogrzebową dając w niej wyraz serdecznym uczuciom.)

Isleworth, 2 sierpnia 1876

Czy czytałeś już kiedyś dokładnie dzieje Eliasza i Elizeusza? Przed kilku dniami przeczytałem je znowu i przesyłam ci w liście kilka wyjątków. Jest to uderzająco piękna opowieść. Czytałem też niedawno dzieje Pawła Apostoła, jak stal na morskim wybrzeżu, a ludzie rzucali mu

się na szyję i całowali go. To, co Paweł wtedy powiedział, zrobiło na mnie wielkie wrażenie: „Bóg, który pociesza uniżonych".

Bóg stwarza ludzi i może dać im życie bogate w podniosłe chwile i okresy i podniosłe nastroje duszy. Chyba morze nie stworzyło się samo i dąb także nie stworzył się sam, ale ludzie tacy jak mój ojciec są na pewno piękniejsi niż morze.

A przecież morze jest piękne. W domu pana Stokesa było pełno pluskiew, ale gdy się spojrzało na morze z okien szkoły, zapominało się o nich.

Wczoraj odwiedziłem Gladwella, który od kilku dni jest w domu. W jego rodzinie zdarzył się tragiczny wypadek: jego siostra, ładna, pełna życia siedemnastoletnia dziewczyna, o ciemnych oczach i włosach, spadła z konia podczas przejażdżki w Blackheath. Gdy ją podniesiono, była już nieprzytomna, a w pięć godzin później zmarła nie odzyskawszy przytomności.

Gdy się o tym dowiedziałem i gdy mi powiedziano, że Gladwell jest w domu, natychmiast postanowiłem go odwiedzić.

Wyszedłem z domu wczoraj koło jedenastej; stąd do Lewisham jest daleko: musiałem przejść przez cały Londyn i byłem u Gladwella dopiero koło piątej po południu.

Wszyscy wrócili właśnie z pogrzebu; cały dom był w żałobie.

Byłem zadowolony, że przyszedłem, ale zarazem zakłopotany i onieśmielony wobec ich wielkiego bólu. „Błogosławieni, którzy cierpią, błogosławieni, którzy się smucą, ale są pogodni, błogosławieni prostego serca, bo Bóg pocieszy ludzi prostych. Błogosławieni, którzy znaleźli miłość na swojej drodze, i ci, których Bóg złączył, bo wszystko obróci się ku ich pożytkowi." Do późnego wieczora rozmawialiśmy z Harrym o Królestwie Bożym, o Biblii i o

wielu innych ważnych sprawach; gawędziliśmy jeszcze przechadzając się po peronie dworca. Żaden z nas nie zapomni tej rozmowy, prowadzonej na krótko przed rozstaniem.

Znamy się przecież bardzo dobrze, jego praca była moją pracą, mieliśmy w Paryżu wspólnych znajomych, tak że jego życie było moim życiem. Miałem możność poznać gruntownie dzieje jego rodziny; kocham tych ludzi, nie dlatego, że znam szczegóły ich życia, lecz dlatego, że sympatyzuję z ich zasadami i stylem życia.

Chodziliśmy tam i z powrotem po peronie, wśród banalnego otoczenia, ale ożywieni uczuciami, które nie były banalne. Niestety chwile te nie trwały długo i musieliśmy się pożegnać.

Z okien pociągu podziwiałem piękny widok Londynu w mroku, z katedrą Św. Pawła i innymi kościołami w oddali. Dojechałem koleją do Richmond, a stamtąd szedłem wzdłuż Tamizy do Isleworth. Była to piękna przechadzka: na lewo parki z wysmukłymi topolami, dębami i wiązami, na prawo rzeka, w której odbijały się te ogromne drzewa. Wieczór był ładny, niemal uroczysty. Kwadrans po dziesiątej byłem w domu.

Przerabiam często z chłopcami historię biblijną; ostatniej niedzieli czytałem im Biblię. Codziennie rano i wieczorem wszyscy czytamy Biblię, śpiewamy i modlimy się razem. Tak być powinno. W Ramsgate robiliśmy to samo, a gdy tych dwudziestu jeden dryblasów z londyńskich ulic i hal targowych odmawiało jednocześnie: Our Father, who art in Heaven, give us this day our daily bread , robiło to wrażenie stada młodych kruków, kraczących na chwałę Bożą. Czułem się z nimi dobrze przy wspólnej modlitwie i z pokorą schylałem nisko głowę, może niżej od nich, gdy mówiliśmy: Do not lead us into temptation but deliver us from evil!

Jestem jeszcze wciąż pod wrażeniem wczorajszego dnia. Chciałem wypowiedzieć jakieś słowa pociechy dla ojca mego przyjaciela, ale stałem przed nim, nie mogąc wykrztusić słowa. Z młodym Gladwellem rozmowa szła mi bardzo łatwo.

Atmosfera tego domu była przepojona świętością.

Co to za przyjemność dla mnie, gdy mogę odbyć dłuższą przechadzkę! W naszej szkole bardzo mało wychodzimy na spacer. Wspominam z żalem życie pełne zmagań, jakie prowadziłem w zeszłym roku w Paryżu i porównuję je z obecnym trybem życia — są dni, kiedy nie wychodzę poza próg, a w najlepszym razie poza ogród. Często zadaję sobie pytanie: kiedy powrócę do świata? Gdybym miał kiedyś wrócić, to do zupełnie innej pracy niż w roku ubiegłym. W gruncie rzeczy większą satysfakcję sprawia mi przerabianie historii biblijnej z moimi uczniami niż ciągłe wędrówki. Czuję się wtedy bezpieczniejszy.

26 sierpnia 1876

Mamy dziś piękny poranek, słońce prześwieca przez liście wielkich akacji rosnących na placu gier i odbija się od dachów i okien widocznych po drugiej stronie ogrodu. Jest już babie lato, ranki są chłodne, a chłopcy biegają tu i tam, by się rozgrzać. Mam zamiar opowiedzieć im dziś wieczorem w sypialni historię Jana i Theagenesa. Wieczorami często opowiadam im jakąś książkę, na przykład: Le Conscrit Henri Conscience'a, Madame Therèse Erckmanna-Chatriana, La Saint-Sylvestre Jean Paula (dołączam ją do tego listu), bajki Andersena, jak Historia pewnej matki, Czerwone trzewiczki i Dziewczynka z zapałkami, lub King Robert of Sicily Long-fellowa itp. Niekiedy czytam im jakieś epizody z historii Holandii.

Codziennie przerabiamy historię biblijną; sprawia nam to wielką radość.

Ani jeden dzień bez modlitwy do Boga, ani jeden dzień bez rozmowy o Bogu. Chwilowo mało jeszcze czasu poświęcamy na rozmowy o Bogu, ale z Jego pomocą i błogosławieństwem będzie coraz lepiej.

W szkole pali się już gaz i słychać przyjemny gwar chłopców odrabiających lekcje. Od czasu do czasu jakiś uczeń zaczyna nucić jakąś piosenkę, a inni w mig ją podchwytują. W takich chwilach wraca moje „dawne zaufanie". I choć daleko mi do tego, czym chciałbym być, myślę że przy pomocy Boskiej dojdę do celu.

Jeszcze kilka słów. Historię Jana i Theagenesa musiałem opowiadać dwa razy, najpierw w dużej sypialni kilkunastu chłopcom, a potem jeszcze raz to samo w małym ciemnym pokoiku na poddaszu, gdzie sypia ich czterech. Pod koniec mojego opowiadania wszyscy już spali. Nic dziwnego, chłopcy byli zmęczeni całodzienną bieganiną na dziedzińcu, a trzeba i to wziąć pod uwagę, że mówienie po angielsku sprawia mi jeszcze pewną trudność i nie mam pojęcia, jak to brzmi w uszach Anglików. Ale w ten sposób nauczę się języka. Bóg na pewno przyjmie mnie takim, jakim jestem, z wszystkimi wadami i brakami, ale istnieje jeszcze bliższe zespolenie z Bogiem i mam nadzieję, że je osiągnę.

Jutro wieczorem po raz trzeci będę opowiadał historię Jana i Theagenesa memu koledze, młodszemu nauczycielowi i dwóm starszym chłopcom, którym wolno dłużej przebywać wieczorem w pokojach. We czwórkę spożywamy co wieczór nasz chleb. Podczas opowiadania słyszałem, jak jeden z chłopców grał na dole na pianinie: Tell me the old, old story.

Jest już późno i właściwie według przepisów szkoły powinienem już dawno być w łóżku. Mimo to wyszedłem przed chwilą na dziedziniec, by wypalić fajkę. Było pięknie,

nawet na tym małym podwórku, gdzie przez większą część roku spaceruje świnia (chwilowo jej nie było). Jak to przyjemnie wieczorem pospacerować dokoła domu, zaglądając do wszystkich kątów.

A teraz dobranoc, śpij spokojnie. Gdy będziesz się modlił wieczorem, wspomnij czasem o mnie, jak ja wspominam o tobie. Jeszcze raz dobranoc.

Isleworth, 3 października 1876

Z domu nadeszła wiadomość, że jesteś chory. Bracie drogi, jak bardzo chciałbym być teraz przy tobie! Wczoraj wieczorem poszedłem do Richmond i przez całą drogę myślałem o tobie; było pięknie, szaro. Zapewne ci już wiadomo, że w każdy poniedziałek chodzę do kościoła metodystów w Richmond; wczoraj miałem nawet krótką pogadankę na temat: „Nie masz rzeczy pięknych poza Jezusem Chrystusem, a w Nim wszystko jest piękne".

Tak bardzo chciałbym być przy tobie. Och, powiedz, czemu jesteśmy tak daleko od siebie? Co na to poradzić?

W sobotę, przed tygodniem, wybrałem się do Londynu, bo słyszałem, że tam jest odpowiednia dla mnie praca. W miastach nadmorskich, takich jak Liverpool czy Hull, niektórzy pastorzy potrzebują czasami pomocników ze znajomością kilku języków obcych do prowadzenia pracy misjonarskiej wśród marynarzy, obcokrajowców i do odwiedzania chorych. Podobno praca ta ma być wynagradzana.

Isleworth, 13 października 1876

W ubiegły poniedziałek byłem jak zwykle w Richmond i tłumaczyłem te słowa: „On mnie przysłał, bym głosił

ewangelię wśród nędzarzy". Tak, ale ten, kto chce głosić ewangelię, musi ją najpierw mieć w sercu. Dałbym wszystko, żeby ją tam odnaleźć, bo tylko słowa proste i płynące z głębi serca mogą wydać owoce.

Isleworth, bez daty

Theo, ubiegłej niedzieli twój brat wygłosił pierwsze kazanie w domu bożym, w domu, o którym napisano: „Pokój pewny dam wam na tym miejscu". Posyłam ci szczegółowy opis, jak to się odbyło. Oby to były pierwsze z wielu.

Gdy wchodziłem na ambonę, czułem się jak ktoś, kto z ciemnej piwnicy ukrytej głęboko pod ziemią wychodzi na światło dzienne, i miałem przyjemne uczucie, że od tej pory, gdziekolwiek się znajdę, będę mógł głosić ewangelię. Żeby to się spełniło, trzeba w sercu swoim nosić słowo Boże. Oby On je tam posiał.

Theo, ty znasz przecież dostatecznie świat, by wiedzieć, że biedny duchowny będzie zawsze sam w otaczającym go świecie. Tylko Bóg może obudzić w nas świadomość i wiarę, których nam brak. „Nie jestem sam, bo Ojciec jest ze mną".

Isleworth, 10 listopada 1876

Drogi Theo, byłbym nieszczęśliwy, gdybym nie miał możności głoszenia ewangelii, gdyby moim celem nie było głoszenie ewangelii, gdybym nie pokładał całej mojej nadziei i zaufania w Chrystusie. Byłbym wtedy naprawdę nieszczęśliwy, podczas gdy teraz mimo wszystko mam odwagę.

Dziś odeszła od nas jedna ze służących. Mają tu one rzeczywiście bardzo ciężką pracę, a ta nie mogła już dłużej wytrzymać. Wszyscy niestety, biedni czy bogaci, silni czy słabi, przeżywamy czasem chwile, kiedy „wydaje nam się,

że wszystko się sprzysięgło przeciw nam", i wszystko, cośmy zbudowali, rozpada się w gruzy.

A jednak nie należy tracić otuchy. Eliasz musiał się modlić aż siedem razy, a Dawid wiele razy posypywał głowę popiołem.

Isleworth, 25 listopada 1876

W Petersham starałem się wyjaśnić zebranym parafianom, że jako cudzoziemiec nie mówię płynnie po angielsku, i przyszedł mi wtedy na myśl ów człowiek z przypowieści, który błagał swego wierzyciela: „Miej cierpliwość nade mną, a wszystko Ci oddam". Boże, dopomóż mi!

Etten, 31 grudnia 1876

Byłoby pożądane z wielu względów, abym pozostał w Holandii, w pobliżu ojca i matki, a przede wszystkim blisko ciebie i innych przyjaciół. Moja pensja będzie tu na pewno większa niż u pana Jonesa, a muszę o tym myśleć z uwagi na przyszłość, kiedy będę miał większe potrzeby.

Jeżeli chodzi o inne sprawy, to też nie mam zamiaru rezygnować. Ojciec ma umysł wspaniały i wszechstronny i mam nadzieję, że w każdej okoliczności będzie wywierał na mnie dodatni wpływ.

Zmiana w moim życiu będzie polegała na tym, że zamiast dawać lekcje chłopcom, będę pracował w księgarni.

Jakże często pragnęliśmy być blisko siebie i jak przykra jest rozłąka, zwłaszcza w czasie choroby czy też innych kłopotów. Zrozumiałem to podczas twojej choroby. I to uczucie, że z braku pieniędzy nie można połączyć się w razie potrzeby.

DORDRECHT 21 stycznia 1877— 30 kwietnia 1877

W Dordrechcie, ślicznym małym miasteczku nad Starą Mozą, Vincent nie jest nieszczęśliwy. V księgarza, swego chlebodawcy, może czytywać dzieła filozoficzne i religijne, na których zakup nie miałby pieniędzy. Prowadzi życie ascetyczne i to mu odpowiada. Jedyny zbytek to fajka. W swym pokoju porozwieszał obrazy przedstawiające Chrystusa i własne rysunki, bo mimo wszystko rysuje w dalszym ciągu. Chodzi do kościoła dużo częściej niż przedtem, bo jest już teraz przekonany, że zostanie pastorem, jak jego ojciec i dziadek (nie mówiąc już o jednym z przodków, który był biskupem w Utrechcie). Gdy powołanie Vincenta zdaje się coraz bardziej utwierdzać, rodzina zaczyna go wspierać. Pisze do Thea: „Coraz bardziej pociąga mnie religia, chciałbym pocieszać nieszczęśliwych. Myślę, że zawód malarza czy artysty jest piękny, a jednak zawód mego ojca jest bardziej uświęcony".

Po trzech miesiącach pobytu w Dordrechcie przenosi się do Amsterdamu na studia teologiczne. Będzie mieszkał u swego stryja Johannesa, możnej osobistości, wiceadmirała, a od niedawna dyrektora stoczni okrętowych.

21 stycznia 1877

Zapewne wcześniej oczekiwałeś listu ode mnie. Na nowym miejscu dość dobrze się czuję, ale jest bardzo dużo pracy, więc muszę przychodzić do sklepu o 8 rano, a wracam nieraz o 1 w nocy; ale jestem bardzo zadowolony.

Chciałbym przyjechać do Etten 11 lutego, bo jak wiesz, w dniu tym obchodzimy urodziny naszego ojca. A może ty się także wybierzesz? Chciałbym dać ojcu na urodziny Nowele Eliot (przekład z Scenes from Clerical Life). Gdybyśmy chcieli razem dać jakiś prezent, to najodpowiedniejsza byłaby książka Adam Bede.

Ubiegłej niedzieli napisałem list do pana Jonesa i do jego żony donosząc, że nie powrócę już do nich. List ten wypadł za długi i może zawierał zbyt wiele wynurzeń. Chciałem, żeby zachowali o mnie dobre wspomnienie, i zakończyłem list słowami: to wrap my recollection in the cloak of charity.

Dwa otrzymane od ciebie sztychy Chrystusa Pocieszyciela wiszą już w moim pokoiku.

Okno mego pokoju wychodzi na ogrody pełne jodeł, topoli i innych drzew, za ogrodami widać tyły starych domów, a jeden z nich całkowicie porośnięty bluszczem. Dickens powiedział kiedyś: A strange old plant is the ivygreen . Widok ten ma w sobie coś poważnego, a nawet ponurego, ale trzeba patrzeć w świetle porannego słońca. Gdy to robię, przychodzi mi na myśl jeden z twoich listów, w którym opisujesz właśnie taki dom pokryty bluszczem. Czy pamiętasz go jeszcze?

W domu moich gospodarzy mieszka także pewien nauczyciel . Ostatnie dwie niedziele spędziłem razem z nim spacerując nad kanałami, daleko za miastem, w stronę Merwe. Przechodziliśmy też obok miejsca, gdzie czekałeś kiedyś na statek.

Napisz do mnie niedługo, jak znajdziesz chwilę czasu. Obarczono mnie pracą w księgowości, więc przez pewien czas będę bardzo zajęty.

Bez daty

Dziękuję ci za list, który mi sprawił dużą radość. Kiedy się spotkamy, będziemy mogli znowu spojrzeć sobie głęboko w oczy. Jak miło jest pomyśleć, że stąpamy znowu po tej samej ziemi i mówimy tym samym językiem.

W życiu przychodzą nieraz takie chwile, że człowiek czuje się zupełnie wyczerpany i wydaje mu się, że wszystko robi źle, co jest zresztą do pewnego stopnia prawdą. Czy jest to stan ducha, którego należy unikać i uciekać przed nim? Może jest to „tęsknota do Boga, której nie należy się obawiać, przeciwnie, trzeba poświęcić jej więcej uwagi, bo może ona wiedzie nas wreszcie ku dobru"? Może właśnie „ta tęsknota do Boga nakazuje nam dokonać wyboru, którego nigdy potem nie będziemy żałować"?

Ubiegłej niedzieli z rana... po nabożeństwie zrobiłem samotnie piękną wycieczkę po grobli, w stronę wiatraków. Niebo lśniło nad łąkami i odbijało się w wodzie.

W innych krajach jest wiele ciekawych rzeczy do oglądania, na przykład wybrzeże Francji pod Dieppe — skały nadmorskie pokryte zieloną trawą, niebo i morze, port, a w nim stare statki, obwieszone brązowymi sieciami i żaglami, jak malował to Daubigny, małe domki, knajpki z białymi firankami i zielonymi gałązkami sosny w oknach, wozy zaprzężone w białe konie, w dużych niebieskich chomątach z czerwonymi pomponikami, furmani w niebieskich kaftanach, brodaci rybacy w poplamionych oliwą ubraniach, francuskie kobiety o ciemnych włosach, czarnych wpadniętych oczach i bladych twarzach, w czarnych spódnicach i białych czepkach na głowie. Albo na przykład londyńskie ulice oświetlone latarniami podczas deszczu. Spędziłem tam noc na stopniach starego szarego kościółka, gdy wracałem tego lata z Ramsgate. Niewątpliwie w innych krajach jest wiele ciekawych rzeczy do obejrzenia, ale gdy w niedzielę spacerowałem samotnie po grobli, pomyślałem, jaka ta ziemia holenderska jest dobra, i czułem, że „moje serce gotowe jest zjednoczyć się i Bogiem moim", gdyż

wróciły do mnie wspomnienia przeszłości. Przypomniałem sobie, jak to w końcu lutego chodziłem często z ojcem do Rijsbergen i do innych okolicznych wsi, jak słuchaliśmy razem śpiewu skowronka nad czarnymi polami pokrytymi młodym, zielonym zbożem, w górze było błękitne niebo z białymi chmurkami, a przed nami droga wysadzana dwoma rzędami buków. „O Jeruzalem, Jeruzalem", a raczej: o Zundert, o Zundert! Kto wie, może jeszcze tego lata będziemy mogli zrobić razem kilka spacerów brzegiem morza? Musimy pozostać prawdziwymi przyjaciółmi, Theo, prośmy o to Boga i ufajmy Bogu, bo tylko Bóg może uszlachetnić naszą modlitwę i nasze myśli.

26 lutego 1877

Godziny, które spędziliśmy razem, szybko przeminęły. Zniknęła nam z oczu dróżka za dworcem, gdzie widzieliśmy słońce zachodzące nad polami i wieczorne niebo odbijające się w kanałach, i stare pnie drzew porosłe mchem i mały wiatrak na horyzoncie. Chciałbym tam jeszcze raz pójść wspominając ciebie.

Do listu dołączam reprodukcję obrazu Hugenot i proszę, żebyś ją powiesił na ścianie w twoim pokoju. Znasz zapewne tę historię: w wigilię nocy św. Bartłomieja pewna dziewczyna ostrzegała swego chłopca, że będą się działy rzeczy straszne, i prosiła go, żeby nosił na ramieniu białą opaskę, będącą oznaką katolików. Młodzieniec ów nie chciał się jednak na to zgodzić, gdyż wiara i obowiązek były mu droższe aniżeli ukochana dziewczyna.

Dziękuję ci, żeś mnie wczoraj odwiedził. Starajmy się, o ile to tylko możliwe, nie mieć żadnych tajemnic przed sobą wzajemnie — jesteśmy przecież braćmi.

Miałem dziś wiele pracy, wprawdzie to tylko różne drobiazgi, ale należą one do moich obowiązków. Gdybyśmy

nie mieli poczucia obowiązku, nie bylibyśmy zdolni zachować równowagi umysłu. Poczucie obowiązku wszystko uświęca i z wielu drobiazgów czyni jedną wielką całość.

28 lutego 1877

Wczoraj wracałem około 1 w nocy z biura, ale spacerowałem jeszcze koło Grote Kerk, a potem wzdłuż kanałów, przez starą bramę i koło Nieuwe Kerk, wróciłem do domu. Padał śnieg, wszędzie było bardzo cicho i tylko tu i owdzie w oknach na poddaszach migotały małe światełka, a na śniegu rysowała się czarna postać wartownika. Był przypływ morza i na tle śniegu kanały i statki wydawały się ciemniejsze. Jak pięknie bywa czasami tam przy kościołach! Niebo było szare, a księżyc świecił słabo poprzez mgłę.

W czasie tej przechadzki myślałem ciągle o tobie i zaraz po powrocie do domu zasiadłem do listu, który ci przysyłam.

22 marca 1877

Chciałbym też raz wspomnieć ci o moich planach na przyszłość, bo w ten sposób myśli moje utrwalą się i nabiorą jasności. Zacznę od tego: „To jest cząstka moja przestrzegać słów Twoich". Pragnę gorąco przyswoić sobie cały skarbiec słów Biblii, poznać gruntownie i umiłować wszystkie stare przypowieści, a przede wszystkim poznać wszystko, co wiemy o Chrystusie. W rodzinie naszej, chrześcijańskiej w całym tego słowa znaczeniu, z pokolenia w pokolenie, jak daleko sięga pamięć ludzka, był zawsze jakiś sługa Ewangelii. Dlaczego powołanie to miałoby ominąć nasze pokolenie i pokolenia następne? Dlaczego choć jeden z członków naszej rodziny nie miałby czuć powołania do służby Bożej, nie miałby z całą świadomością decydować o swym przyszłym zawodzie i wszelkimi sposobami dążyć do tego celu? Pragnę z całych sił, aby duch mego ojca i mego

dziadka przeniknął do mojej duszy, aby mi było dane zostać prawdziwym chrześcijaninem i prawdziwym sługą chrystianizmu i aby życie moje stawało się coraz bardziej podobne do życia mych przodków. To stare wino jest dobre i nie pragnę nowego.

Theo, mój chłopcze, bracie, którego tak bardzo kocham, chciałbym ogromnie ten cel osiągnąć, ale jak do tego dojść? Jak by to było dobrze, gdybym miał już za sobą tę ogromną i trudną pracę przygotowawczą, konieczną, aby stać się sługą Ewangelii.

Bez daty

Że prawdziwa miłość między braćmi jest mocną podporą w życiu, to prawda powszechnie znana. Niech więc każdy z nas będzie dla drugiego taką podporą, a doświadczenie życiowe niech zacieśnia więzy braterstwa, bądźmy zawsze szczerzy wobec siebie i niech nie będzie żadnych tajemnic między nami, tak jak było do tej pory.

Dziękuję ci za ostatni list. Piszesz „to się jeszcze nie skończyło" i myślę, że tak jest w istocie. Twoje serce chciałoby się zwierzyć, chciałbyś się zdecydować, bo na pewno jesteś w rozterce, kogo wybrać, ją czy ojca. A jednak jestem przekonany, że nasz ojciec kocha cię bardziej niż ona i że jego miłość ma większą wartość.

16 kwietnia 1877

Tak bym pragnął, żeby otwarła się przede mną droga, która by mi pozwoliła poświęcić się bardziej niż dotychczas służbie Bogu i Ewangelii. Modlę się o to ze wszystkich sił i wierzę, że Bóg mnie wysłucha, mówię to w największej pokorze. Rozumując po ludzku można by sądzić, że to stać

się nie może, ale gdy się poważnie zastanawiam i gdy sięgam poza granice możliwości ludzkich, dusza moja staje w obliczu Boga, dla którego wszystko jest możliwe, ponieważ Jego słowo staje się ciałem i wszystko, co On rozkaże, musi się ziścić i to w sposób doskonały.

Och Theo, Theo, mój drogi chłopcze, gdybym mógł doznać tej radości, uwolnić się od brzemienia upokorzeń, spowodowanych niepowodzeniem wszystkich moich przedsięwzięć, od nawałnicy wymówek, których musiałem wysłuchać, i gdybym pewnego dnia mógł się uwolnić od tego i miał okazję i siłę, by się uczyć, rozwijać i wytrwać na tej drodze, to ani ja, ani mój ojciec nie przestawalibyśmy dziękować Panu.

23 kwietnia 1877

W ostatnim czasie miałem nowe dowody i jak gdyby znaki, że Bóg błogosławi moim usiłowaniom, że mi się powiedzie i że osiągnę cel, którego tak gorąco pragnę. Resztki dawnej wiary w siebie ożyły we mnie, mój umysł okrzepł, a dusza ożywiła się starą wiarą. Sam muszę dokonać wyboru na całe życie!

Byłoby dobrze, gdybyś ty także sercem i duszą poświęcił się jakiejś dobrej, wielkiej sprawie i prosił Pana o wysłuchanie twych próśb.

Każdy „siewca słowa Bożego", a takim stanę się chyba, podobnie jak siewca zboża, trudzi się codziennie usuwaniem chwastów ze swego pola, a ziemia rodzi nowe ciernie i chwasty. Bądźmy dla siebie nawzajem podporą i rozwijajmy w sobie prawdziwie braterską miłość.

30 kwietnia 1877

Czas szybko ucieka, dni uchodzą jeden za drugim, a jednak coś z przeszłości pozostanie i nie wszystko będzie stracone. Możemy rozwijać i wzbogacać nasze umysły, charaktery i serca, możemy wzbogacać naszą wiedzę o Bogu, możemy zachować szczerozłoty skarb naszego życia — miłość wzajemną i pewność, że „nie jestem sam, Ojciec Niebieski jest ze mną".

Chyba niedługo zobaczę się z tobą, bo chciałem zatrzymać się na krótko w Hadze, po drodze do Amsterdamu. Nie wspominaj jednak o tym nikomu, bo chciałbym w czasie mego pobytu być przede wszystkim z tobą. W najbliższą środę wyjeżdżam do Etten i chciałbym tam zabawić kilka dni, a potem trzeba się będzie wziąć naprawdę do roboty.

A może jednak obaj doczekamy się lepszej i szczęśliwszej przyszłości? Przypomnij sobie, jak ojciec często powtarzał: „Nigdy nie rozpaczam", a wuj Jan mówii: „Diabeł nie jest nigdy tak czarny, żeby nie można go było na własne oczy zobaczyć".

Z całym przekonaniem i wiarą powziąłem ostateczną decyzję, której, jak sądzę, nigdy nie będę żałował: chcę stać się prawdziwym chrześcijaninem i prawdziwym sługą chrystianizmu. Cała moja przeszłość powinna się przyczynić do osiągnięcia tego celu. Dziś, kiedy poznałem duże miasta, jak Londyn i Paryż, poznałem życie w różnych środowiskach i pracę w szkołach w Ramsgate i w Isleworth, najbardziej pociągają mnie niektóre księgi zawarte w Biblii, np. Dzieje Apostolskie. Również poznanie życia i pokochanie dzieł wielkich ludzi, takich jak Jules Breton, Millet, Jacque, Rembrandt, Bosboom i wielu innych powinno stać się źródłem nowych myśli dla każdego z nas. Wielkie podobieństwo można by znaleźć pomiędzy życiem i pracami ojca a życiem i pracami tych właśnie ludzi, a jednak ojca stawiam jeszcze wyżej od nich.

AMSTERDAM 9 maja 1877— lipiec 1878

Studia teologiczne nie są łatwe. Trzeba znać grekę i łacinę. Vincent, który w szkole był bardzo przeciętnym uczniem, w dwudziestym czwartym roku życia odważnie zabiera się do nauki. Ale praca ta jest ponad jego siły, co odbija się ujemnie na jego charakterze. Coraz trudniejszy w pożyciu, nie umie pozyskać sympatii stryja Johannesa. Vincent nie potrafi udawać ani ukryć przed otoczeniem napadów depresji. Po piętnastu miesiącach wysiłków rezygnuje ze studiów i udaje się na pewien czas do rodziców.

19 maja 1877

Bardzo przyjemnie spędziliśmy razem dzień i dzień ten na pewno pozostanie długo w naszej pamięci. Będę się starał, abyś po przyjeździe do Etten, zastał tam mój list. W domu było ci na pewno bardzo dobrze, więc napisz mi szybko, jak tam czas spędziłeś.

W tych dniach zaczynam, a właściwie zacząłem już trochę studiować historię powszechną z książki Streckfussa. Materiał jest olbrzymi, ale mam nadzieję, że posuwając się krok za krokiem i pracując pilnie, opanuję go jednak. Oczywiście, zajmie mi to wiele czasu. Nie tylko Corot powiedział o tej książce: „Trzeba było poświęcić na to aż czterdzieści lat pracy, myślenia i obserwacji".

Wczoraj oglądałem pewien portret Micheleta i przyjrzałem mu się dobrze, rozmyślając o jego „życiu z atramentu i z papieru".

Wieczorem bywam zmęczony i nie mogę już tak wcześnie wstawać, jak bym tego pragnął, ale mam nadzieję, że to niedługo minie i że będę się mógł zmusić do wczesnego wstawania.

21 maja 1877

Wczoraj byłem w kościele na rannym nabożeństwie i słuchałem kazania na temat: „Będzie się wadził duch mój z człowiekiem na wieki".

Pastor tłumaczył to tak, że po okresie rozczarowań i smutku przychodzi nieraz w życiu człowieka chwila, gdy najskrytsze pragnienia i życzenia spełniają się nagle.

Dziś rano widziałem w kościele starą kobietę, trudni się zapewne podawaniem krzeseł. Na jej widok przypomniałem sobie sztych Rembrandta, przedstawiający kobietę z głową opartą na ręku, uśpioną przy czytaniu Biblii.

28 maja 1877

Nie umiem jeszcze pisać tak szybko i z taką łatwością, jak bym tego pragnął, ale mam nadzieję, że z czasem się tego nauczę. O, mój drogi bracie, gdyby tak można było przeskoczyć tych kilka żmudnych lat. Gdy się ma kilka lat ciężkiej pracy za sobą i czuje się, że się jest na dobrej drodze, potrzebny jest choć krótki odpoczynek.

30 maja 1877

Zaniepokoił mnie jeden zwrot w twoim liście: „Chciałbym już raz rzucić to wszystko, jestem przyczyną wszystkiego i innym sprawiam tylko przykrość; to ja

sprowadziłem nieszczęście na siebie i na innych". Zdanie to wywarło na mnie tym większe wrażenie, że w głębi duszy czuję najdokładniej to samo i gdybym to pisał o sobie, nie potrafiłbym nic dodać i nic ująć.

Gdy tak myślę o przeszłości i o przyszłości, i o wszystkich trudnościach, tak wielkich, że prawie nie do przezwyciężenia, o olbrzymiej i ciężkiej pracy, której nie lubię i od której chciałbym, czy raczej moje złe „ja" chciałoby się wykręcić, kiedy myślę o tylu oczach zwróconych na mnie, oczach ludzi, którzy na pewno zrozumieją powody moich niepowodzeń i którzy nie będą mi robili wprawdzie codziennych wymówek, ale dadzą mi do zrozumienia wyrazem twarzy (oni, którzy dobrze wiedzą, co to jest dobroć, dzielność, szczere złoto): „Pomagaliśmy ci, dawaliśmy ci dobry przykład, zrobiliśmy dla ciebie, co było w naszej mocy, ale czy ty naprawdę chciałeś dojść do czegoś? Gdzie jest nasza nagroda i owoce naszej pracy?" Gdy pomyślę jeszcze raz o tym wszystkim — i o wielu innych rzeczach, których nie zdołam nawet wymienić, o wszystkich trudnościach i troskach, które nie zmniejszają się z biegiem czasu, o cierpieniach, rozczarowaniach, o grożącym mi niepowodzeniu i hańbie, uczucie, o którym piszesz, nie jest mi obce — i ja także chciałbym rzucić to wszystko!

A jednak staram się iść dalej swoją drogą, ostrożnie i w nadziei, że uda mi się przezwyciężyć trudności i że będę mógł dać odpowiedź na czekające mnie zarzuty. Wierzę mocno, że choć wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie, dojdę do upragnionego celu i z boską pomocą znajdę zmiłowanie w oczach tych, których kocham, i tych, którzy po mnie przyjdą.

W Piśmie świętym napisano: „Opuszczone ręce i zemdlone kolana wyprostujcie"; a gdy uczniowie po całonocnej pracy nic nie złowili, powiedziano im: „Zajedźcie na głębię i zapuśćcie sieci swoje dla połowu".

Często czuję się jakby ogłuszony, głowa mnie pali i nie mogę myśli zebrać. Nie mam pojęcia, jak sobie dam radę z tym trudnym i bardzo obszernym materiałem. Po tylu burzliwych latach nie jest mi łatwo przyzwyczaić się do prostej i systematycznej pracy, a jeszcze trudniej będzie wytrwać przy swych postanowieniach. A jednak nie opuszczam rąk. Gdy ogarnia nas zmęczenie w drodze, czyż nie jest to oznaka, że wielki szmat drogi mamy już poza sobą; a skoro prawdą jest, że człowiek na tej ziemi musi nieustannie walczyć, to czy uczucie zmęczenia i żar w głowie nie są dowodem, że walczyło się naprawdę z całych sil? Gdy wykonujemy trudną pracę i walczymy o dobrą sprawę, to walka, którą toczymy, jest już nagrodą i zabezpieczeniem przed wielu złośliwościami losu.

Bóg widzi przecież nasze kłopoty i nasz smutek i może nam pomóc mimo wszystko. Wiara w Boga jest we mnie głęboko zakorzeniona, to nie jest urojenie ani pusta wiara, lecz fakt i prawda: istnieje żywy Bóg, który prowadzi naszych rodziców, a jego oczy zwrócone są również na nas. Jestem pewien, że On ma jakieś plany co do nas i że my w pewnym sensie nie należymy do siebie. Tym Bogiem jest nie kto inny jak Chrystus, o którym czytamy w Biblii, a którego życie i nauki nosi każdy z nas głęboko w sercu. Gdybym wcześniej zaczął pracować nad sobą ze wszystkich sił, na pewno dziś już lepiej by mi się powodziło, nie tracę jednak nadziei, ze Bóg mi pomoże, bo tylko On jeden może jeszcze uczynić nasze życie znośnym, uchronić nas od złego, zmienić wszystko złe na dobre, byśmy mogli w spokoju dokonać żywota.

Zło, straszliwe zło jest wszędzie na tym świecie i w nas samych; już od najmłodszych lat staramy się mu przeciwstawić i odczuwamy potrzebę jakiegoś punktu oparcia i wiary w życie pozagrobowe. Bez wiary w Boga nie można żyć ani wytrzymać na tym świecie; ale kto wierzy, może żyć długo.

31 maja 1877

Jak wynika z twego ostatniego listu, myślisz o przeniesieniu się do innego miasta, np. do Paryża czy Londynu, gdy tylko będzie to możliwe. Myślę, że byłoby to bardzo dobre. Bracie drogi, z całej duszy kocham oba te miasta, to znaczy jest w nich wiele rzeczy, które kocham, i wiele, których nienawidzę, a przynajmniej nie kocham ich tak bardzo, jak kocham nasze żywopłoty z głogu, zielone łąki i szare kościółki wiejskie. Nie myśl, że mam o tobie złe wyobrażenie. Ale pamiętaj, chciałbym, żebyśmy dożyli do 30 roku życia i może nawet dłużej, wystrzegając się grzechu. Mamy przecież tylko jedno życie, powinniśmy więc wykorzystać je w walce o dobrą sprawę i starać się wyrosnąć na ludzi, którymi jeszcze nie jesteśmy, ani ty, ani ja. Nasza przyszłość chowa przed nami coś wielkiego, coś, co wyczuwa już dobrze mój instynkt. Daleko nam jeszcze do niektórych innych ludzi, ale możemy się starać im dorównać. Wiesz dobrze, do czego dążę. Gdybym mógł zostać pastorem i gdyby moja praca duszpasterska dorównała z czasem pracy mego ojca, dziękowałbym Bogu przez całe życie.

Ty także powinieneś pozostać w myślach wierny Chrystusowi i jego naukom, bez względu na to, do czego dążysz w życiu. Tylko przez wiarę człowiek może „być smutny, ale zawsze szczęśliwy". Potem nie będziemy się już skarżyć, gdy „nasza młodość przeminie i staniemy się dojrzali i silni".

12 czerwca 1877

Dowiedziałem się z twego listu, że omawialiście w domu twoje plany na przyszłość i gdy to czytałem, serce mi biło z

radości, bo wydaje mi się, że lepiej tego nie mogłeś obmyśleć. Launch out into the deep . Chyba się spełnią moje pragnienia i pojedziesz wpierw do Londynu, a potem dopiero do Paryża. Trzeba jednak będzie odczekać i zobaczyć, jak sprawy się ułożą. Tak bardzo pokochałem te dwa miasta, że wspominam je z wielką tęsknotą i najchętniej pojechałbym tam znowu razem z tobą. Jeżeli kiedykolwiek osiągnę mój cel i zajmę jakieś stanowisko w wielkim holenderskim kościele, to na pewno wspomnienia o Paryżu i Londynie dostarczą mi wielu tematów do kazań. Każdy z nas niech kroczy naprzód po swej drodze z wiarą i z dawnym zaufaniem, a kto wie, może spotkamy się i podamy sobie znowu ręce, tak jak kiedyś ojciec i wuj Jan, który powrócił z dalekiej podróży, ściskali sobie ręce w małym kościółku w Zundert; w życiu każdego z nich nastąpiły ważne zmiany, ale w tej chwili obaj poczuli stały grunt pod nogami.

Codziennie mam bardzo wiele pracy, czas szybko ucieka, a dni stają się dla mnie zbyt krótkie, choć staram się je nadsztukować nocami. Muszę robić postępy w studiach i poznawać dobrze i gruntownie Biblię, a jednocześnie chciałbym nauczyć się tylu innych rzeczy. Pamiętasz, co ci pisałem o Cromwellu: ani jednego dnia bez napisania linijki. Chyba przez codzienną systematyczną pracę, pisanie, czytanie i ćwiczenia dojdę w końcu do czegoś.

Tak jak od niechcenia siadam do pisania, tak samo zdarza mi się, że narysuję od ręki jakiś mały szkic, ot taki na przykład, jaki ci niedawno posłałem, lub ten, co narysowałem dziś rano: Eliasz na pustyni w czasie burzy, a na pierwszym planie kilka krzaków ciernistych. Oczywiście, nie jest to nic nadzwyczajnego, ale niekiedy widzę wyraźnie to, co rysuję, i zdaje mi się, że w takich chwilach mógłbym mówić o natchnieniu. Oby tak było również w przyszłości.

27 lipca 1877

Od pewnego czasu zajmuję się zbieraniem tekstów łacińskich i greckich, rozmaitych dokumentów historycznych itd. Właśnie jestem w trakcie studiowania reformacji i pewno zajmie mi to jeszcze bardzo dużo czasu.

Rozmawiałem w tych dniach z pewnym młodym człowiekiem, który właśnie zdał egzamin wstępny do Wyższej Szkoły w Leydzie. Egzamin nie był podobno łatwy. Przy tej okazji miałem możność dowiedzieć się, o co go pytano; jestem pełen otuchy, że z pomocą boską uda mi się zdać ten egzamin, a także następne. Mendes pociesza mnie wciąż, że jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to za trzy miesiące opanuję cały materiał przewidziany w programie. A jednak to nie tak łatwo uczyć się łaciny i greki w samym sercu Amsterdamu, w centrum dzielnicy żydowskiej, w gorące i hałaśliwe letnie popołudnia, w oczekiwaniu wiszących nad głową bardzo trudnych egzaminów, które trzeba będzie zdawać przed bardzo uczonymi i podstępnymi panami profesorami! — Cóż dziwnego, że lekcje te są mniej ciekawe niż pola ze zbożem w Brabancji, które w taki dzień jak dzisiaj muszą być doprawdy piękne.

5 sierpnia 1877

Nie martwię się, jeżeli czasem nie mam pieniędzy w kieszeni. Pragnąłbym posiadać tak wiele rzeczy, że gdybym miał pieniądze, wydałbym je od razu na książki i inne przedmioty, bez których mogę się obyć i które odciągałyby mnie od studiów. Już teraz trudno mi przychodzi opierać się pokusom, cóż dopiero, gdybym miał pieniądze, wówczas byłoby jeszcze gorzej. Człowiek na tym świecie będzie zawsze klepał biedę i nigdy nie zaspokoi swych potrzeb. Dosyć się temu napatrzyłem. Jedno tylko bogactwo dla każdego dostępne — to Bóg, i to jest skarb, którego

człowiekowi nikt nie odbierze. Mogą przecież nadejść czasy, kiedy pieniądze będą nam potrzebne na rzeczy bardziej wartościowe niż najpiękniejsze nawet książki, i wtedy będziemy żałować, żeśmy tyle ich roztrwonili w młodych latach, zwłaszcza jeżeli kiedyś założymy własne ognisko domowe i będziemy musieli troszczyć się także o innych. W pełni życia jesteśmy już wydani śmierci, to dotyczy nas wszystkich i to jest prawda.

19 listopada 1877

Czuję potrzebę napisania do ciebie, bo często myślę o tobie i czekam z niecierpliwością Bożego Narodzenia, kiedy, jak się spodziewam, zobaczymy się znowu.

Jeszcze przed nami tych kilka ponurych dni, a potem Boże Narodzenie, błyszczące w oddali, jak owe przyjazne światełka, co widać w domach za skałami, o które rozbijają się fale wśród ciemnej nocy.

Święta Bożego Narodzenia były dla nas zawsze radosnym wydarzeniem, więc pewno i tym razem będzie tak samo. Odbył się pierwszy egzamin wstępny do Wyższej Szkoły Teologicznej, do której mam także zdawać. Zwykle egzaminowano tylko z czterech przedmiotów: z łaciny, greki, algebry i geometrii, a teraz trzeba będzie jeszcze zdawać dodatkowo historię, geografię i język holenderski.

Miałem duże trudności ze znalezieniem nauczyciela algebry i geometrii, ale wreszcie udało mi się uprosić siostrzeńca Mendesa, pana Teixeira de Mattos, nauczyciela w żydowskiej szkole religijnej dla ubogich. Teixeira robi mi nadzieję, że do października przyszłego roku przerobimy cały materiał potrzebny do egzaminu. Gdyby mi się powiodło na egzaminie, mógłbym mówić o szczęściu, bo na początku studiów zapewniano mnie, iż trzeba będzie co najmniej dwóch lat na opanowanie czterech pierwszych

przedmiotów; gdyby mi się więc udało zdać egzamin w październiku, to w krótszym czasie miałbym przerobiony jeszcze większy materiał. Oby Bóg udzielił mi potrzebnych zdolności, zaszczepił w moim sercu pilność i pozwolił mi w jak najkrótszym czasie ukończyć studia i objąć stanowisko pastora.

Przygotowanie do właściwych studiów teologicznych i kaznodziejskich obejmuje przede wszystkim historię i geografię Grecji, Azji Mniejszej i Rzymu. Muszę więc, opanować także i ten materiał, z zapałem i gorliwością psa, który obgryza kości. A ja chciałbym także poznać języki, historię i geografię krajów północnych, zwłaszcza tych, co leżą nad Morzem Północnym i nad Kanałem.

25 listopada 1877

Ucząc się historii starożytnego Rzymu, przeczytałem, że jeśli kruk albo orzeł siadał na czyjejś głowie, uważano to za znak i błogosławieństwo niebios.

Dobrze jest znać historię starożytną, a mnie specjalnie studiowanie jej sprawia bardzo wiele przyjemności, bo jakże tu nie być szczęśliwym, gdy ma się możność poznania wielu różnorodnych zdarzeń.

Dostałem od wuja Cora książkę: A Child's History of England Dickensa. Nie pamiętam, czy ci już pisałem, że książka ta to szczere złoto. Czytałem w niej między innymi opisy bitwy pod Hastings. Myślę, że gdy czyta się z uwagą takie książki, jak Motleya, Dickensa lub Les Croisades Grusona, to człowiek może łatwo wyrobić sobie jasny i prosty pogląd na całokształt historii. Bracie drogi, jak tylko zdam mój egzamin z dobrym wynikiem, pomyśl, tylko, co za przyszłość mnie czeka! Chciałbym już mieć za sobą wkuwanie przedmiotów, tak zdawałoby się łatwych, a w gruncie rzeczy tak bardzo, bardzo trudnych. Wierz mi, że

dopiero po zdaniu tego pierwszego egzaminu będę miał siły do pokonywania dalszych trudności.

Jestem całkowicie pochłonięty studiami i choć wymaga to ode mnie wielkiego wysiłku, postawiłem sobie za cel osiągnięcie dobrych wyników. Czemu nie miałbym tak pracować jak inni, którzy poważnie zabrali się do tego? To jest przecież walka o moje własne życie. Ni mniej, ni więcej. Kto rozpocznie taką kurację i wytrwa w niej do końca, nie zapomni jej nigdy w życiu i posiądzie na zawsze bezcenny skarb.

10 lutego 1878

Jak pewno wiesz, ojciec był u mnie, co sprawiło mi wielką radość. Byliśmy z wizytą u pana Mendesa, u wuja Strickera, wuja Cora i obu rodzin Meijes. Najmilsze jednak wspomnienie z odwiedzin ojca pozostawił mi ranek w moim pokoju, kiedy to rozmawialiśmy o mojej pracy i wielu innych sprawach.

Możesz sobie wyobrazić, jak szybko te dni przeminęły. Odprowadziwszy ojca na dworzec, czekałem, aż pociąg zniknie mi z oczu, tak żeby nawet dymu nie było widać. Potem powróciłem do mego pokoju, gdzie krzesło ojca stało jeszcze przed stolikiem z książkami i papierami, tak jak je zostawiliśmy dnia poprzedniego i choć wiem, że mamy się niedługo znowu zobaczyć, płakałem jak dziecko.

18 lutego 1878

Wierzyć się nie chce, jak wiele muszę się nauczyć. Niejednokrotnie starano się mi wytłumaczyć, że to przecież nie tak dużo, a jednak odczuwam nieustannie trudny do opisania niepokój. Nie ma na to innej rady, jak zabrać się znowu samemu do roboty, bo wiadomo przecież, że muszę

tę pracę wykonać, choćby mnie to miało nie wiem ile kosztować.

A więc naprzód! O jakichś przerwach czy rezygnacji . nie chciałbym nawet myśleć. Gdybym to uczynił, sprowadziłbym na siebie tylko nowe powikłania, a co najgorsze, trzeba by znowu wszystko zaczynać od początku.

3 marca 1878

Już czas, żeby znowu do ciebie kilka słów napisać. Jaka szkoda, że nie jestem dziś z tobą; pogoda jest piękna, czuje się, że wiosna już nadchodzi. Na wsi można już z pewnością usłyszeć śpiew skowronka, ale w mieście to niemożliwe. Chyba, żeby się ktoś doszukał głosu skowronka w mowie tego czy innego starego pastora, bo jest to mowa serca, tak samo jak śpiew skowronka.

Dobrze jest umierać, gdy się ma świadomość, że zrobiło się w życiu coś naprawdę dobrego, że pozostanie się w pamięci choćby kilku ludzi i będzie się przykładem dla potomnych. Żadne dzieło, choćby najlepsze, nie jest wieczne, ale myśl w nim zawarta może trwać bardzo długo. Gdy przyjdą potem inni, to najwłaściwszą dla nich drogą będzie iść śladami swych poprzedników i robić to samo, co tamci.

3 kwietnia 1878

Długo jeszcze wspominałem naszą ostatnią rozmowę i mimo woli przyszło mi na myśl to zdanie: „Jesteśmy dzisiaj tym, czym byliśmy wczoraj". Nie znaczy to przecież, że powinniśmy stać w miejscu i nie starać się rozwijać; przeciwnie, trzeba usilnie dążyć naprzód.

Chcąc być wiernym tej zasadzie, człowiek nie powinien się nigdy cofać; gdy raz już zaczął patrzeć na rzeczy wolnym i ufnym wzrokiem, nie wolno mu zbaczać lub zawracać z drogi.

Ci, co powiedzieli: „Jesteśmy dzisiaj tym, czym byliśmy wczoraj", byli ludźmi uczciwymi, jak to widać z fundamentalnego prawa przez nich ustanowionego, które ma obowiązywać po wsze czasy i o którym mówili, że było pisane „pod wpływem natchnienia z nieba" i „palcem ognistym". To dobrze, jeżeli ktoś jest uczciwym człowiekiem i usiłuje nim być w coraz większym stopniu, ale jeszcze lepiej, jeżeli jest jednocześnie człowiekiem czującym i myślącym.

Gdybyśmy byli całkiem pewni, że należymy do tej kategorii ludzi, moglibyśmy z całym spokojem i ufnością iść własną drogą, nie wątpiąc, że w końcu dojdziemy do celu.

Był raz człowiek, który przyszedł do kościoła i zapytał: „Czy to możliwe, że mnie mój zapał sprowadził z właściwej drogi na manowce? Och, gdybym mógł pozbyć się niepewności i zdobyć niezachwianą wiarę, że w końcu zwyciężę". A wtedy jakiś głos mu odpowiedział: „A gdybyś miał tę pewność, cóż byś uczynił? Postępuj tak, jakbyś był pewny, a nie doznasz zawodu". Od tego czasu człowiek ów szedł własną drogą i nie był niedowiarkiem, lecz nawrócony wrócił do swej pracy i nigdy już nie wątpił więcej.

Wróćmy jednak do człowieka czującego i myślącego. Myślę, że najwłaściwszym sposobem rozwijania umysłu i ducha jest poznawanie historii w ogóle, a w szczególności życiorysów wybitnych ludzi z najrozmaitszych okresów, od dziejów biblijnych aż do rewolucji i od Odysei do książek Dickensa i Micheleta. A czy nie można się czegoś nauczyć od takich ludzi jak Rembrandt albo z takich obrazów jak: Trujące zioła Bretona, Godziny dnia Milleta, Modlitwa de Groux albo Briona, Rekrut de Groux (albo też Conscience'a),

Wielkie dęby Duprégo, a nawet z młynów i piaszczystych równin Michela?

Jakże często dyskutowaliśmy obszernie o naszych obowiązkach i o tym, jak osiągnąć dobre rezultaty; zawsze dochodziliśmy do wniosku, że pierwszym naszym celem powinno być znalezienie odpowiedniego zawodu, któremu moglibyśmy się całkowicie poświęcić.

O ile sobie przypominam, zgadzaliśmy się zwykle, że najważniejsze to obrać sobie właściwy cel w życiu, i dochodziliśmy do wniosku, że zwycięstwo, uzyskane po całym życiu pracy i wysiłków, jest więcej warte niż to samo zwycięstwo zdobyte szybko i bez trudu.

Ten, kto żyje uczciwie, borykając się nieustannie z trudnościami, kto doznaje rozczarowań, a nie załamuje się pod ich ciężarem, jest więcej wart niż szczęściarz, któremu wszystko się udaje i który kieruje się zawsze swoją wygodą. Bo kimże są ludzie wyróżniający się w swoim otoczeniu? To ci, do których odnoszą się słowa: „Oracze, wasze życie jest smutne, oracze, cierpicie za życia, oracze, jesteście szczęśliwi"; to ci, którzy noszą piętno „całego życia walki i nieustannej pracy bez chwili załamania". Powinniśmy brać z nich przykład.

Starajmy się iść naprzód własną drogą, indefessi favente Deo .

Jeżeli o mnie chodzi, to muszę stać się naprawdę dobrym kaznodzieją, głoszącym tylko rzeczy słuszne i pożyteczne. I kto wie, czy nie stało się dobrze, że moje studia przygotowawcze tak długo trwają, bo w ten sposób będę . miał możność gruntownie utwierdzić się w swoich przekonaniach, zanim powołają mnie do publicznego głoszenia prawd wiary.

Jeżeli tylko będziemy prowadzili życie uczciwe, wszystko będzie dobrze, choćby nawet spotykały nas czasem nieuniknione przykrości i rozczarowania, choćbyśmy

popełniali wielkie błędy i niewątpliwe pomyłki. Jedno jest pewne: więcej wart jest człowiek pełen polotu i ognia, choćby nawet popełniał dużo błędów, niż ograniczony i zbyt ostrożny. Kochajmy wszystkie stworzenia i- cały otaczający nas świat, w tym leży prawdziwa siła człowieka. Kochać swe otoczenie, to już bardzo wiele, można niejedno wtedy osiągnąć, a wszystko, co czynimy pod wpływem miłości, czynimy dobrze. Kilka książek ostatnio przeczytanych wzruszyło mnie szczególnie (wymienię niektóre: L'hirondelle, L'alouette, Le rossignol, Les aspirations de 1'automne, Je vois d'ici une dame, J'aimais cette petite ville singulire Micheleta); to dlatego, że książki te są pisane z sercem i pełne prostoty. Lepiej powiedzieć kilka słów mających głębsze znaczenie, aniżeli rzucać wiele pustych frazesów, którymi ludzie szafują tak chętnie, a które tak mało przynoszą pożytku.

Człowiek powinien być wierny temu, co naprawdę jest warte miłości, nie marnując swych uczuć na rzeczy nic nie znaczące, nieistotne i błahe. Wtedy z pewnością umysł jego będzie się rozjaśniał i krzepł.

Im wcześniej wydoskonalimy się w jakiejś określonej pracy czy zawodzie, zdobędziemy w niej niezależność myślenia i działania; im ściślej będziemy się trzymać raz ustalonych prawideł, tym bardziej wyrobi się i umocni nasz charakter, co nie znaczy, że trzeba być ciasnym i małodusznym.

Wykażemy dużo mądrości, jeżeli tak będziemy postępować, bo życie jest krótkie i czas szybko mija. Jeżeli wydoskonalimy się w jednej dziedzinie i opanujemy gruntownie jeden przedmiot, potrafimy zrozumieć również wiele innych zagadnień.

Poznawanie świata i obcowanie z innymi ludźmi jest zawsze korzystne, a nieraz jest to naszym obowiązkiem i powołaniem. Ale człowiek, który woli pracować bez rozgłosu, w samotności, bez licznego grona przyjaciół,

będzie się czuł najlepiej wśród obcych ludzi, wędrując po całym świecie. Nie należy nabierać zbyt wielkiej pewności siebie, nie natrafiając na trudności ani na kłopoty i przeszkody w życiu, tak samo jak nie należy zbyt wygodnie urządzać sobie życia. Nawet w środowiskach kulturalnych, w wyborowym towarzystwie, w najlepszych warunkach, powinniśmy zachować w sobie coś z pierwotnego charakteru Robinsona Crusoe, inaczej utracimy grunt pod nogami. W duszach naszych nie powinien nigdy wygasać ogień, powinniśmy go ciągle podsycać. Człowiek, który żyje w ubóstwie i ma serce otwarte dla innych, jest w posiadaniu bezcennego skarbu i słyszy wyraźnie głos własnego sumienia, wielki dar Nieba; kto ten głos słyszy i według niego postępuje, ma w nim najlepszego przyjaciela i nigdy nie jest samotny.

Oby i nam to było dane, bracie drogi. Oby ci się jak najlepiej wiodło na twej drodze życia, oby Bóg był z tobą we wszystkich okolicznościach i błogosławił wszystkim twoim przedsięwzięciom — tego ci życzy z całego serca brat.

ETTEN lipiec 1878 — sierpień 1878

Vincent nie rezygnuje w Etten ze swych aspiracji ewangelicznych. Zresztą nie może tutaj przebywać zbyt długo: trzeba zarabiać na życie (o tym, żeby go utrzymywał ojciec ze swojej mizernej pensyjki, nie może być mowy). Chciałby znaleźć wreszcie jakieś zajęcie. W Brukseli komitet ewangelizacji werbuje kaznodziei do Borinage, okręgu górniczego, zamieszkałego przez górników, zwanego niekiedy „czarną krainą".

22 lipca 1878

Tych kilka słów dołączam do listu ojca. Radość sprawiła mi wiadomość, że ci się dobrze powodzi w Paryżu i że nowy tryb życia daje ci więcej zadowolenia. Jakże chętnie włóczyłbym się tam razem z tobą.

Jak już zapewne wiesz z listu ojca, wybraliśmy się w ubiegłym tygodniu do Brukseli w towarzystwie pastora Jonesa z Isleworth, który bawił u nas w niedzielę.

Wrażenia, jakie odnieśliśmy w tej podróży, były zadowalające; sądzimy, że z czasem będzie można znaleźć tam jakieś stanowisko i pole do pracy, a droga wiodąca do tego celu jest krótsza i mniej kosztowna w Belgii niż w Holandii. Tak więc w najbliższym czasie nie powinniśmy spuszczać oka z Belgii i szukać tam jakiegoś zajęcia, dopóki go nie znajdziemy.

Flamandzkie szkoły przygotowawcze prowadzą, według otrzymanych przez nas informacji, 3-letnie kursy, a jak ci wiadomo, te same studia w Holandii trwają w najlepszym wypadku 6 lat. Nie wymagają tu nawet ukończenia studiów,

już przedtem można się osiedlić gdzieś na prowincji i dostać posadę misjonarza. Jedynym warunkiem przyjęcia jest umiejętność wygłaszania popularnych pogadanek, zdolność przemawiania do ludu w sposób prosty, serdeczny, raczej krótko i z serca niż długo i uczenie. Mniej tu zwracają uwagi na gruntowną znajomość języków starożytnych i długie studia teologiczne (choć wiadomości z tych dziedzin są bardzo mile widziane), a więcej na zdatność do pracy w terenie i niezachwianą wiarę. Niestety, nie mam jeszcze tych umiejętności, tego nie zdobywa się od razu, trzeba długo ćwiczyć, by nauczyć się przemawiać do ludu z powagą i uczuciem, bez sztywności i przymusu. To, co się ma powiedzieć, musi mieć jakieś znaczenie, pobudzić słuchaczy do dobrych uczynków: pokochania prawdy. Jednym słowem trzeba być kaznodzieją dla ludu, żeby osiągnąć powodzenie.

Ci panowie z Brukseli chcieli, żebym przyjechał do nich na 3 miesiące, aby zapoznać się bliżej z warunkami pracy, ale tak długi pobyt byłby zbyt kosztowny. Dodatkowych kosztów muszę unikać w miarę możności. Dlatego też pozostanę na razie w Etten i tutaj będę pracował.

15 sierpnia 1878

W liście do pastora de Jonge zgodziłem się na przybycie natychmiast do Brukseli, jeżeli przyszła praca i obowiązki tego wymagają. Gdyby jednak mój natychmiastowy przyjazd nie był konieczny, wolałbym pozostać tu jeszcze choćby tydzień (ze względu na ślub A.) i przyjechać do Brukseli w niedzielę 25 sierpnia.

BRUKSELA sierpień 1878— listopad 1878

Podczas swej praktyki w Brukseli Vincent nie umie przystosować się do obowiązujących rygorów, nie chce też słuchać uwag swoich nauczycieli (nadal jest złym mówcą). W seminarium zastanawiają się nawet nad tym, czy nie zwrócić się do jego ojca, by go zabrał. I w tym okresie Vincent nie może się powstrzymać od rysowania. Wysyła do Thea ponury szkic szynku przy składzie węgla; sierp księżyca potęguje jeszcze i tak już przejmujące wrażenie. Pastora Theodorusa niepokoi charakter syna. Pisze: „Martwi nas. gdy widzimy, że Vincent nie ma w sobie ani trochę radości życia, chodzi zawsze z głową schyloną i systematycznie wyszukuje sobie to, co sprowadza na niego kłopoty".

W połowie listopada Vincent spodziewa się, że niedługo wyślą go do jednej z niewielkich gmin protestanckich w Borinage.

Laeken, 15 listopada 1878

Piszę do ciebie wieczorem tego dnia, który spędziliśmy razem i który minął jak mgnienie oka. Była to dla mnie wielka radość widzieć cię znowu i rozmawiać z tobą. Całe szczęście, że choć taki dzień mija szybko i radość również trwa krótko, to wspomnienia spędzonych razem chwil zostają w naszej pamięci na długo. Pożegnawszy cię, wracałem do domu pieszo nie najkrótszą drogą, lecz szosą. Po drodze widziałem wiele przeróżnych warsztatów, które wyglądają bardzo malowniczo, zwłaszcza wieczorem, przy zapalonych światłach. Przemawiają one na swój sposób i do nas, bo przecież my też jesteśmy swego rodzaju

robotnikami czy rzemieślnikami, każdy w swoim środowisku i przy pracy, do której został powołany. Światełka z warsztatów mówią do nas, gdy tylko chcemy ich słuchać: „Pracuj, dopóki starczy dnia, zanim nadejdzie noc, bo wtedy nikt już nie będzie mógł pracować".

Była to właśnie pora, kiedy zamiatacze ulic wracają do domu ze swymi wózkami zaprzężonymi w stare siwe konie. Wozów tych stał długi szereg wzdłuż tak zwanej „Terme des boues", tam, gdzie zaczyna się szosa. Te stare, siwe szkapy wyglądały jak na starej akwatincie, którą pewno znasz. Nie jest to sztych o wielkiej wartości artystycznej, ale podobał mi się i zrobił na mnie wrażenie. Mam na myśli ostatni sztych z cyklu zatytułowanego Żywot konia. Widać na nim starego, siwego konia, wychudzonego, śmiertelnie wyczerpanego ciężką pracą i całym długim żywotem. Biedne zwierzę stoi w miejscu, straszliwie opuszczone i samotne, pośród równiny, skąpo porosłej wyschniętą trawą; tu i ówdzie sterczy sękate drzewo, pochylone lub złamane przez wichry. Na ziemi leży czaszka, a w dali, z tyłu, biały szkielet koński przed chałupą rakarza. W górze niebo pokryte ciężkimi chmurami, dzień jest ponury, ciemny.

Jest to smutna i melancholijna scena i na pewno zwróci uwagę każdego wrażliwego człowieka, który pamięta, że i nam przyjdzie kiedyś przejść tę granicę, którą nazywamy śmiercią, i że „koniec życia ludzkiego to łzy i siwe włosy". Co będzie potem, to już wielka tajemnica, znana tylko Bogu, ale Bóg objawił nam ją, zapowiadając zmartwychwstanie zmarłych.

Biedne konisko, stary wierny sługa człowieka, teraz czeka na swą ostatnią godzinę — cierpliwe i zrezygnowane, a przy tym odważne i zdecydowane na wszystko, jak stara gwardia, która mówiła: „Gwardia umiera, ale się nie poddaje". Mimo woli stanął mi ten obraz przed oczyma, gdy spoglądałem na konie zaprzężone do wozów ze śmieciami.

Gdym obserwował woźniców w brudnych, śmierdzących ubraniach, przyszło mi na myśl, że oni chyba jeszcze bardziej są uosobieniem nędzy aniżeli ci biedacy na obrazie de Groux Ławka biedaków. To dziwne, a jednocześnie bardzo znamienne, że ilekroć mamy przed sobą obraz niewypowiedzianego i nieopisanego opuszczenia, samotności i ubóstwa, ostatecznego kresu rzeczy, to dusze nasze zwracają się od razu do Boga. Tak jest przynajmniej, jeżeli chodzi o mnie, a i ojciec mawiał: „Najchętniej przemawiam na cmentarzu, gdyż tam stoimy wszyscy na tym samym gruncie i nie tylko stoimy na tym samym gruncie, ale i czujemy, że jesteśmy sobie równi".

Już poprzednio, w Anglii, starałem się o pracę misjonarza wśród górników, w kopalniach węgla, ale wtedy nie uwzględniono mojej prośby, bo nie miałem jeszcze ukończonych 25 lat. Ty wiesz, że jedną z głównych prawd Ewangelii, nie tylko samej Ewangelii, lecz i całej Biblii, są słowa: „I światłość w ciemności świeci". Od ciemności ku światłu. A zatem, kto najbardziej tego światła potrzebuje i kto będzie miał uszy otwarte na słowa Ewangelii? Doświadczenie mówi, że ludzie pracujący w ciemnościach, we wnętrzu ziemi, jak na przykład górnicy w kopalniach węgla, są najbardziej podatni na słowa Ewangelii. Na południu Belgii, w prowincji Hainaut, w pobliżu Mons, tuż nad granicą francuską i po drugiej stronie granicy rozciąga się duże zagłębie węglowe o nazwie Borinage, zamieszkałe przez górników, pracujących w licznych kopalniach węgla kamiennego. Oto, co znalazłem w podręczniku geografii: „Boryńczycy (mieszkańcy zagłębia Borinage, na zachód od Mons) zajmują się wyłącznie wydobywaniem węgla. Kopalnie węgla, znajdujące się na 300 metrów pod ziemią, przedstawiają wspaniały widok. Codziennie schodzą pod ziemię tłumy robotników, którym należy się nasze uznanie i sympatia. Górnik w zagłębiu Borinage prowadzi zupełnie odrębny tryb życia: dzień dla niego nie istnieje i tylko w

niedzielę ma sposobność nacieszyć się promieniami słońca. Pracuje bardzo ciężko przy świetle latarki o słabym migotliwym świetle, w wąskim chodniku, zgięty wpół, nieraz czołgając się na kolanach; pracuje, by wydrzeć z wnętrza ziemi ową substancję mineralną znaną nam wszystkim i tak bardzo pożyteczną. W czasie swej pracy narażony jest na tysiączne niebezpieczeństwa, grożące w każdej chwili jego życiu, ale sztygar belgijski ma pogodny charakter i jest przyzwyczajony do takiego życia. Schodząc do szybu w kapeluszu, do którego przymocowana jest mała latarka wskazująca mu drogę w ciemności, powierza swe życie Bogu, który patrzy na pracę górnika i ma w swojej pieczy jego i jego żonę i dzieci".

Borinage leży na południu od Lessines, gdzie znajdują się wielkie kamieniołomy.

Chciałbym pójść tam jako misjonarz. Trzymiesięczny okres próbny, wymagany przez pana de Jonge i pastora Pietersena, dobiega końca. Paweł przez trzy lata przebywał w Arabii przed rozpoczęciem pracy apostolskiej wśród pogan i przed swymi wielkimi podróżami misyjnymi. Gdybym tak mógł choć trzy lata pracować w spokoju w tych stronach, ucząc się i jednocześnie obserwując, miałbym na pewno po powrocie niejedno do powiedzenia i każdy słuchałby mnie z zainteresowaniem. Mówię to z całą pokorą i zupełnie szczerze.

Jeżeli Bóg pozwoli i zachowa mnie przy życiu, to koło trzydziestki będę już gotów do podjęcia swego zadania, a dzięki odpowiedniemu przygotowaniu i zdobytemu doświadczeniu będę pewniejszy siebie i dojrzalszy niż w chwili obecnej.

Piszę ci o tym wszystkim jeszcze raz, choć rozmawialiśmy już na ten temat. W Borinage istnieje już kilka małych gmin protestanckich, są na pewno także szkoły. Gdyby mi wskazano jakieś miejsce, gdzie mógłbym pracować jako kaznodzieja, tak jak o tym mówiliśmy,

głosiłbym Ewangelię wśród biednych, którzy jej najbardziej potrzebują i dla których jest ona przede wszystkim przeznaczona, a w dni powszednie mógłbym poświęcić czas nauczaniu.

BORINAGE listopad 1878 — październik 1880

Z początkiem zimy 1878 roku pozwalają Vincentowi wyjechać do Borinage w charakterze kaznodziei (ma już 25 lat, a wygląda na więcej). Smutny to kraj! Górnik zarabia dziennie najwyżej 2 fr. 50, a praca jest niebezpieczna. Przemysłowcy zatrudniają za grosze tysiące dzieci poniżej 14 lat. Ten skandaliczny wyzysk pobudza ofiarność Vincenta. W miejscowości Paturages, gdzie zamieszkał u kupca-domokrążcy, odwiedza chorych i udziela lekcji dzieciom, które trochę się go boją z powodu jego zbyt gwałtownych rekacji. W wolnych chwilach rysuje i rozdaje swe rysunki dzieciom, bo te przecież nie mają zabawek. Jest to wymówką i jakby usprawiedliwieniem. Żeby zdobyć trochę pieniędzy, przyjmuje zamówienie na cztery duże mapy Palestyny i wykonuje kilka prac jako kopista.

Wreszcie Komitet ewangelizacji angażuje go na sześć miesięcy do Petit-Wasmes, z pensją 50 franków miesięcznie. Vincent przybywa, porządnie ubrany, i wynajmuje przyzwoite mieszkanie u piekarza-protestanta. Ponieważ w Petit-Wasmes nie ma zboru, Vincent wygłasza kazania w sali tańca. Nędza, jaką widzi wkoło siebie, porusza go coraz bardziej. Przenosi się do nędznej chaty, sypia na worku słomy i żywi się tylko chlebem, ryżem i melasą. Rozdaje swoje ubrania, zamiast koszul używa, płótna do pakowania, chodzi boso... Ojciec, którego ostrzegła żona piekarza, przybywa i zastaje Vincenta bardzo wycieńczonego. Karci go za zaniedbany ubiór. W ten sposób nie zdobywa się szacunku robotników. Vincent mieszka znowu u rodziny Denis.

Nawraca alkoholika, z nadludzkim poświęceniem pielęgnuje chorych podczas epidemii tyfusu. Jest zamieszany w strajk... Komitet ewangelizacji, zgorszony tym nadmiarem gorliwości, przydziela mu pastora, z którym Vincent ciągle się kłóci. Nie odnawiają z nim umowy na działalność kaznodziejską pod pretekstem, że brak mu daru słowa. „Gdyby nie to, pan van Gogh byłby z pewnością doskonałym kaznodzieją".

Po krótkim pobycie u rodziców Vincent wraca do Borinage i spędza w Cuesme srogą zimę 1880 roku, dużo rysując i utrzymując się z małej sumki przysłanej przez Thea. „Na co mogę się jeszcze przydać?", zapytuje, zdając sobie sprawę, że jest „osobnikiem nieznośnym i podejrzanym". Występuje nawet przeciwko zbyt „akademickiej" grupie pastorów. Nie! On nie chce malowanego Boga.

To wszystko nie przeszkadza Vincentowi rysować z natury i kopiować Milleta. W chłopach, malowanych przez tego uwielbianego przezeń malarza, odnajduje jakąś pogodę ducha i godność moralną. A jednak nie może żyć dłużej w samotności: potrzeba mu dyskusji o sztuce, chce oglądać muzea.

Petit-Wasmes, 26 grudnia 1878

W tych dniach spadł śnieg i ciekawy to był widok, gdy wieczorem, o zmierzchu, górnicy wracali z kopalni do domu. Ludzie ci są kompletnie czarni, gdy wychodzą z kopalni na światło dzienne; wyglądają wtedy jak kominiarze. Mieszkania mają przeważnie bardzo małe, właściwie chatki, rozsiane wzdłuż wyboistych dróg, w lasku i na zboczach pagórków. Tu i ówdzie widać dachy porosłe mchem, a wieczorami przez małe szybki okien migoczą przyjazne światełka.

Jak u nas w Brabancji ogrody i pola są ogrodzone krzewami dębu, a w Holandii strzyżonymi wierzbami, tak tutaj wszystko otoczone jest czarnymi ciernistymi żywopłotami. Gdy przed kilku dniami spadł śnieg, żywopłoty robiły wrażenie jakby dużych liter na białym papierze i przypominały kartki Ewangelii.

Kilka razy przemawiałem już do tutejszej ludności w dość dużej sali, specjalnie przeznaczonej na zebrania i nabożeństwa, ale najczęściej przemawiam na zebraniach odbywających się wieczorami w mieszkaniach robotników. Omawiałem już przypowieść biblijną o ziarnku gorczycznym, niepłodnym drzewie figowym i człowieku ślepym od urodzenia. W czasie świąt Bożego Narodzenia mówiłem oczywiście o stajence betlejemskiej i o pokoju na ziemi.

Z całego serca pragnę, żeby mi Bóg pobłogosławił i żebym mógł pozostać tutaj na stałe.

Język górników z Borinage niełatwo jest zrozumieć. Oni rozumieją oczywiście, gdy się mówi po francusku, ale trzeba mówić bardzo szybko i biegle. Wtedy francuszczyzna staje się podobna do ich rodzinnego „patois", którym posługują się z zawrotną szybkością.

W tym tygodniu przemawiałem na zebraniu górników, obierając sobie za motto temat z Dziejów Ap., XVI, 9: „I ukazało się Pawłowi w nocy widzenie: mąż niejaki, Macedończyk, stał prosząc go i mówiąc: Przepraw się do Macedonii i pomóż nam". Słuchano mnie z zainteresowaniem, gdy starałem się przedstawić zebranym owego Macedończyka, jak łaknął i pragnął pociechy Ewangelii i poznania prawdziwego Boga. Powiedziałem im, żeby wyobrazili sobie owego - Macedończyka jako robotnika o twarzy smutnej, cierpiącej i zmęczonej. Prostego robotnika, który ma duszę nieśmiertelną, domaga się niezawodnego pokarmu, jakim jest słowo Boże. Tylko Jezus Chrystus może pocieszyć, podnieść na duchu i oświecić takiego człowieka, jak ów Macedończyk — zwykłego

robotnika, borykającego się z losem — bo Chrystus sam wiele wycierpiał, zna nasze dolegliwości, sam był nazywany synem cieśli, choć był Synem Bożym, i przez trzydzieści lat pracował w nędznym warsztacie ciesielskim, aby wypełniła się wola Boża. Bóg chce, aby człowiek naśladując Chrystusa wiódł także żywot skromny, aby wędrując po ziemi, nie ubiegał się o niedostępne dla niego zaszczyty, lecz poprzestawał na małym i uczył się cnót ewangelicznych, łagodności i pokory serca.

Miałem już okazję odwiedzenia kilku chorych; jest ich tu bardzo wielu.

Wracam właśnie z odwiedzin u starej kobieciny w rodzinie węglarzy. Jest ciężko chora, zachowała jednak wiarę i cierpliwość. Przeczytałem z nią rozdział z Biblii, a potem modliliśmy się razem ze wszystkimi. Ludność miejscowa ma w swym charakterze coś odrębnego, jest prosta, dobra, tak jak ludzie u nas w Brabancji, pod Zundert i w Etten.

Marzec 1879

Dowiedziałem się od rodziców, że zrobiłeś im miłą niespodziankę twoją wizytą, zaraz po powrocie ojca z Borinage. Cieszę się ogromnie, że ojciec mnie odwiedził. Byliśmy razem u trzech pastorów mieszkających w Borinage, spacerowaliśmy długo po śniegu, odwiedziliśmy rodzinę górników, widzieliśmy, jak wydobywano węgiel na powierzchnię z kopalni zwanej „Les trois Diefs", a ojciec astystował nawet dwa razy, gdy czytałem Biblię. Słowem, tych kilka dni spędziliśmy nader pracowicie Zauważyłem, że Borinage zrobiło na ojcu silne wrażenie, którego łatwo nie zapomni, jak wszyscy zresztą, co odwiedzają ten osobliwy i malowniczy kraj.

Z dnia na dzień jestem bardziej przywiązany do tego zakątka i do jego mieszkańców; czuje się tutaj człowiek

swobodnie, jak na sianie albo na wydmach. Ludzie są tu prości, dobroduszni.

Ci, którzy stąd emigrują, czują wkrótce nostalgię za swym krajem rodzinnym, a przybysze z innych stron, cierpiący na nostalgię, czują się tutaj jak u siebie w domu.

Wynająłem mały domek i najchętniej zamieszkałbym w nim na stałe, ale, jak pewno wiesz, postanowiliśmy z ojcem, żebym zamieszkał u pana Denis, więc domek będzie mi służył tylko za pracownię i za miejsce do nauki.

Porozwieszałem tam na ścianach rysunki i różne przedmioty. Muszę już wyjść z domu, bo chorzy i zdrowi czekają na me odwiedziny.

Napisz do mnie prędko, życzę ci wszystkiego najlepszego.

Wasmes, kwiecień 1879

Z nastaniem wiosny robi się tu bardzo ładnie. Tu i ówdzie wznoszą się małe pagórki, gdzie czuć się można jak na naszych wydmach. Niedawno zrobiłem bardzo interesującą wycieczkę: sześć godzin przepędziłem pod ziemią, w kopalni węgla.

Wybrałem jedną z najstarszych i najbardziej niebezpiecznych kopalń w całej okolicy, zwaną Marcasse. Jest to kopalnia o bardzo złej reputacji, gdyż wielu ludzi poniosło w niej śmierć: bądź przy zjeżdżaniu windą w dół, bądź przy wjeżdżaniu na górę, bądź też z braku powietrza, od wybuchu gazów, wody podskórnej lub zapadnięcia starych chodników itp. Jest to ponura nora, gdzie od pierwszego spojrzenia wygląda zewsząd groza i śmierć.

Górnicy pracujący tam są w większości chudzi, bladzi, często gorączkują, wyglądają na zmęczonych, wyczerpanych, przedwcześnie postarzałych; ich żony także

mają twarze blade i zwiędłe. Wokół kopalni pełno nędznych chat górników, tu i ówdzie martwe, czarne od dymu drzewa, cierniste żywopłoty, kupy śmieci i popiołu, hałdy węgla nie nadającego się do użytku itd.

Maris potrafiłby zrobić z tego jakiś wspaniały obraz.

Spróbuję zaraz naszkicować ten widok, chciałbym, żebyś miał o tym, jakie takie pojęcie.

Oprowadzał mnie po kopalni dobry przewodnik — stary górnik, który przepracował pod ziemią 33 lata, uprzejmy i spokojny, starał się objaśnić mi wszystko dokładnie.

Zjechaliśmy razem jakieś 700 metrów w dół i dotarliśmy do najbardziej ukrytych zakamarków w tym podziemnym labiryncie. Komory, w których pracują robotnicy, zwą tutaj maintenages lub gredins, a najbardziej oddalone od wyjścia caches (ukryte zakamarki, miejsca, gdzie się szuka).

Ta kopalnia ma pięć pięter, ale trzy górne są już wyczerpane i nikt w nich nie pracuje, bo nie ma tam węgla. Gdyby komuś przyszło na myśl narysować wnętrze kopalni, owe maintenages, byłoby to coś nowego, coś niesłychanego, a raczej nigdy nie widzianego. Wyobraź sobie szereg komórek, w wąskim i bardzo niskim korytarzu, podpartym balami surowego drzewa. W każdej takiej komórce górnik w ubraniu ze zgrzebnego płótna, brudny i usmolony jak kominiarz wyrąbuje bryły czarnego węgla przy bladym świetle małej lampki górniczej.

W niektórych komorach górnik pracuje stojąc, ale bardzo często musi pracowć w pozycji leżącej — veine taille à plat. Kopalnia budową swą przypomina plaster miodu lub ciemny, ponury korytarz w podziemnym więzieniu, czy szereg małych krosien tkackich, a właściwie, to wygląda jak szereg pieców piekarniczych, takich jakie widuje się u chłopów, czy też jak nisze w katakumbach. Same chodniki wyglądają jak wielkie kominy w chatach chłopów brabanckich.

Do wielu chodników woda przecieka z wszystkich stron i światło lampy górnika wywołuje przeróżne efekty świetlne, odbijając się jak w grocie stalaktytów. Część górników rąbie węgiel, inni ładują go do małych wagoników, które pcha się po szynach przypominających szyny tramwajowe. Przy przetaczaniu wagoników zatrudnia się często dzieci, i to zarówno chłopców, jak dziewczęta. W jednym z korytarzy na głębokości 700 metrów mieści się stajnia, dająca schronienie siedmiu starym koniom, które ciągną kilka połączonych wagoników do miejsca zwanego accrochage, skąd winda zabiera je na górę. Niektórzy górnicy są zatrudnieni przy naprawie starych chodników grożących zawaleniem lub przy wykuwaniu nowych. Jak marynarze na lądzie tęsknią zawsze za morzem, a niebezpieczeństwa i trudy żeglugi nie są dla nich straszne, tak samo górnicy lepiej czują się pod ziemią niż na powierzchni.

Wioski w pobliżu kopalń są ciche, opuszczone i jakby wymarłe, bo życie ich mieszkańców pulsuje pod ziemią, a nie na powierzchni. Można by tu mieszkać całe lata nie mając pojęcia o życiu tych ludzi; trzeba zejść na dół, aby je zrozumieć.

Ludzie miejscowi nie mają żadnego wykształcenia, przeważnie nie umieją czytać, ale są bardzo zdolni, biegli w swoim zawodzie, odważni i ceniący wolność; na ogół są małego wzrostu, ale barczyści, o ciemnych, głęboko wpadniętych oczach. Są bardzo zręczni i pracowici. Z natury nerwowi, ale to nie znaczy słabi, tylko wrażliwi. Z wrodzoną nieufnością i głęboką nienawiścią patrzą na każdego, kto by chciał im narzucić swoją władzę. Kto chce być na dobrej stopie z górnikami, musi żyć i myśleć jak górnik, musi wyzbyć się wszelkich pretensji, dumy, chęci wywyższenia się, bo inaczej nic z nimi nie wskóra i nigdy nie zdobędzie ich zaufania.

Czy wspominałem ci już o tym górniku, który został straszliwie poparzony podczas wybuchu gazu w kopalni?

Dzięki Bogu, ma się już lepiej, wychodzi na dwór i zaczyna robić dla wprawy spacery, ale ręce ma jeszcze bardzo Słabe i na pewno upłynie wiele czasu, zanim będzie mógł znowu nimi pracować. Ale udało go się jeszcze uratować. W ostatnim czasie mieliśmy wiele wypadków tyfusu i jakiejś złośliwej gorączki, zwanej przez ludność miejscową „głupią gorączką" i wywołującej u chorych jakieś straszne sny, koszmary i majaczenia. Wzrosła więc znowu liczba ludzi chorych, przykutych do łóżka, osłabionych i wynędzniałych.

W jednym domu wszyscy mają gorączkę, a opieki prawie żadnej, więc chorzy muszą się opiekować chorymi. Jedna z kobiet powiedziała do mnie: „Tutaj chorzy opiekują się chorymi" — tak jakby chciała powiedzieć: „Biedak jest przyjacielem biedaka".

Górnicy w tych stronach hodują kozy i pełno jest po domach małych koźląt; także króliki znajdują się prawie w każdym domu.

Zjeżdżanie do kopalni robi bardzo przykre wrażenie: zjeżdża się w czymś, co przypomina kosz, klatkę czy też duże wiadro, w dół studni, i to studni głębokiej na 500 do 700 metrów. Gdy się jest na dole i patrzy ku górze, skrawek światła dziennego nie jest większy od gwiazdy na niebie.

Ma się wtedy takie uczucie, jakby się pierwszy raz pływało statkiem na pełnym morzu albo znacznie gorzej, ale na szczęście nie trwa ono długo. Górnicy są oczywiście do takich zjazdów przyzwyczajeni, a jednak pozostaje im nieprzezwyciężone uczucie lęku i grozy, nie bez powodu zresztą.

Gdy się jest na dole, to uczucie mija, a to, co się tam widzi, wynagradza sowicie poniesiony trud.

Wasmes, czerwiec 1879

Przed kilku dniami koło jedenastej wieczorem szalała tu straszliwa burza. Niedaleko stąd jest miejsce, z którego widać jak na dłoni w rozległej dolinie całą dzielnicę osiedla Borinage: kominy, hałdy węgla, małe domki robotnicze; we dnie czarne sylwetki ludzi w ustawicznym ruchu niby mrówki. Na horyzoncie widać ciemne lasy świerkowe, od których odcinają się białe domki górników i małe wieżyczki, jakiś stary młyn itp. Najczęściej nad całą doliną unosi się mgła, ale nieraz można obserwować zmienną grę światła i cienia, rzucanego przez chmury, co przywodzi na myśl obrazy Rembrandta, Michela lub Ruysdaela.

Gdy owej nocy przyglądałem się burzy, dokoła było zupełnie czarno i tylko błyskawice rozświetlały na mgnienie oka ciemności, wywołując osobliwe efekty. W pobliżu ogromne, ciemne budynki kopalni Marcasse, stojące samotnie w polu, przypominały tej nocy arkę Noego, która tak musiała wyglądać wśród ulewy, gdy światło błyskawic rozdzierało ciemności potopu. Tego samego jeszcze wieczoru, pod wrażeniem burzy, odczytałem z Biblii opis rozbicia statku.

Często czytam Chatę Wuja Toma. Wiele jest jeszcze niewolnictwa na świecie, a ta cudowna książka omawia ów problem z taką mądrością, miłością bliźniego, zapałem i troską o los tych biednych uciśnionych, że mimo woli wraca się do niej i za każdym razem znajduje się coś nowego.

Nie znam trafniejszej definicji słowa „sztuka" od tej: „Sztuka to natura plus człowiek". Natura, rzeczywistość, prawda, z której artysta wydobywa sens, istotę, charakter, która wyraża, oczyszcza, wyzwala, oświetla.

Obraz Mauve'a, Marisa czy Israelsa mówi nam więcej i jaśniej niż sama natura. Tak samo rzecz się ma z książkami. W Chacie Wujo Toma artysta przedstawił sprawy w zupełnie nowym świetle, choć książka jest już nieco przestarzała, bo napisano ją przed laty. Jaka w niej subtelność uczuć, jak wypracowane szczegóły, jakie mistrzostwo. A przy tym

każda strona tchnie miłością bliźniego, powagą i prawdą. Jest to książka bezpośrednia i prosta, a jednocześnie ma w sobie coś wzniosłego, szlachetnego i bardzo dystyngowanego.

Przed kilku dniami czytałem książkę o angielskim zagłębiu węglowym, ale nie było w niej żadnych interesujących mnie szczegółów. W liście tym przysyłam ci drzeworyt do twoich zbiorów.

Niedawno poznałem pewnego sztygara, który przez wiele lat nadzorował górników. Pochodzi z bardzo niskich sfer robotniczych, ale potrafił się wybić. W pracy nabawił się choroby płucnej, dość poważnej, i nie ma mowy o tym, żeby mógł znowu pracować na dole w kopalni. Opowiadał mi ciekawie o swoim zawodzie. Pozostał wiernym przyjacielem robotników w przeciwieństwie do wielu innych, co zdobywają awans tylko dla pieniędzy, nie dla prawdziwego wyróżnienia, i kierują się niezbyt szlachetnymi, a czasami niskimi pobudkami. Zachował prawdziwe serce robociarza, wierne, uczciwe i odważne, ale rozwojem umysłowym góruje znacznie nad swymi towarzyszami.

Niejednokrotnie podczas strajków był on jedynym człowiekiem mającym jakiś wpływ na górników, którzy nikogo innego nie chcieli słuchać i tylko jemu podporządkowywali się w momentach krytycznych.

Jeden z synów pana Denis jest na wpół zaręczony z córką owego sztygara, który od czasu do czasu przychodzi do nas do domu i w ten sposób go poznałem. Potem byłem kilka razy u niego. Pożyczył mi bardzo interesującą książkę Legouvé Les pères et les enfants. Ciekaw jestem, czy ty ją też czytałeś.

Przed kilku dniami otrzymałem list od pastora Jonesa z Isleworth. Proponuje mi budowę drewnianych kościółków w Borinage. Czy to jest wykonalne i pożądane? Pan Jones

pisze, że chętnie pomógłby przy pierwszej, tego rodzaju budowie.

Cuesmes, 5 sierpnia 1879

Czy czytałeś Dickensa Les temps difjiciles? Podaję ci tytuł po francusku, gdyż jest to bardzo dobry francuski przekład, wydany przez firmę Hachette w „Bibliothèque des meilleurs romans étrangers"; kosztuje franka i 25 centymów.

To arcydzieło. Jest tam postać robotnika Stephena Blackpoola, wzruszająca i ogromnie sympatyczna.

15 października 1879

Piszę przede wszystkim, żeby ci powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny za twe ostatnie odwiedziny. Nie widzieliśmy się od dawna i nie pisujemy do siebie tak często, jak to dawniej bywało. Lepiej chyba być czymś dla siebie nawzajem niż udawać nieboszczyków. Zwłaszcza że dopóki nie zdobędzie się rzeczywistych uprawnień do tytułu nieboszczyka przez prawomocny zgon, udawanie nieboszczyka będzie zawsze zakrawało na obłudę albo na dziecinadę. Ot, jak chłopak czternastoletni, który wyobraża sobie, że jego godność i stanowisko społeczne nakazują mu noszenie cylindra. Godziny spędzone z tobą upewniły mnie, że należymy jeszcze obaj do świata żywych. W czasie twego pobytu, gdy spacerowaliśmy razem, miałem znów to uczucie, które dawniej miewałem częściej niż teraz: że życie jest dobrym i kosztownym darem, który powinniśmy umieć cenić. Dawno już nie czułem się tak ożywiony i radosny. Stopniowo życie zaczynało tracić dla mnie wartość i urok, stawało się obojętne, tak mi się przynajmniej zdawało. Ale

kiedy żyje się między ludźmi, z którymi łączy nas wzajemna życzliwość, wówczas człowiek widzi cel istnienia, przestaje czuć się bezwartościową i bezużyteczną istotą, myśli, że może się na coś przydać, bo ludzie odbywający tę samą drogę, towarzysze podróży, potrzebują się nawzajem. Uczucie godności osobistej jest w dużej mierze zależne od stosunków z innymi ludźmi.

Więzień skazany na samotność, pozbawiony możności pracy, czuje się po jakimś czasie, zwłaszcza jeśli ten czas się przedłuża, tak samo jak ktoś, kto dłuższy czas cierpi głód. Jak każdy człowiek potrzebuję przyjaźni ludzkiej, życzliwości, zaufania. Nie jestem studnią uliczną czy latarnią z kamienia lub żelaza, żeby obywać się bez tego, co jest potrzebne każdemu normalnemu i kulturalnemu człowiekowi, i żyć z uczuciem pustki i braku. Piszę o tym wszystkim, abyś zrozumiał, jakim dobrodziejstwem były dla mnie twoje odwiedziny. Chciałbym, żebyśmy się nigdy nie stali sobie obcy i tego samego pragnę w stosunku do wszystkich w domu.

Cóż, kiedy w chwili obecnej, nie widzę możliwości powrotu do domu, bo zatrzymuje mnie tutaj wiele spraw. Może masz i rację twierdząc, że to wszystko jest z mojej winy i że niesłusznie upieram się przy swoim. Zobaczymy. Nie jest wykluczone, że pomimo mojej niechęci i trudności związanych z podróżą, wybiorę się jednak na kilka dni do Etten.

Wspominam wciąż jeszcze z wdzięcznością twoje odwiedziny i oczywiście przychodzą mi na myśl nasze rozmowy. Nieraz już prowadziliśmy takie rozmowy, o, nawet bardzo często! Robiliśmy plany, jak poprawić moje życie, jak je zmienić, pobudzić energię itd., ale — tylko się na mnie nie obraź, bardzo się tego boję — ilekroć chciałem wprowadzić te plany w życie, czułem się mniej lub bardziej oszukany. Wiele rzeczy można ślicznie wykoncypować, a potem okazuje się, że są niewykonalne.

Mam jeszcze świeżo w pamięci okres spędzony w Amsterdamie. Byłeś przecież wtedy ze mną, więc wiesz najlepiej, ile się tam ważyło i rozważało, dyskutowało i radziło, ile w tym było mądrości i najlepszych intencji, cóż, kiedy rezultat był żałosny, a całe przedsięwzięcie okazała się beznadziejne i zadziwiająco głupie. Jeszcze teraz zimno mi się robi, gdy o tym pomyślę.

Był to chyba najgorszy okres w moim życiu. W porównaniu z nim trudne i ciężkie dni, jakie przeżywam obecnie w tym biednym kraju i w niekulturalnym otoczeniu, wydają mi się znacznie przyjemniejsze i bardziej pociągające. Obawiam się, że wynik byłby i teraz równie żałosny, gdybym zastosował się do różnych mądrych rad, udzielanych mi także w najlepszej intencji.

Tego rodzaju przeżycia są dla mnie zbyt bolesne, a przykrość, zmartwienie i uraza w sercu są zbyt wielkie, abym nie miał wyciągnąć z nich nauki. Jeżeli własne doświadczenia nas nie nauczą mądrości, to co nas nauczy? Wysiłek, jakiego dokonałem dla osiągnięcia wyznaczonego mi, jak mówiono, celu, był zbyt wielki, abym się łatwo mógł nań jeszcze raz zdobyć. Ambicje moje znacznie od tego czasu zmalały, patrzę dziś na rzeczy z innego punktu widzenia i choć niejedno słówko dziś jeszcze ładnie brzmi i wabi, po tylu smutnych doświadczeniach nauczyłem się jednak inaczej myśleć. Ale i tego mi nie wolno.

Tak na przykład misjonarz Frank wyraził się, że kazania pastora Jean Andry były zbyt mało przepojone duchem Ewangelii w porównaniu z kazaniami innych pastorów. Wolę umrzeć śmiercią naturalną, niż żeby mnie do niej przygotowywała akademia. Od zwykłego robotnika dostawałem czasem lekcję bardziej pożyteczną niż lekcja greki.

Dążenie do poprawy bytu jest u mnie chyba objawem naturalnym. A może właśnie taka poprawa nie jest potrzebna? Chciałbym być dużo lepszy. Ale, gdy do tego

dążę, przeraża mnie niekiedy myśl o lekarstwie gorszym od choroby. Czy można mieć za złe choremu, gdy patrzy z nieufnością na lekarza, bo nie chce być źle leczony czy też poddany szarlatańskim zabiegom?

Czy można mieć za złe choremu na suchoty lub na tyfus, że protestuje, gdy leczą go np. wyciągiem z jęczmienia lub gdy śmie twierdzić, że jednak jakiś inny, silniejszy środek byłby wskazany, może nawet konieczny? Chociaż ten wyciąg z jęczmienia "pewno sam w sobie nie jest szkodliwy, to jednak celowość stosowania go i siła działania, w tej właśnie chorobie, są co najmniej wątpliwe.

Lekarz, który przepisał wyciąg z jęczmienia, będzie się z pewnością wykręcał i zarzucał pacjentowi, że jest uparty, że sam sobie winien, że zmierza do nieuchronnej zguby, bo nie zażywa jego lekarstw. A przecież chory wykazał dużo dobrej woli, tylko tak zwane lekarstwo okazało się nic nie warte, bo zastosowano właśnie „to", zamiast „tamtego".

Jak można mieć komuś za złe, gdy nie zachwyca się obrazem wymienionym w katalogu jako dzieło Memlinga, skoro obraz ten nie ma z Memlingiem nic wspólnego, chyba tylko to, że przedstawia motyw z okresu gotyku, ale nie ma żadnej artystycznej wartości? Z tego, co przed chwilą napisałem, mógłbyś łatwo wyciągnąć fałszywy wniosek, jakobym rady twoje uważał za rady szarlatana. Taka interpretacja byłaby jednak niewłaściwa, bo naprawdę nic podobnego nie przyszło mi do głowy.

Z drugiej strony, jeżeli myślisz, że powinienem stosować się dosłownie do twoich rad, to się grubo mylisz. Nie mam zamiaru zamienić się w litografa, który drukuje nagłówki rachunków i bilety wizytowe, ani w buchaltera, ani w chłopca na posyłki, tak samo nie zamierzam wybrać zawodu piekarza, ani też innego zawodu w tym rodzaju, jaki ty mi proponujesz. (Dziwię się tylko, że zawody przez ciebie proponowane są aż tak różnorodne i trudno je z sobą pogodzić.) Wprawdzie dodajesz, że rady twoje nie muszą

być brane dosłownie, to jednak niepokoją cię moje zamiłowania do łatwego życia rentiera i chciałbyś im wreszcie położyć kres.

Czy mógłbym ci jednak zwrócić uwagę, że to moje życie jest jednak trochę dziwne i nie jest podobne do życia prawdziwych rentierów. Zresztą trudno w tej sprawie bronić samego siebie, byłoby mi jednak bardzo przykro, gdybyś prędzej czy później nie spojrzał na te sprawy z innego punktu widzenia. Nie przypuszczam, aby najlepszą obroną na tego rodzaju zarzuty było posłuchanie twojej rady i przyjęcie pracy np. piekarza. Takie postępowanie dałoby ci pewną satysfakcję, byłoby jednak bardzo nierozsądne. (Przypuśćmy, że byłoby rzeczą możliwą zmienić się tak od razu w piekarza, fryzjera czy bibliotekarza.) Można by mnie wtedy porównać do owego człowieka, który jechał na ośle, a gdy mu zarzucano, że znęca się nad zwierzęciem, tak sobie to wziął do serca, że natychmiast zsiadł, wziął osła na plecy i szedł dalej swoją drogą.

Zostawmy żarty na boku, ale myślę, chyba słusznie, że lepiej będzie, gdy nasze wzajemne stosunki będą się opierały na większym zaufaniu. Niekiedy zastanawiam się poważnie nad tym, czy nie jestem czasem ciężarem dla ciebie i dla rodziny, czy stałem się już naprawdę niezdatny do niczego i czy w stosunku do ciebie mam się uważać za człowieka niepotrzebnego i za intruza. A może byłoby lepiej, gdyby mnie w ogóle nie było już na tym świecie, skoro i tak muszę stale wszystkim ustępować z drogi. Gdy pomyślę, że tak jest w istocie, ogarnia mnie uczucie smutku i muszę walczyć z całych sił, żeby nie wpaść w melancholię.

Trudno jest opanować to uczucie, a jeszcze trudniej pogodzić się z myślą, że to właśnie ja jestem powodem tylu rozdźwięków, kłopotów i przykrości między nami i całą rodziną.

Jeżeliby tak było w istocie, to nie chciałbym żyć już długo na tym świecie. Nieraz, gdy jestem już ponad wszelką

miarę przygnębiony, nasuwają mi się różne refleksje i wydaje mi się wtedy, że może to wszystko jest tylko jakimś koszmarnym snem, a po pewnym czasie inaczej będziemy na to patrzeć i łatwiej nam będzie się zrozumieć. Ale niestety, wszystko to jest smutną rzeczywistością i chyba nigdy nie będzie już lepiej, przeciwnie, może być jeszcze dużo gorzej. Gdybym wierzył jeszcze w lepsze jutro, wszyscy bez wątpienia uznaliby mnie za głupca, który w cuda wierzy.

Nieraz w zimie przychodzą bardzo zimne dni i wydaje się nam wtedy, że zimniej już być nie może, a ludzie powiadają: cóż mi z tego, że kiedyś przyjdzie lato, zło i tak będzie zawsze tryumfować nad dobrem. A jednak czy chcemy, czy nie chcemy, silny mróz w końcu ustępuje, pewnego pięknego poranka wiatr zmienia kierunek i nastaje od razu odwilż. Gdy porównam zmiany pogody z naszymi nastrojami i z naszą sytuacją, które tak samo powinny podlegać zmianom, jak pogoda, mogę się łudzić jeszcze nadzieją na lepsze dni.

Lipiec 1880

Piszę do ciebie trochę wbrew sobie; nie robiłem tego od dawna i to nie bez przyczyny.

Stałeś się dla mnie do pewnego stopnia obcym człowiekiem, ja dla ciebie także — bardziej może, niż przypuszczasz; byłoby chyba lepiej dla nas obu, żeby się to zmieniło. Być może, nie napisałbym nawet teraz, gdybym nie czuł się zobowiązany, zmuszony nawet do tego listu, gdybyś ty sam nie postawił mnie wobec tej konieczności. Dowiedziałem się w Etten, że wysłałeś mi pięćdziesiąt franków, ja zaś przyjąłem je. Zrobiłem to niechętnie, z uczuciem dość melancholijnym, ale cóż mogłem zrobić innego, skoro nie miałem ani szeląga?

Piszę więc do ciebie, żeby ci podziękować.

Jak wiesz może, wróciłem do Borinage; ojciec chciał, żebym został w pobliżu Etten; nie zgodziłem się i myślę, że miałem rację. Wbrew mojej woli stałem się w rodzime osobistością nie do zniesienia i podejrzaną, kimś, do kogo nie ma się zaufania, na co więc mogłem się tam przydać?

Dlatego jestem przekonany, że postąpiłem właściwie i rozsądnie odjeżdżając i trzymając się w pewnej odległości, jakby mnie wcale nie było.

Przeciwności albo nieszczęścia są dla istot ludzkich tym, czym zmiana upierzenia dla ptaków. Człowiek może po tym pozostać niezmieniony albo zmienić się tak dalece, że będzie jak odrodzony; w każdym razie nie zmienia się upierzenia na oczach publiczności, bo to jest mało zabawny widok: dlatego należy uciec. Ale dość o tym.

Chociaż zdobycie na powrót zaufania całej rodziny jest rzeczą trudną i nastręczającą wiele kłopotów — zwłaszcza rodziny, która nie całkiem wolna jest od przesądów i innych, równie czcigodnych i wytwornych zalet — to jednak mam niejaką nadzieję, że powoli, krok za krokiem, dojdzie do porozumienia z tym czy innym członkiem rodziny.

Przede wszystkim chciałbym, żeby do tego porozumienia, żeby nie powiedzieć więcej, doszło między ojcem i mną; zależy mi również bardzo na porozumieniu między nami dwoma.

Porozumienie jest czymś bez porównania lepszym niż nieporozumienie.

Teraz muszę cię trochę ponudzić pewnymi sprawami abstrakcyjnymi, chciałbym jednak, żebyś mnie wysłuchał cierpliwie. Jestem człowiekiem namiętnym, zdolnym do czynów bezsensownych, których muszę mniej lub bardziej żałować. Często wypowiadam się i działam zbyt szybko, gdy lepiej by było poczekać cierpliwie. Przypuszczam, że inni ludzie mogą niekiedy także popełniać te nieostrożności.

A zatem, skoro tak jest, czy mam się uważać za człowieka niebezpiecznego i niezdolnego do czegokolwiek? Myślę, że nie. Chodzi tylko o to, żeby znaleźć w tych namiętnościach to, co w nich najlepsze. Na przykład moja wielka namiętność do książek: mam ciągłą potrzebę kształcenia się, studiowania, jeśli wolisz, i trzeba mi tego jak chleba. Ty potrafisz to zrozumieć. Kiedy byłem w innym otoczeniu, wśród obrazów i dzieł sztuki, pokochałem gwałtownie to otoczenie, dochodząc w tym, jak wiesz, do entuzjazmu. Nie czuję z tego powodu skruchy i dziś jeszcze, będąc daleko, czuję tęsknotę za krajem obrazów.

Pamiętasz może, że wiedziałem (a może wiem jeszcze), co to jest Rembrandt, Millet, Jules Dupré, Delacroix, Millais, M. Maris. Dziś jestem w innym otoczeniu, ale jest we mnie coś, co nazywa się duszą, co podobno nigdy nie umiera, żyje wiecznie i szuka — zawsze, zawsze. Zamiast więc oddać się tęsknocie, wybrałem melancholię aktywną — o tyle, o ile jestem w ogóle aktywny — inaczej mówiąc wolałem melancholię, która jest pełna nadziei, która do czegoś dąży i szuka, od melancholii ponurej, zastygłej, zrozpaczonej. Zacząłem więc studiować książki, które znajdowały się w moim zasięgu — Biblię, Revolution Française Micheleta, a potem, ostatniej zimy, Szekspira, trochę Wiktora Hugo i Dickensa, Beecher-Stowe, ostatnio Ajschylosa i wielu innych, mniej klasycznych, wielkich małych mistrzów. Czy wiesz, że artystów takich, jak Fabritius i Bida, zalicza się do małych mistrzów?

Otóż ktoś, kto jest pochłonięty tym wszystkim, gorszy innych, wydaje im się shocking; i sam tego nie chcąc, grzeszy przeciw pewnym formom, obyczajom i konwenansom społecznym.

Szkoda jednak, że na sprawy tego rodzaju patrzy się z niewłaściwego punktu widzenia. Wiesz na przykład, że byłem niedbały w ubiorze — przyznaję, że to było shocking. Skrępowanie i niedostatek odgrywają tu jednak pewną rolę,

a także głębokie zniechęcenie; ponadto nie jest to zły sposób, żeby zapewnić sobie samotność konieczną do zgłębienia tej czy innej sprawy, która nas pochłania.

Bardzo pożytecznym studium jest medycyna, prawie każdy człowiek stara się znać choć trochę tę dziedzinę, zrozumieć przynajmniej, o co chodzi, ja zaś nic jeszcze o tym nie wiem. I wszystkie te problemy wciągają człowieka, zagarniają go, dają do myślenia, każą marzyć, śnić. Dalej: od pięciu lat mniej więcej nie mam stałego miejsca, włóczę się tam i sam; powiadacie na to: podupadłeś, zgasłeś, nic nie zrobiłeś. Czy to prawda?

To prawda, ze czasem zarobiłem na kawałek chleba, czasem zaś dostałem go z łaski jakiegoś przyjaciela, ale żyłem, jak mogłem, jak mi się składało; to prawda, że straciłem zaufanie wielu ludzi; to prawda, że moje finanse są w pożałowania godnym stanie; to prawda, że przyszłość jest mroczna, że mogłem postąpić lepiej, że właśnie, aby zarobić na chleb, traciłem czas, kiedy powinienem był zarabiać na chleb, że moje studia są dalekie od tego, by mogły mnie zadowolić, że brak mi wiele, bez porównania więcej, niż mam. Ale czy to nazywa się podupaść, nic nie robić?

Powiesz na to: dlaczego jednak nie kontynuowałeś studiów tak, jak tego chciano, dlaczego nie poszedłeś na uniwerstytet? Odpowiem ci: to zbyt wiele kosztuje; poza tym nie lepsze to od tego, co mam.

Idę swoją drogą, ale muszę iść nią nadal; jeśli nic nie będę robił, jeśli nie będę się uczył i szukał, jestem stracony. A wówczas biada mi.

Oto, jak na to patrzę: iść dalej, iść dalej, to tylko jest konieczne.

Zapytasz mnie: jaki jest twój ostateczny cel? Ten cel staje się coraz bardziej określony, zarysowuje się powoli i pewnie — jak rysunek, który zamienia się w szkic, a szkic w

obraz — w miarę jak pracuję poważniej, jak zgłębiam myśl wpierw niejasną, pierwszą myśl zmienną i przelotną, aż nabierze stałości.

Musisz wiedzieć, że z kaznodziejami jest jak z artystami. Istnieje stara szkoła akademicka, okropna, tyrańska, odrażająca i zniechęcająca; ludzie z tej szkoły mają na sobie zbroję, stalową zbroję przesądów i konwencji. I kiedy oni stoją na czele, decydują o wszystkim, starają się wynieść swoich protegowanych i utrącić człowieka naturalnego.

Ich Bóg jest jak bóg pijaka Falstaffa z Szekspira — „wnętrze Kościoła", the inside of a church; dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności pewni ewangeliczni panowie mają w sprawach duchowych ten sam punkt widzenia co ten pijak; może gdyby byli zdolni do wzruszeń ludzkich, sami poczuliby się tym zdumieni. Ale nie ma powodu do obaw, że ich ślepota zamieni się kiedyś w jasnowidzenie.

Ten stan rzeczy nie sprzyja komuś, kto się nie zgadza z tym wszystkim i z całej duszy, z całego serca, z całym oburzeniem, do jakiego jest zdolny, protestuje przeciw temu. Co do mnie, szanuję akademików tego pokroju, ale tych godnych szacunku jest mniej, niż na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać. Jeśli nie mam żadnego stanowiska, ani nie miałem go nigdy, to dlatego po prostu, że jestem innego zdania niż ci panowie, którzy rozdają posady ludziom myślącym tak jak oni. To nie jest sprawa dbałości o strój, jak mi to obłudnie zarzucano, ale rzecz bardziej poważna, mogę cię zapewnić.

Mówię ci to wszystko, nie żeby się skarżyć ani żeby się tłumaczyć czy usprawiedliwiać z moich błędów, ale żeby ci oświadczyć, co następuje: kiedy widzieliśmy się ostatniego lata i przechadzaliśmy się w pobliżu starej losy, którą nazywają „Czarownicą", przypomniałeś mi, jak to kiedyś tak samo spacerowaliśmy nad starym kanałem, obok młyna Rijswijk, „i wówczas — powiedziałeś — wówczas byliśmy tego samego zdania w wielu sprawach, ale ty się zmieniłeś,

nie jesteś już ten sam." Nie, to nie jest dokładnie tak, zmiana polega na tym, że wtedy moje życie było łatwiejsze i przyszłość mniej mroczna z pozoru; ale jeśli idzie o sprawy wewnętrzne, o mój sposób widzenia i myślenia, nic się nie zmieniło; tyle tylko, że teraz myślę, wierzę i kocham bardziej to, co już wówczas myślałem i kochałem, w co już wówczas wierzyłem.

Byłoby więc nieporozumieniem, gdybyś trwał w przekonaniu, że teraz mniej na przykład obchodzi mnie Rembrandt, Millet, Delacroix czy cokolwiek innego, jest bowiem przeciwnie; rzecz jedynie w tym, że w wiele rzeczy trzeba wierzyć i wiele kochać — jest coś z Rembrandta w Szekspirze i z Correggia w Michelecie, i z Delacroix w Wiktorze Hugo; i jest Rembrandt w Ewangelii i Ewangelia w Rembrandcie, to właściwie wychodzi na jedno, pod warunkiem, że dobrze rozumiemy, o co chodzi, i chcemy patrzeć na rzecz od właściwej strony, zdając sobie sprawę z ekwiwalencji porównań, które nie mają na celu pomniejszania zasług oryginalnych osobowości. W Bunyanie można więc odnaleźć Marisa czy Milleta, w Beecher-Stowe — Ary Scheffera.

Jeśli możesz więc przebaczyć mi zgłębianie obrazów, musisz się też zgodzić, że miłość do książek jest tak samo święta jak miłość do Rembrandta, i myślę nawet, że oba uczucia się uzupełniają.

Lubię bardzo portret męski Fabritiusa, który pewnego razu długo oglądaliśmy w muzeum w Haarlem: było to także podczas naszej wspólnej przechadzki. Tak, ale równie lubię „Richarda Cartone" Dickensa w jego Paryżu i Londynie w 1793 i mógłbym ci wskazać w innych książkach postaci dziwnie zaskakujące swoim podobieństwem. I myślę, że Kent z Szekspirowskiego Króla Leara jest równie szlachetny i niepospolity jak jakaś postać Th. de Keysera, choć Kent i król Lear żyli rzekomo dużo wcześniej. Żeby nie powiedzieć więcej. Mój Boże, jaki Szekspir jest piękny! Któż jest równie

tajemniczy? Jego słowo i sposób, w jaki pisze, są jak pędzel drżący z żaru i wzruszenia. Ale trzeba nauczyć się czytać, tak samo jak trzeba nauczyć się widzieć i nauczyć się żyć.

Nie powinieneś więc myśleć, że wyrzekam się tej rzeczy albo innej, jestem wierny w swojej niewierności i choć zmieniłem się, jestem ten sam i kłopoczę się tylko o jedno: w czym mógłbym być użyteczny, jak mógłbym przydać się na coś, jak mógłbym poznać i zgłębić ten czy inny temat? To jest moją nieustanną troską; poza tym czuję się tak skrępowany brakiem środków, nie mogę robić wielu rzeczy i tyle rzeczy niezbędnych jest poza moim zasięgiem. Dlatego czuję melancholię i pustkę, którą powinna by zapełnić przyjaźń, wzniosłe i poważne uczucia. I wówczas straszne zniechęcenie zabija wszelką energię, jakaś fatalność zda się kłaść tamę naturalnym uczuciom i zalewa mnie niesmak. Mówię sobie: „Mój Boże, jak długo jeszcze?"

Czy to, co dzieje się wewnątrz, widać na zewnątrz? Ktoś ma wielki płomień w duszy, ale nikt nie przychodzi się przy nim ogrzać, przechodnie widzą tylko nikły dym unoszący się z komina i idą dalej swoją drogą.

Co zatem robić? Podtrzymywać ten ogień w sobie, czekać cierpliwie — ale z jaką niecierpliwością — aż nadejdzie godzina, gdy ktoś zechce przyjść, usiąść przy tym ogniu, pozostać? Niechaj ten, kto wierzy w Boga, czeka na chwilę, która nadejdzie wcześniej czy później.

Tymczasem wszystkie moje sprawy wyglądają źle i tak też było przez dość długi czas przedtem, i może trwać nadal dłużej lub krócej; może się jednak zdarzyć, że będzie lepiej, choć wydawało się inaczej. Nie liczę na to, może wcale tak nie będzie, ale gdyby miało dojść do zmiany na lepsze, uważałbym to za wygraną, byłbym rad, powiedziałbym: nareszcie, a jednak coś w tym było.

Powiesz jednak: jesteś szkaradnym człowiekiem, ponieważ twój pogląd na religię jest nie do przyjęcia, a

skrupuły dziecinne. Jeśli tak jest, obym się tylko od nich wyzwolił, marzyłbym o tym. Ale oto, co sądzę na ten temat. W Le Philosophe sous les toits Souvestre'a autor pokazuje, jak człowiek z ludu, zwykły, nędzny robotnik wyobraża sobie ojczyznę. „Nigdy może nie pomyślałeś, co to jest ojczyzna — mówił dalej kładąc mi rękę na ramieniu — ojczyzna to jest wszystko, co cię otacza, co cię wychowało i wykarmiło, wszystko, co kochałeś, ta wieś, którą widzisz, te domy, te drzewa, te śmiejące się dziewczęta — oto ojczyzna! Prawa, które cię chronią, chleb, który otrzymujesz za swą pracę, słowa, które wymieniasz, radość czy smutek, które otrzymujesz od otaczających cię ludzi i rzeczy — oto ojczyzna! Pokoik, w którym ongi widziałeś matkę, wspomnienia, jakie ci zostawiła, ziemia, w której ona spoczywa — oto ojczyzna! Widzisz ją, oddychasz nią wszędzie! Wyobraź sobie prawa i obowiązki, przywiązania i potrzeby, wspomnienia i wdzięczność, zespól to wszystko pod jednym imieniem i imieniem tym będzie ojczyzna."

Podobnie myślę, że wszystko, co naprawdę jest dobre i piękne w ludziach i w ich dziełach — wewnętrznym pięknem moralnym, uduchowionym i wzniosłym — pochodzi od Boga, wszystko zaś, co w ludziach i ich dziełach jest złe i niedobre, nie pochodzi od Boga i Bogu również nie wydaje się dobre.

Ale mimo woli skłonny jestem zawsze sądzić, że nie ma lepszego sposobu poznania Boga jak wielka miłość. Kochać przyjaciela, człowieka, rzecz, co chcesz zresztą — dzięki temu znajdziesz się na dobrej drodze do poznania; tak sobie mówię. Ale trzeba kochać pięknym i poważnym uczuciem, z wolą, z inteligencją i dążyć zawsze do lepszego i pełniejszego poznania. To prowadzi do Boga, to prowadzi do niewzruszonej wiary.

Dla przykładu: ktoś, kto głęboko pokocha Rembrandta, zrozumie, że jest Bóg, uwierzy.

Ktoś będzie zgłębiał historię rewolucji francuskiej i nie zostanie niedowiarkiem: zobaczy, że w wielkich

wydarzeniach przejawia się również nadrzędna potęga.

Ktoś był przez krótki czas na bezpłatnych kursach wielkiego uniwersytetu nędzy, zwracał uwagę na wszystko, co widział i słyszał, i zastanawiał się nad tym: ten także uwierzy i pozna więcej, niż potrafiłby powiedzieć.

Jeśli będziecie się starali zrozumieć do głębi to, co w swych arcydziełach mówią wielcy artyści, poważni mistrzowie, odnajdziecie w nich Boga. Jeden mówi to w książce, inny w obrazie.

Ponadto zaś czytajcie Biblię, czytajcie Ewangelię, to daje dużo do myślenia, w tym jest wszystko. A więc przemyślcie to dobrze, ta lektura wzniesie myśl ponad zwykły poziom, wbrew waszej woli. Człowiek umie czytać, niechaj więc czyta!

Potem człowiek może być chwilami trochę oderwany, trochę myślami gdzie indziej, niektórzy ludzie bywają czasem zbyt oderwani, zbyt nieobecni, to się zdarza, to zdarza się i mnie; owszem, to moja wina, byłem jednak zajęty, pochłonięty czymś, niespokojny z tego czy innego powodu, ale to mija. Człowiek oderwany wpada czasem do studni, ale potem się z niej wydobywa.

Człowiek oderwany posiada jednak chwilami przytomność umysłu, jakby dla rekompensaty. Jest to istota, która ma swoje racje niewidoczne od razu, albo racje, o których mimo woli się zapomina. Ktoś, kto długo błąkał się po burzliwym morzu, przybija wreszcie do celu; ten, który, zdawało się, nie nadaje się do niczego, nie potrafi pełnić żadnej funkcji, zajmować żadnego miejsca, w końcu znajduje miejsce dla siebie, staje się aktywny i zdolny do czynu, okazuje się zupełnie inny, niż myślano z początku.

Piszę do ciebie bezładnie, wszystko, co przychodzi mi pod pióro; byłbym bardzo rad, gdybyś mógł ujrzeć we mnie nie tylko próżniaka.

Są bowiem próżniacy i próżniacy.

Są próżniacy z lenistwa i podłości charakteru, z nikczemności natury — jeśli chcesz, możesz mnie uznać za jednego z nich.

Ale są inni próżniacy, próżniacy mimo woli, których trawi wielkie pragnienie czynu, którzy nie robią nic, ponieważ nie mają żadnych możliwości, żeby cokolwiek robić: są jak gdyby zamknięci w więzieniu, nie mają warunków niezbędnych do produktywności, fatalne okoliczności sprowadziły ich do tego punktu; tacy nie wiedzą sami, co mogliby robić, ale czują instynktownie, że są zdolni do czegoś, że mają swoją rację istnienia! Wiem, że mógłbym być zupełnie innym człowiekiem. Na co więc mógłbym się przydać, czemu mógłbym służyć? Jest we mnie coś, ale co to jest?

To inny rodzaj próżniaków — jeśli chcesz, możesz mnie uznać za jednego z nich!

Ptak w klatce czuje doskonale na wiosnę, że na coś mógłby się przydać, czuje, że miałby coś do zrobienia, ale nie może tego zrobić — co to jest? Nie pamięta, jego myśli są niejasne i powiada sobie: „Inne ptaki lepią gniazda, mają małe i wychowują je". I wówczas bije głową o pręty klatki. Ale klatka jest klatką i ptak szaleje z bólu.

„Oto próżniak" mówi inny ptak przelatując. To coś w rodzaju rentiera. Tymczasem więzień żyje, nie umiera, na zewnątrz nie widać nic z tego, co się dzieje w jego wnętrzu, jest zdrowy, a nawet cieszy się promieniem słońca. Ale nadchodzi pora odlotu. Napad melancholii — dzieci, które się nim opiekują, mówią: on ma przecież wszystko, czego mu potrzeba — ale on patrzy na niebo ciężkie, chmurne i czuje w sobie bunt przeciw swemu losowi. „Jestem w klatce, jestem w klatce, nie brak mi niczego, głupcy! Mam wszystko, czego mi potrzeba! Och, łaski, wolności, móc być ptakiem jak wszystkie ptaki!"

Pewien rodzaj próżniaka-człowieka przypomina pewien rodzaj próżniaka-ptaka.

Ludzie często nie mogą nic robić, są więźniami w jakiejś strasznej, strasznej, najstraszniejszej klatce.

Wiem również, że nadchodzi wyzwolenie, późne wyzwolenie. Popsuta słusznie lub niesłusznie opinia, ubóstwo, fatalne zbiegi okoliczności, nieszczęścia — wszystko to tworzy więźniów.

Nie zawsze można powiedzieć, co nas zamyka, co zamurowuje, co grzebie, ale czujemy bariery, kraty, mury.

Czy to wszystko jest tylko wyobraźnią, fantazją? Nie sądzą; i zadaję sobie pytanie: mój Boże, czy to na długo, czy to na zawsze, na wieczność?

Wiesz, co burzy więzienie? Wszelkie uczucie głębokie, poważne; przyjaźń, braterstwo, miłość sprawiają, że więzienie się otwiera dzięki potędze uczucia, jego nieodpartemu urokowi. Ale ten, komu brak uczucia, trwa w śmierci.

Tam gdzie rodzi się sympatia, rodzi się życie.

Więzienie nazywa się czasem przesądem, nieporozumieniem, fatalną niewiedzą, nieufnością, fałszywym wstydem.

Ale, żeby zmienić temat: jeśli ja podupadłem, ty wzniosłeś się do góry. Jeśli ja straciłem sympatie, ty je zyskałeś. Rad jestem z tego, mówię to szczerze, i zawsze będę się z tego cieszył. Gdybyś był niezbyt poważny i niezbyt głęboki, mógłbym się obawiać, że to nie potrwa długo; ponieważ jednak myślę, że jesteś bardzo poważny i bardzo głęboki, wierzę, że to będzie trwałe.

Gdybyś tylko mógł uważać mnie za coś innego niż za próżniaka najgorszego rodzaju, byłbym bardzo zadowolony.

Poza tym, gdybym mógł coś dla ciebie zrobić, być dla ciebie w czymkolwiek użyteczny, jestem zawsze do twojej

dyspozycji.

Skoro zgodziłem się przyjąć od ciebie to, coś mi dał, mógłbyś zażądać ode mnie tej czy innej przysługi — byłbym z tego rad i uważałbym to za dowód zaufania. Jesteśmy dość oddaleni od siebie i każdy z nas może patrzeć trochę inaczej na rzeczy, niemniej jeden może kiedyś oddać przysługę drugiemu.

Na razie ściskam ci dłoń dziękując raz jeszcze za twoją dobroć.

Gdybyś chciał kiedyś do mnie napisać, podaję mój adres: u Ch. Decrucq. ulica du Pavilion 8, Cuesmes koło Mons.

I wiedz, że twój list sprawi mi przyjemność.

Cuesmes, 24 września 1880

Studiowałem trochę ostatniej zimy niektóre dzieła Wiktora Hugo — takie jak Ostatni dzień skazańca i bardzo piękną książkę o Szekspirze. Od dawna zajmuję się tym pisarzem, jest równie piękny jak Rembrandt. Szekspir jest w porównaniu z Dickensem czy Wiktorem Hugo tym, czym Ruysdael obok Daubigny'ego czy Rembrandt obok Milleta.

To, co piszesz mi w swoim liście o Barbizonie, jest bardzo prawdziwe, i powiem ci, że to również mój pogląd. Nie byłem w Barbizonie, ale ostatniej zimy byłem w Courrières. Chciałem się wybrać piechotą, w stronę Pas-de-Ca-lais, żeby zobaczyć prowincję. Zamierzyłem sobie tę podróż, żeby znaleźć jakąkolwiek pracę: przyjąłbym każdą. Ale trochę wbrew woli, nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego.

Choć była to dla mnie wyprawa niezmiernie męcząca, choć wróciłem zupełnie wyczerpany, z obolałymi nogami i w stanie melancholii, nie żałuję, ponieważ widziałem ciekawe rzeczy; człowiek uczy się patrzeć inaczej w ciężkich

warunkach, w nędzy. W drodze zarobiłem tu i ówdzie na kawałek chleba, który otrzymywałem za rysunki (miałem je ze sobą). Ale kiedy z moich dziesięciu franków nie zostało nic, musiałem ostatnie noce spędzać pod gołym niebem: raz w opuszczonym powozie, który rano był zupełnie biały od szronu — był to dość kiepski nocleg — innym razem na wiązce chrustu, jeszcze innym — co było wygodniejsze — w stogu siana, gdzie zrobiłem sobie coś w rodzaju niszy; ale mżący deszcz nie sprzyjał mojej wygodzie.

W tej biedzie jednak czułem, jak wraca mi energia, i powiedziałem sobie: cokolwiek będzie, dowiodę, że mam jeszcze energię, sięgnę po ołówek, który porzuciłem w wielkim zniechęceniu, zacznę znowu rysować; od tej chwili, jak mi się zdaje, wszystko się dla mnie zmieniło i teraz jestem na dobrej drodze, ołówek stał mi się posłuszny i z dnia na dzień słucha mnie coraz bardziej. Zbyt długotrwała i zbyt wielka nędza zniechęciła mnie tak bardzo, że nie mogłem nic robić.

Podczas tej wyprawy widziałem wsie tkaczy.

Węglarze i tkacze są wciąż jeszcze jakby osobną rasą, różnią się od reszty robotników i rzemieślników, i czuję dla nich wielką sympatię; byłbym szczęśliwy, gdybym kiedyś mógł ich rysować, żeby pokazać światu typy nieznane albo bardzo mało znane.

Człowiek z głębi przepaści, De profundis, to węglarz; tkacz ma twarz zamyśloną, to marzyciel, somnambulik niemal. Od dwóch lat bez mała przebywam z nimi i poznałem nieco ich oryginalny charakter — głównie węglarzy. I poza tym jest coś wzruszającego, wstrząsającego niemal w tych biednych i ciemnych robotnikach, ostatnich spośród ludzi, najbardziej pogardzanych, których przedstawia się zazwyczaj jako rasę złoczyńców i zbójów — idąc za głosem wyobraźni żywej może, ale fałszywej i niesprawiedliwej. Złoczyńcy, pijacy, zbóje są tu tak samo jak gdzie indziej, ale to nie jest bynajmniej ich prawdziwy typ.

Pisałeś w liście ogólnikowo, żebym przyjechał do Paryża albo pod Paryż, kiedy będę mógł i zechcę. Niewątpliwie, pragnąłbym gorąco przyjechać do Paryża czy do Barbizonu, czy gdzie indziej. Ale jakże mógłbym to zrobić, skoro nie zarabiam ani grosza i choć pracuję ciężko, musiałbym jeszcze długo czekać, zanim mógłbym pomyśleć o czymś takim jak przyjazd do Paryża. Żeby pracować jak należy, trzeba mieć przynajmniej sto franków miesięcznie; można żyć za mniejszą sumę, ale wówczas człowiek jest zbyt skrępowany.

Bieda jest przeszkodą dla wybitnych umysłów, oto stare przysłowie Palizzy'ego, słuszne, nawet bardzo słuszne, jeśli zrozumieć jego prawdziwą intencję i zasięg.

Na razie więc nie widzę żadnych możliwości i lepiej będzie, jeśli zostanę tu pracując, jak potrafię; zresztą życie jest tu tańsze. Jednakże nie będę mógł długo pozostać w pokoiku, w którym jestem teraz. Pokój jest zbyt mały i są w nim dwa łóżka — dzieci i moje. Nie umiem ci powiedzieć, jak mi jest tu trudno teraz, kiedy rysuję Bar-gue'ów — dość duży format. Nie chcę przeszkadzać ludziom w ich gospodarstwie, ponadto powiedzieli mi, że nie mogę mieć innego pokoju, nawet gdybym płacił więcej, ponieważ tam urządza się pranie — w domu węglarza pierze się niemal co dzień.

Chciałbym więc wynająć mały domek robotniczy, co kosztuje mniej więcej dziewięć franków miesięcznie.

Nie umiem ci powiedzieć, jak czuję się szczęśliwy, odkąd zabrałem się znów do rysowania, mimo codziennych trudności, które nie miną tak szybko.

BRUKSELA październik 1880 — kwiecień 1881

Vincent przybywa do Brukseli jesienią 1880. Theo ułatwia mu niebawem nawiązanie kontaktów z malarzem holenderskim, który uczęszcza do Akademii Sztuk Pięknych w tymże mieście. „Poszedłem odwiedzić pana van Rapparda" — pisze. Rappard robi na nim dobre wrażenie. Wygląda na człowieka poważnego. Przed Brukselą studiował w Paryżu. Ma 34 lata (jest starszy od Vincenta o 7 lat). Vincent będzie mógł korzystać z jego pracowni, a może nawet mieszkać u niego, gdyż van Rappard żyje dosyć dostatnio. Vincent poświęca się zupełnie rysunkowi, pracuje dużo, kopiuje pracowicie zbiory szkiców węglem, chodzi na wykłady, no i oczywiście kłóci się z profesorem. Żyje bardzo skromnie, bo nie chce być ciężarem dla swoich bliskich. Marzy o tym, żeby zdobyć trochę pieniędzy ze sprzedaży ilustracji. Po kilku miesiącach jego przyjaciel opuszcza Brukselę, a Vincent wraca do rodziców, gdyż pracownia dla niego samego jest za droga.

15 października 1880

Jak widzisz, piszę do ciebie z Brukseli. Wydało mi się, że będzie dobrze, jeśli zmienię miejsce pobytu, a to z wielu powodów.

Przede wszystkim było to konieczne ze względu na pokoik, który zajmowałem i który widziałeś w ubiegłym roku: było tam tak ciasno i światło było tak złe, że niepodobna było rysować. Co prawda mogłem się starać o inny pokój u moich gospodarzy, ale ten pokój był im potrzebny (pranie, gospodarstwo), nie chcieli go więc odstąpić nawet za

większą opłatą... Czuję, że muszę widzieć wartościowe rzeczy, a także patrzeć, jak pracują artyści.

Dzięki temu zrozumiem lepiej moje braki i zarazem nauczę się, jak mam je zwalczać.

Nie odrzucam jednak myśli o Szkole Sztuk Pięknych, gdybym na przykład, dopóki tu jestem, mógł do niej uczęszczać wieczorami — darmo albo za niewielką opłatą.

Ale przede wszystkim muszę nauczyć się dobrze rysować, tak abym jak najprędzej mógł pokazywać i sprzedawać moje rysunki; w ten sposób zacznę zarabiać pracą. Taka jest bowiem narzucona mi konieczność.

Myślę, że lepsze mieszkanie, a także jedzenie trochę lepsze niż w Borinage bardzo mi pomoże. Doświadczyłem bowiem niejednej biedy w belgijskiej black country i moje zdrowie nie przedstawia się najlepiej ostatnio; jednakże, jeśli potrafię rysować to, co chcę wyrazić, zapomnę szybko o przykrościach i będę pamiętał tylko o dobrej stronie zjawisk, która istnieje zawsze, jeśli się chce ją dostrzec. Muszę jednak dbać o to, żebym powrócił do zdrowia, trzeba mi bowiem całej mojej energii.

1 listopada 1880

Najlepsze chęci nie wystarczą, gdy się nie ma sposobności do nauki. Jeżeli chodzi o przeciętnych artystów, do których, Jak się domyślasz, nie chciałbym należeć, cóż mam ci powiedzieć? Wszystko zależy od tego, co rozumiemy pod słowem „przeciętny".

Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy, ale nigdy nie będę pogardzał przeciętnością w potocznym tego słowa znaczeniu. Nikt nie wybije się przez samą tylko pogardę przeciętności, moim zdaniem trzeba przynajmniej początkowo szanować przeciętność i zdawać sobie sprawę,

że nawet średni poziom jest już pewnym osiągnięciem i że uzyskanie go wymaga wielkiego wysiłku.

2 kwietnia 1881

Po otrzymaniu dwóch serdecznych listów od ciebie i po wizycie ojca, której oczekiwałem z niecierpliwością, mam ci bardzo wiele do powiedzenia.

Przede wszystkim, chciałem ci podziękować, bo jak się od ojca dowiaduję, bez mojej wiedzy wysyłasz dla mnie pieniądze, już nawet od dosyć dawna i pomagasz mi wybrnąć z sytuacji. Dziękuję ci serdecznie. Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałował, bo dzięki temu uczę się nowego zawodu, który, jeśli mnie nie wzbogaci, to pozwoli mi przynajmniej zarobić 100 franków miesięcznie, a więc minimum niezbędne na moje najskromniejsze utrzymanie. Ale przedtem muszę stanąć mocno na nogach jako rysownik i znaleźć wreszcie jakąś stałą posadę.

Niezależnie od tego, gdzie się w Belgii mieszka, koszty utrzymania wynoszą co najmniej 100 franków miesięcznie, a jeżeli nie ma się tej sumy, trzeba klepać biedę albo głodować, albo obywać się bez niezbędnych materiałów i narzędzi.

Przypuśćmy, że tej zimy wydawałem 100 franków miesięcznie, chociaż w rzeczywistości nie dysponowałem tą sumą. Z tych niewielkich sum część znaczną wydałem na przybory do rysowania i na ubranie. Kupiłem sobie na przykład dwa ubrania robocze ze zwykłego, czarnego welwetu, zwanego tutaj welutyną. Jest mi w nich do twarzy i mogę się nareszcie pokazywać ludziom na oczy. Później będą mi służyć jako przyodziewek dla modeli, bez których się naturalnie, jak każdy inny malarz, nie mogę obejść. Będę więc musiał nabyć jeszcze kilka inych ubiorów męskich i kobiecych, choćby przechodzonych, dla moich modeli i modelek, ale oczywiście nie trzeba tego wszystkiego

kupować od razu. Początek już zrobiony, a to jest najważniejsze.

Wuj Cor tak często pomaga innym grafikom, cóż by więc było nadzwyczajnego, gdyby i w moim wypadku okazał trochę zainteresowania. Wspominam o tych sprawach, choć nie zależy mi koniecznie na uzyskaniu pomocy pieniężnej od Jego Ekscelencji. Mógłby mi on pomóc w inny sposób, niekoniecznie pieniędzmi, ot, na przykład, mógłby mnie kiedyś poznać z osobami, od których bym się później czegoś nauczył, lub mógłby wystarać się dla mnie o stałą pracę w jakimś piśmie ilustrowanym. Tematy te poruszałem w rozmowach z ojcem i jak mogłem wywnioskować, nieraz już zastanawiano się nad tym dziwnym i dotąd niewyjaśnionym zagadnieniem: dla jakich powodów, należąc bądź co bądź do porządnej rodziny, muszę ciągle borykać się z przeciwnościami losu. Starałem się ojcu wyjaśnić, że to tylko okres przejściowy, a później wszystko się jakoś ułoży. Może byłoby jednak najlepiej porozmawiać jeszcze raz z tobą i z ojcem o tych sprawach. Niedawno pisałem list do pana Tersteega, ale jak mi się wydaje, Jego Ekscelencja źle mnie zrozumiał, bo w bardzo nieprzyjemnie zredagowanej odpowiedzi robił mi wymówki, tak jakby moją intencją było żyć na utrzymaniu wuja, a jego zdaniem nie mam do tego żadnego prawa.

Oczywiście najtaniej mógłbym się urządzić, spędzając nadchodzące lato w Etten, bo tam jest dużo tematów. Jeżeli projekt mój ci odpowiada, możesz napisać o tym do ojca, a ja ze swej strony gotów jestem zastosować się do miejscowych zwyczajów, jeżeli chodzi o strój i inne rzeczy, jak tylko będą tego sobie życzyli. Obawiam się tylko, żeby w ciągu lata nie zetknąć się gdzieś z panem CM.

O ile wiem, to nic nie stoi memu przyjazdowi na przeszkodzie. Tak rodzina, jak i obcy różnie mnie oceniają i różnie o mnie mówią, więc słyszy się nieraz najbardziej sprzeczne opinie o mojej osobie.

Nie mam jednak tego nikomu za złe, bo właściwie tylko bardzo niewielu ludzi potrafi zrozumieć, dlaczego malarz postępuje tak a nie inaczej. Chłopom i mieszczuchom podejrzany wydaje się każdy, kto dla wyszukania jakichś malowniczych zakątków albo modeli włóczy się po różnych zakamarkach i wertepach. Zwykli ludzie wolą raczej tam nie zaglądać, bo mogą ich spotkać przykrości i nasłuchać się mogą cierpkich uwag, tak że sucha nitka na nich nie zostanie.

Gdy jakiś chłop widzi, że rysuję pień drzewa i poświęcam na to długie godziny, myśli oczywiście, że ma do czynienia z wariatem i śmieje się ze mnie. Tak samo jakaś młoda pani, która z pogardą patrzy na robotnika w połatanym i przepoconym ubraniu roboczym, nigdy nie potrafi zrozumieć, dlaczego ktoś zwiedza Borinage czy Heijst, a nawet zapuszcza się do sztolni w kopalni węgla. Ona także dojdzie do wniosku, że zwariowałem.

Na szczęście opinie tych ludzi nic a nic mnie nie obchodzą, a ważne jest tylko to, co ty, pan T., C. M., ojciec i kilka innych osób, z którymi mam coś do czynienia, będzie o mnie myślało. Chciałbym, żebyście już przestali ciągle mi zwracać uwagę i powiedzieli sobie wreszcie: wszystko to jest związane z jego zawodem, a więc rozumiemy, dlaczego tak właśnie postępuje.

Powtarzam jeszcze raz: w obecnej sytuacji nie rozumiem, dlaczego nie miałbym przyjechać np. do Etten czy do Hagi. A jednak jestem pewien, że ci panowie będą na mnie plotkować co niemiara.

Ojciec przed swoim wyjazdem powiedział mi: „Gdy będziesz chciał przyjechać, napisz do Thea i ustalcie wspólnie, jak najlepiej i najtaniej zorganizować podróż". Bądź więc tak dobry i napisz mi zaraz, co o tym myślisz.

12 kwietnia 1881

Dowiaduję się od ojca, że może przyjedziesz do Etten w najbliższą niedzielę, więc jeżeli i mój przyjazd do Etten będzie mile widziany, to dziś jeszcze wyjadę.

Mam nadzieję, że niedługo się spotkamy.

ETTEN kwiecień 1881— grudzień 1881

Po przybyciu do Etten w połowie kwietnia, Vincent od razu zabiera się do pracy. Gdy pogoda na to pozwala, wychodzi i rysuje na wsi chłopów: kopaczy, siewców itp. Chciałby także malować, więc wuj z Prinsenhage ofiarowuje mu kasetę z farbami.

W powietrzu wisi dramat — dramat sentymentalny, Vincent zakochuje się w swojej kuzynce. Ta wdowa z dzieckiem, ale jeszcze młoda kobieta, żyje tylko przeszłością i dlatego odrzuca jego propozycje. Vincent nalega, niezdarnie, bo to przecież jego pierwsza miłość. Ojciec interweniuje i musi mu powiedzieć kilka słów prawdy: nie jesteś zdolny zarabiać na życie, a poza tym jesteś zepsuty złą lekturą.

Po tym zajściu Vincent wyjeżdża do Hagi, gdzie kuzyn jego, malarz Mauve, cieszy się dużym powodzeniem. Vincent próbuje uciec od wszystkiego i poświęcić się malarstwu.

Jedynie Theo okazywał się zawsze wyrozumiały wobec brata. Wymiana korespondencji, podobnie jak rozmowa, odbywa się w dalszym ciągu po holendersku (w okresie 1880 do 1881 Vincent pisze parę listów po francusku, ale późniejsze listy są coraz częściej przeplatane zdaniami francuskimi).

1 maja 1881

Z okazji twoich urodzin składam ci najserdeczniejsze życzenia. Ciągłe jeszcze wspominam twoje odwiedziny i cieszę się, że znowu mogliśmy z sobą porozmawiać. Chyba

nic nie stanie na przeszkodzie, żebyś w lecie przyjechał do nas znowu. Od kilku dni jestem już tutaj, pogoda jest śliczna, ale nieraz chłody nie pozwalają mi malować na dworze.

Pisuj do mnie jednak od czasu do czasu, przecież wiesz, że bardzo mi zależy na częstych wiadomościach. A gdybyś się przypadkiem dowiedział, że jest gdzieś praca dla grafika, pomyśl wtedy o mnie.

Za chwilę odchodzi poczta, chciałem ci więc tylko napisać, co się ze mną dzieje, ale i ciebie proszę, poradź mi od czasu do czasu, co najlepiej rysować i jakich szukać tematów. Czasem będę z twych rad korzystał, czasem może nie, ale chodzi mi głównie o to, żebyś szczerze wypowiadał twoje uwagi, tak jak ja jestem szczery wobec ciebie. I ty i ja powinniśmy się nauczyć odróżniać ziarno od plewy.

Bez daty

Nie wiem, czy czytujesz czasem angielskie książki, jeśli tak, to polecam ci bardzo Shirley pióra Currer Bell, autorki powieści Jane Eyre. Jej książki są tak piękne, jak obrazy Millaisa, Boughtona czy Herkomera. Wpadła mi do ręki ta książka w Prinsenhage, przeczytałem ją w ciągu trzech dni, choć jest naprawdę pokaźnych rozmiarów.

Chciałbym, żeby wszyscy ludzie zdobyli tę umiejętność, którą ja zaczynam powoli zdobywać, umiejętność czytania książki bez wysiłku, w krótkim czasie, z zachowaniem na długo silnego wrażenia. Z czytaniem książek jest tak, jak z oglądaniem obrazów, trzeba bez wahania, bez wątpliwości, spontanicznie i z pełną świadomością znaleźć piękno tam, gdzie ono jest naprawdę.

Stopniowo staram się uporządkować moje książki; przeczytałem zbyt wiele, żeby zarzucić dalszą

systematyczną lekturę. Chciałbym przynajmniej trochę śledzić literaturę współczesną.

Czasem przykro mi bardzo, że za mało znam historię, zwłaszcza historię nowożytną. Ale cóż zrobić, żalami i załamywaniem rąk daleko się nie zajedzie, tu trzeba się wziąć do roboty i nieustannie dążyć do postępu. Wielką przyjemność zrobiło mi to, że w rozmowach, które ostatnio prowadziliśmy, dawałeś niejednokrotnie wyraz ciekawym i naprawdę zdrowym poglądom filozoficznym; kto wie, może z czasem staniesz się jeszcze wielkim myślicielem.

Jeżeli Stracone złudzenia Balzaka są dla ciebie zbyt długie (dwa tomy), zacznij od jednotomowego Ojca Goriot. Jak tylko zaczniesz czytać książki Balzaka, to zobaczysz, wszystko inne pójdzie w kąt; nie na darmo nadano Balzakowi przezwisko „weterynarza od nieuleczalnych chorób".

3 września 1881

Leży mi coś na sercu, co chciałbym ci opowiedzieć, ale może wiesz już o wszystkim, a to, co powiem, nie będzie nowiną- Chciałem ci więc wyznać, że przed kilku miesiącami, w lecie, zakochałem się w K. Ale na moje nieszczęście, gdy jej o tym wspomniałem, odpowiedziała mi, że jej przeszłość i przyszłość stanowią nierozłączną całość i dlatego nigdy nie będzie mogła odwzajemnić moich uczuć.

Po tym, co usłyszałem, byłem w straszliwej rozterce nie wiedząc doprawdy, co dalej robić; miałem z rezygnacją przyjąć to jej „nigdy, nie, przenigdy" czy nie uważać tego, co powiedziała, za ostateczne zerwanie, łudzić się nadzieją i nie dawać jeszcze za wygraną?

W końcu wybrałem to drugie i jak dotąd, nie żałuję powziętej decyzji, choć ciągle jeszcze żyję w niepewności, wobec owego „nigdy, nie, przenigdy". Łatwo się domyślić,

że po tym, co zaszło, spada na mnie całe mnóstwo „małych utrapień życia ludzkiego". Gdyby były tylko tematem jakiejś książki, mogłyby stanowić dla niejednego czytelnika bardzo przyjemną lekturę, ale gdy się je przeżywa samemu, to przestają być przyjemnością i coraz bardziej dają się we znaki.

Zresztą jak dotąd, jestem bardzo zadowolony, że system rezygnacji i how not to do it zostawiam tym, którzy mają do tego skłonności; jeżeli o mnie chodzi, wolę pozostać w ofensywie.

Jednym z powodów, dla których ci o tym wszystkim jeszcze dotąd nie pisałem, była sytuacja, w jakiej się znajdowałem, tak trudna i nieustabilizowana, że nie miałem odwagi dokładnie ci jej przedstawić.

W ostatnim czasie sprawy zaszły już tak daleko, że trzeba było kilka osób w nie wtajemniczyć, więc prócz K. wiedzą już o wszystkim ojciec i matka, wuj i ciotka S., oraz wuj i ciotka z Prinsenhage.

Jedyną osobą życzliwą dla mnie, która się odważyła pocieszać mnie, oczywiście na osobności i całkiem nieoficjalnie, był wuj Cent, po którym najmniej się tego spodziewałem. Jego zdaniem, gdy będę na serio pracował, to przy odrobinie szczęścia, szanse moje mogą wzrosnąć. Wuj Cent śmiał się z mojej reakcji na owo „nigdy, nie, przenigdy", bo zamiast płakać — śmiałem się. Mam nadzieję, że takim już pozostanę i nie dopuszczę do siebie nastrojów melancholii i rozpaczy. Odkąd ją poznałem, moja bardzo ciężka praca idzie mi dużo sprawniej.

Mam wrażenie, że już niedługo mój los się zdecyduje, a tymczasem mam mnóstwo kłopotów, bo kilka starszych osób z jej otoczenia uznało sprawę za definitywnie zakończoną i starają się zmusić mnie do rezygnacji. Ludzie ci działają jeszcze bardzo ostrożnie, chcieliby mnie trzymać na pasku pod presją gróźb i obietnic, choćby do czasu

wielkiego przyjęcia u wujostwa, które ma się odbyć w grudniu. Potem zastosują pewno bardziej drastyczne metody, żeby się mnie pozbyć.

Wybacz mi, jeżeli użyłem zbyt szorstkich wyrażeń, ale zrobiłem to tylko dlatego, żeby przedstawić ci wyraźnie sytuację, w jakiej się obecnie znajduję; może maluję te sprawy w czarnych kolorach, może zarysy są zbyt ostre, ale na pewno w ten sposób lepiej zdasz sobie sprawę z sytuacji, niż gdybym miał wszystko owijać w bawełnę. Nie chciałbym, abyś mnie podejrzewał o brak szacunku dla ludzi starszych, ale wiem dobrze, że właśnie te kilka osób zdecydowanie przeciwstawia się moim projektom i że chcieliby za wszelką cenę przeszkodzić naszym spotkaniom, rozmowom i wymianie listów, bo w Ich mniemaniu te kontakty mogłyby jeszcze skłonić K. do zmiany postanowienia.

K. nie ma zamiaru zmieniać decyzji, ale ci starzy ludzie chcą mnie koniecznie przekonać, że ona decyzji nie tylko zmienić nie chce, ale i nie może, bo obawiają się Jednak jakichkolwiek zmian. Te stare osoby zmieniłyby na pewno zdanie, ale nie wtedy, gdyby mnie K. pokochała, tylko wtedy, gdybym zaczął zarabiać przynajmniej 1000 guldenów na rok. Jeszcze raz proszę cię o przebaczenie, bo może ten obraz ma zbyt grube kontury. Z pewnością doszły już do ciebie najrozmaitsze plotki, bo oni rozgłaszają, że chcę użyć wobec niej przymusu, nie mówiąc już o innych, podobnie głupich insynuacjach, a przecież każdy rozsądny człowiek zdaje sobie sprawę, jakim nonsensem jest przymus, gdy się kogoś naprawdę kocha. O nie, tego rodzaju metody są mi całkiem obce. Jeżeli K. i ja chcemy się z sobą widywać, chcemy rozmawiać, chcemy czasem do siebie napisać, to przecież nie jest to samo w sobie czymś aż tak zdrożnym czy też nierozsądnym. Chcielibyśmy się po prostu lepiej poznać, a później zdecydujemy Już sami, czy sobie odpowiadamy, czy nie.

Rok przebywania z sobą miałby zbawienny wpływ tak na nią, jak i na mnie, ale cóż zrobić, starzy są dziwnie uparci i nie chcą nawet o tym słyszeć.

Nie chciałbym ominąć żadnej okazji zbliżenia się do niej, to chyba dobrze rozumiesz, więc na przekór wszystkim postanowiłem, że

Tak długo kochać cię będą, Póki miłości twojej nie zdobędę.

Theo, a może ty także jesteś zakochany? Chciałbym bardzo, żeby tak było, bo wierz mi, w miłości nawet „małe utrapienia" mają także swój urok. Czasem przeżywa się okresy rozpaczy, czasem na moment ma się wrażenie, jakby się było w piekle, ale jednocześnie ma się jakąś instynktowną świadomość wspólnoty z czymś innym, z czymś lepszym. Istnieją tylko trzy możlwości:

1° nie kochać 1 nie być kochanym

2° kochać i nie być kochanym (Uwaga Vincenta: Tak jest właśnie w moim wypadku)

3° kochać i być kochanym.

Na pewno druga możliwość jest lepsza od pierwszej, ale ta trzecia! Tak, ta trzecia to jest właśnie „to". Tak więc, old boy, zakochaj się także, zwierz mi się z tego przy okazji, bądź mocny w miłości i obdarzaj mnie nadal twą sympatią.

Gdybyś był kiedy zakochany i usłyszał: „nigdy, nie, przenigdy", nie dawaj jeszcze za wygraną! Nie uwierzę jednak, żeby ci się to mogło przytrafić, wszak byłeś zawsze dzieckiem szczęścia.

7 września 1881

Old boy, list ten jest przeznaczony wyłącznie dla ciebie, będziesz go więc nosił przy sobie, czy tak?

Wcale bym się nie zdziwił, gdyby mój poprzedni list wywarł na tobie dziwne wrażenie, ale po przeczytaniu go na pewno będziesz innym okiem patrzał na mnie i na moje sprawy. Dużymi prostymi kreskami, jakby naszkicowanymi węglem, starałem się przedstawić ci właściwe proporcje i plany, a gdy główny zarys będzie już gotowy, zacznę usuwać węgiel chustką albo piórkiem, a wtedy ukażą się dokładniejsze i bardziej subtelne kontury.

Z tego powodu ten mój drugi list będzie utrzymany w tonie bardziej intymnym, nie będzie już tak twardy i szorstki jak poprzedni.

Zanim go zacznę, muszę cię zapytać, czy wierzysz w istnienie miłości, miłości tak poważnej i gorącej, że nie stygnie nawet wtedy, gdy usłyszało się: „nigdy, nie, przenigdy"?

Chyba miłość tak pojęta nie powinna wzbudzić twego zdziwienia, chyba wyda ci się czymś naturalnym i samo przez się zrozumiałym.

Miłość jest uczuciem pozytywnym, uczuciem silnym, uczuciem tak prawdziwym, że dla kogoś, kto kocha, wyzbycie się miłości jest tak samo niemożliwe, jak zamach na własne życie. Na pewna powiesz mi na to, że są przecież ludzie, którzy odbierają sobie życie, ale odpowiem ci po prostu, że mnie to nie dotyczy, nie jestem kandydatem na samobójcę i nikt mnie chyba nie posądzi o tego rodzaju skłonności.

Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem przywiązany do życia, odkąd poznałem, co to prawdziwa miłość. Moje życie i moja miłość stanowią nierozłączną całość. Powiesz mi na to, że zapominam o jej odmowie, o owym „nigdy, nie, przenigdy". A jednak, old boy, dla mnie to jej „nigdy, nie, przenigdy", to tylko kawałek lodu, który tak długo będę przyciskał do serca, aż się roztopi.

Kto w tej walce zwycięży, czy zimno kawałka lodu, czy ciepło mego żyjącego ciała, to jeszcze bardzo delikatna sprawa i chwilowo nie mam zamiaru się wypowiadać, chodzi mi tylko o to, żeby ludzie pozamykali gęby, skoro już nic innego nie potrafią powiedzieć, jak tylko: „nie do roztopienia", „czyste wariactwo" — nie mówiąc już o innych, tak samo przyjemnych insynuacjach. Gdybym miał przed sobą górę lodową z Grenlandii czy z Nowej Ziemi, olbrzymich rozmiarów, nie wiem ile metrów wysoką i szeroką, sytuacja moja byłaby wtedy bardzo trudna, gdyż objęcie czy roztopienie na własnym sercu tego rodzaju przeszkody byłoby niemożliwością.

Jednak chwilowo nie widzę na mojej drodze gór lodowych tak wielkich rozmiarów, a to jej „nigdy, nie, przenigdy" nie stanowi aż tak gigantycznej przeszkody, tyle metrów długiej i szerokiej, żeby według moich obliczeń nie dało się jej przezwyciężyć. Dlatego nie mogę się dopatrzeć w moim postępowaniu jakiegoś „maniactwa".

Jeżeli więc o mnie chodzi, to przyciskam z całych sił ów kawałek lodu „nigdy, nie, przenigdy" do mojego serca i za nic na świecie się go nie wyrzeknę, a jeżeli uwziąłem się, żeby znikł i roztopił się, to któż ma prawo temu się sprzeciwiać? Z jakiego podręcznika fizyki przeciwnicy moi dowiedzieli się, że lód się nie rozpuszcza, to pozostanie dla mnie zagadką.

Gdy spotykam tych ludzi patrzących na wszystko w czarnych kolorach, doprowadza mnie to do rozpaczy, ale nie mam najmniejszej ochoty z tego powodu wpaść samemu w melancholię i stracić dobry humor, z takim trudem zdobyty. Od melancholii jestem na szczęście bardzo daleki.

Ci, co mają na to ochotę, mogą być nadal wiecznymi melancholikami, mnie to jednak nie odpowiada, chcę być wesoły jak skowronek na wiosnę! Wbiłem sobie do głowy tylko tę jedną piosenkę: „kochać jeszcze". Czy myślisz, Theo, że to przyjemnie rozpamiętywać stale owe „nigdy,

nie, przenigdy"? Mnie się wydaje, że to do przyjemności nie należy, a jednak znalazło się kilka osób, co nic o tym nie wiedząc i oczywiście „w najlepszej wierze i w najlepszych zamiarach" postanowiło wyrwać mi z serca ten kawałek lodu i na nic nie zwracając uwagi chcą chłodzić moje gorące uczucie wiadrami zimnej wody, szkodząc mi przez to dużo Więcej, niżby się im to mogło wydawać.

Jestem jednak całkiem pewien, old boy, że nawet dużo wiader zimnej wody nie potrafi mnie ostudzić. Czy nie uważasz, że to szczyt podłości, gdy ludzie ci wmawiają we mnie, że powinienem Już się przygotować na najgorsze, bo niedługo dowiem się, że przyjęła oświadczyny jakiegoś innego, bogatego mężczyzny, że bardzo wyładniała i ma jeszcze wielu innych starających, że zdecydowanie ma jakąś awersję do mnie, bo uczucia brata do siostry mi nie wystarczają (to zostało uznane za ostateczną granicę) i że byłoby im bardzo przykro, gdybym miał przepuścić jakieś inne, dużo lepsze okazje!

Ktoś, kto nie umie powiedzieć: „ta albo żadna", czy będzie wiedział, co to znaczy miłość?

Gdy opowiadano mi o tych intrygach, serce, dusza i rozum buntowały się i wyrażały tylko tę jedną myśl: „ta albo żadna". „Wykazujesz słabość, zarozumialstwo, głupotę i nieznajomość spraw tego świata — mógłby ktoś powiedzieć — gdy powtarzasz ciągle: »ta albo żadna . Zostaw sobie jeszcze jakąś furtkę do odwrotu, czy to ma sens?" Nie chcę o tym myśleć!

W moich oczach ta rzekoma słabość jest właśnie moją siłą. Od „tej albo żadnej" chcę być zależny i nawet gdyby to było możliwe, nie chciałbym się wyzbyć tej zależności.

Ona kochała już kogoś innego, żyje ciągle jeszcze tylko przeszłością i na samą myśl o jakichś nowych powikłaniach miłosnych ma już wyrzuty sumienia. Jest takie francuskie

przysłowie, na pewno dobrze ci znane: „Trzeba kochać, potem przestać kochać, potem kochać znowu"

Kochać znowu: moją drogą, po trzykroć drogą, moją najdroższą.

Wiem dobrze, ona żyje tylko przeszłością i tylko przeszłość dla niej istnieje, a jednak, choć jestem pełen respektu dla jej uczuć, a jej głęboka żałoba wzrusza mnie do głębi, to jednak postawa jej tchnie zbytnio jakimś fatalizmem.

W tej sytuacji nie wolno mi być słabym, muszę być silny i zdecydowany, jak stalowy nóż. Chciałem obudzić w jej uczuciach „coś nowego", coś, co by nie zacierało jej dawnych wspomnień, a zdobyło sobie równorzędne prawo istnienia.

Gdy zacząłem do niej mówić, mówiłem z początku bardzo niezręcznie i nieśmiało, ale wkrótce mówiłem już z determinacją. Zakończyłem słowami: „Kocham ciebie jak siebie samego". Na to odpowiedziała mi: „Nigdy, nie, przenigdy".

„Nigdy, nie, przenigdy" — cóż można temu przeciwstawić, chyba: „kochać znowu". Nie do mnie należy decyzja, Bóg tylko wie, kto z nas zwycięży. Ja wiem tylko, że that I had better stick to my faith . Gdy w lecie tego roku usłyszałem owo „nigdy, nie, przenigdy", Bogu tylko wiadomo, jakie to było straszne, choć właściwie powinienem był być na to przygotowany. Z początku byłem zupełnie zdruzgotany, jakbym usłyszał jakieś przekleństwo z nieba i przez chwilę naprawdę leżałem powalony na ziemi. W tym stanie niewymownego strachu przyszła mi do głowy pewna myśl, jak promień światła podczas ciemnej nocy: kto może rezygnować, niech zrezygnuje, ale ja mogę wierzyć i będę wierzyć! Wtedy, opanowawszy uczucie rezygnacji, powstałem już jako wierzący i miałem tylko jedną myśl: „ta albo żadna"!

Powiesz zapewne: „z czego będziesz żył, gdy ją zdobędziesz", albo może: „ty jej i tak nie zdobędziesz". O nie, tego chyba nie powiesz! A jednak pamiętaj: kto kocha, ten żyje, kto żyje — ten pracuje, a kto pracuje — ten ma chleb.

Od tego czasu bardzo się już uspokoiłem, a spokój ma ogromny wpływ na moją pracę, która mnie coraz bardziej pociąga. Chyba dlatego jestem przeświadczony o moim powodzeniu w przyszłości. Nie stanę się od razu jakąś wielką sławą, ale będę chyba takim przeciętnym, uczciwym malarzem. Jeżeli użyłem słowa „przeciętny", to dlatego że chcę, by moje malarstwo było uznane za rzetelną i rozumną pracę, żeby miało jakąś rację bytu, żeby wreszcie mogło się gdzieś na coś przydać. Nic nie łączy nas tak z rzeczywistością, jak prawdziwa miłość, więc chyba ten, kto zmierza do rzeczywistości, nie może być na fałszywej drodze. Myślę, że nie. Sam nie wiem, do czego można porównać to dziwne uczucie, to dziwne jakieś odkrycie, jakim jest „miłość". Gdy się człowiek na dobre zakocha, odkrywa w swoim życiu jakiś nowy ląd. I dlatego życzyłbym ci bardzo, żebyś i ty się zakochał, ale do tego potrzebna jest ona. Znaleźć ją można, tak jak wszystko inne: po prostu kto szuka, ten znajduje, ale samo znalezienie, to już raczej kwestia szczęścia, a nie nasza zasługa.

Największa niespodzianka spotyka cię wtedy, gdy ją wyszukasz i... i... i... zamiast usłyszeć z jej ust: „tak, na wieki", usłyszysz: „nigdy, nie, przenigdy". Tak, to jest nie tylko trochę nieprzyjemne, to naprawdę straszne.

Na szczęście dobrze pamiętam jeszcze, co mawiał wuj Jan: „Diabeł nie jest nigdy tak czarny, żeby go nie można było oglądać na własne oczy". Tak samo rzecz się ma z owym „nigdy, nie, przenigdy".

Jak tylko dostaniesz i przeczytasz ten list, musisz koniecznie zaraz do mnie napisać, jeżeli tego jeszcze dotąd nie zrobiłeś. Teraz oczywiście z niecierpliwością czekam na

list od ciebie, po tym wszystkim, co do ciebie napisałem. Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie za to, co powiedziałem, i w gruncie rzeczy przyznajesz mi pewno słuszność i zgadzasz się ze mną, gdy chodzi o sprawy tak zasadnicze, jak to, że uznałem za rzecz nieodzowną powiedzieć sobie raz na zawsze: „ta albo żadna".

Bez daty

Od początku tej mojej miłości miałem uczucie, że trzeba wszystko postawić na jedną kartę, bez ubocznych myśli, bez możliwości odwrotu, z całego serca, niepodzielnie, zupełnie i na zawsze, tak żebym po spaleniu za sobą wszystkich mostów nie miał najmniejszych szans, a wiem przecież, że szanse moje są niewielkie. Cóż jednak mogą mnie obchodzić większe czy mniejsze szanse? Pytam się ciebie, czy muszę i czy mogę brać je pod uwagę, skoro kocham? Nie — tutaj nie może być mowy o rachunku zysków i strat, kocha się, bo się kocha.

Kochać — jakież to wspaniałe! Wyobraź sobie, co by prawdziwa kobieta pomyślała, gdyby zauważyła, że ktoś prosząc o jej rękę chciałby sobie zostawić jeszcze jakąś furtkę odwrotu. O, z pewnością usłyszałby wtedy coś dużo gorszego niż to moje „nigdy, nie, przenigdy"!

Ach, Theo, nie mówmy już o tym więcej, albo się kocha, albo się nie kocha, to wszystko!

Gdy kochamy, umysł nasz staje się bystry, rozjaśniają się myśli, nie dręczymy już naszych uczuć, nie gasimy ani ognia, ani światła i mówimy wtedy po prostu: Bogu dzięki, jestem zakochany.

I co by też pomyślała prawdziwa kobieta o kochanku, który przyszedłby do niej, przekonany już z góry o swym zwycięstwie? Nie dałbym złamanego szeląga za jego szanse

u takiej osoby, jak K., i nawet za sto tysięcy nie zamieniłbym jego szans na moje „nigdy, nie, przenigdy".

Gdy się kiedyś zakochasz, nie zostawiaj sobie furtki odwrotu, albo raczej: jeżeli się zakochasz, to nie będziesz myślał o odwrocie.

A takie, gdy będziesz zakochany, nie bądź z góry taki pewny, że zostaniesz przyjęty, będziesz wtedy „duszą cierpiącą", a jednak będziesz się uśmiechał. Kto jest zanadto pewny wygranej, kto już z góry wyobraża sobie: „ona będzie moją", zanim rozegra się ta walka dusz, ta walka o miłość, kto nie wyszedł na pełne morze w czas sztormu i nawałnicy, kto nie zmagał się na śmierć i życie a żywiołem, ten wie zbyt mało, co to serce prawdziwej kobiety. Kiedyś taka prawdziwa kobieta da mu na pewno nauczkę, tak że będzie ją pamiętał na długie lata. Gdy byłem jeszcze młody, w połowie zdawało mi się, że jestem zakochany, a drugą połową byłem zakochany naprawdę. Ale niestety, wynik był opłakany: wiele lat samych tylko upokorzeń. Nie chcę teraz znowu znosić upokorzeń na próżno, tak jak dawniej.

I speak as one who has been down , po gorzkich doświadczeniach, po ciężkich stratach, pod pręgierzem wstydu.

Dziecko szczęścia! what's the matter? what alleth thee! Może do dziś nie byłeś jeszcze właściwie dzieckiem szczęścia, ale jestem pewien, że jesteś na najlepszej drodze, aby nim zostać. Wnioskuję to z tonu twoich listów.

Theo, ty pewno wiesz, że ojcowie, którzy mają córki, mają także taki przyrząd, który się nazywa klucz od bramy. Jest to bardzo niebezpieczna broń w ich ręku, bo można nią otwierać i zamykać bramą, podobnie jak Piotr i Paweł — bramę niebios.

Ale czy ten mały przyrząd pasuje tak samo do serc pewnych córek? Czy serca te otwiera się i zamyka kluczem

od bramy? Myślę, że nie, bo tylko Bóg i miłość władne są otwierać lub zamykać serca kobiet. Czy jej serce otworzy się kiedyś? Bracie powiedz, czy ona mnie kiedyś wpuści do domu? Bóg raczy wiedzieć — ale nie ja!

12 listopada 1881

Piszesz mi: „Gdybym był na Twoim miejscu, zrobiłbym to samo, nie traciłbym jeszcze nadziei, ale starałbym się absolutnie nie mieszać do tych spraw innych osób, nie mających z tym nic wspólnego, Myślę, że tak postępując, zmusisz do milczenia tych, co się za bardzo tobą interesują, i wytrącisz im bron z ręki". Taktykę tę stosowałem już wiele razy i od dawna uważam ją za najlepszą broń. Więc to, co piszesz, nie jest dla mnie żadną rewelacją. Teraz powiem ci tylko, te wszystko to wiem, ale co ty wiesz poza tym?

Nie powinieneś zapominać, że w wielu wypadkach pozostawanie w defensywie jest taktyką niewystarczającą, zwłaszcza wtedy, gdy plan batalii strony przeciwnej oparty jest na może trochę przedwczesnym założeniu, że ja już na nic innego nie mogę się zdobyć, jak tylko na oczekiwanie.

Wierz mi, Theo, jeśli kiedyś będziesz zakochany i opętany taką miłością jak ja — a czemu nie miałbyś, chłopie, tuk właśnie się zakochać — to odkryjesz w sobie jakąś całkiem nową istotę. Ludzie tacy, jak ty i ja, obracający się w środowisku mężczyzn, ciągle w pogoni za takimi czy innymi interesami, ty za dużymi, ja za małymi — otóż tacy ludzie zwykli są robić wszystko, co robią, rozsądnie, z głową na karku, z chłodnym wyrachowaniem, w myśl jakiejś ustalonej polityki. Aż tu nagle zakochujesz się i odkrywasz ku swojemu wielkiemu zdumieniu jeszcze inną siłę zmuszającą do działania, odkrywasz mianowicie uczucie.

Czasem jesteśmy skłonni brać to wszystko na wesoło, niemniej prawdą jest, że gdy jesteśmy zakochani, to

najczęściej mówimy: I don't go to my head to ask my duty in this cast, I go to my heart .

Myślę jednak, że nie jest twoim życzeniem, abym zaliczał moich rodziców lub też jej rodziców do osób „nie mających z tym nic wspólnego". Przeciwnie, nie mogę sobie wyobrazić, jakbym mógł nie rozmawiać z nimi o tych sprawach od czasu do czasu.

Zwłaszcza teraz, gdy właściwie nie odnoszą się jeszcze do tej sprawy ani pozytywnie, ani negatywnie, a więc nie robią niczego, co by mogło korzystnie lub niekorzystnie wpłynąć na jej obrót. Nie rozumiem zupełnie, jak mogą tak wytrzymać, ale widać sprawy te ani ich grzeją, ani ziębią. Jest w tym wszystkim coś żałosnego.

Ileż to drogiego czasu traci się na pewno w ten sposób! A może chciałbyś, żeby i ciebie zaliczyć do osób, „które nie mają z tym nic wspólnego i które trzeba całkowicie od tej sprawy odsunąć"? Jeżeli tak, to nawet wbrew twojej woli będę o niej mówił od czasu do czasu. Widzisz, rzecz się ma tak samo z rodzicami czy też z wujem i ciotką S. Pamiętam, gdy w lecie chciałem ojcu coś powiedzieć, przerwał mi opowiadaniem jakiejś anegdotki o człowieku, co jadał za dużo, i o człowieku, co jadał za mało. Było to zupełnie nie na miejscu i anegdota nie miała sensu, tak że pomyślałem sobie: czyżby ojciec miał źle w głowie?

Może ojciec był wtedy zdenerwowany, może trochę zaskoczony, a przecież pod jego okiem, przez całe dnie i tjjgodnie chodziłem z nią na spacery i rozmawialiśmy z sobą. Czy oczy jego teraz, w tym nastroju, mogą lepiej widzieć? Myślę, że nie. Gdybym jeszcze ciągle wahał się i zastanawiał, i nie był zdecydowany, łatwiej by mi było zrozumieć stanowisko rodziców. Ale teraz sprawa jest zupełnie jasna. To moja miłość kazała mi powziąć decyzję, czuję przypływ energii, nowej, zdrowej energii. Każdy, kto naprawdę kocha, odczuwa to samo. Bracie, to, co ci chcę powiedzieć, to ni mniej ni więcej, tylko to, w co wierzę z całą

siłą: mężczyzna, każdy mężczyzna, nosi w sobie, nic o tym nie wiedząc, coś szczególnego, jakąś wielką, głęboko ukrytą moc, która prędzej czy później budzi się w nim, gdy spotka kogoś, o kim może powiedzieć: ta albo żadna.

Gdy u kogoś chciwość i pycha biorą górę nad miłością, to moim zdaniem człowiek ten jest nienormalny. Ale gdy ktoś żyje tylko miłością i nie umie zarobić na kawałek chleba, to i tu jest coś nie w porządku.

Pycha i chciwość, gdy się w nas zakorzenią, żyją zawsze w niezgodzie z miłością. Obie te siły drzemią gdzieś na dnie duszy każdego z nas od urodzenia i dopiero później dochodzą do głosu, najczęściej w nieodpowiedniej proporcji; u jednych dominuje zbyt wyraźnie miłość, u innych pycha i chciwość.

I ty, i ja jesteśmy już w tym wieku, że powinniśmy utrzymać w należytej proporcji te sprzeczne ze sobą siły.

Gdy miłość dochodzi do swoich praw, do swoich pełnych praw, ludzkie charaktery na pewno kształtują się lepiej, aniżeli gdy górę biorą Pycha i jej wspólnicy.

Może właśnie dlatego, że miłość jest uczuciem tak bardzo silnym, jesteśmy, zwłaszcza w młodym wieku (mam na myśli 17, 18, 20 lat), zbyt słabi, aby utrzymać ster mocno w ręku.

Namiętności są żaglami naszej łodzi, pewno tak samo wyobrażasz to sobie.

Ktoś, kto w dwudziestym roku życia kieruje się li tylko swoim uczuciem, chwyta zbyt dużo wiatru w swoje żagle, łódź jego wtedy tonie, a on sam albo tonie, albo jakimś cudem wypływa jeszcze na powierzchnię.

Inaczej rzecz się ma, gdy ktoś wciąga na maszt tylko żagle Pychy i jej wspólników. Żegluje wtedy przez życie jak przez morze, bez wypadków, bez lawirowania, aż wreszcie, wreszcie przychodzi moment, kiedy spostrzega, że już nie ma żagli, więc woła przerażony: wszystko, co tylko

posiadam, oddam za jeden metr kwadratowy żagla, bo już nie mam żagli!

Ogarnia go wtedy czarna rozpacz.

Ach! i wtedy przypomina sobie, że może wprząc do swej łodzi inną siłę, ma przecież żagiel tak bardzo pogardzany i przechowywany pod pokładem jak zbędny balast. I ten żagiel ratuje go.

Żagiel miłości musi go uratować; jeśli go nie znajdzie, nie dopłynie do portu.

Ten wypadek, wypadek chłopca dwudziestoletniego, którego łódź wywróciła się i zatonęła — nie, nie zatonęła, zanurzyła się tylko i wypłynęła na powierzchnię — to właśnie wypadek twojego brata V., tego, który pisze do ciebie jako człowiek who has been down but yet came up again .

Jakaż była ta moja miłość, gdy miałem 20 lat? Trudno mi to dzisiaj zdefiniować, w każdym razie cielesne namiętności były wtedy bardzo słabe, może dlatego, że żyłem przez kilka lat w nędzy i ciężko pracowałem. Za to duchowe namiętności były bardzo silne i co najciekawsze, nie zależało mi zupełnie na wzajemności, nie prosiłem o żadną łaskę, chciałem tylko dać z siebie jak najwięcej, niczego nie przyjmując w zamian. Wszystko to było głupie, błędne, przesadzone, zarozumiale i zuchwałe, bo w sprawach serca nie można tylko dawać, trzeba także brać, nie można też tylko brać, trzeba także dawać. Kto odstępuje od tej reguły w jedną albo w drugą stronę, musi upaść i nie ma dla niego litości. Tak upadłem i ja, i chyba zawdzięczam to tylko cudowi, że wydostałem się znowu na powierzchnię. Do odzyskania równowagi duchowej doszedłem stopniowo, głównie dzięki czytaniu różnych praktycznych książek o chorobach duszy i ciała.

Nauczyłem się czytać we własnym sercu i w sercach innych ludzi. Stopniowo zacząłem kochać i innych ludzi, i

siebie samego, aż krok za krokiem odnalazłem własne serce i własną duszę, zniszczone, zepsute i wyjałowione przez długi okres straszliwej nędzy.

Im bardziej powracałem do realnego życia i stykałem się z ludźmi, tym bardziej nowe życie budziło się we mnie, aż wreszcie spotkałem ją.

W Piśmie świętym powiedziano: będziesz kochał bliźniego jak siebie samego. Można odstąpić od tej reguły w jedną albo w drugą stronę, ale to się zawsze mści. Wydaje mi się, że wszystko dać i wszystko otrzymać, to jest miłość, prawdziwa, właściwa, ale istnieją jeszcze dwa inne bieguny: 1° — wszystkiego żądać, nic nie dając w zamian i 2° — niczego nie żądać, wszystko dając z siebie.

Te dwa skrajne bieguny są dla każdego fatalne, oba są przekleństwem. Oczywiście są i tacy, którzy właśnie te skrajne odchylenia bardzo sobie chwalą, mamy więc w pierwszej grupie wszystkich łajdaków, których zwą oszustami, złodziejami, lichwiarzami, a w drugiej jezuitów i faryzeuszów, męskich i żeńskich, a więc także łajdaków — słyszysz?

Jeżeli mi piszesz: „uważaj, żebyś nie zasmakował w tym: »nie, nigdy, przenigdy ", i rozumiesz przez to: nie dawaj z siebie wszystkiego nic nie otrzymując w zamian, to masz zupełną słuszność. Mogę ci na to tylko odpowiedzieć, że raz już popełniłem podobny błąd. Wyrzekłem się kiedyś dziewczyny, ona wyszła za kogoś innego, musiałem więc odejść od niej, ale ciągle o niej myślałem. Fatalne!

Ale po szkodzie i upokorzeniu stałem się mądrzejszy i mówię teraz: zobaczymy, daleki jestem jeszcze od rezygnacji, może cierpliwością i energią osiągnie się zamierzony cel, który na pewno da więcej radości. Użyję całego mego zdrowego rozsądku, żeby roztopić wreszcie to jej „nigdy, nie, przenigdy".

Theo, chcę ci udowodnić, że umiem jeszcze logicznie rozumować, choć jestem zakochany, więc słuchaj:

Gdybyśmy, ona i Ja, byli z natury sentymentalni, o miękkim sercu, to dawno by mi się oddała, a potem czekałaby nas bieda, głód, zimno i choroby. A jednak lepiej by było, gdyby mi się była oddała, aniżeli tak, jak jest.

Gdyby mnie poniosła wtedy jakaś dzika namiętność, a ona by mi się oddała, to namiętność moja ostygłaby bardzo szybko i „nazajutrz po uczcie" ja byłbym w rozpaczy, a ona miałaby złamane serce.

Gdyby była kokietką i igrała z sercem mężczyzny, a mężczyzna 6w nie widział jej kokieterii, to byłby głupcem, takim naiwnym głupcem, bo tylko głupiec potrafi być aż tak naiwny.

Gdybym się uganiał za nią z jakichś niskich pobudek, dla pieniędzy lub np. z chęci rozpusty, i myślał przy tym: ona nie będzie mi się mogła wymknąć z takich czy innych powodów, to byłbym wtedy jeszcze bardziej przeklęty niż wszyscy jezuici i faryzeusze („przy okazji" chciałem cię zapewnić, że od tego jestem bardzo daleki).

Gdybyśmy bawili się w brata i siostrę, to takie postępowanie można by nazwać dziecinadą i byłoby to zresztą nie na miejscu.

Gdyby mojego uczucia nie chciała już nigdy, przenigdy odwzajemnić, to prawdopodobnie musiałbym zostać starym kawalerem.

Gdybym się dowiedział kiedyś, że kocha innego, wtedy odszedłbym od niej bardzo daleko. Gdybym się dowiedział, że wzięła sobie mężczyznę, którego nie kocha, tylko dlatego, że jest bogaty, zgodziłbym się wtedy na publiczną ekspiację, przeklinałbym swoją krótkowzroczność i powiedziałbym tylko: przez pomyłkę wziąłem obraz Brocharta za Jules Goupila albo jakiś współczesny sztych za dzieło Boughtona, Millaisa lub Tissota.

Czyżbym jednak był aż tak krótkowzroczny?

Mój wzrok, tak samo jak twój, jest dość przenikliwy i dosyć sprawny.

Gdybyśmy raz jeszcze mogli powstać do nowego życia, z nową energią, to przyszłość nie byłaby dla nas aż tak ponura.

Gdybyśmy zabrali się do roboty, ona swą drobną kobiecą rączką, a ja moją ręką malarza, to nie zabrakłoby powszedniego chleba ani nam, ani jej małemu. Gdybym chciał sobie zostawić jakąś furtkę, gdy starałem się o jej rękę, to mogłaby jeszcze mną gardzić, ale teraz gardzić mną nie może.

19 listopada 1881

Dziękuję ci za wyrazy sympatii, za pieniądze na podróż i za ocenę moich szkiców, może trochę zbyt pochlebną, jak na moje zasługi. Pisuj do mnie w dalszym ciągu, pisuj o mojej pracy. Nie obawiaj się, że. mnie urazisz uwagami, przeciwnie, każdą krytykę będę uważał za dowód sympatii, sympatii tysiąc razy więcej wartej niż pochlebstwo. Piszesz do mnie o rzeczach praktycznych i wiele rzeczy praktycznych powinienem się od ciebie nauczyć, bądź więc w dalszym ciągu moim kaznodzieją, bo ja nie wyrzekam się nawrócenia, przeciwnie, nawrócenie jest mi bardzo potrzebne.

- Chyba jeszcze żadnych pieniędzy nie odbierałem z taką wdzięcznością; myśl, że gdyby mi przyszło nagle wyjechać, nie mógłbym tego uczynić, była dla mnie nie do zniesienia. Teraz mam przynajmniej jakieś możliwości, z których skorzystam, bądź tego pewny.

Dawno zrobiłbym już to, gdybym miał przy duszy choć z dziesięć guldenów. Ale zanim wyjadę, muszę mieć pewność,

że o n a jest w domu. W tym celu prowadzę stałą korespondencję z naszą siostrą Wilhelminą, która stoi na posterunku i ma mnie zawczasu zawiadomić. W najbliższym czasie ona wybiera się do Haarlem, ale od W. dowiem się, kiedy ma wrócić do Amsterdamu.

Ach, Theo, ona jest taka subtelna, choć się tego nie widzi na pierwszy rzut oka. I ona, i ty, i ja robimy może wrażenie lekkomyślnych, ale w gruncie rzeczy w każdym z nas jest pion z mocnego drzewa. A to drzewo, z którego ona jest wyciosana, ma bardzo szlachetne słoje!

Zobaczymy, co będzie dalej.

Może przeżywasz także jakąś miłosną przygodę, jeśli tak, to powiedz mi o wszystkim szczerze, możesz być pewien mojej dyskrecji.

Gdybym nie był one who has been down , tylko tym, który zawsze siedział mocno w siodle, nie miałbyś ze mnie żadnego pożytku, ale właśnie dlatego, że przeszedłem przez tę mistyczną głębię udręki serca, istnieją szanse, że będę mógł ci udzielać praktycznych rad w takiej czy innej sprawie miłosnej.

Z moimi rysunkami i w sprawach życia praktycznego przychodzę do ciebie po uzdrowienie, ale kto wie, może i z mojej strony będę ci się mógł czymś przysłużyć, jeżeli będzie chodziło o kłopoty, miłosne.

Jeśli o mnie chodzi, to mam wiele uznania dla ojca Micheleta. Przeczytaj koniecznie L'Amour i La Femme, a jeżeli będziesz mógł te książki dostać, to także My wife and I i Our neighbours pióra Beecher-Stowe lub Jane Eyre i Shirley pióra Currer Bell. Ludzie ci mogą ci powiedzieć dużo więcej o tych rzeczach i dużo wyraźniej niż ja.

Mężczyźni i kobiety, których słusznie można zaliczyć do przedstawicieli współczesnego życia kulturalnego, jak np. Michelet i Beecher-Stowe, Carlyle i George Eliot i tylu, tylu innych, wołają do nas wielkim głosem: „Mężczyzno,

obojętne, kim jesteś, jeżeli masz serce w swoim ciele, pomóż nam stworzyć coś realnego, coś trwałego, coś prawdziwego, wybierz sobie jeden zawód i pokochaj jedną kobietę.

Niech zawód przez ciebie wybrany będzie zawodem nowoczesnym, obudź w twej kobiecie duszę wolną i nowoczesną, uwolnij ją od strasznych przesądów, które ją więżą jak kajdany. Nie powątpiewaj w pomoc boską, jeżeli postępujesz tak, jak Bóg chce, żebyś postępował. Bóg chce, aby teraz właśnie świat został zreformowany przez reformę obyczajów i przez wskrzeszenie ognia i światła wiecznej miłości. W ten sposób nie tylko sam osiągniesz powodzenie, ale będziesz także wywierał dobry wpływ na swoje środowisko. Czy wpływ ten będzie większy czy mniejszy, zależeć będzie od okoliczności". Tymi słowy Michelet zwraca się moim zdaniem do nas wszystkich.

Jesteśmy już ludźmi dorosłymi i jak żołnierze idziemy w szeregu naszego pokolenia. My nie należymy już do grupy, do której należy ojciec, matka i wuj S. — powinniśmy być wierniejsi współczesności i zapomnieć o przeszłości. Oglądanie się na przeszłość jest czymś fatalnym. Jeżeli starsi nas nie rozumieją, nie powinno nas to zbijać z tropu, my powinniśmy iść swoją drogą, nawet wbrew ich woli; później oni sami powiedzą: ci młodzi mieli jednak rację1

Może myślisz czasem, że w wielu dziedzinach mam duże braki, a w tysiącu innych wypadków jestem ograniczonym ignorantem, weź jednak pod uwagę, że to szybkie życie współczesne, w ciągłej gonitwie za czymś, doprowadza nas do jednostronności.

Czy mielibyśmy jednak jakieś wątpliwości, ty lub ja, gdyby przyszło nam prosić o rękę dziewczyny? Czy moglibyśmy tak wątpić i mniemać, że w końcu spotka nas niepowodzenie?

Z pewnością błędem jest, gdy jesteśmy zbyt pewni swojej sprawy, ale można z wiarą powiedzieć sobie: walka mej duszy nie pójdzie na marne, będę walczył, pomimo mojej słabości i moich błędów, będę walczył, raz gorzej, raz lepiej, ale zawsze ze wszystkich sił.

Nawet gdybym miał upaść 99 razy, za setnym razem powstanę!

Ludzie utrzymują, jakobym nie posiadał „środków utrzymania". A któryż to artysta nie musiał harować i oszczędzać, dopóki nie znalazł gruntu pod nogami? A czy istnieje inna droga, żeby stanąć na własnych nogach, jak harówka i oszczędzanie?

Od kiedy to malarz ze zdrowymi łapami nie będzie mógł już nic zarobić?

Haga, grudzień 1881

Jak widzisz, piszę do ciebie z Hagi.

Od ubiegłej niedzieli mieszkam już tutaj.

Rozmawiałem z Mauve'em i powiedziałem mu tak: „Czy zgodzisz się, żebym tu przychodził i gruntownie cię zanudzał jakiś miesiąc lub dwa. Po tym okresie wszystkie początkowe »drobne utrapienia« malarstwa będę miał już poza sobą i wrócę z powrotem do Heike".

Wyobraź sobie, Mauve posadził mnie od razu przed martwą naturą, na którą składała się para starych chodaków i kilka drobnych przedmiotów, tak że mogłem zabrać się od razu do roboty.

Wieczorami chodzę do niego i rysuję.

Mieszkam w jego sąsiedztwie w malutkim pokoiku i płacę 30 florenów za pokój i śniadanie. Jeżeli mogę liczyć na 100 franków od ciebie, to jakoś mi może wystarczy.

Mauve robi mi nadzieje, że w niedługim czasie będę już malował obrazy nadające się na sprzedaż. W końcu naszej rozmowy powiedział mi tak: „Zawsze myślałem, że z ciebie sowizdrzał, ale teraz widzę, że tak nie jest". I mogę cię zapewnić, że te kilka szczerych słów Mauve'a sprawiło mi więcej przyjemności, niż mogłyby mi sprawić całe fury jezuickich komplementów.

Mauve może napisze do ciebie niezadługo.

Wybrałem się do Amsterdamu. Wuj S. był jeszcze ciągle zły, ale używał już bardziej grzecznych wyrażeń, nie tak jak przedtem — „Idź do diabła!" Mimo jego złych humorów, nie żałuję, że tam pojechałem. Ale co robić dalej, bo trzeba ci wiedzieć, że wróciłem jeszcze bardziej zakochany niż przedtem. Nie dlatego, żeby K. miała mnie do tego zachęcać, przeciwnie, te odwiedziny napełniły mnie na chwilę, na 24 godziny, ogromnym smutkiem. Ale potem wszystko jeszcze raz gruntownie przemyślałem, bo coś mi mówiło: jakoś to będzie. I tak, powiadam ci, wyszedłem w moich rozmyślaniach daleko poza romantyzm i sentymentalizm. Oczywiście, moja sytuacja coraz mniej przypomina zbieranie truskawek na wiosnę, ale tym lepiej, przyjdzie jeszcze czas, kiedy truskawki wyjdą jak spod ziemi.

Bez daty

A więc, Theo, już miesiąc prawie przebywam poza domem i pewno zrozumiesz, że miałem w związku z moimi pracami wiele wydatków. Chociaż Mauve dał mi różne rzeczy, jak farby itp., to jednak trzeba było to i owo dokupić i musiałem przez kilka dni płacić modelom. Potrzebna mi była para butów, zresztą nie zawsze liczyłem się z każdym groszem. W rezultacie wydatki moje przekroczyły trochę wyznaczone 200 franków, bo cała podróż z wszystkimi wydatkami kosztuje 90 florenów. O ile mi wiadomo, ojciec

także musi się liczyć z każdym groszem, więc nie wiem, co mam robić.

Gdy w tym tygodniu napisałem do ojca o pieniądze, był przerażony, jak mogłem wydać aż 90 florenów.

Ale ty chyba rozumiesz, że nie bez powodu, wszystko jest drogie. Diabelnie mi się nie chce zdawać ojcu rachunku z każdego centa, bo wiem, ile będzie plotek na ten temat, ile komentarzy i przesady.

Chciałem ci więc tylko powiedzieć, Theo, że znajduję się w poważnych kłopotach finansowych.

Piszę, żeby ci to powiedzieć.

Nie mam już pieniędzy na pobyt i nie mam też na powrót.

W każdym razie muszę tu jeszcze odczekać kilka dni. Zrobię, co będziesz chciał.

Etten, grudzień 1881

Obawiam się, że czasem wyrzucasz książkę, gdy jest zanadto realistyczna, więc miej litość i cierpliwość z tym listem i przeczytaj go w każdym razie do końca, choć będzie trochę szorstki.

Jak ci już pisałem z Hagi, chciałem niejedno z tobą omówić po powrocie do domu. Nie bez wzruszenia wspominam moją podróż do Hagi. Gdy poszedłem do Mauve'a, serce biło mi jak młotem, bo nie wiedziałem, czy obsypie mnie znowu potokiem pięknych słów, czy też rezerwuje dla mnie coś innego? To, co mnie spotkało, przeszło wszelkie oczekiwania: Mauve dał mi wiele cennych i praktycznych rad i serdecznie zachęcał mnie do pracy.

Nie zawsze pochwalał to, co robiłem lub to, co mówiłem, często było wprost przeciwnie. Ale gdy mi mówił: „to albo tamto jest niedobre", za każdym razem dodawał: „ale

spróbuj zrobić to trochę inaczej, spróbuj zrobić to w inny sposób". To chyba zupełnie co innego, niż uwagi, wypowiadane tylko dlatego, żeby komuś dokuczyć. Gdy ktoś ci powie: „jesteś chory", niewiele ci to pomoże, ale gdy ci powiedzą: „zrób to albo tamto, a będziesz zdrów" i rada ta nie będzie oszustwem, to przyjmij ją bez namysłu, pomoże ci na pewno.

Chociaż Mauve powiedział mi, że powinienem jeszcze kilka miesięcy tutaj się pomęczyć, a potem, np. w marcu, przyjechać do niego jeszcze raz i wtedy rysunki moje będzie można na pewno sprzedawać, to jednak chwilowo znajduję się w dość krytycznym położeniu. Wydatki na modele, na pracownię i przybory do rysunku i malowania stale się zwiększają, a dochodów ciągle jeszcze nie ma.

Wprawdzie ojciec powiedział, że nie mam się co obawiać o pokrycie niezbędnych wydatków, że zadowolony jest z tego, co mu Mauve o mnie powiedział, i z moich studiów i rysunków, które ze sobą przywiozłem, to jednak moim zdaniem, byłoby gorzką niewdzięcznością i podłością z mojej strony, gdyby ojciec miał z tego powodu ponosić jakieś wydatki. Trzeba oczywiście mieć nadzieję, że później wszystko się jakoś ułoży, bardzo bym tego pragnął. Odkąd tu mieszkam, w niczym ojcu nie ulżyłem, a często kupował mi jeszcze np. jakiś płaszcz czy spodnie, których właściwie wolałbym nie mieć, żeby mu nie być ciężarem, choć naprawdę bardzo ich potrzebowałem. Zwłaszcza, że to, co kupował, nie pasowało na mnie i nie odpowiadało zupełnie, albo tylko częściowo, swojemu przeznaczeniu. Oto znów jedna z tych „małych niedoli życia ludzkiego. Jak ci już poprzednio wspominałem, uważani ten brak całkowitej swobody za nieznośny i mimo że ojciec nie wymaga zdawania rachunku dosłownie z każdego centa, to jednak zawsze chce dokładnie wiedzieć, ile i na co wydałem. Chociaż nie mam żadnych tajemnic, to jednak nie lubię, gdy mi ktoś zagląda w karty. Może moje tajemnice nie są

tajemnicami dla tych, których darzę sympatią, jak ciebie czy Mauve'a, ale ojciec nie należy do tych ludzi. Bardzo go kocham, ale to jest zupełnie inny rodzaj sympatii od tej, jaką mam dla ciebie czy Mauve'a. Nie potrafi ze mną przeżywać, nie potrafi ze mną czuć, a ja znowu nie umiem wprząc się w system stworzony przez niego, jest mi w nim za ciasno, mógłbym się w nim udusić. Czytam czasami Biblię, tak jak czytam Micheleta, Balzaka czy Eliot, ale w Biblii dostrzegam zupełnie co innego niż ojciec, a tego, co on z niej czerpie według recept akademickich, ja zupełnie znaleźć nie mogę.

Gdy pastor Ten Kate przetłumaczył Fausta Goethego, rodzice zdecydowali, że mogę tę książkę przeczytać. Skoro została przełożona przez pastora, nie powinna być zanadto nieobyczajna (!? — cóż to znaczy?). Ale oni nie widzieli w tej książce niczego innego, jak tylko katastrofalne skutki nieczystej miłości!

Biblii tak samo nie rozumieją. Weź np. takiego Mauve'a, gdy czyta on coś głębokiego, nie powie od razu, że autor chciał to lub tamto powiedzieć. Bo poezja jest tak głęboka, tak nieuchwytna, że nie można jej systematycznie zdefiniować. Ale Mauve ma subtelną intuicję i ta jego intuicja jest dużo więcej warta niż wszystkie definicje i krytyki. Tak samo gdy czytam, a czytam właściwie niezbyt dużo, i to jeszcze miernych autorów, znalezionych gdzieś przypadkowo, to robię to dlatego, że ludzie ci mają szersze poglądy, patrzą na rzeczy łagodniej, z większą miłością niż ja i znają rzeczywistość lepiej niż ja. Czytam ich więc po to, żeby się czegoś nauczyć. Ale wszystkie te paplaniny o złym i dobrym, o obyczajnym i nieobyczajnym niewiele mnie już właściwie obchodzą. Bo naprawdę nie zawsze mogę określić, co jest dobre a co złe, co jest obyczajne a co nieobyczajne.

Życie z dala od kobiet, przez dłuższy okres czasu musi się zemścić na każdym mężczyźnie. Nie wierzę, żeby to, co jedni nazywają Bogiem, inni istotą nadprzyrodzoną, a

jeszcze inni przyrodą — żeby istota ta miała być aż tak nierozsądna i bez miłosierdzia. Jednym słowem powziąłem taką oto decyzję: muszę się rozejrzeć, fezy nie mógłbym sobie znaleźć jakiejś kobiety.

Mój Boże, nie trzeba było szukać zbyt daleko. Znalazłem kobietę, niezbyt młodą, niezbyt ładną, bez jakichś szczególnych zalet, ale gdy ją poznasz, na pewno cię zainteresuje. Jest dość wysoka, silnej budowy, nie ma z pewnością rąk damy, tak jak K., jej ręce, to ręce kobiety, która dużo pracuje. A jednak nie jest grubiańska, nie jest pospolita, ma w sobie coś bardzo kobiecego. Ma w sobie coś, co przypomina mi rozkoszne postacie Chardina albo Frèrè'a, albo może Jana Steena. Jednym słowem, to, co Francuzi nazywają: robotnica. Miała w życiu wiele kłopotów, to się widzi na pierwszy rzut oka, życie dobrze się po niej przejechało, nic więc dziwnego, że nie jest ani oryginalna, ani nadzwyczajnie dystyngowana. „Każda kobieta, obojętne w jakim wieku, jeżeli kocha i jeżeli jest dobra dla mężczyzny, może go obdarzyć nieskończonym szczęściem." Theo, ileż uroku ma dla mnie ta jej przywiędła twarz, na której maluje się wyraźnie cała udręka życia. Ach, ona ma dla mnie tyle uroku, czasem widzę w niej coś z Feyena, Perrina, coś z Perugina. Widzisz, nie jestem, ściśle mówiąc, tak niewinny jak jakiś żółtodziób albo małe dziecko w kołysce. Nie po raz pierwszy zdarzyło się, że nie mogłem się oprzeć pociągowi do kobiet, tak, pociągowi i miłości do kobiet, które pastorzy z wysokości ambony tak strasznie potępiają, odsądzając od czci i wiary i tak bardzo nimi pogardzają. Ja takich kobiet nie potępiam, nie odsądzam od czci i wiary ani nimi nie gardzę. Patrz, mam przecież prawie trzydzieści lat, więc czy naprawdę myślisz, że nigdy nie odczuwałem potrzeby miłości?

K. jest starsza ode mnie, ona ma także miłość za sobą, ale właśnie dlatego jest mi jeszcze droższa. Nie jest niewinna, ale ja także niewinny nie jestem. Jeśli ona chce

tylko tęsknić za dawną miłością i nie chce nic wiedzieć o nowej, to już jej sprawa. Jeśli się będzie przy tym upierała, jeśli mnie będzie unikała, to nie mam zamiaru tracić z jej powodu całej mojej energii i wszystkich sił ducha. Nie, na to nie mam ochoty, kocham ją, ale z jej powodu nie chcę zamarznąć albo też nabawić się zaburzeń psychicznych. Bodźcem i iskrą zapalającą ogień, której nam potrzeba, jest miłość, ale niekoniecznie miłość mistyczna. Ta kobieta mnie nie okradła. Ach, jeżeli ktoś te osoby traktuje jak złodziejki, myli się i niczego nigdy nie zrozumie.

Ona była dla mnie dobra, bardzo dobra, bardzo kochana. W jaki sposób była dla mnie dobra, nie powiem nikomu, nawet memu bratu Theo, bo jakoś mi się wydaje, że mój brat Theo miał na pewno kiedyś takie same przeżycia. Tym lepiej dla niego. Czy wydaliśmy razem dużo pieniędzy? O nie, ja przecież nie miałem dużo, więc jej powiedziałem: słuchaj, ani ty, ani ja nie musimy się upijać do nieprzytomności po to, żeby czuć do siebie pociąg, włóż więc do torebki to, na co mnie jeszcze stać. Szkoda, że nie mogłem jej dać więcej, ona była tego warta.

Rozmawialiśmy o wszystkim po trochu, o jej życiu, jej troskach, jej nędzy, o stanie jej zdrowia i bądź pewny, że rozmowa ta była dla mnie dużo przyjemniejsza niż rozmowy z moim uczonym i profesorsko usposobionym siostrzeńcem.

Opowiadam ci o tym wszystkim właściwie tylko po to, żebyś, jak się spodziewam, zrozumiał wreszcie, że chociaż zachowałem trochę sentymentalizmu, to jednak nie chciałbym być sentymentalny do niedorzeczności. I tak samo, mimo wszystko, chciałbym zachować trochę ciepła życia, chciałbym zachować jasny umysł i zdrowe ciało, żeby móc pracować. Jeżeli moją miłość do K. w ten sposób teraz pojmuję, to tylko dlatego, że nie chcę, aby z jej powodu melancholia przeszkadzała mi w pracy i wytrącała mnie z równowagi. Pastorzy nazywają nas grzesznikami, poczętymi i urodzonymi w grzechu, ale to, co mówią, uważam za

bezdenny nonsens. Czy grzechem jest kogoś kochać albo pożądać miłości, albo nie móc już wytrzymać bez miłości? W moim przekonaniu życie bez miłości jest stanem grzesznym, stanem nieobyczajnym. Jeżeli miałbym już czegoś żałować, to żałowałbym tego okresu, w którym dawałem się zwodzić mistycznym i teologicznym abstrakcjom, kiedy to zamykałem się zanadto w sobie. Na szczęście udało mi się stopniowo z tego wyzwolić. Gdy rano budzisz się i nie jesteś już sam, i widzisz w mroku takie miłe stworzenie, to świat wydaje ci się dużo weselszy. Dużo przyjemniejszy od świata nabożnych brewiarzy i pobielonych murów kościelnych, tak bardzo ukochanego przez pastorów. Pokój, w którym ona mieszkała, był schludny i bardzo skromny. Utrzymany był w szarym, spokojnym odcieniu dzięki gładkim tapetom i robił wrażenie ciepłego, jak na płótnach Chardina. Drewniana podłoga była pokryta matą, a na niej leżał zużyty, ciemnoczerwony dywan. Zwykła kuchenka, komoda, duże, bardzo skromne łóżko, słowem, prawdziwe meble robotnicy. Na drugi dzień musiała stać nad balią, bo miała pranie. W fioletowym żakieciku i czarnej spódnicy byłoby jej bardzo do twarzy, ale tak samo podobała mi się w sukience koloru brązowego czy też czerwono-szarej. Nie jest już pierwszej młodości, może w tym samym wieku co K. — miała już dziecko — tak, życie dało jej się dobrze we znaki, jej młodość przeminęła, ale czy przeminęła naprawdę? „Nie ma starych kobiet". Kobieta mocna, zdrowa, a jednak nie szorstka, nie pospolita. Ci, co taką wagę przywiązują do dystynkcji, najczęściej nie potrafią zobaczyć tego, co jest naprawdę dystyngowane. Mój Boże! Ludzie szukają czegoś, raz wysoko, raz nisko, a mają to pod nosem. Ja także do nich czasami należę.

Jestem zadowolony z tego, co zrobiłem, bo nie ma na świecie siły, która mogłaby mnie odciągnąć od mojej pracy lub też wytrącić mnie z równowagi.

Gdy myślę o K., powtarzam jeszcze ciągle: „ta albo żadna", ale dla kobiet potępionych i przeklętych przez pastorów nie od wczoraj mam sympatię. Może nawet moja miłość do nich jest starsza niż miłość do K. Gdy sam jak kołek, z duszą utrapioną, chory, wynędzniały, bez grosza przy duszy, biegałem po ulicach, często przyglądałem się im i zazdrość mnie brała na widok mężczyzn, którzy mogli z nimi iść. Wydawało mi się wtedy, że te biedne dziewczęta są moimi siostrami, bo żyją przecież w takich samych warunkach i życie tak samo ciężko je doświadczyło. Wierz mi, to uczucie do nich jest bardzo stare i bardzo głęboko zakorzenione w mej duszy. Często, jako młody chłopak z nieskończoną czułością i szacunkiem przyglądałem się takiej na wpół zwiędłej twarzy kobiecej, na której można wyczytać słowa: życie dało mi się już dobrze we znaki.

Ale moje uczucie do K. było czymś zupełnie nowym, czymś zupełnie innym. K., sama o tym nie wiedząc, znajduje się jakby w więzieniu, jest biedna, bo nie może robić tego, na co ma ochotę i patrz, przyswoiła sobie jakiś system rezygnacji. Myślę, że jezuickie fałsze pastorów i dewotek robią na niej większe wrażenie niż na mnie. Na mnie fałsze jezuickie już nie działają, właśnie dlatego, że miałem okazję poznać także drugą stronę medalu, ale ona ciągle jest jeszcze pod ich wpływem — nie mogłaby tego znieść, gdyby cały system rezygnacji, grzechu. Boga i nie wiadomo czego jeszcze miał się okazać tylko złudzeniem.

Przypuszczam, że nigdy nie przejdzie jej przez głowę, że Bóg zaczyna się właściwie dopiero tam, gdzie Multatuli kończy swą Modlitwę Nieświadomego: „O Boże, przecież Boga nie ma". Patrz, ten Bóg pastorów, to dla mnie Bóg umarły, jak mur z kamienia. Ale czy miałbym być z tego powodu ateistą? Pastorzy uważają mnie za takiego — niech i tak będzie — ale patrz, ja potrafię kochać, a jakże mógłbym odczuwać miłość, gdybym sam nie żył 1 gdyby inni nie żyli. Jeżeli żyjemy, to jest w tym coś cudownego. Czy nazwiesz to

Bogiem, czy ludzką naturą, czy jeszcze inaczej — bo w każdym systemie filozoficznym na pewno jest coś takiego, czego nie umiałbym zdefiniować — to coś jest bardzo żywe i bardzo prawdziwe. I, widzisz, to właśnie jest Bogiem albo czymś takim samym jak Bóg.

Mój Boże, kocham K. dla tysiąca powodów, ale właśnie dlatego, że wierzę w życie i że wierzę w rzeczywistość, nie gubię się już w abstrakcjach jak dawniej, kiedy to o Bogu i służbie bożej miałem takie wyobrażenia, jakie dzisiaj, w moim przekonaniu, ma zapewne K. Nie mam zamiaru jej się wyrzekać, ale ten kryzys i ta walka dusz muszą się odleżeć, muszę się uzbroić w cierpliwość. Cokolwiek teraz powie czy uczyni, nie może mnie już wyprowadzić z równowagi. Gdy ona jest przywiązana do przeszłości i nią tylko żyje, ja muszę pracować, muszę mieć jasny umysł, aby malować, rysować, załatwiać moje sprawy. To, co zrobiłem, zrobiłem z tęsknoty za ciepłem kobiecego ciała, może też trochę dla higieny. Zwierzam ci się z tego, abyś znowu nie pomyślał o mnie, że jestem w nastroju melancholijnym albo że pogrążam się w mglistych abstrakcjach.

Powiedz, czy słyszałeś kiedyś, jak Mauve mówi kazania? Słyszałem, jak naśladuje różnych pastorów, raz mówił kazanie o łodzi świętego Piotra (kazanie miało 3 warianty: w pierwszym Piotr statek otrzymał czy też odziedziczył, w drugim kupił różne materiały i zrobił go sobie, w trzecim — co za bluźnierstwo! — ukradł go). Innym razem mówił o „dobrych zamysłach Pana" i o „rzekach Tygrys i Eufrat". Potem przedrzeźniał ojca Bernarda: Bóg jest wszechmocny, stworzył morze, stworzył ziemię i powietrze, i gwiazdy, i słońce, i księżyc, Bóg może wszystko — wszystko — wszystko — a jednak Bóg nie jest wszechmocny, jednej rzeczy Bóg nie potrafi.

Czegóż to wszechmocny Bóg nie potrafi?

Wszechmocny Bóg nie potrafi odrzucić od siebie grzesznika.

HAGA grudzień 1881 — wrzesień 1883

Vincent uwielbia Mauve'a. Wzrusza go delikatność i rezygnacja w jego obrazach, tak samo jak w obrazach Josepha Israelsa. Jak twierdzi, najlepsze kazanie o rezygnacji nie zrobiło na nim takiego wrażenia, jak płótno Mauve'a: zadyszane i potulne szkapy zaprzężone do ciężkiej barki, oraz chłopi Milleta.

Mauve mile zaskoczony jest szkicami swego młodego kuzyna. Będzie się nim zajmował, a nawet będzie poprawiał jego przyjemne akwarele. Ale Vincent, malując martwą naturę, odkrywa barwę. „Theo, a jednak barwa to wielka rzecz!" Rysuje mały port w Scheveningen. Czasem uda mu się zarobić trochę pieniędzy: dostaje zamówienie na wykonanie piórkiem tuzina małych widoczków z Hagi. W tym czasie Vincent chodzi do muzę ów i studiuje obrazy dawnych mistrzów.

To, co się maluje w jego otoczeniu, i co ma powodzenie, nie zadowala go. Powodem niezgody staje się odlew z gipsu, głowa Apollina, którą Mauve kazał mu rysować jak w akademii. Vincent obraził się i oznajmił bez wahania: „Jestem artystą!" Od tego czasu zerwali ze sobą stosunki.

Vincent stara się ukryć pewne wydarzenie ze swojego życia. Ale kiedyś wyznaje wszystko bratu. Ma stosunki z pewną kobietą i uważa to za dobry uczynek. Ta Chri-stien, kobieta z gminu, ma 32 lata (on sam ma wówczas 30), jest matką nieślubnego dziecka, gdy Vincent ją poznaje, jest znowu w ciąży. Po zawodzie miłosnym, jakiego doznał niedawno, Vincent marzy o życiu skromnymi uregulowanym i o ślubie cywilnym (specjalny nacisk kładzie na słowie „cywilny"), nie dba o to, że „Sien" jest brzydka i przywiędła. Będzie pozować do jego rysunków i dzięki niej powstanie

później wspaniała litografia, zatytułowana Sorrow — smutek, wspomnienie pewnego kazania, które wygłosił w Anglii. Pozostaną ze sobą około półtora roku. Przy bliższym poznaniu, Christien okazuje się niemożliwa: leniwa, wulgarna, klnie, pali (tak jak on), ciągle pluje, chętnie upija się i zdradza po. Jeżeli nie chce dopuścić do zerwania, to tylko dlatego, że „lepiej żyć ze złośliwą dziwką, niż samemu". Pracuje bardzo dużo. Zarażony chorobą weneryczną musi się leczyć w szpitalu. Czytuje Dickensa i Zolę. Wreszcie porzuca niepoprawną Christien, która za namową matki i brata „łajdaka" powróci do dawnej profesji.

Bez daty

Gdy list twój nadszedł, byłem już w Etten. Pojechałem tam. jak ci już pisałem, po rozmowach z Mauve'em. Ale jak widzisz, powróciłem znów do Hagi. W święta Bożego Narodzenia pokłóciłem się znowu z ojcem, tym razem tak poważnie, że ojciec mi powiedział, że lepiej będzie, gdy jego dom opuszczę. Było to powiedziane tak zdecydowanym tonem, że istotnie wyjechałem tego samego dnia.

Właściwie poszło nam o to, że nie chodziłem do kościoła. Powiedziałem ojcu, że jeżeli chodzenie do kościoła ma być jakimś przymusem i do kościoła muszę chodzić, to od tej chwili w ogóle nie będę już chodził, nawet z uprzejmości, jak to robiłem regularnie podczas całego mego pobytu w Etten. W gruncie rzeczy chodziło o co innego, przede wszystkim o tę całą historię z K., w lecie tego roku.

Byłem tak Wzburzony, jak nigdy w całym moim życiu jeszcze nie byłem, powiedziałem bez ogródek, że całą organizację kościelną uważam za coś potwornego i właśnie dlatego, że w tym najnędzniejszym okresie mego życia zanadto w te sprawy się wgłębiałem, teraz nie chcę mieć z, nimi nic do czynienia i będę się ich wystrzegał jak zarazy.

Może byłem zbyt wzburzony, może postąpiłem zbyt gwałtownie, niech i tak będzie. Jeżeli tak rzeczywiście było, to za jednym zamachem zerwałem z ojcem na zawsze.

Poszedłem więc z powrotem do Mauve'a i powiedziałem mu: „Słuchaj, Mauve, nie mogę wracać do Etten, muszę się gdzieś przenieść, najchętniej zamieszkam tutaj". Na to Mauve odpowiedział: „Niech będzie i tutaj". Wynająłem więc sobie tutaj pracownię, pokój z alkową, które można będzie urządzić bardzo tanio, trochę za miastem, przy ulicy Schenkweg, z 10 minut za pracownią Mauve'a.

Ojciec mówił mi, że jak będę potrzebował pieniędzy, to ostatecznie może mi dać zaliczkę, ale teraz to już nie wypada, muszę być zupełnie niezależny od ojca. W jaki sposób? Tego jeszcze nie wiem, ale Mauve chce mi trochę pomagać, liczę także na ciebie i na twoją pomoc; oczywiście będę też pracował i zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby choć trochę zarobić.

Mam przed sobą nie lada problem, bo tam już wszystko stracone. I to właśnie teraz, w najbardziej nieodpowiednim momencie, ale co robić?

Muszę mieć trochę zwykłych mebli, a moje wydatki na przybory rysunkowe i malarskie na pewno nie będą teraz mniejsze.

Poza tym chciałbym się trochę lepiej ubierać.

To, co robię, jest ryzykowne: być albo nie być. Ale musiało to kiedyś nastąpić, musiałem się jakoś urządzić, a to, co chciałem, spełniło się tylko szybciej, niż przypuszczałem. Co się tyczy nieporozumień pomiędzy ojcem i mną, to nie sądzę, żeby się je dało tak szybko załagodzić. Różnica w sposobie myślenia i w poglądach na świat jest zbyt wielka.

Czekają mnie ciężkie czasy, woda podchodzi wyżej, może dojdzie do ust, może jeszcze wyżej, trudno to teraz przewidzieć. Ale będę się bił do ostatka i albo drogo

sprzedam swoje życie, albo postaram się zwyciężyć i wypłynąć na powierzchnię. Około 1 stycznia mam się wprowadzić do pracowni. Jeżeli chodzi o meble, to wezmę tylko najskromniejsze: drewniany stół i kilka krzeseł. Za łóżko starczy mi wełniana derka i podłoga. Mauve jednak radzi mi, żebym kupił jakieś łóżko, nawet w razie potrzeby chce na to wyłożyć pieniądze.

Pojmujesz chyba, ile mam teraz kłopotów i ile czeka mnie jeszcze utrapień. A jednak jest to dla mnie pewnego rodzaju satysfakcja, że sprawy zaszły już tak daleko, że nie mogę się cofnąć. Choć droga, jaką mam przed sobą, jest bardzo trudna, widzę ją wyraźnie.

Rozumie się samo przez się, Theo, że zwracam się do ciebie. Jeżeli będziesz mógł to zrobić bez uszczerbku dla siebie, to przyślij mi od czasu do czasu trochę pieniędzy. W obecnych warunkach pieniądze przysyłaj raczej na moje ręce, a nie przez innych. O ile to tylko będzie możliwe, nie powinniśmy mieszać Mauve'a w nasze sprawy finansowe. Ma on i tak wielkie zasługi, że radą i czynem wspiera mnie w dziedzinie sztuki. Uparł się np., żebym sobie kupił łóżko i trochę mebli, i mówi, że jak będzie potrzeba, to mi pożyczy. Jego zdaniem, mimo wszystko muszę się dobrze prezentować, jeżeli chodzi o przyodziewek, i nie szukać ratunku w przesadnej oszczędności.

Wkrótce napiszę do ciebie znowu obszerniej. Tego, co zaszło, nie chcę uważać za nieszczęście, przeciwnie, pomimo wszystkich emocji, czuję się względnie spokojny. There is safety in the midst of danger . Czym byłoby nasze życie, gdybyśmy nie odważali się z nim zmierzyć.

Styczeń 1882

Co do mnie, to nie zrobi ci chyba przykrości wiadomość, że urządziłem się we własnej pracowni. Jest to pokój z

alkową, dostatecznie oświetlony dużym oknem, dwa razy większym od zwykłego okna. Wychodzi mniej więcej na południe. Kupiłem meble w stylu „posterunku żandarmerii", jak ty to nazywasz.

Mauve dał mi 100 florenów na czynsz i na meble, i żeby doprowadzić do porządku okno i oświetlenie. Trochę mnie to krępuje, ale rozumiesz chyba, że jest to właściwie jedyny rozsądny sposób dorobić się tanio własnych gratów. Nie warto ciągle wydawać pieniędzy na tak zwany „umeblowany pokój".

Teraz, gdy mam już własną pracownię, zrobi to na pewno dobre wrażanie na pewnych osobach, które mnie uważały do tego czasu za dyletanta, rentiera i wałkonia. Mam nadzieję, że w tych dniach będziesz mi już mógł coś przysłać. Gdyby mi było coś bardzo potrzebne i gdybym poprosił Mauve'a, nie odmówiłby mi, ale on i tak zrobił już dla mnie zbyt wiele.

7 stycznia 1882

Dla pozorów zdobyłem się na ostateczny wysiłek, żeby sprawę załagodzić. Napisałem jeszcze raz do ojca, że wynająłem pracownię, że składam mu najlepsze życzenia noworoczne i że mam nadzieję, w nowym roku nie dojdzie już między nami do nieporozumień, ani takich jak dawniej, ani do nowych. Więcej już nic nie zrobię w tej sprawie, bo nie ma potrzeby, żebym jeszcze coś miał robić.

Piszesz w twoim liście: „nie mogę cię zrozumieć". Nic w tym dziwnego, bo pisanie listów to bardzo uciążliwy sposób, żeby kogoś przekonać. Zabiera to wiele czasu, a obaj mamy przecież dużo pracy. Miejmy jednak trochę cierpliwości, może niedługo znowu się zobaczymy i będziemy mogli porozmawiać.

Jeżeli chodzi o Mauve'a, to bardzo go lubię, mam dla niego wiele sympatii, bardzo cenię jego prace i jestem szczęśliwy, gdy mogę się od niego czegoś nauczyć, ale tak samo jak on nie potrafię się zamknąć w jakimś systemie, nie umiem trzymać się jakiegoś wytkniętego kierunku. Oprócz Mauve'a i prac Mauve'a lubię także innych, którzy są de Mauve'a niepodobni i inaczej pracują. A jeżeli chodzi o mnie i o moją własną pracę, to może istotnie zachodzą czasem podobieństwa między naszymi pracami, ale istnieją też zasadnicze różnice. Gdy kogoś lub coś lubię, staram się to okazać, zapalam się i podniecam, a jednak to nierozsądne uważać, że jedni to skończone doskonałości, a inni nic nie są warci. Daleki jestem od tego.

Mówisz mi: „napisz znowu" — no tak, oczywiście, ale wpierw musimy się umówić, jak pisać.

Czy chcesz, żebym pisywał w stylu kupca, sucho i rzeczowo, odmierzając i ważąc każde moje sławo i właściwie nic nie mówiąc, czy też chcesz, żebym dalej pisywał do ciebie tak, jak to w ostatnim czasie robiłem, o wszystkim po trosze, wypowiadając dla ciebie myśli, które mi przychodziły do głowy, bez obawy, że się zanadto rozpędzę, bez torturowania moich myśli, bez ich tłumienia.

Bez daty

Theo, czuję, że jest we mnie wielki zapał do pracy, i robię, co tylko można, żeby go uzewnętrznić, wyzwolić. Mam dosyć kłopotów, bo muszę się męczyć i borykać z rysunkiem, a gdy do tego dochodzą jeszcze inne, większe kłopoty i gdy nie mogę sobie pozwolić na modele — czuję się bliski obłędu. Bardzo mi przykro, że to wszystko się na tobie skrupia, ale teraz nie jest z nami tak źle, jak było np. ubiegłej zimy. Teraz czuję, że jestem na najlepszej drodze do osiągnięcia jakichś wyników. Będę robił, co tylko w mojej

mocy, będę ciężko harował, a jak tylko opanuję sztukę władania pędzlem, będę pracował jeszcze więcej niż teraz. I jeżeli wspólnie zabierzemy się energicznie do roboty, to nadejdzie wkrótce czas, kiedy nie będziesz już potrzebował wysyłać mi pieniędzy.

A teraz, mój stary, rób w dalszym ciągu, co tylko będziesz mógł, a ja także będę robił, co w mojej mocy. Adieu, liczę, że niedługo do mnie napiszesz. Możesz mi nie przysyłać wiele od razu, ot choćby tyle, żeby wystarczało z tygodnia na tydzień.

Bez daty

To, czego się już obawiałem, pisząc mój ostatni list, stało się. Rozchorowałem się i z powodu gorączki i wyczerpania nerwowego musiałem przez trzy dni leżeć w łóżku. Do tego ból głowy i od czasu do czasu ból zębów. Czułem się fatalnie, a to wszystko z przemęczenia. Mauve był znowu u mnie i doszliśmy do przekonania, że mimo wszystko nie wolno upadać na duchu.

Ale tak mi strasznie przykro, że nie mogę robić tego, na co mam ochotę. W takich momentach czuję się, jakbym miał skrępowane ręce i nogi i niezdolny do niczego leżał na dnie głębokiej, ciemnej studni. Teraz jest mi już o tyle lepiej, że wczoraj wieczorem wstałem i krzątałem się, żeby zrobić jaki taki porządek. Dziś rano zajrzała do mnie modelka, z własnej woli, choć się jej właściwie nie spodziewałem; ustawiliśmy ją z Mauve'em do pozowania i zacząłem trochę rysować, ale mi nie szło, a wieczorem czułem się jak sparaliżowany, naprawdę chory. Jeszcze kilka dni spokoju, a myślę, że to na pewno ustąpi i nie ma się co obawiać nawrotu pod warunkiem, że będę na siebie uważał.

Mówię ci szczerze i z całym przekonaniem, że nie należy Się wstydzić, gdy się pójdzie od czasu do czasu do

dziewczyny, jeżeli się ma taką, której można zaufać i dla której można mieć trochę uczucia. A takich jest naprawdę wiele.

Dla kogoś, kto żyje w ciągłym napięciu, jest to konieczne, bezwzględnie konieczne dla utrzymania równowagi.

Nie trzeba w tych rzeczach przesadzać, nie można sobie pozwalać na wybryki, ale natura ma swoje ustalone prawa i walka przeciw tym prawom bywa zwykle daremna. Na pewno zresztą wiesz o tych sprawach wszystko, co się wiedzieć powinno. I dla ciebie, i dla mnie byłoby lepiej, żebyśmy byli żonaci, ale co robić?

Bez daty

W twoim liście z 18 lutego piszesz do mnie: „Gdy Tersteeg był tutaj, rozmawialiśmy oczywiście o tobie. Tersteeg powiedział mi, że jak tylko będziesz czegoś potrzebował, możesz się spokojnie do niego zwrócić".

W tych dniach zwróciłem się do Tersteega o 10 florenów. Dał mi je wprawdzie, ale dlaczego nasłuchałem się przy tym tylu wymówek, powiedziałbym nawet — tylu obelg, że z trudnością mogłem się opanować? Mimo wszystko nie uniosłem się.

Miałem ochotę rzucić mu te 10 florenów w twarz i zrobiłbym to z pewnością, gdyby te pieniądze były dla mnie, ale musiałem opłacić modelkę, biedną chorą kobietę, której nie mogłem kazać czekać. Dlatego siedziałem cicho. Ale teraz nie wybiorę się do Tersteega chyba przez pół roku, nie będę z nim rozmawiał i nie pokażę mu moich prac.

Tego mu nie powiedziałem, ale mówię to tobie.

Drogi Theo, piszesz do mnie: „Dbaj o to, żeby żyć z Tersteegiem w przyjaźni, bo jest on dla nas prawie starszym

bratem". Mój drogi, może tobie okazuje on przyjaźń, ale ja przez długie lata narażałem się tylko na jego wrogość i szorstkie obejście.

On miałby może rację, robiąc mi wymówki, gdybym nie pracował, ale jest rzeczą niedopuszczalną, żeby komuś kto ciężko i wytrwale pracuje, robić tego rodzaju wymówki:

„Jestem zupełnie pewny, że artystą nigdy nie będziesz".

„Nie ma co mówić, za późno zacząłeś".

„Powinieneś zacząć zarabiać na chleb".

Wolę przez pół roku nie jadać obiadów i w ten sposób oszczędzać, niż raz po raz dostawać od Tersteega 10 florenów przy akompaniamencie jego wymówek.

Bez daty

I jeszcze jedna rzecz mnie rozczuliła, bardzo rozczuliła. Powiedziałem modelce, żeby dzisiaj nie przychodziła, nie mówiąc dlaczego, a ta biedna kobiecina przyszła mimo to, i gdy protestowałem, odpowiedziała: „Nie przychodzę pozować, przyszłam, żeby zobaczyć, czy masz coś do jedzenia". Miała ze sobą trochę fasolki i ziemniaków. A jednak w życiu zdarzają się rzeczy, dla których warto żyć.

Przytaczam ci kilka słów z książki Sensiera o Millecie, które mnie bardzo zafrapowały i wzruszyły. Są to słowa Milleta:

„Sztuka to walka — w sztuce trzeba dać z siebie wszystko".

„Trzeba pracować jak pracują Murzyni; wolałbym milczeć, niż osłabić siłę wyrazu."

Dopiero wczoraj przeczytałem te słowa, ale to samo czułem już dawno. Dlatego zamiast posługiwać się

delikatnym pędzlem, wolę raczej machać twardym stolarskim ołówkiem i piórem, i wyrażać to, co czuję.

Bez daty

Malarstwo jest zawodem, w którym powinno się zarabiać dosyć pieniędzy na życie, tak samo jak w zawodzie kowala czy lekarza. Artysta jest w każdym razie przeciwieństwem rentiera i powiadam, że jeżeli chce się już robić jakieś porównania, to raczej należałoby go porównać do kowala czy do lekarza.

Kwiecień 1882

Teraz tak się przykładam do pracy, że co tydzień robię jakiś nowy obraz. Przedtem nie mogłem tak pracować. Jest to właśnie to, co miałem na myśli, mówiąc ci, że czuję, jakbym był znowu młody.

Mam świadomość, że nic (poza chorobą) nie potrafi mi odebrać tej siły, która zaczyna się teraz we mnie rozwijać. Świadomość ta sprawia, że z ufnością patrzę w przyszłość, a i w chwili obecnej potrafię znieść dużo więcej przykrości.

Bez daty

Teraz wiem już, że matka jest chora i że wiele innych nieszczęść spadło na nasz dom i na inne rodziny.

Nie jestem w tych sprawach nieczuły i wydaje mi się, że nie mógłbym narysować Sorrow czy boleści, gdybym sam nie wczuwał się w jej cierpienia. Od ubiegłego lata stało się dla mnie rzeczą jasną, że rozdźwięki między rodzicami a mną przybrały formą chronicznej choroby. Zatarg trwał zbyt długo, zbyt wiele było nieporozumień i dziś jesteśmy sobie

obcy. Ponieważ sprawy zaszły tak daleko, każda ze stron musi teraz cierpieć.

Myślę, że dużo bardziej moglibyśmy sobie pomagać, gdybyśmy już wcześniej wspólnym wysiłkiem starali się ułożyć jakoś nasze życie, dzieląc dolę i niedolę i ciągle mając na myśli, że dzieci i rodzice powinni stanowić jedną całość. Błędów tych właściwie nie popełnialiśmy umyślnie; w większości wypadków należy je przypisać „sile wyższej", trudnym warunkom i gorączkowemu tempu współczesnego życia. Teraz jestem już dla rodziców kimś na wpół obcym, na poły intruzem i niestety niewiele więcej, a w domu ogarnia mnie tylko uczucie pustki i samotności. Nasze poglądy i nasze zajęcia są tak różne, że choć nie mamy takich zamiarów, przeszkadzamy sobie nawzajem. Ale powtarzam jeszcze raz, dzieje się to zupełnie bez złej woli. To jest rzeczywiście głupie uczucie, ale świat, w którym żyjemy, pełen jest tego rodzaju animozji. Właściwie i jedna, i druga strona, oskarżając się nawzajem, nic tu nie pomoże, przeciwnie, może tylko zaszkodzić. Czasem najlepiej jest w takich wypadkach wzajemnie się unikać. Niestety, nie jestem pewien, czy to jest rzeczywiście najlepsza metoda, czy najgorsza, a tak chciałbym to wiedzieć.

Ojciec i matka znajdują pocieszenie w swojej pracy, a ja w mojej. Bo musisz wiedzieć, mój stary, że pomimo tych „małych utrapień" pracuję z wielką satysfakcją.

Bez daty

Tak sobie nieraz myślę: gdybym miał trochę łatwiejsze życie, to przecież mógłbym i więcej pracować, i lepiej niż teraz.

Oczywiście pracuję dużo, jak mogłeś się zorientować z moich ostatnich rysunków, i zaczynam już dostrzegać możliwość pokonania trudności, ale widzisz, rzadko zdarza

się dzień, żeby do moich kłopotów z rysowaniem nie dochodziła jeszcze cała masa innych zmartwień, które same w sobie, gdyby innych nie było, byłyby i tak dosyć uciążliwe i nie do zniesienia. I patrz, to są wszystko zmartwienia, na które, jak myślę, właściwie nie zasłużyłem. W każdym razie nie wiem, dlaczego na nie zasłużyłem, a wiem tylko, że chciałbym się ich jak najszybciej pozbyć.

Bądź tak dobry i napisz mi, proszę, otwarcie, czy znasz powody zdarzenia, które ci zaraz opowiem, i czy mógłbyś mi na ten temat udzielić bliższych wyjaśnień.

Pod koniec stycznia, ze dwa tygodnie po moim przyjeździe, Mauve zmienił nagle swój stosunek do mnie. Tak jak przedtem był przyjacielem, tak teraz stał się wrogiem.

Pomyślałem, że pewno jest niezadowolony z mej pracy i tak się zaniepokoiłem ł wziąłem to sobie do serca, że ze wzruszenia ciężko się pochorowałem, jak ci to zresztą swego czasu pisałem.

Mauve przyszedł wtedy do mnie, znowu zapewniał, że wszystko będzie dobrze i dodawał mi otuchy. Ale wkrótce potem, pewnego wieczoru, zaczął mówić do mnie zupełnie inaczej; zdawało mi się, że mam do czynienia z zupełnie innym człowiekiem. Pomyślałem więc: drogi przyjacielu, wygląda, jakby ci ktoś nalał trucizny do ucha, jakby ci ktoś nalał tam oszczerstw, ale nie mogę się zorientować, z której strony ten zatruty wiatr wieje.

Mauve zaczął wtedy przedrzeźniać moją mowę i moje maniery: „Masz taką gębę", „tak się wyrażasz" — i mówił to z prawdziwą nienawiścią. Bardzo dobrze to robi, muszę przyznać, była to moja karykatura, karykatura podobna, ale ziejąca zarazem- straszną nienawiścią. Przy tej okazji powiedział kilka rzeczy, które zwykle tylko Tersteeg o mnie mówi.

Zapytałem go więc: „Mauve, czy widziałeś ostatnio Tersteega?" „Nie" — odpowiedział. Rozmowa toczyła się dalej, ale w jakieś dziesięć minut potem, zupełnie przypadkowo, dowiedziałem się z niej, że Tersteeg był jednak u niego właśnie tego dnia. Myśli o Tersteegu mimo woli ciągle mnie napastowały i pomyślałem sobie: czy to możliwe, szanowny Tersteegu, że to Wasza Ekscelencja wszystkim kieruje? Wysłałem więc do niego liścik, ale bardzo uprzejmy, naumyślnie bardzo uprzejmy, w którym napisałem tylko tyle: „Mój Panie, bardzo mi przykro, że ludzie mówią o mnie to lub tamto, np., że nie zasługuję na kawałek chleba albo że udaję rentiera. Pan rozumie, że te wypowiedzi są zbyt obraźliwe, żebym je mógł puszczać płazem i zanadto dręczą moje serce. W ostatnich latach miałem z tego powodu dosyć przykrości i wydaje mi się, że trzeba temu wreszcie położyć kres".

Był to zapewne ten list, o którym Tersteeg ci wspomniał podczas swojej pierwszej bytności w Paryżu.

Gdy wrócił z Paryża, poszedłem go odwiedzić i powiedziałem, że jeżeli wymknęły mi się niewłaściwe słowa pod adresem Ekscelencji, to mam nadzieję, że nie weźmie mi tego za złe, bo ciągle gubię się w domysłach, jaki jest powód tych moich niepowodzeń.

Po tych słowach Ekscelencja trochę się udobrucha), ale gdy potem poszedłem do Mauve'a do domu, był on w dalszym ciągu cierpki i dość wrogo do mnie usposobiony.

Kilka razy powiedziano mi, że go nie ma w domu, zresztą nietrudno się było domyślić, że stosunki uległy znacz nemu ochłodzeniu. Coraz rzadziej go odwiedzałem, a Mauve w ogóle nie bywał u mnie, choć, jak wiesz, mieszka niedaleko.

Mauve w swych wypowiedziach zrobił się tak małoduszny, jak przedtem był wielkoduszny, jeżeli tak można się wyrazić. Musiałem rysować odlewy z gipsu,

przede wszystkim odlewy z gipsu. Strasznie nie lubię tego rysować, mimo to rozwiesiłem kilka gipsowych rąk i nóg w mojej pracowni, ale oczywiście nie miałem zamiaru ich rysować. Pewnego razu mówił do mnie na temat rysowania odlewów z gipsu tonem, jakiego by nie przybrał żaden profesor w akademii. Wysłuchałem go cierpliwie, ale gdy przyszedłem do domu, wzięła mnie taka pasja, że te biedne odlewy wyrzuciłem do kosza na węgiel, gdzie się potłukły na drobne kawałki. I pomyślałem sobie: będę rysował gips, gdy te kawałki znowu staną się białe i gdy nie będzie już rąk i nóg ludzi żywych do malowania.

Wtedy powiedziałem do Mauve'a: „Nie wspominaj mi, chłopie, o gipsie, bo tego nie mogę znieść". Na to dostałem od Mauve'a list z zawiadomieniem, że przez dwa miesiące nie będzie się mną zajmował. I rzeczywiście przez dwa miesiące nie zajmował się mną zupełnie, ale ja w tym czasie nie siedziałem cicho i chociaż nie rysowałem modeli z gipsu, to jednak muszę się pochwalić, że odkąd poczułem się wolny, zacząłem pracować z dużo większym zapałem i powagą. Po upływie dwóch miesięcy napisałem do niego z gratulacjami, bo właśnie skończył swój wielki obraz, i nawet raz rozmawiałem z nim na ulicy.

Teraz, choć dwa miesiące dawno już minęły, nie był jeszcze u mnie. To, co zaszło między mną a Tersteegiem, skłoniło mnie, aby powiedzieć do Mauve'a: „Podajmy sobie ręce, niech nie będzie już między nami waśni ani urazy, bo ty nie potrafisz przecież mną kierować, a i ja nie potrafię być kierowany przez ciebie, zwłaszcza jeżeli wymagasz »ślepego posluszeństwa«. Nie mogę ci obiecać, że zrobię wszystko, co mi każesz. Trzeba więc położyć kres tej sytuacji »kierującego i kierowanego . Ale nie wpłynie to zupełnie na moje zobowiązania i uczucia wdzięczności wobec ciebie".

Mauve nic mi na to nie odpowiedział i od tego czasu już go nie widziałem.

Theo, zdaję sobie sprawę z moich wad i z mojej nędzy, i z moich namiętności, ale nie przypuszczam, żebym był zdolny pozbawić kogoś chleba czy też uszczuplić czyjeś zarobki. Nieraz walczyłem już z ludźmi na słowa, ale patrz, żeby z powodu różnicy poglądów godzić na czyjeś życie, tego, moim zdaniem, człowiek szlachetny nie robi, a w każdym razie to nie jest szlachetna broń.

Teraz chyba rozumiesz, dlaczego bywam czasem zgnębiony, dlaczego zgnębiony bywam z powodu wielu rzeczy, zgnębiony do szpiku kości!

Martwią mnie bardzo nieporozumienia z Mauve'em i choć nie chciałbym podporządkować się znowu jego „kierownictwu", to jednak chętnie podałbym mu dłoń i chciałbym, żeby on to samo chciał uczynić.

Bez daty

Theo, od czasu jak napisałem do Mauve'a: „Wiesz dobrze, że owe dwa miesiące już dawno minęły, podajmy więc sobie ręce, a potem rozejdźmy się każdy w swoją stronę; to przecież lepiej niż ciągłe waśnie między nami" — wierz mi, od czasu, kiedy to napisałem i nie otrzymałem ani odpowiedzi, ani znaku życia, mam uczucie, jakby mi ktoś śrubą gardło ściskał.

Bo wiesz, jak bardzo lubię Mauve'a, i jest mi ogromnie przykro, że z tych jego przepowiedni o mojej szczęśliwej przyszłości niewiele się spełni. To dziwne, ale im lepiej maluję, tym więcej napotykam trudności i tym bardziej ludzie robią mi na przekór.

Wiele będę musiał jeszcze wycierpieć z powodu różnych cech charakteru, których ja nie mogę przecież zmienić. Nie podoba się przede wszystkim moja powierzchowność, mój sposób mówienia, mój ubiór. Nie podoba się i to, że nawet gdybym kiedyś więcej zarabiał, to nadal obracałbym się w

innym środowisku niż większość malarzy, bo tematy, które chcę malować, mogę znaleźć tylko w tym innym środowisku.

To, że nie nadawałem się do handlu ani do studiów, ani do innego zawodu, nie znaczy, że nie nadaję się także na malarza. Przeciwnie, gdybym nadawał się na pastora albo potrafił kupczyć pracą drugich, to może wtedy nie byłoby we mnie materiału na malarza czy rysownika i musiałbym w tym wypadku zrezygnować, nie z własnej woli, ale z konieczności.

Właśnie dlatego, że mam pazur malarza, nie zamierzam wyrzec się malarstwa i pytam się ciebie, czy od czasu, jak zacząłem malować, wątpiłem kiedykolwiek, wahałem się lub byłem niezdecydowany? Moim zdaniem sam wiesz najlepiej, że walczyłem przebojem i oczywiście im dłużej walczę, tym bardziej ta walka mnie podnieca. Przyjrzyj się tylko temu szkicowi. Narysowałem go w Geest, w tumanach kurzu, na błotnistej ulicy, w zgiełku i tumulcie. Przysyłam ci go teraz, żebyś zobaczył, że moja teka rysunkowa świadczy o tym, jak potrafię chwytać życie na gorąco.

Posadź na przykład nawet takiego Tersteega przed kupą piasku w Geest, gdzie robotnicy kopią rów pod instalację gazową czy wodociągową. Chciałbym widzieć, jaką minę zrobiłby taki typ jak on albo jakie paskudztwo narysowałby w tych warunkach. Praca w warsztatach okrętowych, w zaułkach i na uliczkach, w domach, w poczekalniach, ba, nawet w oberżach — to nie jest bardzo przyjemne zajęcie, na to trzeba być artystą. Prawdziwy artysta woli najbrudniejsze zakamarki, byleby było w nich coś do malowania, niż proszone herbatki % wytwornymi damami. Chyba, że się te damy rysuje, bo wtedy nawet dla artysty takie przyjęcie jest bardzo miłe.

Chciałem tylko powiedzieć, że szukanie tematów, obcowanie z robotnikami, uganianie za modelami i użeranie się z nimi, rysowanie z natury, bezpośrednio na miejscu, to niewątpliwie ciężka robota, a czasem nawet robota brudna.

Z pewnością maniery i ubiór sprzedawcy sklepowego nie są tak odpowiednie ani dla mnie, ani dla kogoś, kto nie musi obsługiwać pięknych pań i bogatych panów, nie musi sprzedawać im drogich materiałów i przyjmować, to jest zarabiać pieniędzy, a chce np. rysować kopaczy na kupie piasku w Geest.

Gdybym potrafił robić to, co robi Tersteeg, to nie nadawałbym się do mojego zawodu, a jeśli idzie o zawód, to lepiej, że jestem taki, jaki jestem, niż gdybym miał małpować maniery, które by mi nie odpowiadały. Ja się nie najlepiej czuję w przyzwoitym płaszczu, w wykwintnym sklepie. Zwłaszcza teraz nie czułbym się w nim dobrze. Nudziłbym się sam i zanudzał innych. Kiedy pracuję gdzieś w Geest, na wrzosowiskach czy na wydmach, staję się zupełnie inną osobą. Wtedy mój brzydki pysk i wytarty płaszcz pasują doskonale do otoczenia, wtedy jestem sobą i pracuję z zadowoleniem.

Może uda mi się przezwyciężyć trudności związane z problemem, how to do it? . Gdybym miał na sobie piękny płaszcz, to robotnicy, którzy są mi potrzebni jako modele, baliby się mnie i patrzyliby na mnie z nieufnością, jak na diabła, albo też chcieliby zarobić na mnie dużo pieniędzy. A ja jakoś daję sobie radę i nie należę do tych, którzy się skarżą, że w Hadze nie ma modeli.

Jeżeli robią uwagi o moich manierach, mając na myśli moje ubranie, wyraz twarzy, sposób wysławiania się itd., to cóż mam im na to odpowiedzieć? Chyba, że taka gadanina mnie potwornie nudzi.

A może jestem człowiekiem bez dobrych manier, może jestem impertynencki i gruboskórny? Widzisz, moim zdaniem, uprzejmość powinna mieć swę źródło w przychylności wobec każdego człowieka, powinna mieć swe źródło w pragnieniu, które odczuwa każdy, kto ma serce, aby być czymś dla drugich, aby czemuś służyć, wreszcie w pragnieniu, żeby żyć razem, nie samemu. Dlatego robię, co

tylko można, rysuję ludzi nie po to, żeby ich znudzić, ale po to, żeby ich zabawić i zwrócić ich uwagę na rzeczy, które warto oglądać, a o których nie każdy wie, że istnieją.

Nie chce mi się wierzyć, Theo, żebym był naprawdę aż takim potworem, uosobieniem impertynencji i nieuprzejmości, żebym zasługiwał na wykluczenie ze społeczeństwa, a w każdym razie, jak niedawno Tersteeg się wyraził, żebym „w Hadze nie mógł pozostać. Czyżbym miał schamieć przez to, że przebywam z ludźmi, których rysuję, że chodzę do domów robotników i ludzi biednych, i przyjmuję ich w mojej pracowni?

Chciałbym wiedzieć, gdzie rysownicy z magazynów, takich jak Punch, Graphic etc., wynajdują swoje modele? Czy nie wyszukują ich sami w najbiedniejszych dzielnicach Londynu?

Znajomość gawiedzi londyńskiej mają oni albo wrodzoną, albo nabytą w późniejszym wieku, przez to, że żyli wśród ludu i że zwracali uwagę na rzeczy, których inni nie dostrzegają, zapamiętując fakty, o których inni zapominają.

Gdy idę do Mauve'a lub Tersteega, nie mogę się wyrażać tak, jakbym chciał, i chyba zwykle więcej zepsuję, niż mógłbym zrobić dobrego. Gdyby choć trochę przyzwyczaili się do mojego sposobu wyrażania się, na pewno by ich to nie raziło.

A więc, jeżeli będziesz chciał, powiedz im w moim imieniu, jak się sprawa przedstawia. Jeżeli moje uczynki czy słowa wyrządziły im przykrość, to mam nadzieję, że mi je wybaczą. Powiesz im to, dobierając słów z pewnością lepiej niż ja i ubierzesz to w odpowiednią formę. Powiesz im, że i oni zrobili mi wiele przykrości, przysporzyli wielu zmartwień w tych kilku krótkich miesiącach, które z powodu, doznanych udręczeń wydały mi się bardzo długie. Przemów

im do rozsądku, bo oni nic nie rozumieją, oni uważają mnie za nieczułego i zobojętniałego na wszystko.

W ten sposób oddałbyś mi wielką przysługę, bo myślę, że wszystko da się jeszcze jakoś załagodzić.

Muszą mnie brać takim, jakim jestem, Mauve był dla mnie dobry, pomagał mi dzielnie i wydatnie, ale trwało to zaledwie 14 dni. Czternaście dni to za mało.

Bez daty

Chciałbym odpowiedzieć na twój list i omówić go jeszcze raz trochę dokładniej. Napisałeś do mnie: „Tersteeg jest dla nas jak gdyby starszym bratem, staraj się utrzymywać z nim przyjacielskie stosunki". Odpisałem ci na to, że może jest on twoim przyjacielem, ale ja, przez długie lata, byłem narażony na nieuprzejmości i gru-biaństwa z jego strony.

Czy dał mi on kiedy kawałek chleba, przez długie lata, odkąd wymówiono mi pracę w firmie Goupil (czy też ja sam ją porzuciłem), aż do czasu, kiedy zacząłem wreszcie malować (zabrałem się do malarstwa zbyt późno, przyznaję, że było to dużym błędem)? Przez cały ten czas, gdy mieszkałem za granicą, bez przyjaciół, bez pomocy, w nędzy: w Londynie często musiałem spać na ulicy, a w Borinage spędziłem trzy noce z rzędu pod gołym niebem. Czy ten człowiek, który znał mnie przecież od dawna, dodał mi kiedy otuchy, czy okazał mi trochę serca, gdy już prawie upadałem?

Myślę, że nie. Czy pomógł mi kiedyś w ten czy w inny sposób? Nie.

Gdy posłałem mu moje pierwsze rysunki, dał mi pudełko z farbami, ale ani centa przy tym. Zgadzam się, że te pierwsze rysunki nie miały żadnej wartości pieniężnej, ale pomyśl tylko, przecież taki Tersteeg mógł był sobie

pomyśleć: „Znam go od dawna, więc chciałbym mu pomóc, żeby go postawić na nogi". Powinien był zrozumieć, że pomoc jest mi bardzo potrzebna, że muszę przecież jeść.

Gdy napisałem do niego z Brukseli: „Czy nie mógłbym przez pewien czas pracować w Hadze, żeby nawiązać tam kontakty z malarzami", chciał mnie wystrychnąć na dudka i odpisał mi: „O nie, z pewnością nie, ty już straciłeś swoje prawa". Według niego, powinienem raczej dawać lekcje angielskiego i francuskiego. Jedno było dla niego bezsporne: nie byłem artystą. „Możesz robić kopie dla firmy Smeeton i Tilly", brzmiała jego odpowiedź. Do firmy tej miałem daleko, a u kilku innych litografów w Brukseli pracy dostać nie mogłem. Nie było pracy, więc nie było zarobków.

Gdy w lecie pokazałem mu znowu kilka rysunków, powiedział: „Nigdy bym nie przypuszczał", ale nie pomógł mi ani też nie odwołał tego, co przedtem powiedział.

Gdy nie pytając o radę Ekscelencji pojechałem jednak do Hagi, znowu chciał mi podstawić nogę. Słyszałem, jak śmiał się z tego, że mam zostać malarzem. Zauważyłem też, że Mauve, który miał mnie przedtem za „zupełnego idiotę", zdziwił się bardzo, gdy zobaczył inną osobę niż ta, którą mu opisywano. Nie prosiłem go o pieniądze, ale Mauve powiedział z własnej woli: „Jeżeli będzie ci potrzeba pieniędzy, moja w tym głowa, żebyś na nie zarobił, bądź pewien, że ciężkie lata masz już poza sobą i że teraz dla ciebie zaświeci słońce. Zapracowałeś na to i uczciwie na to zasłużyłeś". Na początku Mauve pomagał mi się urządzić. Potem wszystko się zmieniło, przyjaźń Mauve'a, która była dla mnie jak woda dla pół wyschniętej rośliny — skończyła się.

Stało się tak dlatego, że Tersteeg musiał powiedzieć Mauve'owi na ucho coś zjadliwego: „Uważaj, gdy chodzi o pieniądze, nie można mu zaufać, puść go kantem, nie pomagaj mu już więcej; jako kupiec niczego się po nim nie spodziewam". Na pewno mu coś takiego powiedział.

Teraz udaje, że nie rozumie, gdy mu mówię: „Tersteeg, licz się ze słowami". On twierdzi, że nic nie powiedział, że to tylko mnie się tak wydaje. Aż pewnego pięknego poranka zaczął mi grozić: „Już my się z Mauve'em postaramy, żebyś już więcej od Thea pieniędzy nie dostawał". Od tego czasu nie miałem już wątpliwości i pomyślałem sobie: on mnie zdradził. Bo wiedziałem dobrze, że w tej sprawie, tzn. w sprawie pieniędzy od ciebie, Mauve powiedział, że byłoby dobrze, gdybym jeszcze co najmniej rok dostawał od ciebie zapomogę.

Kiedy w zimie pozostawia się kogoś swojemu losowi i jeszcze chce mu się odebrać ostatni kawałek chleba, to czy nie jest to s z a n t a ż, sam powiedz?

To nie jest eleganckie ani delikatne, to jest nieludzkie. A kimże ja jestem? Jestem człowiekiem, który ma pracę ciężką i wymagającą cierpliwości. Muszę mieć przy tym spokój, żyć zgodnie i czuć wokół siebie trochę życzliwości, bo inaczej praca moja będzie diabła warta.

Theo, zastanów się nad tym wszystkim i odpisz mi jak najprędzej. Walczyłem ubiegłej zimy, jak tylko mogłem, chociaż strasznie mnie bolało, że Mauve wystrychnął mnie na dudka.

Ale czy to coś dziwnego, że mam na tym tle jakiś uraz i że czasem wydaje mi się, jakby mi serce zamierało?

Tacy jak Tersteeg śmieją się z tego, lecz ty przecież jesteś moim bratem i mam nadzieję, że śmiać się z tego nie będziesz.

Mam ci jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia, o moich planach na przyszłość i o pracy, jaka mnie jeszcze czeka. Ale skoro masz tutaj przyjechać, na razie nie będę o tym pisał. Mam nadzieję, że nie będziesz zwlekał z przyjazdem.

Pewno obejrzałeś już te dwa rysunki, które ci posłałem. To nie są jakieś prace przypadkowe. Takie jak te i inne w tym rodzaju mogę ci nadsyłać regularnie. Z czasem będą one na

pewno coraz lepsze. Nie jest więc w tym chyba nic nadzwyczajnego, jeżeli domagam się, aby moje sprawy był tak załatwione, żebym nie musiał się już więcej obawiać, że najpotrzebniejsze rzeczy zostaną mi odebrane, i żebym nie miał ciągle tego uczucia, że żyję na łaskawym chlebie.

Najniezbędniejsze rzeczy, to chleb, ubranie, komorne, modele i przybory malarskie. Tak jak się urządziłem, nie kosztuje to wszystko zbyt wiele, mógłbym ze to robić rysunki, gdyby ich ktoś potrzebował. Nie żądam bogactw, ale nie mogę się oczywiście obejść bez najniezbędniejszych rzeczy. Każdy robotnik wart jest przecież swojej dniówki.

Wolałbym otrzymywać pieniądze raz na tydzień, bo bardzo trudno jest robić obliczenia na miesiąc z góry.

Gdyby Tersteeg chciał odwołać najgorsze obelgi, to może uwierzyłbym, że mówił bez zastanowienia i wtedy wszystko bym zapomniał i przebaczył.

Ale jeśli będzie nadal obstawał przy swoim, to nie będę go uważał za przyjaciela, tylko za wroga, który chciałby mi zabrać światło sprzed oczu. Nie gniewaj się, Theo, że cię tym zanudzam. Ale trwa to już całą zimę i nie wiem, czym zasłużyłem sobie na taką niełaskę. Mimo woli, pod wpływem ciągłego strachu i kłopotów, człowiek staje się nerwowy i czuje się jak zaszczute zwierzę. A gdy Mauve przedrzeźnia moje słowa i gesty i mówi: „Masz taką gębę" i „tak się wyrażasz", ja mogę mu odpowiedzieć: „Mój drogi, gdybyś, tak jak ja w Londynie, spędzał całe noce na mokrej ulicy albo w Borinage spał na dworze, w mróz, głodny, bez dachu nad głową i w gorączce, to na pewno też robiłbyś czasami takie grymasy i twój głos nabrałby takiej samej szorstkości."

Bez daty

Spotkałem dzisiaj Mauve'a i miałem z nim bardzo nieprzyjemną rozmowę. Wiem nareszcie, czego się trzymać:

rozstaliśmy się z Mauve'em na zawsze.

Mauve na tyle już sobie pozwała, że nie chce czy rzekomo nie może cofnąć tego, co powiedział. Chciałem, żeby przyszedł obejrzeć moje prace; a potem chciałem porozmawiać z nim trochę o interesach. Ale on kategorycznie odmówił: „Mowy o tym nie ma, żebym do ciebie przyszedł, między nami wszystko skończone".

Na koniec powiedział jeszcze: „Masz perfidny charakter", i odwrócił się do mnie plecami. Poszedłem do domu sam, drogą przez wydmy.

Mauve ma mi za złe, że kiedyś powiedziałem: „Jestem artystą". Ale ja tego nie cofnę, bo jest zupełnie oczywiste, że słowo to oznacza: zawsze szukać i nigdy nie móc osiągnąć doskonałości. To wprost przeciwnie, niż gdy się mówi: „Już wiem, już znalazłem rozwiązanie".

O ile wiem, to słowo to oznacza: szukam, jestem w pogoni za tym, biorę to sobie do serca.

Przecież mam uszy, Theo, i gdy ktoś mi mówi: „Masz perfidny charakter", to co mam wtedy zrobić?

Odwróciłem się na pięcie i poszedłem sam do domu, ale z wielkim żalem w sercu, że Mauve odważył mi się to powiedzieć. Nię będę żądał od niego wyjaśnień, nie będę się usprawiedliwiał, a jednak... jednak... jednak! Chciałbym, żeby Mauve jeszcze kiedyś tego pożałował.

O coś mnie posądzają, coś wisi w powietrzu, coś się za mną wlecze. Powiadają: „Vincent coś ukrywa, coś, co boi się światła dziennego".

A więc, panowie, powiem to warn, warn, którzy tyle wagi przykładacie do dobrych manier i do kultury, o ile oczywiście te maniery i kultura są prawdziwe. Kto ma więcej kultury, subtelności i męskości, czy ten, kto porzuca kobietę, czy też ten, kto porzuconą kobietę do siebie przygarnia?

Tej zimy spotkałem ciężarną kobietę porzuconą przez mężczyznę, którego dziecko nosiła w swoim łonie.

Kobietę ciężarną, która musiała w zimie chodzić po ulicy, musiała zarobić na kawałek chleba, pewno wiesz w jaki sposób.

Wziąłem tę kobietę na modelkę i przez całą zimę z nią pracowałem.

Nie mogłem jej płacić pełnego wynagrodzenia modelki, ale przynajmniej opłacałem za nią komorne, no i dzięki Bogu udało mi się, jak dotąd, uchronić ją i jej dziecko od głodu i zimna. Nieraz dzieliłem się z nią moim własnym chlebem. Gdy spotkałem tę kobietę, uderzył mnie od razu jej chorobliwy wygląd.

Postarałem się dla niej o kąpiele lecznicze i o środki wzmacniające, ile tylko mogłem, i teraz jest już dużo zdrowsza. Byłem z nią w Lejdzie, w szpitalu dla położnic, bo tam ma pojechać na rozwiązanie. (Nic dziwnego, że się źle czuła, bo dziecko leżało w nieprawidłowej pozycji i trzeba ją było poddać operacji, która polegała na tym, że zmieniono położenie dziecka przy pomocy kleszczy. Teraz jest nadzieja, że poród, który ma nastąpić w czerwcu, odbędzie się prawidłowo.)

Wydaje mi się, że każdy człowiek wart tyle, co skóra jego butów, gdyby znalazł się w takiej sytuacji, postąpiłby w ten sam sposób.

To, co zrobiłem było w moim pojęciu rzeczą całkiem prostą i zrozumiałą, więc pomyślałem sobie, że nie warto jej rozgłaszać. Pozowanie przychodziło jej z trudnością, a jednak nauczyła się go, a ja zrobiłem w pracy postępy, ponieważ miałem dobrą modelkę. Kobieta ta jest do mnie tak przywiązana, jak oswojona gołębica. Jeżeli o mnie chodzi, to i tak tylko raz mogę się żenić, a z kim mógłbym się lepiej ożenić, jeżeli nie z nią. Będę mógł przez to dalej Jej pomagać; w przeciwnym wypadku nędza zmusi Ją znowu do

wejścia na drogę, która się kończy przepaścią. Ona nie ma pieniędzy, ale pomaga mi zarabiać pieniądze moją pracą.

Jestem pełen entuzjazmu i ambicji, jeżeli idzie o mój zawód i pracę, ale przez pewien czas zaniedbałem malowanie i akwarelę, bo byłem strasznie wstrząśnięty zdradą Mauve'a. Gdyby zechciał naprawdę wszystko odwołać, to mógłbym z nowym zapałem zabrać się do roboty. Teraz nie mogę patrzeć na pędzle, bo mi to działa na nerwy.

Pisałem ci: Theo, czy możesz mi wyjaśnić zachowanie Mauve'a, więc może ten list tobie z kolei coś wyjaśni. Jesteś przecież moim bratem, cóż więc dziwnego, że poruszam z tobą prywatne sprawy, ale jeżeli ktoś mi powiedział: „Masz perfidny charakter", to od tego czasu więcej z nim nie rozmawiam.

Nie mogłem inaczej postąpić, zabrałem się do tego, co było pod ręką, zacząłem pracować.

Spodziewałem się, że mnie zrozumieją bez słów. Myślałem o innej kobiecie, dla której serce moje biło, ale ona była daleko i nie chciała mnie widzieć. A tamta chodziła w zimie po ulicy, chora, ciężarna, głodna. Nie mogłem inaczej postąpić. Mauve, Theo i Tersteeg, wy macie mój los w swoich rękach, czy pozbawicie mnie chleba, czy odwrócicie się do mnie tyłem?

Powiedziałem już wszystko i teraz czekam na odpowiedź.

Bez daty

Twój ostatni list dał mi wiele do myślenia, może nawet więcej, niż przypuszczasz. Zdaje mi się, że dostrzegłem już swój błąd i właściwe powody, dla których zostałem odsunięty. Gdy się nie ma pieniędzy, to jest się siłą rzeczy

wyrzuconym za burtę. I dlatego było dużą omyłką i dowodem krótkowzroczności z mojej strony, że to, co powiedział Mauve, brałem dosłownie i liczyłem na to, że Tersteeg wzruszy się choć trochę moją niedolą.

Pieniądz jest dzisiaj tym, czym było dawniej prawo silniejszego. Przeciwstawianie się komuś, kto ma pieniądze, jest w skutkach fatalne i jeżeli ktoś się na to odważy, nie powinien oczekiwać od przeciwnika refleksji, ale przeciwnie — uderzenia pięścią po głowie. Najczęściej ma to formę oświadczenia: „niczego już od niego nie kupię" lub „już więcej nie będę mu pomagał".

Jeżeli tak jest, to ryzykuję moją głową, gdy ci się przeciwstawiam, ale doprawdy, Theo, nie wiem, jak mógłbym inaczej postąpić. Jeżeli chcesz mnie zamordować, to nadstawię ci karku. Ty wiesz, w jakich żyją warunkach, i wiesz, że od twojej pomocy zależy moje być albo nie być. Ale mam przed sobą trudny problem, bo jeżeli odpowiem na twój list: „Tak, Theo, masz rację, Christien trzeba będzie porzucić", to po pierwsze powiem nieprawdę, przyznając ci rację, a po drugie zobowiążę się do zrobienia czegoś potwornego. A jeżeli ci się przeciwstawię, a ty zrobisz tak, jak T. i M., to można będzie powiedzieć, te już nie mam głowy.

A więc na miłość boską, odetnij mi głowę, jeżeli to jest konieczne. To drugie byłoby jeszcze gorsze.

Chciałbym ci teraz szczerze wyjaśnić niektóre rzeczy. Wiem, że jeżeli będziesz je fałszywie interpretował, to być może utracę twoją pomoc, ale trudno. Przemilczenie ich tylko dlatego, żeby zachować twoją pomoc, wydaje mi się czymś podłym, więc wolę się odważyć na najgorsze. Jeżeli uda mi się wytłumaczyć ci to, czego, jak myślę, dotąd nie rozumiesz, to Christien, jej dziecku i mnie będzie się lepiej powodziło. I aby osiągnąć ten cel, muszę się odważyć na to, co teraz powiem.

Aby wyrazić swoje uczucie dla K., mówiłem szczerze „ta albo żadna". Jej „nigdy, nie, przenigdy" nie wystarczało, żebym z niej zrezygnował. Żyłem jeszcze nadzieją, spodziewałem się, te to, co uważałem za kawałek lodu na sercu, niedługo się roztopi, miłość moja była wciąż jeszcze żywa. A jednak nie miałem spokoju. Było to napięcie nie do zniesienia, bo ona zacięła się w milczeniu, nie odpowiadała ani słowem na moje listy.

Wybrałem się Więc do Amsterdamu. Tam powiedziano mi: „Gdy ty przychodzisz do nas, K. wychodzi z domu. Na twoje: »ta albo żadna«, ona ma swoje: »na pewno nie on«. Twoje natręctwo jest obrzydliwe". Włożyłem wtedy palce do płomienia lampy i powiedziałem: „Pozwólcie mi na nią popatrzeć tak długo, jak długo będę trzymał palce w płomieniach". Nic dziwnego, że Tersteeg z takim zainteresowaniem przyglądał się mojej ręce. A Jednak, o ile pamiętam, zgasili lampę i powiedzieli: „Nie zobaczysz jej".

Tego już było za wiele, zwłaszcza gdy zaczęto opowiadać, że chcę ją zdobyć gwałtem. Czułem, że ich słowa były Jak uderzenia maczugą i że to moje „ta albo żadna" zostało zabite tymi uderzeniami.

Poczułem także, nie od razu, a jednak dosyć szybko, że moja miłość umiera, a na jej miejsce przychodzi pustka, nieskończona pustka. Ty przecież wiesz, że ja wierzę w Boga, że nie wątpiłem nigdy w potęgę miłości, ale wtedy poczułem coś strasznego: „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?" Niczego już nie mogłem zrozumieć, wiedziałem tylko jedno: oszukano mnie... O Boże, przecież Boga nie ma!

Tego zimnego, straszliwego przyjęcia w Amsterdamie nie mogłem znieść: „Kupców poznajesz po powrocie z Jarmarku".

Dosyć już. Wtedy znalazłem trochę odprężenia i pociechy w rozmowach z Mauve'em i z całą energią zabrałem się do pracy. Potem Mauve wystrychnął mnie na

dudka i przez kilka dni czułem się niedobrze; wtedy w końcu stycznia spotkałem Christien.

Theo, ty mówisz, że gdybym naprawdę kochał K., teraz bym tego nie zrobił. Ale postaraj się mnie lepiej zrozumieć: po tym, co mi powiedziano w Amsterdamie, nie mogłem iść dalej tą samą drogą. Czy miałem wtedy rozpaczać? Dlaczego człowiek uczciwy miałby rozpaczać? Nie jestem przecież zbrodniarzem, chyba nie zasługuję więc na tak bezwzględne traktowanie. Czym mogą mi jeszcze zaszkodzić? To prawda, udało im się, postawili na swoim, pokrzyżowali mi plany wtedy w Amsterdamie. Teraz nie będę już ich pytał o radę i jako pełnoletni chciałbym się dowiedzieć, czy mam prawo się ożenić, tak czy nie? Czy mam prawo ubrać się w ubranie robotnika i żyć jak robotnik, tak czy nie? Przed kim mam obowiązek zdawać rachunek? Kto ośmieli się mi radzić, jak mam postępować?

Niech się tylko pokaże ten, kto by chciał mi przeszkodzić!

Widzisz, Theo, jestem już zmęczony i wyczerpany.

Pomyśl tylko o tym, a na pewno zrozumiesz. Czy moja droga nie jest prosta, dlatego że ten i ów powiada: on zbacza z właściwej drogi? CM. gada ciągle o „właściwej drodze", tak jak Tersteeg i pastorzy. Ale CM. nazywa także de Groux człowiekiem podłym, niechże więc sobie gada, co mu się podoba, moje uszy są już tym zmęczone. Aby zapomnieć, wychodzę, kładę się na piasku przed korzeniem starego drzewa i rysuję. Gdy włożę na siebie płócienną bluzę, zapalę moją fajkę, spojrzę na dalekie niebieskie niebo... na mchy, na trawę — uspokajam się.

11 maja 1882

Jestem trochę niespokojny, bo na ostatni mój list nie dostałem od ciebie odpowiedzi. Czyżbyś gniewał się na

mnie? Chyba nie gniewasz się na mnie za to, że żyję z Christien? Chyba się mnie nie wyrzekniesz z tego powodu ani z powodu moich manier, ani z jakiejś innej, nieznanej mi przyczyny? Po tym, co zaszło z Mauve'em i Tersteegiem, nie można się dziwić, że patrzę na świat z pewną dozą melancholii i myślę sobie: a może ty mi to samo zrobisz?

Chyba będziesz mógł zrozumieć, że po tym, co zaszło z Mauve'em i Tersteegiem, i po tym, co ci napisałem o Christien, mogę cię otwarcie zapytać: Theo, czy stosunki między nami nie ulegną zmianie, czy nie wytworzy się jakaś przepaść między tobą a mną? Jeżeli nie, to będzie to coś wspaniałego, mając twoją pomoc i sympatię jak dawniej, będę się czuł podwójnie szczęśliwy. Jeżeli tak, to lepiej, żebym już wiedział najgorsze, niż żebym miał żyć w niepewności.

Lubię spojrzeć prawdzie w oczy i wiedzieć, o co mam walczyć, wszystko jedno, czy czeka mnie klęska, czy powodzenie.

W sprawie Mauve'a i Tersteega mam już od ciebie odpowiedź, ale nie mam odpowiedzi w tej drugiej sprawie. Jest to coś zupełnie specjalnego, bo przecież istnieje jakaś granica pomiędzy życiem artysty a jego życiem prywatnym. Dobrze by było, żebyśmy się szczerze wypowiedzieli, jak się na te sprawy zapatrujemy.

I dlatego powiem ci:

Theo, mam zamiar ożenić się z tą kobietą, bo jestem do niej bardzo przywiązany, a ona do mnie. Jeżeli miałoby mnie spotkać nieszczęście i stosunek twój do mnie miałby się zmienić, to bardzo bym cię prosił, nie wstrzymuj mi zapomogi bez uprzedzenia mnie zawczasu. Mów w dalszym ciągu jasno i wyraźnie, co myślisz. Oczywiście, mam ciągle nadzieję, że to nie nastąpi, że nie przestaniesz mnie obdarzać pomocą i sympatią, że podamy sobie ręce jak dawniej, chociaż „świat" będzie się temu przeciwstawiał.

Bez daty

Chciałbym, żebyś poznał Sien, ale jesteś daleko i nie mogę ci jej opisać tak dokładnie, żebyś ją sobie wyobraził na podstawie samego opisu. Mogę jednak spróbować.

Czy pamiętasz Leen Veerman, naszą dawną piastunkę z Zundert? O ile mnie pamięć nie myli, Sien jest w jej typie. Jej profil przypomina mi trochę sztych Landella Anioł namiętności; wiesz, o czym myślę: klęcząca postać na sztychu wydanym przez firmę Goupil. Oczywiście nie chodzi o dosłowne podobieństwo, mówię to, żeby ci dać jakieś przybliżone pojęcie o rysach jej twarzy. Przechodziła kiedyś lekką ospę, nie jest więc już dzisiaj piękna, ale rysy twarzy ma proste i nie pozbawione wdzięku.

Najwięcej cenię w niej to, że mnie nie kokietuje, spokojnie robi, co do niej należy, jest oszczędna, ma dużo dobrej woli, umie się przystosować do okoliczności i chce się uczyć. Może mi więc pomagać w tysiącznych sprawach codziennego życia i w mojej pracy. Nie jest już ani piękna, ani młoda, nie jest też lekkomyślną kokietką i właśnie dlatego łatwo nam przyjdzie się porozumieć. Jej zdrowie było już bardzo nadszarpnięte i w zimie zdawało się, że nie wyżyje. Teraz jej stan bardzo się poprawił, przede wszystkim dzięki lepszemu odżywianiu, spacerom na powietrzu i kąpielom. A jednak ciąża to ciężki okres. Christien ma nieprzyjemny głos i często używa słów i zwrotów, jakie np. naszej siostrzyczce Wilhelminie, wychowanej w zupełnie innych warunkach, nie przeszłyby przez gardło. Ale mnie już te rzeczy zupełnie nie rażą, wolę, żeby się niewłaściwie wyrażała, a była dla mnie dobra, niż żeby kulturę wysłowienia łączyła z brakiem serca. Tymczasem ma właśnie dobre serce, potrafi niejedno znieść, jest cierpliwa, pełna dobrej woli, ofiarna i do wszystkiego ma lekką rękę.

Co tydzień przychodzi szorować moją pracownię, abym mógł zaoszczędzić na sprzątaczce. Pewnie, że nieraz przyjdzie nam biedę klepać, ale jeśli tylko ona będzie miała co jeść, to już wszystko będzie dobrze. Nie jest chorowita, to znaczy nic jej stale nie dolega, choć dawniej dosyć się nacierpiała, najpierw przez ospę, a potem przez jakąś chorobę gardła.

Nie widzę powodu, dlaczego nie miałaby dożyć późnej starości cała i zdrowa.

Chciałem cię w zaufaniu o coś zapytać. Jak myślisz, czy ojciec bardzo by się gniewał, gdybym przy tej okazji poprosił go o pieniądze? Jeśli tak, to na pewno tego nie zrobię. Ojciec nieraz mi już powiedział, że moje wychowanie itd. było kosztowniejsze niż innych. Dlatego nawet w razie ślubu o nic go nie poproszę, nie wezmę nawet starej filiżanki ze spodkiem. Sien i ja mamy to, co najbardziej potrzebne. Jedyna rzecz, bez której nie moglibyśmy się obejść, dopóki nie zacznę sprzedawać moich obrazów, to te 150 franków od ciebie, na komorne, chleb, buty, przybory do rysunku i inne bieżące wydatki.

O nic nie proszę, nawet nie chcą starej filiżanki ze spodkiem, chodzi mi tylko o jedno: pozwólcie mi kochać i opiekować się moją biedną, słabą, wynędzniałą kobietą, tak jak mi na to moja bieda pozwala. Nie starajcie się nas rozdzielić, nie przeszkadzajcie nam, nie róbcie nam przykrości.

Nikt o nią nie dbał, była sama i opuszczona, jak łachman wyrzucony na śmieci. To ja ją podniosłem, dałem jej całą moją miłość, całe przywiązanie, całą pieczołowitość, na jaką mnie było stać. Ona to wyczuła, przyszła do siebie, a raczej przychodzi dopiero do siebie. Znasz -pewno tę starą przypowieść czy też alegorię: Żył raz w pewnym mieście biedny człowiek, który nic nie posiadał, tylko jedno jagnię. Jagnię to kupił i wychował, a potem wyrosło ono przy nim w

domu, jadło z jego ręki, piło z jego kubka i spało mu na kolanach. Było ono dla niego jakby córką.

Ale w tym samym mieście żył także człowiek bogaty, który miał wiele stad owiec i bydła. Odebrał on biedakowi jego jedyne jagnię i posłał je na rzeź.

Widzisz, gdyby Tersteeg mógł (a wiem, że chciałby tego bardzo), to odebrałby mi Sien, kazałby jej znowu wracać do tego dawnego przeklętego życia, którego zresztą zawsze nienawidziła. I po co to wszystko? Ty dobrze wiesz, że życie tej kobiety, jej dzieci i moje zawisło na cieniutkiej nitce, wszystko zależy od tych 150 franków miesięcznie, dopóki nie zacznę sprzedawać moich prac.

Jeżeli ta nitka zerwie się przed czasem, to wtedy morituri te salutant . Wszystko jest dokładnie wyliczone i tylko przy największych oszczędnościach będziemy mogli związać koniec z końcem. Ta zależność jest dla nas dobrodziejstwem, ujawnia bowiem silne więzy, jakimi łączy nas miłość.

Spokój ojca i matki zależy w znacznej mierze od tego, co im powiesz. Jeżeli będziesz miał jakieś zastrzeżenia, to wetkniesz kij w mrowisko. Ale jeśli im powiesz: „Zachowajcie spokój, nie stawiajcie mu przeszkód" — sam zresztą będziesz wiedział, co im powiedzieć, żeby się uspokoili — to się uspokoją. To cię nie skompromituje ani nie obarczy żadną odpowiedzialnością. Odpowiedzialność spoczywa na mnie. Jeżeli nadal jesteś dla mnie równie życzliwy, jak dotychczas, to uspokój rodziców co do stanu moich finansów. Powiedz im, że po pierwsze, na bieżące wydatki mam zabezpieczenie w twojej zapomodze miesięcznej, że po drugie, niczego od nich nie chcę i nie wezmę ani grosza, nawet starej filiżanki ze spodkiem, a po trzecie, że mam już rzeczy najbardziej potrzebne: meble, pościel, wyprawkę dla dziecka, kołyskę itd.

Postaraj się, bracie, żeby można było uniknąć tych „dramatów" i żebyśmy wszyscy mogli zachować spokój. To jest moją nadzieją i do tego dążę z całych sił.

Bez daty

Jeżeli przyjedziesz do nas z końcem czerwca, to mam nadzieję, że zastaniesz mnie znowu przy pracy. Na razie jednak leżę w szpitalu i pewnie zostanę tu jeszcze dwa tygodnie. Już od jakichś trzech tygodni cierpiałem na bezsenność, miałem gorączkę i odczuwałem bóle przy oddawaniu moczu.

Dlatego muszę teraz spokojnie leżeć w łóżku i zażywać mnóstwo pigułek z chininą. Od czasu do czasu robią mi także zastrzyki z czystej wody lub z roztworu ałunu. Jak widzisz, kuracja jest zupełnie niewinna i nie ma żadnego powodu do niepokoju. Wiesz jednak, że z taką rzeczą nie można żartować i trzeba od razu zabrać się do leczenia, gdyż zaniedbanie może spowodować stan chroniczny i pogorszenie.

Bez daty

Niewiele rzeczy w ostatnim czasie sprawiło mi taką przyjemność, jak wiadomości z domu, świadczące o ich przychylniejszym stosunku do mnie.

Sien przyszła mi powiedzieć, że w pracowni leży dla mnie paczka, prosiłem ją więc, żeby paczkę otworzyła i zobaczyła, co jest w środku. Gdyby był jakiś list, miała mi go przynieść. W ten sposób dowiedziałem się, że wysłali oni całą paczkę zawierającą różne rzeczy, ubrania, bieliznę, cygara, a do listu dołączyli jeszcze 10 florenów.

Nie umiem ci powiedzieć, jak mnie to wzruszyło, to doprawdy dużo więcej, niż się spodziewałem, tylko że oni nie wiedzą jeszcze wielu rzeczy.

Mimo to czuję się o wiele spokojniejszy.

Jestem jeszcze bardzo słaby i zmęczony, Theo, i muszę mieć absolutny, absolutny spokój, jeżeli stan mego zdrowia ma się poprawić, więc tym większą radość sprawia mi teraz wszystko, co może doprowadzić do zgody. Zanim tu przyszedłem, czułem się znacznie gorzej, ale teraz mogę ci powiedzieć, że już nie jest tak źle. Jeszcze kilka dni kuracji, a wszystko będzie w porządku. Chciałem cię natychmiast zawiadomić o tym, co ojciec i matka dla mnie zrobili, bo myślę, że i tobie sprawi to przyjemność.

Sien wyjedzie prawdopodobnie w najbliższy poniedziałek. Teraz nigdzie nie będzie jej lepiej niż w szpitalu, bo w połowie czerwca spodziewa się rozwiązania. Chciała tu jeszcze zostać ze względu na mnie, ale jej nie pozwoliłem.

22 czerwca 1882

Nie odpowiadałem do dzisiaj na twój list, bo jeszcze nie wiedziałem, jak będzie z moją chorobą. W każdym razie poprawa nie przychodzi tak szybko, jak lekarz się tego spodziewał. Leżę tutaj już przeszło dwa tygodnie i musiałem znowu zapłacić za dwa tygodnie z góry, chociaż, jeżeli wszystko dobrze pójdzie, może będę mógł stąd wyjść za 8 lub 10 dni. W tym wypadku zwrócono by mi część pieniędzy. Dzisiaj rano rozmawiałem z doktorem, bo chciałem się dowiedzieć, czy nie ma jakichś komplikacji pogarszających stan mego zdrowia. „Nie — odpowiedział mi na to — trzeba tylko poleżeć tu trochę i odpocząć." Nie masz pojęcia, jak mi już tęskno za kawałkiem zieleni i za świeżym powietrzem. To takie głupstwo, a taki jestem słaby i do niczego. Muszę

prawie cały czas leżeć spokojnie w łóżku i nie wolno mi rysować, bo gdy kilka razy tego próbowałem, dostawałem zaraz gorączki. Mogę tylko czytać, ale nie mam tu żadnych książek. Jednak i to musi się kiedyś skończyć, tylko trzeba się uzbroić w cierpliwość.

Sien jest już w Lejdzie, a stamtąd nie będę już miał od niej żadnej wiadomości przed rozwiązaniem. I pomyśleć, co znaczą te nasze męskie dolegliwości w porównaniu ze strasznymi bólami, jakie kobiety muszą znosić przy porodzie. Trzeba przyznać, że kobiety lepiej od nas znoszą cierpienia, za to w innych sprawach my je przewyższamy. Do ostatniego dnia swego pobytu regularnie mnie tu odwiedzała i przynosiła zawsze to trochę wędzonego mięsa, to cukier, to chleb. Teraz to ustało i jestem znowu bardzo słaby.

Jest mi bardzo przykro, że ja z kolei nie mogę wysłać do Lejdy czegoś, co mogłoby ją wzmocnić. Bardzo by jej się to przydało, bo wyżywienie w szpitalach jest dosyć podłe. To takie głupie uczucie, gdy nie można nic robić i gdy dzień za dniem upływa taki pusty. Czasem zdaje mi się, że już będę mógł to czy tamto zrobić, a tu osłabienie nie pozwala.

Muszę ci jeszcze zakomunikować, że ojciec odwiedził mnie w pierwszych dniach mego pobytu w szpitalu. Wizyta jego była bardzo krótka, gdzieś się spieszył i właściwie nie można było o niczym spokojnie porozmawiać. Wolałbym był go widzieć kiedy indziej, by to spotkanie mogło przynieść obu stronom jakąś korzyść. Jego wizyta zrobiła na mnie jakieś dziwne wrażenie, nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa; to samo zresztą czuję, jeśli idzie o całą moją chorobę i pobyt w szpitalu.

Oprócz Sien, jej matki i mego ojca, nikt mnie tutaj nie odwiedzał. Może to i lepiej, choć moja dni mijają samotnie i melancholijnie.

Obawiam się, że w dniu, w którym Sien musiała wyjechać, zanadto się zdenerwowałem i przez to stan mego zdrowia znowu się pogorszył. Są chwile w życiu, w których nie zawsze można zachować zimną krew. Ona leży tam sama, a ja tak chciałbym być przy niej, bo nadchodzą dla niej dni pełne grozy.

1 lipca 1882

Od kilku godzin jestem znowu w mojej pracowni i od razu chwytam za pióro, żeby do ciebie napisać. Nie masz pojęcia, jak to rozkosznie być znowu zdrowym i jak piękna wydała mi się droga ze szpitala do pracowni. Światło jest jakby jaśniejsze, przestrzeń szersza, przedmioty i postacie mają wyraźniejszy kontur. Niestety, jest jeszcze jedno „ale": w przyszły wtorek muszę znowu iść do lekarza, żeby mu powiedzieć, jak się czuję. Przygotował mnie już zresztą na to, że może znowu będę musiał na dwa tygodnie wrócić do szpitala — może na dłużej, może na krócej, to się okaże. W każdym razie byłbym niezmiernie zadowolony, gdybym nie potrzebował tam wracać.

Gdybym poczuł się gorzej, mam wracać, ale nawet gdybym nie zauważył żadnych zmian, muszę znowu poddać się badaniom we wtorek. Jak tylko trochę lepiej się czuję, zapominam od razu o wszystkich cewnikach, sondach i strzykawkach, aż znowu zobaczę zbliżającego się lekarza. Taki moment z pewnością nie należy do przyjemności.

Zresztą wszystko to są te „małe niedole ludzkiego życia". Ale to, co można by nazwać „wielką niedolą", to jest właśnie ciąża i poród. Ostatni list Sien był bardzo melancholijny, poród jeszcze się nie zaczął, ale oczekują go z godziny na godzinę. Ponieważ to oczekiwanie trwa już kilka dni, jestem bardzo niespokojny. Chcąc ją odwiedzić, poprosiłem lekarza, żeby mi pozwolił zrezygnować ze

spacerów w ogrodzie, a w zamian za to, jeśli może, zgodził się na mój krótki wyjazd. Tak więc, razem z jej matką i z dzieckiem, jadę do niej jutro rano, bo tylko w niedzielę wolno jej przyjmować odwiedziny. Ostatni list pisała jej pielęgniarka, która dodała od siebie, że powinniśmy ją odwiedzić. Może się jednak zdarzyć, że będziemy mieli pecha i że nas do niej nie dopuszczą. Biedna dziewczyna, jest i tak bardzo dzielna i nie poddaje się. Według jej ostatniego listu, nic jej właściwie nie grozi, jest tylko bardzo wyczerpana. Nie umiem ci powiedzieć, jak za nią tęskniłem w szpitalu i jak mi jej teraz brakuje. Czasami nie żałowałem nawet, że sam cierpię, bo gdybym miał zdrowy patrzeć na jej cierpienia, różnica między jej stanem a moim byłaby zbyt rażąca.

Jeżeli wszystko odbędzie się pomyślnie, Sien powinna jaszcze w tym miesiącu wrócić do domu. Oby tylko tak było. Przysłowie jednak mówi, że „cierpienie matki trwa długo". Dlatego też na moje rozkoszne uczucie powrotu do zdrowia pada jeszcze cień niepewności. Marzę o jutrze, a jednocześnie bardzo się go boję.

Bez daty

Tak jak ci wczoraj pisałem, wybrałem się do Lejdy. Sien rodziła ubiegłej nocy, miała bardzo ciężki poród, ale dzięki Bogu wyszła z niego żywa i wydała na świat rozkosznego małego chłopczyka.

Pojechaliśmy do niej we trójkę, jej matka, dziecko i ja. Możesz sobie wyobrazić, jak byliśmy niespokojni, nie wiedząc, co usłyszymy, gdy zapytamy o nią pielęgniarkę w szpitalu. Radość nasza nie miała granic, gdy wreszcie usłyszeliśmy: „Dziś w nocy rodziła... ale nie wolno z nią długo rozmawiać". Nie zapomnę tak prędko tego „nie wolno z nią długo rozmawiać", bo to znaczyło przecież: „można z

nią rozmawiać", a równie dobrze mogła powiedzieć: „nigdy już nie będziesz z nią rozmawiać". Theo, byłem tak szczęśliwy, że ją znowu widzę! Leżała tuż przy oknie z widokiem na ogród, pełen słońca i zieleni, wpółprzytomna z wyczerpania, na pograniczu snu i jawy. Wreszcie spojrzała i zobaczyła nas. Ach, chłopie, jak ona na nas patrzyła, jak się ucieszyła na nasz widok! Przypadek zrządził, że byliśmy tam w 12 godzin po rozwiązaniu, a przecież można chore odwiedzać tylko przez jedną godzinę w tygodniu. Od razu się ożywiła, była zupełnie przytomna i wypytywała o wszystko.

Komu jednak nie mogę się nadziwić, to temu dziecku. Chociaż wyciągnięto je przy pomocy kleszczy, nie ma na sobie najmniejszych śladów. Leżało sobie w kołysce i patrzyło na nas tak, jakby już zjadło wszystkie mądrości świata. A jednak ci lekarze wiedzą, co robią. Z tego co mówią, można się domyślić, że jej stan był krytyczny. Aż pięciu profesorów było przy niej w czasie rozwiązania i dla znieczulenia dawano jej chloroform. Bardzo się nacierpiała, bo od dziewiątej wieczorem do wpół do drugiej dziecka nie można było wydostać. Jeszcze teraz jest strasznie obolała. Ale widząc nas zapomniała o wszystkim i zaraz mi powiedziała, że niedługo będę ją znowu rysował. Nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli ta przepowiednia się spełni. Na szczęście w czasie porodu nic się w niej nie naderwało, choć takie wypadki często się zdarzają.

Psiakrew, wdzięczny jestem za to Opatrzności. A jednak jakiś złowrogi cień wisi jeszcze nad nami; mistrz Albrecht Dürer wiedział, dlaczego na sztychu, który znasz, umieścił śmierć za plecami młodych kochanków.

Ale miejmy nadzieję, że ten złowrogi cień szybko zniknie.

Teraz, Theo, wiesz o mnie wszystko. Gdyby nie twoja pomoc, prawdopodobnie Sien nie byłoby już na tym świecie. I jeszcze jedno: prosiłem Sien, żeby dała się jeszcze

dokładnie zbadać przez profesora, bo miewa często to, co nazywają upławami. Profesor zbadał ją i dał jej kilka wskazówek, co ma robić, żeby zupełnie powrócić do zdrowia.

Powiedział jeszcze, że była już kilka razy o krok od śmierci, najpierw gdy chorowała na gardło, potem gdy poroniła, a wreszcie tej zimy. Jest do ostateczności wyczerpana wskutek niespokojnego życia i całe lata trwających prześladowań. Teraz, jeśli będzie unikała ciężkiej pracy i nie wróci do dawnego życia, może doskonale przyjść do siebie. Musi mieć tylko spokój, zażywać środki wzmacniające, przebywać dużo na świeżym powietrzu.

Gdy tylko wydostanie się z dawnej nędzy, zacznie się w jej życiu nowy okres. I chociaż wiosna jej życia, bardzo zresztą ponura, już nigdy nie wróci, ta druga wiosna, na św. Jana, może być jeszcze bardzo ponętna. Wiesz przecież, że w połowie lata, po wielkich upałach, drzewa wypuszczają znowu młode pędy i warstwą świeżej zieleni przykrywają stare spalone liście.

6 lipca 1882

Muszę znowu do ciebie napisać. Chcę ci jeszcze wyjaśnić, najsumienniej i najpoważniej, jak potrafię, kilka istotnych spraw, które, jak ci się zdaje, już znasz i rozumiesz. Mam więc nadzieję, że przeczytasz ten list ze spokojem i z cierpliwością, bo wiele od niego zależy.

Jutro rano muszę znowu iść do szpitala, ale położę się spokojnie dopiero wtedy, gdy będę wiedział, że zostałeś już o wszystkim tak wyczerpująco i wyraźnie poinformowany, jak na to dzieląca nas odległość pozwala.

W pełni doceniam wszystko, co ojciec i matka zrobili dla mnie w czasie mojej choroby — przypominam sobie, że ci zaraz o tym pisałem; tak samo cenię sobie wizytę Tersteega.

Mimo to nie napisałem od razu do rodziców o Sien i o innych moich sprawach. Doniosłem im tylko krótko, że stan mego zdrowia poprawił się. Powiem ci, dlaczego. Widzisz, to, co zaszło ubiegłego lata, a potem zimą, stanowi jakby żelazną barierę pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Nie mam zamiaru, tak samo jak w ubiegłym roku, pytać rodziców o radę czy opinię, ponieważ przekonałem się, że ich sposób myślenia i poglądy na świat zasadniczo różnią się od moich. Z drugiej strony pragnę gorąco żyć z rodzicami w zgodzie i chciałbym ich przekonać, że nie powinni mi się przeciwstawiać. Oni myślą, że należę do ludzi, którzy potrafią tylko marzyć, a nie umieją działać. Mówię ci, oni się mylą, jeżeli myślą, że nierealnie oceniam istniejące okoliczności i że mają obowiązek mnie prowadzić.

Wierz mi, Theo, nie mówię tego o rodzicach z goryczą, pogardą czy lekceważeniem ani nie chcę sam się wywyższać. Chcę tylko, żebyś zdał sobie sprawę z tego, że ojciec i matka nie należą do ludzi, którzy mnie rozumieją, nie rozumieją moich błędów i nie rozumieją moich zalet, nie potrafią się wczuć w moje położenie i dyskusja z nimi do niczego nie prowadzi. Co robić?

Posłuchaj, co postanowiłem. Mam nadzieję, że będziesz to aprobował. Chciałbym tak oszczędzać, żeby np. w przyszłym miesiącu odłożyć sobie z 10, a może lepiej z 15 florenów. Wtedy, ale nie przedtem, chciałbym napisać do ojca, że mam mu coś do powiedzenia. Poproszę, żeby na mój koszt przyjechał tu i zamieszkał u mnie przez kilka dni.

Chciałbym wtedy pokazać mu to, czego się nie spodziewa, Sien z małym dzieckiem, a także jasny, czysty dom, pracownię pełną rozpoczętych prac, no i siebie samego, bo mam nadzieję, że do tego czasu będę zupełnie zdrów.

Wydaje mi się, że wszystko to zrobi na ojcu lepsze i głębsze wrażenie niż słowa i listy. W krótkich słowach przedstawię mu wtedy, jakie kłopoty mieliśmy i Sien, i ja

zimą tego roku, gdy Sien była w odmiennym stanie, i jak nam wspaniałomyślnie pomogłeś, chociaż o istnieniu Sien dowiedziałeś się dopiero później. Powiem mu, że Sien jest mi niezbędna, bo po pierwsze, życie połączyło nas węzłem miłości i przywiązania, a po drugie jest ona od początku pełna dobrej woli, jest inteligentna i praktyczna i pomaga mi w mojej pracy. Tak więc oboje z całego serca pragniemy, aby ojciec zaaprobował to, że ją wziąłem za żonę. Muszę tak powiedzieć: wziąłem ją za żonę — bo nie formalności ślubne decydują o naszym małżeństwie, ale istniejący już między nami związek, świadomość, że się kochamy, rozumiemy i nawzajem sobie pomagamy.

Chciałbym, żeby ojciec odniósł przyjemne i korzystne wrażenie, żeby uwierzył w moją jasną, odrodzoną przyszłość, żeby mnie zobaczył w otoczeniu, które będzie na pewno daleko odbiegało od tego, co sobie wyobrażał, żeby się przekonał o mojej życzliwości i był dobrej myśli co do mojej przyszłości. Wierz mi Theo, nie widzę krótszej drogi ani skuteczniejszego środka, aby w prosty sposób i w krótkim czasie przywrócić dobre stosunki z rodzicami. Napisz mi, co o tym myślisz.

Chyba nie będzie rzeczą zbędną, jeżeli jeszcze raz ci opiszę, co czuję dla Sien, choć właściwie trudno jest te sprawy opisywać. Gdy z nią przebywam, czuję się u siebie, czuję, że jej obecność stwarza mi własne ognisko domowe, czuję, że jesteśmy zrośnięci w jedną całość. Jest to uczucie subtelne, bardzo głębokie i poważne, nie wolne od złowrogiego cienia naszej przeszłości, i jej, i mojej, cienia, o którym ci już raz pisałem. Wygląda to tak, jakby stale groziły nam jakieś kataklizmy, a życie nasze było nieustanną walką przeciw nim. Ale równocześnie czuję wielki spokój, umysł się rozjaśnia i ożywiam się, gdy myślę o Sien i o prostej drodze, jaka się przede mną rozciąga. W zeszłym roku pisałem ci dużo o K., więc możesz się zorientować, jak teraz się wszystko zmieniło. Nie myśl, że

wtedy przesadzałem, opisując ci moje uczucia, była to silna i namiętna miłość, inna niż miłość do Sien. Gdy wtedy, w Amsterdamie, wbrew moim przypuszczeniom stwierdziłem, że czuje ona do mnie pewien rodzaj awersji, moje postępowanie uważa za gwałt i nie chce mnie widzieć, a nawet „wychodzi z domu, gdy ja tam jestem" — wtedy dopiero, ale nie wcześniej, na moją miłość spadł cios śmiertelny. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero ubiegłej zimy, w Hadze, gdy oprzytomniałem trochę po tym wstrząsie.

Byłem wtedy w depresji, której żadnymi słowami nie potrafiłbym opisać. Wiem tylko tyle, że bardzo często wówczas przychodziło mi na myśl męskie powiedzenie ojca Milleta: „Zawsze byłem zdania, że samobójstwo popełnia tylko człowiek nieuczciwy". Pod wpływem pustki wewnętrznej i cierpienia myślałem nieraz: rozumiem ludzi, którzy skaczą do wody. Byłem jednak daleki od tego, żeby ich pochwalać. Zgadzałem się z podaną wyżej maksymą, wiedziałem, że można znaleźć lepsze wyjście z sytuacji i zacząłem szukać lekarstwa w pracy. Sam zresztą wiesz najlepiej, jak się wtedy zabrałem do roboty.

Chyba trudno, bardzo trudno, po prostu nie sposób uważać moją namiętność z zeszłego roku za jakieś złudzenie. Ojciec i matka byli jednak tego zdania. Ja na to powiadam: nie było to iluzją, ale mogło nią być. Nie było to iluzją, ale nasze światopoglądy różniły się coraz bardziej i okoliczności tak się jakoś składały, że drogi nasze zamiast się zbiegać, zaczęły się coraz bardziej rozchodzić.

Oto co o tym myślę: jestem szczerze i głęboko przekonany, że wszystko mogło być inaczej, ale teraz już jest za późno. Czy awersja, jaką K. żywiła w stosunku do mnie, była uzasadniona? Czy postępowałem niesłusznie upierając się? Muszę przyznać, że tego nie wiem. Nie bez przykrości i goryczy myślę jeszcze o tym i piszę. Chciałbym nareszcie zrozumieć, dlaczego K. tak się do mnie odnosiła i

dlaczego jej rodzice i moi byli tak fanatycznie przeciwni naszemu związkowi, może nie tyle w słowach, ile przez to, że nie okazywali nam ciepłej, żywej sympatii. Tych słów nie mógłbym odwołać, ponieważ uważam to wszystko za wyraz stosunku tych osób do mnie; wolałbym o tych ludziach zapomnieć.

Po tym, co zaszło, pozostała duża i głęboka rana, rana zabliźniona, ale jeszcze bardzo bolesna.

Czy wtedy, owej zimy, mogłem tak od razu zapałać znowu miłością? Z pewnością nie. Ale jeśli uczucia ludzkie nie zostały we mnie całkowicie zagłuszone i podeptane i jeśli pod wpływem własnego nieszczęścia zacząłem właśnie rozumieć nieszczęścia drugich, to czy było w tym coś zdrożnego? Myślę, że nie. Początkowo Sien była dla mnie tylko takim samym człowiekiem jak ja, była samotna i nieszczęśliwa. A że sam nie byłem jeszcze wtedy zupełnie załamany, miałem na tyle sił, żeby jej udzielić realnej pomocy, co równocześnie było dla mnie bodźcem do dalszej walki.

Powoli i stopniowo łączące nas więzy zaczęły przybierać inną postać. Staliśmy się zdecydowanie potrzebni jedno drugiemu, nie unikaliśmy się już nawzajem, każde z nas coraz bardziej penetrowało w życie swego partnera, aż wreszcie zrodziła się miłość. Stosunek, który nas łączy, jest czymś prawdziwym, to nie sen, to rzeczywistość. To, że moje idee i moja twórczość znalazły jakiś punkt oparcia, jakiś konkretny kierunek, uważam za wielkie błogosławieństwo. Być może moje uczucia dla K. miały w sobie więcej namiętności, może K. była nawet ładniejsza niż Sien, ale czyżby z tego powodu moja miłość do Sien miała być mniej szczera? Na pewno nie. Sytuacja była wtedy bardzo poważna, trzeba było działać natychmiast, wykazać zmysł praktyczny. I tak było od początku, jak ją tylko poznałem.

Patrz, jaki to dało wynik: gdy do nas przyjedziesz, nie będę już taki przygnębiony i melancholijny jak dawniej, znajdziesz się w otoczeniu, które, mam nadzieję, będzie ci odpowiadało, a przynajmniej nie będziesz się w nim źle czuł. Nowa pracownia, młodzi gospodarze i pełne ręce roboty.

Bez daty

Jest to wieczór poprzedzający mój ponowny pobyt w szpitalu. Nie wiem, co mi tam powiedzą, może będę tam bardzo krótko, a może jeszcze wiele dni będę musiał leżeć spokojnie w łóżku. Dlatego piszę do ciebie jeszcze raz z domu. Tak tu teraz cicho i spokojnie w, mojej pracowni, jest już późno, a na dworze deszcz i zawierucha. Przez to cisza w pokoju wydaje się jeszcze większa. Jakże bym chciał, bracie, żebyś w taką cichą godzinę był tutaj, miałbym ci tak wiele rzeczy do pokazania. Pracownia dobrze się przedstawia, tak ml się przynajmniej wydaje, gładka, szaro-brązowa tapeta, podłoga wyszorowana, muślin rozciągnięty na ramach okiennych, wszystko lśni od czystości. No i oczywiście na ścianach pełno szkiców, sztalugi w dwóch rogach pokoju, a na środku duży stół do pracy, z białego drzewa. Przy pracowni jest coś w rodzaju alkowy, tam znajdują się deski do rysowania, teczki, pudełka, kije itd; są tam również moje sztychy. W rogu szalka pełna garnków i butelek, a trochę dalej wszystkie moje książki. Z drugiej strony jest mały pokój, a w nim stół, kilka krzeseł kuchennych, piecyk na naftę; w rogu przy oknie, skąd widać doki okrętowe i łąki dobrze ci znane z moich rysunków, stoi duży fotel trzcinowy dla Sien, a obok mała, żelazna kołyska, przykryta zieloną kapa. Na tę kołyskę nie potrafię patrzeć bez wzruszenia; silne i głębokie wzruszenie ogarnia każdego, kto jest przy kobiecie, którą kocha, i patrzy na małe dziecko leżące w kołysce. Nawet w szpitalu, gdy ona leżała, a ja przy niej siedziałem, było w tej scenie coś z odwiecznej poezji Bożego

Narodzenia, podchwyconej przez dawnych malarzy holenderskich, przez Millet a i Bretona: dziecko w stajence, światło w ciemnościach, smuga jasności na tle ciemnej nocy. Nad kołyską zawiesiłem duży sztych, według obrazu Rembrandta, przedstawiający dwie kobiety przy kołysce. Jedna z nich czyta Biblię przy świecy, od której duże cienie padają na całą izbę, pogrążoną w głębokim półmroku. Wiszą tam i inne sztychy, wszystkie wyjątkowo piękne: Christus Consolator Scheffera, fotografia obrazu Boughtona, Siewca i Kopacze Milleta, Krzak Ruysdaela, dwa wspaniałe drzeworyty Herkomera i Franka Holla i Ławka biedaków de Groux.

W maleńkiej kuchni mam tylko to, co konieczne. Ale jak moja kobieta wyzdrowieje przede mną, znajdzie tam wszystko, co potrzeba, i w dziesięć minut będzie mogła przygotować coś do jedzenia. Chcę, żeby wiedziała, że dużo o niej myślałem; kiedy przyjdzie do domu, chcę, żeby zastała kwiaty na oknie, przy którym zwykła siadywać. Na górze jest obszerny strych, gdzie stoi duże łóżko dla nas dwojga i moje stare łóżko z naprawioną pościelą dla dziecka. Niech ci się nie wydaje, że to wszystko kupiłem od razu. Już od zimy zaczęliśmy kupować stopniowo to to, to tamto, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak się sprawy ułożą i co się z nami stanie. Teraz, dzięki Bogu, widać już jakieś rezultaty: gotowe gniazdko, które oczekuje ją po wszystkich jej cierpieniach. Jej matka i ja napracowaliśmy się porządnie przez kilka dni, zwłaszcza ona. Najwięcej trudności było z pościelą, trzeba było wszystko szyć od nowa albo przerabiać. Kupiliśmy słomę, trawę morską, grube płótno itd. i sami na strychu wypchaliśmy materace. Inaczej wszystko wypadłoby zbyt drogo. Teraz, po zapłaceniu długu dawnemu gospodarzowi, z przysłanych przez ciebie pieniędzy pozostało mi jeszcze 40 florenów. Prawda, 10 florenów z tego muszę jeszcze jutro zapłacić za szpital, ale tam będę miał za to wyżywienie i opiekę lekarską przez dwa

tygodnie. Widzisz więc, że chociaż w tym miesiącu było dużo wydatków, jak przeprowadzka, urządzenie się w nowym mieszkaniu, powrót Sien po porodzie i wszystko, co się z tym wiąże, jak kołyska itp., to jednak jakoś dam sobie radę i nie musisz mi przysyłać więcej niż zwykle. „Samemu zginie się na pewno, tylko razem można się uratować." Przysłowie to musi być chyba prawdziwe, bo na nim opieram moje życie. Czy miałoby ono być omyłką, błędem w obliczenia ?

W tych dniach, bracie, dużo o tobie myślałem, bo przecież wszystko, co mam, jest właściwie twoje, tobie zawdzięczam radość życia i energię. Dzięki twojej pomocy odzyskałem swobodę ruchów i czuję, jak wracają mi siły do pracy.

Ale myślałem o tobie wiele także z innych powodów.

Pamiętam, jak jeszcze niedawno przychodziłem do domu, który właściwie nie był domem, nie wzruszał mnie, tak jak teraz. W dzień i w nocy dwie duże przepaści otwierały się przede mną: nie było kobiety, nie było dziecka.

Nie przypuszczam, żebym wtedy cierpiał z tego powodu, ale jestem pewien, że nie czułem tej radości co dzisiaj. Na ulicy i w pracy, na prawo i na lewo, te dwie przepaści towarzyszyły mi wszędzie i nieustannie.

Nie było kobiety, nie było dziecka.

Nie wiem, czy znasz to uczucie, uczucie samotności, które wyrywa ci z serca westchnienie czy skargę: mój Boże, gdzież jest moja kobieta, mój Boże, gdzież jest moje dziecko, czy tą samotność można nazwać życiem?

Chyba się nie mylę, gdy myśląc o tobie, mówię sobie, że w twojej naturze jest mniej namiętności i mniej nerwowości niż w mojej, ale że w pewnym stopniu, a przynajmniej w pewnych okresach, masz tę samą skłonność do melancholii.

Nie wiem, czy mnie pochwalisz, czy zganisz, czy uznasz to za słuszne, czy niesłuszne, jeżeli ci napiszę, co o tobie

myślę. W każdym razie wiem, że mimo mojej nerwowości, tak w twoim, jak i w moim charakterze jest jakiś fundament pogody, pogody „mimo wszystko". Ani ty, ani ja nie możemy być nieszczęśliwi, bo źródłem pogody jest to, że nasz zawód i naszą pracę kochamy prawdziwie i uczciwie, a sztuka zajmuje poczesne miejsce w naszych umysłach i sprawia, że życie staje się interesujące. Nie chciałbym więc nastrajać cię melancholijnie, tylko przekonać, tak by moje postępowanie i moje poglądy na świat stały się dla ciebie zrozumiałe. Wracając do ojca: czy myślisz, że ojciec pozostanie niewzruszony i będzie miał jakieś zastrzeżenia — wobec kołyski? Patrz, kołyska, to przecież coś całkiem realnego, to nie jest żaden podstęp. Jakakolwiek była przeszłość Sien, to przecież znam tylko tę Sien, którą poznałem ubiegłej zimy, matkę, której w szpitalu ściskałem rękę, i obojgu nam oczy zachodziły łzami, bo patrzyliśmy na dziecko, dla którego przez całą zimę harowaliśmy zawzięcie.

Posłuchaj jeszcze — nie chcę przemawiać tonem kaznodziei, ale, mówiąc między nami — jeżeli nie ma Boga, to przecież musi istnieć gdzieś jakaś istota bardzo do Boga zbliżona, której obecność wyczuwa się w takiej chwili. Można by więc powiedzieć, że to wszystko jedno; w każdym razie mogę szczerze powiedzieć: wierzę w jednego Boga i wierzę, że wolą jego jest, żeby człowiek nie żył sam, ale z kobietą i dzieckiem, jeżeli wszystko ma być normalnie. Teraz, mam nadzieję, zrozumiesz moje postępowanie i ocenisz je jak należy. Jest to postępowanie zgodne z naturą i nikogo przy tym nie oszukuję ani też nie jestem oszukiwany. Ach, chłopie, jak do nas przyjedziesz — a przyjeżdżaj prędko, jeśli możesz — to spójrz na Sien, tak jak ja na nią patrzę, szukaj w niej matki i dobrej gospodyni, niczego więcej. Bo taka jest ona naprawdę i moim zdaniem jest dużo lepiej, że zna już odwrotną stronę medalu.

To, co sobie sprawiłem ostatnio, to tych kilka talerzy, widelców, łyżek i noży, bo żadne z nas dotychczas ich nie

miało Myślałem przy tym: jeszcze jeden dla Thea lub dla ojca, jak przyjadą nas kiedyś odwiedzić. Tak więc twój kąt przy oknie i twoje miejsce między nami są wolne i czekają na ciebie... Ale przyjedziesz na pewno, nie zrobisz mi zawodu, prawda?

To, że o niczym jeszcze nie wspominałeś ojcu i matce, uważam i za mądre, i dyskretne. Teraz, gdy już po rozwiązaniu, można pokazać i kwiaty, i owoce, ale przedtem lepiej było ojca i matki do tego nie mieszać. Myślałem, że dobrze będzie ciernie zachować dla siebie, a im pokazać tylko różę. Gdy tylko moja kobieta powróci ze szpitala, a ja będę się czuł trochę lepiej, chciałbym z nimi porozmawiać, tak jak ci mówiłem, ale wydaje mi się, że jeżeli będą cię o coś pytać, to może mógłbyś już puścić trochę pary z ust.

Bez daty

Powiedziałem ci już, że mam zamiar ożenić się z Sien, i to możliwie jak najrychlej. Pamiętaj, że zanim poruszę tę sprawę w rozmowie z ojcem, chciałbym omówić ją z tobą osobiście. Ty lepiej mnie rozumiesz, lepiej pojmujesz moją sytuacją niż wszyscy inni razem wzięci i właściwie liczę się tylko z twoim zdaniem. Nawet jeśli się czasem nie zgadzamy w szczegółach, to zwykle jednak potrafimy znaleźć jakąś drogę pośrednią, gdyż traktujemy nasze poglądy z życzliwością i spokojem.

A myślę, że zgadzalibyśmy się pod każdym względem, gdyby do naszych spraw nie mieszały się inne, niepowołane osoby. Ale gdy tylko jest mowa o ożenku, ludzie ci od razu napadają na mnie z takim zapamiętaniem i z taką wściekłością, że nie można z nimi rozmawiać, bo nie pozwolą dojść do słowa.

Dlatego nie będę już dłużej zwlekał i napiszę ci o tym, co wolałbym omówić osobiście.

W sprawie mego projektowanego małżeństwa powiedziałeś mi: nie żeń się z nią, bo byłeś pewien, że Sien chce mnie po prostu nabrać.

Napisałem ci wtedy, że nie mogę się z tobą zgodzić itd.

Nie chciałem ci się tak otwarcie przeciwstawiać, jak mnie kusiło, bo spodziewałem się i jeszcze się spodziewam, że z czasem, gdy poznasz Sien bliżej, sam ją polubisz i oczywiście wtedy nie będziesz jej posądzał, że mnie naciąga lub coś w tym rodzaju. Myślałem, że wtedy będziemy mogli rozmawiać o małżeństwie.

Ale przypominasz sobie zapewne, że w moich ostatnich listach nie dotykałem już bezpośrednio tej kwestii. Swojego czasu powiedziałem ci jednak wyraźnie, że złożyliśmy sobie nawzajem obietnicę małżeństwa i nie chcę, żebyś ją miał za moją utrzymankę lub przygodną znajomą.

Do tego tematu chciałbym jeszcze powrócić.

Otóż dając sobie słowo, wzięliśmy na siebie podwójne zobowiązanie: po pierwsze, że weźmiemy ślub cywilny, jak tylko okoliczności na to pozwolą, i po drugie, że będziemy sobie już teraz nawzajem pomagali, że będziemy się wspierali i kochali, jakbyśmy byli już po ślubie. Przyrzekliśmy sobie wszystko między siebie dzielić, żyć jedno dla drugiego, bez zastrzeżeń, i w żadnym wypadku nie dopuścić do tego, by nas rozdzielono. Dla rodziny ślub cywilny jest oczywiście sprawą najważniejszą. Dla mnie i dla niej ma on także znaczenie, ale jest podporządkowany istocie rzeczy, tj. miłości i wzajemnej wierności, które już istnieją i z dnia na dzień się pogłębiają.

Chciałem ci więc zaproponować, aby nasz ślub cywilny odłożyć na czas nieokreślony i powrócić do tej sprawy dopiero wtedy, gdy ze sprzedaży moich rysunków będę miał 150 franków miesięcznie i nie będę już zależny od twojej pomocy.

Z tobą więc, ale tylko z tobą, chcę zawrzeć następującą umowę: zgadzam się nie brać ślubu cywilnego aż do chwili, gdy dzięki sprzedaży moich rysunków będę się mógł uniezależnić.

W miarę, jak zacznę zarabiać, będziesz mi przysyłał coraz mniej, aż wreszcie, gdy zasiłki od ciebie staną się niepotrzebne, porozmawiamy znowu o ślubie cywilnym.

Teraz jednak, po wszystkich utrapieniach ubiegłej zimy i po tym, co zaszło w ostatnich miesiącach, absurdem byłoby oddalać się od niej czy skazywać na rozłąkę. Jesteśmy już przykuci, związani ze sobą silnym i szczerym uczuciem. Jesteśmy także związani pomocą, której sobie nawzajem udzielamy.

Jeżeli wolno się tak wyrazić, jest ona moją współpracownicą i czymś więcej, nieskończenie więcej niż zwykłą modelką, bo wykazuje tyle dobrej woli i inteligencji, że nie mogę się jej dość nachwalić. Mam nadzieję, że po tym, co ci powiedziałem, będziesz patrzał na te sprawy z większym zrozumieniem.

Bez daty

Jest Już późno, ale mimo to muszę do ciebie napisać. Nie ma cię tutaj i bardzo mi ciebie brak. Nieraz wydaje mi się, że jesteśmy znowu blisko siebie.

Dałem sobie dzisiaj słowo, że nie będę już zwracał uwagi na moją chorobę, a właściwie na pozostałości po ostatniej chorobie. Dosyć straconego czasu, trzeba zabrać się do roboty. A zatem, czy będę chory, czy zdrów, będę znowu rysował, regularnie, od rana do wieczora. Nie chcę, żeby mi ktoś znowu powiedział: „Ach, to te stare rysunki..."

Sztuka jest zazdrosna, nie uznaje pierwszeństwa choroby. Muszę więc jej ustąpić. Mam nadzieję, że będę ci

mógł znowu posłać kilka dobrych rysunków.

Tacy ludzie jak ja nie mają prawa chorować.

Powinieneś dokładnie wiedzieć, jak się zapatruję na sztukę. Aby dojść do prawdy, trzeba pracować i długo, i dużo. To, czego chcę i co stawiam sobie za cel, jest diablo trudne, a przecież nie wydaje mi się, żeby moje aspiracje były aż tak wygórowane.

Chciałbym robić rysunki, które by przemawiały...

Ostatecznie chciałbym doprowadzić do tego, żeby ludzie mówili o moich pracach: ten człowiek odczuwa głęboko, ten człowiek odczuwa subtelnie. Pomimo mojej rzekomej szorstkości albo właśnie dzięki niej, rozumiesz?

Może to pretensjonalnie mówić w ten sposób, ale właśnie dlatego chciałbym zdobyć się na ten wysiłek.

Czym jestem w oczach wielu ludzi? Jestem zerem, dziwakiem, człowiekiem nieznośnym. Jestem kimś, kto nie ma i nigdy nie będzie miał stanowiska w społeczeństwie, jestem gorszy od najgorszych. Dobrze, powiedzmy, że to prawda. Chciałbym udowodnić swoim dziełem, że mimo wszystko w sercu tego dziwaka i nicponia tkwi jeszcze jakaś siła.

Jest to moją ambicją, którą — wbrew wszystkiemu — podsyca nie tyle uraza co miłość, i bardziej pogoda ducha niż namiętność. I chociaż często głowa pęka mi od trosk, to jednak w duszy czuję spokój, jest we mnie muzyka

i harmonia. W najbiedniejszym domku, w najbrudniejszym zakamarku widzę temat do obrazu lub rysunku. Jakby pchany nieodpartą siłą duch mój kieruje się w tę stronę.

Stopniowo uczyłem się eliminować rzeczy zbędne, wzrok mój coraz bardziej wyrabiał się w rozpoznawaniu malowniczych tematów. Sztuka wymaga upartej

pracowitości pracowitości mimo wszystko ł nieustannej obserwacji.

Uporczywy wysiłek to przede wszystkim nieprzerwana praca, ale także stałość poglądów wynikających z określonych spostrzeżeń.

Spodziewani się, bracie, że za kilka lat, a może nawet wcześniej, zobaczysz prace, które ci z pewnością sprawią satysfakcję i będą nagrodą za twoje ofiary.

W ostatnich czasach zupełnie nie rozmawiałem z malarzami. Może mi to nawet wyszło na dobre. Nie trzeba słuchać głosu malarzy, tylko głosu natury. Teraz dużo lepiej rozumiem, dlaczego pół roku temu Mauve powiedział mi: „Nie mów mi o Dupré́m, mów mi raczej o tej skarpie nad kanałem lub o czymś podobnym". To się wydaje trochę dziwne, ale jest całkowicie słuszne. Wyczucie samego przedmiotu, wyczucie rzeczywistości jest dużo ważniejsze niż wyczucie obrazów, a w każdym razie jest bardziej owocne i bardziej ożywiające.

Dlatego uważam za słuszne, co mówi ojciec Millet: „Wydaje mi się absurdem, że ludzie chcą uchodzić za innych, niż są w rzeczywistości".

Jest to sentencja z pozoru banalna, a w rzeczywistości głęboka jak ocean. Moim zdaniem dobrze robi ten, kto ją bierze do serca we wszystkich okolicznościach.

Bez daty

Jestem ciągle pod wrażeniem książek Zoli. Jakie tam świetnie odmalowano paryskie hale targowe. Jeśli idzie o moje zdrowie, to czuję się dobrze; czasem coś mi jeszcze dolega, ale to pewnie potrwa jeszcze jakiś czas. Sien i dziecko też mają się dobrze, nabierają sił, kocham ich bardzo.

31 lipca 1882

Odczucie i umiłowanie przyrody znajdą zawsze, prędzej czy później, zrozumienie u ludzi, którzy się interesują sztuką. Obowiązkiem malarza jest całkowicie pogrążyć się w przyrodzie, przelać w swoje dzieło całą inteligencję i wszystkie swoje uczucia, aby stało się ono zrozumiałe dla innych.

Ale pracować tylko po to, aby sprzedawać, nie jest moim zdaniem właściwą drogą, to raczej naciąganie miłośników sztuki. Prawdziwi artyści tak nie postępują i dlatego prędzej czy później nagrodzeni bywają sympatią za swoją szczerość. Więcej nic już na ten temat nie wiem i myślę, że więcej wiedzieć nie potrzeba. Próbować znaleźć amatorów to jedno, a wzbudzać ich sympatię to rzecz inna i to jest oczywiście dozwolone." Ale nie wolno przy tym spekulować, bo to się może zemścić i czas, jaki się na to poświęciło, może być zupełnie stracony.

Bez daty

Piszę do ciebie jeszcze pod wrażeniem twoich odwiedzin, z radością, że mogę z całych sił przystąpić znowu do pracy.

Chętnie odprowadziłbym cię na dworzec w dniu twego wyjazdu, ale pomyślałem sobie, że tak wiele czasu mi już poświęciłeś, że byłoby niedelikatnie zajmować ci jeszcze następny ranek. Jestem ci bardzo wdzięczny za to, że wreszcie do nas przyjechałeś. Co to za cudowne uczucie mieć zapewnioną regularną pracę przez cały rok, bez obawy jakiejś katastrofy. W dodatku przez to, co mi dałeś, otworzyłeś mi w malarstwie nowe horyzonty.

Uważam się za uprzywilejowanego w porównaniu z tysiącami innych, bo usunąłeś z mojej drogi tak wiele przeszkód.

Rozumie się samo przez się, że wielu innych nie może robić postępów ze względu na brak funduszów. I dlatego nie umiem wyrazić, jak jestem ci wdzięczny za to, że mogę znów regularnie pracować. Aby nadrobić czas stracony przez to, że do malowania zabrałem się zbyt późno, muszę pracować teraz ze zdwojoną energią, ale przy najlepszych chęciach musiałbym przerwać moją pracę, gdybym nie miał ciebie.

Bez daty

Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że zgadzam się z tobą w wielu sprawach, które poruszasz w swoim liście.

Przede wszystkim zgadzam się co do tego,, że ojciec i matka ze wszystkimi swymi wadami i zaletami należą do ludzi, których w dzisiejszych czasach rzadko się spotyka, a im dłużej, tym mniej ich będzie na świecie. Nowa generacja z pewnością nie będzie lepsza i dlatego tym bardziej należy doceniać starą.

Jeśli o mnie idzie, doceniam ich jak należy, ale obawiam się, że jak mnie zobaczą, sprawa, co do której ich chwilowo uspokoiłeś, znowu wróci na porządek dzienny. Oni nigdy nie będą rozumieli, co to jest malarstwo, w ich pojęciu postać chłopa uprawiającego ziemię, kilka zaoranych bruzd, trochę piasku, trochę morza, czy kawałek nieba nie będą nigdy| odpowiednim tematem dla malarza. A motywy te są wprawdzie trudne, ale jednocześnie tak piękne, że warto poświęcić całe życie, aby wyrazić zawartą w nich poezję.

Gdy zobaczą, ile wysiłku mnie ta praca kosztuje (a z biegiem czasu będzie jeszcze trudniej), jak ciągle coś wyskrobuję i zmieniam, jak raz porównuję obraz z naturą, a

potem znowu wprowadzam zmiany utrudniające rozpoznanie tego samego pejzażu lub osoby, będą się czuli zawiedzeni. Nie zrozumieją, dlaczego nie zakładam płótna bez wahania, będzie im chodziło po głowie, że właściwie nie umiem malować i że prawdziwi malarze pracują zupełnie inaczej.

No cóż, nie ma się co łudzić, nie zanosi się na to, żeby moje prace naprawdę spodobały się ojcu i matce. Nie ma w tym nic dziwnego, to nie ich wina, że nie nauczyli się patrzeć tak, jak my; ich co innego interesuje, na te same rzeczy patrzą innymi oczyma i te same rzeczy wzbudzają w nich inne refleksje.

Można sobie życzyć, łeby było inaczej, ale spodziewać się tego byłoby rzeczą nierozsądną.

Trudno im przychodzi zrozumieć moje nastroje i nie wiedzą, co mnie pcha do robienia rzeczy, które im się wydają niezrozumiałe i dziwaczne. Przypisują to memu niezadowoleniu, obojętności i nonszalancji, gdy w gruncie rzeczy powody są inne. Jeden z nich to pragnienie odkrycia za wszelką cenę tego, co mi jest potrzebne do mojej pracy.

Przeczytałem dwie książki Zoli: Grzech Księdza Mouret i Jego Ekscelencja Pan Minister Rougon. Obie bardzo ładne. Cóż to za szlachetna postać, ten Pascal Rougon, lekarz występujący w wielu książkach Zoli, zawsze gdzieś na drugim planie. Może on służyć za przykład, że chociaż jakaś rasa chyli się ku upadkowi, to jednak dzięki sile woli i zasadom zawsze można uniknąć katastrofy.

Odkrył on w swoim zawodzie jakąś siłę, dzięki której mógł przezwyciężyć obciążenia odziedziczone po własnej rodzinie. Zamiast ulegać wrodzonym skłonnościom, znalazł prostą, jasną drogę. Nie pogrążył się w tym bagnie, w którym wszyscy inni Rougonowie znaleźli zgubę. On i pani Françoise z Brzucha Paryża, to dla mnie najsympatyczniejsze postacie.

Bez daty

W tych dniach czytałem w urywkach bardzo smutną książkę: Listy i pamiętnik Geralda Bildersa.

Bilders umarł mniej więcej w wieku, w którym ja zacząłem rysować, co mnie pociesza, że tak późno zacząłem. Był nieszczęśliwy, często niedoceniany, ale moim zdaniem była to wina jego ogromnej słabości i chorobliwego charakteru. Jego życiorys przywodzi na pamięć roślinę, która zbyt wcześnie wykiełkowała i nie mogła ostać się przed mrozem; którejś nocy mróz sięga do korzenia i roślina usycha. Z początku powodziło mu się dobrze, żył jak w cieplarni, pracował pod okiem nauczyciela i robił szybkie postępy, ale w Amsterdamie, gdzie został sam, mimo dużych zdolności nie mógł dać sobie rady. Wreszcie wrócił do domu, do ojca, rozczarowany, zgorzkniały i obojętny, próbował jeszcze coś malować, aż wreszcie umarł na suchoty czy jakąś inną chorobę w dwudziestym ósmym roku życia.

Nie podoba mi się w nim to, że w czasie malowania skarżył się na nudy i ogarniające go lenistwo, jakby nic na to nie mógł poradzić. Ciągle obraca się w małym kółku przyjaciół, które jest dla niego za ciasne. Czas spędza na rozrywkach i w końcu dość ma takiego trybu życia. No cóż, jest to postać oryginalna, ale wolę czytać o życiu Milleta, Teodora Rousseau lub Daubi-gny'ego.

Ody się czyta książkę Sensiera o Millecie, wstępuje w człowieka otucha, a po lekturze Bildersa ogarnia przygnębienie.

Wprawdzie wszystkie listy Milleta pełne są skarg na kłopoty, ale zawsze dodaje gdzieś: „mimo wszystko zrobiłem to czy tamto". Ciągle chce coś zrobić, za wszelką cenę, i rzeczywiście to robi.

Uważam, że Bilders zbyt często pisze zdania w rodzaju: „Przez cały tydzień byłem smutny i nudziłem się — byłem na takim koncercie albo na takiej sztuce, ale wróciłem jeszcze bardziej przygnębiony".

U Milleta podoba mi się jego prostota: „Za wszelką cenę muszę zrobić to albo tamto".

Bilders jest bardzo inteligentny, potrafi wzdychać pociesznie, gdy mu się zachciewa grubych cygar Manilla, a nie może ich sobie kupić, albo gdy mowa o rachunkach u krawca, na których zapłacenie nie ma najmniejszych szans. Paniczny strach, jaki go ogarnia w sprawach finansowych, jest opisany z takim humorem, że on sam i czytelnik śmieją się do rozpuku.

Ale mimo dowcipnego tonu wszystko to nudzi mnie; więcej mam uznania dla prywatnych kłopotów Milleta, który mówi: „Mimo wszystko trzeba dzieciom dać zupy", nie zajmując się takimi problemami, jak grube cygara Manilla czy rozrywki.

A oto do czego prowadzę: w swoich poglądach na świat Bilders był romantykiem, który nie potrafił się otrząsnąć ze „straconych złudzeń", podczas gdy ja uważam to za swoją szansę, że — przeciwnie — zacząłem dopiero wtedy, gdy romantyczne złudzenia miałem już za sobą. Teraz muszę oczywiście to spóźnienie nadrobić, muszę ciężko pracować, ale właśnie dlatego, że stracone złudzenia mam już poza sobą, praca stała się dla mnie koniecznością i jedną z niewielu przyjemności, jakie mi zostały. Z niej czerpię wytchnienie i spokój.

Bez daty

Czuję ogromny zapał do pracy i jestem przekonany, że nadejdzie czas, kiedy regularnie, każdego dnia będę mógł stworzyć coś dobrego.

Już teraz bardzo rzadko zdarza się taki dzień, żebym czegoś nie naszkicował, ale to jeszcze nie to, czego bym pragnął. Czasem jednak wydaje mi się, że już niedługo będę mógł dać rzeczy naprawdę piękne, i nic bym się nie zdziwił, gdyby to się stało jutro czy pojutrze.

Staram się szybko robić postępy, bo bardzo już chciałbym dojść do celu. Ale piękne rzeczy wymagają wiele trudu i wytrwałości i kosztują wiele rozczarowań.

Bez daty

Jako przykład, jak uprzejmie publiczność w Hadze odnosi się do malarzy, niech posłuży fakt, że raz niespodziewanie jakiś drab, prawdopodobnie z okna, plunął przeżutym tytoniem na moje papiery. Czasem ma się z tym wiele kłopotu. No cóż, nie trzeba się przejmować, bo ci ludzie nie są źli, tylko nic z tego nie rozumieją. Gdy widzą, jak rysuję dużymi grubymi liniami, myślą, że mają do czynienia z wariatem.

Bez daty

Książek Murgera, o których piszesz, nie znam, ale mam nadzieję, że prędzej czy później je przeczytam.

Czy pisałem ci już o tym, że czytałem Królów na wygnaniu Daudeta? Uważam, że to ładna książka.

Tytuły jego książek bardzo mi się podobają, np. La bohéme. Jakże daleko odeszliśmy w dzisiejszych czasach od cyganerii z epoki Gavarniego! Wydaje mi się, że w owych czasach było więcej serdeczności, więcej radości, więcej życia niż dzisiaj.

Ale nie będę się przy tym upierał, bo teraz także jest dużo dobrego, a mogłoby być jeszcze więcej, gdyby

życzliwości było więcej.

Bardzo mi za tobą tęskno i często myślami jestem przy tobie. To, co piszesz o charakterze niektórych artystów w Paryżu, jest bardzo trafne. Są oni może mniej małoduszni od innych, ale żyją z kim się da i bez powodzenia starają się zachować resztki młodości. Takich ludzi można znaleźć i tam, i tutaj. Tam może jeszcze trudniej niż tutaj zachować człowiekowi uczciwość w pożyciu rodzinnym, ponieważ musi jeszcze bardziej iść pod prąd. Ileż to osób Paryż doprowadził do rozpaczy, do rozpaczy spokojnej, uzsadnionej, logicznej i zrozumiałej. Niedawno czytałem coś na ten temat o Tassaercie, którego bardzo lubię, i bardzo mi przykro, że spotkał go taki los. Tym bardziej uważam, że każdy wysiłek zrobiony dla utrzymania tężyzny ducha zasługuje na uznanie. Myślę, że można osiągnąć powodzenie i że nie wolno poddawać się rozpaczy. Chociaż przegra się to tu, to tam, chociaż czasem czujemy się bezradni, to jednak można rozpocząć jeszcze nowe życie, można nabrać otuchy, nawet gdyby rezultaty nie odpowiadały naszym oczekiwaniom. Nie myśl, że z pogardą spoglądam na ludzi, o których mówisz, tylko dlatego, że ich życie nie opiera się na jakichś poważnych, przemyślanych zasadach. Uważam, że rezultatem naszych poczynań powinien być czyn, a nie jakaś abstrakcyjna idea. Myślę, że tylko wtedy warto trzymać się jakichś zasad, gdy przeobrażają się one w czyny. Dobrze jest wszystko przemyśleć i sumiennie pracować, bo to pomnaża energię człowieka i wiąże jego poszczególne czyny w jedną całość. Jeżeli idzie o ludzi, których opisujesz, to myślę, że mieliby więcej siły duchowej, gdyby postępowali z większą ostrożnością. Zresztą wolę ich sto razy od tych, którzy chełpią się swoimi zasadami, a nigdy nie starają się ich wprowadzić w życie i nawet nie robią w tym celu najmniejszego wysiłku. Bo o ile ich zasady są bezużyteczne, tamci, gdy zachodzi potrzeba, wykazują w życiu siłę woli i rozwagę i potrafią stworzyć rzeczy wielkie.

Wielkie rzeczy nie powstają tylko pod wpływem impulsu, stanowią raczej łańcuch małych spraw tworzących całość.

Bez daty

W tych dniach czytałem książkę Daudeta Nabab, napisaną rzeczywiście po mistrzowsku. Między innymi, doskonały jest opis spaceru Nababa i bankiera Hemerlin-gue'a na cmentarzu Père-Lachaise, o zmierzchu, gdy popiersie Balzaka, rysujące się ciemną sylwetką na szarym tle nieba, spoglądała na nich z ironią. Scena jak z rysunku Daumiera. Pisałeś o obrazie Daumiera Rewolucja — Denis Dussoubs. Gdy mi to pisałeś, nie wiedziałem, kto to jest ten Denis Dussoubs, ale teraz przeczytałem o nim w Historii zbrodni Wiktora Hugo. Cóż to za szlachetna postać, szkoda tylko, że nie znam tego rysunku Daumiera. Oczywiście gdy czytam jakąś książkę o Paryżu, zaraz myślę o tobie. W każde} z nich odnajduję coś z atmosfery Hagi. Haga jest dużo mniejsza od Paryża, jest jednak rezydencją dworu królewskiego, co wywiera swój wpływ na obyczaje.

W swoim ostatnim liście pisałeś: „A jednak przyroda to wielka zagadka"; bardzo mi się to spodobało. Życie w abstrakcji jest już zagadką, a rzeczywistość jest jak gdyby zagadką zamkniętą w zagadce. I kimże jesteśmy, by kusić się o jej rozwiązanie? Tak czy inaczej, jesteśmy tylko pyłkiem w tej wielkiej społeczności, o której nie wiemy, dokąd dąży, do Szatana czy do Boga?

„A jednak słońce wschodzi!" — mówi Wiktor Hugo.

Dawno, bardzo dawno temu czytałem Erckmanna-Chatriana L'Ami Fritz, a jeszcze teraz często wspominam te słowa starego rabina: „Nie żyjemy po to, by być szczęśliwi, ale powinniśmy się starać zasłużyć na szczęście". Może w tym zdaniu jest trochę doktrynerstwa, w każdym razie można je tak interpretować, jednakże okoliczności, w jakich

zostało wypowiedziane, a zwłaszcza to, że wypowiedział je sympatyczny stary rabin Dawid Sechel, sprawiają, że wziąłem je sobie do serca i często o nim myślę.

Czuję w sobie siłę, którą muszę rozpętać, ogień, którego nie wolno mi stłumić i który muszę jeszcze podsycać, choć nie wiem, do czego mnie to doprowadzi. Nic bym się nie zdziwił, gdyby rezultat był opłakany. Czego można sobie życzyć w czasach, w jakich żyjemy? Jakiż los, w porównaniu z innymi, jest najszczęśliwszy?

W niektórych okolicznościach lepiej być zwyciężonym niż zwycięzcą, lepiej być Prometeuszem niż Jowiszem. No cóż, jest takie stare przysłowie: „Niech się stanie, co się stać musi".

Gdy się jest ponuro nastrojonym, nie ma lepszej rzeczy, jak przechadzka po opustoszałej plaży i wpatrywanie się w szarozielone morze i w długie białe grzebienie fal. A jednak, gdy człowiek zapragnie czegoś wielkiego, czegoś nieskończonego, czegoś, co odzwierciedla Boga, to nie potrzebuje szukać tak daleko. Wydało mi się, że zobaczyłem coś głębszego, coś bardziej nieskończonego, coś bardziej wiecznego niż ocean w oczach dziecka, które budzi się rano ze snu i wydaje okrzyk radości, bo słońce zagląda do jego kołyski. Jeżeli istnieje jakiś „promień z nieba", to z pewnością tam właśnie można go znaleźć.

Bez daty

Po książce Zoli zdobyłem się nareszcie na przeczytanie Roku dziewięćdziesiątego trzeciego Wiktora Hugo. Jest to zupełnie inna tematyka. Namalowane to jest, a raczej napisane tak, jak to robili Decamps czy Jules Dupré, z ekspresją, jaka cechuje starców Ary Scheffera, np. Płaczącego i Krającego płótno, a na drugim planie postacie z obrazu Christus Consolator.

Bardzo bym ci radził to przeczytać, jeżeli jeszcze nie czytałeś, bo subtelność, z jaką ta książka jest napisana, jest dzisiaj coraz rzadsza, a wśród nowych utworów nie widzę naprawdę nic szlachetniejszego.

Bez daty

Wczoraj nareszcie zabrałem się do czytania książki Murgera Les buveurs d'eau. Uważam, że książka ta ma w sobie taki sam urok jak rysunki Nanteuila, Barona, Roqueplana i Tony Johannotà, jest w niej coś inteligentnego, coś żywego.

A jednak jest to pisarstwo dość konwencjonalne, przynajmniej jeśli idzie o tę książkę, bo nic więcej tego autora nie czytałem. Pomiędzy nim a takim np. Alfonsem Karrem czy Souvestre'em jest taka sama różnica, jak między Henri Monnierem i Comte Calixem a wyżej wymienionymi artystami. Umyślnie wybrałem współczesnych, by móc ich ze sobą porównać. Czuć w tej książce tchnienie dawnej cyganerii (chociaż obraz tych czasów jest zamglony) i dlatego mnie ona interesuje, chociaż moim zdaniem brak jej oryginalności i szczerości uczucia. Może inne książki tego autora, w których nie występują malarze, są bardziej udane, bo jak mi się wydaje, literaci zawsze bardzo niefortunnie przedstawiają malarzy. Balzac na przykład (jego postacie malarzy są nieciekawe). Claude Lantier Zoli jest prawdziwy, na pewno są tacy, ale dobrze byłoby, gdyby Zola dostrzegł także inne typy malarzy niż Claude Lantier (myślę, ze jest to wizerunek z natury), a nie tylko najgorszych przedstawicieli tzw. szkoły impresjonistycznej. Ci ludzie nie stanowią rdzenia społeczności artystów.

Z drugiej strony mało znam dobrze narysowanych czy namalowanych postaci literatów. Malarze wpadają tutaj także w konwencjonalizm i przedstawiają pisarza jako

człowieka siedzącego przy stole zawalonym papierami albo nawet nie zadają sobie tego trudu i po prostu malują pana w kołnierzyku, z twarzą bez wyrazu.

Weźmy na przykład portret Wiktora Hugo, malowany przez Bonnata; jest to piękny, bardzo piękny obraz, ale piękniejszy jest wizerunek Wiktora Hugo pochodzący od niego samego, choćby zawarty w tych oto dwóch wierszach:

A ja umilkłem,

Jak milknie cietrzew na wrzosowisku.

Bez daty

Pytasz o moje zdrowie; otóż niedomagania z ubiegłego roku zupełnie już ustąpiły, ale teraz jestem znowu bardzo przygnębiony. Czasem zdarzają się chwile, że praca dobrze mi idzie, i to mnie stawia na nogi. Czuję się wtedy jak żołnierz, któremu sprzykrzył się areszt i który mówi sobie: Dlaczego siedzę w tym pudle, skoro moje miejsce jest tam w szeregach.

Wiesz, coś mi jednak dolega, bo mam w sobie duży zasób sił, których ze względu na okoliczności nie mogę wykorzystać, tak jakby należało, i wskutek tego czuję się nieraz bardzo nieszczęśliwy. Coś w rodzaju wewnętrznej walki o to, co należy robić. Jest to problem trudniejszy do rozwiązania, niżby wyglądało na pierwszy rzut oka.

A tymczasem rozmaite gryzipiórki, które nie wypłynęłyby na powierzchnię w czasach trudnych, ale pełnych godności, teraz pchają się do władzy. To, co Zola nazywa „triumfem miernoty", stało się dzisiaj rzeczywistością. Łajdacy i kompletne zera zajmują dzisiaj miejsca robotników, myślicieli i artystów i ludzie nawet tego nie dostrzegają.

Publiczność — no tak, publiczność jest może czasem niezadowolona, ale mimo wszystko potęga materialna zdobywa poklask. Nie trzeba zapominać, że oklaski są jak słomiany ogień, a kto klaszcze, robi to tylko po to, żeby było trochę hałasu. Po wielkich uniesieniach i po całej wrzawie, „nazajutrz po uczcie", pozostanie pustka, cisza i obojętność.

Bez daty

Bardzo mi się podoba to piękne powiedzenie Wiktora Hugo: „Religie przemijają, ale Bóg pozostaje". Podobają mi się również słowa Gavarniego: „Chodzi o to, by uchwycić nieprzemijające w tym, co przemija". Jedną z rzeczy, które „nie przeminą", jest „to coś w górze", podobnie jak wiara w Boga, chociaż jej formy mogą się zmieniać, bo zmiana potrzebna jest przecież, jak odrodzenie zieleni na wiosnę.

Bez daty

Zanim rok się skończy, chcę ci jeszcze raz podziękować za twoją pomoc i przyjaźń. Od dawna nic ci prawie nie wysyłałem, ale chciałem oszczędzić na wysyłce, w nadziei, że tu kiedyś przyjedziesz.

Przykro mi, że przez cały rok nie udało mi się zrobić jakichś rysunków, które można by sprzedać; naprawdę nie wiem, czemu mi się to nie udało.

2 stycznia 1883

Przede wszystkim nie przejmuj się, że w tym roku nie zrobiłem jeszcze nic na sprzedaż, bo sam mi to przecież kiedyś przepowiedziałeś. Jeżeli teraz o tym wspominam, to

tylko dlatego, że mam na widoku kilka prac, w granicach moich możliwości, których dawniej nie chciałem się podjąć. Nieraz myślę, jak to było rok temu, gdy przybyłem do tego miasta. Wydawało mi się wtedy, że malarze są tutaj zrzeszeni, że tworzą jakieś koła, w których można by znaleźć trochę ciepła i serdeczności, w których panowałaby jaka taka jednomyślność. Myślałem, że tak być musi, i nie wiedziałem, że może być inaczej.

Nie chciałbym stracić wiary, którą miałem, gdy tu przybyłem, ale muszę zmienić moje poglądy i wreszcie zrozumieć, że to, co jest, nie jest tym, czym by być mogło.

Nie mogłem uwierzyć, że taka jest właśnie normalna sytuacja i że tyle jest jeszcze oziębłości i dysonansów. Jak do tego doszło? Tego nie wiem, nie jestem też powołany do studiowania tego problemu, ale powziąłem mocne postanowienie unikania dwóch rzeczy: po pierwsze nie będę się kłócił, przeciwnie, będę propagatorem zgody, tak wśród innych, jak i na własny użytek. Drugi nawyk, którego powinienem się wystrzegać, to chcieć uchodzić w towarzystwie za kogoś innego niż za malarza, którym jestem. Malarz musi się pożegnać ze wszystkimi towarzyskimi ambicjami i nie wolno mu postępować tak, jak postępują ludzie zamieszkujący Voorhout, Willems-park itd. Tamte stare, zadymione, ciemne pracownie miały swój urok i było w nich coś prawdziwego, a w każdym razie były tysiąc razy lepsze niż to, co zagraża nam obecnie i co miałoby je zastąpić.

Gdy dziś rano czytałem twój list, byłem bardzo zaskoczony jego treścią . Są to sprawy, o których świat mówi zwykle: „Po co się tym zajmował". A jednak robimy to nie z własnej woli, tylko zmuszają nas do tego okoliczności. Z chwilą, gdy się zorientujemy w sytuacji, rodzi się w nas współczucie, tak głębokie, że nie wahamy się już ani chwili.

Myślę, że w twoim wypadku jest tak samo, mogę cię więc tylko zapewnić, że gdybym sam znalazł się w podobnej

sytuacji, poszedłbym za pierwszym impulsem. Wiktor Hugo powiedział: „Ponad rozsądkiem jest jeszcze sumienie". Czujemy, że coś jest dobre i prawdziwe, chociaż na zdrowy rozum i zgodnie z wyrachowaniem wydaje nam się niezrozumiałe i zagmatwane. I chociaż w społeczeństwie, w którym żyjemy, tego rodzaju postępowanie uchodzi za coś nieprzemyślanego, zuchwałego, głupiego i sam już nie wiem, za co, to jednak cóż możemy na to poradzić, skoro mamy taką naturę, że niekiedy w najgłębszych zakamarkach naszej duszy budzą się ukryte siły sympatii i miłości. Być może, że nie potrafimy dostatecznie przeciwstawić się zarzutom, jakie społeczeństwo stawia tym, którzy powodują się uczuciem i działają pod wpływem impulsu. Ale tu nie chodzi o argumenty. Kto zachował wiarę w Boga, słyszy czasem cichy głos swego sumienia i dobrze robi, gdy idzie za nim z naiwnością dziecka. Nie warto się wtedy wdawać w dyskusję z ludźmi, należy mówić tylko to, co konieczne.

Gdy człowiek spotyka się z innymi ludźmi, można przewidzieć, że dojdzie do walki, ale przede wszystkim trzeba walczyć z samym sobą, bo czasami dosłownie nie wie się, co należy czynić, a czego zaniechać. A jednak czy ta walka, a nawet i upadki, które się w czasie walki przytrafiają, nie są lepsze i bardziej pouczające od obojętności i systematycznego unikania wzruszeń? Moim zdaniem ten lęk przed wzruszeniem sprawia, że tzw. „silne umysły" przeobrażają się w rzeczywistości w „umysły słabe".

W tych sprawach możesz liczyć na moją sympatię, zwłaszcza dlatego, że takie same problemy stoją przede mną i że mogę ci powiedzieć, co mi się zdarzyło, od czasu kiedy o tym rozmawialiśmy. Gdybyś chciał się dowiedzieć czegoś więcej, porozmawiać o moich planach na przyszłość lub w ogóle podyskutować, to jestem zawsze do twojej dyspozycji.

Zapowiedź twojego przyjazdu do Holandii jest dla mnie bardzo radosną nowiną.

Wytrwać — to jest najważniejsze przykazanie w miłości, gdy się jest już na dobre zakochanym. Oczywiście tylko wtedy, gdy się kocha z wzajemnością, bo gdy trafia się zdecydowanie na brak wzajemności, to wówczas jest się dosłownie i absolutnie bezsilnym.

Na zakończenie chciałem ci podziękować za okazane mi zaufanie. Jeżeli chodzi o twoją przyszłość, to po zastanowieniu jestem o nią całkiem spokojny. Tu nie chodzi o jakąś „pasję", tu w grę wchodzi tylko wielkie, głębokie współczucie. Nie przypuszczam, żeby ta przygoda mogła mieć zły wpływ na twoje zdolności do zajmowania się innymi sprawami; wprost przeciwnie, jeżeli przejdzie w uczucie, w uczucie o charakterze poważnym, obudzi ono i wzmocni wszystkie twoje zdolności i raczej zwiększy twoją energię, niżby ją miało pomniejszyć.

Bez daty

W tej chwili moja kobieta z dziećmi siedzą przy mnie. Gdy pomyślę o roku ubiegłym, jaka różnica! Moja kobieta jest teraz silniejsza, bardziej korpulentna, nie patrzy już na ludzi z takim przestrachem jak zaszczute zwierzę, a dziecko jest tak rozkoszne, zdrowe i wesołe, że nie potrafisz sobie tego nawet wyobrazić. Krzyczy jak kogut i chociaż karmiono je tylko piersią, jest dosyć grube i pulchne.

U małej, biednej dziewczynki, którą znasz tylko z rysunku, widać jeszcze ślady dawnego wielkiego wyczerpania, mam z nią dużo kłopotu, ale i tak wygląda dużo lepiej niż w roku ubiegłym, bo wtedy stan jej był bardzo ciężki, a teraz ma już w sobie coś z dziecka.

No cóż, chociaż sytuacja nasza nie jest jeszcze zupełnie normalna, to jest jednak dużo lepsza, niż rok temu mogłem

się spodziewać. Myślę czasem, co by to było, gdyby Sien poroniła albo gdyby dziecko zmarniało i umarło z braku pokarmu? Mała chodziłaby brudna i zaniedbana, a moja kobieta, kto wie, może znalazłaby się w nieopisanej nędzy.

Teraz nie wolno mi już wątpić i powtarzam sobie naprzód, z otuchą. Z mojej kobiety promienieje teraz naturalność, promienieje macierzyństwo i gdy cechy te zwyciężą — będzie uratowana. Jak doszło do tej poprawy? Nie przyczynili się do niej ani lekarze, ani wyszukane lekarstwa. Przyczyniło się poczucie, że ma własny dom, przyczynił się uregulowany tryb życia, życia dla jakiegoś celu. Nie można powiedzieć, żeby się oszczędzała, bo oszczędzać się nie mogła, ale nareszcie to umęczone serce miewa czasem trochę wytchnienia po ciężkiej i nieprzyjemnej pracy.

3 lutego 1883

Od kilku dni czuję się bardzo zmęczony, może za dużo pracowałem, w każdym razie ten „ferment" w pracy i te okresy przemęczenia są bardzo nieprzyjemne. Życie w takich chwilach ma dla mnie barwę brudnej wody, a wszystko wygląda jak kupa popiołu.

Chciałoby się mieć wtedy przy sobie przyjaciela. Czasem to pomaga i rozprasza otaczającą mgłę.

W takie dni z ogromną troską myślę o przyszłości, z melancholią patrzę na moją pracę i czuję się zupełnie bezsilny.

Skoro jednak niebezpiecznie jest o tym mówić i poddawać się czarnym myślom — dajmy temu spokój.

8 lutego 1883

Czasami nie mogę wprost pojąc, że mam dopiero 30 lat, tak bardzo czuję się już stary.

Czuję się stary zwłaszcza wtedy, gdy pomyślę, że większość moich znajomych uważa mnie za wykolejeńca. Obawiam się, że jeżeli wiele rzeczy nie zmieni się na lepsze, to rzeczywiście nim będę. I gdy sobie uprzytomnię, że to jest możliwe, niebezpieczeństwo wydaje mi się tak realne, że ogarnia mnie przygnębienie i tracę ochotę na wszystko, tak jakby się to rzeczywiście już stało. Ale gdy jestem spokojny i w normalnym nastroju, cieszy mnie, że chociaż 30 lat przeminęło, to nie poszły one na marne, bo się w tym czasie czegoś nauczyłem. Czuję wtedy siły i ochotę przeżyć następne 30 lat, o ile będzie mi je dane przeżyć. W wyobraźni widzę jeszcze cale lata poważnej pracy, szczęśliwsze może od tej pierwszej trzydziestki.

A jak będzie w rzeczywistości? To nie zależy tylko ode mnie, świat i okoliczności też muszą się na to złożyć.

Bez daty

Czy czytałeś książkę Erekmanna-Chatriana Madame Thérèse? Znajdziesz tam opis kobiety, powracającej do zdrowia, ujęty bardzo trafnie i z wyczuciem. Jest to książka prosta, a jednocześnie bardzo głęboka.

Jeżeli jej jeszcze nie czytałeś, zrób to, a myślę, że książka ci się spodoba i będziesz długo pod jej wrażeniem.

Przykro mi nieraz, że kobieta z którą żyję, nie czyta książek i nie zna się na sztuce. Skoro ona tak zdecydowanie się na tym nie zna, a ja jestem do niej tak bardzo przywiązany, to czyż nie jest to najlepszym dowodem, że łączy nas szczere uczucie? Później, kto wie, może nauczy się coś z tego rozumieć, będzie to więc jeszcze jedna więź, która nas połączy, ale teraz zdajesz sobie chyba sprawę, że ma dosyć kłopotów z dziećmi, tak że nieraz głowa jej od

tego pęka. Właśnie dzieci stanowią ogniwo łączące ją z rzeczywistością i one są dla niej najlepszą nauką. Dla mnie książki, rzeczywistość i sztuka mają tę samą wartość. Człowiek żyjący w oderwaniu od rzeczywistości byłby dla mnie bardzo niepożądanym towarzyszem; wolę kogoś, kto obraca się wyłącznie w realnym świecie, kto go zna i potrafi zrozumieć.

Gdybym nie szukał sztuki w rzeczywistości, moja kobieta wydawałaby mi się bardzo głupia. Oczywiście wolałbym, żeby była inna, ale muszę być zadowolony z tego, co jest.

Bez daty

Na początku swojego listu piszesz, że nie powinienem niepokoić się o moją kobietę. Rzeczywiście nie trzeba się tak od razu niepokoić, ja w każdym razie staram się być dobrej myśli i zachować pogodę ducha.. A jednak są kłopoty, nawet poważne kłopoty, bo kłopotów nigdy nie brakuje. Z początku chodziło mi tylko o to, żeby ją przy sobie zatrzymać i pomimo trudności do dziś ją zatrzymałem, ale nie wygląda na to, żeby nasza przyszłość była usłana różami. Na cóż, trzeba będzie robić, co tylko można.

Theo, pisałem ci ostatnio o kłopotach, jakie miałem z moją kobietą. Chcesz wiedzieć, co to było? Otóż j e j rodzina chce mi ją zabrać, chociaż, z wyjątkiem matki, nie miałem z nimi nic do czynienia i nie uważam ich za ludzi zasługujących na zaufanie. Im więcej dowiadywałem się o sprawkach tej rodziny, tym bardziej utwierdzałem się w mojej opinii o nich. Właśnie dlatego, że nie zwracałem na nich uwagi, zaczęli robić intrygi i teraz w podstępny sposób na mnie napadają. Powiedziałem mojej kobiecie, co myślą o ich zamiarach, i dałem jej do, wyboru: albo ja, albo jej rodzina. Z nikim nie mam zamiaru utrzymywać stosunków,

już choćby dlatego, że w moim przekonaniu utrzymywanie stosunków z rodziną sprowadziłoby ją znowu na drogę dawnego występku. Rodzina zaproponowała jej, by razem z matką prowadziła dom brata, podejrzanego osobnika, od którego żona uciekła. Radzono jej, żeby mnie porzuciła, bo za mało zarabiam, bo jestem dla niej niedobry, bo potrzebuję jej jako modelki, a potem na pewno zostawię na lodzie. Notabene, przez to małe dziecko od roku już niewiele mam korzyści z jej pozowania. Na cóż, sam chyba przyznasz, że ich podejrzenia nie mają żadnych podstaw. Długo plotkowali za moimi plecami, aż wreszcie moja kobieta powiedziała mi o wszystkim. Rób, co chcesz, powiedziałem jej wtedy, ale ja ciebie nie opuszczę, chyba żebyś wróciła do dawnego życia. Najprzykrzejsze, Theo, jest w tym wszystkim to, że musimy się bardzo ograniczać i dlatego próbują oderwać ją ode mnie. Ten ciemny typ, jej braciszek, chciałby ją znowu skierować na lekki zarobek. Powiedziałem jej więc tylko, że odważniej i lojalniej z jej strony byłoby zerwać wszelkie stosunki z rodziną. Radziłem jej, żeby ich nie widywała, ale jeśli koniecznie tego chce, nie mogę jej przeszkodzić. Chęć pokazania dziecka rodzinie jest częstym powodem tych licznych odwiedzin, których skutki są zwykle fatalne. Nie można się dziwić, że ulega wpływom rodziny, ale to doprowadza ją do rozpaczy. Ciągle powtarzają jej: „On cię w końcu porzuci" i w ten sposób starają się ją nakłonić, żeby ona mnie porzuciła.

Zegnaj, chłopie, musimy pracować, zachować jasny umysł i postępować uczciwie!

Bez daty

Tak czasem człowiek żałuje, że nie ma kogoś, z kim mógłby porozmawiać i kto by go zrozumiał. Zwłaszcza wtedy, gdy się w tym samym duchu pracuje i tego samego

szuka, można się nawzajem umacniać i zachęcać i człowiek się tak prędko hie zniechęca.

Nie można ciągle mieszkać poza ojczyzną, a ojczyzna to nie tylko przyroda. Do pojęcia „ojczyzna" trzeba jeszcze dodać i serca ludzkie, i wspólne cele, i wspólne uczucia. Wtedy dopiero jest to prawdziwa ojczyzna, wtedy dopiero człowiek czuje się u siebie.

Bez daty

Nasz chłopczyk skończył właśnie rok pierwszego lipca i jest najweselszym i najrozkoszniejszym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić. Myślę, że to dziecko w znacznej mierze przyczyniło się do zupełnego wyzdrowienia mojej kobiety. Cieszy ją, że dziecko się rozwija, jej myśli są nim zajęte. Zastanawiam się nieraz, czyby jej dobrze nie zrobiło, gdyby przeniosła się na wieś, zerwała z miastem i rodziną. W jej wypadku mogłoby to doprowadzić do radykalnej poprawy. Już teraz widać wyraźną zmianę na lepsze, ale wpływ rodziny w dalszym ciągu niekorzystnie się na niej odbija. Na przykład chciałbym, żeby była szczera, a tu ciągle nakłaniają ją do intryg i obłudy.

No cóż, można by ją nazwać „dziecięciem wieku". Na jej charakter miały wpływ różne okoliczności, toteż na zawsze zostanie w niej coś z rozgoryczenia, obojętności i braku silnej wiary i w siebie, i w innych. Często, bardzo często myślałem już o tym, żeby zamieszkała gdzieś na wsi. Ale najmniejsza przeprowadzka kosztuje sporo pieniędzy. W każdym razie, zanim się stąd wyprowadzimy, na wieś czy do Londynu, chciałbym koniecznie się z nią ożenić.

Brak mi tutaj kontaktów z innymi malarzami, kontaktów, które są dla mnie konieczne, i nic nie wskazuje, żeby się to miało zmienić na lepsze. Zresztą wszystko mi jedno, czy tu

mieszkam, czy gdzie indziej — o ile to tylko możliwe, wolałbym uniknąć przeprowadzek.

Jak tylko będziesz mógł, napisz mi, czy i kiedy przyjedziesz. Ja waham się jeszcze co do wielu spraw i żyję przez to w ciągłym napięciu nerwowym. Stan ten na pewno się nie zmieni, dopóki znowu się nie zobaczymy i nie porozmawiamy o przyszłości.

Przeczytałem Mes haines Zoli. Książka ta ma dużo zalet, chociaż w swoich ogólnych rozważaniach, moim zdaniem, Zola się myli. To jednak jest bardzo słuszne: „Zwróćcie tylko uwagę: to co się podoba publiczności, jest zawsze najbardziej banalne, jest czymś, co przywykliśmy widywać co roku. Ludzie przyzwyczaili się do takiej ckliwości i do tak pięknych kłamstw, że z całą stanowczością przeciwstawiają się teraz rzeczom silnym i prawdziwym".

Bez daty

Chwilami podobają mi się dzieła Hoffmanna i Edgara Poe (Opowieści fantastyczne, Kruk etc.). Trudno jednak strawić ich mętną fantastykę, brak sensu i związku z rzeczywistością.

Bez daty

Za twój list wraz z „załącznikiem" bardzo ci dziękuję, nie mogę jednak opanować przykrego wrażenia, jakie zrobiło na mnie jedno zdanie: „jeżeli chodzi o przyszłość, to nie mogę ci robić wielkich nadziei".

Jeżeli masz na myśli tylko sprawy finansowe, to jeszcze nie powieszę się z tego powodu, ale jeżeli mam to uważać za krytykę mojej pracy, to chyba na to nie zasłużyłem.

Spotyka mnie to właśnie teraz, kiedy mogę ci wysłać kilka próbnych zdjęć moich ostatnich rysunków. Dawno ci już je obiecywałem, ale nie mogłem wysłać, bo byłem zupełnie bez grosza.

Nie wiem dokładnie, co miałeś na myśli pisząc te słowa, bo list jest bardzo krótki. W każdym razie zadałeś mi znienacka cios prosto w piersi i bardzo chciałbym się dowiedzieć, o co ci chodzi, czy uważasz, że nie robię postępów, czy masz mi coś do zarzucenia?

Co do spraw finansowych, to chyba pamiętasz, że przed kilku miesiącami skarżyłeś się na złe czasy, a ja ci wtedy odpowiedziałem: dobrze, to jeszcze jeden powód, żeby każdy z nas zabrał się z podwójną energią do roboty. Ty będziesz mi przysyłał tylko na najniezbędniejsze wydatki, a ja postaram się przyłożyć znowu do roboty i może w końcu uda się umieścić moje prace w pismach ilustrowanych.

W ostatnim czasie zacząłem pracować nad kilku większymi kompozycjami, które interesują mnie bardziej aniżeli studia portretowe.

I oto dziwnym zbiegiem okoliczności, właśnie gdy miałem ci wysłać kilka fotografii, które ostatecznie mógłbyś tu i ówdzie pokazać, piszesz do mnie: „jeżeli chodzi o przyszłość, to nie mogę ci robić wielkich nadziei". Czy to nie jest coś szczególnego?

Bardzo się tym zdenerwowałem, musisz do mnie znowu jak najprędzej napisać.

Nie wpadłbym w taki melancholijny nastrój, gdybyś mi nie powiedział czegoś, co mi zrobiło przykrość. Mówisz mi: „miejmy nadzieję na lepsze czasy".

Widzisz, jest to jeden z frazesów, z którymi trzeba uważać. Nadzieja na lepsze czasy nie powinna być jakimś przeczuciem, powinna się opierać na tym, co się w danej chwili robi. A moja praca o tyle jest uzależniona od twojej,

że jeżeli zmniejszysz mi zasiłki, to nie będę mógł dalej malować i wpadnę w depresję.

Właśnie dlatego, że czułem w sobie nadzieję na lepsze czasy, zabrałem się z całych sił do pracy od dzisiaj. Nie będę już więcej myślał o przyszłości, bo przecież wierzę w to, ze za moją pracę otrzymam zapłatę, choć tymczasem z tygodnia na tydzień coraz bardziej muszę ograniczać moje wydatki na jedzenie i ubranie.

Od wielu, wielu tygodni, od miesięcy już, pomimo harówki, pomimo obliczeń, od których mi głowa pęka, pomimo oszczędności, moje wydatki są większe od dochodów. Gdy przychodzą od ciebie pieniądze, to nie tylko muszę z tego żyć przez 10 dni, ale w dodatku zapłacić tyle długów, że te dziesięć dni, które mam przed sobą, stają się chude do niemożliwości. A tu kobieta musi dać piersi dziecku, i choć dziecko jest silne i rośnie, często nie ma co ssać.

Uciekam wtedy na wydmy lub gdziekolwiek indziej, często bliski omdlenia, bo nic nie jadłem.

Buciki mamy już wszyscy połatane i podarte, a nie brak i innych „małych niedoli", od których przybywa zmarszczek na czole.

No cóż, wszystko to jeszcze byłoby niczym, Theo, gdybym miał nadzieję, że jakoś dam sobię radę, jeżeli tylko potrafię wytrwać. Tymczasem ty piszesz mi: „jeżeli chodzi o przyszłość, to nie mogę ci robić wielkich nadziei". Było to dla mnie przysłowiowym the hair that breaks the camels back at last . Ciężar jest czasem tak wielki, że nawet mały włosek wystarczy, by zwierzę upadło na ziemię.

Bez daty

Nie mam właściwie żadnego przyjaciela oprócz ciebie i gdy się źle czuję, zaraz zaczynam o tobie myśleć. Chciałbym, żebyś tu wreszcie przyjechał i żebyśmy mogli się naradzić w sprawie mojej ewentualnej przeprowadzki.

Prócz tego, co ci już pisałem, nic szczególnego się nie dzieje, powodzi mi się jako tako, tyle że może złapałem jakąś gorączkę czy coś w tym rodzaju, bo czuję się bardzo kiepsko.

Znowu musiałem pospłacać rozmaite długi: za komorne, za farby, za pieczywo, w sklepie spożywczym, u szewca, sam już nie wiem, gdzie jeszcze, i w rezultacie zostało mi już bardzo niewiele. No cóż, najgorsze to to, że po kilku tygodniach takiej harówki siły odmawiają mi posłuszeństwa i zaczynam odczuwać ogólne wyczerpanie.

Jeżeli nie możesz mi nic teraz przysłać, to przynajmniej postaraj się, bracie, odpisać mi odwrotną pocztą, o ile to tylko możliwe.

Jeżeli idzie o tę moją sławetną „przyszłość", to powiedz mi po prostu, czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo? Najgorsza jest niepewność. Lepiej wiedzieć dokładnie, przeciwko czemu przyjdzie człowiekowi walczyć. Cały dzień dzisiaj pracowałem i nagle poczułem jakiś ból do szpiku kości; sam nie wiem, czemu to przypisać.

W takich chwilach chciałoby się być z żelaza i rozpacz ogarnia, że się jest tylko z ciała i kości.

Napisałem już do ciebie dziś rano, ale gdy nadałem list, poczułem nagle, że wszystkie moje kłopoty walą się znowu na moją głowę; było już tego za wiele, może dlatego, że nie widzę przed sobą przyszłości.

Inaczej nie umiem tego powiedzieć i tak samo nie mogę zrozumieć, dlaczego praca mi nie idzie.

Włożyłem w nią całe serce, a teraz wydaje mi się, w pewnych chwilach przynajmniej, że to była pomyłka.

No cóż, chłopie, ty sam pewno najlepiej wiesz, czemu warto poświęcać swoje siły, umysł i zapał, gdy się chce być praktycznym i żyć w realnym świecie. Trzeba obrać jedną drogę i powiedzieć sobie: zrobię wszystko, żeby z niej nie zboczyć. Tu i tam może się czasem nie udać, można się znaleźć przed murem nie do przebycia, gdy ludzie nie chcą pójść na rękę, ale tym nie należy się przejmować, prawda? Myślę, że nie trzeba się martwić z tego powodu, ale czasami człowiek ma już wszystkiego dosyć i traci resztki nadziei, choć tak bardzo chciałby wytrwać.

Czasami żałuję, że się wtedy w Borinage nie rozchorowałem i nie zdechłem, zamiast brać się do malowania.

Jestem ci tylko ciężarem i nic na to nie mogę poradzić. Aby stać się dobrym malarzem, trzeba mieć za sobą wiele różnych okresów twórczości. To, co robię teraz, nie jest złe, a w każdym razie staram się jak mogę. Powinni się jednak znaleźć ludzie, którzy potrafią ocenić moją pracę jako całość, jako funkcję mojego umysłu i wysiłku, a nie tylko wymagać, wymagać sam już nie wiem czego.

Widzę teraz wszystko w czarnych kolorach. Gdybym jeszcze był sam, ale tu trzeba myśleć o kobiecie i o dzieciach, o tych biednych stworzeniach, które chciałbym jakoś zabezpieczyć i za które czuję się odpowiedzialny.

W ostatnim czasie moja kobieta czuje się nawet dobrze.

Nie mogę z nimi o tym rozmawiać, a tak mi ciężko na sercu. Jedyne, co mi pozostało, to praca, ale gdy i ona zawodzi, to staję już zupełnie bezradny.

Widzisz, największy kłopot w tym, że możliwość dalszej pracy zależy od tego, czy będę mógł sprzedawać moje obrazy. Wydatki są nieuniknione i im więcej pracy, tym więcej wydatków (choć to ostatnie nie odnosi się do wszystkich aspektów sprawy). Ponieważ nie mogę sprzedawać moich obrazów, a nie mam innych źródeł

dochodu, nie robię postępów, a przecież postępy byłyby widoczne, gdybym miał inne warunki.

No cóż, chłopie, cała ta sytuacja wpływa na mnie deprymująco, bardziej niż to mogę wytrzymać, ł dlatego mówię ci otwarcie, co myślę. Chciałbym, żebyś prędko do nas przyjechał. No i przede wszystkim zaraz mi odpisz, bardzo tego potrzebuję. Oczywiście z nikim innym nie mógłbym o tym tak rozmawiać jak z tobą, bo innym nic do tego, niech się lepiej nie wtrącają.

Bez daty

Odkąd do ciebie wczoraj napisałem, łaziłem w kółko z jakimś uczuciem strachu i niepokoju i w nocy nie mogłem spać.

Wszystko sprowadza się do jednego zagadnienia: czy będę mógł dalej pracować, czy nie, i właśnie tym się niepokoję.

Masz tymczasem kilka fotografii i gdy im się dobrze przyjrzysz, zorientujesz się, w jakim jestem teraz nastroju. Zorientujesz się lepiej niż przedtem, gdy ich nie miałeś. Rysunki, które robię obecnie, są jakby cieniem moich myśli, jednak cień ten ma już pewne kształty. To, czego szukam, to, do czego dążę, nie jest czymś nieokreślonym, tkwi w samym życiu. Tej rzeczywistości nie uchwyci się inaczej, jak przez cierpliwą i systematyczną pracę.

Myśl, że moja praca miałaby być serią porywów i upadków, napawa mnie przerażeniem. Nikt nie może pracować bez pieniędzy; pracować mając możliwie mało pieniędzy wydaje mi się nawet bardzo wskazane, ale nie mieć nawet na najkonieczniejsze wydatki, to by chyba każdego doprowadziło do rozpaczy.

Tak, tak, Theo, każda praca przynosi ze sobą kłopoty i niepowodzenia, ale cóż to wszystko znaczy wobec nieszczęścia, jakim jest życie bez pracy.

A więc nie traćmy otuchy, starajmy się nawzajem umacniać nasze serca, nie osłabiajmy ich i nie róbmy Sobie na złość.

Bez daty

Właśnie wróciłem ze Scheveningen i zastałem twój list, za który ci serdecznie dziękuję.

Wiele z tego, co piszesz, sprawiło mi radość. Przede wszystkim cieszę się, że te ciemne chmury na horyzoncie naszej przyjaźni niczego nie mogą zmienić i nie mają na nią żadnego wpływu. Rad też jestem ogromnie, że niedługo tutaj przyjedziesz i że dostrzegłeś postępy w mojej pracy. Pomysłowość, z jaką potrafisz pośrednio lub bezpośrednio obdzielać swoją pensją aż sześć osób, jest doprawdy zdumiewająca.

A jednak dalszy podział tych moich 150 franków ha cztery żywe stworzenia także daje dużo do myślenia, prawda? Nie zapominaj, że przede wszystkim muszę z tej sumy opłacić modele, przybory do rysunku, sprzęt malarski i komorne. Gdybym tak w przyszłym roku, poczynając od twoich odwiedzin, mógł dostawać choćby ze 150 franków za moje prace, to byłoby coś wspaniałego. Trzeba, będzie o tym pomyśleć.

Muszę ci wyznać zupełnie szczerze, że jak tak dalej pójdzie, to obawiam się, że niedługo trzeba będzie wyprząc. Moje ciało byłoby jeszcze dość zdrowe, gdybym nie musiał tak często głodować, ale ciągle staję przed tym samym problemem: głodować czy mniej pracować, i jak tylko można, wybieram głodówkę. Ale jestem już bardzo słaby. Jak długo można to wytrzymać? Ślady tego osłabienia bardzo wyraźnie widzę w mojej pracy, toteż zaczynam się już niepokoić, co dalej będzie.

Bracie! nie mów o tym nikomu, bo gdyby pewne osoby dowiedziały się o tym, zaraz powiedziałyby: „Widzicie, myśmy to już dawno przewidzieli i przepowiadali". Oni nie tylko mi nie pomogą, ale, przeciwnie, pokrzyżują wszystkie moje plany. A ja przy pewnej cierpliwości chciałbym nabrać sił i znowu stanąć na nogi.

Biorąc pod uwagę obecną sytuację, moje prace nie mogą być inne, niż są.

Gdy tylko przezwyciężę to fizyczne osłabienie, z pewnością zaraz zacznę robić postępy. Ciągle odkładałem chwilę odpoczynku, bo muszę troszczyć się o drugich i muszę pracować. Ale teraz jestem już u kresu sił i nie mogę się spodziewać, że zrobię jakieś postępy, zanim nie przyjdę do siebie. To, że mój stan fizyczny wpływa na moją pracę, stało się dla mnie w ostatnim czasie zupełnie oczywiste. Zapewniam cię, że to nic innego jak tylko zwykłe osłabienie, wywołane zbyt intensywną pracą i złym odżywianiem. Ludzie, którzy rozpowiadali że cierpię na jakąś chorobę, zaczną na nowo szczekać, a taka paplanina budzi we mnie wstręt. Dlatego zatrzymaj to dla siebie i nic nikomu nie mów, jak będziesz się tu wybierał. Pewna posucha w mojej robocie wystąpiła niezależnie od mojej woli i zmieni się to dopiero wtedy, gdy znowu stanę mocno na nogach.

Bez daty

Piszesz w swoim liście o walkach wewnętrznych, jakie czasem trzeba staczać, i chodzi ci o to, czy się ponosi odpowiedzialność za nieszczęśliwe następstwa jakiegoś dobrego czynu i czy nie lepiej jest postępować z całą świadomością źle, byleby tylko uniknąć nieszczęścia. I ja znam te wątpliwości.

Gdy się idzie za głosem sumienia — a sumienie jest dla mnie najwyższą racją, racją wszystkich racji — to trzeba się

zgodzić z tym, że się nieraz postępowało niewłaściwie i głupio. Najbardziej zdumiewa, gdy się widzi tę radość płytkich ludzi, którym się wydaje, że są mądrzejsi i postępują lepiej od ciebie. Tak, takie sytuacje bywają czasem bardzo przykre. Czasami, gdy kłopoty rosną jak fale wzburzonego morza, przychodzi nam żałować, że jesteśmy takimi, jakimi jesteśmy, że nie byliśmy trochę mniej sumienni.

W twoim przekonaniu uchodzę pewnie za człowieka, którego stale pożera taka wewnętrzna walka osłabiająca siły umysłu i utrudniająca decyzję, tak że sam już nie wie, co jest dobre, a co złe.

Jak długo pracuję, ufam całkowicie sztuce i wierzę w powodzenie, ale w okresach fizycznego zmęczenia, a także wobec kłopotów finansowych ufność ta rozprasza się i ogarnia mnie zwątpienie, które staram się przezwyciężyć, zabierając się znowu do roboty. Podobnie rzecz się ma z moją kobietą i z dziećmi: gdy jestem przy nich i widzę, jak mały pełznie do mnie na czworakach wrzeszcząc z zadowolenia, wtedy nie mam najmniejszych wątpliwości, że wszystko jest jak należy.

To dziecko już wiele razy mnie uspokajało.

Gdy jestem w domu, nie mogę się od niego opędzić. W czasie pracy ciągnie mnie za kurtkę, to znów wspina się po mojej nodze, dopóki nie wezmę go na kolana. W pracowni każda rzecz wywołuje okrzyk zachwytu, a potem bawi się cicho kawałkiem papieru, sznurkiem lub starym pędzlem. Jest zawsze w dobrym humorze i jeśli mu to zostanie, będzie dużo szczęśliwsze ode mnie.

Co powiedzieć o chwilach, w których czuje się, że jakieś fatum zamienia dobro w zło i zło w dobro?

Kto wie, czy tego rodzaju myśli nie przychodzą niekiedy do głowy pod wpływem przemęczenia; w każdym razie nie należy się im poddawać i wyobrażać sobie, że wszystko jest

takie czarne, jak nam się wydaje. Od takich myśli można by w końcu oszaleć, dlatego rozsądniej byłoby najpierw nabrać sił, a dopiero potem wziąć się na serio do roboty. Gdy i to nie pomaga, należy te dwie metody ciągle stosować i uznać melancholię za jakąś złośliwość losu. Na dłuższą metę siły duchowe powinny się wzmocnić i człowiek zdoła się utrzymać przy życiu. Zawsze będą istniały niezgłębione zagadki, sorrow czy melancholia, ale wobec tych odwiecznych elementów negatywnych są i pozytywne — jest praca, która nawet w tych warunkach musi być wykonana. Gdyby życie było proste, a jego sprawy układały się tak, jak w bajeczce o dzielnym Henryku lub w codziennym kazaniu zwykłego pastora, to nie byłoby tak trudno utorować sobie drogę. Ale niestety tak nie jest, życie jest nieskończenie bardziej skomplikowane, a dobro czy zło jako takie są równie rzadkie, jak czysta czerń czy biel w przyrodzie. Należy uważać, by nie pogrążyć się w absolutnej czerni — w jakiejś formie melancholii, ale jeszcze bardziej trzeba unikać bieli, tej barwy pobielonego muru, czyli symbolu hipokryzji i odwiecznego faryzeuszostwa. Kto uparcie słucha głosu rozumu, a zwłaszcza sumienia, które jest najwyższą i najbardziej subtelną postacią rozumu, i stara się być uczciwym, nigdy nie zbłądzi. Nie uniknie się oczywiście błędów, porażek i słabostek bo doskonałości i tak się nie osiągnie. Ale myślę, że wtedy rodzi się w człowieku głębokie współczucie dla drugich i jakiś odruch tkliwości, szczerszej niż ta dokładnie odmierzona dobrotliwość, tak typowa dla pastorów.

Nawet jeśli ci lub tamci mają człowieka za nic albo uznają za miernotę, a on sam uważa się tylko za zwykłego człowieka między zwykłymi ludźmi, w końcu osiągnie przecież jaką taką pogodę ducha. Sumienie ludzkie może być doprowadzone do takiego stanu wysubtel-nienia, że staje się wyrazem lepszego i wyższego „ja", przy którym to nasze zwykłe, codzienne „ja" zostaje sprowadzone do roli

służebnej. Nie powinno się wpadać w sceptycyzm ani w cynizm i nie wolno powiększać grona zepsutych wesołków. Nie zawsze to się od razu udaje. Wspaniałe jest to zdanie Micheleta, w którym zawiera się wszystko, co chcę powiedzieć: „Młody Sokrates miał usposobienie satyra, dopiero dzięki wytrwałej pracy nad sobą, wyzbyciu się frywolnych skłonności zmienił się tak gruntownie, że gdy ostatniego dnia w obliczu śmierci stanął przed swymi sędziami, było w nim coś z boga, jak w promieniu słońca, który zapala się nad Partenonem".

Tak, to samo widzimy u Jezusa, który był początkowo zwykłym robotnikiem i dopiero później stał się — mniejsza o to, kim — postacią tak dalece przepojoną współczuciem, miłością, dobrocią i ciepłem, że do dzisiaj wszystkich przyciąga. Z czeladnika stolarskiego często wyrasta majster małoduszny, oschły, chciwy i zarozumiały. Jeżeli idzie o Jezusa, to Jezus inaczej patrzył na świat, niż mój przyjaciel, stolarz z doku za moim domem, który stał się wyzyskiwaczem i jest na pewno bardziej zarozumiały i ma o sobie lepsze wyobrażenie, niż sam Jezus.

Bez daty

Porównując się z innymi ludźmi, których życie się poznało lub z którymi ma się coś wspólnego, dochodzi się do wniosków, które nie są chyba bezpodstawne. Bez zbytniego optymizmu mogę na przykład przypuścić, że mimo wszystko mój organizm wytrzyma przy takiej pracy jeszcze kilka lat, powiedzmy sześć do dziesięciu. Tym bardziej mogę na to liczyć, że chwilowo ten dodatek „mimo wszystko" jest niepotrzebny.

Gdybym chciał powiedzieć, co będzie dalej, byłoby to czystą spekulacją, bo właśnie od tych dziesięciu lat będzie zależało, czy i jak mi się dalsze życie i praca ułoży.

Jeżeli w najbliższych dziesięciu latach nie będę się oszczędzał, to z pewnością nie przekroczę czterdziestki, ale jeśli się dostatecznie zakonserwuję, aby wytrzymać wstrząsy, na jakie człowiek od czasu do czasu jest narażony i aby znosić mniej lub więcej skomplikowane dolegliwości fizyczne, to między czterdziestką a pięćdziesiątką wypłynę na względnie spokojne wody.

Plany na dalszą przyszłość nie są teraz aktualne, natomiast aktualne są plany na okres, o którym mówiłem, tj. pięciu do dziesięciu lat. Nie mam zamiaru oszczędzać się ani unikać wzruszeń i wysiłku, bo właściwie jest mi wszystko jedno, czy będę żył długo, czy krótko. Zresztą nie czuję się powołany do regulowania fizycznych funkcji mego organizmu, tak jak to robi lekarz.

Idę przez życie nieświadomie i wiem tylko jedno: w ciągu kilku lat muszę wykonać określoną pracę. Nie muszę się zanadto śpieszyć, bo nie ma gwałtu, ale muszę mieć całkowity spokój, zachować pogodę ducha, pracować regularnie i w skupieniu, z całą energią, na jaką mnie stać. Świat nic mnie nie obchodzi, ale mam wobec niego trochę długów i zobowiązań, bo przez trzydzieści lat po nim chodziłem, więc wypada z wdzięczności zostawić mu jakąś pamiątkę w postaci kilku szkiców i obrazów. Nie stworzyłem ich po to, by przypodobać się tej lub innej szkole, tylko po to, by wyrazić w nich szczere, ludzkie uczucia. Praca jest moim jedynym celem i skoro cały mój wysiłek koncentruje się na tej myśli, wszystko, co robię i czego unikam, staje się już proste i łatwe i moje życie przestaje być chaosem. Wszystkie moje czyny zmierzają do tego samego celu. Teraz praca idzie mi powoli — to jeszcze jeden powód, ażeby nie tracić czasu.

Bez daty

Nie ma większej udręki jak wewnętrzna walka między obowiązkiem a miłością, gdy jedno i drugie ma najwyższą wagę.

Jeżeli ci powiem, że wybrałem obowiązek, to będziesz już wiedział wszystko.

Jedno jedyne słowo, wypowiedziane wtedy na drodze, pozwoliło mi się zorientować, że właściwie nic się we mnie nie zmieniło. Na zawsze już będę nosił tę ranę, z którą można żyć, ale która jest tak głęboka, że nigdy się nie zabliźni i po wielu latach będzie bolała tak samo, jak pierwszego dnia.

Chyba dobrze wiesz, jaką walkę musiałem ostatnio stoczyć ze sobą. Cokolwiek się zdarzy („cokolwiek", bo mam prawo nie wchodzić w sedno rzeczy), będę stale czujny i pozostanę człowiekiem uczciwym, podwójnie czułym na mój obowiązek.

Jej nigdy nie podejrzewałem, nie podejrzewam i nie będę podejrzewał o to, że sprawy pieniężne były motywem jej postępowania w stopniu wyższym, niżby na to uczciwość i przyzwoitość pozwalała. W tych sprawach nie przekraczała nigdy granic wyznaczonych przez rozsądek, podczas gdy inne kobiety je przekraczały. Rozumiesz chyba, że o jej miłości do mnie nic nie mogę powiedzieć, a to, co mówiliśmy wtedy na drodze, niech pozostanie na zawsze między nami. Od tego czasu zdarzyły się rzeczy, do których by nie doszło, gdybym nie spotkał się — primo, ze zdecydowanym „nie", a secundo, z żądaniem, bym nie stawał na jej drodze. Szanuję w niej poczucie obowiązku, nigdy jej nie podejrzewałem i nie będę podejrzewał o żadne podłe postępki.

Co do mnie, wiem tylko tyle: po pierwsze, nie wolno się uchylać od obowiązku, po drugie, z poczuciem obowiązku nie można wchodzić w układy. Obowiązek jest wartością absolutną. A skutki? Czy jesteśmy odpowiedzialni za

spełnienie lub niespełnienie naszego obowiązku? Tak, jesteśmy. Jest to więc całkowicie sprzeczne z zasadą, że cel uświęca środki.

Moja przeszłość jest jak ów kielich, który nie zostanie mi odebrany, aż go wypiję.

Teraz fiat voluntas.

19 sierpnia 1883

Wydaje mi się, że znalazłem proste rozwiązanie problemu, może najlepsze, bo właśnie proste. Nie będę już robił żadnych innych wysiłków, zamieszkam na wsi, w jakimś tanim i malowniczym zakątku. Bardzo chciałbym wiedzieć, czy ty i ojciec wczuwacie się już jako tako w moje położenie, jeśli idzie o tę kobietę. Jeśli to tylko możliwe, nie chciałbym jej znowu wysyłać na ulicę, tylko na obietnicę poprawy z jej strony odpowiedzieć serdecznym: „wszystko darowane, wszystko zapomniane".

Lepiej, żeby się uratowała, niżby się miała stoczyć na dno.

Dziś rano powiedziała mi: „Jeżeli idzie o moje dawne zajęcie, to wcale nie myślę do tego wracać i to samo powiedziałam matce. Ale wiem, że jeśli będę musiała stąd odejść, będę za mało zarabiała, żeby móc z tego utrzymać dzieci; jeżeli znowu wyjdę na ulicę, to nie dla przyjemności, tylko dlatego, że będę do tego zmuszona".

Wydaje mi się, że kiedyś ci już pisałem, co między nami zaszło, gdy była w szpitalu, a ja nie byłem jeszcze zdecydowany, czy wziąć ją do domu, czy nie. O nic mnie wtedy nie pytała, co zresztą należy traktować jako wyjątek, gdy się weźmie pod uwagę jej zwykłe maniery.

Nie potrafię już dokładnie opisać, jaki miała wtedy wyraz twarzy, ale było w niej coś z owcy, która, zdawałoby

się, chce powiedzieć: Jeśli macie mnie zabić, nie będę się broniła.

No cóż, to bardzo głupie, ale ja potrafię tylko całkowicie darować i raczej sam się poczuwam do winy, niżbym miał oskarżać innych. Zrobiłem tylko tyle, że wymogłem na niej różne obietnice, a więc, że będzie utrzymywać porządek, będzie pracowitsza, lepiej będzie pozowała, mniej chodziła do swej matki itd.

A więc teraz wszystko jej już darowałem, wszystko zapomniałem, bez żadnych ubocznych myśli, i znowu będę trzymał jej stronę, tak jak dawniej.

Jest to współczucie tak głębokie, że wszystko inne przed nim ustępuje. Naprawdę nie mogę postąpić inaczej, jak w zeszłym roku w szpitalu. Tak jak wtedy mówię: jak długo będę miał kawałek chleba i jakieś mieszkanie, mieszkanie to będzie twoim domem. Nie było to pasją wtedy, a jeszcze mniej jest nią teraz, po prostu potrzebujemy się wzajemnie, rozumiemy się i to są fakty, którym nie można zaprzeczyć. Ponieważ jednak wiem, że w ubiegłym roku rodzina miała na nią bardzo zły wpływ, i teraz obawiam się tego wpływu, postanowiłem zamieszkać z nią gdzieś na wsi, daleko od miasta, gdzie mimo woli patrzeć będzie na cuda natury.

Zresztą od dawna już wiedziałem, że w jej wypadku całkowite wyleczenie jest kwestią wielu lat, ale to nie wyklucza nadziei, że ta poprawa jednak nastąpi.

Mały jest do mnie ogromnie przywiązany i gdzie się tylko w domu ruszę, zaraz przychodzi i siada sobie koło mnie.

Widzisz, Theo, zdaję sobie sprawę, że starając się pogodzić nasze czyny i uczucia, możemy się mylić, możemy nieraz dostać po głowie, ale mam wrażenie, że uchronimy się od wielkich nieszczęść i rozpaczy, jeśli zawsze będziemy wiedzieli, co jest naszym obowiązkiem, i jak tylko można najlepiej zrobimy to, co musi być zrobione.

Gdybym pozostawił tę kobietę jej losowi, mogłaby jeszcze zwariować. Często, gdy miała napady złego humoru (nie do zniesienia), udawało mi się ją uspokoić i rozproszyć uczucie strachu, jakie ją gnębiło. W ciągu tego roku przekonała się, że ma we mnie prawdziwego przyjaciela, który nieraz pomaga jej w chwilach słabości i wie dobrze, co jej dolega. Ogarnia ją „sama nie wie, co", jakiś spokój, gdy jestem przy niej. Myślę, że z czasem będzie lepiej, zwłaszcza gdy dawne życie przestanie ją pociągać i przestanie o tym myśleć. Przeprowadzka byłaby bardzo pożądana, chodzi tylko o to, by w rezultacie dała jakieś oszczędności. Mówiono jej na przykład, że ją porzucę z powodu dzieci. To jest nieprawda, a w każdym razie nie dzieci będą tego powodem. Do tego stopnia mącą jej w głowie, że czasem mówi, iż wolałaby nie mieć dzieci.

Widzisz, Theo, tak już z nią jest, że ona rozumie, ale trzeba jej często to samo powtarzać. Czasem aż ręce opadają, ale nieraz, choć to się rzadko zdarza, powie wyraźnie, co chce i co ma na myśli, a wtedy zachodzę w głowę, jak mogła się uchować taka czysta, pomimo tak wielkiego zepsucia. Rzec by można, że coś jednak się zachowało w tej ruinie duszy, serca i umysłu.

Bez daty

A oto przykład, jak słaby charakter ma moja kobieta: pomimo solennej obietnicy nieodwiedzania matki, poszła jednak do niej znowu. Powiedziałem jej, że skoro przez trzy dni nie potrafiła dotrzymać takiej obietnicy, to chyba nie spodziewa się, żebym uwierzył w jej obietnicę wierności na całe życie.

Uważam to za podłość z jej strony i zaczynam przypuszczać, że dużo bardziej pasuje ona do tej bandy, niż do mnie. Potem zaczęła mi opowiadać, jak bardzo jej

przykro, ale j a już w to nie wierzę, jutro zrobi znowu to samo, choć będzie mówiła, że nie.

Jak tak dalej pójdzie, to będę chyba żałował, że ją biorę na serio. Kiedy składała mi przyrzeczenie, powiedziałem jej: Jeżeli stąd odejdziesz, to znowu zostaniesz kurwą, po pierwsze dlatego, że mieszkałaś już kiedyś u matki i ona cię wysyłała na ulicę, po drugie dlatego, że twoja matka mieszka w podejrzanej dzielnicy, której bardziej niż ktokolwiek inny powinnaś unikać, a po trzecie dlatego, że w tym domu mieszka twój brat-łajdak.

Oczywiście, bardzo możliwe, że gdyby przebywała na wsi, daleko od swojej łajdackiej rodziny, toby szybko przyszła do siebie, ale kto mi zaręczy, że tam nie zacznie znowu jęczeć: „Och, jak tu nudno, po co mnie tutaj przywiozłeś?" Obawiam się, żeby tego od niej nie usłyszeć, a jednocześnie robię wszystko, co tylko w mojej mocy, żeby nie musiało dojść do ostateczności, tj. żebym nie musiał jej opuścić.

Wydaje mi się, że prawdą jest to, co mówi Zola: „A jednak te kobiety nie są złe; jeśli nawet błądzą i upadają, to dlatego, że nie mogą żyć uczciwie w atmosferze plotkarstwa i obmowy zdemoralizowanych przedmieść". Wiesz, o czym myślę, to jest W matni.

Wiem, że jest pewna różnica, ale jest i duże podobieństwo między moim stosunkiem do niej a sytuacją kowala z W matni. Kowal ów widzi, jak Gervaise schodzi na manowce, ale nie ma na nią żadnego wpływu, bp Gervaise jest fałszywa, nic nie rozumie i nigdy nie wie, na co ma się zdecydować,

Żal mi teraz mojej kobiety bardziej niż Kiedykolwiek, bo widzę, że nie może zaznać ani odpoczynku, ani spokoju.

Myślę, że obecnie nie ma ona lepszego odę mnie przyjaciela, pomagałbym jej z całego serca, gdyby choć trochę mi to ułatwiła. Jej nie zależy na moim zaufaniu i

nieraz bywam bezsilny, gdy widzę, jak obdarza zaufaniem tych, którzy właściwie są jej wrogami. Niekiedy wydaje mi się, że ona nie widzi złych stron swojego postępowania, ale czasem myślę, że nie chce ich widzieć. Okres, kiedy gościłem, się na jej przewrotne postępowanie mam już poza sobą. Tak było w zeszłym roku. Teraz, gdy widzę, jak popełnia te same błędy, już się niczemu nie dziwię, ale gdybym wiedział, że w tym leży jej ratunek, to chyba zgodziłbym się na wszystko. Bo mimo wszystko myślę o niej, że nie jest ona zła. Tak, nie jest zła, ale jakże mogłaby być dobra, skoro nigdy nie widziała, co to jest dobroć?

Myślę, że nię jest ona odpowiedzialna za swoje czyny, jak odpowiedzialny jest ktoś, kto zna różnicę pomiędzy złem a dobrem. Pojęć tych w gruncie rzeczy jeszcze nie rozumie, wyczuwa je raczej instynktownie, bardzo mętnie i bardzo chaotycznie. Myślę, że gdyby wiedziała, co najeży robić robiłaby to bez wątpienia. Mówiłeś mi kiedyś, że twoim zdaniem, dobrze by jej zrobiło, gdybyśmy mieszkali osobno, Prawdopodobnie masz rację, ale należy pamiętać, że w tym wypadku, po pierwsze, dostałaby się znowu pod wpływ rodziny, a po drugie, musiałaby się pozbyć dzieci, które są jedyną rękojmią jej względnie przyzwoitego prowadzenia się, Jest to sytuacja, z której właściwie nie widzę wyjścia. Nie wiem, czy zrozumiesz, o co mi chodzi, ale słuchaj: w gruncie rzeczy ona chce ze mną pozostać i jest do mnie bardzo przywiązana, ale nie zdaje sobie sprawy, że się ode mnie oddala. Cokolwiek jej powiem, zaraz mi odpowiada — tak, tak, wiem, że i tak się mnie pozbędziesz.

Są to jeszcze chwile jej dobrego humoru, ale bywa i w z 1 y m i wtedy ogarnia mnie rozpacz. Mówi mi wtedy po prostu: „No tak, jestem obojętna na wszystko i leniwa, zawsze byłam taka i nie ma na to rady", albo: „Tak, jestem kurwą i nic innego nie mogę robić, najwyżej mogę rzucić się do wody".

Z uwagi na jej charakter, zaniedbany, na wpół czy do gruntu zepsuty, chciałoby się powiedzieć — ukształtowany w rynsztoku, przyznaję: po tym wszystkim ona nie może być inna. Byłoby to z mojej strony i głupotą, i zarozumialstwem, gdybym ją potępił wielkimi, uroczyście brzmiącymi słowami. Może teraz lepiej zrozumiesz, dlaczego przyszło mi na myśl zastosować do niej słowa, z jakimi ksiądz Bienvenue z Nędzników Wiktora Hugo zwykł był zwracać się do obrzydliwych, jadowitych bestii: „Biedne zwierzę, to nie jego wina, że jest właśnie takie".

Abyś zrozumiał, jak mi na tym zależy, żeby ją uratować, powiem ci tylko tyle — jeżeli małżeństwo byłoby tym ratunkiem, to jeszcze teraz bym się z nią ożenił. Ale czy to by pomogło? Jeżeli na przykład w Drenthe zacznie mi trajkotać: po coś mnie tutaj przywiózł? — to nic się przez to nie zmieni.

Biorąc pod uwagę, że sprawy ułożyły się tak, jak się ułożyły, że koniecznie muszę robić jakieś postępy, że omówiliśmy wszystko dokładnie i że chciałbym pozostać przy niej, jeżeli to będzie możliwe i jeżeli ona sama nie będzie mi robiła wstrętów — otóż biorąc to wszystko pod uwagę, nie będziesz chyba miał nic przeciw temu, bym powziął decyzję w sprawie natychmiastowego wyjazdu do Drenthe. Czy moja kobieta pojedzie ze mną, czy nie, będzie to zależało wyłącznie od niej. Wiem, że naradza się teraz z matką. O czym radzą — nie wiem. I nie pytam.

Jeżeli będzie chciała ze mną jechać, to niech jedzie. Porzucić ją, znaczyłoby wpędzić ją z powrotem w prostytucję, a tego nie może zrobić ten sam człowiek, który przedtem starał się ją z tego wyciągnąć, prawda?

Bez daty

Czy wiesz, co dzisiaj zrobiłem? Był to spokojny dzień, spędziłem go razem z nią, wyjaśniając jej długo i szeroko, jak moje sprawy wyglądają, powiedziałem, że ze względu na pracę muszę wyjechać, że muszę przez rok mniej wydawać i coś niecoś zarobić, aby zmniejszyć wydatki, które zanadto mnie już obciążały. Powiedziałem też, że gdybym z nią pozostał, i tak wkrótce nie mógłbym już jej pomagać i popadlibyśmy w długi, z których byśmy się nie wygrzebali, zwłaszcza tutaj, gdzie wszystko jest takie drogie. Krótko mówiąc, oboje powinniśmy być rozsądni i rozejść się jak przyjaciele. Jej rodzina powinna się postarać, by ktoś zajął się dziećmi, a ona powinna iść gdzieś na służbę.

To, że tutaj nie mogę już dłużej zostać, jest nawet dla niej zrozumiałe.

Z uwagi na to, że ziemia zaczyna się nam palić pod nogami i dalsze wspólne życie mogłoby tylko pogorszyć naszą sytuację, postanowiliśmy się rozstać — może na jakiś czas, może na zawsze, zależnie od okoliczności.

Dodałem przy tym „może na zawsze", bo mimo wszystko każde z nas ma jakiś cel w życiu, dla którego musi żyć — ona swoje dzieci, ja moją pracę. Pewne rzeczy musimy robić wbrew naszej woli i często nie możemy być tak dobrzy, jak byśmy chcieli. Powiedziałem jej jeszcze: „Może nie zawsze uda ci się iść prostą drogą, ale musisz robić wszystko, żeby ci się to udało, tak jak i ja zawsze będę się o to starał, choć wiem z góry, że daleki będę od doskonałości w tym życiu".

Dalej powiedziałem jej: „Jak długo będę wiedział, że robisz co w twojej mocy, żeby się wszystko nie rozleciało, i że jesteś dobra dla dzieci, tak jak wiesz, że i ja byłem dla nich dobry, jak długo dzieci będą miały w tobie matkę, to chociaż będziesz biedną służącą, choć będziesz tylko biedną kurwą, w moich oczach pozostaniesz dobrą kobietą, nawet ze wszystkimi twoimi cholernymi wadami. Ja, choć ani chwili

nie wątpię, że spotka mnie jeszcze wiele tego rodzaju przykrości, nigdy się już chyba nie zmienię.

Gdyby na mojej drodze stanęła znowu kobieta z grubym brzuchem albo w ciężkich tarapatach, to wiedziałbym, co należy zrobić, i zrobiłbym wszystko, co leży w mojej mocy. Gdybyś była, powiadam, w takiej sytuacji jak wtedy, kiedy cię spotkałem, to ł teraz mój dom byłby twoim domem i znalazłabyś w nim schronienie przed burzą, tak długo, jak długo miałbym kawałek chleba i dach nad głową. Ale teraz burza ustała, możesz iść prostą drogą o własnych siłach, nawet beze mnie — więc musisz spróbować.

Ja także będę się starał iść prostą drogą, będę ciężko pracował i chciałbym, żebyś ty postępowała tak samo".

Oto, co jej powiedziałem.

Och, bracie, na pewno byśmy się nie rozeszli, gdyby to nie było konieczne. Mówię ci jeszcze raz, nie rozeszlibyśmy się, gdybyśmy nie byli do tego zmuszeni. Czy nie przebaczyliśmy sobie nawzajem naszych przewinień i czy za każdym razem nie dochodziło znowu do zgody? Znamy się już tak dobrze, że nie potrafilibyśmy już sobie wyrzucać złośliwości. Nie wiem, czy to jest miłość, ale to, co jest między nami, przetrwa mimo wszystko.

W pierwszym okresie chciałbym jeszcze mieć na nią oko i pomagać jej, jak tylko będę mógł. Z czasem moje kłopoty będą się zmniejszać, ale pracownię trzeba będzie na razie zlikwidować. Schowamy graty do jakiegoś kąta na strychu i niech czekają lepszych czasów. Potem sam, bez bagaży, bez towarzystwa, wyruszę w podróż dla studiów. Napisz rychło, co o tym, myślisz, odpisz, jak tylko dostaniesz ten list, bo chciałbym wiedzieć, jakie jest twoje zdanie.

Co do mnie, jutro idę wymówić najem pracowni i od razu spróbuję się dowiedzieć, czyby nie można złożyć gdzieś gratów. Moja kobieta idzie na służbę.

Bez daty

Na początku chciałem ci powiedzieć, że jeśli idzie o moją kobietę, to wiem już teraz z całą pewnością o różnych jej sprawkach, o które przedtem tylko ją podejrzewałem. Prawdą jest, że zanim zdecydowaliśmy się na rozstanie, już na długo przedtem pertraktowała co do swoich planów na przyszłość. I właśnie dlatego, że wtedy byłem prawie pewien, a teraz wiem już dokładnie, o jakie to plany chodziło, muszę powziąć tę decyzję.

A skoro się już zdecydowałem, chciałbym energicznie zająć się przygotowaniami do wyjazdu.

Ach, Theo, rozumiesz chyba, co czułem przez tych kilka dni. Strasznie mi smutno, gdy myślę o tej kobiecie i dzieciach, ale nie było innego wyjścia. Teraz cały wysiłek kieruję na pracę i coraz bardziej mnie ona wciąga, bo mogę teraz robić wiele rzeczy, których przedtem robić nie mogłem.

Bracie drogi, gdybyś tak mógł się wczuć w to, co ja teraz przeżywam, gdybyś wiedział, że — jak by to powiedzieć — poświęciłem tej kobiecie część siebie samego, musiałem o wszystkim zapomnieć, musiałem zebrać wszystkie siły, by ją postawić na nogi, gdybyś mógł odczuć ten smutek, jakim przejmuje mnie życie, które nie jest mi jednak obojętne, bo wolę mój ból niż zapomnienie i obojętność, gdybyś w pełni zrozumiał, że moją pogodę ducha czerpię z worship of sorrow, a nie ze złudzeń — to może nawet tobie bracie, moja dusza wydałaby się zupełnie inna i bardziej oderwana od życia, niż myślisz. Chyba niewiele już będę mówił o tej kobiecie, ale nie przestanę o niej myśleć. Pomoc, Jakiej jej wtedy udzieliłem, była dla niej kwestią życia lub śmierci. Nic mogłem jej wtedy dać dosyć pieniędzy, by mogła stanąć na własnych nogach, więc musiałem ją wziąć do siebie. Chciałem zrobić coś dla niej, z czego by miała jakiś pożytek. W moim przekonaniu najwłaściwszą rzeczą byłoby ożenić się z nią i zabrać ze

sobą do Drenthe, ale przyznaję, że na to ani ona sama, ani okoliczności nie pozwalają. Ona nie jest miła ani dobra, ale i ja nie mam tych zalet i choć tacy jesteśmy, łączyło nas głębokie uczucie, które przetrwa wszystko. Bardzo chciałbym pracować i tak samo chciałbym, żebyś rychło do mnie napisał.

Nawiązuję do tego, co ci pisałem w ostatnim liście. Jak wiesz, moja kobieta nadużyła mojego zaufania, i to dość poważnie. Wyobraź sobie, zgłosiła się do burdelu za pokojówkę. Matka wynalazła jej tę posadę i bardzo do jej przyjęcia namawiała. Moja kobieta znowu bardzo żałowała i jakoś zrezygnowała z tej posady, ale było to dowodem wielkiej słabości z jej strony zrobić mi coś takiego właśnie w takiej chwili. Ale taka ona już jest, przynajmniej do tej pory — jakoś nie mogła się zdobyć, żeby powiedzieć zdecydowanie: nie. Zmusza mnie to do zastosowania środków, które jak dotąd, ciągle odkładałem i odkładałem.

Przy okazji zauważyłem, że przechodzi ona jakby jakiś kryzys, który, mam nadzieję, zatrzyma się i nie będzie się już pogłębiał. Tak się więc stało, że teraz, nawet według jej mniemania, rozłąka może nam wyjść na dobre. Skoro jest tak przywiązana do matki, co zresztą ma jak najgorsze skutki, będą musiały iść razem, albo złą, albo dobrą drogą.

Chce zamieszkać razem z matką; będą pracowały na zmianę i zarabiając w uczciwy sposób, jakoś się powoli urządzą. Kilka dni już tak pracowały, a ja umieściłem ogłoszenie w gazetach, które codziennie czytają i nawet widać, że im to sprawia przyjemność.

Mam zamiar dalej zamieszczać ogłoszenia, jak długo będzie trzeba, i w ogóle robić wszystko, żeby im pomóc. Jeśli tylko będę mógł, przed wyjazdem zapłacę za nie komorne i opłacę im chleb na kilka tygodni z góry, choćby po jednym bochenku dziennie; w ten sposób będą

Wprawdzie chcę im nadal pomagać, ale niczego im nie obiecywałem, bo sam nie wiem, czy mnie będzie na to stać. Będzie to zależało od okoliczności.

Radzę jej zdecydowanie, żeby wyszła za mąż. Niech to będzie nawet małżeństwo z rozsądku, jakiś wdowiec lub ktoś w tym rodzaju, ale powiedziałem jej równocześnie, że dla tego człowieka musi być lepsza niż dla mnie.

Bez daty

A więc jeśli koło dziesiątego przyślesz mi pieniądze, spodziewam się, że będę mógł wyjechać. Jeżeli nie będę mógł wyjechać od razu dalej, to na dzień lub dwa zatrzymam się w jakiejś wiosce w pobliżu.

Mam nadzieję, że to, co uważasz za możliwe, i co zresztą ja sam uważam do pewnego stopnia za możliwe, spełni się i że zmiany te sprowadzą moją kobietę na właściwą drogę. Czasem jednak obawiam się, że będzie inaczej i że ona znowu wróci do dawnego. W ostatnich dniach widziałem wyraźnie, że to wyszukiwanie ogłoszeń było tylko pozorem: w gruncie rzeczy czekają tylko na mój wyjazd, by zrobić coś, do czego nie chcą się przyznać.

Jest to dla mnie jeszcze jeden powód, żeby natychmiast stąd wyjechać, bo w przeciwnym razie będą się wstrzymywały z wykonaniem swoich planów. Jej matka na pewno znowu maczała w tym palce.

Chciałbym więc pojechać od razu, a potem odczekać ewentualnie ze dwa tygodnie. Wtedy napiszę list z zapytaniem, jak im się powodzi. Zaczynam nawet dochodzić do wniosku, że mój wyjazd jest konieczny, aby je doprowadzić do rozsądku. Taki eksperyment jest jednak dość niebezpieczny, gdyż nawet w tak krótkim czasie mogą sobie nawarzyć piwa.

Theo, nie myśl, że wyjeżdżając będę o nią spokojny. Przeciwnie, będę się niepokoił, ponieważ wiem, że ona ocknie się dopiero wtedy, gdy będzie za późno, zasmakuje w prostocie i w czystości dopiero wtedy, gdy to będzie już dla niej nieosiągalne.

Wiesz, gdy widzą na jej twarzy wyraz sfinksa, który znam zresztą od dawna i u niej, i u innych, ta jest to zły znak. Tak samo fatalne jest to melancholijne wpatrywanie się w ziemię; jedynym lekarstwem W tym wypadku jest ciężka praca. Widzisz, Theo, ona znowu zakłada bezczynnie ręce, a przecież, jeśli się ma przezwyciężyć melancholię, to trzeba ciężko harować. Kto tego nie czuje, ten jest stracony i tylko patrzeć, jak go zakopią w dole. Mówiłem jej to nieraz i czasem nawet wydawało się, że zrozumiała.

Jak widzisz, ona jest nad brzegiem przepaści, nieprawdaż?

Nie ja ją pchnę w tę przepaść, nie mogę jednak wieczni stać przy niej i pilnować jej. Każdy powinien mieć na tyle zdrowego rozsądku, żeby samemu współdziałać, gdy się go ostrzega i podtrzymuje.

Bez daty

Przed chwilą dostałem twój list i załączone 100 franków. Jutro wyjeżdżam do Hoogeveen (Drenthe). Stamtąd dalej, a gdy przyjadę na miejsce, podam ci mój nowy adres.

A więc w każdym razie nie pisz już tutaj.

Theo, Wyjeżdżam i jest mi doprawdy, bardzo smutno. Byłoby mi może mniej smutno, gdybym wiedział, że moja kobieta jest bardziej energiczna, i gdybym nie musiał jej dobrej woli stawiać pod znakiem zapytania.

No cóż, z tego, co ci napisałem, znasz już chyba najważniejsze szczegóły.

Co do mnie muszę iść narzód, w przeciwnym razie sam się pogrążę i jej wtedy nie będę mógł pomóc.

Ach te dzieciaki, jak je można pokochać!

Niewiele mogłem dla nich zrobić, ale gdyby ta kobieta była chciała!

Nie mogą jednak ciągle tego wałkować, bo mimo wszystko muszę iść naprzód.

Mam zamiar pozostać tam, choćby do czasu, gdy w przyszłym roku przyjedziesz do Holandii. Nie chciałbym się z tobą rozminąć. Jeżeli tam pozostanę, zobaczę wszystkie kolejne pory roku i poznam charakter tej okolicy.

Zaopatrzyłem się w paszport krajowy, ważny na okres roku. Daje mi on prawo do swobodnego poruszania się, mogę zamieszkać w każdej miejscowości, jak długo zechcę.

Pisałeś do mnie niedawno: „może poczucie obowiązku wskaże ci, że powinieneś inaczej postępować", czy coś podobnego. Natychmiast zacząłem się nad tym zastanawiać. Niewątpliwie, praca moja wymaga, żebym gdzieś daleko wyjechał, doszedłem więc do wniosku, że jest ona moim pierwszym obowiązkiem, ważniejszym nawet od kobiety i że z powodu kobiety praca cierpieć nie może. W zeszłym roku było zupełnie inaczej, ale teraz nadszedł właśnie czas, kiedy mogę wyjechać do Drenthe Mimo to moje uczucia są podzielone, chciałbym i jednego, i drugiego, choć w obecnej sytuacji to jest niemożliwe, przede wszystkim ze względu na wydatki, a jeszcze bardziej dlatego, że nigdy nie można jej naprawdę zaufać.

DRENTHE wrzesień 1883— listopad 1883

Vincent odczuwa potrzebą zmiany, chciałby być sam, w prymitywnym otoczeniu. Zamiast wracać do rodziców, wyjeżdża do Drenthe, prowincji położonej na północy, pomiędzy Fryzją o granicą niemiecką. Przebywa tam od września do listopada 1883 roku. Jest zachwycony okolicą. Odkrywa cmentarz otoczony żywopłotem z jodeł, odkrywa groby na wrzosowiskach. Ze wzruszeniem patrzy na smętny krajobraz, rysuje przegniłe pnie dębów, zmieniające się stopniowo w torf. Chłopi są tutaj podobni do chłopów na obrazach Milleta.

Czuje, że dokonała się w nim jakaś wielka zmiana i powiadamia o tym Thea. Atmosfera Drenthe bardzo go podnieca. Jego myśl „porządkuje się, reguluje, utrwala, odnawia i rozszerza". Widok tego „smutnego, opustoszałego wrzosowiska" sprawia, że rodzi się w nim „coś lepszego". Pisze: „Coś, czego jeszcze nie ma, a jednak widzę w moim dziele rzeczy, których dotąd nie dostrzegałem. Maluje mi się łatwiej, chciałbym próbować malować wiele rzeczy, których dotychczas unikałem". I wyciąga z tego wniosek, że „w mieście niczego dobrego nie można zrobić". Maluje wrzosowiska, pola ziemniaków, maluje to, co tylko częściowo zostało wydarte naturze: chałupy, nieokrzesanych pasterzy, a nawet stada bydła wracające o zmroku.

Hoogeveen, bez daty

Właśnie przyjechałem.

Z pociągu widziałem ładne krajobrazy Veluwe, ale zanim przyjechaliśmy do Drenthe, było już ciemno. Dlatego nie

mam jeszcze żadnego wyobrażenia o tym kraju.

W Hadze wszystko się jakoś udało. Geometra przyszedł po mnie na stację.

Oczywiście moja kobieta i dzieci były do ostatniej chwili; gdy przyszło odjeżdżać, rozstanie nie było łatwe. Zaopatrzyłem ją, jak tylko mogłem, ale tak czy owak ma przed sobą ciężki okres.

Bez daty

Chciałbym ci opisać scenę, typową dla tego kraju. Malowałem właśnie w małej chatce, kiedy dwie owce i jedna koza weszły na dach i zaczęły się tam paść. Koza wdrapała się na samą górę i zaglądała przez komin.

Słysząc szmer na dachu, kobieta wybiegła na dwór i rzuciła miotłą w kozę, która jak kozica górska zeskoczyła na ziemię.

Te dwie wioski na wrzosowiskach, gdzie byłem i gdzie to oglądałem, nazywają się Stuufzand i Zwartschaap. Byłem także w kilku innych osadach i chciałbym, żebyś się zorientował, jak tu wszędzie prymitywnie. Hoogeveen jest mimo wszystko miastem, ale w najbliższym sąsiedztwie można spotkać pasterzy owiec, piece, chaty o dachach pokrytych darnią itp.

Często z żalem wspominam moją kobietę i dzieci. Ach, żeby się ktoś nimi zaopiekował! Można o niej powiedzieć, że to jej własna wina i będzie to prawdą, ale obawiam się, że nieszczęście, które ją spotkało, jest większe od jej winy.

O tym, że miała z gruntu spaczony charakter, wiedziałem od początku, ale miałem nadzieję, że się poprawi. Dopiero teraz, gdy jej nie widuję i gdy rozmyślam o wszystkim, co mnie w niej raziło, coraz bardziej dochodzę do wniosku, że za daleko zaszła na tej drodze, żeby z niej

zawrócić. Dlatego jeszcze bardziej jej współczuję i martwię się, że niestety nie mogę już niczemu zapobiec.

Theo, gdy zobaczę czasem na wrzosowiskach taką biedną kobietę z dzieckiem na ręku lub przy piersi, Izy stają mi w oczach. Wydaje mi się wtedy, że to Sien, bo słabość i niechlujstwo tych kobiet podkreślają jeszcze podobieństwo.

Wiem, że ona nie jest dobra, że miałem całkowite prawo postąpić tak, jak postąpiłem, że pozostać z nią nie mogłem, a zabrać jej tutaj też właściwie nie mogłem, że to, co zrobiłem, było nawet mądre i rozsądne — tak, to wszystko prawda, a mimo to rozpacz mnie ogarnia i serce zamiera, gdy widzę taką nieszczęśliwą Istotę w gorączce. Ileż to jest smutku w życiu. No cóż, nie można się poddawać melancholii, trzeba szukać jakiegoś wyjścia, praca jest moim prawem. A jednak są chwile, w których ukojenie przynosi mi tylko myśl, że i mnie nieszczęście nie ominie.

Bez daty

Czasami płakać się chce, gdy się widzi, jak wszystko psuje się teraz w każdej dziedzinie. To, w co nasi przodkowie włożyli tyle pracy i starań, teraz bez skrupułów zaniedbuje się i porzuca. Czasy, w których żyjemy, mają może więcej życia, przynajmniej z pozoru, ale szlachetne cechy zanikają zbyt prędko, by można się było. spodziewać w przyszłości równie wielkich osiągnięć, jak te, które znamy z przeszłości. No cóż, każdy będzie miał na to swój własny pogląd.

Mogę ci powiedzieć, te zdrowy tryb życia tutaj i świeże powietrze bardzo dobrze mi robią.

Och, gdyby i moja biedna kobieta mogła z tego korzystać! Myślę o niej z głębokim smutkiem, choć zdrowy rozsądek najwyraźniej mi mówi, w tych okolicznościach inne rozwiązanie byłoby niemożliwe,

Jestem trochę niespokojny, bo nie miałem jeszcze od niej żadnych wiadomości. Wnioskuję z tego, że nie chciała, czy też nie mogła posłuchać moich rad. Ja sam nie bardzo mogę do niej pisać, bo jeżeli mieszka przy Bagijnestraat, to po pierwsze, mój list prawdopodobnie zostanie otwarty przez jej brata lub matkę, a po drugie, jak długo tam mieszka, ani z nimi, ani nawet z nią samą nie chcę mieć nic do czynienia. No cóż, może jeszcze napisze, chwilowo jednak nachodzą mnie czarne myśli. Miałem nadzieję, że poda mi jakiś inny adres i zawiadomi, że otworzyła z matką małą pralnię, w której obie mogą prać i prasować bieliznę.

Och, Theo, gdyby ona nie miała tej swojej rodziny, na pewno by się lepiej prowadziła. Kobiety jej pokroju są rzeczywiście bardzo zepsute, ale po pierwsze, są one nieskończenie, powtarzam — nieskończenie bardziej godne współczucia niż zepsutte, a po drugie, mają jakieś namiętności, mają w sobie jakieś ciepło, tak bardzo ludzkie, że przyzwoici ludzie mogliby brać z nich przykład. Dobrze rozumiem to, co Jezus mówił da rzekomo kulturalnych i przyzwoitych ludzi swej epoki: ,,Nierządnice mają przed wami pierwszeństwo".

Takie kobiety jak ona bywają nieraz z gruntu zepsute, (nie mówię nawet o Nanach, pełnokrwistych i namiętnych, tylko o kobietach bardziej nerwowych, o temperamencie bardziej refleksyjnym); są one doskonałym potwierdzeniem słów Proudhona: „Kobieta jest utrapieniem człowieka sprawiedliwego".

Kobiety takie mało obchodzi to, co nazywamy rozumem, postępują one wbrew rozumowi i niezgodnie z rozumem. Z drugiej strony mają one w sobie coś ludzkiego, coś, co sprawia, że nie możemy się bez nich obejść. Wyczuwamy, że jest w nich coś dobrego, nieskończenie dobrego, coś nieokreślonego, co każe nam je kochać mimo wszystko. Gavarni zupełnie na serio powiedział: „Po każdej, którą rzuciłem, czułem, że coś we mnie umiera". Ale

najpiękniejsze i najlepsze słowa o kobiecie są te, które znasz: „O kobieto, którą mógłbym pokochać". Z tymi słowami chciałoby się iść w nieskończoność, zapominając o wszystkim. Wiem, że istnieją kobiety głupie (mogą one wyrządzić dużo więcej szkody niż mężczyźni), które kierują się tylko ambicją. Ich typowym przykładem jest Łady Macbeth. Są to kobiety fatalne i lepiej ich unikać pomimo ich uroku, bo inaczej człowiek staje się łajdakiem; wkrótce dostrzega ogrom zła, które wyrządził i którego potem nic już nie zdoła naprawić. Kobieta, z którą żyłem, nie miała tego rodzaju wad, była jednak próżna, jak to zresztą nam wszystkim często się zdarza. Biedne, biedne stworzenie! Było to jedyne uczucie, jakie dla niej od początku żywiłem i jakie żywię i teraz. Była zła? Zgoda, ale kto w naszych czasach jest dobry? Kto' się czuje na tyle czysty, by sądzić drugich? Daleko nam do tego. Może Delacroix potrafiłby ją zrozumieć, ale nieraz przychodzi mi na myśl, że Bóg miłosierny zrozumie ją najlepiej.

Jak ci pisałem, mały bardzo mnie kocha. Już siedząc w wagonie, trzymałem go jeszcze na kolanach. I tak rozstaliśmy się z niewypowiedzianym żalem. Prócz żalu nic nam już więcej nie pozostało..

Mogę cię zapewnić, bracie, że obca jest ml dobroć pastorów. I ja sądzę, że kurwy są zdemoralizowane, jeśli mam się wyrazić bez ogródek, ale wyczuwam w nich coś ludzkiego i dlatego nie mam najmniejszych skrupułów, gdy z nimi obcuję. Nie widzę w nich nic szczególnie złego i ani trochę nie żałuję, że zawierałem czy zawieram z nimi znajomości.

Gdyby nasze społeczeństwo było czyste i lepiej zorganizowane, a, to co innego, wtedy można by je uważać za uwodzicielki, ale teraz, moim zdaniem, należy je raczej uważać za siostry miłosierdzia.

Teraz, tak samo jak i w innych okresach ogólnego upadku kultury, na skutek istniejącego układu społecznego

odwróciły się zupełnie pojęcia dobra i zła i znowu staje się aktualne stare powiedzenie: „Pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi".

Tak jak i ty, byłem swego czasu na cmentarzu Pére-Lachaise. Widziałem tam grobowce z marmuru, dla których żywię niewypowiedziany szacunek, ale takim samym szacunkiem darzę skromną płytę na grobie kochanki Bérangera. Grób jej specjalnie odszukałem (jeżeli dobrze pamiętam, znajduje się on w rogu za jego grobowcem) i myślałem także długo o kochance Corota. Kobiety te by!y cichymi muzami i podnietą swoich łagodnych kochanków; w ich bardzo osobistej, przejmującej poezji na każdym kroku wyczuwa się wpływ kobiety. Może mówię o tym zbyt serio, ale to nie znaczy, że uczucia i pogląd na świat mojego ojca uważam pod każdym względem za fałszywe. Jestem od tego daleki. W wielu wypadkach dobrze robisz słuchając rad ojca, ale jak ci już kiedyś mówiłem, ojciec i jemu podobni nie wiedzą, że oprócz ich uczciwego życia — bo życie ojca jest uczciwe — istnieje takie inne uczciwe życie, owiane może łagodniejszym duchem, powiedzmy duchem Corota czy Bérangera. W każdym razie i ty, i ja wyczuwamy te sprawy o wiele subtelniej. Ojciec i jemu podobni o tym nie wiedzą i dlatego bardzo często mylą się fatalnie w ocenie pewnych ludzi. Mylą się, tak jak C.M., który nadal jest przekonany, że de Groux był złym człowiekiem. Ale choćby był nie wiem jak tego pewny, to i tak się myli.

Bez daty

Chcę być z tobą szczery, nie będę więc ukrywał, że ogarnia mnie uczucie wielkiej troski, przygnębienie, sam już nie wiem co, jakieś zniechęcenie i rozpacz — trudno te wszystkie uczucia wyliczyć. Jeżeli nie znajdę pociechy, sytuacja stanie się nie do zniesienia i załamię się zupełnie.

Robię sobie wyrzuty, że mam tak mało powodzenia u ludzi. Jestem tym bardzo przygnębiony. Przecież od tego zależy, czy będę mógł stanąć na własnych nogach i czy będę mógł kontynuować moją pracę.

Leży mi na sercu los mojej kobiety, a przede wszystkim los tego kochanego, biednego malca i drugiego dziecka. Chciałbym móc im pomagać, a nie mogę.

W tym stanie potrzebny mi jest kredyt, zaufanie, ciepło, a tu nikt nie ma do mnie zaufania.

Jedynym wyjątkiem jesteś ty, ale właśnie dlatego, że wszystko spada na twoje barki, coraz bardziej zdają sobie sprawę z mojej ponurej sytuacji.

Czasem, co tu dużo gadać, myśli moje przybierają dziwne formy. Przecież pracowałem i oszczędzałem, a jednak nie udało mi się uniknąć długów, byłem wierny mojej kobiecie, a jednak skończyło się na niewierności, nienawidziłem intryg, a jednak nie zdobyłem ani kredytu, ani niczego na własność. Nie lekceważę sobie twojej solidarności, wprost przeciwnie, ale nieraz sobie myślę, czy nie powinienem był ci już dawno powiedzieć: puść mnie kantem, i tak do niczego nie dojdziemy. To już za dużo na mnie jednego. Z drugiej strony nie ma najmniejszych szans na poprawę sytuacji, więc czy to wszystko nie dowodzi, że powinniśmy zrezygnować!

Strasznie mi smutno, mój stary!

Ojciec pisał do mnie, proponując mi swoją pomoc. Nic mu nie wspominałem o moich kłopotach i mam nadzieję, że ty mu także nic nie powiesz. Ojciec ma dosyć własnych trosk, a miałby jeszcze więcej, gdyby się dowiedział, że nie wszystko idzie tutaj jak po maśle. Napisałem mu tylko, że wszystko mi się tu bardzo podoba, co zresztą jest zupełnie zgodne z prawdą, jeżeli chodzi o przyrodę. Jak długo było ładnie, na widok tylu pięknych rzeczy o niejednym zapomniałem, ale od kilku dni leje jak z cebra i coraz

bardziej zdaję sobie sprawę, jak beznadziejnie utknąłem w sytuacji bez wyjścia. Co robić? Czy kiedyś będzie lepiej, czy jeszcze gorzej? Nie wiem, w każdym razie czuję się tutaj bezgranicznie nieszczęśliwy i nie mogę się z tego jakoś otrząsnąć.

In every life some rain must fall. And days be dark and dreary .

Tak już widać jest i inaczej być nie może, ale pytam: czy tych ciemnych i ponurych dni nie jest czasem za wiele?

Bez daty

Gdybym był z góry wiedział, że i tak trzeba się będzie rozstać z moją kobietą, to zrobiłbym to najprawdopodobniej już pół roku temu, ale lepiej się stało, że byłem jej wierny trochę dłużej, choć jeszcze teraz mam z tego powodu nieprzyjemności.

Bez daty

Muszę spojrzeć wstecz, na moją własną przeszłość, żeby się przekonać, jakie popełniłem błędy i dlaczego całymi latami było mi źle, coraz gorzej, dlaczego czułem się wyjałowiony i martwy jak kamień, choć starałem się to uczucie przezwyciężyć.

Byłem nie tyle wrażliwy, co skamieniały i to nie tylko wobec przyrody, ale, co dużo gorzej, wobec innych ludzi.

Mówiono, że jestem pomylony, ale ja czułem, że tak nie jest, bo gdzieś głęboko na dnie serca zbyt dotkliwie czułem drążący mnie ból i zbyt uparcie szukałem sposobów, by stanąć wreszcie na własnych nogach. Robiłem najrozmaitsze rozpaczliwe wysiłki, które nie prowadziły do niczego. Niech i tak będzie. Miałem wprawdzie tę idee 1ixe,

żeby wrócić do normalnego życia, ale nie chciałbym, żeby moje rozpaczliwe wysiłki, wyrzeczenia, ciężką harówkę i udręczenia utożsamiano ze mną samym. Ciągle mi się wydawało, że należy coś zrobić, gdzieś być, że wszystko musi się poprawić, że znowu się podźwignę, bylebym tylko miał cierpliwość i potrafił utrzymać to, co iuż osiągnąłem. Od dawna o tym myślę, rozpamiętuję te lata ciężkiej harówki i dochodzę sio wniosku, że w mojej sytuacji nie mogłem być inny, niż byłem.

Mogę ci donieść, że pośrednio dowiedziałem się już co nieco o mojej kobiecie. Mimo wszystko zachodzę w głowę, dlaczego do mnie ani razu nie napisała.

Jak wiesz, pisałem do naszego sąsiada, stolarza, pytając, czy była u niego dowiadywać się p mój adres. Wyobraź sobie, co ten łotr mi odpisał: „Tak, mój panie, ale myślałem, że nie życzycie sobie, żeby znała wasz adres, więc udawałem, że nic nie wiem". Przeklęty kretyn!

Natychmiast do niej napisałem, choć nie było to zgodne z umową, którą zawarłem najwyraźniej w świecie i z nią, i z nim. Nie mam zamiaru się ukrywać i nie chciałbym, żeby kiedykolwiek pomyślano, że się ukrywałem. Wolę napisać do niej na adres jej rodziny, niż wzbudzić choćby cień podejrzenia, że się ukrywam. O to mi głównie chodzi. Posiałem jej takie trochę pieniędzy. Jeżeli pociągnie to za sobą jakieś przykre następstwa, umywam ręce, ale nie chcę wobec niej postępować nielojalnie.

Bez daty

Theo, od czasu mojego ostatniego listu miałem już kilka razy wiadomości od mojej biednej kobiety. Zdaje się, że pracuje, pierze ludziom bieliznę, chodzi dorywczo do domów na posługi, słowem, robi, co może, żeby się dobrze prowadzić. Pisze nieczytelnie i tak chaotycznie, że trudno ją

zrozumieć, ale wydaje się, że niektórych rzeczy żałuje. Dzieci są zdrowe i mają się dobrze.

Moje współczucie i przywiązanie do niej z pewnością nie zamarło. Mam nadzieję, że te więzy utrzymają się miedzy nami, chociaż nie wydaje mi się, by wspólne pożycie było pożądane czy nawet możliwe. Współczucie nie jest może miłością, ale to nie zmienia faktu, że mote być ono uczuciem bardzo głębokim,

NUENEN grudzień 1883— listopad 1885

Z nastaniem zimy Vincent wraca do rodziców, którzy w tym czasie mieszkają już w Nuenen. Nuenen również znajduje się w Brabancji, ale jest wioską bogatszą od Groot-Zundert czy Etten. Ludność jest tam w przeważającej części katolicka (nie ma nawet dziesięciu procent protestantów). Krajobraz: łąki i trochę bagnisku.

Vincentowi odpowiada z początku to poczucie spokoju w domu, wprawdzie bardzo skromnym, ale dobrze prowadzonym. Ma szacunek dla swego zacnego ojca, ale bliżej jest z matką, kobietą żywego usposobienia, czasem trochę upartą.

Maluje nadal w barwach ciemnych. Namalował plebanię, ładny dom holenderski w dobrze utrzymanym ogrodzie, ale wyglądało to na „dom duchów", jak się wyraziła jego siostra. Nie należy się dziwić, że cała jego rodzina, z wyjątkiem Thea, nie może zupełnie zrozumieć jego malarstwa. Ale to go nie powstrzymuje od malowania, maluje chłopów, tkaczy, ubogich. W swych listach do Thea zajmuje się także techniką, wzajemnym stosunkiem barw itp. Chciałby coś wiedzieć o impresjonistach, o których mówi się coraz więcej.

Pastor Theodoras jest zaniepokojony, bo jak się okazuje, syn jego stracił wiarę. I oto nowy dramat: trzecia przygoda z kobietą. Dziewczyna z mieszczańskiego środowiska ani ładna, ani młoda, ale dość bogata, zakochuje się w Vincencie i okazuje mu to. Ktoś się w nim zakochał! Jest oczywiście bardzo szczęśliwy, marzy o miłości, o uregulowanym życiu, o domu, w którym mógłby malować, mając dobre warunki do pracy. Ale rodzice dziewczyny sprzeciwiają się jej małżeństwu z kimś z cyganerii, z niedołęgą. Faktom nie można zaprzeczyć: Vincent ma trzydzieści jeden lat, nie zarabia ani grosza i ciągle sprawia kłopoty swojej rodzinie. Dziewczyna usiłuje popełnić

samobójstwo i ciężko zapada na zdrowiu. Wybucha skandal. Vincent buntuje się, ujawnia swoje uczucia antyreligijne, co powoduje kłótnie z ojcem. Wynajmuje — to już szczyt wszystkiego — dwa pokoje u katolickiego zakrystianina w Nuenen, mieszka tam w największym nieładzie i znowu zaczyna życie ascety, żywiąc się tylko suchym chlebem i serem. Nadal jednak pali namiętnie. Pastor van Gogh umiera nagle w marcu 1885 roku. Vincent, do głębi przejęty, błaga Thea, który przyjechał na pogrzeb, żeby go zabrał z sobą do Paryża, Theo prosi o trochę cierpliwości. Jego warunki materialne w firmie Boussod et Valadon niedługo się poprawią, a wtedy Vincent będzie mógł przyjechać.

Vincent pracuje z zapałem. Właśnie skończył Jedzących ziemniaki i wysyła to płótno do Thea, z prośbą, by je pokazał Durand-Ruelowi. Z tego tematu zrobi jeszcze jeden obraz, prawie identyczny, ale w innym oświetleniu. Vincent spędza całe lato w Nuenen, ale jego sytuacja stale się pogarsza. Pokłócił się z proboszczem, który zabrania swoim owieczkom pozować mu do obrazów. Jest także w złych stosunkach z następcą swego ojca. Ale to jeszcze nie wszystko. Następuje wymiana bardzo nieprzyjemnych listów z van Rappardem, gdyż ten wychowanek akademii odważył się skrytykować kilka postaci z Jedzących ziemniaki. Spór udało się załagodzić, ale stosunki zostały zerwane. Była to typowa przyjaźń artystów i trwała pięć lat. Rappard miał więcej podziwu dla malarza niż sympatii dla człowieka, gwałtownego, dzikiego, wybuchowego, doprowadzającego ludzi do rozpaczy. Dwuletni okres pobytu w Nuenen jest bardzo ważny dla oceny dzieła van Gogha: jest to szczyt jego twórczości w okresie holenderskim. Z tego czasu pochodzi jego pierwsza wielka kompozycja, wiele głów chłopów i chłopek, tkacze przy warsztatach pracy, martwe natury, począwszy od otwartej Biblii ze świecznikiem do koszów z ziemniakami, dzbanów kamionkowych i sabotów,

oraz pejzaże: chałupka, malownicza stara wieża w ruinie, aleja topolowa...

Bez daty

Będziesz może trochę zdziwiony, bo nie uprzedzałem cię, że mam zamiar pojechać do domu, a teraz stąd do ciebie piszę. Najpierw jednak chciałem ci podziękować za twój list z 1 grudnia, który otrzymałem dopiero tu, w Nuenen.

Od trzech tygodni czuję się właściwie trochę niezdrów, męczyły mnie rozmaite dolegliwości, skutek zaziębienia i nerwowego wyczerpania.

Chciałem jakoś to przerwać, ale czułem; że będzie coraz gorzej, jeśli nie poszukam jakiegoś odprężenia.

Wiele powodów złożyło się na to, że wreszcie wróciłem do domu. W zasadzie byłem temu bardzo przeciwny.

Myślałem o tobie, bracie, w czasie mej długiej wędrówki po wrzosowiskach, wieczorem, podczas burzy. Przypomniał mi się urywek z jakiejś książki, nie wiem już jakiej: „Czuwało dwoje oczu błyszczących od prawdziwych łez..." Myślałem: pozbyłem się iluzji; myślałem; wierzyłem w wiele rzeczy, o których teraz wiem, jak mało w istocie są ważne. Myślałem: jaki ponury wieczór, nie śpię, Jestem samotny i nieraz z moich oczu płyną łzy. Dlaczego tych łez nie wycisnął jakiś Wielki ból, ból, który rozczarorowuje, tak, odziera z iluzji, ale jednocześnie budzi.

Myślałem: Czy to możliwy żeby Theo obojętnie przyjmował wiele rzeczy, które mnie napełniają troską?

Czy to możliwe, żebym tak się pogrążył w melancholii, że nie cieszy mnie już to, co mnie dawniej cieszyło?

Myślałem w końcu: czyżbym prawdziwe złoto wziął za tombak? Czyżbym coś, co rozkwita, uważał za uwiędłe? Nie umiem na to odpowiedzieć, ale czy ty potrafisz? Czy jesteś tak całkiem pewny, że wszystkiemu i wszystkim nie grozi

upadek, że nie jest to daleko posunięta, nieubłagana dekadencja?

Dodaj mi otuchy, jeśli sam ją masz, ale w każdym razie proszę cię, nie schlebiaj mi.

Mogę cię zapewnić, jestem o tym całkowicie przekonany, że nawet gdybym stał się dobrym malarzem (bo na razie daleko mi do tego), to zawsze będę żył w biedzie, ale będę bardzo szczęśliwy, jeśli nie, będę miał długów. Czasy, kiedy ceny coraz bardziej idą w górę, wystawiają nam czeki na przyszłość, która dla naszych potomnych wygląda bardzo ponuro. To jest jeden z cieni, przesłaniających nam czasy, do których się wszyscy zbliżamy.

Np. ty, choć jesteś równie zdolny jak wuj Cent, nie dokonasz tego, co on. Dlaczego? Bo zbyt wielu jest Arnoldów i Trippów na tym świecie. Jeżeli idzie o pieniądze, są oni nienasyceni jak wilki, w porównaniu z nimi jesteś niewinną owieczką. Proszę cię, bracie, nie obrażaj się, że pozwalam sobie na takie porównanie; chyba lepiej być owcą niż wilkiem, lepiej być zabitym niż zabijać, lepiej być Ablem niż Kainem. Co do mnie, mam nadzieję, a nawet pewność, że nie jestem wilkiem. Wyobraźmy sobie, że obaj jesteśmy owcami, nie tylko w przenośni, ale w rzeczywistości, w społeczeństwie. Jeśli wilki są wygłodniałe i fałszywe, czy nie możliwe jest, że kiedyś nas pożrą?

Cóż, perspektywa niebyt przyjemna, ale myślę, że mi mo wszystko lepiej samemu utonąć niż drugiego utopić. Chcę powiedzieć, że nie należy trącić pogody ducha, gdy się człowiek spostrzeże, że jest skazany na nędzne życie, choć ma wiedzę, zdolności i kwalifikacje, dzięki którym inni się bogacą. Pieniądz nie jest dla mnie rzeczą obojętną, ale wilków nigdy nie potrafię zrozumieć.

Bez daty

Theo, po napisaniu do ciebie wczoraj wieczorem tego listu prawie całą noc nie spałem.

Jestem głęboko przejęty tym, że gdy po dwuletniej nieobecności powróciłem do domu, to choć przyjęto mnie bardzo przyjaźnie i serdecznie, w gruncie rzeczy nic a nic się nie zmieniło. To, co nazywam zaślepieniem i brakiem zrozumienia mojej sytuacji i co doprowadzało mnie do rozpaczy, pozostało niezmienione.

Znowu miotam się, znowu jestem w rozterce i ledwie już mogę wytrzymać.

Rozumiesz chyba, że nie powinienem był pisać tak, jak napisałem. Sam, z własnej inicjatywy zdecydowałem się na tę podróż, pierwszy opanowałem dumę i ugiąłem karku, tak jakby nigdy nie było żadnych niesnasek.

Gdybym wyczuł, że przyjmują mnie ze skwapliwością, tak jak z dobrymi wynikami zrobili to Rappardowie albo jak na początku, też z dobrym wynikiem, tutaj się do mnie odnoszono, albo gdyby ojciec zrozumiał, że nie należało mi domu zamykać przed nosem, byłbym spokojny o moją przyszłość.

Ale nic, nic z tego.

Ich serdeczne przyjęcie doprowadza mnie do rozpaczy, ich przystosowanie się do okoliczności, bez przyznania się do popełnionego błędu, jest dla mnie dużo gorsze niż sam błąd.

Zamiast zrozumienia dla mojej krzywdy, zamiast zapału, jaki powinni byli okazać, zamiast poprawy moich warunków, co pośrednio poprawiłoby także ich warunki, na każdym kroku odczuwam ociąganie się i wahanie, które moją radość życia i energię przytłaczają jak ołowiane wieko.

Myślisz może, że zbyt ponuro to przedstawiam?

Nasze życie jest straszliwą rzeczywistością, a my sami idziemy do nieskończoności. Jest, jak jest i czy będziemy

patrzeć mniej lub bardziej ponuro, istoty rzeczy w niczym to nie zmieni. Tak myślę na przykład w nocy, gdy nie mogę spać, tak myślę w czasie burzy, na wrzosowisku, albo wieczorem, o smutnym zmierzchu.

Za dnia, w życiu codziennym robię czasem wrażenie obojętnego, wyglądam jak dzik, i dlatego zupełnie się nie dziwię, że ludzie mnie uważają za ordynusa.

Gdy byłem młodszy, bardziej niż teraz byłem przekonany, że należy to złożyć na karb przypadku, że chodzi o jakieś drobiazgi, zwykłe nieporozumienia. Ale teraz, w miarę jak się starzeję, przestaję się łudzić i coraz bardziej dopatruję się w tym głębszych powodów. Tak, bracie, życie jest jednak „dziwną rzeczą".

Jak widzisz, moje listy stają się chaotyczne, raz wydaje mi się, że coś mogę, a za drugim razem, że nic n i e mogę. Jedna rzecz, jak już powiedziałem, jest pewna: nie widać u rodziców żalu z powodu tego, co się stało, nie ma z ich strony żadnej skwapliwości.

Postanowiłem wybrać się kiedyś do Rapparda.

Niewiele mi zależało na tym, czy przyjmą mnie serdecznie, czy nie; głównie boli mnie, że nie żałują tego, co zrobili.

Bez daty

Czuję, że ojciec i matka kierują się wobec mnie instynktem (to nie znaczy rozsądkiem).

Wahają się mnie przyjąć do domu, jakby chodziło o dużego, kudłatego psa. Będzie wchodził z mokrymi łapami do pokoju — poza tym jest taki kudłaty. Wszystkim będzie przeszkadzał. I głośno szczeka.

Krótko mówiąc — brudne zwierzę.

No dobrze, ale to zwierzę ma przecież ludzką historię i choć jest tylko psem, ludzką duszę. Duszę dosyć wrażliwą,

by odczuć, co się o nim myśli, podczas gdy zwykły pies tego nie potrafi.

Przyznaję, że jestem czymś w rodzaju psa, niech będzie.

Pies widzi, że jeżeli go tu zatrzymują, to tylko po to, żeby go w tym domu znosić, tolerować, więc idzie dalej i szuka sobie innej budy. Och, ten pies jest synem swojego ojca, ale tak długo zostawiano go na ulicy, że zdziczał, cóż w tym dziwnego. Skoro jednak ojciec od lat o tym nie pamięta, to może lepiej już o tym nie mówić.

Tak, to wszystko jest na pewno prawdą.

Ale trzeba pamiętać, że psy są doskonałymi stróżami.

Taki pies jest jednak niepotrzebny, nic nie zakłóci naszego spokoju i nie ma mowy o żadnym niebezpieczeństwie. Więc i ja milczę.

Tylko psu żal, że nie pozostał tam, gdzie był. Na wrzosowiskach nie czuł się tak samotny jak tutaj, w tym domu, pomimo całej okazywanej mu przyjaźni. Odwiedziny zwierzęcia były objawem słabości, którą miejmy nadzieję, niedługo mu zapomną. Ale teraz już będzie się ono strzegło, by drugi raz nie popełnić takiego samego błędu.

Bez daty

Po skończeniu tego listu rozważałem ponownie twoje zastrzeżenia i jeszcze raz rozmawiałem z ojcem. Moja decyzja, żeby w żadnym wypadku nie zostawać tutaj dłużej, była jak najbardziej stanowcza, niezależnie od tego, jak zostanie przyjęta i jakie pociągnie za sobą konsekwencje. Jednakże rozmowa z ojcem przybrała zupełnie inny obrót, gdy powiedziałem; „Mieszkam tu już dwa tygodnie, ale sytuacja jest wciąż taka, jakbym był dopiero pół godziny. Gdybyśmy się lepiej zrozumieli, niejedną sprawę można by już było uregulować i rozstrzygnąć. Nie mam czasu do stracenia, muszę powziąć jakąś decyzję. Wóz albo przewóz. Pośredniej drogi sobie nie wyobrażam i taka droga nie istnieje".

Skończyło się na tym, że przydzielono mi małe pomieszczenie w domu, tam gdzie stał magiel. Jest ono do mojej dyspozycji, mogę tam przechowywać moje rzeczy lub urządzić pracownię, gdyby to się okazało konieczne.

Zaczęto już nawet opróżniać to pomieszczenie, o czym nie było mowy, gdy sprawa była w zawieszeniu.

Muszę ci powiedzieć, że patrzę teraz na te sprawy trochę inaczej, niż wtedy, gdy ci pisałem o ojcu. Jestem dużo łagodniejszy w mojej ocenie. Starość i związane z nią słabości szanuję tak samo jak ty, chociaż może ci się wydawać, że jest inaczej, i choć możesz mi nie wierzyć.

Myślałem o słowach Micheleta (które zapożyczył ponoć od jakiegoś znawcy): „Samiec jest bardzo dziki". Ponieważ sam zdaję sobie sprawę, że w moim wieku nachodzą człowieka silne namiętności i mnie to także zapewne nie omija — kto wie, może i ja jestem „bardzo dziki". A jednak moja namiętność wygasa, gdy mam przed sobą słabszego, rezygnuję wtedy z walki.

Haga, bez daty

Widziałem znowu moją kobietę, bardzo mi za nią było tęskno. Zdaję sobie sprawę, że teraz byłoby bardzo trudno zaczynać wszystko od nowa. Z drugiej strony jednak nie chcę stwarzać pozorów, że jej nie znam.

Chciałbym, żeby w domu mogli wreszcie zrozumieć, że granice miłosierdzia nie leżą tam, gdzie je świat wyznaczył. Zresztą w tych sprawach na pewno mnie rozumiesz. Jak na sytuację, w jakiej się znalazła od czasu mojego wyjazdu, sprawuje się dzielnie. Jest to jeszcze jeden powód, żebym zapomniał o przykrościach, jakie mi wyrządzała. Właśnie dlatego, że już nic prawie dla niej zrobić nie mogę, muszę przynajmniej dodawać jej otuchy i podtrzymywać na duchu.

Widzę w niej kobietę, widzę w niej matkę i chyba każdy mężczyzna, godny tego miana, powinien ochraniać takie

istoty, jak tylko nadarzy się odpowiednia sposobność. Nigdy się tego nie wstydziłem i nie będę się wstydził.

Bez daty

W związku z tym, co pisałeś, przepowiadając mi całkowitą izolację, muszę przyznać, że i to może nastąpić. Nie spodziewam się innego losu i byłbym już zadowolony, gdyby to życie było przynajmniej znośne.

A jednak muszę ci powiedzieć, że chyba sobie na taki los nie zasłużyłem. Bo przecież w końcu nie zrobiłem i nie robię nic takiego, co by. mi mogło teraz lub w przyszłości odebrać prawo do uważania się za człowieka takiego samego jak inni.

W dużej mierze inni także ponoszą za to winę. Staram się nieraz patrzeć na siebie, jak gdybym był kimś innym, a więc jak najbardziej obiektywnie, usiłując poznać zarówno swoje własne błędy, jak zalety. Znam wielu ludzi, którzy musieli żyć w izolacji tylko dlatego, że nie postępowali zgodnie z „widzimisię" takiej czy innej kliki.

Izolacja jest rzeczą bardzo przykrą, jest to coś w rodzaju więzienia. Dzisiaj trudno jeszcze powiedzieć, jak daleko zaszedłem na tej drodze. Zresztą ty także nie możesz tego wiedzieć.

Nieraz lepiej się czuję wśród ludzi, którzy nawet nie znają tego słowa, np. wśród chłopów i tkaczy, niż w środowisku bardziej kulturalnym. I jest mi z tym dobrze.

Chciałbym, żebyś to pojął, żebyś zrozumiał, że jeśli czasem wolałbym, żebyś inaczej patrzył na pewne sprawy, to nie dlatego, że chciałbym sobie zdobyć wyznawcę dla moich poglądów, ale dlatego, że byłoby ci wtedy lepiej. Nie sądzę, by moje poglądy były lepsze od poglądów innych ludzi. Coraz bardziej jednak dochodzę do przekonania, że istnieje jakiś probierz, przy którym wszystkie poglądy, a więc i moje, w ogóle nie mają żadnego znaczenia.

Istnieją prawdy i istnieją fakty, na które nasze poglądy nie mają żadnego wpływu i których nie należy mieszać ani z moimi poglądami, ani z poglądami drugich, ponieważ byłby to błędny punkt widzenia.

Tak jak chorągiewki na dachu nie mają żadnego wpływu na kierunek wiatru, tak samo nasze poglądy nie mają żadnego wpływu na prawdy zasadnicze. Chorągiewki nie kierują wiatru na wschód czy na północ i tak samo nasze opinie nie zmienią prawdy, która jest prawdą.

Są rzeczy tak stare, jak sama ludzkość, i nie stracą one od razu swego znaczenia.

Znam pewną starą legendę, nie wiem już z jakiego kraju, która mi się bardzo podoba. Oczywiście nie można jej

brać dosłownie; jest tylko symbolem wielu rzeczy. Według tej legendy ludzkość wywodzi się od dwóch braci.

Każdy z nich mógł wybrać, co chciał, ze wszystkiego, co jest na świecie. Jeden wybrał złoto, drugi książkę.

Temu, który wybrał złoto, powodziło się dobrze, natomiast drugiemu wszystko szło jak z kamienia.

Legenda nie mówi dokładnie dlaczego, w każdym razie człowieka z książką wygnano do zimnego i nieszczęśliwego kraju, gdzie był zupełnie izolowany. Tam w samotności zaczął czytać książkę i wiele się z niej nauczył. Stopniowo doszedł do tego, że życie stało się dla niego całkiem znośne. Aby się pozbyć swoich kłopotów, dokonał wielu wynalazków, a nawet w końcu osiągnął władzę. Wszystko, co zdobył, zawdzięczał ciężkiej pracy i walce.

Później, gdy człowiek z książką jeszcze bardziej umocnił swoje stanowisko, tamten drugi podupadł, żył jednak dosyć długo, by się przekonać, że słoto nie stanowi osi, dookoła której wszystko się obraca.

Jest to tylko legenda, ale dla mnie ma ona głęboki, prawdziwy sens.

„Książka" to nie tylko wszystkie książki w literaturze, ale także sumienie, rozum, a nawet sztuka.

„Złoto" to nie tylko pieniądze, ale także symbol wielu innych rzeczy.

Nie myśl, że chcę tu narzucać swoją interpretację: każdy powinien mieć swoją własną.

11 stycznia 1884

W kilku słowach chciałem ci cos zakomunikować.

Matka przy wysiadaniu z pociągu w Helmondzie miała wypadek.

Z tego, co się ojciec od lekarza dowiedział, jest to pęknięcie kości biodrowej tuż przy miednicy.

Bez daty

Chciałem jeszcze dodać, że ubiegła noc minęła spokojnie i matka spała nie najgorzej. Kazała cię przy okazji pozdrowić.

Trzeba jednak będzie wielu wysiłków, bracie, zanim wszystko wróci do normy.

Theo, pomyśl dobrze, czy nie przychodzi ci coś do głowy, jak bym mógł zarobić trochę pieniędzy. Trzeba rozpatrzyć wszystkie możliwości i coś w końcu zrobić z moimi pracami. Żebym mógł zarobić choć tyle, by pokryć wydatki związane z moją pracą. Wtedy to, co mi przysyłasz, można by przeznaczyć dla matki.

Bez daty

W tej sytuacji bardzo jestem rad, że właśnie teraz jestem w domu. Wypadek, jaki się przydarzył, odsunął oczywiście na dalszy plan pewne sprawy (co do których istnieją różnice poglądów między mną a rodzicami) i stosunki między nami jakoś się ułożyły. Być może, że w związku z tym pozostanę teraz w Nuenen dłużej, niż początkowo przypuszczałem. Za jakiś czas, gdy matkę

trzeba będzie wynosić na dwór itp., będę się mógł w domu przydać.

Bez daty

W ostatnim czasie miałem przyjemniejsze kontakty z ludźmi niż na początku pobytu tutaj. Ma to dla mnie duże znaczenie, bo jednak potrzebna mi jest od czasu do czasu jakaś rozrywka, a gdy czuję się bardzo samotny, praca moja na tym cierpi. Trzeba się jednak pewnie przygotować na to, że nie zawsze będzie tak dobrze.

Na razie jestem pełen otuchy, bo wygląda na to, że ludzie w Nuenen są na ogół lepsi niż w Etten lub Helvoirt. Jestem już tutaj jakiś czas i atmosfera tu wydaje mi się jakaś pogodniejsza.

Ludzie starają się wypełniać wskazówki proboszcza, ale wszystko idzie im jakoś tak sprawnie, że nie mam najmniejszych skrupułów, gdy muszę się do nich także trochę dostosować.

Brabancja, o której śniliśmy już dawno, staje się coraz bardziej realna.

Muszę przyznać, że mój dawny projekt osiedlenia się w Brabancji, który spalił na panewce, zaczyna mnie znowu coraz bardziej pociągać.

Wiem jednak, że taki plan może od razu się rozpaść, toteż trzeba się dobrze zastanowić, czy to wszystko nie jest tylko iluzją.

Bez daty

Theo, zdarzyło się coś, o czym ludzie nie wiedzą, czego się nawet nie domyślają i nigdy nie powinni się dowiedzieć, więc proszę, żebyś milczał jak grób. To okropne! Chcąc ci dokładnie wszystko opowiedzieć, musiałbym napisać chyba całą książkę, a tego zrobić nie mogę.

Panna X zażyła truciznę w momencie rozpaczy, po rozmowie ze swoją rodziną. Zaczęto robić złośliwe uwagi na

jej i mój temat i to tak ją oburzyło, że w pewnej chwili zdecydowała się na. ten czyn. (Moim zdaniem to jakaś mania.) Theo, kiedyś radziłem się lekarza, bo niepokoiły mnie u niej pewne objawy. Zaledwie przed trzema dniami ostrzegałem jej brata. Rozmawialiśmy wtedy w cztery oczy i powiedziałem mu, że obawiam się u niej jakiegoś kryzysu nerwowego i że moim zdaniem rodzina X postępuje bardzo nieostrożnie, odnosząc się do niej w taki sposób. Na nic się to nie zdało. Ludzie ci kazali nam czekać dwa lata, czemu ja kategorycznie się sprzeciwiłem. Powiedziałem im, że jeżeli już jest mowa o małżeństwie, to chciałbym je zawrzeć od razu albo wcale.

Theo, czytałeś przecież Panią Bovary, więc przypominasz sobie chyba, że pierwsza pani Bovary umiera pod wpływem szoku nerwowego. Tutaj było podobnie, tylko sprawa jest o tyle bardziej skomplikowana, że panna X zażyła truciznę. Często, gdy zupełnie spokojni wychodziliśmy na spacer, mawiała do mnie: „Chciałabym teraz umrzeć" — ale nigdy nie zwracałem na to uwagi.

Któregoś ranka nagle upadła na ziemię. Myślałem, że to nic, że może trochę zasłabła. Ale potem było z nią coraz gorzej. Reszty się domyślasz.

Jak się potem okazało, połknęła strychninę, ale dawka była zbyt mała. Może w dodatku chciała się oszołomić chloroformem lub laudanum, ale te środki są właśnie odtrutką na strychninę. Krótko potem zażyła jeszcze odtrutkę przepisaną przez doktora. Przewieziono ją natychmiast do lekarza w Utrechcie, a wszystkim mówi się, że wyjechała. Uważam za bardzo prawdopodobne, że się zupełnie wyleczy, ale sądzę, że przez pewien czas będzie jeszcze cierpiała na różne nerwowe dolegliwości. Jaką one formę przybiorą, czy będą mniej, czy bardziej poważne, to jeszcze pytanie. Teraz jest ona w dobrych rękach. Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo przygnębił mnie ten wypadek. Ach, chłopie, przeżyłem chwile śmiertelnego lęku. Byłem w

polu, gdy się o tym dowiedziałem. Na szczęście w tej chwili trucizna już nie działa.

Bez daty

Piszę tylko kilka słów, aby ci donieść, że wybrałem się do niej w odwiedziny do Utrechtu.

Miałem rozmowę z lekarzem, w którego domu przebywa. Chciałem zasięgnąć jego rady, jak mam postępować ze względu na zdrowie i przyszłość pacjentki. Czy dalej się z nią widywać, czy też raczej się wycofać.

Nie chciałem się radzić nikogo poza lekarzem. Dowiedziałem się, że organizm jej doznał gwałtownego szoku, ale teraz jest już dużo leniej. Zdaniem lekarza, który zresztą zna ją od dziecka i leczył jeszcze jej matkę, była zawsze bardzo wątła i taka już pozostanie. Obecnie grożą jej dwa niebezpieczeństwa: jest za słaba, by wyjść za mąż, przynajmniej w najbliższym czasie, a z drugiej strony nie zniosłaby chyba rozstania.

Po pewnym czasie mam otrzymać od niego konkretne wskazówki, co będzie dla niej lepsze, rozstać się ze mną czy też nie.

W każdym razie pozostanę jej przyjacielem, bo chyba nawzajem jesteśmy do siebie zanadto przywiązani.

Spędziłem z nią prawie cały dzień.

Byłem piekielnie wzruszony, gdy usłyszałem od niej: „A jednak w końcu pokochałam". Były to słowa tryumfu, jakby odniosła jakieś zwycięstwo i osiągnęła wreszcie spokój (a przecież była już tak słaba i tak zmal tretowana przez te 5 czy 6 kobiet, że zażyła truciznę).

Już od dawna cała jej istota do tego tylko dążyła.

Ja sam tak cierpiałem w tych dniach, że aż się rozchorowałem. Nie mogłem nie myśleć, nie mogłem się uspokoić, ale w końcu...

Mając na uwadze jej przyszłość, jeśli idzie o pewne sprawy, zawsze odnosiłem się do niej z respektem. Nie chciałem jej hańbić w oczach świata, ale gdybym tego chciał, mógłbym ją był łatwo sobie podporządkować. Jej pozycja wobec świata zostaje utrzymana i jeżeli tylko dobrze te sprawy przemyśli, będzie mogła otrzymać satysfakcję i zemścić się, właśnie na tych kobietach, które ją maltretowały. Chętnie bym jej w tym pomógł, ale ona może się nie orientuje, a jak się zorientuje, to będzie za późno. No cóż...

Szkoda, że jej nie spotkałem wcześniej, np. 10 lat temu. Robi ona na mnie wrażenie kremońskich skrzypiec, które zepsuto kiedyś przez nieudolne reperacje.

Te skrzypce, w chwili kiedy ją poznałem, były już bardzo zepsute. Ale dawniej był to rzeczywiście rzadki egzemplarz o dużej wartości i jeszcze teraz mimo wszystko ma dużą wartość.

Widziałem portret K. — jedyne, co mi ją przypomniało — robiony w rok potem. Czy była brzydsza? Nie, bardziej interesująca.

Zakłócenie spokoju kobiecie, jak mawiają teologowie (często teologowie mimo woli), oznacza najczęściej przełamanie u niej stagnacji czy melancholii, która w wielu wypadkach jest dużo gorsza niż sama śmierć.

Niektórzy uważają, że takie brutalne narzucanie uczuć i budzenie do nowego życia jest rzeczą straszną i że trzeba się dobrze zastanowić, jak daleko można się tu posunąć. A jeżeli ktoś to robi z niskich pobudek, na przykład z egoizmu, kobiety zaczynają szaleć i zamiast kochać, mogą znienawidzić. Niech i tak będzie.

Ale na pewno nie będą gardziły mężczyzną, który to zrobił. Będą natomiast gardziły mężczyzną, który stłumił w sobie swoje męskie instynkty. No cóż — to są rzeczywiście bardzo poważne problemy w życiu. Ludzi, którzy o tym nie

myślą lub kpią sobie z tego, Mouret słusznie nazywa naiwnymi, a gdy się rozgniewa — nawet idiotami.

Bez daty

Powiadam ci, jeżeli chce się być aktywnym, nie trzeba się bać, że się czasem zrobi coś niewłaściwego, nie trzeba się bać, że się popełni jakiś błąd. Żeby stać się dobrym, nie wystarczy — jak sądzi wielu — nierobić nic złego; to jest kłamstwo, sam mówiłeś dawniej, że to jest kłamstwo. Prowadzi to w końcu do stagnacji i do przeciętności. Nasmaruj coś na płótnie, skoro widzisz, że jest białe i tak jakoś idiotycznie na ciebie patrzy.

Nie masz pojęcia, jak to działa paraliżująco, gdy człowiek wpatruje się w takie białe płótno, które mówi do malarza: nic nie potrafisz. Takie płótno potrafi patrzeć zupełnie idiotycznie i tak potrafi fascynować niektórych malarzy, że sami potem idiocieją.

Wielu malarzy boi się białego płótna, ale białe płótno boi się malarza z prawdziwym temperamentem, malarza, który potrafi przełamać owo fascynujące „nic nie potrafisz". Także życie jako takie z reguły pokazuje człowiekowi tylko tę swoją białą stronę, nieskończenie nic nie mówiącą, deprymującą swą beznadziejnością, bo n i c na niej nie ma, jak na białym płótnie malarskim. Ale choć życie wydaje się nic nie mówiące, czcze, umarłe to jednak człowiek obdarzony wiarą, energią i gorącym sercem, człowiek, który wie swoje, nie tak prędko da się wystrychnąć na dudka.

Bez daty

Spróbujmy sobie wyobrazić, że obaj żyjemy w roku 1848 lub w podobnym okresie, bo w czasie zamachu stanu Napoleona również działy się takie rzeczy. Nie chciałbym być złośliwy — co zresztą nigdy nie było moim celem — chciałbym ci tylko zwrócić uwagę, że różnice między nami odpowiadają ogólnym prądom nurtującym nasze społeczeństwo. W tym świetle to, co chcę powiedzieć, nie

będzie wyglądało na umyślną złośliwość. Weźmy więc 1848 rok.

Jacy ludzie, których można by uznać za przedstawicieli społeczeństwa, stali wtedy naprzeciw siebie? Z jednej strony Guizot, minister Ludwika Filipa, z drugiej zaś — Michelet i Quinet ze swoimi studentami.

Zacznę od Guizota i Ludwika Filipa. Czy byli źli, despotyczni? Niezupełnie. Byli to, moim zdaniem, ludzie w rodzaju ojca, dziadka lub starego Goupila. Krótko mówiąc, godni szacunku, stateczni i poważni — ale widziani z bliska, wyglądali tak ponuro, robili wrażenie tak ograniczonych i bezradnych, że się serce krajało. Czy przesadzam?

Abstrahując od ich sytuacji, wszyscy oni reprezentują ten sam typ umysłowości. Czyżbym się mylił?

A teraz weźmy np. Micheleta i Quineta lub później Wiktora Hugo. Czy różnica pomiędzy nimi a ich przeciwnikami była rzeczywiście tak ogromna? Tak, różnica była ogromna, choć na pierwszy rzut oka trudno ją było zauwa żyć. W swoim czasie książka Guizota wydawała mi się równie piękna jak książka Micheleta. Ale po głębszym zastanowieniu sam dostrzegłem różnicę, a nawet sprzeczność, co jest dużo więcej!

Pierwsi znaleźli się w ślepej uliczce i zostaną zapomniani, podczas gdy na tych drugich pada jakiś refleks nieskończoności. Od tego czasu zdarzyło się wiele rzeczy, ale jestem pewien, że gdybyśmy obaj żyli w tamtej epoce, ty znalazłbyś się w obozie Guizota, a ja w obozie Micheleta. Obaj bylibyśmy konsekwentni i obaj, z żalem zapewne, stanęlibyśmy naprzeciw siebie jak wrogowie, np. po obu stronach barykady, ty z jednej strony jako żołnierz legalnego rządu, ja z drugiej jako rewolucjonista czy buntownik.

Teraz mamy już rok 1884 1 dziwnym zbiegiem okoliczności dwie ostatnie cyfry są te same, tylko znalazły się w odwrotnej kolejności. Teraz znowu stoimy naprzeciw

siebie; co prawda nie ma już barykad, ale jest wiele dusz i umysłów, które" nie potrafią się porozumieć.

Moim zdaniem, stoimy naprzeciw siebie, jesteśmy W różnych obozach i nic się na to nie poradzi. Czy chcesz, czy nie chcesz, obaj musimy iść dalej, każdy swoją własną drogą. Ponieważ jednak jesteśmy braćmi, powinniśmy zaniechać śmiercionośnej strzelaniny (nawet w przenośni!).

Niestety, nie możemy sobie nawzajem pomagać, jak dwóch ludzi, którzy stoją ramię przy ramieniu w tym samym obozie. O nie, jeżeli się zanadto do siebie zbliżymy, to jeden może się znaleźć w polu ostrzału drugiego.

Moje złośliwości są pociskami skierowanymi nie przeciw tobie, który jesteś moim bratem, ale przeciw obozowi, do którego przystąpiłeś.

Nie sądzę też, by twoje złośliwości skierowane były przeciwko mnie bezpośrednio. Strzelasz do barykady i myślisz, że W ten sposób się zasłużysz, ale ja jestem właśnie po drugiej stronie.

Zastanów się jeszcze nad tym, co powiedziałem, ale nie przypuszczam, żebyś potrafił coś zmienić w tej sytuacji. Ja mogę tylko stwierdzić, że w moim przekonaniu sprawa tak się mniej więcej przedstawia.

Mam nadzieję, że zrozumiesz, co chciałem powiedzieć w tej przenośni. Ani ty, ani ja nie zajmujemy się polityką, ale żyjemy w świecie, w którym społeczeństwo spontanicznie rozbija się na grupy. Czy chmury są rzeczywiście tak bardzo odpowiedzialne za to, że należą do tej czy innej konstelacji burzowej? Za to, że noszą w sobie ładunki elektryczne dodatnie czy ujemne? Oczywiście, ludzie nie są chmurami. Jako indywiduum każdy z nas jest częścią całości, a tą całością jest ludzkość. Ludzkość dzieli się na partie. Jeśli należymy do jednej z wrogich sobie partii, to skąd możemy wiedzieć, w jakim stopniu zależy to od naszej Woli, a w jakim stopniu jest wynikiem fatalnego zbiegu okoliczności?

Cóż, wtedy był rok czterdziesty ósmy, teraz mamy osiemdziesiąty czwarty; „wiatraka już nie ma, a wiatr ciągle wieje". Staraj się ustalić, choćby dla siebie samego, do jakiej grupy właściwie należysz, tak jak ja próbuję to zrobić na własny użytek.

Bez daty

Dostałem list z Utrechtu z dość pomyślnymi wiadomościami. Czuje się już o tyle lepiej, że niedługo będzie mogła wyjechać do Hagi. Mimo to jestem jeszcze o nią bardzo niespokojny. Ton jej listów wskazuje, że jest już bardziej pewna siebie, rozsądniejsza i mniej uprzedzona, niż wtedy gdy ją poznałem. Jest w niej coś z ptaka, skarżącego się, że mu zburzono gniazdo. Może mniej niż ja wini za to społeczeństwo, ale zdaje sobie sprawę z istnienia „łobuzów, którzy wybierają gniazda ptakom" i których to cieszy i bawi.

Wróćmy teraz do tej barykady, którą ty nazywasz małym rowkiem. Otóż trzeba się zgodzić, że istnieje stare społeczeństwo, które moim zdaniem z własnej winy coraz bardziej się pogrąża, i nowe społeczeństwo, które powstaje, rozwija się i kroczy naprzód.

Krótko mówiąc, jedna część społeczeństwa opiera się na zasadach rewolucyjnych, a druga na zasadach antyrewolucyjnych.

A teraz pytam się ciebie, czy nie zauważyłeś, że polityka lawirowania pomiędzy starym a nowym jest stanowiskiem nie do utrzymania? Pomyśl o tym.

Zawsze, prędzej czy później, trzeba się w końcu zdecydować, gdzie się chce stanąć, po prawicy czy po lewicy.

To nie jest mały rowek. I jeszcze jedno. Wtedy był rok czterdziesty ósmy, a teraz jest osiemdziesiąty czwarty. Wtedy były barykady z kamieni — teraz ich nie ma, ale powstała barykada między starym i nowym, których nie można ze sobą pogodzić. Dotyczy to zarówno

osiemdziesiątego czwartego roku, jak czterdziestego ósmego.

Bez daty

Pozwalam ludziom, żeby o mnie mówili i myśleli może więcej, niż to sobie wyobrażasz. Ale zapewniam cię, nie mam zamiaru się przyznawać, iż nie powinienem był zaczynać, tylko dlatego, że czasem coś mi się nie uda. Przeciwnie, gdy wielekroć robię coś bez powodzenia, uważam, że powinienem jeszcze raz popróbować tego samego, choć czasem taki wysiłek wydaje się niemożliwy. Moje dążenia są dobrze przemyślane, poparte silną wolą i nie wątpię, że także one mają jakąś swoją rację bytu.

Dla mnie osobiście główna różnica między okresem przed rewolucją i p o rewolucji polega na uznaniu praw kobiety, na współpracy, jaka powinna się rozwinąć między mężczyzną i kobietą, korzystającą z równych praw i takiej samej wolności.

W tej chwili nie mam możliwości, czasu ani ochoty rozwodzić się nad tą sprawą. Krótko mówiąc, konwencjonalna moralność jest dla mnie całkowicie opaczna i cieszyłbym się, gdyby z biegiem czasu została odwrócona i odnowiona.

Bez daty

Mówisz: postać dantejska, tymczasem jest to symbol złego ducha, który ciągnie ludzi do otchłani. Trudno te pojęcia pogodzić, bo przecież ascetyczna i surowa postać Dantego emanuje oburzeniem i protestem przeciw temu, co widział na własne oczy, buntuje się przeciwko straszliwym krzywdom i przesądom średniowiecza. Dante, to z pewnością jedna z najbardziej prostolinijnych, najuczciwszych i najszlachetniejszych indywidualności, jakie można sobie wyobrazić. Ludzie mówili o nim: „Oto ktoś, kto zstąpił do piekieł i stamtąd wraca"; pójść tam samemu i

wrócić, to coś zupełnie innego niż satanicznie wabić tam innych.

I dlatego nie można postaci dantejskiej kazać grać jakiejś satanicznej roli, jeśli się nie chce popełnić ogromnej omyłki.

Sylwetka Mefistofelesa bardzo się różni od sylwetki Dantego. O malarzu Giotto pisano w swoim czasie, że „pierwszy nadał twarzom ludzkim wyraz dobroci". Giotto namalował Dantego z dużą wrażliwością, znasz przecież ten stary portret. Wyciągam z tego wniosek, że wyraz twarzy Dantego, chociaż smutny i melancholijny, odzwierciedla jednak w zasadzie nieskończoną dobroć i delikatność.

Bez daty

Przed chwilą otrzymałem Germinal i zaraz zabrałem się do czytania. Przeczytałem już 50 stron, cóż to za wspaniała lektura! Ja także byłem tam kiedyś.

Wrzesień 1885

W ciągu ubiegłych dwu tygodni miałem wiele przykrości ze strony naszych szanownych panów pastorów. Niby to w najlepszych intencjach doszli do wniosku, że nie mniej niż inni obowiązani są zajmować się moimi sprawami. Dali mi więc do zrozumienia, że nie powinienem spoufalać się z ludźmi należącymi do niższego stanu. W stosunku do mnie użyli tych właśnie słów, ale do „ludzi niższego stanu" przemawiali zupełnie innym tonem, grożąc im nawet, w wypadku gdyby się odważyli mi pozować. Tym razem powtórzyłem dokładnie ich słowa burmistrzowi podkreślając, że to wszystko nic pastorów nie obchodzi, że powinni trzymać się swojego podwórka i zajmować sprawami bardziej abstrakcyjnymi. Chwilowo nie natrafiłem na żaden opór i bardzo możliwe, że na tym się wszystko skończy. Z pewnością wszystkiemu winna ta dziewczyna, którą często malowałem. Dziewczyna zaszła w ciążę i zaczęto mnie podejrzewać.

Ponieważ jednak z jej własnych ust wiem, jak się sprawa przedstawia i jak ohydnie zachował się jeden z parafian pastora z Nuenen, nic mi, tym razem przynajmniej, nie mogą zrobić.

4 listopada 1885

Przed chwilą otrzymałem twój list wraz z załącznikiem, za który ci bardzo dziękuję. Chcę ci od razu odpowiedzieć. Otóż jeśli idzie o Diderota, to wielokrotnie czytałem już jego dzieła i uważam, że zajmuje on poczesne miejsce na tle swej epoki. Rzecz ma się z nim podobnie jak z Wolterem; gdy się czyta listy tych ludzi, nawet listy w najzwyklejszych, codziennych sprawach, to uderza w nich żywotność i błyskotliwość, które muszą każdego oczarować. Nie należy zapominać, że to oni właśnie utorowali drogę rewolucji, porwali za sobą ludzi biernych i bezmyśinych i skierowali ich w jednym kierunku, do jednego wspólnego celu. Na to trzeba geniuszu. Odnoszę się więc do nich z całym szacunkiem.

Bez daty

Nie zapominaj o tym, że nie od kołyski jestem melancholikiem. Przylgnęło już do mnie przezwisko „malarz-nieboraczek", powtarzane powszechnie w całej okolicy. Opuszczam te strony z dużą dozą rozgoryczenia.

Myślałem o Drenthe, jednakże podróż byłaby uciążliwa i trudna do zrealizowania.

Dobrze byłoby, gdyby moje prace, malowane na wsi, wśród chłopów, spodobały się w Antwerpii. Gdyby to się spodobało teraz czy później, szedłbym dalej w tym kierunku, urozmaicając cykl podobnymi obrazami z Drenthe.

Sprawa wygląda tak, że nie umiem robić dwóch rzeczy jednocześnie: jeśli jestem pochłonięty portretowaniem chłopów, to nie mogę się zajmować równocześnie tematami miejskimi.

Właśnie jest odpowiedni moment, żeby się stąd ruszyć, bo miałem tu już trudności z modelami, a zresztą tak czy owak muszę się przeprowadzić.

Ponieważ moja pracownia znajduje się w pobliżu plebanii i domu zakrystiana, łatwo przewidzieć, że nigdy nie będę miał tu spokoju.

Zresztą intrygi te nie robią na ludziach zbyt wielkiego wrażenia i gdybym wynajął inne mieszkanie i odczekał kilka miesięcy, szybko by o tym zapomniano. Czy nie najlepiej więc byłoby teraz wyjechać na jakieś dwa miesiące, np. na grudzień i styczeń?

Bez daty

Bardzo tęsknię teraz za Antwerpią… Chwilowo i tak nie mogę tutaj pracować. Jest silny mróz i o pracy na dworze nie ma mowy. Doszedłem do wniosku, że lepiej już nie brać sobie modeli, dopóki tu mieszkam. Może później, gdy wrócę. W ten sposób oszczędzam farby i płótno i na nowym miejscu będę miał więcej amunicji. Im prędzej będę mógł stąd wyjechać, tym lepiej.

Myślę, że ta zima nie będzie nudna. Czeka mnie oczywiście ciężka praca. A jednak to trochę dziwne, to uczucie, że trzeba skoczyć w ogień.

ANTWERPIA koniec listopada 1885— koniec lutego 1886

W oczekiwaniu na wyjazd do Thea do Paryża Vincent waha się, czy pojechać do Drenthe, czy też do jakiegoś miasta w innym kraju. W końcu wybór jego pada na Antwerpię.

Ten trzymiesięczny pobyt w Antwerpii ważny jest nie tyle ze względu na jego obrazy z tego okresu, ile ze względu na prymitywnie wykonane obrazki japońskie sprzedawane w porcie, które tam wówczas odkrył. Vincent chodzi oczywiście do muzeum, ogląda obrazy Rubensa i katedrę. Jego paleta rozjaśnia się.

Chociaż przybył tutaj z zamiarem studiowania, zamiast tego rysuje i maluje rozmaite zakątki w mieście. Gdy Theo przysyła mu trochę pieniędzy, bierze nawet modele. Uczęszcza do akademii. Trzeba mu korekty, ręki profesora, jak za każdym razem, gdy jest w mieście. Ten rudzielec w nieokreślonym wieku, dosyć ociężały i dziwacznie ubrany (nędzny kołpak futrzany, niebieski kaftan), posługujący się zamiast palety małą deszczułką, wywołuje tu z początku duże zainteresowanie. Rysuje modele i gipsy z zadziwiającą szybkością. Gdy przyszło jednak do kopiowania Wenus z Milo, z której Vincent zrobił silnie zbudowaną niewiastę o szerokich biodrach, wyglądającą na pospolitą wieśniaczkę, profesor wybuchnął śmiechem. Vincent odpowiedział jakimś grubiaństwem i opuścił akademię.

Bez daty

Od kilku dni mieszkam w Antwerpii i zdążyłem już obejrzeć dużo ciekawych rzeczy. Wynająłem mały pokoik przy rue des Images nr 194, nad sklepem z farbami, za 25 franków miesięcznie. Następny list wyślij już, proszę, na ten adres, a nie tak jak dotąd na poste restante.

Bez daty

Od czasu jak tu mieszkam, tylko trzy razy jadłem coś ciepłego; poza tym żywię się samym chlebem. W ten sposób staję się wegetarianinem, może bardziej, niż to potrzebne. Tak samo musiałem sobie radzić przez pół roku W Nuenen.

29 grudnia 2885

A jednak wolę malować oczy ludzkie niż katedry, bo W oczach jest coś, czego nie ma w majestatycznych, imponujących katedrach: ludzka dusza. Nawet oczy nędznego włóczęgi czy dziewczyny ulicznej wydają mi się bardziej interesujące.

Bez daty

Wiem oczywiście, że przede wszystkim chcesz być dobrym finansistą, i nic nie mam przeciwko temu, a nawet uważam, że to bardzo dobrze, ale powiedz mi, czy naprawdę jesteś zupełnie zadowolony ze swojego rozumowania? Bo na samym początku roku mówisz mi: mam wiele rachunków do zapłacenia, musisz dać sobie jakoś radę do końca tego miesiąca.

Słuchajże więc, bo i j a mam tu coś do powiedzenia. Zastanów się dobrze, czy mam rację, czy nie, a w każdym razie, czy moje rozumowanie jest jakoś uzasadnione. Czyżbym mniej dla ciebie znaczył, niż twoi wierzyciele? Kto może jeszcze poczekać, oni czy ja? — jeśli już komuś musisz kazać czekać, co przecież każdemu może się przydarzyć.

Wierzyciel to przecież żaden p r z y j a c i el, nie masz chyba co do tego żadnych wątpliwości, a ja, choć może nie jesteś tego zupełnie pewien, Jestem chyba twoim przyjacielem.

Czy wiesz, jak wielkich nakładów wymaga codziennie moja praca, jak trudno zdobyć modele i jak drogie są przybory do malowania? Czy wiesz, że czasami rzeczywiście nie mogą już wytrzymać? A przecież muszę malować, to jest ważne, żebym tu mógł dalej pracować, od zaraz, bez wahania, spokojnie.

Jedna, druga chwila słabości, a załamię się już nigdy nie stanę na nogi.

Jestem zagrożony ze wszystkich stron, jedyny sposób, żeby się z tego wydobyć, to wytrwała praca. Rachunek za farby ciąży mi jak ołów, mimo to muszę iść naprzód.

Na mnie także muszą ludzie poczekać, ale oni dostaną swoje pieniądze. No cóż, trzeba było kilku skazać na czekanie.

I to bez pardonu, chyba że mi udzielą kredytu. Im mniej mi udzielą kredytu, tym dłużej będą czekali na zapłatę.

Czy mamy mówić, jak mówią niedołęgi i półgłówki: nie możemy, nie mamy pieniędzy, nic się nie da zrobić?

Powiadam ci: nie!

Powinniśmy powiedzieć coś innego i bardzo bym cię prosił, żebyśmy obaj to powiedzieli: Będziemy biedni, będziemy cierpieli biedę, jak długo będzie trzeba, jak

oblężone miasto, które nie ma zamiaru się poddać. Musimy pokazać, kim jesteśmy.

Albo się jest odważnym, albo się jest tchórzem.

Luty 1886

Nie znam jeszcze książek Turgieniewa, ale niedawno czytałem jego życiorys, który bardzo mnie zainteresował. Turgieniew ma wiele wspólnego z Daudetem, obaj chętnie posługują się modelami, stwarzając z 5 czy 6 modeli jakiś jeden, wspólny typ. Ohneta również jeszcze nie znam, ale z tego co słyszę, ma być także bardzo interesujący.

Coraz bardziej dochodzę do wniosku, że sztuka dla sztuki, praca dla pracy, energia tylko dla energii, są pojęciami, które mimo wszystko w życiu tych ludzi grają poważną rolę. Na przykładzie Goncourtów widać, że w tych sprawach trzeba być upartym, bo społeczeństwo tego nie docenia, nie powiedzą ci nawet „dziękuję".

Bez daty

Bardzo mnie cieszy, że przychylnie oceniasz mój projekt przyjazdu do Paryża. Myślę, że zacznę tam robić postępy. Jeżeli nie pojadę, to na pewno jeszcze głębiej ugrzęznę w tym błocie. Ciągle obracam się w tym samym kręgu, nic więc dziwnego, że popełniam wciąż te same błędy. Zresztą myślę, że wracając do domu, chętnie będziesz wchodził do mojej pracowni. Poza tym mogę ci powiedzieć to samo, co mówisz o sobie: na pewno się mną rozczarujesz.

Jest to najlepszy sposób, by się do siebie zbliżyć. Mieszkając razem, będziemy się może lepiej nawzajem rozumieć.

Nie wiem, co ci powiedzieć o stanie mego zdrowia. W moim przekonaniu wiele przemawia za tym, że uniknę poważniejszej choroby, ale trzeba jeszcze wiele czasu, żebym przyszedł do siebie. Dałem sobie jeszcze zaplombować dwa zęby i teraz górna szczęka, gdzie było najwięcej zębów zepsutych, jest już w dobrym stanie. Tymczasem mam dopłacić 10 franków, ale potrzebowałbym jeszcze 40 franków, żeby także dolną szczękę doprowadzić do porządku.

Znikną wtedy niektóre ślady po tym pamiętnym, dziesięcioletnim życiu więziennika, które na szczęście mam już poza sobą. Złe uzębienie, spotykane już teraz coraz rzadziej, powoduje zapadanie się policzków, a tak łatwo przecież temu zapobiec.

Poza tym, mogąc się znowu posługiwać zębami, będę lepiej żuł i lepiej trawił i dopiero wtedy będę miał szansę na wyleczenie żołądka.

Na szczęście w porę się zorientowałem, że jest już ze mną bardzo źle. Sam mi piszesz, że gdybym tę chorobę zaniedbał, mogłoby być jeszcze dużo gorzej. Musimy się więc postarać, żeby. wszystko znowu doprowadzić do porządku.

Bez daty

Jeszcze raz muszę do ciebie napisać, bo im wcześniej podejmiemy śmiałą decyzję, tym lepiej. Jeżeli chodzi o pracownię, to byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli znaleźć w tym samym domu pokój z alkową, a nad tym jakąś mansardę lub kąt na strychu. Miałbyś wtedy mieszkanie złożone z pokoju z alkową, które urządzalibyśmy najprzyjemniej jak to tylko możliwe. W ciągu dnia pokój mógłby służyć za pracownię, a na strychu przechowywałoby się niemiłe dla oka narzędzia do brudnej pracy. Tam też mógłbym spać, a ty spałbyś w alkowie pracowni.

Myślę, że takie lub podobne rozwiązanie w ciągu pierwszego roku byłoby wystarczające. Trudno mi oczywiście przewidzieć, czy będziemy się zgadzali, ale nie trzeba się z góry martwić. Będzie ci chyba dużo przyjemniej, gdy będziesz wracał do domu i dom ten będzie pracownią, a nie zwykłym pokojem, bo pokój ma w sobie zawsze coś ponurego.

Ponure otoczenie, to nasz najgorszy wróg. Skoro lekarz powiedział mi, że muszę nabrać sił, to kto wie, czy i tobie by się to nie przydało. Bo przecież i ty nie jesteś szczęśliwy, ani w dobrej formie. Nazwijmy rzecz po imieniu: masz na pewno zbyt wiele kłopotów, a za mało chwil radosnych.

Może taka już jest nasza polityka, że każdy z nas chce być samodzielny. Przez to rozdrabniamy nasze siły i zasoby, które dlatego bywają niewystarczające. A więc „w jedności siła", tak będzie na pewno lepiej.

Potrzeba nam więcej życia, tak mi się przynajmniej wydaje. Powinniśmy wyrzucić za burtę wszelkie wątpliwości i ten chroniczny brak zaufania. Czy chciałbyś mieć podstawę, na której mógłbyś się oprzeć, aby zachować pogodę ducha, nawet gdy jesteś sam, nikt cię nie rozumie i musiałeś postawić już krzyżyk na rachunku twego materialnego szczęścia?

Otóż tą podstawą jest wiara. Czuje się to przecież. Instynktownie czujemy, że wiele rzeczy się zmienia, a kiedyś zmieni się wszystko.

Żyjemy w ostatniej ćwierci wieku, który skończy się jakąś gigantyczną rewolucją.

Może nawet obaj zobaczymy początek tej rewolucji, pod koniec naszego życia. A jednak na pewno nie dożyjemy tych lepszych czasów, kiedy powietrze się oczyści, a całe społeczeństwo odrodzi po wielkich burzach.

Trzeba dobrze uważać, żeby nie stać się ofiarą fałszu i kłamstwa epoki, w której żyjemy, trzeba wyczuć, że otacza

nas niezdrowe, stęchłe powietrze, na kilka godzin przed burzą.

I pomyśleć tylko: my się tu dusimy, a przyszłe pokolenia będą mogły oddychać swobodniej.

Taki Zola czy Goncourtowie wierzą w to z naiwnością dużych dzieci. Oni przecież są tymi najbardziej sumiennymi analitykami, stawiającymi diagnozę bardzo brutalną, ale i trafną zarazem.

Albo ci, których wymieniłeś, Turgieniew i Daudet — i oni nie pracują na darmo, ich wzrok nieraz kieruje się tam, na drugą stronę.

A jednak oni wszyscy, słusznie zresztą, nie chcą nam przepowiadać utopii. Są pesymistami, ponieważ analizując przeszłość, widzi się, że wszystkie rewolucje tego wieku nikczemniały mimo najszlachetniejszych nieraz początków.

Ale widzisz, można znaleźć jakieś oparcie, jeśli człowiek nie boryka się samotnie ze swymi uczuciami i myślami, bo ma wokół siebie ludzi, z którymi razem pracuje i myśli,

Wtedy można zdziałać dużo więcej, a równocześnie człowiek czuje się o wiele szczęśliwszy. Od dawna już chciałem, żeby takie stosunki zapanowały także między nami; widzisz, wyobrażałem sobie, że jeżeli będziesz sam, to w końcu wpadniesz w melancholię, bo czasy, w których żyjemy, nie najlepiej nas nastrajają, chyba że znajdzie się zadowolenie w pracy.

Przesyłam ci powieść Goncourtów, właśnie z uwagi na przedmowę, w której znaleźć można kwintesencję ich prac i poszukiwań. Zobaczysz, że ludzie ci nie byli znów tak bardzo szczęśliwi, podobnie jak Delacroix, który powiedział o sobie: „bynajmniej nie byłem szczęśliwy, w tym sensie, jak to sobie kiedyś wyobrażałem i jak tego pragnąłem". Otóż prędzej czy później nadejdzie chwila, w której i ty będziesz na pewno wiedział, że na rachunku twego materialnego szczęścia musisz postawić krzyżyk, ostatecznie i

nieodwołalnie. Śmiało mogę sobie pozwolić na tego rodzaju przepowiednie, ale muszę dodać, że, w moim przekonaniu, poczujesz równocześnie — jako rekompensatę — przypływ sił do pracy.

Co mnie doprowadza do rozpaczy, to ta wspaniała pogoda ducha myślicieli współczesnych; weź choćby ostatnią przechadzkę obu Goncourtów, której opis znajdziesz w tej książce. Podobnie upłynęły ostatnie dni starego Turgieniewa, który przebywał wtedy dużo z Daudetem. Uczuciowi, subtelni, inteligentni — ludzie ci, jak kobiety, byli także czuli na własne cierpienia. Ale zawsze byli pełni życia, pewni siebie, bez śladu stoickiej obojętności czy pogardy dla życia. Jeszcze raz ci mówię: te chłopy umierały tak, jak umierają kobiety. Nie mieli żadnej idee fixe na temat Boga czy innych abstrakcji, zawsze kroczyli utartą ścieżką życia, tylko do życia przywiązani, znowu tak samo jak kobiety, które dużo kochały i dużo cierpiały. Taki Delacroix, według świadectwa Silvestre'a, „umierał prawie z uśmiechem".

Na razie jeszcze do tego nie doszliśmy, przeciwnie, jesteśmy tu po to, by pracować i żyć, a potem zrobić krzyżyk na rachunku materialnego szczęścia, tak jak to zwykle bywa.

18 lutego 1886

Domyślam się, że mój natychmiastowy przyjazd do Paryża nie jest ci na rękę, bo w przeciwnym razie dawno byś mi już odpowiedział. A jednak lepiej by było, gdybym mógł od razu przyjechać. Miałem sposobność pytać o radę ludzi, którzy rzeczywiście solidnie pracują, i jestem głęboko przekonany, że tak byłoby najlepiej.

Bez daty

Piszę do ciebie jeszcze raz, bo mój pobyt tutaj w każdym razie ma się już ku końcowi i w ciągu kilku najbliższych dni będę musiał wyjechać. Jeżeli pogoda choć trochę się poprawi, będę mógł pracować na dworze, a więc skoro na to nalegasz, pojadę do Brabancji, gdzie, mam nadzieję, nie będę tracił czasu.

Antwerpia mimo wszystko bardzo mi się podobała. Oczywiście, byłoby lepiej, gdybym już w chwili przyjazdu miał to doświadczenie, jakie mam teraz, wyjeżdżając. To było niemożliwe, ale wiele rzeczy poszłoby mi łatwiej. Wszędzie trzeba z początku płacić frycowe. Mam jednak nadzieję, że kiedyś znowu zobaczę Antwerpię.

PARYŻ marzec 1886 — luty 1888

Vincent przyjeżdża nagle do brata, do Paryża. Theo kieruje teraz filią domu Boussod-Valadon, przy Faubourg Montmartre. Sprzedaje tu obrazy Roybeta, Hennera — malarstwo, którego nie lubi: jego upodobania zwracają się ku impresjonistom, którzy, choć wciąż rewolucyjni, zaczynają nabierać znaczenia. Dla Vincenta impresjoniści są olśnieniem. Nareszcie jasne malarstwo! Ale wpierw chciałby, żeby jego rysunek stał się bardziej klasyczny, żeby jego sztuka nabrała francuskich akcentów, lekkości. Zaczyna uczęszczać do pracowni Cormona, znanego malarza akademickiego. Tam poznaje Henri Toulouse-Lautreka. Wkrótce jednak van Gogh opuści tę pracownię, gdzie zbyt wiele uwagi poświęcano kopiowaniu gipsów antycznych.

W nowym mieszkaniu, jakie Theo wynajął znów na Montmartrze, żeby jego brat miał lepsze warunki pracy, Vincent, który poznał grafikę wielkich mistrzów i kupił sobie trochę rycin japońskich, posuwa się w swej miłości do sztuki tak daleko, że interpretuje na płótnie ryciny Hiroszige.

U ojca Tanguy, sprzedawcy farb, Vincent poznaje Signaka, Guillaumina i młodego Emila Bernard. Theo przedstawia brata Gauguinowi, który jest człowiekiem dosyć nieznośnym; ale Vincent widzi w nim z początku tylko wielkiego artystę. Razem z Signakiem maluje w Asnières i w Saint-Ouen.

Impresjoniści nie rozumieli van Gogha. Przyszedł po nich, poza tym ten cudzoziemiec wydawał im się prostacki. Vincent wystawia swoje płótna w foyer The&tre Libre, u nieznanego ojca Tanguy (którego dwa wspaniałe portrety maluje; nareszcie prawdziwy van Gogh!) i w kilku innych,

równie mało uczęszczanych miejscach; wszędzie bez najmniejszego sukcesu.

Jesień i zima w Paryżu wydają się Vincentowi nieznośne, jego humor pogarsza się. Zostaje kochankiem niejakiej Segatori, dawnej modelki Gerome'a, która zarządza teraz kawiarnią. W rezultacie dochodzi do awantury z kelnerem lokalu. Theo wyznaje, że obecność Vincento czyni życie nieznośnym; chciałby, żeby brat zamieszkał oddzielnie: „Są w nim dwaj ludzie, jeden niezwykle utalentowany, subtelny i łagodny, drugi egoistyczny i nieczuły". Toteż gdy Vincent chce jechać na Południe, Theo sam namawia go do tego. Wyznacza bratu niewielką pensję — dopóki Vincent nie zacznie sprzedawać swoich obrazów.

Czas już, żeby Vincent opuścił Paryż. Nie może tu zostać dłużej. Pragnie słońca, które pozwoli mu malować w plenerze przez cały rok. Południe, o którym tyle mu mówił Toulouse-Lautrec... Wybiera Arles

Marzec 1886

Nie gniewaj się, że przyjechałem tak nagle, zastanawiałem się nad tym długo i myślę, że w ten sposób zyskamy na czasie. Będę w Luwrze od południa, a gdybyś wolał, to wcześniej.

Czekam na odpowiedź, żebym mógł wiedzieć, o której będziesz w Salle Carrée. Jeśli idzie o koszta, powtarzam ci, że to wychodzi na jedno. Mam zresztą trochę pieniędzy i chciałbym z tobą porozmawiać, zanim zdecyduję się na jakikolwiek wydatek. Poradzimy sobie, zobaczysz.

Przyjdź więc jak najszybciej.

Lato 1887

Byłem w Tambourin; gdybym tam nie poszedł, pomyślano by, że się nie odważyłem.

Powiedziałem Segatori, że w tej sprawie nie będę jej sądził: niech osądzi się sama.

Że zniszczyłem kwit na obrazy, ale ona powinna wszystko zwrócić.

Że gdyby nie miała udziału w tym, co mi się przytrafiło, przyszłaby do mnie nazajutrz.

Skoro jednak nie przyszła do mnie, mogłem wywnioskować, że wiedziała o awanturze, jaką mi szykują; niemniej starała się mnie uprzedzić mówiąc: „niech pan sobie idzie", czego nie zrozumiałem, a zresztą może nie chciałem zrozumieć. Na co odparła, że obrazy i wszystko inne jest do mojej dyspozycji.

Utrzymywała nadal, że to ja szukałem kłótni, co mnie nie dziwi, wiem bowiem, że gdyby stanęła po mojej stronie, miałaby wielkie przykrości.

Wchodząc zobaczyłem kelnera, ale on zaraz znikł. Nie chciałem zabrać obrazów natychmiast, ale powiedziałem, że porozmawiamy o tym po twoim powrocie, ponieważ te obrazy należą w tym samym stopniu do ciebie, co do mnie, i że na razie proszę ją, aby zastanowiła się raz jeszcze nad tym, co się stało. Nie miała wesołej miny i była blada jak wosk, co nie jest dobrym znakiem.

Nie wiedziała podobno, że kelner był u ciebie. Jeśli to prawda, bardziej jeszcze skłonny byłbym wierzyć, że raczej starała się ostrzec mnie przed awanturą niż maczać w tym palce. Nie może postępować tak, jak by chciała. Teraz czekam na twój powrót, zanim cokolwiek przedsięwezmę.

Mam jeszcze dwa luidory i obawiam się, że nie będę wiedział, jak spędzić dni do twojego powrotu.

Weź bowiem pod uwagę, że kiedy zacząłem pracować w Asnières, miałem wiele płócien i Tanguy był bardzo dobry

dla mnie.

Jest tak w gruncie rzeczy nadal, ale ta stara czarownica, jego żona, zorientowała się, co się dzieje, i sprzeciwiła się temu. Zwymyślałem żonę Tanguya i powiedziałem, że to będzie jej wina, jeśli przestanę u nich brać farby. Papa Tanguy jest dość mądry, żeby milczeć, a zrobi i tak to, o co go poproszę.

Ale przy tym wszystkim nie pracuje się dobrze.

Gdybyś mógł mi coś przysłać przed powrotem, żebym jakoś przebrnął, postarałbym się namalować ci jeszcze kilka obrazów, jestem bowiem spokojny o swoją pracę. W tej historii przeszkadzało mi tylko to, że gdybym tam nie poszedł (do Tambourin) wyglądałoby to na tchórzostwo. Teraz, kiedy już to zrobiłem, pogoda wróciła mi znowu.

Lato 1887

Martwi mnie, że nawet gdyby przyszło powodzenie, malarstwo nie przyniesie tego, co kosztuje.

Wzruszyło mnie to, co piszesz o domu: „mają się dość dobrze, a jednak smutno jest na nich patrzeć".

Przed dwunastu laty można było jednak przysiąc, że zawsze będzie im się dobrze powodzić i że wszystko będzie szło doskonale.

Matka ucieszyłaby się bardzo, gdyby twoje małżeństwo było udane: ze względu na twoje zdrowie i interesy nie powinieneś zostawać sam.

Ja nie czuję potrzeby małżeństwa i dzieci i w pewnych chwilach ogarnia mnie melancholia, kiedy myślę o tym, jaki jestem mając 35 lat — powinno być całkiem inaczej.

I mam to czasem za złe temu wstrętnemu malarstwu.

Richepin powiedział kiedyś: Miłość sztuki zabija miłość prawdziwą. Uważam to za słuszne w straszliwy sposób i wiem też, że prawdziwa miłość zniechęca do sztuki.

Zdarza mi się, że czuję się stary i złamany, a jednak dość jeszcze zakochany, żeby nie być entuzjastą malarstwa.

Żeby osiągnąć sukces, trzeba ambicji, ambicja zaś wydaje mi się absurdem. Nie wiem, co z tego wyniknie, w każdym razie chciałbym mniej być ci ciężarem — a jest to już chyba możliwe — spodziewam się, że zrobię postępy i ty będziesz mógł pokazać to, co robię, bez wstydu.

Schronię się gdzieś na Południu, żeby nie widzieć tych wszystkich malarzy, którzy jako ludzie są mi wstrętni.

Jednego możesz być pewien: nie będę starał się tak pracować jak dla Tambourin; myślę też, że to przejdzie w inne ręce, czemu się nie sprzeciwiam.

Co się tyczy Segatori, to całkiem inna sprawa, czuję jeszcze dla niej sympatię i mam nadzieję, że ona dla mnie także.

Ale teraz jest z nią kiepsko, nie jest wolna, nie jest panią siebie, przede wszystkim zaś jest cierpiąca i chora.

Chociaż nie powiem tego publicznie, jestem przekonany, że przerwała ciążę (jeśli nie była to ciąża zmyślona); tak czy inaczej, nie będę jej potępiał. Za dwa miesiące wróci do zdrowia i może będzie mi wdzięczna, że pozostawiłem jej swobodę.

ARLES 21 lutego 1888 — 6 maja 1889

Gdy Vincent przyjechał do Aries, pogoda była prawdziwie północna: chmurne niebo, a nawet śnieg. Zatrzymał się w małym hotelu na skraju miasta. Słońce wraca jednak rychło i Vincent może malować w plenerze; ale z kolei zaczyna wiać mistral... Mimo to zabiera się do malowania z wielkim zapałem, widząc wszystko w bardzo żywych kolorach. Okolice Arles przypominają mu Holandię, ale „Holandię, do której dodano kolor"; znajduje się tu nawet dwa mosty na żurawiach, znane mu z jego ojczyzny.

Maluje, a wieczorem czyta, chodzi do kawiarni i do domu publicznego, gdzie nawiązuje stosunki z niejaką Gaby. Ponieważ w hotelowym pokoju nie można pracować jak należy, wynajmuje połowę wolnego pawilonu. Nie mogąc go na razie urządzić, nocuje w Cafe de l'Alcazar, lokalu woźniców, który znajduje się bardzo blisko; płaci franka za noc.

Zajmują go teraz sprawy związane ze zdrowiem: ma słaby żołądek, płaci za lata nędzy i niedbalstwa (zdarza mu się jeszcze poprzestać na śniadaniu złożonym z filiżanki kawy zakropionej czerwonym winem), za nerwowe życie w Paryżu, za to, że zbyt wiele pił i palii Chce nabrać dobrych przyzwyczajeń, prowadzić życie regularne, żeby zdrowie nie stawało na przeszkodzie malarstwu. Malarstwo jest jego główną troską. Prócz pieniędzy, Theo przysyła mu płótna i farby. W zamian za to Vincent przekazuje mu swoje płótna, ledwie wyschną. Listy często uzupełnia szkicami obrazów, nad którymi pracuje. Nadal maluje pejzaże w okolicach miasta. W maju wyjeżdża na kitka dni do Saintes-Maries-de-la-Mer, miejscowości położonej o czterdzieści kilometrów od Arles.

Vincent nie myśli opuścić Południa, Marzy nawet o stworzeniu falansteru artystów, na którego czele stanął by Gauguin, starszy od van Gogha o pięć lat; Gauguin, który wciąż jest dla niego autorytetem i który mieszka teraz w Pont-Aven, w Bretani. Z naiwną chytrością Vincent tłumaczy bratu, że projekt jest bardzo rozsądny.

Na razie maluje bez chwili wytchnienia. Ma nawet modeli: ordynans podoficera żuawów, potem oficer, pani Ginoux, właścicielka kawiarni dworcowej, jakiś wolarz i cała rodzina zacnego listonosza Roulin. Vincent maluje żelazny most na Rodanie, statki, wnętrze Cafe de l'Alcazar. Wszystko nadaje się do malowania: drzewa migdałowe, bukiety słoneczników... Drażniący gwałtowny mistral oraz moskity, to dwie plagi dla malarza pleneru. Gdyby nie one, Prowansja byłaby idealnym miejscem pobytu. Malarstwo Vincenta zmienia się: „Ach! ci, co nie wierzą w słońce, są bardzo bezbożni"; powiada, że wraca do swoich dawnych pomysłów, z czasów kiedy nie znał jeszcze impresjonistów.

Brak mu rozmów o malarstwie. Toteż nalega, żeby Gauguin przyjechał możliwie szybko. Na początku listopada Theo posyła Vincentowi trzysta franków na umeblowanie pawilonu, gdzie artysta zamieszka wreszcie na stałe. Kupuje lustro, co pozwoli mu rozpocząć serię autoportretów. Kuszą go również tematy poetyckie: maluje cykl „ogród poety" oraz niezwykłe płótno, noc gwiaździstą nad Rodanem, swoją sypialnię wreszcie. Humor wciąż zmienny. Ledwo się odżywia w okresach, kiedy brak mu pieniędzy — nigdy nie umiał sobie z nimi radzić.

Gauguin przyjeżdża w październiku. Pierwszy dzień mija na podniecających rozmowach. Vincent oprowadza Gauguina po Arles. Piją absynt w kawiarniach. Nazajutrz zabierają się do pracy. Gauguin traktuje Vincenta trochę jak swego ucznia, myśli, że trzeba mu rad. Ich sposoby malowania są zupełnie różne: Vincent przystępuje natychmiast do pracy, daje się ponieść natchnieniu;

Gauguin zastanawia się, rozważa, komponuje, bardziej posługuje się wyobraźnią.

Gauguin, na którego wpływ wywarł młody Bernard, oddziała z kolei na Vincenta; van Gogh otrząśnie się z tego jednak szybko i w sposób bardzo gwałtowny. Gauguinowi niezbyt podoba się Arles; nawet Arlezjanki, słynne z piękności, mało go obchodzą; znów marzy o krajach egzotycznych. Na razie zachęca Vincenta do picia absyntu. Podczas napiętych dyskusji o sztuce Gauguin zarzuca Vincentowi jego uwielbienie dla Meissoniera i brak zainteresowania dla Ingresa. Inne źródło nieporozumień: Vincent pozbawiony jest zmysłu organizacji w życiu codziennym, co drażni Gauguina: nic dziwnego, że zawsze ma kłopoty z pieniędzmi. Vincent, coraz bardziej rozgorączkowany, budzi niepokój. Z drugiej strony Gauguin swym tonem wyższości doprowadza do wściekłości Vincenta.

Po dwóch miesiącach wspólnego życia Gauguin myśli o odjeździe. Vincenta irytuje to jeszcze bardziej. Z końcem grudnia, kiedy siedzą w pobliskiej kawiarni, Vincent rzuca nagle w twarz Gauguinowi kieliszek z absyntem. Gauguin obawia się skandalu i ma dość przytomności umysłu, żeby zaprowadzić Vincenta natychmiast do domu. Tu zmusza go do położenia się do łóżka. Vincent jest posłuszny i nieco ogłupiały; zasypia natychmiast. Nazajutrz przypomniawszy sobie tę scenę, próbuje się tłumaczyć. Ale Gauguin postanowił wyjechać. Wieczorem nie chce pójść do kawiarni z Vincentem ani z nim zostać, wychodzi. Ledwie znalazł się w pobliskim parku, słyszy za sobą szybkie kroki; odwraca się i widzi Vincenta z otwartą brzytwą w ręce. Spojrzenie Gauguina zatrzymuje go na miejscu. Pochyla głowę, cofa się i biegnie z powrotem do pawilonu. Nikt nic nie widział, na szczęście. Gauguin nocuje w hotelu.

Vincent, pod wpływem halucynacji, słysząc jakieś brzęczenie w uchu i czując niejasne wyrzuty sumienia, chce

się ukarać: tą samą brzytwą ucina sobie pół ucha. Brzęczenie znika, pali go tylko zranione miejsce. Wyciera krew ręcznikiem. Nagła myśl każe mu zawinąć odcięty kawałek ucha w papier. Gaby prosiła go kiedyś, żeby ofiarował jej prezent na gwiazdkę; dodała żartem, że jeśli nie da jej prezentu, niechaj ofiaruje jej własne ucho (na arenie toreador otrzymuje w hołdzie ucho byka). Vincent wkłada czapkę na głowę, idzie do domu publicznego i podaje pakiecik dziewczynie. „Oto — mówi — mała pamiątka ode mnie," Wychodzi natychmiast, zataczając się nieco wraca do domu, kładzie się do łóżka i zasypia, jakby był strudzony ciężką pracą. Gaby mdleje niemal, otwierając pa-kiecik; pani Virginie, właścicielka zakładu, śpieszy uprzedzić policję.

Nazajutrz Gauguin, wracając do pawilonu po swoje rzeczy, widzi zbiegowisko przed domem. Vincent leży na łóżku, cały we krwi, ale ciało ma ciepłe, serce bije; trzeba nim tylko potrząsnąć, żeby oprzytomniał. Gauguin ucieka: „Jeśli będzie o mnie pytał, powiedzcie mu, że wyjechałem do Paryża. Mój widok mógłby mu być przykry". Vincent, wróciwszy do przytomności, natychmiast woła Gauguina, żąda tytoniu i fajki. Komisarz policji każe go odwieźć do szpitala, gdzie Vincent wpada w takie podniecenie, że muszą go zamknąć w celi furiatów.

Przyjeżdża Theo, ponieważ jednak bratu nie grozi niebezpieczeństwo i jest już spokojny, wraca do Paryża, dokąd wzywa go praca. Vincent znajduje się we wspólnej sali; opiekuje się nim młody lekarz szpitalny, nazwiskiem Rey.

Znowu może pisać do Thea, ale jego listy z początku są niejasne. Dobra wiadomość: brat zaręczył się z panną Bonger, Holenderką. Zła wiadomość: właściciel pawilonu, w lęku przed skandalem, nie chce go nadal odnajmować. Vincent opuszcza szpital w dwa tygodnie po ataku. Lekarz orzeka, że nie jest to obłęd, ale rodzaj epilepsji

(odziedziczonej po rodzinie matki). Listonosz Roulin, zawsze mu przyjazny, każe posprzątać mieszkanie, usunąć ślady krwi. Vincent chodzi co dzień do szpitala na opatrunki. Czuje się lepiej, jada i trawi dobrze, wraca mu jasność myśli. Znikły halucynacje, ale wciąż cierpi na bezsenność i nocne koszmary. Vincentowi zależy na tym, żeby namalować portret Reya (pod pretekstem, że brak mu modela); lekarz dość lubi towarzystwo swego pacjenta, nie rozumie jednak nic z jego malarstwa. Vincent maluje też dwa autoportrety, z głową jeszcze zabandażowaną pod futrzaną czapką.

Vincenta otacza teraz w małym Arles najgorsza reputacja. To nie przeszkadza mu malować, a wszystko jest dla niego dobrym tematem: zwykłe krzesło wiejskie, wyplatany fotel; skończył również portret żony Roulina, Piastunkę, rozpoczętą przed chorobą; chce ponadto malować panią Roulin w kilku innych wersjach. Jego przyjaciel Roulin zostaje przeniesiony do Marsylii: jest to wielka strata dla Vincenta. Vincent wraca do domu publicznego przy ulicy des Récolettes. Gaby przyjmuje go dobrze, mówiąc, że „takie rzeczy zdarzają się tutaj, nic w tym szczególnego". Następny krótki atak: musi pozostać kilka dni w szpitalu. Po powrocie do domu osobliwa scena: ludzie zebrani przed oknami krzyczą, chcą zobaczyć „wariata". Vincent obrzuca ich wyzwiskami. Czy uczynił niesłusznie? Z końcem lutego nowy atak, halucynacje i straszne lęki; w rezultacie znajduje się znowu w celi. Mieszkańcy Arles domagają się tego. Vincent zostaje w szpitalu; nie pozwalają mu palić, co jest dla niego ciężką próbą, nudzi się. Jedyną przyjemnością tego okresu jest wizyta Signaka. Pozwalają Vincentowi wyjść z nim na miasto. Idą do pawilonu, gdzie Signac staje olśniony przed niektórymi płótnami van Gogha. Vincent ofiarowuje mu martwą naturę, ale pod wieczór, wyczerpany i pijany rozmową o malarstwie, chwieje się na nogach.

Na Wielkanoc, jak było do przewidzenia, zabierają mu mieszkanie. Vincent uważa to za niesprawiedliwe: wydał pieniądze, doprowadził do porządku ten niezamieszkały pawilon. Pozostaje w szpitalu, przyzwyczaja się i wyznaje, ze. zgodziłby się tu zostać na zawsze, ma bowiem motywy do malowania: dziedziniec z arkadami, mały ogródek, okrągłą sadzawkę i czerwone rybki.

Pastor Salles, który często odwiedza Vincenta, opowiada mu, że niedaleko Arles, w Saint-Remy-de-Provence, w pięknej okolicy znajduje się lecznicą. Jego właśnie mu trzeba: Vincent będzie tam jak w klasztorze odtąd żadnych trosk p życie codzienne, jedzenie, ubranie itd. Stała opłata za pobyt uwolni go również od ciągłych kłopotów pieniężnych, Nade wszystko zaś będzie mógł malować, ile zechce. Pastor Salles obiecuje zająć się tą sprawą, na co Vincent zgadza się chętnie, jest bowiem świadom swego stanu. W Saint-Remy będzie w zamknięciu ni będąc uwięziony — może nawet liczyć na niejaką swobod. I będzie mógł malować w plenerze.

21 lutego 1888

Podczas podróży co najmniej tyleż myślałem o tobie, co o nowej ziemi, którą oglądałem.

Powiedziałem sobie tylko, że w przyszłości będziesz tu może często przyjeżdżał. Wydaje mi się, że jest rzeczą niemożliwą malować w Paryżu, chyba że ma się jakieś schronienie, gdzie człowiek odzyskuje siły, spokój i pewność siebie. Bez tego można zgłupieć z kretesem.

Teraz powiem ci, że wszędzie leży tu śnieg, co najmniej 60 centymetrów, i śnieg dalej nie przestaje padać.

Arles nie wydaje mi się większe od Bredy czy Mons.

Nie dojeżdżając do Taraskonu ujrzałem wspaniały pejzaż z ogromnych żółtych skał, dziwne pomieszanie najbardziej wyniosłych form.

W dolinkach pomiędzy tymi skałami szeregi małych okrągłych drzew o liściach w kolorze zieleni oliwkowej lub szarej zieleni, które mogą być drzewami cytrynowymi.

Od Taraskonu do Arles natomiast krajobraz jest płaski. Zauważyłem wspaniałe czerwone tereny z winnicami na tle gór o najdelikatniejszych liliowych barwach. Pejzaże w śniegu, z białymi szczytami na tle nieba równie świetlistego jak śnieg, były jak zimowe pejzaże malowane przez Japończyków.

Mój adres: Restauracja Carrel, Rue Cavalerie 30, Arles (Departament Bouches-du-Rhône).

Byłem wczoraj bardzo zmęczony, obejrzałem więc tylko pobieżnie miasto.

Bez daty

Nie uważam na razie, żeby życie było tu tak świetne, jak mogłem się tego spodziewać, ale zrobiłem trzy szkice, czego w Paryżu, w tym samym czasie, nie potrafiłbym prawdopodobnie zrobić.

Cieszę się, że wiadomości z Holandii są dość dobre.

Chwilami zdaje mi się, że krew zacznie mi na nowo płynąć w żyłach; inaczej było ostatnio w Paryżu i dlatego naprawdę nie mogłem tam dłużej wytrzymać.

Bez daty

Otrzymałem list od Gauguina, który pisze mi, że był chory i leżał przez dwa tygodnie w łóżku; że nie ma grosza, musi bowiem zapłacić długi nie cierpiące zwłoki; że chciałby wiedzieć, czy mu coś sprzedałeś, ale nie pisze do ciebie z obawy, że sprawi ci kłopot; i tak mu zależy na szybkim zdobyciu pieniędzy, że zgodziłby się obniżyć jeszcze ceny swoich obrazów.

W tej sprawie ze swej strony mogę tylko napisać do Russella, co zrobię dziś jeszcze.

Próbował również sprzedać jakiś obraz przez Tersteega. Cóż, jest w wielkim kłopocie. Posyłam ci słówko dla niego na wypadek, gdybyś miał mu coś do zakomunikowania. Otwórz listy, jeśli przyjdą do mnie, będziesz znał wcześniej ich treść i oszczędzisz mi powtarzania jej tobie. To już raz na zawsze.

Czy chciałbyś wziąć od niego dla firmy pejzaż morski? Gdyby to było możliwe, miałby chwilowo spokój.

Bez daty

Chciałem ci posłać list Gauguina, ale wydało mi się, że go spaliłem z innymi papierami; znalazłem go potem i dołączyłem do tego listu. Napisałem już do niego, posłałem mu adres Russella, zaś adres Gauguina przekazałem Russellowi, żeby mogli, jeśli zechcą, nawiązać bezpośredni kontakt.

Ale jakże trudna jest przyszłość dla wielu spośród nas i dla nas samych! Wierzę w zwycięstwo ostateczne, ale czy artyści z niego skorzystają, czy ujrzą dni bardziej pogodne.

Przeczytałem Tartarina w Alpach, ogromnie mnie to ubawiło.

Biedny Gauguin nie ma szczęścia, obawiam się, że rekonwalescencja potrwa dłużej niż te dwa tygodnie, które przeleżał w łóżku.

U diabła, kiedyż narodzi się wreszcie pokolenie zdrowych artystów! Chwilami jestem doprawdy wściekły na siebie, bo nie wystarczy mieć takie mniej więcej zdrowie jak inni; ideałem byłby temperament dość silny, żeby żyć 80 lat, a przy tym prawdziwie dobra krew.

Byłoby jednak pociechą, gdyby człowiek wiedział, że nadejdzie pokolenie artystów bardziej szczęśliwych.

10 marca 1888

Co sądzisz o śmierci cesarza Wilhelma? Czy to przyspieszy wydarzenia we Francji i co powie na to Paryż? Wątpię, żeby nie było reakcji. I jaki to wszystko będzie miało wpływ na handel obrazami? Czytałem, że podobno zniesie się opłaty celne za obrazy wywożone do Ameryki, czy to prawda?

Może łatwiejsze byłoby porozumienie pomiędzy kilku sprzedawcami obrazów ,i amatorami, jeśli idzie o obrazy impresjonistów, niż zgoda artystów na równy podział dochodów z prac sprzedanych. Byłoby jednak najlepiej, gdyby artyści się zjednoczyli, oddali swoje obrazy związkowi i dzielili się dochodami ze sprzedaży, tak by związek gwarantował możliwość egzystencji i pracy każdemu ze swoich członków.

Bez daty

Dlatego — choć martwi mnie, że na razie wydatki są duże, a obrazy nie mają wartości pieniężnej — dlatego nie tracę nadziei i Spodziewała się; dobrych rezultatów podróży na Południe.

Widzą tu rzeczy nowe, uczę się, a mój organizm w lepszych warunkach nie odmawia mi swych usług.

Dla wielu powodów chciałbym tu stworzyć jakąś przystań, miejsce odpoczynku dla biednych, zmęczonych dorożkarskich koni t Paryża — dla ciebie i dla naszych przyjaciół, biednych impresjonistów.

Byłem obecny przy. śledztwie w związku ze zbrodnią popełnioną u wejścia do tutejszego domu publicznego: dwaj Włosi zabili dwóch żuawów. Skorzystałem z okazji, by

odwiedzić jeden z tych domów, znajdujących się przy uliczce zwanej ,,des ricotettes".

Do tego ograniczają się moje poczynania miłosne, jeśli idzie o Arlezjanki. Tłumowi nie udało się — południowiec, wzrorem Tartarina, więcej ma rozmachu w zamiarze niż w czynie — tłumowi nie udało się więc zlinczować morderców zamkniętych w ratuszu, ale udało mu się doprowadzić do tego, że wszyscy Włosi i wszystkie Włoszki, w tej liczbie bachory saubaudzkie, musieli opuścić miasto.

Nie pisałbym ci o tym wszystkim, gdybym nie chciał ci powiedzieć, że widziałem na bulwarach tego małego miasta cały ten przebudzony tłum. To było doprawdy piękne.

Bez daty

Otrzymałem list od Gauguina, który skarży się na kiepską pogodę, wciąż jest chory i mówi, że nic go bardziej nie drażni wśród rozmaitych utrapień ludzkich niż brak pieniędzy; a jednak czuje, że skazany jest na to, by klepać biedę po wieki.

Czytałem Piotra i Jana Guy de Maupassanta, to piękne, czy czytałeś wstęp wyjaśniający, że artysta ma prawo do przesady, do tworzenia w powieści świata piękniejszego, prostszego, bardziej pocieszającego? Dalej Maupassant cytuje powiedzenie Flauberta: talent to długa cierpliwość, a oryginalność to wysiłek woli i natężona obserwacja.

Jest tu portal gotycki, który zaczynam uważać za cudowny, portal Saint-Trophime.

Ale ten pomnik w wielkim stylu jest tak okrutny, potworny jak maszkara chińska, że wydaje mi się z innego świata, do którego, ku mojej radości, tak samo nie należę jak do wspaniałego świata Rzymianina Nerona.

Czy mam ci powiedzieć prawdę i dodać, że żuawi, domy publiczne, urocze małe Arlezjanki idące do pierwszej komunii, ksiądz w komży, który przypomina niebezpiecznego nosorożca, i ludzie pijący absynt — wydają mi się również z innego świata? Nie znaczy to, że czułbym się u siebie w świecie artystycznym, ale że wolę się obełgiwać niż czuć się sam. I zdaje mi się, że byłbym smutny, gdybym nie brał wszystkiego z odrobiną humoru. Miałeś śniegu w bród w Paryżu, jeśli wierzyć temu, co mówi nasz przyjaciel L'Intransigeant . To wcale niezłe, co radzi generałowi Boulanger pewien dziennikarz, a mianowicie, żeby używał różowych okularów, które bardziej harmonizują z brodą generała, i co zmyli zarazem tajną policję. Może to będzie miało dobry wpływ — tak bardzo od dawna pożądany — na handel obrazami.

Bez daty

Chociaż tym razem jest to zupełnie bez znaczenia, w przyszłości należałoby używać w katalogu mego imienia, nie zaś nazwiska, jak to robię podpisując obrazy. Vincent, a nie van Gogh, dla tej prostej przyczyny, że nazwiska nikt tu nie potrafi wymówić.

Bez daty

Tutejsze powietrze robi mi zdecydowanie dobrze, życzyłbym ci, żebyś go miał pełne płuca; pod jednym względem jego działanie jest dość szczególne: wystarczy kieliszek koniaku, żebym się czuł zamroczony. Toteż nie szukam pomocy w środkach pobudzających i bardziej oszczędzam organizm.

Żołądek mam jednak okropnie słaby, odkąd jestem tutaj; rzecz wymaga prawodopodobnie wielkiej cierpliwości.

Mam nadzieję, że w tym roku zrobię prawdziwe postępy, czego mi zresztą bardzo trzeba.

Żyję w nieustannej gorączce pracy.

Bardzo jestem ciekaw rezultatów po upływie roku, mam nadzieję, że wówczas mniej będzie mi dokuczać złe samopoczucie. W pewne dni cierpię bardzo, ale wcale się tym nie martwię, to tylko reakcja po tej niezwykłej zimie. A krew się odświeża i to jest najważniejsze.

Trzeba, żeby moje obrazy warte były tyle, ile wydaję, a nawet więcej, jeśli pamiętać o wydatkach dawniejszych. Ale dojdziemy do tego . Nie wszystko mi wychodzi, oczywiście, ale praca posuwa się naprzód. Jak dotąd, nie skarżyłeś się na moje wydatki tutaj, ale uprzedzam cię, że jeśli nadal będę tyle pracował, z trudem zwiążę koniec z końcem. Może pracuję nad miarę.

Jeśli zdarzy się miesiąc albo dwa tygodnie, kiedy będzie ci trudno, uprzedź mnie, zacznę robić rysunki, to będzie nas mniej kosztowało. Mówię ci o tym, abyś wiedział, że nie musisz pracować ponad siły, tu jest tyle do zrobienia, studia najrozmaitszych rodzajów, to nie Paryż: wszędzie można tu malować i rysować.

Gdybyś mógł mi przysłać w tym miesiącu trochę więcej pieniędzy, byłoby doskonale: sady w kwiatach to temat, który nadaje się do sprzedaży lub wymiany.

Ale myślałem o tym, że masz terminy płatności, więc uprzedź mnie, gdyby to było zbyt kłopotliwe dla ciebie.

Bez daty

Żałowałem, że mimo wszystko nie zwróciłem się po farby do ojca Tanguy, chociaż nie jest to dogodne —

przeciwne — ale taki z niego osobliwy człowiek i myślę tu o nim często. Nie zapomnij pozdrowić go ode mnie, jeśli go zobaczysz, i powiedz mu, ze gdyby chciał mieć obrazy do swojej witryny, dam mu, i to najlepsze. Ach, wydaje mi się coraz bardziej, że ludzie to korzeń wszystkiego, i chociaż napawa mnie wieczną melancholią, że jestem poza prawdziwym życiem, w tym sensie, że lepszym materiałem jest ciało niż farba i gips, i w tym sensie, że lepiej byłoby robić dzieci niż obrazy lub interesy, jednak czuję, że żyję, kiedy pomyślę, że mam przyjaciół w tych, którzy także są poza prawdziwym życiem.

Ale właśnie dlatego, że setce ludzi jest także sercem spraw, należałoby zdobyć przyjaciół w Holandii albo raczej ożywić stare przyjaźnie. Tym bardziej że jeśli idzie o impresjonizm, ma on w tej chwili wszystkie szanse. I właśnie ze względu na to zwycięstwo, niemal zapewnione z góry, powinniśmy zachowywać się jak należy i robić wszystko ze spokojem.

20 kwietnia 1888

Kiedy po bardzo długim czasie wychodzi się z więzienia, zdarzają się chwile, w których żal więzienia: wolność bowiem dezorientuje — nazwana wolnością prawdopodobnie dlatego, że udręka zarabiania na życie codzienne nie pozostawia miejsca na wolność.

Żołądek mam bardzo słaby, ale spodziewam się, że to minie, trzeba czasu i cierpliwości. W każdym razie czuje. się już naprawdę znacznie lepiej niż w Paryżu.

Wydaje mi się zresztą, że tu właśnie nie trzeba dużo jeść, i przy tej okazji chciałbym ci powiedzieć, że coraz bardziej powątpiewam o prawdziwości legendy głoszącej jakoby Monticelli pił ogromne ilości absyntu. Patrząc na jego

dzieło nie sądzę, by mógł je stworzyć człowiek pobudzany alkoholem.

Bez daty

Na razie mam kłopoty i nie sądzę, żebym zyskał zostając tam, gdzie jestem; wynajmę raczej pokój albo dwa pokoje, jeden do spania, drugi do pracy.

Ludzie tutejsi zbyt pamiętają o tym i każą sobie płacić drożej za to, że wraz z moimi obrazami zabieram im więcej miejsca niż inni, którzy nie są malarzami. Ja zaś chcę korzystać z tego, że zostanę tu dłużej i że wydaję więcej na hotel niż przyjezdni robotnicy.

Odtąd nie dostaną ode mnie łatwo ani grosza.

Ale wielka to bieda ciągnąć za sobą cały warsztat i obrazy, utrudnia to Wyjście i powrót.

Ponieważ i tak muszę zmienić mieszkanie, czy chcesz lub czy uważasz raczej za stosowny wyjazd teraz do Marsylii?

Maj 1888

Przyszłości nie widzę w czarnych barwach, ale najeżoną trudnościami i czasem zadaję sobie pytanie, czy te trudności nie będą silniejsze ode mnie. Zdarza się to zwłaszcza w chwilach słabości fizycznej, a w ostatnim tygodniu cierpiałem okropnie z powodu bólu zębów, przez co wbrew woli zmarnowałem czas.

Nie bałbym się niczego, gdyby nie to przeklęte zdrowie. A jednak mam się lepiej niż w Paryżu i jeśli mój żołądek jest teraz bardzo słaby, nabawiłem się tej choroby w Paryżu — za wiele piłem kiepskiego wina. Tu wino jest również

kiepskie, ale piję go bardzo mało. Rzecz więc w tym, że jedząc i pijąc bardzo mało, jestem słaby, ale krew się odnawia zamiast się psuć.

- Jeszcze więc raz cierpliwości i wytrwałości, oto czego mi trzeba.

Gdybym mógł tu dostać mocnego rosołu, pomogłoby mi to od razu; ale nigdy nie mogę dostać tego, co chcę, a przecież są to najprostsze potrawy. I tak jest wszędzie w tych restauracyjkach.

A przecież nie jest tak trudno ugotować kartofle.

Niemożliwe.

Proszę więc o ryż albo makaron — także nie; albo podają potrawę tonącą w tłuszczu, albo tłumaczą, że nie mogą zrobić, że będzie jutro, że nie ma miejsca w piecyku itd.

To głupie, ale właśnie dlatego mam kłopoty ze zdrowiem.

Jednakże powzięcie decyzji kosztowało mnie wiele obaw, mówiłem bowiem sobie, że w Hadze i w Nuenen próbowałem mieć pracownię i że to się źle skończyło. Od tego czasu zmieniło się wiele; czuję się na pewniejszym gruncie, idźmy więc naprzód. Tylko że utopiliśmy już tyle pieniędzy w tym przeklętym malarstwie i trzeba pamiętać, że obrazy powinny je zwrócić.

Jeśli ośmielimy się wierzyć — ja jestem o tym przekonany — że obrazy impresjonistów pójdą w górę, musi ich być dużo i trzeba utrzymać je w cenie. Jeszcze jeden powód, dla którego należy dbać o jakość i nie tracić czasu.

Wydaje mi się, że jeśli tak będzie, po upływie kilku lat wydany kapitał znajdzie się z powrotem w naszych rękach, jeśli nie w pieniądzach, to w walorach.

W każdym razie pracownia zbyt jest na widoku, żeby mogła skusić jakąś zacną kobietę, i nie sądzę, by wypady

miłosne mogły się skończyć jakimkolwiek związkiem. Obyczaje są tu zresztą, jak mi się zdaje, mniej nieludzkie i mniej przeciwne naturze niż w Paryżu. Ale przy moim temperamencie nie sposób pogodzić rozrywki tego rodzaju z pracą, trzeba więc będzie zadowolić się malowaniem obrazów. Nie jest to szczęście ani prawdziwe życie, ale czego chcesz? Nawet to życie artystyczne, o którym wiemy, że nie jest prawdziwe, wydaje mi się dość żywe i byłoby niewdzięcznością nim się nie zadowolić.

4 maja 1888

Wczoraj byłem u sprzedawców mebli, żeby zobaczyć, czy mógłbym wypożyczyć łóżko itd. Niestety, n i e wypożyczają, a nawet nie chcą sprzedać na raty. To dosyć kłopotliwe.

Byłem niewątpliwie na prostej drodze do paraliżu, kiedy opuszczałem Paryż. I nieźle zapłaciłem za to potem! Kiedy przestałem pić, kiedy przestałem tyle palić, kiedy zacząłem zastanawiać się, zamiast unikać myślenia, mój Boże, co za melancholia, co za przygnębienie! Praca wśród tej wspaniałej przyrody podtrzymywała mnie na duchu, ale nawet tu, u kresu pewnych zamierzeń, brakło mi sił. Dlatego właśnie pisałem do ciebie kiedyś, że jeśli porzucisz Goupilów, moralnie będziesz się czuł prawdopodobnie lepiej, ale wyzdrowienie będzie bardzo bolesne. Choroby zaś niemal się nie czuje.

Mój biedny przyjacielu, nasze nerwice itd. płyną z naszego trybu życia, nieco zbyt artystycznego, ale są też zgubnym dziedzictwem, ponieważ w świecie cywilizowanym ludzie słabną z pokolenia na pokolenie. Jeśli chcemy wiedzieć, jak naprawcie jest z nami, musimy stwierdzić, że należymy do tych, co cierpią na nerwice, odziedziczone po pokoleniach.

Gruby ma rację, kiedy mówi, że w takich wypadkach należy dobrze się odżywiać, spokojnie żyć, rzadko widywać kobiety, słowem zachowywać się zawczasu tak, jakby się już miało chorobę mózgu czy rdzenia, nie mówiąc o nerwicy, która jest faktem. To właśnie nazywa się wziąć byka za rogi, co nie jest złą polityką.

A jednak, czy nie czujesz jak i ja, że to jest diablo trudne? I czy nie jest rzeczą znakomitą słuchać mądrych rad Riveta i Panglossa, tych doskonałych optymistów prawdziwej, jowialnej rasy galijskiej, którzy pozostawiają nam naszą miłość własną?

Jednakże, jeśli chcemy żyć i pracować, musimy być bardzo ostrożni i uważać na siebie. Zimna woda, powietrze, jedzenie proste i dobre, przyzwoite ubranie, wygodne spanie i jak najmniej kłopotów.

I nie pozwalać sobie na kobiety i prawdziwe życie w tej mierze, w jakiej by się tego pragnęło.

5 maja 1888

Piszę do Ciebie jeszcze kilka słów, po namyśle doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie kupić matę i materac i zrobić w pracowni posłanie na ziemi. W lecie będzie tak gorąco, że takie posłanie wystarczy w zupełności.

Zimą zaś zobaczymy, czy trzeba kupić łóżko, czy nie.

Przeczytałem na nowo Wszystko dla pań Zoli i ta książka wydaje mi się coraz piękniejsza.

Bez daty

Wynająłem pracownię, cały dom złożony z czterech izb (180 franków rocznie).

Teraz chodzi o to, żeby tam można było spać: kupie dziś matę, materac i koc.

Muszę jeszcze zapłacić 40 franków w hotelu, nie zostanie mi więc dużo. Ale teraz będę już miał spokój z hotelami, gdzie płaci się drogo i gdzie nie było mi dobrze. I będę miał swój dom.

Mieszkanie w hotelu nie prowadzi do niczego, teraz zaś po roku będę miał meble itd., które będą należały do mnie; nie miałoby to znaczenia, gdybym przyjechał na Południe tylko na kilka miesięcy, ale rzecz wygląda całkiem inaczej, skoro chodzi o długi pobyt.

Ja zaś nie wątpię, że zawsze będę kochał przyrodę tu-

Bez daty

Piszę do ciebie jeszcze raz dzisiaj, ponieważ chciałem zapłacić rachunek w moim hotelu, i mogłem stwierdzić raz jeszcze, że mnie okpili.

Proponowałem im, żeby się jakoś ułożyć, ale oni nie chcieli; a kiedy chciałem zabrać swoje rzeczy, nie zgodzili się na to.

Proszę bardzo, ale powiedziałem im, że to zostanie załatwione u sędziego pokoju, który może nie przyzna mi racji.

Tylko w związku z tą całą sprawą muszę mieć dość pieniędzy, żeby zapłacić, jeśli nie przyznają mi racji, 67,40 fr. zamiast 40 fr., które jestem winien. Nie śmiem więc kupić materaca i muszę iść do innego hotelu. Chciałbym cię więc prosić, żebyś umożliwił mi jednak kupno tego materaca.

Często się martwię, że jest tu drożej, niż to sobie obliczyłem, i że nie mogę wyżyć za pieniądze, które wystarczają tym, co wyjechali do Bretanii, to znaczy Bernardowi i Gauguinowi.

Teraz, kiedy czuję się lepiej, nie uważam się bynajmniej za pokonanego; gdybym zresztą miał zdrowie, które spodziewam się tu odzyskać, ani to, ani wiele innych rzeczy nie zdarzyłoby mi się tutaj.

10 maja 1888

Muszę na razie zapłacić rachunek, zastrzegając sobie jednak, że ta zapłata ma na celu jedynie zwrot moich rzeczy i że wygórowany rachunek zostanie przedłożony sędziemu.

Ale wskutek tego wszystkiego zostało mi tyle co nic; kupiłem naczynia, żebym mógł zrobić trochę kawy i rosołu w domu, dwa krzesła i stół. W rezultacie mam 15 franków.

Uważam jednak, że zapłaciłem już swój haracz nieszczęściu, i lepiej, że zdarzyło się to na początku, niż gdyby miało wypaść przy końcu mojego pobytu.

Bez daty

Nie jestem pewien, czy wygram, chociaż mam absolutne prawo do potrącenia tych 27 franków, ale nawet to nie będzie żadnym odszkodowaniem za te wszystkie kłopoty.

Z początku miałem okres pracy, która pochłaniała mnie całkowicie, potem byłem zmęczony i tak chory, że brakło mi sił, bym mógł zostać sam i zbyt byłem im powolny; oni pamiętają tylko o okresie, gdy chorując płaciłem im z góry i żądałem lepszego wina, i na tej podstawie obliczają rachunek dzisiejszy. Ale w sumie jest lepiej, że dzięki temu wszystkiemu mogłem wreszcie powziąć decyzję.

Uważam się za robotnika, nie zaś za niedołężnego cudzoziemca czy za turystę, który podróżuje dla swojej przyjemności, i byłoby brakiem energii z mojej strony, gdybym pozwolił się tak wyzyskiwać. Zabieram się więc do

urządzania pracowni, która zarazem mogłaby służyć kolegom, gdyby tu przyjechali, czy malarzom tutejszym, gdyby tacy się trafili.

Bez daty

Piszę do ciebie znów, żeby ci powiedzieć, że byłem u tęgi pana, którego arabski Żyd w Tartarinie nazywa „le zouge de paix".

Zwrócono mi jednak 12 franków i mój hotelarz dostał naganę za to, że zatrzymał moje rzeczy; jeśli nie odmawiałem zapłaty, nie miał prawa tego zrobić. Gdyby hotelarzowi przyznano rację, źle na tym wyszedłbym, nie omieszkałby bowiem wszędzie rozgłosić, że nie mogłem albo nie chciałem zapłacić i że musiał zatrzymać moje rzeczy. Teraz zaś — kiedy wyszliśmy razem — powiedział, że rozzłościł się, ale nie chciał mnie obrazić.

Prawdopodobnie jednak o to mu właśnie chodziło, skoro wiedział, że dość miałem jego budy, a ponieważ nie mógł zmusić mnie do pozostania, opowiadałby niestworzone historie tam, gdzie mieszkam teraz. Jeśli chciałem rzeczywistej obniżki kosztów, powinienem był żądać większego odszkodowania. Gdybym dał się nabrać pierwszemu lepszemu, wkrótce nie miałbym się tu gdzie podziać, rozumiesz.

Znalazłem lepszą restaurację, gdzie jadam za jednego franka.

W ostatnich dniach czuję się lepiej.

Bez daty

Jestem bardzo rad, że opuściłem tych ludzi, i od tego czasu czuję się znacznie lepiej. Przede wszystkim szkodziło

mi ich złe jedzenie i ich wino, które było prawdziwą trucizną. Za franka albo za półtora jadam teraz bardzo dobrze.

Oby tylko obrazy były warte tyle, ile kosztują. Jeśli obrazy impresjonistów pójdą w górę, dojdzie może do tego. I po kilku latach pracy można by powetować sobie przeszłość.

Za rok będę miał własny dach nad głową.

W miarą jak krew mi się poprawia, wraca znów myśl, że mi się powiedzie. Nie dziwiłoby mnie, gdyby twoja choroba była również reakcją na tę okropną zimę, która trwała całą wieczność. Z tobą byłoby więc podobnie jak ze mną, staraj się, ile możesz, korzystać z wiosennego powietrza, kładź się bardzo wcześnie musisz dużo spać, no i jedzenie: dużo świeżych jarzyn i nie pij kiepskiego wina czy kiepskiego alkoholu. Bardzo mało kobiet i wiele cierpliwości.

Jeśli nie pomoże od razu, nic nie szkodzi. Gruby będzie ci dawał dużo potraw mięsnych. Tu nie mógłbym jeść dużo mięsa i to nie jest konieczne. Mija mi otępienie, nie czuję już tak bardzo potrzeby rozrywek, nie szarpią mnie namiętności i mogę pracować z większym spokojem, mógłbym być sam nie nudząc się. Wyszedłem z tego trochę bardziej stary, ale nie bardziej smutny.

Nie uwierzę ci, jeśli powiesz mi w następnym liście, że nic ci już nie dolega, może to zmiana poważniejsza i nie zdziwiłbym się, gdybyś był trochę przygnębiony, zanim powrócisz do zdrowia. W życiu artystycznym często doznaje się nostalgii za prawdziwym życiem, idealnym i nieosiągalnym.

I czasem brak ochoty, żeby oddać się sztuce i nabrać sił w tym celu. Człowiek wie, że jest dorożkarskim koniem, i wie, że zaprzęgnie się do tej samej dorożki. I wówczas nie ma na to chęci, i wolałby żyć w prerii, gdzie jest słońce, rzeka, inne konie, tak samo wolne, i gdzie rodzi się życie.

I może w. gruncie rzeczy choroba serca płynie trochę z tego, to by mnie nie dziwiło. Człowiek nie buntuje się już

przeciw porządkowi rzeczy, nie rezygnuje również, i z tego jest chory, i ani to nie minie, ani nie może znaleźć na to lekarstwa.

Nie wiem kto nazwał ten stan: zaznać śmierci i nieśmiertelności. Ciągnąć dorożkę — to powinno być pożyteczne dla ludzi, których nie znamy. I jeśli wierzymy w nową sztukę, w artystów przyszłości, nasze przeczucie nas nie myli.

I my, którzy, jak sądzę, nie jesteśmy tak bliscy śmierci, czujemy przecież, że rzecz jest większa od nas i trwalsza niż nasze życie.

Nie umieramy, ale czujemy, że niewiele znaczymy, i za to, żeby być ogniwem w łańcuchu artystów, płacimy wygórowaną cenę — zdrowiem, młodością, wolnością, z której nie korzystamy zupełnie, tak samo jak koń dorożkarski, ciągnący pojazd z ludźmi, którzy jadą cieszyć się wiosną.

Życzę ci wreszcie, podobnie jak sobie samemu, żebyś wrócił do zdrowia, bo go nam trzeba... Sztuka jest w przyszłości, i ta sztuka powinna być tak piękna, tak młoda, że jeśli teraz oddajemy jej swoją młodość, możemy czerpać z tego pogodę. Może głupio to pisać, ale tak czuję; wydawało mi się, że ty, tak samo jak ja, cierpisz widząc, jak młodość ulatuje z dymem, ale jeśli młodość odrodzi się na nowo i objawi w tym, co robimy, nie ma nic straconego, a potęga pracy to młodość innego rodzaju. Staraj się więc wyzdrowieć, ale naprawdę, trzeba nam naszego zdrowia.

Bez daty

Jestem coraz bardziej przekonany, że nie należy sądzić Pana Boga wedle tego świata, który jest jego nieudanym szkicem... Świat został sklecony w pośpiechu, w jednym z

tych złych momentów, kiedy autor nie wiedział, co robi, i całkiem stracił głowę.

Legenda mówi, że Pan Bóg mimo wszystko zadał sobie ogromny trud robiąc ten szkic.

Skłonny jestem wierzyć, że legenda mówi prawdę, ale szkic jest chybiony pod wieloma względami. Tylko mistrzowie mylą się w taki sposób, oto może najlepsze pocieszenie, zważywszy, że człowiek ma odtąd prawo do nadziei, że weźmie odwet twórczą ręką. I od tej chwili powinniśmy brać życie, tak bardzo krytykowane dla dobrych, a nawet świetnych racji, takim, jakie jest, a pozostanie nam nadzieja zobaczenia czegoś lepszego w innym życiu.

Bez daty

Myślałem o Gauguinie; jeśli Gauguin chce tu przyjechać, w grę wchodzi jego podróż i dwa łóżka czy materace, które koniecznie musimy wówczas kupić. Ale potem, ponieważ Gauguin jest marynarzem, prawdopodobnie będziemy gotować w domu.

I za te same pieniądze, które wydaję tu sam, będziemy żyć we dwóch.

Wiesz przecie, zawsze uważałem za idiotyczne, że malarze żyją sami. Człowiek zawsze traci w odosobnieniu.

Zresztą to zgadza się z twoim pragnieniem, żeby wyciągnąć go stamtąd.

Nie możesz utrzymywać jego w Bretanii, a mnie w Prowansji.

Ale możesz uważać za słuszne, żebyśmy się dzielili, i ustalić pewną sumę, powiedzmy 250 miesięcznie, jeśli co miesiąc, prócz mojej roboty, będziesz miał jednego Gauguina.

Jeśli nie przekroczy się tej sumy, czy nie będzie to nawet korzystne?

Zresztą mnie chodzi o to, żeby być z innymi. Załączam więc brulion listu do Gauguina, który napiszę, jeśli się zgodzisz, ze zmianami, jakie trzeba będzie niewątpliwie wprowadzić w budowie zdań.

Ale wpierw napisałem tak!

Uważaj sprawę za zwykły interes, to najlepsze dla wszystkich, i tak też ją traktujmy. Ale ponieważ nie robisz interesów na własny rachunek, możesz na przykład uważać za właściwe, żebym ja się tym zajął: Gauguin byłby tu moim towarzyszem pracy.

Myślałem, że chcesz mu przyjść z pomocą jak i ja, martwi mnie, że się nie podoba, co nie zmieni się z dnia na dzień.

Nie możemy nic więcej zrobić, a inni nie zrobiliby nawet tego.

Martwi mnie, że sam tu tyle wydaję, ale nie ma na to innego sposobu, jak znaleźć kobietę z pieniędzmi albo kolegów, którzy zjednoczą się, żeby działać razem.

Otóż nie widzę kobiety, ale widzę kolegów.

Jeśli jemu to dogadza, nie można pozwolić mu marnieć.

To byłby początek związku. Bernard, który wybiera się również na Południe, przyłączy się do nas; ja zaś zawsze ciebie widzę na czele związku impresjonistów we Francji. I gdybym mógł się przydać, żeby ich zjednoczyć, chętnie zgodziłbym się, żeby byli lepsi w malarstwie ode mnie. Wiesz jak bardzo mi to dokucza, że wydaję więcej niż oni; muszę znaleźć układ korzystniejszy i dla ciebie, i dla nich. I tak właśnie będzie. Zastanów się nad tym, ale czy to nieprawda, że razem można żyć za niewielką sumę pod warunkiem, że jada się w domu?

Może później nadejdzie czas, kiedy będziemy mniej skrępowani, ale nie liczę na to. Tak byłbym rad, gdybyś najpierw miał kilka Gauguinów. Nie jestem przeciwny gotowaniu itd., ale oni są bardziej ode mnie wprawni, odbyli służbę wojskową itd.

6 czerwca 1888

Jeśli Gauguin się zgodzi i jeśli jedyną trudnością do pokonania jest przeprowadzka, lepiej go nie zostawiać. Napisałem więc wszystko, choć brakło mi czasu, miałem dwa płótna na sztalugach. Jeśli uznasz, że list jest dość jasny, wyślij go, jeśli nie albo gdybyś miał wątpliwości, nie rób tego. I nie trzeba, żeby sprawa Gauguina przeszkodziła ci w sprowadzeniu siostry, przede wszystkim zaś kolidowała z twoimi i moimi potrzebami. Skoro sami nie będziemy mieli sił, jakże wtrącać się do kłopotów innych.

Ale teraz jesteśmy już na drodze do zdrowia, czyńmy więc, co należy i co jest w naszej mocy.

Wierzę w zwycięstwo Gauguina i innych artystów, ale daleko jeszcze dziś do tego i nawet gdyby udało mu się sprzedać jedno czy dwa płótna, nic by się przez to nie zmieniło. Póki co Gauguin zdychałby jak Méryon, zniechęcony; to niedobrze, że on nie pracuje — zobaczymy zresztą, co odpowie.

Bez daty

Napisałem do Gauguina i powiedziałem mu tylko, jak bardzo żałuję, że pracujemy tak daleko od siebie i jaka szkoda, że malarze nie połączą się, by wspólnie żyć na wsi.

Musimy liczyć się z tym, że miną lata, zanim obrazy impresjonistów będą miały ustaloną wartość; żeby więc

pomóc Gauguinowi, trzeba uznać sprawę za wymagającą długiego czasu. Ale Gauguin ma tak piękny talent, że związanie się z nim byłoby dla nas krokiem naprzód.

Co do nas, musimy dbać o zdrowie, jeśli bowiem będziemy chorzy, będziemy bardziej osamotnieni niż na przykład ten biedny dozorca, który niedawno umarł; ci ludzie mają wokół siebie innych, przywykli do krzątaniny domowej i żyją bezmyślnie. Ale my z naszą myślą jesteśmy sami i niekiedy pragnęlibyśmy być głupi.

Przy naszym zdrowiu musimy żyć z kolegami.

Bez daty

Otrzymałem list od Gauguina, który pisze mi, że dostał od ciebie list zawierający 50 franków, co go bardzo wzruszyło, i że wspominasz mu o projekcie. Ponieważ posłałem ci mój list do niego, pisząc nie znal jeszcze szczegółów projektu.

Ale mówi, że ma doświadczenie, bo kiedy był ze swoim przyjacielem Lavalem na Martynice, razem urządzili się taniej, toteż przyznaje, że wspólne życie daje większe korzyści.

Pisze też, że wciąż ma bóle brzucha, i odnoszę wrażenie, że jest bardzo smutny.

Pisze, że spodziewa się znaleźć kapitał w wysokości sześciuset tysięcy franków, żeby założyć handel obrazami impresjonistów, że wytłumaczy bliżej swój plan i że chciałby widzieć ciebie na czele tego przedsięwzięcia.

Nie byłbym zdumiony, gdyby ta nadzieja była fatamorganą, mirażem nędzarza, im bardziej klepie się biedę — zwłaszcza gdy się jest chorym — tym częściej myśli się o podobnych możliwościach. Ten jego plan to jeszcze

jeden dowód dla mnie, że on tam wegetuje i że trzeba go wyprowadzić jak najszybciej na czyste wody.

Gauguin powiada, że kiedy marynarze mają ruszyć z miejsca ogromny ciężar albo podnieść kotwicę, kiedy chcą dokonać największego wysiłku, śpiewają razem, aby dodać sobie ducha, znaleźć wspólny ton.

Tego właśnie brak artystom! Byłbym więc bardzo zdziwiony, gdyby nie chciał przyjechać, ale do kosztów hotelu i podróży dochodzi jeszcze rachunek lekarza, tak że będzie.

Ale wydaje mi się, że powinien zostawić dług i oddać obrazy w zastaw — jeśli przyjedzie tutaj; a jeśli oni tam nie zgodzą się na to, niech zostawi dług nie zostawiając obrazów. Musiałem to samo uczynić, żeby przyjechać do Paryża, i chociaż wiele rzeczy straciłem, w podobnych wypadkach nie można postąpić inaczej i lepiej iść naprzód mimo wszystko niż trwać w depresji.

Jeśli Gauguin wolałby teraz zająć się interesami, jeśli rzeczywiście ma nadzieję, że zrobi coś w Paryżu, niech jedzie, ale myślę, że rozsądniej byłoby przyjechać tutaj co najmniej na rok; widziałem tu kogoś, kto był w Tonkinie i wrócił chory z tego miłego kraju — tu zaś wraca do zdrowia.

Jestem bardzo ciekaw, co zrobi Gauguin, powiada, że w swoim czasie udało mu się u Durand-Ruela sprzedać impresjonistów za 35 000, i ma nadzieję, że potrafi to samo zrobić dla ciebie. Ale źle jest, kiedy zdrowie się psuje, nie można już wtedy pozwalać sobie na szaleństwa; i myślę, że ze wszystkiego, co Gauguin posiada, największą wartość ma jego malarstwo i że najpewniejszym dla niego interesem są jego własne obrazy. Prawdopodobnie napisze do ciebie w tych dniach, ja odpowiedziałem na jego list w ostatnią sobotę.

Myślę, że będzie bardzo trudno zapłacić wszystko, co jest tam winien, oraz podróż itd. Gdyby Russell wziął od

niego obraz, ale Russell buduje teraz dom i nie będzie miał na to. Napiszę do niego jednak. Sam mam mu coś do wysłania na zamianę, jeśli Gauguin chciałby przyjechać, mógłbym go o to poprosić z pewniejszą miną. Jest rzeczą oczywistą, że jeśli w zamian za pieniądze, które otrzymałby Gauguin, kupiono by jego obrazy po obecnej cenie, nie byłyby to pieniądze stracone. Chciałbym, żebyś miał wszystkie jego obrazy z Martyniki. Zróbmy więc, co możemy.

Bez daty

Ciekaw jestem, co zrobi Gauguin. Mam nadzieję, że będzie mógł przyjechać. Powiesz mi, że to bezcelowe myśleć o przyszłości, ale malarstwo wolno posuwa się naprzód i trzeba obliczać z góry.

Sprzedanie kilku obrazów nie zbawiłoby Gauguina tak samo jak mnie. Żeby móc pracować, trzeba mieć możliwie uregulowane życie i oprzeć na czymś egzystencję.

Jeśli zostaniemy tu obaj długo, będziemy malować obrazy coraz bardziej osobiste, ponieważ będziemy mogli głęboko poznać ten kraj.

Gdyby Gauguin przyłączył się do nas, myślę, że byłby to krok naprzód. Stalibyśmy się odkrywcami Południa, temu nie dałoby się zaprzeczyć.

Bez daty

Martwi mnie często, że malarstwo jest jak niedobra kochanka, która wydaje i wydaje, i nigdy nie ma dosyć; i powiadam sobie, że jeśli od czasu do czasu trafia się szkic znośny, byłoby znacznie taniej kupić go od innych.

Reszta, to znaczy nadzieja, że będzie się malowało lepiej, jest też po trosze fatamorganą.

W końcu nie ma na to lekarstwa, chyba że kiedyś mógłbym znaleźć dobrego towarzysza i pracować z nim razem, żeby robić więcej.

Bez daty

Jeśli Gauguin nie przyjedzie pracować razem ze mną, nie widzę innej możliwości zrównoważenia budżetu, prócz pracy.

Ta perspektywa nie przeraża mnie zbytnio. Jeśli zdrowie mnie nie zawiedzie, zabiorę się do roboty i wśród moich płócien znajdą się takie, które będzie można sprzedać.

Chciałbym ci jeszcze raz powtórzyć, że moje pragnienia osobiste są podporządkowane interesowi innych; i wydaje mi się zawsze, że kto inny mógłby korzystać z pieniędzy, które wydaję sam. Czy będzie to Vignon, czy Gauguin, czy Bernard, czy kto inny.

I że do takich związków, nawet gdyby pociągały za sobą konieczność zmiany miejsca, zawsze jestem gotów.

Dwie osoby, które się rozumieją, a nawet trzy, nie wydają dużo więcej niż jedna.

Dotyczy to także farb.

W takim wypadku, prócz gotowych obrazów, miałbyś jeszcze satysfakcję, że utrzymujesz dwie czy trzy osoby zamiast jednej.

To nastąpi wcześniej czy później. I jeśli jestem równie mocny jak inni, wiedz, że trudno się pomylić; a jeśli oni będą mieli trudności w pracy, to ja znam również te trudności i może będę wiedział, na czym polegają. Mamy więc prawo, a nawet obowiązek posuwać pracę naprzód.

I to właśnie trzeba zrobić.

Jeśli jestem sam — doprawdy, nic na to nie poradzę — mniej trzeba mi towarzystwa niż szaleńczej pracy, dlatego zamawiam tak zuchwale płótna i farby. Czuję, że żyję, kiedy pracuję bez wytchnienia.

W towarzystwie mniej będzie mi tego trzeba lub raczej będę pracował nad rzeczami bardziej złożonymi.

Ale sam mogę liczyć tylko na chwile uniesienia i dlatego pozwalam sobie na ekstrawagancje.

Bez daty

Jeśli idzie o sprawę z Tanguyem, nie radzę ci się wtrącać. Proszę cię, nie dawaj mu nowych obrazów i wycofaj je w odpowiedzi na to, że przedłożył ci rachunek i zażądał zaliczki.

Wiedz, że masz do czynienia ze starą Tanguy, a jeśli on sam postępuje w ten sposób, to znaczy, że postępuje wobec mnie fałszywie. Tanguy ma mój szkic olejny, który spodziewał się sprzedać. Winien mu jestem ten szkic, ale nie jestem mu winien ani grosza gotówką. Spierać się na ten temat, to spierać się ze starą Tanguy, czemu żaden śmiertelnik nie sprosta. Według nich (obojga Tanguyów) Guillaumin, Monet, Gauguin, wszyscy są im winni pieniądze, tak czy nie? W każdym razie, jeśli oni nie płacą, dlaczego ja miałbym płacić? Żałuję, że znowu wziąłem u niego farby, żeby mu sprawić przyjemność; może być pewien, że więcej już ich nie wezmę. Co do starej Tanguy, która jest jadowita, rzecz w tym, żeby działać bez gadania. Proszę cię, zabierz moje nowe obrazy. I dosyć... Gdybyś dał zaliczkę, to znaczyłoby, że uznajesz dług, którego ja nie uznaję. Nie daj się więc nabrać.

Wyrzekam się wielu rzeczy i nie uważam tego za nieszczęście, ale uważam, że pieniądze, które będą mi

potrzebne w przyszłości, zależą nieco od moich wysiłków i rozmachu teraz.

Zwróć uwagę, że Bernard będzie miał taką samą historię z obojgiem Tanguyów, tylko jeszcze gorszą.

Bez daty

Jeśli zechcesz sobie przypomnieć, że namalowałem portret ojca Tanguy, jego żony (który sprzedali), ich przyjaciela (to prawda, że Tanguy zapłacił mi za ten portret 20 franków), że kupiłem bez rabatu farb za 250 franków, na czym oczywiście zarobili, że wreszcie w niemniejszym stopniu byłem jego przyjacielem jak on moim — mam dość ważkie powody, by kwestionować jego prawo do żądania ode mnie pieniędzy; rachunek jest wyrównany, ma bowiem jeszcze mój szkic olejny, tym bardziej iż było ułożone, że pokryje dług ze sprzedaży obrazu.

Ksantypa, stara Tanguy i inne damy wskutek dziwnego kaprysu natury mają mózg z krzemienia czy też ze skałki. Nie ulega wątpliwości, że te kobiety są o wiele bardziej szkodliwe w cywilizowanym społeczeństwie, gdzie się obracają, niż obywatele pogryzieni przez wściekłe psy, przebywający w Instytucie Pasteura. Toteż ojciec Tanguy miałby po stokroć rację, gdyby zabił swoją damę... nie czyni tego podobnie jak Sokrates...

I dlatego ojciec Tanguy — dzięki swej rezygnacji i cierpliwości — jest bliższy dawnym chrześcijanom, męczennikom i niewolnikom niż nowoczesnym rajfurom z Paryża.

Niemniej nie ma żadnego powodu, żeby zapłacić mu 80 franków, istnieje natomiast tysiąc racji, dla których nigdy nie należy się z nim pogniewać, nawet gdyby on się pogniewał; w tym wypadku jednak należałoby go wyrzucić za drzwi albo przynajmniej odprawić z kwitkiem.

Czy pamiętasz u Guy de Maupassanta tego pana, który polował na króliki i inną zwierzynę, a robił to tak namiętnie przez dziesięć lat i tak zmęczył się gonitwą za zwierzyną, że w chwili kiedy chciał się ożenić, po prostu nie mógł, co stało się powodem jego wielkiego niepokoju i konsternacji?

Nie będąc w sytuacji tego pana, jako że ani muszę, ani chcę się żenić, zaczynam być do niego podobny w sensie fizycznym. Wedle znakomitego mistrza Ziema, mężczyzna staje się ambitny od chwili, kiedy ma trudności z kobietami. Mieć kobiety lub nie, jest dla mnie sprawą dość obojętną, ale nie zgadzam się, że to musi pobudzać moją ambicję.

Tylko jeden wielki filozof swojej epoki i swego kraju, a tym samym wszystkich epok i krajów — doskonały mistrz Pangloss — mógłby mi pomóc i uspokoić duszę, gdyby był tutaj.

Dziwne to zjawisko, że wszyscy artyści, poeci, muzycy, malarze, są w sensie materialnym nieszczęśliwi — i ci, co są szczęśliwi, również — to, co ostatnio mówiłeś mi o Guy de Maupassancie, dowodzi tego raz jeszcze. To dotyka wiecznej kwestii: czy życie jest całe dla nas widoczne, czy też przed śmiercią znamy tylko jedną jego część.

Malarze — żeby pozostać tylko przy nich — kiedy już nie żyją i są pogrzebani, mówią do następnego pokolenia czy do wielu następnych pokoleń swoimi dziełami.

Czy to jest wszystko, czy jest coś jeszcze więcej? W życiu malarza śmierć może nie jest rzeczą najtrudniejszą.

Przyznaję, że nic o tym nie wiem, ale widok gwiazd zawsze mnie rozmarza w równie prosty sposób, jak czarne punkty wyobrażające na mapie miasta i wsie. Dlaczego, powiadam sobie, świetlne punkty na firmamencie miałyby być dla mnie mniej dostępne niż czarne punkty na mapie Francji?

Udając się do Taraskonu czy do Rouen wsiadamy do pociągu; kiedy wybieramy się do gwiazd, śmierć jest

naszym środkiem lokomocji.

Jedno jest niewątpliwe w tym rozumowaniu: żywi nie możemy pojechać na gwiazdę, tak samo jak nie możemy wsiąść do pociągu umarli.

I w końcu nie wydaje mi się niemożliwe, żeby cholera, piasek w nerkach, suchoty, rak nie mogły być środkami komunikacji niebieskiej, tak samo jak statek parowy, omnibus i pociąg są środkami komunikacji ziemskiej.

Umrzeć spokojnie ze starości znaczyłoby pójść do nieba pieszo.

Bez daty

Z twego listu dowiedziałem się o wielkiej nowinie, że Gauguin zgadza się na propozycję. Oczywiście, byłoby lepiej, gdyby przyjechał tu wprost, zamiast wygrzebywać się na miejscu, może wpadnie w nowe kłopoty, jeśli zatrzyma się wpierw w Paryżu.

Może też uda mu się coś zrobić w Paryżu ze swoimi obrazami, co byłoby bardzo szczęśliwe. Załączam odpowiedź.

Chcę podkreślić, że jestem entuzjastą malowania nie tylko na południu, ale również na północy — z moim zdrowiem jest teraz lepiej niż przed sześciu miesiącami. Jeśli wiec wyjazd do Bretanii, gdzie pensjonat kosztuje tak tanio, jest bardziej pewny, jestem gotów jechać na północ. Ale dla niego przyjazd na południe powinien być także dobry. Zwłaszcza że na północy za cztery miesiące będzie zima. I wydaje mi się tak oczywiste, że dwie osoby pracujące w tym samym zawodzie, jeśli okoliczności nie pozwalają im więcej wydawać, powinny jadać w domu, mając chleb, wino i trochę innych rzeczy. Samemu trudno jest to zrobić.

Kiedy wracam z pleneru, głowę mam tak zmęczoną, że jeśli będzie się to powtarzać często, jak podczas tych żniw, stanę się całkiem niezdolny do dawania sobie rady z codziennymi sprawami.

W takich chwilach perspektywa, że nie będę sam, jest mi przyjemna.

Nie sądź, że sztucznie utrzymuję się w gorączkowym podnieceniu, ale wiedz, że mam swój skomplikowany rachunek; rezultatem są płótna malowane szybko, jedne po drugich, ale długo obmyślane przedtem, I jeśli ci powiedzą, że są zbyt szybko malowane, możesz odpowiedzieć że oni patrzą zbyt szybko... Podczas żniw moja praca nie była lżejsza niż praca chłopów. Bynajmniej się na to nie skarżę; właśnie wtedy czuję się prawie tak szczęśliwy w życiu artystycznym, choć nie jest to życie prawdziwe, jak mógłbym być w idealnym prawdziwym życiu.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze i jeśli Gauguin zechce ułożyć się z nami, rzecz może nabrać jeszcze większej powagi, gdyby przystał na to, że wszystkie jego i moje obrazy będą wspólne, w sensie podziału korzyści i strat. Ale tego nie można żądać, albo raczej to zrobi się samo, zależnie od tego, czy uzna moje malarstwo za złe, czy za dobre: to jest warunek współpracy.

Bez daty

Praca pochłania mnie tak bardzo, że nie mogę znaleźć czasu na list. Chciałbym znów napisać do Gauguina, obawiam się, że jest bardziej chory, niż mówi, bardzo na to wyglądało z jego ostatniego listu pisanego ołówkiem.

Czytam Cezara Birotteau Balzaka, prześlę ci książkę, kiedy ją skończę — myślę, że przeczytam na nowo całego Balzaka. Kiedy przyjechałem tu, myślałem, że potrafię znaleźć amatorów malarstwa, ale jak dotąd nie zająłem ani

centymetra w sercach ludzi. Teraz Marsylia? nie wiem, ale może to być także złudzenie. W każdym razie przestałem na to liczyć. Całymi dniami nie mówię do nikogo ani słowa, jeśli nie liczyć zamawiania obiadu czy kawy. I tak jest od początku.

A jednak dotychczas samotność nie przeszkadzała mi bardzo, tak pochłaniało mnie słońce i jego działanie na przyrodę.

Bez daty

Oto znowu generał Boulanger. Zdaje mi się, że obaj mieli rację walcząc, skoro nie mogli się porozumieć. W ten sposób przynajmniej coś się dzieje, obaj mogą na tym tylko zyskać. Czy nie uważasz, że Boulanger mówi bardzo źle, jego słowa wcale nie robią wrażenia. To mu zresztą nie ujmuje powagi, posługuje się słowem dla celów praktycznych, żeby wytłumaczyć coś oficerom czy komendantom arsenałów. Ale nie robi wrażenia na publiczności.

Jakie to dziwne miasto ten Paryż, gdzie trzeba żyć zabijając się i gdzie człowiek nie może nic zrobić, dopóki nie jest na wpół umarły, a nawet wtedy! Przeczytałem Straszny rok Wiktora Hugo. Jest tu nadzieja, ale... nadzieja w gwiazdach. Uważam, że to prawdziwe i dobrze powiedziane, i piękne, chętnie zresztą w to wierzę.

Ale nie zapominajmy, że ziemia jest również planetą, a więc gwiazdą, globem ziemskim. Gdyby te wszystkie inne gwiazdy były do niej podobne!... Nie byłoby to bardzo wesołe, ale można by zacząć na nowo. Sztuka wymaga czasu, toteż nie byłoby źle przeżyć więcej niż jedno życie. I nie pozbawiona uroku jest myśl, że Grecy, starzy mistrzowie holenderscy i japońscy kontynuują swoje wspaniałe dzieło na innych planetach. Ale na dziś wystarczy.

Bez daty

Czy masz wiadomości od Gauguina, pisałem do niego w zeszłym tygodniu, żeby dowiedzieć się o jego zdrowie i pracę.

Bez daty

Płótno, które pokrywam, jest więcej warte niż białe płótno. Oto — moje pretensje nie idą dalej, bądź pewien — moje prawo do malowania, moja racja malowania, mam je, u diabła!

Zapłaciłem za to moim zrujnowanym ciałem, moją pomyloną głową, zamiast żyć tak, jak mógłbym i jak powinienem był żyć, jako filantrop.

Ciebie kosztowało to mniej więcej tysiąc pięćset franków, które dostałem od ciebie z góry.

A zatem nie ma powodu, żeby kpić sobie z nas.

Gdybym myślał, zastanawiał się nad wszystkimi niesprzyjającymi okolicznościami, nie mógłbym nic robić, toteż zabieram się do pracy, jakbym skakał do wody — głową w dół — i wypływam na powierzchnię ze studiami obrazów; jeśli burza nazbyt huczy, wypijam jeden kieliszek więcej, żeby się ogłuszyć.

To znaczy być szalonym w porównaniu z tym, jakim powinno się być.

Ale przedtem czułem się mniej malarzem, teraz malarstwo staje się dla mnie rozrywką jak polowanie na króliki dla pomyleńców, którzy to robią, żeby się rozerwać.

Uwaga staje się bardziej skupiona, ręka pewniejsza.

Dlatego ośmielam się niemal cię zapewnić, że moje malarstwo będzie lepsze. Nie mam bowiem nic więcej.

Czy czytałeś u Goncourtów, że Jules Dupré wydawał im się także pomylony?

Jules Dupré znalazł zacnego miłośnika malarstwa, który mu płacił. Gdybym ja mógł takiego znaleźć i nie być ci takim ciężarem!

Po ataku, jaki przeszedłem przyjeżdżając tu, nie mogę układać planów ani nic, czuję się teraz stanowczo lepiej, ale nadzieja, pragnienie, żeby dojść, pękło, i pracuję z konieczności, żeby nie cierpieć tyle moralnie, żeby się rozerwać.

29 lipca 1888

Mówisz mi o pustce, którą czasem czujesz; czuję zupełnie to samo.

Jeśli uważać epokę, w której żyjemy, za prawdziwe i wielkie odrodzenie sztuki, to spróchniała i oficjalna tradycja wciąż jeszcze jest żywa, choć w gruncie rzeczy bezsilna i próżniacza; nowi malarze są sami, ubodzy, traktowani jak wariaci, i wskutek tego traktowania rzeczywiście stają się tacy w życiu społecznym.

Wiedz zatem, że twoje zadanie jest dokładnie takie samo jak tych malarzy, skoro dostarczasz im pieniędzy i sprzedajesz ich obrazy, co pozwala im malować inne. Jeśli malarz psuje sobie charakter ciężko pracując nad malarstwem, jeśli staje się niezdolny do wielu innych rzeczy, do życia rodzinnego itd.; jeśli jego malarstwo powstaje nie tylko z farb, ale z abnegacji, wyrzeczeń i łamie mu serce, twoja praca nie tylko nie jest lepiej płacona, ale kosztuje cię tyle samo, co malarza to przekreślenie osobowości — na wpół zamierzone, na wpół przypadkowe.

Mówię to po to, żebyś wiedział, że uprawiasz malarstwo pośrednio i jesteś bardziej produktywny niż ja na przykład.

Im bardziej stajesz się mar-szandem, tym bardziej stajesz się artystą.

Mam nadzieję, że mnie to też dotyczy, im bardziej jestem rozbity, chory, złamany, tym bardziej staję się artystą, twórcą w tym wielkim odrodzeniu sztuki, o którym mówimy.

Tak to wygląda, ale ta sztuka wiecznie istniejąca i to odrodzenie — zielony pęd z korzeni starego, ściętego pnia — są czymś tak uduchowionym, że ogarnia nas niejaka melancholia, kiedy myślimy, że mniejszym kosztem można by uprawiać życie zamiast uprawiać sztukę.

Powinieneś, jeśli możesz, dać mi odczuć, że sztuka jest żywa, ty, który kochasz sztukę więcej może niż ja.

Powiadam sobie, że to zależy nie od sztuki, ale ode mnie, że jedyny sposób, żeby znaleźć pewność siebie i pogodę, to malować lepiej.

Nie tylko moje obrazy, ale ja sam w ostatnich czasach stałem się dziki, jak Hugo van der Goes na obrazie Emila Wautersa.

Ponieważ jednak ogoliłem starannie całą brodę, myślę, że tyleż jestem podobny do spokojnego księdza na tym obrazie, co do szalonego malarza przedstawionego tu tak inteligentnie.

I jestem wcale zadowolony, że znajduję się między tymi dwoma, trzeba bowiem żyć, zwłaszcza że nie ma co się oszukiwać, pewnego dnia może przyjść atak...

Myślę zresztą, że powiedziałem prawdę, jednakże jeśli potrafię dopiąć tego, żeby w innych wartościach wróciły się wydane pieniądze, spełnię jedynie swój obowiązek. Z rzeczy praktycznych potrafię zrobić tylko portret. Jeśli idzie o to, że za dużo piję... nie wiem czy to jest złe. Bismarckowi, który w

każdym razie jest człowiekiem bardzo praktycznym i bardzo inteligentnym, lekarz powiedział, że pil za dużo i że przez całe życie przeciążał zarówno żołądek jak i umysł. Bismarck przestaje nagle pić. Odtąd przegrywa, ledwie się wlecze. W duchu na pewno pokpiwa sobie z lekarza, którego, na swoje szczęście, nie radził się wcześniej.

Wiedz, że nie powinniśmy nic zmieniać w naszym projekcie przyjścia z pomocą Gauguinowi, jeśli propozycja jest do przyjęcia — ale on nie jest nam potrzebny. Nie sądź, że samotna praca mi dokucza i nie przyśpieszaj nic ze względu na mnie, możesz być tego pewien.

Początek sierpnia 1888

Jakie życie jest krótkie i jakie ulotne. Co nie jest powodem, żeby gardzić żyjącymi, przeciwnie.

Toteż mamy powody, żeby przywiązywać się bardziej do artystów niż do obrazów.

Teraz mam innego modela: listonosz w niebieskim mundurze ozdobionym złotem, wielka brodata twarz, bardzo sokratesowska. Nieprzejednany republikanin, tak samo jak ojciec Tanguy. Człowiek ciekawszy od wielu innych.

Jak powiada nasza siostra, od chwili, kiedy ludzi nie staje, pamięta się tylko ich dobre momenty i ich zalety.

Ale chodzi przede wszystkim o to, żeby widzieć to, póki jeszcze są. To byłoby takie proste i wytłumaczyłoby tyle okrucieństw życia, które nas zdumiewają i rozdzierają nam serce. Gdyby życie miało drugą półkulę, niewidoczną co prawda, ale którą człowiek osiągnąłby umierając. Nasze najlepsze życzenia i sympatie dla tych, którzy odbywają tę ciekawą i poważną podróż.

Bez daty

Otrzymałem list od Gauguina, w którym pisze mi o malarstwie i skarży się, że nie ma jeszcze pieniędzy potrzebnych na przyjazd tutaj; ale nic nowego i żadnych zmian.

Bez daty

Dziś zacznę prawdopodobnie wnętrze kawiarni, gdzie przesiaduję wieczorem, w gazowym świetle.

Jest to kawiarnia, którą nazywają tu „nocną", zdarza się tu dość często, że kawiarnie pozostają otwarte przez całą noc. „Włóczędzy nocni" mogą w nich znaleźć schronienie, jeśli nie mają na zapłacenie pokoju albo jeśli są zbyt pijani, żeby im wynajęto pokój. Rodzina, ojczyzna — wszystko to jest może bardziej czarujące w wyobraźni ludzi takich jak my, którzy obywamy się dość znośnie bez ojczyzny i bez rodziny, niż w rzeczywistości. Wydaje mi się zawsze, że jestem podróżnym, który jedzie w jakimś kierunku i do jakiegoś celu.

Jeśli powiadam sobie, że kierunek, że cel nie istnieje, wydaje mi się to rozsądne i prawdziwe.

Sutener z burdelu, kiedy wyrzuca kogoś za drzwi, rządzi się podobną logiką, także rozumuje właściwie i ma rację, wiem o tym. Toteż u końca mojej kariery nie będę miał racji. Zgoda. Uznam wtedy, że nie tylko sztuki piękne, ale i cała reszta była tylko snem i że ja sam byłem niczym.

Jeśli jesteśmy tak lekkomyślni, tym lepiej dla nas, nic nie stoi wówczas na przeszkodzie nieograniczonej możliwości przyszłego życia.

Stąd nasz wuj, kiedy umarł, miał twarz spokojną, pogodną , poważną. Przecież żywy nie był taki, ani jako człowiek młody, ani jako stary. Często stwierdzałem, że tak

jest, patrząc na umarłego, jakbym go chciał spytać. I to dla mnie jakiś dowód, nie najważniejszy, życia pozagrobowego.

Dziecko w kołysce, jeśli mu się przyjrzeć dokładnie, ma również nieskończoność w oczach. W sumie nic nie wiem, ale właśnie ta świadomość niewiedzy upodabnia nasze życie realne do odcinka drogi kolejowej. Idziemy, żyjemy, nie odróżniamy żadnego przedmiotu z bardzo bliska, przede wszystkim zaś nie widzimy lokomotywy.

Rzecz dość ciekawa, że nasz wuj, podobnie jak ojciec, wierzył w przyszłe życie. Nie mówiąc już o naszym ojcu, słyszałem niejednokrotnie, jak wuj wypowiadał się na ten temat.

Byli pewniejsi od nas, przekonani, i gniewali się, jeśli próbowaliśmy zgłębić to wszystko.

Przyszłe życie artystów poprzez ich dzieła nie wydaje mi się czymś szczególnie godnym uwagi. Owszem, artyści tworzą ciąg, podają sobie pochodnię. Delacroix impresjonistom itd. Ale czy to jest wszystko?

Jeśli zacna stara matka rodziny, o umyśle dość ograniczonym i umęczonym systemem chrześcjańskim, jest nieśmiertelna, jak w to wierzy — a wierzy poważnie i ja także — dlaczego koń dorożkarski, chory na płuca albo nerwowy jak Delacroix i Goncourt, o szerokich horyzontach, miałby być śmiertelny?

A właśnie ludzie najbardziej puści czują, jak rodzi się w nich ta nieokreślona nadzieja.

Dość o tym. Ale żyjąc w cywilizacji, w Paryżu, w centrum sztuki, dlaczego nie zachować tego j a starej kobiety, skoro kobiety bez tej wiary, instynktownego „tak jest" nie znajdowałyby siły, żeby tworzyć i działać?

Lekarze powiedzą nam, że nie tylko Mojżesz, Mahomet, Chrystus, Luter, Bunyan i inni byli szaleńcami, ale i Frans Hals, Rembrandt, Delaçroix, ale i wszystkie zacne stare kobiety, ograniczone jak nasza matka.

O, to jest poważne. Można by zapytać lekarzy: gdzie są więc ludzie rozsądni?

Czy są nimi sutenerzy z burdelów, którzy zawsze mają rację? Prawdopodobnie. Co więc wybrać? Na szczęście nie ma wyboru.

Bez daty

Chwilami wydaje mi się prawdopodobne, że wybiorę się w podróż, jeśli Gauguinowi nie uda się wybrnąć i jeśli zechcemy zrealizować plan. Cóż, zostanę i tak między chłopami, to wychodzi na jedno. Nawet byłbym zdania, że powinniśmy być przygotowani na ten wyjazd, myślę bowiem, że Gauguin wkrótce może się znaleźć w okropnych tarapatach, jeśli na przykład właściciel hotelu nie zechce mu udzielić kredytu.

Można to łatwo przewidzieć i jego rozpacz byłaby tak wielka, że trzeba by to zrobić.

Chodzi tylko o moją podróż, ceny tamtejsze, które podawał, są w każdym razie znacznie niższe; tu wydaje się więcej.

Tylko, że tu dni bez pieniędzy są lepsze niż na północy ze względu na piękną pogodę (bo nawet mistral jest piękną pogodą). Wspaniałe słońce, w którym wygrzewał się Wolter pijąc swoją kawę. Mimo woli czuje się tu wszędzie Woltera i Zolę. I jakie wszystko jest żywe! jak u Jana Steena, Ostade'a.

Oczywiście, byłyby tu możliwości stworzenia szkoły malarskiej, ale ty powiesz, że przyrodą wszędzie jest piękna, jeśli wejść w nią głęboko.

Czy czytałeś Madame Chrysanthème , czy zawarłeś już znajomość z panem Kangarou, tym rajfurem „o

zdumiewającej grzeczności"? Czy znasz tera cukrzony pieprz, smażone lody i solone cukierki?

Czuję się bardzo, bardzo dobru w ostatnich dniach i sądzę, że z czasem stanę się zupełnie człowiekiem tutejszym.

Bez daty

Zapewniam cię, że gdybyś przypadkiem przysłał mi kiedyś więcej pieniędzy, zrobi to dobrze obrazom, ale nie mnie. Ja mam tylko jeden wybór: być dobrym albo złym malarzem. Wybrałem pierwsze. Ale wymagania malarstwa są jak rujnujące kochanki, nic nie można zrobić bez pieniędzy i nigdy ich nie ma dosyć.

Toteż malarstwo należałoby uprawiać na koszt społeczeństwa, a nie artysty.

Ale cóż, trzeba mi milczeć, nikt bowiem nie zmusza nas do pracy, obojętność wobec malarstwa jest niestety dość powszechna i dość wieczna.

Na szczęście, mój żołądek o tyle się poprawił, że przez trzy tygodnie żyłem marynarskimi sucharami, mlekiem i jajami.

To ten upał wraca mi siły i miałem rację, że przyjechałem teraz na Południe, zamiast czekać aż zło będzie nieodwracalne. Tak, czuję się teraz równie dobrze jak inni ludzie, gdy w Nuenen czułem się tak tylko chwilami, i to jest przyjemne. Przez innych ludzi rozumiem strajkujących robotników ziemnych, ojca Tanguy, ojca Milleta, chłopów; kiedy człowiek czuje się dobrze, powinien umieć żyć kawałkiem chleba pracując cały dzień i mieć jeszcze dość sił, żeby palić i wypić swój kieliszek, co jest w tych warunkach konieczne. I czuć gwiazdy i nieskończoność w górze. Ach, ci, co nie wierzą w słońce tutejsze, są bardzo bezbożni!

Niestety, prócz słońca dobrego Boga jest tu jeszcze przez trzy czwarte czasu diabelski mistral.

Bez daty

Dlaczego miałoby być zabronione zajmowanie się pewnymi tematami: chorobliwe i nadmiernie pobudliwe organizmy szukają rozkoszy seksualnych i czułości podobnie jak Leonardo da Vinci. Nie ja, który widywałem tylko kobiety za 2 franki, przeznaczone dla żuawów. Ale ludzie, którzy mają czas na miłość, szukają tajemniczego Leonarda. Pojmuję, że ta miłość nie zawsze będzie rozumiana przez wszystkich. Ale można by nawet napisać książki mówiące o chorobliwych zboczeniach seksualnych, bardziej poważnych niż praktyki lesbijek, i nie powinno to być wzbronione podobnie jak dokumenty medyczne i opisy chirurgiczne. Zresztą, pozostawiając na boku prawo i sprawiedliwość, ładna kobieta jest żywym cudem, gdy obraz Leonarda czy Correggia istnieje dla innych powodów. Dlaczego jestem tak mało artystą i stale żałuję, że posąg i obraz nie żyją?

Dlaczego rozumiem lepiej muzyka, dlaczego widzę lepiej racje istnienia jego abstrakcji?

Bez daty

Jesteś bardzo dobry, że przyrzekasz nam — Gauguinowi i mnie — urzeczywistnienie projektu.

Otrzymałem list od Bernarda, który od kilku dni jest z Gauguinem, Lavalem i jeszcze jednym malarzem w Pont-Aven.

W tym liście, bardzo miłym zresztą, nie ma ani słowa o tym, że G. ma zamiar do mnie przyjechać, ani też słowa o

tym, że proszą mnie do siebie; list jest jednak bardzo przyjazny.

Od Gauguina ani słowa od jakiegoś miesiąca.

Myślę, że Gauguin woli sobie radzić z przyjaciółmi z północy i jeśli sprzeda obraz albo kilka obrazów, może wiąże z tym inne projekty niż przyjazd tutaj.

Ale czy ja, który mniej niż on rwę się do walk paryskich, nie mam prawa upierać się przy swoim? Otóż właśnie. Gdybyś mógł, czy zechciałbyś mi nie dać, ale pożyczyć na rok 300 franków jednorazowo?

Przysyłasz mi teraz 250 franków miesięcznie, więc będziesz mi przysyłał tylko 200, aż zwrócę ci te 300 wypłacone od razu.

Kupię dwa dobre łóżka z pościelą po 100 franków i za sto franków inne meble.

W ten sposób będę mógł nocować w domu i będę mógł gościć Gauguina czy kogoś innego.

Zarazem oszczędzi mi to 300 franków rocznie, ponieważ płacę franka za noc.

Czułbym, że mam dom, a to jest naprawdę warunek pracy.

Nie zwiększy to moich wydatków rocznych, a będę miał meble i możliwość związania końca z końcem.

Wówczas Gauguin może przyjechać lub nie, to jego sprawa; dotrzymamy jednak obietnicy, skoro możemy go przyjąć, skoro ma zapewnione mieszkanie i łóżko.

Podkreślam to, gdyż plan pozostaje w mocy, czy Gauguin przyjedzie, czy nie, pod warunkiem, że nasz cel się nie zmieni; rzecz bowiem polega na tym, żeby uwolnić mnie i któregoś z kolegów od tego raka, który toczy naszą pracę — konieczności mieszkania w rujnujących hotelach. Bez żadnej korzyści dla nas.

Co jest czystym szaleństwem.

Myśl o beztroskim życiu, nadzieja, że pewnego dnia skończy się nędza, cóż za iluzja! Uważałbym się za bardzo szczęśliwego, gdybym mógł pracować mając wystarczającą pensję i spokój w pracowni — przez całe życie.

Otóż, powtarzam raz jeszcze, że jest mi zupełnie wszystko jedno, czy osiedlę się na stałe w Pont-Aven, czy w Arles, ale jestem nadal przekonany o konieczności założenia stałej pracowni i porzucenia hoteli.

Skoro jesteś tak dobry, że chcesz nam — Gauguinowi i mnie — pomóc urządzić się, to powiem tylko tyle: zmarnowalibyśmy twoje pieniądze i nie skończylibyśmy nigdy z klepaniem biedy, gdybyśmy nie skorzystali z okazji uwolnienia się od hotelarzy.

Jeśli o to idzie, moje przekonanie jest niezłomne i nie mam zamiaru ustąpić.

W obecnych warunkach, chociaż wydaję pieniądze, nie mam tego, co najbardziej niezbędne, i nie czuję sił, żeby długo tak ciągnąć. Gauguin może znaleźć podobną okazję w Pont-Aven, zgoda: ale gdybyśmy się urządzili tu, przy tutejszych cenach, najważniejsze byłoby zrobione. Słońce tutejsze to już dużo. A tak jak jest, rujnuję się i morduję. Teraz wszystko jest jasne, nie jadę do Pont-Aven, jeśli miabym tam mieszkać w hotelu z Anglikami i tymi ludźmi ze Szkoły Sztuk Pięknych, z którymi dyskutuje się co wieczór. Burza w szklance wody.

Bez daty

Jeśli mogłem myśleć, kiedy byłem młodszy, że pilną praca wystarczy na pokrycie potrzeb, mam teraz na ten temat coraz większe wątpliwości. Napisałem Gauguinowi w ostatnim liście, że gdybyśmy malowali jak Bouguereau, moglibyśmy spodziewać się zarobków, ale publiczność nigdy się nie zmieni, lubi zaś tylko rzeczy ckliwe i gładkie. Człowiek o talencie bardziej surowym nie powinien liczyć na

dochód ze swej pracy; większość ludzi dość inteligentnych, żeby rozumieć i kochać obrazy impresjonistów, jest i będzie zbyt biedna, by je kupować. Czy Gauguin i ja będziemy mniej pracować z tego powodu — nie! — ale musimy się zgodzić na ubóstwo, izolację społeczną i niechęć. Na początek zamieszkajmy tam, gdzie życie mniej kosztuje. Tym lepiej, jeśli przyjdzie sukces, tym lepiej, jeśli pewnego d,ni» wypłyniemy.

W dziele Zoli najbardziej trafia mi do serca Bongrand-Jundt.

To takie prawdziwe, co on mówi: „Więc pan wierzy, nieszczęsny człowieku, że artysta ma spokój, jeśli posiada talent i zdobył sobie uznanie? Przeciwnie, odtąd nie wolno mu stworzyć nic, co nie byłoby doskonałe. Jego reputacja zmusza go do tym większych wysiłków, rzadsze są możliwości sprzedaży. Przy najmniejszej oznace słabości zawistna sfora rzuca się na niego i piszczy tę właśnie reputację i zaufanie, którymi zmienna i perfidna publiczność obdarzyła go na chwilę".

Jeszcze dobitniejsze jest to, co mówi Carlyle:

„Czy znacie te świetliki brazylijskie, tak pełne blasku, że panie wpinają je wieczorem szpilkami we włosy? Sława to rzecz bardzo piękna, ale dla artysty jest tym, czym szpilka dla tych owadów.

Chcecie zdobyć powodzenie i błyszczeć, ale czy wiecie naprawdę, czego pragniecie?"

Ja mam odrazę do sukcesu, obawiam się tego jutra, które nastąpi po sukcesie impresjonistów; trudny czas obecny wyda się nam później dobrym czasem".

Gauguin i ja musimy więc przewidywać, powinniśmy pracować, by mieć dach nad głową, łóżko, wszystko, co konieczne, żeby znieść niepowodzenie, które trwać będzie przez cale nasze życie, i powinniśmy zamieszkać tam, gdzie jest najtaniej. Wówczas będziemy mieli spokój, będziemy

malowali dużo, nawet sprzedając mało albo nie sprzedając nic.

Jeśli jednak wydatki przekraczają dochody, nie mamy powodu spodziewać się, że wszystko się ułoży dzięki sprzedaży naszych obrazów.

Przeciwnie, będziemy musieli ich się pozbywać za każdą cenę i w najbardziej niesprzyjającej chwili.

A zatem wniosek końcowy: żyć tak, jak żyją pustelnicy, zrozumieć, że główną namiętnością jest praca i zrezygnować z dobrobytu.

Przyroda i piękna pogoda — oto przewagi Południa. Ale myślę, że Gauguin nigdy nie wyrzeknie się walki paryskiej, zbyt mu to leży na sercu i bardziej niż ja wierzy w trwały sukces. Nie zrobiłoby to mi przykrości, przeciwnie, może zbyt się zniechęcam. Zostawmy mu więc to złudzenie, ale pamiętajmy, że zawsze trzeba mu będzie mieszkania, chleba i farb. Na tym właśnie polega jego słabość; i dlatego, że teraz jest zadłużony, z góry wiadomo, że wystrychną go na dudka.

My, przychodząc mu z pomocą, umożliwiamy zwycięstwo paryskie.

Gdybym miał takie ambicje jak on, nie doszlibyśmy, prawdopodobnie do porozumienia. Ale nie zależy mi ani na powodzeniu, ani na szczęściu, zależy mi na trwałości wielkich zamierzeń impresjonistów, zależy mi na tym, żeby mieli dach nad głową i chleb codzienny. I poczytuję sobie za zbrodnię, że ten chleb mam, kiedy te same pieniądze wystarczyłyby na utrzymanie dwóch.

Kiedy jesteś malarzem, uchodzisz za szaleńca albo za bogacza; filiżanka mleka kosztuje franka, kanapka dwa franki, a obrazów nikt nie kupuje. Dlatego malarze powinni łączyć się ze sobą, jak to robili dawni zakonnicy — bracia we wspólnym życiu — z naszych holenderskich wrzosowisk. Widzę już, że Gauguin spodziewa się sukcesu, nie potrafi

obejść się bez Paryża, nie przewiduje, że bieda będzie trwała zawsze. Wiesz, że jest mi doskonale obojętne, czy pozostanę tu, czy wyjadę. Niech Gauguin walczy, wygra zresztą. Z dala od Paryża będzie sądził, że jest nieaktywny; ale my zachowamy obojętność, czy czeka nas sukces, czy przegrana. Zacząłem podpisywać obrazy, ale rychło zaprzestałem, wydało mi się to zbyt głupie.

Bez daty

Piszę do ciebie w pośpiechu, żeby ci powiedzieć, że dostałem list od Gauguina; mówi, że nie pisał długo, ale że wciąż jest gotów przyjechać na Południe, jeśli tylko okoliczności pozwolą.

Spędzają dobrze czas malując, dyskutując, spierając się z cnotliwymi Anglikami; Gauguin mówi wiele dobrego o pracy Bernarda, a Bernard wiele dobrego o pracy Gauguina.

Jestem bardzo rad, że Gauguin miewa się dobrze.

Bez daty

Jaka szkoda, że malarstwo kosztuje tak drogo! W tym tygodniu byłem swobodniejszy niż kiedy indziej, popuściłem sobie cugli, wydałem cały banknot stufrankowy, ale z końcem tygodnia będę miał cztery obrazy, i nawet jeśli dodam koszt zużytych farb, tydzień nie jest stracony. Wstawałem co dzień bardzo wcześnie, jadłem dobrze w południe i wieczorem i mogłem pracować pilnie nie czując osłabienia. Ale żyjemy w czasach, gdy nasza praca nie ma powodzenia; nie tylko niepodobna nic sprzedać, ale jak w przypadku Gauguina, nie można otrzymać pożyczki pod zastaw namalowanych już obrazów — nawet jeśli kwoty są nieznaczne, a obrazy doskonałe. W ten sposób wydani

jesteśmy na los szczęścia. I obawiam się, że to się nie zmieni za naszego życia. Gdybyśmy przygotowali grunt dla ludzi, których życie byłoby bogatsze, dla malarzy, którzy pójdą naszymi śladami, to byłoby już dużo.

Życie jest jednak krótkie, a zwłaszcza lata, kiedy człowiek czuje się dość silny, by stawiać czoło przeciwnościom.

Można się więc obawiać, że ledwo nowe malarstwo zostanie ocenione, malarze zramolieją.

W każdym razie jedna rzecz jest pozytywna: to nie my jesteśmy dekadentami. Gauguin i Bernard mówią teraz o uprawianiu „malarstwa dziecka". Wolę to niż malarstwo dekadentów. Jak to się dzieje, że ludzie widzą w impresjonizmie dekadentyzm? Przecież to zupełne przeciwieństwo.

Bez daty

Mam mnóstwo pomysłów i jeśli będę pilnie malował twarze, może znajdę coś nowego.

Ale cóż, czasem czuję się zbyt słaby, żeby przeciwstawić się okolicznościom; trzeba by być mądrzejszym, bogatszym i młodszym, żeby zwyciężyć.

Na szczęście dla mnie, nie zależy mi już wcale na zwycięstwie, a malarstwo to dla mnie sposób, żeby dać sobie radę z życiem.

1 września 1888

Piszę w pośpiechu, żeby ci bardzo podziękować za twoją szybką odpowiedź. Właśnie dziś rano mój właściciel przyszedł do mnie po komorne i musiałem powiedzieć, czy

wynajmuję dom na dłużej, czy nie (wynająłem go bowiem do św. Michała i trzeba teraz albo przedłużyć albo zrezygnować). Powiedziałem więc mojemu poczciwcowi, że pozostaję w domu jeszcze przez trzy, najdalej cztery miesiące.

Założywszy więc, że nasz przyjaciel Gauguin przyjedzie, gdyby mu się dom nie spodobał, nie musielibyśmy tam zostać długo. Często tracę odwagę, kiedy pomyślę, co Gauguin powie o Arles na dłuższy czas. Samotność jest tu wielka i chociaż się płaci, trzeba co dzień się przebijać, żeby przebrnąć przez dzień pracy i dotrzeć do następnego.

Czuję, że nawet teraz mógłbym być całkiem innym malarzem, gdybym potrafił dać sobie radę z modelami, ale czuję zarazem, że mogę otępieć, że może przeminąć moment tworzenia, zdolność tworzenia; podobnie dzieje się w życiu: nadchodzi chwila, kiedy człowiek staje się impotentem.

To jest nieuniknone i w obu wypadkach trzeba mieć pewność siebie i kuć żelazo, póki gorące.

Toteż często się niecierpliwię. Jednakże Gauguin i tylu innych jest w podobnej sytuacji; musimy przede wszystkim szukać sposobu w nas samych, w naszej dobrej woli i cierpliwości. Godząc się z tym, że jesteśmy tylko średni. Może tak postępując przygotowujemy nową drogę.

To, że robię stosunkowo tak mało przy ilości pieniędzy, które wydaję, jest dla mnie ciągłym cierpieniem.

Moje życie jest ruchliwe i niespokojne, ale jeśli będę wciąż przenosił się z miejsca na miejsce, to tylko pogorszę sprawę.

Ogromnie mi to przeszkadza, że nie umiem mówić dialektem prowansalskim.

Bez daty

Skończyłem L'Immortel Daudeta — podoba mi się powiedzenie rzeźbiarza Védrine'a: dojść do sławy to jest tak, jakby człowiek wpakował sobie do ust cygaro zapalonym końcem. Teraz L'Immortel podoba mi się mniej, zdecydowanie mniej niż Tartarin.

Wydaje mi się, że L'Immortel w sensie koloru nie jest tak piękny jak Tartarin; przywodzi mi na myśl, wraz z zawartymi w nim subtelnymi i słusznymi obserwacjami, żałosne obrazy Jean Béranda, takie suche, takie zimne. Tartarin to jest naprawdę wielkie, prawdziwe arcydzieło, podobnie jak Kandyd.

Jakaż więc różnica, czy będziemy tu we dwóch, skoro za mieszkanie płacę 45 franków miesięcznie. Wracam wciąż do tego samego: razem z Gauguinem będę wydawał tyle co teraz, nie czując żadnego uszczerbku.

Trzeba też wziąć pod uwagę, że oni bardzo źle mieszkają, nie w sensie spania, ale możliwości pracy w domu. Wciąż tkwię między dwiema sprawami: z jednej strony — trudności materialne, wszystkie zabiegi, żeby zapewnić sobie egzystencję, z drugiej — studium koloru. Wciąż mam nadzieję, że coś znajdę. Wyrazić miłość dwojga zakochanych przez połączenie dwu barw uzupełniających, ich zestawienia i ich kontrasty, tajemnicze wibracje bliskich tonów. Wyrazić myśl wypisaną na czole świetlistością jasnego tonu na ciemnym tle.

Wyrazić nadzieję przez gwiazdę. Żar istoty ludzkiej poprzez blask zachodzącego słońca. Oczywiście, nie chodzi tu o widzenie realistyczne, ale czy te rzeczy nie istnieją naprawdę?

8 września 1888

Po tygodniach kłopotów miałem wreszcie lepszy tydzień. Radości, podobnie jak kłopoty, nie, przychodzą same. Wciąż bowiem przytłoczony troskami pieniężnymi potraktowałem w końcu sprawę w bardziej wesoły sposób. Zwymyślałem mojego gospodarza, który ostatecznie nie jest złym człowiekiem, i powiedziałem mu, że zemszczę się na nim za tyle zmarnowanych pieniędzy j wymaluję cały ten jego barak dla rekompensaty. Ku wielkiej radości gospodarza, listonosza, którego już malowałem, nocnych włóczęgów i swojej własnej, malowałem przez trzy noce; spałem w dzień.

Napisałem w tym tygodniu do Gauguina i do Bernarda, ale mówiłem tylko o obrazach, żeby się nie spierać, skoro prawdopodobnie nie ma o co!

Ale gdybym kupił meble, niezależnie od tego, czy Gauguin przyjedzie, czy nie, miałbym w dobrym albo złym miejscu — to inna sprawa — schronienie, dom, którego posiadanie uwalnia od melancholijnego poczucia, że człowiek znajduje się na ulicy.

Bez daty

Wczoraj zajmowałem się umeblowaniem domu; jak mi powiedział listonosz i jego żona, dwa przyzwoite łóżka kosztują 300 franków. Wszystko, co mi mówili o cenach, okazało się prawdą. Trzeba było lawirować, zrobiłem więc tak: kupiłem jedno łóżko orzechowe i drugie z surowego drzewa dla siebie, które pomaluję później.

Jedno z łóżek ma już posłanie i kupiłem dwie maty.

Jeśli Gauguin albo kto inny przyjedzie, łóżko będzie gotowe w minutę. Chciałem od razu urządzić dom nie tylko dla siebie, ale tak, żeby ktoś jeszcze mógł w nim zamieszkać. Oczywiście, to pochłonęło większą część pieniędzy. Za resztę kupiłem 12 krzeseł, lustro i najbardziej

niezbędne drobiazgi. W przyszłym tygodniu będę więc mógł już tam zamieszkać.

Dla tego, kto przyjedzie, przeznaczam najładniejszy pokój na górze, który postaram się urządzić możliwie najlepiej — buduar kobiecy, prawdziwie artystyczny.

Poza tym będzie mój pokój sypialny, który chciałbym urządzić w sposób najprostszy meblami kwadratowymi i szerokimi: łóżko, krzesła, stół, wszystko z surowego drzewa.

Na dole pracownia i druga pracownia, która jednocześnie będzie kuchnią.

Prędzej czy później zobaczysz obraz przedstawiający dom w pełnym słońcu albo z oświetlonym oknem i niebem pełnym gwiazd.

Odtąd możesz uważać, że masz swój dom w Arles. Pragnę bowiem z całej duszy urządzić go tak, żebyś był zadowolony; będzie to pracownia, w której stylu nie będzie nic przypadkowego. Toteż jeśli za rok przyjedziesz spędzić wakacje tu i w Marsylii, wszystko już będzie gotowe i cały dom, od góry do dołu, będzie pełen obrazów.

Pokój w którym zamieszkasz albo w którym zamieszka Gauguin, jeśli przyjedzie, będzie miał na ścianach dekorację z wielkich żółtych słoneczników.

Rano, kiedy otwieram okno, widzę zieleń ogrodów i słońce wschodzące u wjazdu da miasta.

Mam swoją ideę. Chcę naprawdę stworzyć dom artysty, ale bynajmniej nie w stylu wyszukanym, przeciwnie, nic z wyszukania; jednakże chcę, żeby wszystko, od krzesła do obrazu, miało charakter.

Dlatego kupiłem łóżka miejscowe, szerokie podwójne łóżka, zamiast łóżek żelaznych. Moje łóżka są solidne, dają wrażenie trwałości, spokoju i jeśli trzeba tu nieco więcej pościeli — trudno, meble muszą mieć charakter.

Teraz już nie waham się w najmniejszym stopniu, czy zostać tutaj, mam bowiem mnóstwo pomysłów, jeśli idzie o pracę. Spodziewam się, że co miesiąc będę mógł kupić jakiś przedmiot do domu. I przy odrobinie cierpliwości dom będzie coś wart, i w sensie umeblowania, i dekoracji.

10 września 1888

Kiedy Gauguin będzie pracował ze mną i okaże się wielkoduszny, jeśli idzie o obrazy, czy nie dasz wówczas pracy dwom artystom, którzy nic nie mogą bez ciebie? Masz słuszność, kiedy mówisz, że nie widzisz większych możliwości pieniężnych, ale pomyśl, że zrobiłbyś coś takiego jak Durand-Ruel, który brał obrazy od Claude Moneta, zanim jeszcze inni uznali jego indywidualność. Durand-Ruel wówczas też nie miał nic z tego, w pewnej chwili miał pełno obrazów Moneta nie mogąc żadnego sprzedać, ale to, co zrobił, było dobrze zrobione i teraz może powiedzieć.. że wygrał sprawę. Gdybym przewidywał tu straty, nie mówiłbym o tym. Ale Gauguin musi być lojalny; przyjazd jego przyjaciela Lavala otworzył mu nowe perspektywy i myślę, że waha się pomiędzy Lavalem i nami.

Nie mam mu tego za złe; tylko jeśli Gauguin ma na oku swój interes, ty nie możesz nie mieć na oku swojego, to znaczy zwrotu kosztów w obrazach. Widać już, że Gauguin machnąłby na nas ręką, gdyby Laval miał pieniądze. Jestem bardzo ciekaw, co napisze ci w następnym liście, który na pewno dostaniesz wkrótce. Jestem przekonany, że niezależnie od jego przyjazdu, przyjaźń będzie trwała nadal, ale z naszej strony powinniśmy okazać więcej nieustępliwości. Nie znajdzie nic lepszego, chyba że wykorzysta to, co chciałeś dla niego zrobić. Ale na te się nie odważy. Wiedz tylko, że jeśli Gauguin nie przyjedzie, nie będę się wcale irytował ani mniej pracował; będę rad z jego

przyjazdu, ale liczyć na niego, to oznaczałoby wpakować się w tarapaty. Będzie wierny, jeśli znajdzie w tym dla siebie korzyść; jeśli zatem nie. przyjedzie, te dlatego, że znajdzie coś innego, ale nie będzie to lepsze i nie straci nic zachowując się lojalnie.

Myślę, że okazja jest dobra, żebyś zapytał wprost Gauguina, kiedy napisze do ciebie: „Przyjeżdżasz czy nie przyjeżdżasz? Jeśli nie jesteś zdecydowany, nie jesteśmy obowiązani do realizacji naszego projektu".

Jeśli plan stworzenia poważnej grupy nie dojdzie do skutku — trudno; ale wówczas każdy ma prawo działać, jak chce.

Wysiałem list do Gauguina, zaproponowałem im wymianę obrazów, jeśli chcą; tak bym chciał widzieć portret Bernarda malowany przez Gauguina i Gauguina malowanego przez Bernarda.

Mam tyle pomysłów, jeśli idzie o pracę, że mimo samotności nie mam czasu, żeby myśleć i czuć; jestem jak lokomotywa do malowania.

Myślę, że tak będzie trwało. I jestem przekonany, że prawdziwej pracowni nie znajduje się od razu gotowej, ale dzięki wytrwałej pracy tworzy się ją stopniowo.

17 września 1888

Mam zamiar jutro przeprowadzić się do domu; ale kupiłem trochę rzeczy i muszę kupić jeszcze inne — tylko to, co najkonieczniejsze — musisz mi więc przysłać raz jeszcze 100 franków zamiast 50.

Jeśli policzę za ostatni tydzień 50 franków i jeśli je odejmę od 300 franków przysłanych, pozostanie mi dokładnie tyle — wraz z 50 frankami dodatkowymi — ile kosztowały łóżka. A wiesz przecież, że kupiłem wiele innych

rzeczy prócz łóżek i pościeli, dołożyłem większą część pieniędzy z tygodnia i częściowo zarobiłem na tym, że zamówiłem jedno łóżko bardziej proste.

Jestem przekonany, że robimy dobrze meblując pracownię. Jeśli zaś idzie o pracę, czuję się bardziej wolny i bezpłodny smutek mniej dręczy mnie niż dawniej.

Bez daty

Zapewniam cię, że uważam za rzecz niezbędną — tak dla ciebie jak dla mnie — oraz za nasze prawo posiadanie kilku luidorów w kieszeni i pewnego zapasu obrazów na sprzedaż. Ale moja idea sprowadza się do stworzenia i pozostawienia potomnym pracowni, w której mógłby żyć jakiś następca. Nie wiem, czy wyrażam się dość jasno, ale inaczej mówiąc chodzi o to, że pracujemy dla sztuki, dla spraw, które nas przetrwają i które po nas będą kontynuowane przez innych.

Ty robisz to w swoim zawodzie; nie ulega wątpliwości, że kiedyś obrazy pójdą, choć obecnie natrafiasz na wiele przeciwności. Co do mnie, to spodziewam się, że inni artyści będą chcieli widzieć kolor w mocniejszym słońcu i w przejrzystości bardziej japońskiej.

Otóż, jeśli ja zakładam pracownię — schronienie na samej granicy Południa, nie jest to takie głupie. I właśnie dlatego możemy pracować w pogodzie ducha. Ach, jeśli inni powiedzą, że to za daleko od Paryża, niech mówią, tym gorzej dla nich. Dlaczego największy z kolorystów, Eugene Delacroix, uznał za konieczny wyjazd na Południe i dotarł aż do Afryki? Oczywiście dlatego, że nie tylko w Afryce, ale od Arles począwszy, można znaleźć piękne przeciwstawienia czerwieni i zieleni, błękitów i oranżów, siarki i fioletów.

I wszyscy prawdziwi koloryści powinni tu przyjechać, żeby przekonać się, że istnieje inny koloryt niż koloryt Północy. Nie wątpię, że Gauguin polubiłby pejzaż tutejszy;

jeśli nie przyjedzie, to dlatego, że zdobył już to doświadczenie w okolicach bardziej barwnych, ale zawsze będzie naszym przyjacielem i w zgodzie z nami, jeśli idzie o zasadę.

Kto inny przyjedzie wtedy na jego miejsce.

Jeśli to, co się robi, daje perspektywę nieskończoności, jeśli praca ma swoją rację bytu i trwania, człowiek pracuje bardziej pogodnie. To odnosi się do ciebie w podwójnym sensie.

Jesteś dobry dla malarzy i wiedz, że im bardziej się zastanawiam, tym bardziej dochodzę do przekonania, że nie ma nic bardziej artystycznego niż kochać ludzi. Powiesz mi na to, że należałoby w takim razie obchodzić się bez sztuki i bez artystów. Po pierwsze to prawda, ale w końcu Grecy, Francuzi i starzy Holendrzy zgodzili się na sztukę i widzimy, że sztuka zawsze się odradza po zgubnych okresach upadku; i nie sądzę, żeby ludzie byli bardziej cnotliwi dlatego, że mają wstręt do artystów i ich sztuki. Na razie nie uważam, by moje obrazy były dość dobre, jeśli Wziąć pod uwagę korzyści, jakie mam dzięki tobie. Ale jeśli kiedyś będą dobre, to dlatego — zapewniam cię — że stworzyłeś je tak samo jak ja, że zrobiliśmy je we dwóch.

Nie rozwodzę się nad tym, ponieważ stanie się to dla ciebie jasne jak dzień, z chwilą kiedy potrafię robić rzeczy poważniejsze.

Bez daty

Dziś przy pracy dużo myślałem o Bernardzie. Jego list jest przepojony podziwem dla talentu Gauguina. Mówi, że uważa Gauguina za tak wielkiego artystę, że niemal się tego boi; i że wszystko, co robi sam, w porównaniu z tym, co robi Gauguin, wydaje mu się złe. A wiesz, że jeszcze tej zimy Bernard chciał się poróżnić z Gauguinem. Tak czy inaczej, i

cokolwiek się zdarzy, bardzo pociesza mnie myśl, że ci artyści są naszymi przyjaciółmi, i śmiem wierzyć, że pozostaną nimi nadal, jakikolwiek obrót przyjmą sprawy. Tyle szczęścia daje mi dom i praca, chciałbym tego szczęścia także dla ciebie i spodziewam się, że tak się stanie. Czytałem niedawno artykuł, którego tematem są Dante, Petrarka, Boccaccio, Giotto, Botticelli; mój Boże, jakie wrażenie robi na mnie lektura listów tych ludzi! Petrarka był niedaleko stąd, w okolicy Awinionu, widzę te same cyprysy i oleandry, co on.

Starałem się oddać coś z tego w ogrodzie malowanym grubo pastą, żółcią cytrynową i zielenią cytrynową. Najbardziej wzrusza mnie Giotto, zawsze cierpiący i zawsze pełen dobroci i żaru, jakby żył w innym świecie.

Giotto jest zresztą wspaniały i czuję go lepiej niż poetów: Dantego, Petrarkę, Boccaccia.

Wydaje mi się zawsze, że poezja jest straszniejsza od malarstwa, choć malarstwo jest bardziej brudne i bardziej kłopotliwe. Malarz w końcu nic nie mówi, milczy, a ja to wolę.

Musimy starać się sprzedawać, żeby malować na nowo i lepiej obrazy sprzedane. Uprawiamy zły zawód, ale sztukajmy czegoś innego niż radości ulicy, która jest cierpieniem domu.

Dziś po południu miałem wyborową publiczność... kilku sutenerów i tuzin chłopaków, których szczególnie interesowało wyciskanie farby z tub. A więc ta publiczność to jest sława! Kpię sobie z ambicji i ze sławy, jak z tych chłopaków i uliczników znad brzegów Rodanu i z ulicy na Skraju Arles.

Mój Boże, trzeba orać w życiu, chcę czasu na studia, a czy ty chcesz czego innego? Ale czuję, że ty lubisz tak samo jak ja spokój, konieczny, by studiować bez uprzedzeń.

I tak bardzo obawiam się, że odbieram ci spokój swoimi prośbami o pieniądze.

Bez daty

Kupiłem już umywalnię i wszystko, co do niej potrzebne, i teraz mój pokoik Jest gotowy. W pokoju Gauguina czy kogoś innego trzeba jeszcze umywalni i komody, a na dole — wielkiego pieca i szafy.

Z tym wszystkim nie ma gwałtu; ale widzę cel: znaleźć na długo schronienie.

Nie masz pojęcia, jak mnie to wszystko uspokaja, z taką miłością urządzam ten dom artysty, ale dom praktyczny, nie zwykłą pracownię pełną bibelotów.

Myślę też o umieszczeniu przed wejściem dwóch oleandrów w skrzyniach.

Gdyby to nawet potrwało dość długo, zanim ktoś tu przyjedzie, to przecież nie zmienię zdania, że dom był konieczny i że będzie pożyteczny na przyszłość.

Czujemy, że sztuka, dla której pracujemy, ma długą przyszłość przed sobą; trzeba więc żyć tak jak ludzie spokojni, nie zaś jak dekadenci. Tutaj moja egzystencja będzie przypominać coraz bardziej egzystencję malarza japońskiego, który żyje jak skromny mieszczanin, ale wśród natury. Widzisz więc, że to jest mniej ponure niż dekadencja. Jeśli dożyję późnego wieku, będę czymś w rodzaju ojca Tanguy. Co do naszej własnej przyszłości, nie wiemy nic, ale czujemy jednak, że impresjonizm będzie trwał.

Bez daty

Czy masz wiadomości od Gauguina, ja spodziewam się lada chwila listu od Bernarda, który prawdopodobnie

przyjedzie w ślad za szkicami. Gauguin ma na pewno jakiś inny projekt w głowie, czuję to od tygodni.

Oczywiście, to mu wolno.

Samotność na razie mi nie przeszkadza, a potem znajdzie się towarzystwo, może nawet liczniejsze, niżby się chciało.

Myślę tylko, że nie należy mówić nic nieprzyjemnego Gauguinowi, gdyby zmienił zdanie, i brać sprawę od dobrej strony. Jest zrozumiałe, że chce być z Lavalem, skoro Laval jest jego uczniem i skoro już mieszkali razem. W gruncie rzeczy mogliby przyjechać tu obaj i bez trudu można by ich tu urządzić.

Sądzę, że w końcu nie będę się czuł sam w domu i na przykład podczas niepogody zimowej, w długie wieczory, znajdę sobie zajęcie, które mnie zupełnie pochłonie.

Tkacz, albo koszykarz spędza często całe miesiące sam lub prawie sam; jego praca jest mu jedyną rozrywką.

Ale poczucie, że ma dom, krzepiący i znajomy wygląd przedmiotów sprawia właśnie, że taki człowiek pozostaje na miejscu. Oczywiście, lubiłbym towarzystwo, ale jeśli go nie mam, nie będę przez to nieszczęśliwy, zresztą przyjdzie czas, kiedy będę miał kogoś. Nie wątpię. Sądzę, że jeśli masz tyle dobrej woli, by dać mieszkanie ludziom, znajdzie się dość artystów, którzy go potrzebują. Co do mnie, uważam za swój obowiązek zarabianie pracą, a moja praca rysuje mi się bardzo jasno.

Ach, gdyby wszyscy artyści mieli z czego żyć, za co pracować! ale tak nie jest, chcę więc malować dużo i zawzięcie. I nadejdzie może dzień, kiedy poprawią się nasze interesy i będziemy mieć większy wpływ na innych.

Ale do tego jeszcze daleko i wiele jeszcze trzeba zrobić przedtem!

Gdyby człowiek żył w okresie wojny, musiałby się prawdopodobnie bić; żałowałby, rozpaczałby, że nie żyje w czasie pokoju, ale nie byłoby wyjścia: biłby się.

Mamy prawo życzyć sobie takiej sytuacji, w której pieniądze nie byłyby konieczne do życia. Jednakże, jeśli obecnie wszystko zależy od pieniędzy, trzeba myśleć o zdobyciu ich, skoro się je wydaje; ale ja mam więcej szans, żeby zarabiać malarstwem niż rysunkiem.

W gruncie rzeczy więcej jest ludzi, którzy zręcznie zrobią rysunek, niż tych, którzy potrafią biegle malować traktując naturę od strony koloru. To będzie i nadal rzadkie, i czy obrazy zostaną docenione wcześniej czy później, przyjdzie dzień, kiedy znajdą amatora.

Rozumiem, że nie tracę nic pozostając na miejscu i obserwując bieg wydarzeń, podobnie jak pająk, który w swojej sieci czeka na muchy. Nie mogę nic forsować; ponieważ jednak mam już mieszkanie, mogę korzystać z wszystkich pięknych dni, z wszystkich okazji, żeby od czasu do czasu zrobić prawdziwy obraz.

Przeczytałem znów artykuł o Wagnerze, o miłości muzyki; zdaje się, że napisał go autor książki o Wagnerze. Jakże trzeba by nam czegoś takiego w malarstwie.

Zdaje się, że w książce Moja religia Tołstoj daje do zrozumienia, że jakkolwiek ma się rzecz z krwawą rewolucją, istnieje również intymna i utajona rewolucją w sercach ludzi, z której narodzi się nowa religia lub raczej coś zupełnie nowego, co nie będzie miało imienia, ale będzie miało tę moc pocieszania i czynienia życia znośnym, jak kiedyś religia chrześcijańską.

Przypuszczam, że ta książka jest bardzo intresująca; w końcu ludzie będą mieli dość cynizmu i blagi, zechcą żyć bardziej muzycznie. Jak to się stanie i jak będzie wyglądało? Byłoby rzeczą ciekawą móc to przepowiedzieć, ale lepiej tak przewidywać niż widzieć w przyszłości jedynie katastrofy,

które i tak będą spadały jak pioruny na świat nowoczesny i cywilizację: rewolucja, wojna czy bankructwo rozkładających się państw. Kiedy studiuje się sztukę japońską, widzi się, że człowiek mądry, inteligentny, filozof spędza czas na czym? na badaniu odległości ziemi od księżyca? na zgłębianiu polityki Bismarcka? nie, studiuje źdźbło trawy.

Ale to źdźbło trawy pozwala mu później rysować wszystkie rośliny, a potem pory roku, pejzaże, zwierzęta, wreszcie postać ludzką. W ten sposób spędza życie i życie jest zbyt krótkie, żeby mógł zrobić wszystko.

Proszę, czy to, czego uczą nas ci prości Japończycy, którzy żyją wśród przyrody, jakby sami byli kwiatami, nie jest niemal prawdziwą religią?

I nie można studiować sztuki japońskiej nie stając się zarazem bardziej wesołym i szczęśliwym; trzeba powrócić do natury mimo naszego wykształcenia i naszej pracy w świecie konwencji.

Bez daty

To dobrze, że mi nie idzie lekko. Co nie przeszkadza, że czuję straszną potrzebę — powiem to słowo — religii; toteż wychodzę nocą, żeby malować gwiazdy, i marzę wciąż o takim obrazie z grupą żywych postaci — kolegów.

Dostałem list od Gauguina, który wydaje się bardzo smutny; pisze, że przyjedzie na pewno, gdy tylko sprzeda obrazy, ale wciąż nie mówi, czy w wypadku gdyby miał opłaconą podróż, zgodziłby się przyjechać.

Pisze, że ludzie u których mieszka, są i byli idealni dla niego, i że byłoby złym uczynkiem opuścić ich w ten sposób. Ale że wbijam mu sztylet w serce myśląc, że nie przyjedzie natychmiast, gdy tylko będzie mógł. Że zresztą gdybyś mógł tanio sprzedać jego obrazy, byłby bardzo zadowolony. Przesyłam ci jego list wraz z odpowiedzią.

Nie ulega wątpliwości, że przyjazd Gauguina podniósłby o sto procent powagę naszego zamiaru — malowania na Południu. Skoro raz tu przyjedzie, zostanie na długo, myślę bowiem, że zapuści tu korzenie. I powiadam sobie, że to, co robisz prywatnie, przy jego współpracy stałoby się czymś poważniejszym; bez powiększania wydatków będziesz miał więcej satysfakcji.

Później, kiedy wyjdziesz na swoje z obrazami impresjonistów, pozostanie tylko kontynuować i poszerzać to, co istnieje obecnie. Zresztą Gauguin mówi, że Laval znalazł kogoś, kto da mu 150 franków miesięcznie co najmniej przez rok i że Laval może również przyjedzie w lutym. A ponieważ napisałem do Bernarda, że moim zdaniem na Południu musiałby mieć 3,50 albo 4 franki dziennie na samo tylko jedzenie i mieszkanie, odpowiada mi, że za 200 franków miesięcznie można mieć utrzymanie i mieszkanie dla wszystkich trzech, co zresztą nie jest niemożliwe, jeśli będziemy mieszkali i jedli w pracowni.

Ten benedyktyn musiał być bardzo interesujący. Jaka, jego zdaniem, miałaby być religia przyszłości? Powiedziałby prawdopodobnie: ta sama co dawniej. Wiktor Hugo powiada: Bóg jest latarnią, która miewa zaćmienia i teraz niewątpliwie przechodzimy przez okres zaćmienia.

Chciałbym, żeby wymyślono coś, co by nas uspokoiło i co by nas pocieszyło, tak byśmy przestali się czuć winni i nieszczęśliwi i mogli iść nie błąkając się w samotności czy w nicości i nie obawiając się każdego kroku, i nie drżąc z lęku przed złem, jakie moglibyśmy bez naszej woli wyrządzić innym.

Ten Giotto, który, jak wynika z jego biografii, był zawsze cierpiący i zawsze pełen zapału i pomysłów! Chciałbym zdobyć tę pewność, która czyni człowieka szczęśliwym, wesołym i żywym w każdej okazji. To może stać się raczej na wsi czy w małym miasteczku niż w tym piekle paryskim.

Coraz bardziej jestem przekonany, że prawdziwy i uczciwy handel obrazami polega na kierowaniu się własnym smakiem, wykształceniem zdobytym dzięki mistrzom, intuicją wreszcie. Nie wątpię, że namalować dobry obraz nie jest łatwiej niż znaleźć diament czy perłę; trzeba włożyć w to trud i ryzykować życiem, czy jest się marszandem, czy artystą. Ale kiedy się już ma te szlachetne kamienie, nie trzeba wątpić o sobie i trzeba nieustępliwie trzymać się pewnej ceny. Na razie jednak... ale ta idea zachęca mnie do pracy; naturalnie, męczy mnie myśl, że muszę wydawać pieniądze. Ale to, co przyszło mi do głowy o perle, tobie też zrobi dobrze w chwilach zwątpienia. Nie więcej jest dobrych obrazów niż diamentów.

Mam chwilami straszliwą jasność widzenia, odkąd natura jest tak piękna; wówczas nie czuję sam siebie i obraz powstaje jak we śnie. Boję się trochę, że reakcją na to będzie melancholia, kiedy nadejdzie brzydka pogoda; ale będę próbował się rozerwać rysując głowy.

Przyślę ci pięć rysunków Bernarda w tej samej manierze, co inne.

Napisałem do Bernarda, że Gauguin nie wypowiedział się definitywnie, czy przyjedzie, czy nie, toteż nie mogę Bernardowi zaproponować gościny, ani darmo, ani nawet płaconej obrazami czy rysunkami. Że samo wyżywienie będzie go kosztowało tu w każdym razie nieco więcej niż wyżywienie i mieszkanie tam, gdzie jest teraz. Chyba, że jadając w pracowni z Gauguinem albo bez niego, zrobimy oszczędności.

W każdym razie jednak nie namawiałem go do przyjazdu. Napisałem, że ja zostaję tu na zimę, jego towarzystwo byłoby mi więc bardzo miłe, ale przede wszystkim musi zrobić rachunek.

Jeśli w najbliższych dniach Gauguin napisze definitywnie do ciebie albo do mnie, można by się jeszcze zastanowić

nad Bernardem. Wydaje mi się, że Bernard z pewnością da sobie tutaj radę, ale jego ojciec powinien by mu okazać trochę więcej względów. Bernard się męczy. Jego ostatnie rysunki podobają mi się tak jak poprzednie.

Moją jedyną nadzieją jest myśl, że pracując bardzo wytrwale, będę miał po roku dość obrazów, żeby móc je pokazać na wystawie, gdybym chciał albo gdybyś ty tego pragnął. Mnie na tym nie zależy, ale zależy mi, żeby pokazać ci rzeczy nie całkiem złe.

Nie będę wystawiał, ale będziemy mieli w domu moje płótna, które dowiodą, że nie jestem ani łajdakiem, ani próżniakiem, i będę spokojny. Ale rzecz polega przede wszystkim na tym, żebym zadawał sobie nie mniej trudu niż malarze, którzy pracują głównie po to, żeby wystawiać. Czy człowiek wystawia, czy nie wystawia, musi być produktywny i wówczas ma prawo wypalić w spokoju swoją fajkę.

Ale w tym roku będziemy produktywni i staram się, żeby nowy cykl był lepszy niż dwa przysłane ci poprzednio.

Mam nadzieję, że wśród szkiców olejnych znajdą się również gotowe obrazy. Chcę namalować Gwiaździste niebo i może znajdę się któregoś wieczora na tym samym zoranym polu, jeśli niebo będzie bardzo roziskrzone.

Książka Tołstoja Moja religia została wydana po francusku już w 1885, ale nie natrafiłem na nią nigdy w żadnym katalogu.

Wydaje się, że Tołstoj nie bardzo wierzy w zmartwychwstanie czy to ciała, czy duszy. Zwłaszcza nie bardzo wierzy w niebo; toteż roztrząsa zagadnienia jak nihilista, ale — w pewnym sensie w przeciwieństwie do nihilistów — przywiązuje wielkie znaczenie do czynienia dobrze tego, co się czyni, ponieważ prawdopodobnie ma się to tylko.

I jeśli nie wierzy w zmartwychwstanie, zdaje się wierzyć w zamian w trwanie życia, w postęp ludzkości — człowiek i

jego dzieło znajdują przedłużenie w przyszłych generacjach. To n\e są chyba pocieszenia. On sam — . szlachcic — zostaje robotnikiem, umie robić buty, naprawiać piece, orać i kopać ziemię.

Ja nie potrafię nic z tego, ale umiem uszanować duszę ludzką mającą dość energii, żeby tak dalece się przekształcić. Mój Boże, nie możemy się skarżyć, że żyjemy w czasach samych próżniaków, skoro widzimy, co potrafią zwykli śmiertelnicy, którzy nie wierzą nawet za bardzo w niebo. Tołstoj wierzy — może ci już to pisałem — w bezkrwawą rewolucję, co płynie z jego potrzeby miłości i religii, które powinny, jako reakcja na sceptycyzm i rozpaczliwe oraz przywodzące do rozpaczy cierpienie, zrodzić się w ludziach.

Bez daty

Otrzymałem autoportret Gauguina i autoportret Bernarda z portretem Gauguina w tle, na ścianie, malowanym przez Bernarda, i vice versa.

Gauguin jest godny uwagi, ale mnie bardzo się podoba Bernard. To tylko idea malarska, kilka tonów, kilka czarnych kresek, ale świetne jak prawdziwy Manet. Gauguin jest bardziej wystudiowany i doprowadzony dalej.

To, co pisze mi w liście, w połączeniu z tym obrazem, zdecydowanie robi wrażenie, że Gauguin malował więźnia. Ani cienia radości. Nie ma w tym nic z ciała; najwyraźniej chciał zrobić rzecz melancholijną. Ciało w cieniach jest ponuro niebieskawe.

Oto mam wreszcie okazję porównać moje malarstwo z malarstwem kolegów.

Mój autoportret, który posyłam w zamian Gauguinowi, nie traci przy jego płótnie, jestem pewien; napisałem

Gauguinowi w odpowiedzi na jego list, że gdyby wolno mi było wyolbrzymić siebie w portrecie, starałbym się oddać nie mnie jako takiego, ale impresjonistę w ogóle, pomyślałbym go jako portret bonzy wielbiącego wiecznego Buddę.

Kiedy porównuję koncepcję Gauguina i moją, mój portret jest równie poważny, ale mniej rozpaczliwy. Płótno Gauguina mówi mi przede wszystkim, że nie powinien iść dalej tą drogą, powinien znaleźć pocieszenie, stać się z powrotem Gauguinem — bogatym Gauguinem czarnych kobiet.

Jestem bardzo rad, że mam te dwa portrety, które przedstawiają wiernie kolegów z pewnej epoki; nie pozostaną tacy, powrócą do bardziej pogodnego życia.

I czuję jasno, że moim obowiązkiem jest uczynić wszystko, co mogę, żeby nasza bieda się zmniejszyła.

To nie przydaje się na nic w naszym zawodzie. Czuję, że Gauguin jest bardziej Milletem niż ja, ale ja jestem bardziej Diazem niż on i jak Diaz będę się starał podobać publiczności, żeby zarobić dla naszej wspólnoty. Wydałem więcej niż oni, gdy widzę ich malarstwo, jest mi to całkowicie obojętne, pracowali zbyt ubogo, żeby to mogło chwycić.

Bo widzisz, mam lepsze rzeczy od tych, które ci posłałem, i bardziej nadające się do sprzedaży i czuję, że nadal mogę takie robić. Oto moja nadzieja. Wiem, że niektórym ludziom podobają się tematy poetyczne — Gwiaździste niebo, Winorośl, Zorana ziemia, Ogród poety.

Sądzę więc, że obowiązkiem twoim i moim jest pragnąć względnej zamożności, ponieważ będziemy musieli żywić wielkich artystów. Ale teraz jesteś mniej więcej tak samo szczęśliwy jak Sensier , jeśli masz Gauguina; spodziewam się, że on przyjedzie tu na stałe. Nie ma żadnego pośpiechu, ale sądzę, że spodoba mu się dom i pracownia i że zgodzi

się stanąć na jej czele. Poczekajmy pół roku i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Gauguin wygląda na chorego na swoim męczeńskim portrecie! Poczekaj trochę, to się zmieni i będzie bardzo ciekawe porównać ten portret z portretem, który namaluje tu za pół roku.

Zobaczysz też kiedyś mój autoportret, który posyłam Gauguinowi, spodziewam się, że go zachowa.

Październik 1888

Dziękuję ci za list, tym razem czas bardzo mi się dłużył, nie miałem pieniędzy już w czwartek, do poniedziałku diablo to się wlokło. Przez te cztery dni żyłem głównie dwudziestoma trzema kawami oraz chlebem, za który muszę teraz płacić.

Ale to byłoby mi obojętne, mój drogi bracie, gdybym nie wiedział, jak ty sam musisz się męczyć, a wszystko przez tę moją robotę. Śmiem jednak wierzyć, że kiedy zobaczysz moje studia, przyznasz mi rację — pracuję rozpalony do białości, jak długo jest piękna pogoda. Ostatnio dni nie były jednak pogodne, bezlitosny mistral wymiótł z wściekłością wszystkie zwiędłe liście. Ale przed zimą będzie jeszcze ogród piękny, czas wspaniałych efektów i wówczas trzeba będzie zrobić jeszcze jeden ogromny wysiłek. Jestem tak pochłonięty pracą, że nie mogę się oderwać. Ale niepogoda i. tak wkrótce nie da mi pracować, bądź spokojny.

Jadłem w południe, ale wieczorem muszę obejść się chlebem.

I to wszystko bez żadnych wydatków czy to na dom, czy na malarstwo. Od trzech tygodni nie mogłem sobie nawet pozwolić na burdel za trzy franki.

Bez daty

List od Gauguina, w którym pełno niezasłużonych pochwał dla mnie; dodaje, że nie przyjedzie przed końcem miesiąca?

Że był chory, że boi się się podróży. Cóż ja mogę... ale doprawdy, czy podróż jest tak wyczerpująca, skoro ważą się na nią ludzie ciężko chorzy na płuca?

Jeśli przyjedzie, zostanie przyjęty z otwartymi ramionami. Jeśli nie przyjedzie — cóż! — jego sprawa; ale czy nie jest jasne, a w każdym razie czy nie powinno być, że przyjeżdża tu właśnie po to, by było mu lepiej?

On zaś sądzi, że powinien tam zostać, żeby wyzdrowieć! Mimo wszystko — co za głupota!

Przesyłam ci kopię mojej odpowiedzi na jego zbyt pochwalny list. Jeśli nie przyjeżdża zaraz, tym bardziej chcę mieć wszystko w porządku i być gotowym na jego przyjęcie później.

Mam poczucie, że ostatnio wydawałem pieniądze, ale co dzień jestem zdumiony, że znajduję je w domu. Ach, jak to dobrze wrócić do siebie, to rodzi pomysły do pracy. Gauguin pisze bardzo uprzejmie, ale nie mówi w końcu, dlaczego nie przyjedzie od razu. Powiada: „Bo jest chory", ale czy przyjedzie tu się leczyć? Zdawało mi się, że właśnie tego chcemy. Zresztą — pozwólcie im robić, co im się żywnie podoba.

Bez daty

Przysiągłem sobie, że nie będę pracować. Ale co dzień jest to samo: przechodząc widzę rzeczy tak piękne, że muszę je namalować.

Pieniądze, które mi dajesz i których zresztą żądam od ciebie teraz więcej niż kiedykolwiek, zwrócę pracą; i nie tylko to, co otrzymuję od ciebie teraz, ale to, co otrzymałem w przeszłości. Pozwól mi jednak pracować tyle, żeby to nie było całkiem niemożliwe.

Jeśli bowiem nie będę korzystał z okazji, będzie jeszcze gorzej.

Ach, mój drogi bracie, gdybym mógł zrobić coś takiego albo gdybyśmy obaj z Gauguinem mogli zrobić coś takiego, żeby Seurat przyłączył się do nas!

Jeśli się połączymy, Gauguin i ja powinniśmy wnieść każdy po 10 000 nominalnie.

To zgadza się z tym, co ci powiedziałem, że chcę namalować dla firmy obrazów za 10 000 franków. To śmieszne, że choć nie rachuję cyframi, ale uczuciami, dochodzę często do tych samych wyników, wychodząc z zupełnie różnych punktów. Nie śmiem o tym myśleć, nie śmiem jeszcze nic powiedzieć, jeśli idzie o Seurata. Wpierw muszę lepiej poznać Gauguina. W każdym razie nie będzie z nim źle.

Czy czytałeś Freres Zemganno Goncourtów? Jeśli nie, przeczytaj. Gdybym tej książki nie czytał, może miałbym więcej śmiałości; nawet po przeczytaniu obawiam się, że żądam od ciebie zbyt wiele pieniędzy. Gdybym ja sam tak się mordował, nic by mi to nie szkodziło, mógłbym jeszcze zajmować się handlem albo pisaniem. Ale skoro jestem malarzem, nie widzę innego wyjścia jak związek malarzy i wspólne życie.

Bez daty

Wybacz mi te kiepskie szkice, jestem udręczony malowaniem tego dyliżansu z Taraskonu i widzę, że nie mam głowy do rysowania.

Idę na obiad i wieczorem napiszę do ciebie jeszcze.

Dekoracja jednak posuwa się nieco naprzód i myślę, że ta praca poszerzy mój sposób widzenia i malowania.

Niechaj to będzie niedoskonałe, zgoda, ale mnie chodzi o to, żeby nadać temu rozmach,

Co do ojczyzny zacnego Tartarina, raduję się nią coraz bardziej; będzie to dla nas druga ojczyzna. Jednakże nie zapominam o Holandii, właśnie kontrasty sprawiają, że myślę b niej dużo. Za chwilę wrócę do tego listu.

Wracam do listu. Jak bym chciał ci pokazać płótna, które mam w robocie.

Jestem rzeczywiście tak zmęczony, że pisanie, jak widzę, idzie mi bardzo kiepsko.

Napiszę ci raczej innym razem, bo ta idea dekoracji zaczyna wreszcie nabierać ciała.

Napisałem przedwczoraj znów do Gauguina, żeby mu powiedzieć, że prawdopodobnie wyzdrowieje tu szybciej.

I namaluje piękne rzeczy tutaj.

Trzeba czasu, żeby mógł wyzdrowieć; zapewniam cię, że jeśli mam teraz więcej pomysłów malarskich i są one bardziej jasne, wiele tu znaczy dobra kuchnia — niezbędna dla wszystkich malarzy.

Wiele rzeczy jeszcze powinno się zmienić; i czy nie jest prawdą, że malarze powinni żyć jak robotnicy? Cieśla czy kowal produkują zazwyczaj nieporównanie więcej niż oni.

Malarstwo wymaga również wielkich pracowni, w których każdy pracowałby regularnie.

Bez daty

List od Gauguina, z którego dowiaduję się, że wysłał ci obrazy i szkice. Byłbym bardzo rad, gdybyś znalazł chwilę

czasu i napisał mi o nich. Do listu Gauguina był dołączony list Bernarda, który donosi mi, że otrzymali moje płótna i że zachowują wszystkie siedem. Bernard przyśle mi w zamian jeszcze jedno studium, a trzej inni — Moret, Laval i jeszcze jeden młody — portrety, jak się spodziewam. Gauguin ma mój portret i Bernard mówi, że chciałby mieć podobny, choć ma już jeden; posłałem mu go w swoim czasie w zamian za portret jego babki.

Jestem rad, że podoba im się to, co zrobiłem.

Byłem i jestem wciąż jeszcze zmordowany pracą ubiegłego tygodnia. Nie mogę jeszcze nic robić... Spałem bez przerwy 16 godzin, co bardzo mnie wzmocniło.

Chciałbym bardzo, żebyśmy mieli autoportret Seurata. Powiedziałem Gauguinowi, że zaproponowałem mu wymianę portretów, myślałem bowiem, że on i Bernard malowali się nawzajem już kilkakrotnie. Skoro jednak tak nie było i on namalował swój autoportret specjalnie dla mnie, nie chciałem przyjąć go na wymianę, uważając, że jest to zbyt ważny obraz. Gauguin pisze mi, że chce koniecznie, żebym ten autoportret wziął w zamian za swój, jego list jest znów bardzo pochlebny, na co nie zasługuję, więc to pomińmy. Przesyłam ci artykuł o Prowansji, który wydaje mi się dobrze napisany. Felibres to stowarzyszenie literackie i artystyczne — Clovis Hughes, Mistral i inni, którzy piszą po prowansalsku, a czasem po francusku sonety dość dobre, niekiedy bardzo dobre.

Jeśli Félibres pewnego dnia przestaną ignorować moje istnienie, zaproszę wszystkich do mojego domu. Wolałbym, żeby to nie nastąpiło, póki nie skończę mojej dekoracji. Ale mam może prawo do ich uwagi, kocham bowiem Prowansję równie szczerze jak oni.

Jeśli kiedyś podkreślę to prawo, to po to, żeby moje prace zostały tu albo w Marsylii, gdzie, jak wiesz, bardzo chciałbym pracować... Jeśli Gauguin i ja napiszemy artykuł

do jakiejś z gazet tutejszych, będzie to wystarczający początek znajomości.

Bez daty

Nie wiem, co będę robił dalej, wciąż bowiem mam oczy zmęczone.

W takich chwilach, po ciężkiej pracy — i tym bardziej, im cięższa jest praca — czuję, że moja głowa także jest pusta.

I gdybym pozwolił sobie na uleganie temu nastrojowi, nie byłoby dla mnie nic łatwiejszego niż znienawidzić to, co zrobiłem, i skopać obrazy, jak to robi ojciec Cezanne. Ale dlaczego miałbym je kopać, niech pozostaną w spokoju, jeśli nie ma w nich nic dobrego; jeśli są dobre — tym lepiej.

Nie zastanawiajmy się zbyt głęboko nad dobrem i złem, zawsze były względne.

To właśnie jest błąd Holendrów; nazywać rzecz absolutnie dobrą albo absolutnie złą, skoro nic takiego w gruncie rzeczy nie istnieje.

Czytałem także Césarine Richepina, są tam dobre rzeczy, marsz żołnierzy w rozsypce, jak dobrze czuje się ich zmęczenie; czy nie maszerujemy tak czasem w życiu nie będąc żołnierzami?

Kłótnia ojca z synem jest rozdzierająca, ale jest to — podobnie w La glu tegoż Richepina — zupełnie beznadziejne, podczas gdy Guy de Maupassant, który napisał rzeczy równie smutne, kończy je w sposób bardziej ludzki. Na przykład Monsieur Parent, na przykład Piotr i Jan: zakończenie nie jest szczęśliwe, ale ludzie przystosowują się i idą dalej. Nie ma tu krwi, okrucieństwa. Wolę Guy de Maupassanta od Richepina, ponieważ jest bardziej pocieszający. Teraz przeczytałem Eugenię Grandet Balzaka, historię o skąpym chłopie.

Bez daty

Założyłem gaz w pracowni i w kuchni, instalacja kosztuje 25 franków. Jeśli Gauguin i ja będziemy pracowali przez dwa tygodnie co wieczór, ten wydatek nam się zwróci. Ponieważ jednak Gauguin zjawi się tu lada dzień, muszę, koniecznie muszę mieć jeszcze co najmniej 50 franków.

Nie jestem chory, ale zachorowałbym niewątpliwie, gdybym nie odżywiał się dobrze i gdybym nie przestał malować na kilka dni. Znowu jestem podobny do obłąkanego Huga van der Goes z obrazu Emila Wautersa. I gdybym nie miał natury podwójnej — mnicha i malarza, dawno już byłbym szaleńcem.

Ale nawet wówczas moje szaleństwo nie byłoby obłędem prześladowczym, skoro w stanie podniecenia skłaniam się bardziej ku zajmowaniu się wiecznością i życiem wiecznym.

Ale niemniej muszę się mieć na baczności przed moimi nerwami.

20 października 1888

Jak wiesz z mojej depeszy, Gauguin przyjechał w dobrym zdrowiu. Wydaje mi się nawet, że ma się lepiej ode mnie.

Jest oczywiście bardzo zadowolony ze sprzedaży, którą mu zorganizowałeś, i ja także; w ten sposób niezbędne jeszcze koszta urządzenia nie spadną tylko na ciebie. Gauguin z pewnością napisze do ciebie dzisiaj. Jest bardzo ciekawy jako człowiek i ufam, że zrobimy z nim wiele. Bez wątpienia namaluje tu dużo i może ja również.

A śmiem wierzyć, że będzie ci trochę, a może znacznie lżej.

Czuję tak wielką potrzebę malowania, że jestem zdruzgotany psychicznie i wyczerpany fizycznie, właśnie dlatego, że nie mam innego sposobu, by zwrócić ci kiedykolwiek wydane pieniądze.

Nie mogę nic na to poradzić, że moich obrazów nie podobna sprzedać.

Nadejdzie jednak dzień, kiedy okaże się, że są one więcej warte, niż kosztowały, że są czymś więcej niż ceną farb i mego nędznego życia.

Jeśli idzie o sprawy pieniężne, nie mam innego pragnienia i innej troski, jak nie mieć żadnych długów.

Ale, mój drogi bracie, mój dług jest tak wielki, że kiedy go spłacę — w co jednak wierzę — nie stanie mi już życia, ponieważ całe pochłoną obrazy, i będzie mi się zdawało, że nie żyłem wcale. Tyle tylko, że malowanie będzie mi przychodziło trudniej i liczba obrazów się zmniejszy.

To, że teraz nie sposób sprzedać moich obrazów, napawa mnie niepokojem ze względu na ciebie, ponieważ cierpisz z tego powodu; ale dla mnie byłoby to dość obojętne, gdybym wiedział, że nie masz kłopotów spowodowanych tym, że moje malarstwo nic nie przynosi.

Wystarczy mi wiedzieć, że człowiek, który żyje 50 lat i wydaje dwa tysiące rocznie, wyda sto tysięcy franków i powinien zarobić również sto tysięcy. Namalować tysiąc obrazów po sto franków jest bardzo ciężko, ale skoro obraz kosztuje sto franków — oby! — nasze zadanie jest chwilami bardzo trudne. Ale nic tu nie da się zmienić.

Była taka chwila, że, zdawało mi się, zachoruję, ale przyjazd Gauguina dobrze mi zrobił i pewien jestem, że to minie. Trzeba tylko, żebym dbał przez jakiś czas o jedzenie, to wszystko.

I po upływie pewnego czasu otrzymasz obrazy.

Gauguin przywiózł wspaniałe płótno, które dał w zamian za inne Bernard owi — Bretonki na zielonej łące — biel, czerń, zieleń, nuta czerwieni i matowe tony ciała. Nie traćmy odwagi.

Wierzę, ze nadejdzie dzień, kiedy ja także będę sprzedawał, ale jestem tak spóźniony w stosunku do ciebie, i wciąż wydając, nie wnoszę nic. To poczucie zasmuca mnie chwilami.

Wkrótce, kiedy Gauguin do ciebie napisze, dorzucę mój list do jego listu. Nie wiem oczywiście z góry, co Gauguin powie o Prowansji i o naszym życiu, ale w każdym razie jest bardzo zadowolony ze sprzedaży, którą mu urządziłeś.

Listopad 1888

Dni mijają nam na pracy, na ciągłej pracy, wieczorem jesteśmy wyczerpani i idziemy do kawiarni, po czym kładziemy się spać wcześnie! Oto nasza egzystencja. Oczywiście, tu także mamy zimę, chociaż od czasu do czasu jest jeszcze pięknie. Ale malowanie z wyobraźni nie sprawia mi przykrości, ponieważ dzięki temu nie muszę wychodzić. Pracować w piekielnym żarze potrafię, ale, jak wiesz, nie znoszę zimna.

Jeśli potrafimy wytrzymać oblężenie, przyjdzie dzień zwycięstwa, nawet jeśli nie będziemy należeć do ludzi, o których się mówi. W takim właśnie wypadku przypomina się przysłowie: radość ulicy jest cierpieniem domu.

Cóż! Zakładając, że cała bitwa jest jeszcze przed nami, musimy dojrzewać w spokoju.

Zawsze mi mówiłeś, że trzeba dbać o jakość, a mniej o ilość.

Nic więc nie stoi na przeszkodzie, żeby mieć wiele prac nie przeznaczonych do sprzedaży, a przecież mających

wartość jako malarstwo. A jeśli wcześniej czy później będziemy musieli sprzedawać, trzeba będzie sprzedawać nieco drożej te prace, które ze względu na to, co w nich jest poważnym poszukiwaniem, mogą przetrwać.

Gauguin dużo pracuje, bardzo mi się podoba jego martwa natura z żółtym tłem i żółtym pierwszym planem, ma też w robocie mój portret, który zaliczani do jego ciekawszych rzeczy; maluje teraz pejzaże, poza tym płótno z praczkami, które wydaje mi się dobre, nawet bardzo dobre.

Powinieneś otrzymać dwa rysunki Gauguina w zamian za 50 franków, która mu wysłałeś z Bretanii. Ale matka Bernarda po prostu je sobie przywłaszczyła. Jest to jeden z tych wypadków, dla których nie ma nazwy. Myślę jednak, że ona je w końcu zwróci. Moim zdaniem, obrazy Bernarda są bardzo piękne i będzie miał zasłużony sukces w Paryżu. Bardzo ciekawe, że poznałeś Chatriana.

Chciałbym wiedzieć, czy jest blondynem, czy brunetem, znam bowiem oba portrety.

Najbardziej lubię Madame Thérèse i L'Ami Fritz. Co do historii nauczyciela, więcej można by jej zarzucić, niż mi się zdawało w swoim czasie.

Myślę, że będziemy spędzać wieczory na rysowaniu i pisaniu, więcej jest pracy, niż możemy jej wykonać.

Wiesz, że Gauguin jest zaproszony do udziału w wystawie Vingtistes . Jego wyobraźnia podsuwa mu już myśl o zamieszkaniu w Brukseli, co niewątpliwie ułatwiłoby mu zobaczenie się z żoną Dunką.

Bez daty

Otrzymałem od Dujardina list dotyczący wystawy moich płócien w jego ciemnej dziurze. Uważam, że płacić obrazem

za wystawę tego rodzaju to propozycja tak niesmaczna, że odpowiedź na list tego pana może być tylko jedna. Tę odpowiedź załączam. Przesyłam ją tobie, a nie jemu, żebyś znał moją myśl i żebyś mu po prostu powiedział, że zmieniłem zdanie i że w tej chwili nie mam najmniejszej ochoty wystawiać. Nie ma powodu, żeby gniewać się na to ziółko, lepiej być banalnie uprzejmym. Żadnej więc wystawy w Revue indépendante; śmiem wierzyć, że Gauguin również jest tego zdania. W każdym razie nie muszę wystawiać.

Nie wystawialiśmy dotychczas, prawda? Było kilka płócien u Tanguya, następnie u Thomasa, wreszcie u Martina.

Oświadczam, że nie widzę żadnej w tym korzyści i wydaje mi się niewątpliwie właściwsze, żebyś zatrzymał w swoim mieszkaniu studia, które lubisz, a inne odesłał mi tutaj, skoro mieszkanie jest zbyt małe i obrazy całkiem by ci je zagraciły.

Przygotowuję tu bez pośpiechu prace, z których będzie można zrobić poważniejszą wystawę.

Ale proszę cię, załatw to jasno z Revue indépendante; okazja jest zbyt piękna i oni mylą się bardzo, jeśli wyobrażają sobie, że będę płacił za umieszczenie mnie w małej, ciemnej i podejrzanej dziurze.

Co do kilku płócien, które są u Tanguya i Thomasa, całkiem mi to obojętne i nie warto o tym mówić, wiedz tylko, że nic mi na wystawianiu nie zależy. Wiem z góry, co zrobię w chwili, kiedy będę miał dość płócien. Na razie obchodzi mnie tylko, żeby je namalować.

Tak, wiem, że powinienem wytłumaczyć się jasno, jeśli idzie o wystawę moich prac. Ty jesteś u Goupilów, nie masz więc prawa załatwiać czegokolwiek poza nimi. Ja zaś jestem nieobecny, więc nie wystawiam. Powtarzam: u Tanguya to nie ma znaczenia, pod warunkiem, żeby Tanguy wiedział, że nie ma żadnego prawa do moich płócien, żadnego.

A więc moje stanowisko jest przynajmniej jasne, co nie jest mi całkiem obojętne.

Jeśli będę jeszcze trochę pracował, będę mógł nie wystawiać w ogóle, a to jest moim celem.

Gauguin również niemal już skończył swoją kawiarnię w nocy. Bardzo jest ciekawy jako przyjaciel, muszę ci powiedzieć, że doskonale umie gotować; spodziewam się, że nauczę się tego od niego, to bardzo wygodne. Uważamy, że zupełnie wystarczą ramy ze zwykłych listewek przybitych do blejtramu i pomalowanych, tak jak to już zacząłem praktykować. Czy wiesz, że to Gauguin wymyślił białe ramy? Ramka z czterech listewek kosztuje 5 sous i bez wątpienia udoskonalimy ją jeszcze.

Bez daty

Gauguin pracuje nad oryginalnym aktem: kobieta na sianie z prosiętami. Wydaje się, że to będzie bardzo piękne i w wielkim stylu. Kazał sobie odesłać z Paryża wspaniały garnek z dwiema głowami szczurów. Jest to wielki artysta i doskonały przyjaciel.

Grudzień 1888

Gauguin ma się już lepiej po bólach wątroby czy żołądka, które dokuczały mu ostatnio. Teraz odpowiem ci na to, ca mi napisałeś, a mianowicie, że dasz oprawić małe płótno z różowym rybakiem — prawdopodobnie, żeby umieścić je u tych panów.

Chcę, żebyś wiedział, co myślę o tym.

Przede wszystkim, jeśli masz ochotę dać im mój zły czy dobry obraz i jeśli to może ci sprawić przyjemność teraz czy później, możesz robić, co ci się podoba.

Ale jeśli mnie to ma sprawić przyjemność albo mnie przynieść korzyść, bądź pewien, że to zupełnie niepotrzebne.

Jeśli zapytasz mnie, co mi sprawi przyjemność, odpowiem ci, że tylko jedno: żebyś zachował w swoim mieszkaniu te moje prace, które ci się podobają, i żebyś nie sprzedawał ich teraz.

Pozostałe płótna, które ci przeszkadzają, odeślij tutaj, z tej prostej przyczyny, że wszystko, co robiłem z natury, to kasztany na gorąco wyciągane z ognia.

Gauguin — wbrew własnej woli i mojej — wykazał mi, że czas już, żebym się nieco zmienił; zaczynam komponować z głowy i moje studia zawsze mi się do tego przydadzą, przypomną mi bowiem rzeczy dawniej widziane.

Po cóż więc je sprzedawać, jeśli nie jest to konieczne ze względów pieniężnych?

Jestem z góry pewien, że w końcu przyznasz mi rację.

Ten albo ów chce jednak kupić moją rzecz; dobrze, niechaj, zwróci się wprost do mnie. Ale bądź pewien, że jeśli potrafimy wytrzymać oblężenie, nadejdzie mój dzień. Na razie nie mogę i nie powinienem robić nic innego jak pracować.

Towarzystwo Gauguina, człowieka tak inteligentnego, jest dla mnie wielką przyjemnością i dobrze mi robi, gdy widzę jego pracę.

Zobaczysz, że pewni ludzie będą zarzucać Gauguinowi, że nie uprawia impresjonizmu.

Jego dwa ostatnie płótna, które zobaczysz, są malowane gęstą pastą, czasem nawet farbą , kładzioną szpachlą. Te płótna przysłonią trochę jego płótna bretońskie, nie wszystkie, ale niektóre.

Nie stracisz nic na tym, jeśli poczekasz trochę na moje prace; niechaj nasi drodzy koledzy gardzą w spokoju tymi,

które ja zrobiłem. Na szczęście dla mnie wiem dość dobrze, czego chcę, i nic nie obchodzi mnie krytyka, która nie uznaje zapamiętałej pracy.

W odpowiedzi na to malowałem w ostatnich dniach jeszcze szybciej. Gauguin powiedział mi kiedyś, że widział obraz Claude Moneta przedstawiający słoneczniki w wielkiej, bardzo pięknej wazie japońskiej; woli jednak moje. Nie podzielam jego zdania, ale nie sądzę, żebym malował teraz słabiej.

Żałuję, jak zawsze — wiesz o tym dobrze — że tak rzadko mam modela; ale z tym są jeszcze trudności. Gdybym był innym człowiekiem i gdybym był bogatszy, mógłbym dać sobie radę; nie rezygnuję jednak i działam powoli.

Gdybym mając czterdzieści lat tak namalował obraz z postaciami, jak maluję kwiaty, o których mówił Gauguin, miałbym pozycję artysty i mógłbym się równać z każdym. A więc wytrwałości.

23 grudnia 1888

Myślę, że Gauguin nieco zraził się do zacnego Arles, do małego żółtego domku, w którym pracujemy, nade wszystko zaś do mnie.

W istocie, wiele jest poważnych trudności, które obaj musimy przezwyciężyć.

Ale te trudności są raczej w nas samych niż gdzie indziej.

Sądzą, że albo wyjedzie na dobre, albo na dobre zostanie.

Powiedziałem mu, że zanim zacznie działać, powinien się zastanowić i obliczyć.

Gauguin jest bardzo silny, bardzo twórczy, ale właśnie dlatego trzeba mu spokoju.

Czy znajdzie go gdzie indziej jeśli nie znajduje go tutaj?

Czekam, aż poweźmie decyzję w całkowitym spokoju ducha.

1 stycznia 1889

Mam nadzieję, że Gauguin uspokoi cię całkowicie, także jeśli idzie o sprawy malarstwa.

Spodziewam się, że wkrótce powrócę do pracy.

Posługaczka i mój przyjaciel Roulin zatroszczyli się o dom i doprowadzili wszystko do porządku.

Kiedy wyjdę, będę mógł wrócić na swoją małą dróżkę; wkrótce nadejdzie piękna pora i zacznę znowu malować kwitnące sady.

Mój drogi bracie, jestem tak głęboko zasmucony twoją podróżą, że wolałbym, abyś mógł sobie oszczędzić tego; nic przecież złego mi się nie stało i niepotrzebnie się trudziłeś.

Nie umiem ci powiedzieć, jak się cieszę, że porozumiałeś się — a nawet więcej — z Bongerami.

Powiedz to w moim imieniu Andre i uścjśnij mu serdecznie dłoń.

Ile byłbym dał, żebyś widział Arles, kiedy jest pięknie; widziałeś je w czarnych kolorach.

Odwagi jednak, adresuj listy wprost do mnie, plac Lamartine 2. Wyślę Gauguinowi jego obrazy, które pozostawił w domu, kiedy tylko zażąda. Jesteśmy mu winni pieniądze za wydatki na meble.

Uścisk dłoni, muszę już wracać do szpitala, ale wkrótce całkiem już wyjdę.

Napisz też w moim imieniu do matki, niech nikt nie martwi się z mego powodu.

(na odwrocie)

Mój drogi przyjacielu Gauguin, korzystam z mojego pierwszego wyjścia ze szpitala, żeby napisać panu kilka słów, płynących ze szczerej i głębokiej przyjaźni.

Myślałem wiele o panu w szpitalu, nawet w gorączce i wielkiej słabości.

Niech pan powie, czy przyjazd mego brata Theo był konieczny, przyjacielu?

Przynajmniej teraz niech go pan całkiem uspokoi i niech pan sam będzie spokojny; proszę, niechaj pan wierzy, że w gruncie rzeczy żadne zło nie istnieje na tym najlepszym ze światów, gdzie wszystko idzie zawsze ku lepszemu.

Pragnę, żeby pan powiedział w moim imieniu wiele miłych rzeczy zacnemu Schuffeneckerowi, żeby bez dojrzałej refleksji nie mówił pan nic złego o naszym biednym małym żółtym domku, żeby pan pozdrowił malarzy, znanych mi z Paryża. Życzę panu powodzenia w Paryżu, ściskam dłoń, oddany Vincent.

Roulin był naprawdę dobry dla mnie, to on właśnie miał dość przytomności umysłu, żeby wypuścić mnie stamtąd, zanim inni zechcieli na to przystać.

Proszę o odpowiedź.

2 stycznia 1889

Żeby cię uspokoić co do mego stanu, piszę do ciebie tych kilka słów w gabinecie doktora Reya, z którym się widziałeś. Zostanę jeszcze kilka dni w szpitalu, potem wrócę spokojnie do domu — mam nadzieję.

Teraz proszę cię tylko o to, żebyś się nie niepokoił, miałbym z tego powodu tylko o jedno zmartwienie więcej. Teraz porozmawiajmy o naszym przyjacielu Gauguinie. Czy przeraziłem go? dlaczego nie daje mi znaku życia? Wyjechał zapewne z tobą. Chciał zresztą zobaczyć znów Paryż i może w Paryżu bardziej się będzie czuł u siebie niż tutaj. Powiedz Gauguinowi, żeby napisał do mnie i że myślę o nim ciągle.

Serdeczny uścisk dłoni, czytałem kilkakrotnie twój list dotyczący spotkania z Bongerami. To doskonałe. Jeśli idzie o mnie, to cieszę się, że jest tak, jak jest. Baz jeszcze uścisk dłoni dla ciebie i dla Gauguina.

Bez daty

Zapewne nie napiszę ci dziś długiego listu, ale w każdym razie kilka słów, żeby cię zawiadomić, że dziś właśnie wróciłem do domu. Jakże żałuję, że z mego powodu miałeś taki kłopot i dla tak błahej sprawy, wybacz, to moja wina. Nie przewidziałem, że następstwa będą tego rodzaju i że dowiesz się o tym. Dość. Doktor Rey przyszedł obejrzeć moje obrazy z dwoma kolegami; rozumieją przynajmniej diablo szybko, co to są tony uzupełniające.

Mam teraz zamiar namalować portret p. Reya i, jeśli to będzie możliwe,, inne portrety, ledwie oswoję się znów z malarstwem. Dziękuję ci za twój ostatni list, bez wątpienia czuję zawsze twoją obecność, ale ty ze swojej strony wiedz także, że pracuję dla tego samego co ty.

Myślę tylko, że jeśli idzie o moje malarstwo, powinniśmy nadal siedzieć cicho. Jeśli chcesz, mogę oczywiście przysłać ci obrazy, ale mam nadzieję, że zrobię coś nowego, kiedy spokój mi wróci. W każdym razie, jeśli- idzie o Niezależnych, rób jak chcesz i jak zrobią inni.

Napisz do mnie wkrótce i bądź zupełnie spokojny o moje zdrowie; wyzdrowieję zupełnie, jeśli będą wiedział, że ty się

nie martwisz. Co porabia Gauguin? Jego rodzina jest na Północy, on sam zaproszony na wystawę do Belgii, ma teraz powodzenie w Paryżu, toteż ufam, że odnalazł swoją drogę. Mocny uścisk dłoni, jestem mimo wszystko dość szczęśliwy, że to już jest za mną.

Bez daty

Mam nadzieję, że nie zdziwisz się zbytnio, że po liście napisanym rano, piszę drugi wieczorem.

Przez wiele dni nie mogłem pisać i widzisz sam, że teraz to już minęło.

Napisałem do matki i Wil adresując do siostry, tylko po to, żeby je uspokoić, jeśli powiedziałeś im, że byłem chory.

Powiedz im ze swojej strony, że byłem trochę niezdrów, jak kiedyś w Hadze, gdy chorowałem na pęcherz, i że leczono mnie w szpitalu. Ale że nie warto o tym dużo mówić, skoro jest już po strachu, i że byłem w szpitalu tylko kilka dni.

W ten sposób potwierdzisz to, co ja sam ofiarowałem im do przełknięcia.

Dzięki temu oszczędzimy im zmartwień. Spodziewam się, że uznasz ten sposób za dość niewinny.

Masz zarazem okazję stwierdzić, że umiem jeszcze czasami kłamać.

Jutro zabieram się do pracy — jedna albo dwie martwe natury, żeby przyzwyczaić się do malowania. Roulin był dla mnie nadzwyczajny i śmiem wierzyć, że nadal będzie mi przyjacielem; często jeszcze może mi być potrzebny, ponieważ doskonale zna te strony.

Dziś jedliśmy razem obiad.

Gdybyś chciał uszczęśliwić doktora Reya, jest na to sposób! słyszał o obrazie Rembrandta Lekcja anatomii, ja zaś powiedziałem mu, że dostarczymy mu sztych tego obrazu do jego gabinetu.

Chcę namalować jego portret, gdy tylko poczuję się trochę silniejszy.

Zapewniam cię, że te dni spędzone w szpitalu były bardzo interesujące; może można by się nauczyć żyć od chorych.

Mam nadzieję, że mój przypadek to tylko zwykłe szaleństwo artysty połączone z gorączką spowodowaną znaczną utratą krwi: arteria była przecięta. Ale odzyskałem natychmiast apetyt, trawienie jest dobre, krew z dnia na dzień lepsza, i spokój mi wraca. Proszę cię więc, żebyś zapomniał o swojej smutnej podróży i mojej chorobie.

Widzisz, że robię to, o co mnie prosiłeś, że piszę ci, co czuję i myślę.

9 stycznia 1889

Jeszcze przed twoim listem,. który otrzymałem w tej chwili, przyszło od twojej narzeczonej zawiadomienie; W odpowiedzi przesłałem jej moje szczere gratulacje, które składam teraz i tobie.

Ponieważ znikł lęk, że moja niedyspozycja przeszkodzi ci w podróży tak koniecznej i której spodziewałem się od tak dawna, czuję się zupełnie normalnie.

Dziś rano byłem na opatrunku w szpitalu i spacerowałem przez półtorej godziny z lekarzem; rozmawialiśmy po trosze o wszystkim, nawet o historii naturalnej.

To, co piszesz mi o Gauguinie, sprawia mi wielką przyjemność; cieszę się, że nie porzucił swego projektu

podróży pod zwrotniki. To dla niego właściwa droga. Rozumiem doskonale jego plan i popieram z całego serca. Naturalnie, żal mi, że go nie ma, ale rozumiesz: jeśli mu dobrze pójdzie, niczego więcej nie pragnę.

Błąd w obliczeniach Gauguina polegał moim zdaniem na tym, że przywykł zamykać oczy na nieuniknione koszta komornego, wynagrodzenia dla posługaczki oraz wielu innych przyziemnych rzeczy tego rodzaju. Otóż wszystko to ciąży na nas, ale skoro już to znosimy, inni artyści mogą mieszkać ze mną nie czując tych ciężarów.

Uprzedzono mnie, że podczas mojej nieobecności właściciel domu zawarł umowę z jakimś typem mającym sklep tytoniowy, żeby wyrzucić mnie za drzwi i jemu oddać dom.

Nie niepokoję się tym za bardzo, ponieważ nie jestem skłonny dać się wyrzucić, skoro to ja odmalowałem dom z zewnątrz i wewnątrz, zainstalowałem gaz itd., słowem, przystosowałem do mieszkania dom, który był od dawna zamknięty i nie zamieszkały i który przejąłem w żałosnym stanie. Mówię ci to, żeby cię uprzedzić, że jeśli właściciel będzie się upierał, może gdzieś koło Wielkanocy zasięgnę twojej rady; Ja jestem tu tylko administratorem broniącym interesów naszych przyjaciół artystów. Prawdopodobnie jednak do tego czasu wiele wody jeszcze upłynie.

Najważniejsze jednak to nie martwić się; Bernard zwrócił ci już książkę Silvestre'a, chciałbym znać jej dokładny tytuł, żeby podać go moim lekarzom.

Fizycznie mam się dobrze, rana zasklepia się doskonale i organizm dochodzi do równowagi po wielkiej utracie krwi, skoro dobrze jem i trawię. Najbardziej niebezpieczna jest bezsenność; lekarz mi o tym nie mówił i ja nie mówiłem mu także. Ale walczę z nią sam.

Stosuję mianowicie kamforę, bardzo, bardzo mocną, którą skrapiam pracownię i materac; gdybyś kiedykolwiek

sam nie sypiał, polecam ci ten środek. Bałem się bardzo spać sam w domu i niepokoiłem się, że nie będę mógł usnąć. Ale to minęło i śmiem wierzyć, że nie wróci. Bardzo z tego powodu cierpiałem w szpitalu; i choć świadomość ledwie działała, mogę ci powiedzieć jako ciekawostkę, że cały czas myślałem o Degasie. Rozmawiałem dużo o Degasie z Gauguinem i zwróciłem Gauguinowi uwagę, że Degas powiedział:

„Rezerwuję sobie Arlezjankl".

Wiesz, jak subtelny jest Degas, powiedz mu więc, po powrocie do Paryża, że dotychczas nie potrafiłem namalować kobiet z Arles tak jak należy; i niech nie wierzy Gauguinowi, jeśli Gauguin przedwcześnie będzie chwalił moje malarstwo, które powstaje w tak chorobliwy sposób.

Jeśli wydobrzeję, będę musiał zacząć na nowo i nie będę mógł osiągnąć tych szczytów, na które wyniosła mnie, choć w sposób tak niedoskonały, choroba.

Czy widziałeś mój portret, który ma Gauguin, i czy widziałeś autoportret, który Gauguin namalował tu w ostatnich dniach?

Jeśli porównasz ten autoportret z autoportretem, który mi przysłał z Bretanii w zamian za mój i który mam dotychczas, zobaczysz, że Gauguin odzyskał tu spokój.

17 stycznia 1889

Może ty potrafisz odpowiedzieć w tej chwili na wszystkie pytania, ja nie czuję się do tego zdolny. Chciałbym po namyśle znaleźć rozwiązanie, ale muszę raz jeszcze przeczytać list itd.

Ale zanim będziemy się zastanawiać, ile wydam czy nie wydam przez cały rok, może przyda nam się, jeśli zobaczymy, ile kosztuje bieżący miesiąc.

W każdym razie wyglądało to całkiem żałośnie i czułbym się szczęśliwy, gdybyś wreszcie poświęcił trochę uwagi tej sprawie: jak wygląda i jak wyglądała przez tak długi czas.

Cóż, rzecz jest bardzo skomplikowana z wielu względów, moje obrazy nie mają wartości, kosztują mnie co prawda bardzo dużo, nawet płacę za nie niekiedy krwią i mózgiem. Mniejsza o to, ale cóż ci mogę powiedzieć?

Wróćmy do bieżącego miesiąca i mówmy tylko o pieniądzach.

23 grudnia w kasie był jeszcze 1 luidor 1 3 sous. Tego samego dnia otrzymałem od ciebie banknot stufrankowy.

Oto wydatki:

Dałem Roulinowi na zapłacenie posługaczce za grudzień 20 fr. i za dwa tygodnie stycznia 10 fr.....30 fr.

Zapłaciłem w szpitalu.....21 fr.

Zapłaciłem pielęgniarzom, którzy mnie opatrywali .....10 fr.

Wróciwszy do domu zapłaciłem za stół, za kuchenkę gazową itd., które wziąłem na kredyt..... 20 fr.

Zapłaciłem za pranie pościeli, zakrwawionej bielizny itd.....12,50 fr.

Różne sprawunki, a mianowicie tuzin pędzli, kapelusz itd., przypuśćmy..... 10 fr.

Razem 103,50 fr.

Doszliśmy więc do dnia, kiedy nazajutrz po wyjściu ze szpitala musiałem zapłacić 103,50 fr., do czego należy jeszcze dodać obiad z Roulinem w restauracji, kiedy byłem wesoło usposobiony, dobrej myśli i nie obawiałem się już nowych lęków.

W rezultacie około 8-go znalazłem się bez grosza. W dzień czy dwa potem pożyczyłem 5 franków. Było to zaledwie 10-go. Spodziewałem się około 10-go listu od

ciebie; ponieważ ten list przyszedł dopiero dziś, 17-go, byłem skazany przez te dni na surowy post, tym bardziej przykry, że nie mogłem wrócić do zdrowia w takich warunkach.

Niemniej zabrałem się do pracy i mam już trzy studia namalowane w pracowni oraz portret doktora Reya, który ofiarowałem mu w upominku. Tym razem więc też nie stało się nic złego, tyle tylko, że trochę cierpienia i lęku. I nadal jestem dobrej myśli. Ale czuję się słaby, trochę niespokojny i lękliwy. Spodziewam się, że to minie, gdy wrócę do sił.

Rey powiedział mi, że wystarczy być bardzo wrażliwym, żeby mogło się zdarzyć to, co mi się zdarzyło, że teraz jestem tylko anemiczny, ale że muszę się dobrze odżywiać. Na co ja pozwoliłem sobie powiedzieć, że jeśli najważniejsze dla mnie w tej chwili jest odzyskać siły, jeśli przypadkiem albo przez nieporozumienie musiałem pościć przez tydzień i jeśli w podobnych warunkach zdarzyło mu się widzieć wariatów względnie spokojnych i zdolnych do pracy, to przecież powinien pamiętać o tym, że ja nie jestem jeszcze wariatem. Zapłaciłem więc. co musiałem zapłacić, zważywszy, że ta historia przewróciła dom do góry nogami, że cała bielizna i moje ubrania były poplamione; czy te wydatki są przesadne, niestosowne, niepoczytalne? Jeśli natychmiast po powrocie zapłaciłem, to, co byłem winien ludziom mniej więcej tak samo biednym jak ja sam, czy popełniłem błąd, czy mogłem robić oszczędności?

Dziś, 17-go, otrzymałem wreszcie 50 franków. Przede wszystkim zwróciłem pożyczone 5 franków właścicielowi kawiarni, potem za 10 posiłków na kredyt w ciągu ostatniego tygodnia,

razem.....7,50 fr.

Muszę zapłacić jeszcze za bieliznę przyniesioną ze szpitala i za miniony tydzień, za reperację butów i spodni, razem około . . 5 fr.

Drzewo i węgiel za grudzień i dalej, nie mniej jak.....5 fr.

Posługaczka za drugą połowę stycznia . . 10 fr.

27,50 fr.

Kiedy zapłacę za to wszystko, jutro rano zostanie mi 26,50 fr.

Jest 17-ty, mam jeszcze 13 dni do przeżycia.

Ile mogę wydawać dziennie? Trzeba jeszcze dodać, że posłałeś 30 franków Roulinowi, z których zapłacił 21,50 za komorne w grudniu.

Oto, mój drogi bracie, rachunek za bieżący miesiąc. I miesiąc jeszcze się nie skończył. Pozostają jeszcze wydatki spowodowane telegramem Gauguina; robiłem mu już wyrzuty, że depeszował.

Czy te wydatki, całkiem opaczne, nie sięgają 200 franków? Czy Gauguin uważa, że wylawirował wspaniale? Nie muszę bardziej podkreślać absurdalności tego kroku, załóżmy, że ja byłem nie wiem jak obłąkany, ale dlaczego sławny kolega nie był bardziej spokojny? Dość o tym.

Gdyby Gaugin w Paryżu zbadał się trochę lub dał się zbadać lekarzowi-specjaliście, doprawdy nie wiem, co z tego by wynikło.

Widziałem niejednokrotnie, jak robił rzeczy, na które ani ty, ani ja nie pozwolilibyśmy sobie, ponieważ w inny sposób mamy ukształtowane sumienie; słyszałem, jak mówiono o nim w podobnym duchu, ale ja, który widziałem go z bardzo bliska, uważam, że daje się ponieść imaginacji, dumie może, ale jest dość nieodpowiedzialny.

Ten wniosek nie wskazuje na to, bym zalecał ci słuchać Gauguina w różnych okolicznościach. Widzę jednak, że jeśli idzie o uregulowanie rachunków, zachowałeś się wspaniale, sądzę więc, że nie mamy powodu do obawy, iż błędy „banku paryskiego" zostaną policzone na nasz rachunek.

Ale on... doprawdy, niech robi, co chce, niech sobie będzie niezależny (jak ocenia niezależność swego charakteru?), niech ma swoje poglądy i niech idzie swoją drogą, skoro sądzi, że zna ją lepiej niż my.

Uważam za dość szczególne, że chce mieć mój obraz ze słonecznikami ofiarowując mi w zamian, jak mi się zdaje, albo jako prezent, kilka studiów, które zostawił tutaj. Odeślę mu jego studia, które prawdopodobnie mu się przydadzą, gdy mnie nie przydadzą się wcale.

Na razie zachowam moje płótna u siebie i kategorycznie odmawiam obrazu ze słonecznikami.

Ma zresztą dwa inne, niech mu to wystarczy.

I jeśli nie jest zadowolony z wymiany, może zabrać sobie małe płótno z Martyniki i autoportret, który przysłał mi z Bretanii, a zwrócić mi mój autoportret i moje dwa płótna ze słonecznikami, które wziął w Paryżu. Jeśli więc kiedykolwiek powie coś na ten temat, mój pogląd jest dość jasny.

Jak Gauguin może twierdzić, że obawiał się przeszkodzić mi swoją obecnością, kiedy wie doskonale, że wciąż się jej domagałem; powtarzano mu przecież wiele razy, że chcę go widzieć natychmiast.

Właśnie po to, żeby to zostało między nami dwoma i żeby ciebie nie niepokoić. Nie chciał słuchać.

Męczy mnie powtarzanie tego wszystkiego i zastanawianie się na nowo nad tymi sprawami.

Spróbowałem w tym liście wykazać ci, jaka różnica istnieje między moimi bezpośrednimi wydatkami a tymi, za które jestem mniej odpowiedzialny.

Byłem zrozpaczony, że właśnie w tej chwili spadły na ciebie te wydatki, które nie przynoszą korzyści nikomu.

Jak będzie dalej, to okaże się w miarę, jak będę wracał do sił. Obawiam się bardzo zmiany albo przeprowadzki

właśnie z powodu nowych kosztów. Od dłuższego czasu nie mogę nabrać oddechu. Nie porzucam pracy, ponieważ chwilami jakoś to idzie i spodziewam się, że przy cierpliwości dojdę do tego, że namalowane obrazy zwrócą nam dawne wydatki.

Nie mówiłem, rzecz prosta, o czym innym, ale mówiłem, że zawsze żałuję, że nie jestem lekarzem i że ci, co wierzą w piękno malarstwa, zrobiliby dobrze widząc w nim tylko studium natury.

Szkoda jednak, że Gauguin i ja zbyt szybko porzuciliśmy problem Rembrandta i światła, nad którym zaczęliśmy się zastanawiać.

Czy zauważyłeś, kiedy byłeś tutaj, moje studium dyliżansu z Taraskonu, o którym, jak wiesz, jest wzmianka w Tartarin, chasseur de lions?

I czy pamiętasz Bomparda z Numa Roumestan i jego wspaniałą wyobraźnię?

Właśnie Gauguin, choć w inny sposób, ma piękną, szczerą i pełną wyobraźnię Południa, i z tą wyobraźnią chce pozostać na Północy! Mój Boże, cóż za dziwactwo!

1 jeśli zastanowić się teraz z całą śmiałością, czy nie możemy w nim widzieć małego tygrysa, Bonapartego impresjonizmu i czy jego... nie wiem, jak to powiedzieć — jego umknięcie z Arles nie jest podobne do powrotu z Egiptu małego kaprala, który także udał się potem do Paryża i który zawsze porzucał armie, kiedy szło kiepsko?

Na szczęście Gauguin, ja i inni malarze nie jesteśmy jeszcze uzbrojeni w mitraliezy i inną szkodliwą broń. Co do mnie, pozostanę uzbrojony jedynie w mój pędzel i pióro.

Niemniej Gauguin w swoim ostatnim liście zażądał ode mnie z wielkim krzykiem, żebym odesłał mu „jego maski i rękawice do fechtunku" pozostawione w moim małym żółtym domku.

Prześlę mu pocztą te jego dziecinne zabawki.

I mam nadzieję, że nigdy nie posłuży się bardziej niebezpiecznymi przedmiotami.

Fizycznie jest silniejszy od nas, jego namiętności są zapewne też silniejsze od naszych. Poza tym jest ojcem, ma żonę i dzieci w Danii, i chce jednocześnie jechać na drugi koniec świata, na Martynikę. To musi być okropne, to pomieszanie pragnień i potrzeb. Zapewniałem go, że gdyby pozostał z nami, pracując w Arles, nie tracąc pieniędzy, ale zarabiając je, skoro ty zatroszczysz się o jego obrazy, jego żona niewątpliwie napisałaby do niego i przystała na jego tryb życia. Chodziło jeszcze o coś więcej: był cierpiący i poważnie chory i trzeba było zarówno odkryć chorobę jak znaleźć na nią sposób. Tu jego bóle ustały. Ale dość na dzisiaj. Czy masz adres Lavala, przyjaciela Gauguina? Powiedz Lavalowi, że jestem bardzo zdumiony, że jego przyjaciel Gauguin nie zabrał mojego portretu, który mu ofiarowałem. Poślę ten portret tobie, może mu go przekażesz. Mam inny, nowy, dla ciebie. Dziękuję ci raz jeszcze za list, pomyśl, proszę, że niepodobna żyć trzynaście dni za 23,50 fr., które ml pozostały; postaram się jakoś związać koniec z końcem, gdy dostanę od ciebie 20 franków w przyszłym tygodniu.

19 stycznia 1889

Muszę do ciebie napisać dziś kilka słów. Wczoraj dostałem rachunek za gaz — 10 fr. (albo 9,90), który także zapłaciłem. Ta suma dodana do rozliczenia, które ci zrobiłem w poprzednim liście, zmniejsza znacznie pozostałość z 50 fr., którą mam na wyżywienie. Jeśli możesz, przyślij mi trochę pieniędzy, mam nadzieję, że wytłumaczyłem się dość jasno. Czuję się wciąż jeszcze słabo i będzie mi trudno wrócić do sił, jeśli zimno potrwa nadal. Rey da mi wino chinowe, które, jak się spodziewam, trochę mi pomoże.

Miałbym ci jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia w odpowiedzi na twój list, ale nie mam czasu, czeka na mnie obraz na sztalugach.

Roulin odjeżdża. Jego wynagrodzenie wynosiło tutaj 135 franków miesięcznie i za tę sumę miał wychować troje dzieci i żyć wraz z żoną!

Możesz sobie wyobrazić, co to było. I to jeszcze nie wszystko, podwyżka to lek gorszy jeszcze od choroby... Cóż za zarządzenia, w jakich czasach żyjemy! Rzadko zdarzało mi się widzieć człowieka pokroju Roulina, jest w nim wiele z Sokratesa, brzydki niczym satyr, jak to mówił Michelet: „Aż do ostatniego dnia żył w nim bóg, który oświetlił swym blaskiem Partenon" itd., itd. Gdyby Chatrian, którego spotkałeś, poznał tego człowieka!

Zapomniałem ci powiedzieć, że wczoraj dostałem list od Gauguina, znowu w sprawie tych masek i rękawic, pełen rozmaitych i zmiennych projektów; w perspektywie widzi już koniec pieniędzy.

Oczywiście...

Obawia się, że nie będzie mógł z tego powodu pojechać do Brukseli. Jeśli nie może jechać do Brukseli, jak pojedzie do Danii i pod zwrotniki?

Najlepsze, co mógłby zrobić, i czego właśnie nie zrobi, to wrócić tutaj.

Nie doszliśmy jeszcze zresztą do tego punktu, nie mówi wprost, że widzi przed sobą nędzę, można to tylko wyczytać między wierszami.

Na razie mieszka jeszcze u Schuffeneckerów i ma zrobić portrety całej rodziny; czasu jest więc dość, by mógł się zastanowić.

Nie odpowiedziałem mu jeszcze. Jedno, na szczęście, jest pewne: w gruncie rzeczy Gauguin i ja lubimy się dostatecznie, żeby w razie konieczności móc znów zacząć

razem. Jestem rad, że nie zapomniałeś o Lekcji anatomii dla p. Reya. W przyszłości trzeba mi będzie od czasu do czasu lekarza; ponieważ Rey zna mnie dobrze, jest to jeden powód więcej, żebym spokojnie tu pozostał.

Wkrótce napiszę do ciebie znowu, ale co do pieniędzy na ten miesiąc, wyciągnij sam wnioski, nie wydam więcej niż w innych miesiącach.

23 stycznia 1889

Posłuchaj: mnie chodzi o to, żeby zdobyć pieniądze, jakie kosztowała moja edukacja malarska, ani mniej, ani więcej.

Mam do tego prawo, tak samo jak do kawałka chleba.

Wydaje mi się, że te pieniądze się zwrócą; nie mówię, że trafią do twoich rąk, skoro zrobiliśmy to, cośmy zrobili, we dwóch; i tak nam przykro mówić o pieniądzach.

Nie trafią do twoich rąk, ale do rąk twojej żony, która zresztą przyłączy się do nas, żeby pracować z artystami.

Jeśli nie troszczę się teraz o sprzedaż, to dlatego, że nie mam jeszcze dość obrazów, ale posuwam się naprzód; wróciłem do pracy z żelaznymi nerwami.

W mojej pracy miałem złe i dobre chwile, ale nie tylko złe. Jeśli na przykład nasz bukiet malowany przez Monticellego wart jest dla amatora 500 franków, i tyle wart jest w istocie, śmiem cię zapewnić, że moje słoneczniki dla jakiegoś S?kota czy Amerykanina warte są również 500 franków.

Pierwszy lepszy nie potrafi rozpalić się do tego stopnia, by stopić te złote barwy, te tony kwiatów: trzeba na to energii i skupienia całej istoty.

Kiedy po chorobie zobaczyłem na nowo moje płótna, najlepszy wydał mi się pokój sypialny.

Suma, jaką wydajemy na pracę, jest niewątpliwie dość poważna, ale wiele przecieka między palcami i musimy dbać przede wszystkim o to, żeby tak w przyszłości nie było. Toteż jeśli w jednym miesiącu wydaję więcej, staram się to zrównoważyć pracą, przynajmniej do pewnego stopnia.

Tyle przeciwności sprawia niewątpliwie, że staję się trochę niespokojny i czuję lęk; ale nie popadam w rozpacz.

Trzeba będzie wiele ostrożności, żeby koszta sprzedaży nie obróciły na nic samej sprzedaży, kiedy nadejdzie chwila. Ile to razy widzieliśmy takie smutne wypadki w życiu artystów.

Sam widzisz, że wyjazd Gauguina jest rzeczą straszną, właśnie dlatego, że porzuca nas w chwili, kiedy stworzyliśmy i umeblowaliśmy dom, by w razie potrzeby mogli w nim zamieszkać artyści.

Mimo wszystko jednak zachowamy meble itd. I choć dziś wszyscy się mnie boją, z czasem może to minąć.

Wszyscy jesteśmy śmiertelni i wszyscy wystawieni na wszelkie możliwe choroby; cóż możemy zrobić, jeśli nasze choroby nie są przyjemne? Jedynie starać się z nich wyleczyć.

Toteż doznaję wyrzutów sumienia, kiedy pomyślę, ile troski przyczyniłem, co prawda mimo woli, Gauguinowi. Ale przed tymi ostatnimi dniami widziałem tylko jedno: że pracuje z sercem podzielonym, pragnąc z jednej strony jechać do Paryża, żeby zrealizować swoje plany, z drugiej pozostać w Arles.

Co z tego wszystkiego wyniknie dla niego?

Wiesz przecież, że choć masz dobrą pensję, brak nam kapitału, nawet w towarze; i jeśli rzeczywiście mamy zmienić smutną sytuację znanych nam malarzy, trzeba na to większej potęgi. Ale często natrafia się na brak zaufania właśnie z ich strony, spiskują między sobą i rezultatem jest

pustka. Myślę, że w Pont-Aven stanowili już w pięciu czy sześciu grupę, ale ta grupa może już nie istnieje.

Nie mają złej woli, ale — trudno to nazwać — jest to jeden z błędów tych nieobliczalnych dzieci.

Teraz najważniejsze jest, żebyś nie odkładał swego małżeństwa. Żeniąc się uszczęśliwisz i uspokoisz matkę; małżeństwa też wymaga twoja pozycja w życiu i w handlu. Czy oceni to środowisko, do którego należysz? — może nie bardziej, niż artyści domyślają się, że niekiedy pracowałem i cierpiałem dla społeczności... Nie będziesz też żądał ode mnie, twego brata, banalnych życzeń i zapewień, że znajdziesz się od razu w raju. Mając żonę, przestaniesz być sam, czego życzę również gorąco siostrze.

Po twoim małżeństwie pragnąłbym tego najbardziej.

Po twoim ślubie może nastąpią inne w rodzinie; w każdym razie będziesz widział swoją drogę jasno i twój dom nie będzie już pusty.

Cokolwiek myślę o pewnych sprawach, nasz ojciec i matka byli wzorowymi małżonkami.

I nie zapomnę nigdy matki przy trumnie ojca, kiedy powiedziała tylko kilka słów, dzięki którym pokochałem starą matkę jeszcze bardziej. Nasi rodzice jako małżonkowie byli wzorowi, tak samo jak Roulin i jego żona, żeby przytoczyć inny przykład.

Idź więc prosto tą drogą. Podczas choroby widziałem każdy pokój w domu w Zundert, każdą ścieżkę, każdą roślinę w ogrodzie, widoki dokoła, pola, sąsiadów, cmentarz, kościół, nasz ogród warzywny z tyłu — nawet gniazdo sroki na wysokiej akacji cmentarnej.

Zapewne dlatego, że z tych czasów mam najwięcej wspomnień z was wszystkich; pamiętamy je tylko my z matką.

Nie będę nad tym się rozwodził, lepiej nie starać się przypominać, co mi wówczas przechodziło przez głowę.

Wiedz tylko, że będę bardzo szczęśliwy, kiedy się ożenisz. Posłuchaj teraz: jeżeli ze względu na twoją żonę byłoby lepiej, żebym od czasu do czasu miał obraz u Goupilów, zapomnę o mojej urazie do nich i to w następujący sposób:

Powiedziałem, że nie chcę im dać zbyt naiwnego obrazu.

Ale jeśli chcesz, możesz wystawić u nich dwa płótna ze słonecznikami.

Gauguin chciałby mieć jedno z nich, a mnie będzie milo sprawić mu przyjemność. Namaluję więc powtórnie jedno z tych płócien, to, które sobie wybierze.

Zobaczysz, że te płótna działają. Ale radziłbym ci, żebyś je zachował dla domu, dla żony i dla siebie.

Jest to malarstwo nieco się zmieniające, które nabiera bogactwa, kiedy patrzeć na nie dłużej.

Wiesz zresztą, że Gauguin lubi ogromnie te płótna, powiedział mi kiedyś między innymi: „Tak... to jest kwiat".

Byłbym rad, gdybym mógł nadal wymieniać obrazy z Gauguinem, nawet jeśli niekiedy mnie także kosztuje to drogo.

28 stycznia 1889

Tylko kilka słów, żeby ci powiedzieć, że ze zdrowiem i pracą jest jako tako.

Kiedy porównuję mój stan dzisiejszy i sprzed miesiąca, uważam, że to jednak zdumiewające. Wiedziałem, że można sobie połamać ręce albo nogi i potem wrócić do zdrowia, ale

nie wiedziałem, że można sobie rozbić głowę, uszkodzić mózg i też przyjść do siebie.

Pozostaje mi tylko uczucie „po co zdrowieć?" pośród zdumienia, jakie budzi we mnie moje wyzdrowienie, na które nie śmiałem nawet liczyć.

Powiedziałem Gauguinowi w jednej z naszych intymnych rozmów, kiedy mówiliśmy o rybakach z Islandii, o ich melancholijnej samotności, o tym, że są wystawieni na wszelkie niebezpieczeństwa, sami na smutnym morzu — powiedziałem Gauguinowi, że chciałbym namalować taki obraz, żeby marynarze, dzieci i męczennicy zarazem, widząc go w kabinie statku rybaków z Islandii, czuli się, jakby kołysał ich śpiew piastunki.

Skoro wciąż mamy zimę, pozwólcie mi spokojnie pracować; jeśli jest to praca szaleńca, tym gorzej. Nic na to nie poradzę.

Jednakże nieznośne halucynacje ustały, teraz to tylko zwykły koszmar, wskutek zażywania bromu, jak sądzę.

Rozpatrywać szczegółowo sprawy pieniężne jest jeszcze dla mnie niemożliwe, jednakże pragnę właśnie rozpatrywać je w szczegółach i pracuję bez wytchnienia od rana do nocy (chyba że moja praca jest również halucynacją), aby ci dowieść, że jesteśmy na drodze Monticellego i, co więcej, że na tej drodze mamy światło i lampę przed nami — potężny wysiłek Briasa z Montpellier, który tyle zrobił dla stworzenia szkoły na Południu.

Nie zdumiewaj się jednak zbytnio, jeśli w przyszłym miesiącu będę cię musiał poprosić o całą pensję i może nawet o pewien dodatek.

Nic przecież w tym dziwnego, że w czasie kiedy maluję i kiedy praca pochłania moje wszystkie siły życiowe, dbam o pewne środki ostrożności.

Różnica wydatków nie jest z pewnością w takim razie przesadna.

Powtarzam raz jeszcze: albo zamknijcie mnie od razu w celi wariatów, nie sprzeciwiam się, jeśli macie rację, albo pozwólcie mi pracować ze wszystkich sił, przedsięwziąwszy pewne środki ostrożności, o których wspominam. Jeśli nie jestem wariatem, nadejdzie chwila, kiedy przyślę ci to, co ci od początku obiecywałem. Obrazy może rozproszą się niestety, ale kiedy zobaczysz zestaw tych płócien, które chcę, żebyś zobaczył, śmiem się spodziewać, że twoje wrażenie będzie dodatnie.

Praca jest dla mnie rozrywką. I muszę mieć rozrywki — wczoraj byłem w Folies Arlésiennes, jest to teatr, który tu powstaje; po raz pierwszy spałem bez okropnych koszmarów. Wystawiano to, co nazywa się Pastorałką — reminiscencja religijnego teatru średniowiecznego, staraniem prowansalskiego towarzystwa literackiego. Rzecz była bardzo wystudiowana i kosztowała zapewne drogo.

Oczywiście, były narodziny Chrystusa wplecione w żartobliwą historią rodziny zdumionych prowansalskich chłopów.

Ale najbardziej zdumiewająca — niby akwaforta Rembrandta — była stara chłopka, zupełnie jak pani Tanguy: mózg z krzemienia, fałszywa, zdradziecka, szalona, o czym można było się dowiedzieć z poprzedniej części.

Ta kobieta, znalazłszy się przed mistycznym żłobkiem, zaczęła śpiewać drżącym głosem, potem głos się zmienił, nie była to już czarownica, ale anioł, za chwilę znów nie anielski głos, lecz głos dziecka, wreszcie odpowiedź innym głosem, mocnym i ciepłym głosem kobiety zza kulis.

To było wspaniałe. Przedstawienie odbyło się na koszt tak zwanych Félibres.

Będąc tu, wcale nie mam ochoty ani potrzeby jechać pod zwrotniki. Wierzę i zawsze będę wierzył w możliwość stworzenia sztuki pod zwrotnikami i myślę, że ta sztuka będzie wspaniała, ale ja osobiście jestem za stary i

(zwłaszcza gdybym sobie dorobił ucho z papier mâché zbyt papierowy, żebym mógł tam jechać.

Czy Gauguin pojedzie? To nie jest konieczne. A jeśli, to jakoś zrobi się to samo przez się.

Jesteśmy tylko ogniwami tego samego łańcucha.

Ten dobry Gauguin i ja w głębi serca rozumiemy się dobrze i jeśli jesteśmy trochę obłąkani, czy nie jesteśmy również do głębi artystami? Na niepokoje w tym względzie odpowiadamy słowami naszego pędzla.

Może wszyscy będą mieli pewnego dnia nerwice, taniec św. Wita czy coś innego.

Czy nie ma jednak odtrutki? W Delacroix, w Berliozie, w Wagnerze? I nasze szaleństwo artystyczne — nie mówię, że tylko ja jestem nim przesiąknięty do szpiku kości — nasze szaleństwo artystyczne przy odrobinie dobrej woli może zejść na drugi plan, ponieważ jest na to lekarstwo i pocieszenie.

30 stycznia 1889

W zeszły poniedziałek widziałem się z przyjacielem Roulinem. Zresztą był powód — cała Francja zadrżała. Oczywiście, dla nas wybory, ich rezultaty, deputowani, to tylko symbole. Ale jest pewne, że ambicje i chwały światowe przemijają, ale nie zmienia się bicie serca ludzkiego, takie samo w naszym pokoleniu, w pokoleniach minionych czy tych, które nadejdą.

Dostałem dziś rano bardzo przyjazny list od Gauguina, na który natychmiast odpowiedziałem.

Roulin przesyła ci pozdrowienia.

Był w niedzielę w Marsylii, kiedy tłum manifestował na wiadomość o wynikach wyborów przekazanych telegraficznie z Paryża.

Cały lud w Marsylii, podobnie jak w Paryżu, był przejęty do głębi.

Któż teraz odważy się dać rozkaz: ognia! z jakiegokolwiek działa, mitraliezy czy z karabinu Lebela, kiedy tyle serc jest gotowych zamknąć lufy dział? Tym bardziej, że zwycięscy politycy tego Wielkiego dnia, Rochefort i Boulanger, woleliby znaleźć się na cmentarzu niż na jakimkolwiek tronie. Tak w każdym razie rozumieliśmy wypadki, nie tylko ja i Roulin, ale i wielu innych.- Byliśmy bardzo wzruszeni. Roulin opowiadał mi, że niemal płakał widząc ten milczący tłum marsylski; przyszedł do siebie dopiero wtedy, gdy ujrzał opodal bardzo dawnych przyjaciół, którzy ledwo go poznali. Poszli na kolację i pozostali razem do późna w noc.

Choć był bardzo zmęczony, nie mógł się oprzeć chęci, żeby zobaczyć się z rodziną w Arles; padając niemal z nóg z senności, blady, przyszedł uścisnąć mi rękę. Mogłem właśnie pokazać mu dwa egzemplarze portretu jego żony, co mu sprawiło przyjemność.

Z tego, co mówią, wynika, że jestem wyraźnie coraz zdrowszy; serce mam trochę nazbyt pełne wzruszeń i różnych nadziei, zdumiewa mnie bowiem wciąż, że wracam do zdrowia.

Wszyscy są tu dobrzy dla mnie, sąsiedzi itd., dobrzy i uprzedzająco grzeczni, jak w prawdziwej ojczyźnie.

Wiem, że wielu ludzi tutejszych poprosiłoby mnie o portrety, gdyby starczyło im odwagi. Choć Roulin jest bardzo biedny i na skromnym stanowisku, szanują go tu bardzo, a wiedzą, że malowałem całą jego rodzinę.

Skończę ten list do ciebie, podobnie jak list do Gauguina, mówiąc, że choć w moich słowach widać jeszcze ślady dawnego podniecenia, cóż w tym dziwnego, skoro na tej poczciwej ziemi taraskońskiej wszyscy są trochę zbzikowani.

3 lutego 1889

Chciałem od razu odpowiedzieć na twój dobry list, zawierający 100 franków, ale byłem bardzo zmęczony, lekarz zaś zalecił mi przechadzkę i żadnej pracy umysłowej, dlatego piszę dopiero dziś. Co do mojej pracy, miesiąc nie był w sumie kiepski; praca jest dla mnie rozrywką albo raczej trzyma mnie w karbach, kiedy nie muszę się jej wyrzekać.

Pytasz mnie, czy czytałem Mireille Mistrala; jak ty, mogę czytać tylko fragmenty w przekładzie. Ale możeś ty to już słyszał, wiesz, że Gounod napisał do tego muzykę, tak mi się przynajmniej zdaje. Nie znam oczywiście tej muzyki i nawet gdybym jej słuchał, patrzyłbym raczej na muzyków, niż jej słuchał.

Ale jakże muzyczny jest dialekt tutejszy w ustach Arlezjanek!

Może Piastunka jest próbą muzycznego wyrażenia koloru; płótno jest źle namalowane, oleodruki na targach są o wiele lepsze technicznie, a jednak!

Tak zwane dobre miasto Arles jest osobliwym miej scem, które przyjaciel Gauguin słusznie nazywa najbrudniejszą dziurą Południa.

Gdyby Rivet widział tę ludność, byłby na pewno zniechęcony i powtarzałby: „Wszyscy jesteście chorzy", jak mówi do nas; ale skoro już raz człowiek zarazi się tą chorobą Południa, nie zachoruje na nią drugi raz.

Mówię to po to, byś wiedział, że nie robię sobie złudzeń. Wszystko idzie dobrze i zastosuję się do wszystkiego, co powie lekarz, ale... Kiedy wyszedłem z poczciwym Roulinem ze szpitala, wyobrażałem sobie, że nic się nie stało, dopiero potem zrozumiałem, że byłem chory. Mam chwile, kiedy

wypełnia mnie po brzegi entuzjazm, szaleństwo czy jasnowidztwo i skręcam się od tego jak wieszczek grecki na swoim trójnogu.

Wówczas mam wielką przytomność umysłu i słowa, i mówię jak Arlezjnki, a przy tym czuję się tak słaby.

Zwłaszcza, kiedy siły fizyczne wracają; ale powiedziałem już Reyowi, że przy najmniniejszym poważnym objawie przyjdę i oddam się w ręce lekarzy z Aix, zajmujących się umysłowo chorymi, czy też w ręce jego samego.

Cóż może dla ciebie czy dla mnie wyniknąć innego niż zło i cierpienie, jeśli nie jesteśmy zdrowi? Nasza ambicja tak bardzo zgasła.

Pracujmy więc spokojnie, dbajmy o siebie, jak potrafimy, i nie wyczerpujmy się w jałowych wysiłkach wzajemnej wielkoduszności.

Ty zrobisz, co do ciebie należy, ja zrobię swoje; obaj zapłaciliśmy już za to inaczej jak słowami i może u końca drogi spotkamy się w spokoju. Ale kiedy w napadzie szaleństwa wszystko, co kocham, staje się tak inne, nie uznaję tego za rzeczywistość i nie robię z siebie fałszywego proroka.

Choroba, śmiertelność, doprawdy, to nie robi na mnie wrażenia, ale na szczęście dla nas, ambicja nie jest do pogodzenia z tym, co robimy.

Ale jak to się dzieje, że w tej chwili myślisz o warunkach kontraktu ślubnego i o możliwości śmierci? Czy nie lepiej byłoby, żebyś się wpierw po prostu ożenił?

Ale to jest w obyczajach Północy, ja zaś nie powiem, że na Północy obyczaje nie są dobre.

Ale to wszystko się ułoży.

Nie mam grosza, ale mówię zawsze, że pieniądze to jeden środek płatniczy, a malarstwo drugi. Mogę ci teraz

wysłać obrazy, tak jak o tym mowa była poprzednio. Ale będzie ich więcej, jeśli siły mi wrócą.

Chciałbym tylko, aby Gauguin, który ma wielką słabość do moich słoneczników, wziął oba płótna i dał w zamian twojej narzeczonej lub tobie dwa własne obrazy, nie średnie, ale lepsze niż średnie. A jeśli weźmie jedną z wersji Piastunki, tym bardziej powinien dać dobry obraz. Inaczej nie mógłbym skompletować cyklu, o którym ci mówiłem i który ma być przeznaczony do tej samej witryny, którą tyle razy oglądaliśmy.

Dla Niezależnych sześć obrazów to dwa razy za dużo. Moim zdaniem, wystarczą Żniwa i Biały sad, jeśli chcesz, dodaj jeszcze Małą Prowansalkę albo Siewcę. Mnie to obojętne. Zależy mi tylko na tym, żeby kiedyś sprawić ci większą przyjemność dając trzydzieści obrazów bardziej poważnych. Co dowiedzie naszym prawdziwym przyjaciołom, jak Gauguin, Guillaumin, Bernard i inni, że pracujemy produktywnie.

Co do małego żółtego domku, to gdy płaciłem komorne administrator zachował się bardzo przyzwoicie, jak Arlezjańczyk — traktując mnie jak równy równego. Powiedziałem mu, że nie trzeba mi ani kontraktu najmu, ani umowy pisanej i że w wypadku choroby zapłacę mu zgodnie z porozumieniem.

Ludzie mają tu serce i rzecz powiedziana jest pewniejsza niż pisana. Na razie więc zachowuję dom, bo muszę się czuć u siebie, jeśli mam wyzdrowieć na umyśle.

Ja też trochę jestem taki, ludziom tutejszym, którzy pytają mnie o zdrowie, odpowiadam, że wpierw umrę z choroby wraz z nimi i dopiero później moja choroba umrze.

To nie znaczy, że nie będę miał dłuższych chwil wytchnienia, ale kiedy raz już człowiek jest chory naprawdę, wie, że drugi raz nie może nabawić się tej samej choroby, ze zdrowiem i z chorobą jest tak samo jak z młodością i ze

starością. Wiedz tylko, że ja tak samo jak ty robię w miarę możności to, co każe mi lekarz, i że uważam to za część pracy i zadanie, jakie muszę wypełnić. Muszę powiedzieć, że sąsiedzi itd. są dla mnie wyjątkowej dobroci; wszyscy tu cierpią czy to na gorączką, czy na halucynacje, czy na obłęd, tak że rozumiemy się jak członkowie jednej rodziny.

Byłem wczoraj u dziewczyny, do której poszedłem w chwili mego szaleństwa; powiedziano mi, że takie rzeczy nie są tu niczym nadzwyczajnym. Ona doznała wstrząsu i zemdlała, ale potem przyszła do siebie. Zresztą mówią o niej dobrze.

Ale nie mogę się uważać za całkiem zdrowego. Ludzie tutejsi, którzy są chorzy jak ja, mówią mi prawdę. Można żyć krótko lub długo, ale zawsze przychodzą chwile, kiedy traci się głowę. Nie mów więc, że nic mi nie jest lub że nic mi nie będzie. Gorączek tutejszych jeszcze nie miałem, ale mogę je mieć. W szpitalu ludzie się na tym znają i jeśli pozbyć się fałszywego wstydu i mówić szczerze, człowiek nie czuje się tam źle.

(Na początku lutego stan zdrowia Vincenta ulega pogorszeniu; wyobraża sobie, że usiłowano go otruć. Theo, który nie otrzymuje wiadomości od brata, telegrafuje 13 lutego do doktora Reya i dostaje odpowiedź następującą: „Vincent ma się znacznie lepiej, jest u nas, mamy nadzieją, że go wyleczymy, niech pan będzie spokojny".)

Luty 1889

Ponieważ z moją głową nie było całkiem dobrze, nie próbowałem do ciebie pisać w odpowiedzi na twój dobry list. Dziś wróciłem na razie do domu; mam nadzieję, że już na dobre. Tyle jest chwil, kiedy czuję się zupełnie normalny, i dlatego zdaje mi się, że jeśli to jest osobliwa choroba tego

kraju, trzeba spokojnie czekać tutaj, aż to się skończy, nawet gdyby miały być nawroty (przypuśćmy, że ich nie będzie).

Ale mówię raz jeszcze tobie i doktorowi Reyowi: jeśli prędzej czy później będzie trzeba, żebym znalazł się w Aix, jak o tym była mowa, zgadzam się z góry i przystaję na to.

Ponieważ jednak jestem malarzem i robotnikiem, nie ma prawa nikt, nawet ty czy lekarz, przedsięwziąć takiego kroku nie uprzedziwszy mnie i nie zasięgnąwszy mojej opini na ten temat; jeśli bowiem zachowałem dotychczas względną przytomność umysłu w sprawach mego malarstwa, moim prawem jest powiedzieć, a przynajmniej mieć swój pogląd na to, co uważam za lepsze: zachowanie pracowni tutaj czy zupełne przeniesienie się do Aix. Ma to na celu uniknięcie kosztów i strat związanych z przeprowadzką, która powinna nastąpić tylko w wypadku absolutnej, konieczności.

Zdaje się, że ludzie tutejsi mają swoją legendę na temat malarstwa, która napawa ich strachem, i że mówiono o tym w mieście. Wiem, że w Arabii jest tak samo, a jednak mamy mnóstwo malarzy w Afryce, prawda?

Co dowodzi, że przy odrobinie stanowczości można zmienić te przesądy, a w każdym razie samemu uprawiać malarstwo.

Nieszczęście polega na tym, że skłonny jestem ulegać przekonaniom innych i nie zawsze potrafię kpić z odrobiny prawdy, jaka może się kryć w absurdzie.

Gauguin zresztą jest pod tym względem taki jak ja, mogłeś to sam zauważyć, i podczas jego pobytu tutaj dręczył go jakiś osobliwy niepokój.

Dlaczego ja, który mieszkam tu więcej niż rok, który słyszałem najgorsze rzeczy o sobie, o Gauguinie, o malarstwie w ogóle.,, nie miałbym tu pozostać? Gdzie mogłoby mi być gorzej niż tu, gdzie byłem już dwukrotnie w celi?

Ale pobyt tu ma swoje dobre strony; jak powiedziałby Rivet, „wszyscy ta są chorzy" i przynajmniej, nie czują się sam.

A poza tym, jak wiesz, bardzo jestem przywiązany do Arles, choć Gauguin ma diablo rację mówiąc, że to najbrudniejsze miasto Południa.

Sąsiedzi, p. Rey, wszyscy zresztą w szpitalu, okazali mi tyle przyjaźni, że wolałbym zawsze być chory niż zapomnieć o dobroci tych samych ludzi, którzy żywią najbardziej nieprawdopodobne przesądy na temat malarzy i malarstwa, a w każdym razie dalecy są od naszych zdrowych i jasnych poglądów

Poza tym w szpitalu znają rnnie już i jeśli znowu mi to wróci, nie będzie o tym głośno, oni widzą już, co robić. Nie mam ochoty ani nie czuję potrzeby znalezienia się w rękach innych lekarzy.

Jedynym moim pragnieniem jest możliwość dalszego zarabiania pracą rąk na pokrycie moich wydatków. Koning napisał mi bardzo życzliwy list, mówi, że on i jego przyjaciel przyjadą prawdopodobnie na Południe, aby być ze mną dłużej — w odpowiedzi na list, który napisałem mu przed kilku dniami. Nie mam już odwagi zachęcać malarzy, żeby przyjeżdżali tu po tym, to mi się przydarzyło, mogą stracić rozum jak ja, dotyczy to również Haana i Isaacsona.

Niechaj jadą do Antibes, Nicei, Mentony, może to będzie zdrowsze.

Matka i siostra także napisały do mnie; siostra jest bardzo przejęta chorą, którą pielęgnowała; w domu wszyscy są bardzo zadowoleni z twego małżeństwa.

Wiedz, że nie trzeba się o mnie zbytnia troszczyć i martwić. Prawdopodobnie wszystko pójdzie swoją koleją nie da się wiele zmienić środkami ostrożności.

Powiem ci raz jeszcze; starajmy się polubić nasz los, taki jaki jest.

19 marca 1889

W twoim dobrym liście widzę tyle braterskiego niepokoju, że muszę przerwać moje milczenie. Piszę do ciebie w pełni władz umysłowych, nie jako wariat, ale jako brat, którego znasz. Oto prawda. Grupa ludzi tutejszych skierowała do mera (zdaje się, że się nazywa Tardieu) list (podpisany przez 80 osób z górą), w którym oświadcza, że nie jestem człowiekiem, który byłby godzien żyć na wolności, czy coś w tym rodzaju.

Komisarz policji czy główny komisarz wydał rozkaz, żeby mnie zamknąć mown.

Tak więc od wielu dni jestem pod kluczem, zamknięty i pilnowany przez strażników, w celi, choć nie udowodniono mi winy i nie sposób mi jej udowodnić.

Jest rzeczą oczywistą, że w głębi duszy mógłbym wiele zarzucić takiemu postępowaniu. Jest rzeczą oczywistą, że nie mogę się gniewać i że usprawiedliwiać się w takim wypadku to tyle co się oskarżać.

Mówię ci o tym, żeby cię uprzedzić; nie proszę o uwolnienie, jestem bowiem przekonany, że całe to oskarżenie obróci się w absurd.

Uwolnić mnie będzie dla ciebie rzeczą trudną. Gdybym nie powściągał mego oburzenia, zostałbym uznany natychmiast za niebezpiecznego wariata. Okazując cierpliwość mogę mieć nadzieję, zresztą gwałtowne emocje mogłyby tylko pogorszyć mój stan. Dlatego proszę cię niniejszym żebyś zostawił sprawę jej biegowi i nie wtrącał się do niej.

Wiedz zatem, że twoja interwencja mogłaby pogorszyć i skomplikować sprawę.

Tym bardziej, że ja, choć jestem absolutnie spokojny obecnie, mógłbym popaść w stan nadmiernego podniecenia, gdybym doznał nowych wzruszeń moralnych.

Rozumiesz, że był to dla mnie cios obuchem w głowę: znalazło się więc tylu ludzi dość nikczemnych na to, by sprzymierzyć się przeciw jednemu i na domiar choremu człowiekowi.

A więc dla twojej orientacji: co do mojego stanu moralnego, jestem mocno wstrząśnięty, ale odnajduję w sobie dość spokoju, żeby się nie gniewać.

Zresztą powinienem być pokorny po doświadczeniu powtarzających się ataków. Uzbrajam się więc w cierpliwość.

Najważniejsze, powtarzam, żebyś ty także zachował spokój i żeby ci nic nie przeszkadzało w twojej pracy. Po twoim małżeństwie możemy zająć się wyjaśnieniem tego wszystkiego, ale na razie, proszę, zostaw mnie tu w spokoju. Jestem przekonany, że mer i komisarz są mi raczej przyjaciółmi i zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby jakoś to załatwić. Tu nie jest mi bardzo źle — poza tym, że nie jestem wolny, i wieloma rzeczami, które wolałbym, żeby były inne.

Powiedziałem im zresztą, że nie możemy ponieść kosztów. Nie mogę przeprowadzić się bez kosztów, nie pracuję zaś od 3 miesięcy; zwróć uwagę, że mógłbym pracować, gdyby mnie nie doprowadzili do rozjątrzenia i nie przeszkadzali mi.

Jak miewa się matka i siostra?

Nie mając nic, co mogłoby mnie rozerwać — zabroniono mi nawet palić, co wolno przecież innym chorym — myślę o wszystkich ludziach, których znam, przez całe dnie i noce.

Jaka męka i — wszystko na nic.

Nie będę ukrywał przed tobą, że wolałbym zdechnąć niż mieć tyle kłopotów i tyle ich przyczyniać.

Cóż, cierpieć bez skargi to jedyna rzecz, której należy się nauczyć w tym życiu.

Jeśli mam wrócić do malarstwa, muszę mieć oczywiście swoją pracownię, meble — na pewno nie zdobędziemy tego po raz drugi, gdyby przyszło nam to stracić. Nie mógłbym ze względu na moją pracę znów mieszkać w hotelu, muszę mieć swój kąt.

Jeśli ludzie tutejsi protestują przeciwko mnie, ja protestuję przeciwko nim i muszą mi wyrównać po dobremu straty, gdybym coś tracił z ich winy czy z powodu ich prostactwa.

Gdybym został wariatem na dobre — nie mówię, że to jest niemożliwe — w każdym razie powinienem być traktowany inaczej, muszę mieć powietrze, pracę itd.

Wówczas, doprawdy, przystanę na to.

Ale nie doszliśmy jeszcze do tego punktu i gdybym miał spokój, od dawna już wróciłbym do zdrowia. Oni szykanują mnie — że paliłem, że piłem — ale z tą całą ich wstrzemięźliwością przyczyniają mi tylko nowych cierpień. Mój drogi bracie, może najlepiej jest kpić sobie z naszych małych utrapień, a także trochę z wielkich bied życia ludzkiego. Weź to pod uwagę i idź prosto do celu. My, artyści, w społeczeństwie dzisiejszym jesteśmy jak rozbite dzbany. Jak ja bym chciał posłać ci moje płótna, ale wszystko jest pod kluczem, zamknięte, pilnowane przez policję i strażników. Nie staraj się mnie uwolnić, wszystko ułoży się samo, uprzedź jednak Signaka, żeby się nie wtrącał, dopóki nie napiszę znowu — włożyłby tylko rękę do gniazda os.

Przeczytam ten list p. Reyowi, który nie jest niczemu winien, sam bowiem był chory; na pewno napisze do ciebie. Mój dom zamknęła policja.

Jeżeli przez miesiąc od dnia dzisiejszego nie będziesz miał bezpośrednio ode mnie wiadomości, działaj, ale dopóki

proszę, czekaj.

Mam niejasne wspomnienie o liście wartościowym od ciebie, który mi kazano podpisać, ale nie chciałem tego zrobić, tyle było kłopotu z tym podpisem, i odtąd nie wiem, co się z tym listem stało.

Wytłumacz Bernardowi, że nie mogłem mu odpowiedzieć, to cała sprawa — napisanie listu tutaj, formalności nie mniej jak w więzieniu. Powiedz mu, niech się poradzi Gauguina, ale uściśnij mu mocno dłoń w moim imieniu.

Wolałbym do ciebie jeszcze nie pisać, w obawie, że cię skompromituję i że przeszkodzę ci w tym, co najważniejsze. Wszystko się ułoży, to jest zbyt idiotyczne, żeby miało trwać

Miałem nadzieję, że p. Rey przyjdzie do mnie, chciałem porozmawiać z nim przed wysłaniem tego listu, kazałem mu powiedzieć, że na niego czekam, ale nikt nie przyszedł. Proszę cię raz jeszcze, bądź ostrożny. Wiesz, co to znaczy złożyć skargę u władz cywilnych. Poczekaj przynajmniej aż do twojej podróży do Holandii. Sam się obawiam, że jeśli znajdę się na wolności, nie zawsze potrafię zapanować na sobą, gdyby mnie obrażono czy zwymyślano, a z tego można by skorzystać. Faktem jest, że skierowano petycję do mera. Odpowiedziałem jasno, że jestem gotów rzucić się do wody na przykład, jeśli to może raz na zawsze uszczęśliwić tych cnotliwych ludzi, ale że zraniłem tylko siebie, nikogo z nich itd. Odwagi więc, choć serce upada we mnie chwilami. Twój przyjazd zaostrzyłby tylko sytuację. Przeprowadzę się, kiedy będę miał możliwość.

Mam nadzieję, że mój list dojdzie do ciebie w dobrym stanie. Nie lękajmy się niczego, jestem dość spokojny teraz. Pozwólmy im działać. Zrobisz dobrze, jeśli napiszesz raz jeszcze, ale na razie nic więcej. Jeśli stanę się cierpliwy, to tylko mnie wzmocni i nie będę tak bardzo narażony na nowy atak. Oczywiście, był to dla mnie ciężki cios; robiłem, co

mogłem, żeby być w przyjaźni z tymi ludźmi, i nie spodziewałem się tego. A więc, mój drogi bracie, do widzenia, mam nadzieję, nie niepokój się o mnie. Może to tylko rodzaj kwarantanny, czy ja wiem?

24 marca 1889

Piszę do ciebie, żeby ci powiedzieć, że widziałem się z Signakiem, co mi zrobiło bardzo dobrze. Był bardzo dzielny, prawy i prosty, kiedy mieliśmy trudności z otwarciem drzwi zamkniętych przez policję, która zniszczyła zamek. Z początku nie chciano nam pozwolić, ale w końcu weszliśmy.

Skorzystałem z mego pierwszego wyjścia, żeby kupić książkę: Ceux de la glebe Camille'a Lemonnier. Przeczytałem już dwa rozdziały jednym tchem — jakie to poważne, jakie głębokie! Przyślę ci to. Od wielu miesięcy po raz pierwszy biorę książkę do ręki. To dużo dla mnie znaczy i Wraca mi zdrowie.

Signac uważa, i to jest prawda, że wyglądam na człowieka zdrowego.

Mam też wielką ochotę pracować. Jeśli jednak co dzień mam natrafiać na przeszkody w pracy i w życiu ze strony żandarmów i jadowitych próżniaków, wyborców miejskich, którzy składają przeciw mnie petycje u mera wybranego przez siebie, któremu zależy na ich głosach, byłoby rzeczą ludzką, gdybym upadł znowu. Jak mi się zdaje, Signac powie ci również coś w tym rodzaju. Moim zdaniem, należy nie dopuścić do straty mebli itd. I poza tym muszę doprawdy mieć wolność, by uprawiać mój zawód.

P. Rey powiada, że Zamiast odżywiać się dobrze i regularnie, żyłem głównie kawą i alkoholem. Zgadzam się z tym wszystkim, ale żeby uzyskać wysoką żółtą nutę, do czego doszedłem tego lata, trzeba mi było silniejszej

podniety. Artysta jest człowiekiem pracującym i pierwszy lepszy nie zwycięży go ostatecznie.

I w końcu, jeśli muszę być uwięziony czy zamknięty w celi, cóż w tym osobliwego? Czy Rochefort, Hugo, Quinet i inni nie dali wieczystego przykładu cierpiąc wygnanie; Rochefort był nawet na galerach. Ale chcę powiedzieć, że to jest poza sprawą choroby i zdrowia.

Naturalnie, człowiek nie panuje nad sobą w podobnych wypadkach — nie mówię równoważnych, ponieważ moje miejsce jest niższe i drugorzędne, ale w podobnych.

I to było pierwszą i ostatnią przyczyną mojego obłędu. Czy znasz te słowa holenderskiego poety: „Jestem związany z ziemią więzami bardziej niż ziemskimi".

Oto, co przede wszystkim czułem w moim lęku, w mojej chorobie zwanej umysłową.

Ach, gdyby nic nie stanęło mi na przeszkodzie!

Zastanówmy się dobrze, zanim wyjedziemy stąd gdzie indziej. Widzisz, że na Południu nie mam więcej szans niż na Północy. Wszędzie jest mniej więcej to samo.

Mam zamiar zgodzić się na mój zawód szaleńca, jak Degas przystał na zawód notariusza. Ale nie czuję w sobie sił koniecznych do tej roli.

Mówisz mi o tym, co nazywasz „prawdziwym Południem". Oto powód, dla którego nigdy się tam nie znajdę. Zostawiani to ludziom bardziej pełnym, doskonalszym ode mnie. Ja nadaję się tylko do czegoś pośredniego, mniejszego, w drugim planie.

Choćby moje uczucie osiągnęło największą intensywność, choćbym zdobył największą siłę wyrazu w wieku, kiedy namiętności ziemskie coraz bardziej gasną, nigdy nie potrafię zbudować wielkiego gmachu mając przeszłość tak podkopaną i zachwianą.

Jest mi więc bardziej czy mniej obojętne, co mi się zdarzy — nawet pozostanie tutaj — myślę, że po pewnym czasie dojdę do równowagi. Miejmy się więc na baczności przed szaleństwem, ty — żeniąc się, ja starzejąc; nic innego nie możemy zrobić.

29 marca 1889

W ostatnich dniach wszystko w porządku. Przedwczoraj i wczoraj wyszedłem na godzinę do miasta, żeby kupić, co mi potrzebne do pracy. Idąc do domu mogłem stwierdzić, że moi sąsiedzi, ci, których znam, nie należą do tych, co podpisali petycję. Tak czy inaczej, widzę, że mam jeszcze przyjaciół.

P. Salles powiada, że w razie potrzeby znajdzie mi w ciągu kilku dni mieszkanie w innej dzielnicy. Sprowadziłem sobie jeszcze kilka książek, żebym miał trochę solidnych myśli w głowie. Przeczytałem znów Chatę Wuja Toma, wiesz, książkę Beecher-Stowe o niewolnictwie, Opowieść wigilijną Dickensa i dałem p. Salles Germinie Lacerteux.

W zakładzie są dla mnie uprzedzająco grzeczni ostatnio, co, podobnie jak wiele innych rzeczy, przyprawia mnie o zmieszanie.

Wyobrażam sobie, że wolisz ślub bez wszelkich ceremonii i życzeń, i jestem pewien z góry, że będziesz ich unikał w miarę możności.

Jak dziwne wydają mi się te ostatnie trzy miesiące. Lęki moralne, których nie umiem nazwać, potem chwile, kiedy zasłona czasu i fatalnych okoliczności uchyla się na mgnienie oka.

W końcu masz na pewno rację, diablo masz rację — nawet mając nadzieję trzeba zgodzić się na rzeczywistość,

prawdopodobnie bardzo zasmucającą. Spodziewam się, że zajmę się bez reszty pracą, która jest tak opóźniona.

Ach, żebym ci nie zapomniał powiedzieć czegoś, o czym bardzo często myślałem. Przypadkiem, w jakimś artykule w starej gazecie, znalazłem słowa wypisane na starożytnym grobie niedaleko stąd, w Carpentras.

Oto to epitafium bardzo, bardzo stare, może z czasów Salammbô Flauberta.

„Tebe, córka Teliusza, kapłanka Ozyrysa, która nie skarżyła się nigdy na nikogo."

Jeśli zobaczysz Gauguina, powiedz mu o tym. I myślałem o przywiędłej kobiecie — masz u siebie stadium tej kobiety o tak dziwnych oczach — którą spotkałem także przypadkiem.

Co to znaczy „nie skarżyła się nigdy na nikogo"? Wyobraźmy sobie doskonałą wieczność, owszem, ale nie zapominajmy, że rzeczywistość w dawnych wiekach to jest: „nie skarżyła się nigdy na nikogo".

Czy pamiętasz, że pewnej niedzieli zacny Thomas przyszedł do nas i powiedział: „Ach, ale czy kobiety tego rodzaju są tymi, z którymi chcecie spać?"

Nie, nie zawsze, ale w życiu człowiek od czasu do czasu doznaje olśnienia, jakby zapuszczał korzenie w ziemię.

Mówisz mi o „prawdziwym Południu ", ja zaś powiadam, że powinni tam się znaleźć ludzie pełniejsi ode mnie. Czy „prawdziwe Południe" nie jest tam, gdzie człowiek mógłby znaleźć rozsądek, cierpliwość i pogodę, wystarczające, aby stał się jak ta dobra „Tebe, córka Teliusza, kapłanka Ozyrysa, która nie skarżyła się nigdy na nikogo".

Kiedy o tym pomyślę, czuję się bardzo niewdzięczną istotą.

Początek kwietnia

Kilka słów, żeby życzyć tobie i twojej narzeczonej wiele szczęścia. We mnie to jest jakby tik nerwowy: w dniach uroczystych zawsze doświadczam trudności, gdy mam sformułować życzenia, ale nie powinieneś z tego wyciągnąć wniosku, że nie pragnę gorąco twego szczęścia — wiesz zresztą o tym dobrze.

Dziś właśnie zjawił się przyjaciel Roulin, żeby się ze mną zobaczyć, prosił, żeby ci powiedzieć od niego wiele miłych słów i przekazać gratulacje. Jego wizyta sprawiła mi wielką przyjemność; dźwiga ciężary, które wydają się nazbyt ciężkie, ponieważ jednak ma mocną naturę chłopa, zawsze wygląda zdrowa, a nawet wesoło. Ja zawsze uczę się od niego — jaka to lekcja na przyszłość, kiedy powiada, że droga nie staje się łatwiejsza z biegiem lat.

Choć Roulin nie jest tak stary, żeby mógł być moim ojcem, ma dla mnie wiele milczącej powagi i czułości, jak stary żołnierz dla młodego. Zawsze — i bez słowa — jakby chciał powiedzieć: nie wiemy, co nam się zdarzy jutro, ale cokolwiek będzie, myśl o mnie. I to pomaga, kiedy pochodzi od człowieka, który nie jest ani zgorzkniały, ani smutny, ani doskonały, ani szczęśliwy, a ani zawsze nieskazitelnie sprawiedliwy. Ale taki poczciwy i mądry, wzruszony i wierzący. Posłuchaj, nie mam prawa skarżyć się na Arles, kiedy myślę o pewnych ludziach, których tu spotkałem i których nigdy nie będę mógł zapomnieć.

Bez daty

Wynająłem mieszkanie złożone z dwóch pokoi (6 albo 8 franków miesięcznie razem z wodą), które należą do p. Rey a. Nie jest to oczywiście drogo, ale mieszkanie jest gorsze niż tamta pracownia.

Żebym mógł się przeprowadzić i wysłać ci płótna, muszę zapłacić tamtego właściciela. Dlatego jestem dość zdumiony, że nic mi nie przysłałeś. Ale cóż!

21 kwietnia 1889

Z 65 franków, które jestem winien właścicielowi, zapłaciłem tylko 25, ponieważ musiałem zapłacić z góry trzymiesięczne komorne za pokój, w którym nie będę mieszkał, ale w którym złożyłem meble, poza tym jakieś dwanaście franków na koszta przeprowadzki itd.

Poza tym, ponieważ moje ubrania nie są w najświetniejszym stanie, a musiałem mieć coś nowego, skoro wychodzę na ulicę, kupiłem garnitur za 35 franków i 6 par skarpetek za 4 franki. W ten sposób z banknotu zostaje mi tylko kilka franków, a z końcem miesiąca muszę zapłacić właścicielowi, choć on może poczekać jeszcze kilka dni.

Po uregulowaniu rachunku w zakładzie do dzisiaj, zostaje jeszcze trochę pieniędzy u nich, starczą mniej więcej do końca miesiąca. Z końcem miesiąca chciałbym pojechać do zakładu w St. Rémy albo do jakiegoś innego w tym rodzaju, jak mi to radził p. Salles. Wybacz mi, że zajmuję się szczegółami i rozważam wszystkie za i przeciw takiego kroku.

Rozmowa o tym dużo mnie kosztuje.

Wystarczy, jeśli powiem, że nie czuję się zdolny do zaczynania na nowo, w nowej pracowni, i że nie mogę zostać sam, tu, w Arles, czy gdzie indziej, co wychodzi na jedno; próbowałem przystosować się do myśli, że zacznę na nowo, ale na razie to nie jest możliwe.

Obawiałbym się, że utracę zdolność do pracy, która wraca mi teraz, jeśli będę się zmuszał, a ponadto miał

jeszcze na karku wszystkie kłopoty związane z posiadaniem pracowni.

Tymczasem chcę pozostać w zamknięciu, tak dla własnego spokoju, jak i dla spokoju innych.

Znajduję trochę pocieszenia w tym, że zaczynam uważać szaleństwo za taką samą chorobę jak wszystkie inne i przyjmuję ją jako taką, gdy podczas ataków wydawało mi się, że wszystkie moje halucynacje są rzeczywistością. Nie chcę o tym ani myśleć, ani mówić. Zrób mi łaskę i nie żądaj wyjaśnień, ale proszę — ciebie, p. Salles i p. Reya — żebym z końcem kwietnia albo z początkiem maja znalazł się w St. Rémy jako pensjonariusz.

Rozpocząć na nowo życie malarza, jak to było dotychczas, być samemu w pracowni, nie mieć rozrywki poza kawiarnią czy restauracją i krytyką sąsiadów na karku — nie mogę; mieszkać z kim innym, choćby z artystą — trudno — bardzo trudno — bierze się na siebie zbyt wielką odpowiedzialność. Nie śmiem nawet o tym myśleć.

Zacznijmy od 3 miesięcy, zobaczymy potem; utrzymanie kosztuje około 80 franków, będę trochę malował i rysował, nie tak wściekle jak w ubiegłym roku. Nie martw się tym. Przeprowadzka, transport mebli, pakowanie obrazów, które ci wyślę — wszystko to było smutne, ale jeszcze smutniejsze jest, że wszystko to dostałem od ciebie i że przez tyle lat ty jeden mnie utrzymywałeś, i że muszę ci opowiadać tę całą smutną historię, a tak trudno jest wyrazić to tak, jak czuję. Braterska dobroć, jaką mi okazałeś, nie jest stracona, skoro to jest twoja dobroć i to ci zostaje; nawet gdyby rezultaty materialne były żadne, ta dobroć zostaje ci tym bardziej — ale nie potrafię tego powiedzieć tak, jak czuję.

Jeśli zobaczysz Gauguina albo napiszesz do niego, powiedz mu wiele dobrych rzeczy w moim imieniu. Chciałbym mieć wiadomości o matce i siostrze, i jeśli mają

się dobrze, powiedz im, żeby nie brały sobie tej mojej historii zanadto do serca, nie jestem zbyt nieszczęśliwy i może mam jeszcze przed sobą lata bardziej zwyczajne. Jest to choroba jak każda inna i prawie wszyscy nasi przyjaciele są na coś chorzy. Czy warto więc o tym mówić? Przykro mi, że tyle sprawiłem kłopotu p. Salles, Reyowi, tobie przede wszystkim, ale cóż, moja głowa nie jest dość pewna, żebym mógł zacząć jak dawniej — chodzi więc o to, żebym więcej nie wywoływał scen publicznych; teraz, kiedy jestem trochę spokojniejszy, czuję, że nie byłem zdrowy moralnie i fizycznie. Ludzie byli bardzo dobrzy dla mnie, ci, których pamiętam, i inni, przyczyniłem im tyle niepokoju — gdybym był normalny, wszystko to nie mogłoby się zdarzyć.

Bez daty

Widziałem się z p. Salles, powiedział mi, że napisał do ciebie. Myślę, że tak jest najlepiej, nie widzę innej drogi. Myśl wraca stopniowo, ale w sensie praktycznym mniej, znacznie mniej mogę teraz niż przedtem.

Nie mogę się skupić i na razie nie mógłbym kierować moim życiem.

Jak tam w domu, wyobrażam sobie, że matka jest zadowolona.

Zapewniam cię, że jestem znacznie spokojniejszy, od kiedy wiem, że masz towarzyszkę na całe życie. Nie myśl tylko, że jestem nieszczęśliwy!

Czuję głęboko, że to we mnie tkwiło od dawna i że inni, widząc symptomy rozstroju oceniali je właściwiej niż ja, choć byłem pewien, że myślę normalnie — co nie było prawdą. Złagodziło to wiele moich sądów, które z mniejszą czy większą zarozumiałością powziąłem o ludziach pragnących przecież mojego dobra. Szkoda, że te refleksje tak późno

kształtują stan moich uczuć, I że nie mogę, naturalnie, nic zmienić w przeszłości.

Ale proszę cię, rozważ to dobrze i uważaj nasz dzisiej szy krok — jak o tym była mowa z p. Salles — to znaczy postanowienie, żeby przenieść się do zakładu, za prostą formalność; powtarzające się ataki były dość poważne, żeby się nie wahać.

Zresztą moja przyszłość wygląda trochę inaczej, niż gdybym miał 20 lat, skoro mam już 36.

Gdybym wyszedł z zakładu, byłoby to torturą dla innych i dla mnie, czuję się bowiem jak sparaliżowany, jeśli idzie o działanie i załatwianie czegokolwiek. Później zobaczymy.

Chciałbym cię zapytać o wiele spraw dotyczących Holandii i mnie samego. Zawsze byłem i jestem nadaj nędznym egoistą, i nie mogę oprzeć się myśli, że lepiej będzie, jeśli pójdę po prostu do zakładu, jak to ci już parę razy tłumaczyłem. Może to znów wróci i to na stałe. Moim wytłumaczeniem, bardzo wątłym, byłoby to, ze malarstwo ogranicza myśl, nie pozostawiając miejsca dla reszty, może niepodobna wykonywać swego zawodu i myśleć jednocześnie o czymś innym. To fatalne, zawód jest dość niewdzięczny i pożytek z niego wątpliwy. Jednakże idea związku malarzy mieszkających wspólnie jest słuszna i rozsądna, jak wiele innych, choć nam się to nie udało i chociaż ta klęska jest żałosna i bolesna. Ale tylko nie zaczynać na nowo.

Wiedz, że powinniśmy wziąć najskromniejsze utrzymanie, 80 franków powinno i może wystarczyć, mówi p. Salles. Rey uprzedził mnie, że w Saint-Rémy jest wielu pensjonariuszy mniej lub bardziej zamożnych, niektórzy z nich wydają dużo pieniędzy. Co często bardziej im szkodzi, niż przynosi pożytek. Chętnie w to wierzę.

Myślę, że moja natura sama zrobi więcej, niż pomogą lekarstwa. Tu nic nie biorę. Może będę musiał jeszcze

zapłacić 11,87 fr. za meble, przysłano mi przynajmniej takie zawiadomienie, poza tym resztę komornego, którą winien jestem właścicielowi. Przed wyjazdem do Saint-Rémy muszę ci jeszcze wysłać obrazy, zapakowałem już jedną skrzynię. Chciałbym ci napisać o czym innym, ale pochłonięty jestem teraz załatwianiem tej sprawy i nieznajduję myśli, które są potrzebne, żeby pisać a wielu rzeczach naraz.

29 kwietnia 1889

Dziękuję ci za dobry list, za dobre wiadomości i banknot stufrankowy. Byłem bardzo, bardzo szczęśliwy dowiadując się, że umocniło cię twoje małżeństwo. Poza tym wiadomość, że matka jakby odmłodniała, sprawia mi wielką przyjemność. Wkrótce zobaczy twoje dziecko. To pewne, że będziesz je miał.

Poszedłem do p. Salles z twoim listem do dyrektora zakładu w Saint-Rémy; jedzie tam dziś jeszcze, tak ze z końcem tygodnia sprawa będzie załatwiona, mam nadzieję. Nie byłbym nierad ani nieszczęśliwy, gdybym za jakiś czas mógł się zaciągnąć do Legii Cudzoziemskiej na 5 lat (można do 40 roku życia, jak mi się zdaje). Moje zdrowie w sensie fizycznym jest lepsze niż dawniej i służba zrobi mi lepiej niż cokolwiek innego. Nie mówię, że trzeba i można to zrobić bez zastanowienia i że nie należy się wpierw poradzić lekarza; ale cokolwiek byśmy postanowili, będzie gorsze od tego.

Jeśli nie, mogą, jak długo się da, nadal malować albo rysować, czego się bynajmniej nie wyrzekam. Nie czuję się na siłach, żeby jechać do Paryża czy do Pont-Aven, zresztą najczęściej nie mam żadnych mocnych pragnień ani żalów.

Niekiedy — jak zrozpaczona fala, która głucho uderza o skały — gwałtowne pragnienie, żeby coś uścisnąć, jakąś kobietę z gatunku kur domowych, ale trzeba to brać tak, jak

to wygląda naprawdę: skutek podniecenia histerycznego raczej niż wizja rzeczywistości.

Zresztą pokpiwaliśmy już sobie nieraz z tego z Reyem; powiada, że miłość to także mikrob, co mnie nie bardzo zdumiewa i nie może przeszkadzać nikomu. Czy Chrystus Renana nie jest tysiąc razy bardziej pocieszający niż niezliczone postaci Chrystusów z papier m&che, które ofiarowują nam w tych zakładach Duvala , które nazywa się kościołami protestanckimi, katolickimi czy inaczej? Dlaczego tak samo nie miałoby być z miłością? Wiem, że mógłbym czytać Antychrysta Renana, nie mam żadnego wyobrażenia, co by to mogło być, ale wiem z góry, że znajdę tam rzeczy wspaniałe.

30 kwietnia 1889

Jak bym chciał przelać na ciebie moje siły fizyczne, wydaje mi się, że mam ich za dużo w tej chwili. Głowa jednak nie jest zupełnie taka, jaka powinna być.

Wody powodzi podeszły prawie pod dom, który pod moją nieobecność był nie ogrzewany; kiedy wróciłem, z murów sączyła się wilgoć i woda.

To zrobiło na mnie wrażenie zatopionej pracowni i nawet prace, które się z jej wspomnieniem wiązały, wydawały mi się zniszczone, i to na dobre, a moje pragnienie, żeby stworzyć coś bardzo prostego, ale trwałego, było tak wielkie. Walczyłem z siłą wyższą lub raczej była to słabość mego charakteru, ponieważ wciąż mam wyrzuty sumienia trudne do określenia. Zapewne dlatego tak krzyczałem podczas ataków; chciałem się bronić i nie potrafiłem. Nie mnie, ale malarzom takim jak ten nieszczęsny, o którym mówi załączony artykuł, miała służyć ta pracownia.

Jest ich więcej niż nas przedtem.

Kim jesteśmy my, malarze? Sądzę, że Richepin ma często słuszność, kiedy podchodząc do sprawy dość brutalnie, przeklina ich i odsyła po prostu do celi wariatów.

Zapewniam cię jednak, że nie znam zakładu, który chciałby mnie trzymać za darmo, nawet gdybym pokrył koszta malarstwa i oddał wszystkie obrazy zakładowi. I może to jest, nie powiem wielka, ale mała niesprawiedliwość. Jeślibym coś takiego znalazł, zgodziłbym się. Gdybym jednak nie miał twojej przyjaźni, bez żadnych skrupułów doprowadzono by mnie do samobójstwa i jakkolwiek jestem tchórzem, w końcu popełniłbym je.

Wycinek, który ci załączam, pozwala nam na protest wobec społeczeństwa i na obronę. Możesz być zupełnie pewny, że marsylski artysta, który popełnił samobójstwo, nie zrobił tego wskutek nadużycia absyntu, z tej prostej przyczyny, że nikt mu absyntu nie ofiarował, a on nie miał sobie za co go kupić. Zresztą, gdyby pił, to nie tylko dla przyjemności, ale dlatego, że w ten sposób podtrzymywał się w chorobie.

P. Salles był w Saint-Rémy, nie pozwalają mi malować w plenerze ani też nie chcą mnie wziąć za mniej niż 100 franków.

Wiadomości są więc dość kiepskie. Gdybym mógł wybrnąć, zaciągając się na pięć lat do Legii Cudzoziemskiej, wolałbym chyba to zrobić.

Z jednej strony bowiem będąc w zamknięciu, nie pracując, wracałbym do zdrowia z trudem, z drugiej musielibyśmy płacić 100 franków miesięcznie przez całe długie życie wariata.

To sprawa poważna, kiedy się zastanowić, ale czy zechcą mnie na żołnierza? Czuję się bardzo zmęczony rozmową z p. Salles i nie bardzo wiem, co robić.

Sam namawiałem Bernarda do odbycia służby wojskowej, cóż więc w tym dziwnego, że chcę jechać do

Arabii jako żołnierz?

Mówię to po to, żebyś mnie bardzo nie ganił, gdybym się zaciągnął. Wszystko inne jest tak nieokreślone i tak dziwne. I wiesz, jak bardzo jest wątpliwe, żeby kiedykolwiek można było odzyskać sumy włożone w malarstwo. Zresztą zdaje mi się, że fizycznie mam się dobrze.

Jeśli mam pracować pod nadzorem! i w budynku! czy warto płacić za to? W koszarach na pewno mógłbym pracować tyleż, a nawet lepiej. Zastanowię się zresztą i tobie radzę to samo, pamiętajmy, że wszystko zmierza zawsze ku dobremu na tym najlepszym ze światów — to bardzo możliwe.

2 maja 1889

W tych dniach wysłałem dwie skrzynie obrazów, D. 58 i 59, otrzymasz je mniej więcej za tydzień. Mnóstwo jest tam lichoty, trzeba by to zniszczyć, ale wysłałem ci wszystko, żebyś mógł zachować te płótna, które wydadzą ci się znośne. Dołączyłem do tego maski do fechtunku i studia dla Gauguina oraz książkę Lenaonniera.

Ponieważ byłem dość przewidujący i zapłaciłem 30 franków z góry, jestem tu jeszcze, ale nie mogą mnie trzymać w nieskończoność i najwyższy czas powziąć decyzję. Pamiętaj, że jeśli mam mieszkać w zakładzie, koszta będą wielkie, choć prawdopodobnie mniejsze, niż gdybym wrócił do pracowni; zresztą myśl o samotnym życiu budzi we mnie przerażenie.

Wolałbym się zaciągnąć. Obawiam się, że mi odmówią — mój wypadek znany jest w mieście — onieśmiela mnie, przeraża możliwość, prawdopodobieństwo odmowy. Gdybym znał kogoś, kto pomógłby mi dostać się na pięć lat do Legii Cudzoziemskiej, poszedłbym.

Ale nie chcę, żeby uważano to za nowy czyn szaleńca, i dlatego mówię ci o tym, mówiłem też p. Salles; jeśli zaciągnę się, to po spokojnej rozwadze.

Bo pomyśl, dalej wydawać pieniądze na to malarstwo, kiedy może dojść do tego, że zabraknie pieniędzy na życie — to okropne, a wiesz dobrze, że myśl o powodzeniu jest dla mnie odrażająca. Zresztą to był taki cios dla mnie, że przeszkodziła mi siła wyższa tego rodzaju. Zresztą w przyszłości trzeba będzie może jeszcze pomyśleć o siostrach.

Być może, ale na razie poszedłbym do Legii, gdybym wiedział, że mnie przyjmą. Stałem się nieśmiały i pełen wahań, odkąd żyję tak machinalnie.

Jednakże ze zdrowiem jest dobrze i trochę pracuję. Maluję teraz aleję kasztanów w różowych kwiatach...

Jeśli mam zamiar zaciągnąć się na pięć lat, nie myśl, że robię to z zamiarem poświęcenia się albo żeby spełnić dobry uczynek.

Jestem „źle umieszczony" w życiu i umysł nie tylko jest, ale i był oderwany od niego, tak że cokolwiek się dla mnie uczyni, nie potrafię uzyskać równowagi życiowej. Tam, gdzie muszę podporządkować się regule, jak na przykład tu, w zakładzie, czuję się spokojny. W wojsku byłoby mniej więcej tak samo. Jeśli tu ryzykuję, że mnie nie przyjmą, ponieważ wiedzą, że jestem wariat albo epileptyk, prawdopodobnie na zawsze (jakkolwiek słyszałem, że we Francji jest 50 000 epileptyków, z których tylko 4000 znajduje się w zakładach, nie jest to więc nic nadzwyczajnego), może w Paryżu, gdyby można było porozmawiać z Detaille'em albo Caran d'Ache'em, zostałbym szybciej przyjęty. Nie byłoby to bardziej obłąkane niż cokolwiek innego; zresztą zastanówmy się, ale po to, by działać. Na razie robię, co mogę, i mam dość chęci do każdej pracy, w tym także do malarstwa.

Ale przytłacza mnie myśl o kosztach malarstwa, mam poczucie długu i podłości, i byłoby dobrze, gdyby to ustało.

Zresztą powiedziałem już, że lepiej będzie, żebyś ty wraz z p. Salles zadecydował za mnie. I wiedz, że zgadzam się na wszystko, nawet na Saint-Rémy, mimo przeszkód, to znaczy kosztów większych, niż spodziewaliśmy się, i zakazu wychodzenia i malowania w plenerze. Trzeba coś postanowić, ponieważ nie będą mogli mnie tu trzymać wiecznie.

Powiedziałem zarządzającemu, że byłbym rad, gdybym mógł tu płacić na przykład sześćdziesiąt franków zamiast czterdziestu pięciu i zostać na zawsze.

Ale oni tu mają swoje ustalone ceny.

Chociaż dotychczas nic mi nie mówiono, myślę, że trzeba stąd iść. Mógłbym może znowu mieszkać w nocnej kawiarni, gdzie zostawiłem meble, ale... co dzień natykałbym się na moich dawnych sąsiadów, bo kawiarnia jest obok domu, gdzie miałem pracownię.

W mieście jednak nic mi już nie mówią; maluję teraz w ogrodzie publicznym i nic mi nie przeszkadza, jeśli nie liczyć ciekawskich przechodniów.

Jeśli idzie o sprawy materialne, nie zniechęcajmy się zbytnio, ale starajmy się być przynajmniej rozsądni. Zawsze to dobrze, że na upartego mógłbym mieszkać w tej kawiarni nocnej, a nawet mieć tam pełne utrzymanie, ponieważ właściciele są moimi przyjaciółmi — oczywiście także dlatego, że byłem i jestem ich klientem. Dziś było bardzo ciepło, co mi zawsze dobrze robi, pracowałem z większym zapałem niż kiedykolwiek przedtem.

3 maja 1889

Twój dobry list sprawił mi wielką przyjemność — zgoda więc na Saint-Rémy. Ale mówię ci raz jeszcze: gdyby po namyśle i zasięgnięciu rady lekarza było konieczne albo po prostu celowe i rozsądne, żebym się zaciągnął, miejmy do tego taki sam stosunek jak do wszystkiego innego i nie uprzedzajmy się. Tylko tyle. Musisz odsunąć od siebie myśl o poświęceniu. Napisałem kiedyś do siostry, że przez całe życie, albo niemal przez całe, szukałem czegoś innego niż losu męczennika, bo to mnie przerasta.

Jeśli natrafiam na przeciwności albo sam staję się przeszkodą, jestem doprawdy zdumiony. Oczywiście, szanuję, a nawet chętnie podziwiam męczenników itp., ale na przykład w Bouvardzie i Pécuchecie jest co innego, co bardziej pasuje do naszych małych egzystencji.

A więc pakuję manatki i p. Salles pojedzie ze mną, kiedy tylko będzie mógł.

W gruncie rzeczy cóż to nam szkodzi, jeśli natrafiamy na przeciwności?

Oczywiście, ty zaciągnąłeś się wcześniej niż ja — do Goupilów, gdzie miałeś niejedną ciężką chwilę i nie zawsze spotykały cię podziękowania.

Pracowałeś gorliwie i z oddaniem, nasz ojciec bowiem ze swą liczną rodziną ledwo wiązał koniec z końcem i żeby to wszystko mogło jakoś iść, musiałeś pracować — z wielkim wzruszeniem myślałem o tych wszystkich starych sprawach podczas mojej choroby.

Ale najważniejsze jest, żebyśmy się czuli złączeni, i na razie nic temu nie stoi na przeszkodzie.

Mam niejaką nadzieję, że z moją wiedzą o malarstwie będą mógł coś jeszcze zrobić, choćby w zakładzie. Na cóż przydałoby mi się sztuczne życie artysty w Paryżu, o którym wiem już co nieco i dla którego brak mi porywu niezbędnego, żebym mógł w nim istnieć?

To niesłychane, jak czuję się dobrze fizycznie, ale z tego nie wynika, że tak samo będzie z głową.

Chciałbym po pewnym czasie spróbować zostać pielęgniarzem w Saint-Rémy — cokolwiek robić, czymkolwiek się zająć.

Trzeba mi będzie ogromnie ojca Panglossa, jeśli się zdarzy, że zakocham się znowu. Alkohol i tytoń o tyle są dobre czy złe — to względne — że hamują popędy seksualne. Czego nie należy lekceważyć, jeśli uprawia się sztukę. To będzie próba, w której trzeba pamiętać o odrobinie blagi. Cnota bowiem i wstrzemięźliwość zaprowadzą mnie znów w te rejony — obawiam się tego bardzo — gdzie zazwyczaj bardzo szybko tracę busolę i gdzie tym razem powinienem mniej okazać namiętności, a więcej dobroci.

Perspektywa namiętności nie jest dla mnie czymś wielkim, gdy — śmiem wierzyć — uczucie przywiązania do ludzi, z którymi będę żyć, pozostanie... Szaleństwo jest tu zbawienne, ponieważ człowiek staje się mniej wyłączny...

Społeczeństwo jest obecnie takie, jakie jest, nie możemy naturalnie żądać, żeby zastosowało się do naszych osobistych pragnień.

Chociaż Uważam wyjazd do Saint-Rémy za bardzo, bardzo dobry, wydaje mi się, że ludzi takich jak ja raczej należałoby pakować do Legii Cudzoziemskiej.

Nie, nie możemy nic na to poradzić i jest bardziej niż prawdopodobne, że nie przyjęto by mnie, przynajmniej tu, gdzie moje awantury są nazbyt dobrze znane i wyolbrzymiane. Mówię ci bardzo, bardzo poważnie, fizycznie mam się doskonale, lepiej niż od wielu lat, i mógłbym pełnić służbę. Zastanówmy się jeszcze nad tym, udając się jednak do Saint-Rémy.

Czytam obecnie Lekarza wiejskiego Balzaka, bardzo to piękne: jest tam kobieta, nie szalona, ale zbyt wrażliwa,

czarująca; przyślę ci to, jak skończę. Tu w zakładzie jest dużo miejsca, starczyłoby na pracownie dla trzydziestu malarzy.

Muszę się pogodzić ze swym losem, faktem jest, że wielu malarzy dostaje obłędy, ten rodzaj życia czyni ludzi, żeby powiedzieć najłagodniej — oderwanymi od życia. Jeśli potrafię wrócić całkiem do pracy, będzie dobrze, ale zawsze będę pomylony.

Gdybyrn mógł się zaciągnąć na 5 lat, wróciłbym do zdrowia, byłbym bardziej rozsądny i bardziej panowałbym nad sobą.

Ale czy jedno, czy drugie — wszystko mi jedno.

Co robi Gauguin, nie piszę do niego, póki nie jestem całkiem normalny, ale myślę tak często o nim i tak chciałbym wiedzieć, czy powodzi mu się względnie dobrze.

SAINT-RÉMY maj 1889— maj 1890

Zakład w Saint-Rémy nie wygląda na zakład dla umysłowo chorych ani nawet na lecznicę. Budynek dla mężczyzn to dawny, długi dom wiejski znajdujący się w zapuszczonym parku o niewspółczesnym wdzięku. Vincent od razu po przyjeździe maluje irysy okalające aleję wjazdową. W podróży z Aries do Saint-Rémy (25 kilometrów) towarzyszy mu pastor Salles. Vincenta przyjmuje lekarz zakładowy, niski, cierpiący na podagrę mężczyzna w ciemnych okularach. Po zbadaniu pacjenta doktor Peyron orzeka: ataki epilepsji mózgowej. Diagnoza jest słuszna. Vincent nie jest więc wariatem jak inni.

Zakład nie prosperuje najlepiej. Jeśli oddział dla kobiet jest mniej więcej pełen, w oddziale męskim przebywa tylko piętnastu pensjonariuszy. Życie regularne, jak w szpitalu w Arles: o szóstej rano dzwonek oznajmia wstawanie. Jedzenie jak w średniej restauracji. Doktor zabronił Vincentowi jeść mięso i pić wino, zadowala się więc chlebem i zupą, nie lubi bowiem jarzyn — fasoli, grochu, soczewicy. Deser dostaje tylko w niedzielę, tak samo jak kilka innych dań: do tego mają prawo tylko pensjonariusze pierwszej i drugiej klasy. Vincent należy do trzeciej. Umieszczono go na pierwszym piętrze, zapewnia brata, że wygodnie. Wielki pokój na parterze może mu służyć za pracownię.

Żyjąc w towarzystwie prawdziwych wariatów Vincent stwierdza, że jego lęk przed szaleństwem bardzo się zmniejszył. Maluje i ma nadzieję, że dzięki pracy zachowa energię w przeciwieństwie do innych pensjonariuszy. Ma zamiar zostać długo w Saint-Rémy. „Jestem tu już prawie od miesiąca i ani na chwilę nie przyszła mi ochota, żeby być gdzie indziej." Strażnicy są raczej sympatyczni. Główny strażnik Trabuc, o głowie starego hiszpańskiego szlachcica,

czy miody Poulet, towarzyszą Vincentowi, gdy dwa albo trzy razy w tygodniu idzie malować w plenerze.

Male pólko zboża, znajdujące się pod oknami jego sypialni, maluje o każdej porze roku. Jakie żółcie teraz z niego wydobywa! Pod oślepiającym słońcem dojrzałe zboże jest bladożółte; pędzel Vincenta nadaje mu tony olśniewające, jaskrawe, na swój sposób prawdziwe. Bliskie Alpilles służą za tło w drugim planie. Nie mając żywych modeli, maluje pejzaże, cyprysy, które podczas mistralu chwieją się jak „płomień ponczu" i których butelkowa zieleń jest tak trudna do oddania... Listy do Thea, pisane dwa razy w tygodniu, są wypełnione opisami obrazów.

Z początkiem lipca Trabuc towarzyszy Vincentowi do Aries; Vincent chce zabrać stamtąd swoje obrazy, które były mokre jeszcze, kiedy wyjeżdżał. W kilka dni później, gdy maluje stare kamieniołomy w pobliżu przytułku Saint-Paul, nowy atak przerywa pracę; przechodzi właśnie do kolorów bardziej powściągliwych, męskich — złamane zielenie, żółte ugry, ciemniejsza paleta.

Ten atak, pierwszy w Saint-Rémy, trwa dłużej niż miesiąc, jeśli wziąć pod uwagę stan unicestwienia i zniechęcenia, jaki następuje po nim. Jakie straszne rozczarowanie dla Vincenta, który uważał się już za wyleczonego! Doktor Peyron nie chce mu pozwolić malować. Vincent prosi Thea, żeby się za nim wstawił i napisał do Peyrona, że praca jest mu niezbędna. Prośba zostaje spełniona, ale ponieważ Vincent musi jeszcze zostawać w pokoju, maluje to, co ma przed oczami: pole zamknięte murami, dojrzałe zboże, kulawego kosiarza, który w okropnym upale zwija się jak diabeł. Na nowo doznaje radości malowania. Maluje nową wersję autoportretu rozpoczętego pierwszego dnia, gdy wstał z łóżka, tym razem na jasnym tle: te obrazy upewnią Thea, że ma się lepiej. We wrześniu Vincent maluje wstrząsający autoportret (Fundacja Gacheta w Luwrze), najbardziej podobny, jak mówią ci, co

go znali. Brak mu modeli. W końcu pozuje mu Trabuc; Vincent jest bardzo zadowolony z tego modelu, którego głowa przypominałaby głową drapieżnego ptaka, gdyby nie inteligentne spojrzenie i wyraz dobroci. Kopię portretu Trabuca Vincent ofiarowuje jego żonie. Wciąż przebywa w pokoju i przychodzi mu na myśl, żeby z reprodukcji Piety Delacroix namalować obraz. Potem maluje obrazy według reprodukcji z płócien Milleta. Ponieważ posługuje się czarno-białymi reprodukcjami, wysnuwa teorią: jak wirtuoz interpretuje muzyką, którą odczytuje z nut, tok samo on interpretuje dzieła innych dodając do niech kolor, szukając niejasnych wspomnień, jakichś współbrzmień z barwami swoich własnych obrazów. Vincent uważa, że jego płótna nie są przeznaczone dla publiczności; te jego prace dowodzą jednak, że artysta genialny potrafi stworzyć arcydzieła mając za wzór najskromniejsze reprodukcje, i już to samo wystarczy, by go uznać za nowatora.

Vincentowi przychodzi ochota, żeby zobaczyć Północ „Ataki stają się tu czymś miatycznym i absurdalnym. Zdaje mi się, że w związku z tym mój powrót jest konieczny." Vincent nabrał zresztą niechęci do większości zakonnic opiekujących się chorymi; doktor Peyron zawsze zasłania się nimi, kiedy chce czegoś Vincentowi odmówić, twierdząc, że nie on sam tu rządzi. Inny powód. żeby wyjechać: „Zobaczyć Judzi i przez obcowanie z nimi nabrać wigoru ożywić myśl".

Znowu pozwalają Vincentowi wychodzić i malować. Nie rozmawiając wiele ze strażnikiem, idzie przodem i kiedy jakiś motyw mu się podoba, staje i rozpoczyna obraz. Gdy czas już wracać, zawsze powtarza się. ta sama scena: Vincent cały pochłonięty pracą, udaje, że nie słyszy, strażnik nalega; wreszcie z bardzo niezadowoloną miną zbiera się do powrotu.

Nigdy nie chwali się swoim mieszczańskim, pochodzeniem Młody Poulet uważa go za bardzo biednego:

ten cudzoziemiec, który mówi powoli, z germańskim akcentem, jest ubrany jak robotnik, nosi aksamitne, bardzo zniszczone spodnie. Nie pamięta, żeby widział go kiedykolwiek śmiejącego się lub bodaj uśmiechniętego.

Vincent interesuje się bardzo pracą na roli i uważa, że chłopi pracują tu „niezręcznie i niechętnie" w porównaniu, z wieśniakami z Nuenen. Po wspanialej jesieni kilkakrotnie wieje mistral potem dni stają się krótsze, wieczory się dłużą: Vincent nie ma dostatecznej ilości lektur, a unika towarzystwa, wariatów, które ciąży mu coraz hardziej. Perspektywa zimy, nie jest wesoła i myślałby o wyjeździe gdyby nie obawiał się ataku w okresie Bożego Narodzenia (czy, dlatego, że rok temu miał atak o tym samym czasie?...) i gdyby wiedział,, dokąd jechać. Mimo to pracuje, rysuje, głównie jednak maluje. Gdy nadchodzi pora zbierania oliwek, powstaje kilka płócien z drzewami i postaciami ludzkimi. Deszcz, rzadki tutaj ale zupełnie wytrącający z równowagi, deszcz nad Alpilles — to jego malarskie arcydzieło

W listopadzie znów dwudniowa podróż do Arles. Widzi się z pastorem Salles i innymi przyjaciółmi, odwiedza Gaby: po miesiącach wstrzemięźliwości to spotkanie było konieczne. Regularne i spokojne życie, jakie prowadzi, robi mu dobrze. Sądzi, że odbija się to w jego dziele: nie są to już grubo malowane płótna, jak w Arles, ale malarstwo bardziej powściągliwe skromniejsze . Mieszka teraz na parterze i jego okna wychodzi na park, gdzie rosną wielkie sosny. Vincent stwierdza, że w jego ostatnich płótnach zakład wygląda na bardzo przyjemne miejsce. Około Bożego Narodzenia lęki i koszmary nie pozostawiają mu żadnej wątpliwości, że nadciąga atak. Atak trwa tylko tydzień, ale Vincent przez cały czas jest nieprzytomny potem przychodzi apatia, otępienie, absolutna niezdolność do jakiejkolwiek pracy... Kto wytrzymałby te wciąż powtarzające się próby? Halucynacje, zniechęcenie, zmęczenie ogólne następuje po

utracie władz umysłowych. Najtrudniej jest zacząć żyć na nowo zwłaszcza gdy nadal grożą ataki (doktor Peyron nie ukrywa przed Vincentem, że przyszłość jest wątpliwa).

Wreszcie Vincent może się znowu zabrać do malowania, i to ze spokojem, co go napawa otuchą.. Czuje się zupełnie dobrze i tak bardzo nalega, żeby mógł pojechać do Arles, że lekarz w końcu ustępuję; jest świadom, że w grę wchodzi potrzeba kobiety. W Aries Vincent, trochę wyczerpany, pije alkohol; w rezultacie nowy, niewielki atak.

Theo zostaje ojcem: jego syn ma na imię Vincent. Theo posyła bratu numer Mercure de France, pisma bardzo wówczas żywego, gdzie znajduje się artykuł krytyka Alberta Aurier, bardzo w stylu epoki: jest tu mowa o van Goghu. Vincent dziękuje krytykowi w liście, w którym widać dbałość o styl. Czy byłby to początek sukcesu? Jest zaproszony na wystawę do Brukseli, a Anna Boch, siostra młodego malarza, który kilkakrotnie odwiedził Vincenta w Arles, kupuje jego obraz Czerwona winorośl za czterysta franków.

Doktor Peyron może stwierdzić, że jego pacjent pracuje z zapałem. Widzi, że Vincent wysyła swoje płótna do Paryża, do brata, który jest fachowcem w sprawach malarstwa, i to robi na nim niejakie wrażenie. Vincent, który pozostał w dobrych stosunkach z panią Ginoux, jedzie znów do Arles pod pretekstem, że jest chora i że pragnie ją odwiedzić (prawdziwa przyczyna: wizyta w burdelu). W Arles — atak. Odwożą go nieprzytomnego do Saint-Rémy. W miarą jak wraca przytomność, ogarnia go głęboki smutek. Następuje osobliwa scena. Vincent niosąc swój ekwipunek malarski idzie w towarzystwie Pouleta do parku; na kamiennych schodkach strażnik dostaje cios w pierś: to kopnął go Vincent, idący przodem. Nazajutrz Vincent tłumaczy się niejasno: myślał, że jest w Arles i że ściga go policja.

Vincent lęka się nowego ataku. Ogarnia go wielki smutek... Po śniadaniu udaje się jak zwykle do swojej pracowni, gdzie go zamykają. Nie ma ochoty malować, nie

dotyka swoich ostatnich płócien. Chciałby skończyć z tym wszystkim, za bardzo jest zmęczony. Próbuje połknąć zawartość tub z farbami. Potem wypija butelkę terpentyny i osłabiony siada na swoim taborecie. Kiedy Poulet otwiera drzwi, zastaje Vincenta zupełnie otępiałego, z ust płynie mu ślina pomieszana z farbami. W infirmerii dają mu środek przeczyszczający i środek na wymioty. Potem zostaje umieszczony w oddziale „nieuleczalnych", gdzie strażnicy bardziej pilnują pacjentów. Po kilku dniach wraca do zdrowia, ale nic nie mówi o tej próbie samobójstwa bratu. Wyznaje mu tylko, że jest smutny, ogłupiały, że nie wie, co z nim jest, że od dwóch miesięcy właściwie nie pracował. Zbyt go pilnują, chce opuścić zakład, co doktor Peyron bardzo odradza. Vincent argumentuje, że po atakach następuje zwykle kilka miesięcy zupełnego spokoju i udaje mu się przekonać brata, a nawet bratową. Theo pisze do doktora Peyron prosząc, żeby Vincent mógł wyjechać w połowie maja, dostaje bowiem od brata długie i zdumiewająco jasne listy (jasność widzenia charakterystyczna dla epileptyków). W tych listach Vincent mówi z całą szczerością o swoim stanie: listy są tak ciekawe, że Theo przechowuje wszystkie, coraz bardziej przekonany o talencie brata.

Przed wyjazdem Vincent maluje irysy, które rozkwitły na nowo (tak cykl się zamyka). Jest zadowolony, że wyjeżdża, ale dodaje: „Ile mógłbym tu jeszcze zrobić". Jego malarstwo ogromnie zyskało dzięki pobytowi na Południu i Vincent zdaje sobie z tego sprawę.

Bez daty

Dziękuję ci za list. Masz rację mówiąc, że p. Salles był nadzwyczajny, mam wielkie zobowiązania wobec niego.

Chciałbym ci powiedzieć, że dobrze zrobiłem przyjeżdżając tutaj; przede wszystkim dlatego, że widząc

realne życie wariatów i innych pomyleńców w tej menażerii, wyzbywam się nieokreślonego lęku, strachu przed tym. I powoli zacznę uważać szaleństwo za taką samą chorobę jak każda inna. Poza tym zmiana otoczenia robi mi dobrze.

O ile wiem, lekarz tutejszy skłonny jest uważać mój przypadek za epilepsję. Ale nie rozmawiałem z nim później.

Czy dostałeś skrzynię z obrazami, ciekaw jestem, jak doszły?

Mam teraz dwa płótna w robocie: fioletowe irysy i krzak bzu — dwa motywy z ogrodu.

Wraca do mnie myśl, że powinienem pracować, i spodziewam się, że i zdolności do pracy powrócą mi szybko. Tyle tylko, że praca pochłania mnie tak bardzo, że chyba pozostanę na zawsze oderwany od życia, i nie nauczę się już dawać sobie w nim rady.

Nie napiszę do ciebie długiego listu, będę się starał odpisać na list mojej nowej siostry, który mnie bardzo wzruszył; nie wiem tylko, czy potrafię.

25 maja 1889

To, co mówisz o Piastunce, sprawia mi przyjemność; ,to prawda, że ludzie prości, którzy kupują sobie oleodruki i słuchają ze wzruszeniem katarynki, są może bliżsi prawdy i bardziej szczerzy niż panowie z bulwarów zwiedzający Salony.

Gdyby Gauguin chciał, daj mu ten egzemplarz Piastunki, który nie był napięty na blejtram — i Bernardowi także, w dowód przyjaźni. Jeśli jednak Gauguin chce mieć słoneczniki, powinien ci koniecznie dać w zamian rzecz, która równie ci się podoba. Gauguin polubił słoneczniki zwłaszcza później, po dłuższym oglądaniu.

Odkąd jestem tutaj, zapuszczony park z wielkimi sosnami, u których stóp rośnie przemieszana z chwastami, wysoka i źle utrzymana trawa, wystarcza mi zupełnie do pracy i nie wyszedłem jeszcze poza ten park. Jednakże pejzaż w Saint-Rémy jest bardzo piękny i prawdopodobnie zajmę się nim z kolei.

Kiedy maluję tutaj, lekarz widzi lepiej, jak ze mną jest, i spodziewam się, że pozwoli mi pracować.

Zapewniam cię, że jest mi tu dobrze, i na razie nie widzę powodu, dla którego miałbym zamieszkać w Paryżu albo w jego okolicy. Mam mały pokój oklejony szarozieloną tapetą, firanki są zielone, koloru wody, z motywem z bladych róż, które ożywiają cienkie kreski krwistej czerwieni.

Te firanki, prawdopodobnie pozostałość po jakimś zrujnowanym i nie żyjącym już bogaczu, są bardzo ładne w rysunku. Z tego samego źródła zapewne pochodzi bardzo sfatygowany fotel, pokryty tkaniną w plamy w guście Diaza czy Monticellego — brąz, czerwień, róż, biel, odcień kremowy, czerń, błękit niezapominajki i zieleń butelkowa; przez okratowane okno widzę zamknięty kwadrat zboża — perspektywa jak u van Goyena; z rana widzę, jak nad tym polem wstaje słonce w całej swej chwale. Prócz tego — ponieważ pustych pokoi jest więcej jak trzydzieści — mam jeszcze pracownię.

Jedzenie jest takie sobie. Oczywiście, czuć je trochę pleśnią, jak w restauracji paryskiej, gdzie pełno karaluchów, czy w tamtejszych pensjonatach. Nieszczęśnicy, którzy tu nic absolutnie nie robią (ani jednej książki, żadnej rozrywki prócz kręgli i warcab), nie mają innej przyjemności, jak napychanie się grochem, fasolą, soczewicą i innymi rzeczami w tym rodzaju — w ilościach odmierzonych i o stałych godzinach.

Ponieważ trawienie tych potraw nastręcza pewne trudności, spędzają dni w sposób równie niegroźny, jak mało

kosztowny.

Ale doprawdy, strach przed szaleństwem przechodzi mi, kiedy widzę z bliska ludzi dotkniętych szaleństwem, co bardzo łatwo może się mnie także przydarzyć.

Dawniej odpychało mnie od tych ludzi i z przykrością myślałem o tym, że tylu ludzi z naszego zawodu: Troyon, Marchal, Méryon, Jundt, M. Maris, Monticelli i wielu innych skończyło w ten sposób. Nie potrafiłem nawet wyobrazić sobie, że mnie samemu może się coś takiego przytrafić. Cóż, teraz myślę o tym bez lęku, to znaczy nie sądzę, żeby ta choroba była bardziej okrutna niż suchoty albo syfilis na przykład. Widzą, jak ci artyści odzyskują pogodę, i czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy znaleźć poprzedników wśród malarzy? Doprawdy, jestem za to głęboko wdzięczny.

Choć bowiem są tu ludzie, którzy wyją albo mówią od rzeczy, można znaleźć wiele prawdziwej przyjaźni w stosunku jednych do drugich. Mówią: trzeba znosić innych, żeby inni mogli nas znosić, oraz równie rozsądne rzeczy, które wprowadzają też w życie. Rozumiemy się

doskonale: zdarza mi się na przykład mówić z kimś, kto odpowiada jedynie nieartykułowanymi dźwiękami, ale nie boi się mnie. Jeśli jeden ma atak, inni opiekują się nim i starają się, żeby nie zrobił nic złego.

To samo dotyczy tych, którzy często wybuchają gniewem. Zjawiają się starzy pacjenci, którzy dobrze znają obyczaje menażerii i jeśli dochodzi do bójki, rozdzielają walczących.

Oczywiście, są też przypadki poważniejsze: ludzie niechlujni albo niebezpieczni. Ale ci są na drugim podwórzu. Dwa razy na tydzień biorę kąpiel trwającą dwie godziny, poza tym z żołądkiem jest bez porównania lepiej niż przed rokiem, trzeba więc tylko, żeby tak dalej trwało. Tutaj wydaję mniej niż gdzie indziej, prócz tego pracuję, przyroda jest bowiem bardzo piękna.

Mam nadzieję, że po roku będę wiedział lepiej, co mogę i czego chcę, niż wiem teraz. Z wolna więc powróci mi myśl, że mogę zacząć na nowo. Powrót do Paryża czy gdziekolwiek indziej wcale mi się teraz nie uśmiecha, uważam, że tu jestem na swoim miejscu. Zupełne zniechęcenie jest losem tych, którzy są tu od lat. Moja praca w pewnym stopniu mnie od niego uchroni.

Sala, w której się przebywa w dni deszczowe, przypomina poczekalnię trzeciej klasy w jakimś zapomnianym od Boga miasteczku, tym bardziej, że są tu szacowni wariaci, którzy zawsze chodzą w kapeluszu na głowie, w okularach, w stroju podróżnym i z laską w ręce — mniej więcej jak w kąpielisku nadmorskim; grają tu rolę podróżnych.

Żeby wrócić do mego stanu, powiem ci, że jestem bardzo wdzięczny za co innego jeszcze: stwierdziłem, że inni również podczas ataków słyszą dźwięki i obce głosy i że przedmioty mienią im się w oczach. To łagodzi nieco przerażenie, z jakim wspominałem mój atak, ponieważ rzecz niespodziewana przeraża ponad miarę. Ale kiedy się już wie, że to wiąże się z chorobą, patrzy się na to inaczej. Gdybym nie widział innych wariatów z bliska, nie mógłbym nigdy pozbyć się strachu. Lęk bowiem podczas ataku nie jest wcale zabawny. Większość epileptyków gryzie się w język i rani go sobie. Rey mówił mi, że zna przypadek, kiedy ktoś zranił się, tak jak ja, w ucho; lekarz tutejszy, który odwiedził mnie z dyrektorem, mówił, że on też spotkał się z czymś podobnym. Śmiem wierzyć, że kiedy człowiek raz już wie, co to jest, kiedy jest świadom swego stanu i zdaje sobie sprawę, że może dostać ataku, może sam coś zrobić, żeby lęk czy przerażenie nie zaskoczyły go tak bardzo. Otóż od pięciu miesięcy lęk się zmniejsza; mam nadzieję, że go pokonam albo przynajmniej nie będę miał tak silnych ataków. Jest tu jeden, który krzyczy i mówi bezustannie, tak jak ja przez jakieś dwa tygodnie, zdaje mu się, że słyszy

głosy i słowa w echu na korytarzu, prawdopodobnie dlatego, że nerw słuchowy jest chory i nazbyt wrażliwy, u mnie to jest słuch i wzrok zarazem, co — jak mówił Rey — bywa zwykle w początkach epilepsji. Tym razem wstrząs był tak wielki, że miałem wstręt do zrobienia najmniejszego ruchu i najprzyjemniej byłoby mi, żebym się więcej nie obudził. Teraz ten wstręt do życia jest mniej ostry i melancholia mniej dokuczliwa. Ale wciąż nie czuję żadnej woli, pragnień doznaję rzadko lub wcale i wszystko, co wiąże się ze zwykłym życiem, jest jakby przekreślone; na przykład nie mam najmniejszej ochoty zobaczyć się z przyjaciółmi, o których przecież myślę. Dlatego nie powinienem stąd wyjść rychło, wszędzie jeszcze czeka mnie melancholia.

Dopiero w ostatnich dniach odraza do życia zmniejszyła się nieco. Ale od tego do woli i czynu jest jeszcze długa droga.

Myślę, że choć obrazy kosztują — płótno, farby itd. — jednakże z końcem miesiąca warto wydawać nieco więcej i malować obrazy, skoro się już czegoś nauczyłem i skoro tak czy inaczej trzeba płacić tu za utrzymanie. Dlatego maluję; w tym miesiącu namalowałem cztery płótna, format trzydzieści, i kilka rysunków.

Ale kwestia pieniędzy wciąż stoi przede mną, jak nieprzyjaciel przed oddziałem, i cokolwiek zrobię, nie sposób mi będzie o niej zapomnieć. Bez względu na to, co się zdarzy, będę się czuł dłużnikiem. Może uda mi się zwrócić wszystko, co wydałem, uważam bowiem, że wziąłem pieniądze, jeśli nie od ciebie, to od rodziny; malowałem więc i będę malował jeszcze. To znaczy działać tak samo, jak ty działasz. Gdybym był rentierem, może miałbym swobodniejszą głowę i mógłbym uprawiać sztukę dla sztuki; ale zadowalam się myślą, że pracując wytrwale robi się pewne postępy, nawet bezwiednie.

Bez daty

Czuję się fizycznie dobrze, co do mojej głowy, miejmy nadzieję, że będzie dobrze: to sprawa czasu i cierpliwości.

Dyrektor mówił mi, że otrzymał list od ciebie i że sam do ciebie napisał; mnie nie mówi nic i ja go o nic nie pytam, to najprostsze.

Jest to mały podagryczny człowieczek w czarnych okularach, wdowiec od kilku lat. Ponieważ zakład pod upada, wydaje mi się, że dyrektora niezbyt bawi jego zawód, co zresztą jest zrozumiałe.

Przyjechał nowy, który jest w takim stanie wzburzenia, że tłucze wszystko i krzyczy dzień i noc, drze też kaftany bezpieczeństwa i choć cały dzień jest w kąpieli, ani trochę się nie uspakaja; łamie łóżko i wszystko, co ma w pokoju, rzuca na ziemię jedzenie itd. To bardzo smutny widok, ale tu mają wiele cierpliwości i w końcu dojdą z nimi do ładu.

Nowe rzeczy starzeją się tak szybko; wydaje mi się, że gdybym w tym stanie ducha w jakim znajduję się obecnie, zjawił się w Paryżu, nie robiłoby mi żadnej różnicy, czy obraz jest ciemny, czy jasny, impresjonistyczny, werniksowany czy nie.

Zawsze czuję wyrzuty, kiedy myślę o mojej pracy tak dalekiej od tego, co chciałbym robić. Mam nadzieję, że zrobię rzeczy lepsze, ale nie doszliśmy jeszcze do tego.

Jestem tu prawie od miesiąca i ani razu nie czułem ochoty, żeby być gdzie indziej; umacnia się tylko trochę wola pracy.

U innych też nie widzę pragnienia, żeby być gdzie indziej, może płynie to stąd, że czują się zbyt złamani, by żyć poza zakładem.

Nie rozumiem tylko ich absolutnego próżniactwa. Ale jest to wielka wada Południa i jego ruina. Za to jakże tu

pięknie, jaki błękit, jakie słońce! A przecież dotychczas widziałem tylko park i to, co mam za oknem. Czy czytałeś nową książkę Guy de Maupassanta: Fort comme la mort? O co tam chodzi? Z lektur tego rodzaju czytałem ostatnio Marzenie Zoli; uważam, że bardzo piękna jest postać kobiety, hafciarki, i opis złotego haftu. Bo to jest jak gdyby problem koloru: różnych żółci, czystych i złamanych. Mężczyzna wydaje mi się mało żywy i wielka katedra także napawa mnie melancholią. Tylko tło liliowe i niebiesko-czarne wydobywa jasną postać. Ale w końcu podobne rzeczy są już u Lamartine'a. Mam nadzieję, że zniszczysz rzeczy zbyt słabe spośród tych, które ci posłałem, a w każdym razie pokażesz tylko to, co jest znośne. Co do wystawy Niezależnych — wszystko jedno, rób tak, jakby mnie tam nie było. Żeby nie okazać zbytniej obojętności i nie wystawić jakiejś rzeczy zbyt szalonej — może noc gwiaździsta i pejzaż o żółtych zieleniach, który był w oprawie z orzechowego drzewa. Te dwa obrazy są w różnych kolorach i mogą innym podsunąć myśl, żeby lepiej niż ja namalować efekty nocy. I musisz być teraz zupełnie spokojny o mnie.

9 czerwca 1889

Od kilku dni wychodzę, żeby malować okolicę.

Twój ostatni list, jeśli dobrze pamiętam, był z 21 maja; od tego czasu nie mam wiadomości od ciebie, tylko p. Peyron mówił mi, że pisałeś do niego. Mam nadzieję, że masz się dobrze i twoja żona tak samo.

Widziałem zapowiedź najbliższej wystawy impresjonistów, wymienieni są Gauguin, Bernard, Anquetin i inni. Skłonny więc jestem myśleć, że znów powstała nowa sekta, równie chwiejna jak inne, już istniejące.

Czy o tej wystawie mi mówiłeś? Co za burza w szklance wody!

Zdrowie jako tako, pracując czuję się tu szczęśliwszy, niż mógłbym być gdziekolwiek indziej. Gdybym pozostał tu dość długo, doszedłbym do równowagi, co uporządkowałoby i na później moje życie i uczyniłoby mnie bardziej odpornym.

I to byłaby wygrana. Nie miałbym zresztą odwagi zaczynać wszystkiego na nowo poza zakładem. Jeden raz tylko, i to w towarzystwie strażnika, byłem na wsi, ale sam widok ludzi i przedmiotów przyprawił mnie niemal o zemdlenie i czułem się bardzo źle. W obliczu natury podtrzymuje mnie praca. Mówię ci to, abyś zrozumiał, że musiałem doznać jakiegoś nazbyt wielkiego wzruszenia, które mi wszystko zepsuło, a nie wiem, co mogło być jego przyczyną.

Kiedy kończę pracę, nudzę się śmiertelnie, a jednak nie mam najmniejszej ochoty zacząć na nowo.

To dziwne, że ile razy próbuję zastanowić się, żeby sobie zdać sprawę, dlaczego tu jestem, i żeby stwierdzić że jest to taki sam przypadek jak każdy inny, chwyta mnie okropne przerażenie i odraza i nie mogę myśleć. Co prawda, te uczucia słabną teraz nieco, dowodzą jednak, że coś nie jest w porządku w moim mózgu; zdumiewająca rzecz bać się nie wiadomo czego i nie móc sobie przypomnieć. Możesz jednak być pewien, że robię, co mogę, by stać się na nowo aktywnym i może nawet pożytecznym; w tym sensie przynajmniej, że chcę malować obrazy lepsze niż przedtem.

Wiele w pejzażu tutejszym przywodzi na myśl Ruysdaela, ale brak postaci oraczy.

U nas wszędzie i o każdej porze roku widać mężczyzn, kobiety i zwierzęta przy pracy; tu nie spotkasz ani trzeciej części tego i na domiar nie są to rzetelni pracownicy Północy. Wydaje się, że pracują niezręcznie i niechętnie, bez

zapału. Może moje przekonanie jest fałszywe — przynajmniej mam nadzieję, że jest fałszywe, ponieważ jestem tu obcy. Ale ono sprawia, że wszystko traci temperaturę, zdaje się zimniejsze, niż można było przypuszczać czytając Tartarina, który był stąd wygnany, może już od lat, z całą swoją rodziną.

Napisz do mnie szybko, bardzo brak mi twoich listów; mam nadzieję, że masz się dobrze. Wielka to pociecha dla mnie, że nie jesteś już sam.

19 czerwca 1889

Ja również nie mogę napisać do ciebie tak, jak bym tego pragnął, ale cóż, żyjemy w tak ruchliwej epoce, że nie sposób mieć poglądów dość ustalonych, żeby móc ocenić zjawiska.

Chciałbym wiedzieć, czy stołujecie się jeszcze w restauracji, czy też w domu — na dłuższą metę to byłoby lepsze.

Ja mam się dobrze; rozumiesz, że po pół roku blisko całkowitej powściągliwości w jedzeniu, piciu, paleniu, biorąc ostatnio dwie dwugodzinne kąpiele w tygodniu, powinienem się uspokoić. Wszystko więc idzie dobrze, praca mnie zajmuje i bawi — a bardzo mi trzeba rozrywki — i nie męczy mnie wcale.

Uważam, że zrobiłeś dobrze nie wystawiając moich obrazów na wystawie Gauguina i innych; jak długo jestem chory, powód jest wystarczający, żebym nie wystawiał nie obrażając nikogo.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Gauguin i Bernard mają wielkie zasługi.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ludzie tacy jak oni, żywi i młodzi, którzy muszą żyć i torować sobie drogę, nie

mogą odwrócić wszystkich swoich płócien do ściany i czekać, aż ludzie raczą się na nich zgodzić. Wystawiając w kawiarniach wywołuje się tylko hałas, co jest, nie przeczą, w złym guście; ja mam tę zbrodnię na sumieniu, popełniłem ją nawet dwa razy, wystawiając w Tambourin i przy avenue de Clichy, nie mówiąc już o niepokoju, o jaki przyprawiłem 81 cnotliwych ludożerców z zacnego miasta Arles i ich znakomitego mera.

W każdym więc razie jestem gorszy i bardziej skompromitowany niż oni, choć wywołałem tyle hałasu wbrew mojej woli. Moim zdaniem, mały Bernard namalował już kilka zupełnie zdumiewających płócien, jest w nich słodycz i coś z gruntu francuskiego i mają w sobie tę najrzadziej spotykaną czystość.

I w końcu ani on, ani Gauguin nie są artystami, którzy chcieliby dostać się na wystawę powszechną kuchennymi schodami.

Bądź więc dobrej myśli. Oni nie mogli milczeć, to jasne. To, że impresjonizm nie stworzył jako kierunek całości, dowodzi tylko, że impresjoniści nie potrafią tak walczyć jak inni artyści, tacy jak Delacroix i Courbet.

Może Gauguin, Bernard i ja nie zwyciężymy, ale nie zostaniemy też zwyciężeni — nie jesteśmy może jeden dla drugiego, ale jesteśmy, żeby pocieszyć lub przygotować malarstwo bardziej pocieszające.

Zrobisz mi wielką przyjemność, jeśli napiszesz do mnie wkrótce. Myślę często, że po pewnym czasie nabierzesz w małżeństwie nowych sił i za rok będziesz czuł się doskonale.

Bardzo chciałbym tu mieć Szekspira, żeby czytać go od czasu do czasu. Istnieje pełne wydanie za szylinga, Dicks shilling Shakespeare. Nie brak tez innych wydań i myślę, że tańsze nie są gorsze od drogich. W każdym razie chciałbym, żeby koszt nie przekraczał trzech franków

Z Szekspirem nie ma pośpiechu, jeśli brak wydania, o jakim mówię, można je sprowadzić, co nie potrwa zbyt długo.

Nie obawiaj się, że kiedykolwiek z własnej woli ośmielę się wznieść na zawrotne wysokości; niestety, jesteśmy wydani przypadkom i chorobom naszej epoki, czy tego chcemy, czy nie chcemy. Ale przy takich środkach ostrożności, jakie stosuję, nie ulegnę łatwo i spodziewam się, że ataki więcej nie wrócą.

25 czerwca 1889

Mówiąc o Gauguinie, Bernardzie, że mogliby stworzyć krzepiące malarstwo, muszę dodać to, co często zresztą mówiłem Gauguinowi: nie trzeba zapominać, że przed nami byli inni. Ale tak czy inaczej, poza Paryżem zapomina się szybko o Paryżu, na wsi zmienia się rychło poglądy; nie zapomnę jednak wszystkich pięknych płócien z Barbizonu i bardzo jest wątpliwe, czy można malować lepiej i czy trzeba malować lepiej.

Przeczytałem na nowo z wielką przyjemnością Zadiga albo Przeznaczenie Woltera. To jest takie jak Kandyd Tam przynajmniej wspaniały autor daje do zrozumienia że życie może mieć jakiś sens, „choć w rozmowie dochodzi się do wniosku, że sprawy tego świata nie zawsze przybierają najrozsądniejszy obrót".

Co do mnie, nie wiem, czego mam pragnąć: pracować tu czy gdzie indziej; ale jest to mniej więcej to samo, skoro zaś jestem tu, prościej będzie zostać.

Nie mam ci nic nowego do powiedzenia, wszystkie dni są tu do siebie podobne, nie mam innych myśli, jak — patrząc na pole zboża albo cyprysy — że warto obejrzeć je z bliska, i to jest wszystko.

Cały problem sprowadza się do tego, żeby znaleźć sobie zajęcie wypełniające cały dzień.

Jaka szkoda, że nie można przenieść naszego budynku. Nadawałby się doskonale na wystawę — puste ogromne pokoje, wielkie korytarze.

Bez daty

Załączam list od matki, na pewno wiesz już o wszystkim, co on zawiera. Uważam, że Cor okazał wielką konsekwencję wyjeżdżając.

Taki wyjazd o tyle różni się od pozostawania w Europie, że nie zmusza do ulegania wpływom naszych wielkich miast, tak starych, że wszystko w nich wydaje się bzdurne i chwiejne. Zamiast więc tracić siły życiowe i wrodzoną energię, można być szczęśliwym poza naszym społeczeństwem. Nie zawahał się z przyjęciem tej posady, co dowodzi, że postępuje w sposób prawy i zgodnie z otrzymanym wykształceniem. Posyłam ci więc ten list, ale nie po to, żeby cię informować o tym, co i tak wiesz.

Robię to po to, żebyś zwrócił uwagę, jak regularne i pewne jest pismo matki, kiedy pomyśleć, że to przecież prawda, co ona pisze: że ma prawie 70 lat. Widzę teraz sam, że jest rzeczywiście tak, jak mi mówiłeś i jak mówiła mi siostra: że matka jakby odmłodniała. Widać to z tego jasnego pisma, z logiki, z prostoty, z jaką ocenia fakty.

Myślę, że to odmłodzenie jest rezultatem twojego małżeństwa, którego matka pragnęła od dawna; ja zaś gratuluję ci, że to małżeństwo może dać warn obojgu — tobie i Jo — tak wyjątkową przyjemność, jak widok odmłodzonej matki. Dlatego posyłam ci ten list. Mój drogi bracie, przyda się o tym pamiętać na przyszłość; dobrze się stało, że to wypadło w chwili, kiedy matka rozstaje się z Corem, co jest dla niej wielkim cierpieniem; twoje

małżeństwo to dla niej pociecha. Jeśli to możliwe, wróć jeszcze przed upływem roku do Holandii, matka bowiem tęskni za tobą, za tobą i za twoją żoną.

Powiem ci raz jeszcze, że nie czytałem nigdy listu matki, który mówiłby o takiej pogodzie wewnętrznej i spokojnym zadowoleniu — nie czytałem od lat. I jestem pewien, że przyczyną jest twoje małżeństwo. Podobno ten, kto sprawia radość swym rodzicom, żyje długo.

Dziękuję ci serdecznie za Szekspira. Ta lektura nie pozwoli mi zapomnieć tej odrobiny angielskiego, jaką pamiętam, ale nade wszystko — jakie to piękne! Zacząłem od czytania cyklu, który znam najmniej; kiedyś, zajęty czym innym i nie mając czasu, zaniedbałem go: jest to cykl królewski. Przeczytałem już Ryszarda II, Henryka IV i połowę Henryka V. Czytam nie myśląc o tym, czy idee ludzi tamtych czasów są takie same jak nasze i co by się stało, gdyby porównać je z poglądami republikanów, socjalistów itd. Ale podobnie jak u pewnych powieściopisarzy współczesnych, najbardziej wzruszające u Szekspira jest to, że głosy tych ludzi, które dochodzą do nas po wiekach, nie wydają nam się nieznane. Tyle w tym życia, że doznaję wrażenia, jakbym ich znał i widział wszystko.

I to jeszcze, co jeden chyba Rembrandt ma wśród malarzy, ma także Szekspir: czułość w spojrzeniu, którą widzimy w Pielgrzymach z Emmaus, w Żydowskiej narzeczonej, w dziwnej postaci anioła, w obrazie, który miałeś szczęście widzieć — ta wstrząsająca czułość, ta nieskończoność nadludzka, a tak naturalna. I te portrety poważne lub wesołe, jak Six, Podróżny, czy Saskia — pełno tu tego.

Jaki to szczęśliwy pomysł, że syn Wiktora Hugo zechciał przetłumaczyć to wszystko na francuski, tak że Szekspir będzie dostępny dla każdego. Kiedy myślę o impresjonistach i o wszystkich problemach sztuki współczesnej, ile nauki znajduję w Szekspirze. Czytając to

widzę, że impresjoniści mieli po tysiąckroć rację; powinni więc pamiętać zawsze, że konsekwencją tej racji jest prawo czy obowiązek, by sami wymierzali sobie sprawiedliwość.

Jeśli mają śmiałość mówić o sobie, że są prymitywami, na pewno zrobiliby dobrze, gdyby stali się prości również jako ludzie, zanim jeszcze użyją słowa prymityw jako tytułu dającego im prawa do wszystkiego. Niemniej jednak ci, za których sprawą impresjoniści są nieszczęśliwi, ponoszą za to wielką odpowiedzialność, nawet jeśli sobie kpią z tego.

Poza tym wypowiadanie bitwy siedem razy w tygodniu — taka rzecz nie może trwać.

To jest wspaniałe, że L'Abbesse de Jouarre , kiedy się o tym pomyśli, wytrzymuje porównanie nawet z Szekspirem.

Myślę, że Renan zapłacił za to, by móc raz swobodnie i bez ograniczeń wypowiedzieć piękne słowa, bo to są piękne słowa.

Książki Zoli będą nadal piękne i przetrwają, bo jest w nich życie.

Życie jest także w zadowoleniu matki z twego małżeństwa i myślę, że tobie i Jo sprawia to również przyjemność. Ale rozłąka z Corem będzie dla niej trudna. Nauczyć się cierpieć bez skargi, patrzeć na ból bez odrazy — właśnie tu kryje się ryzyko zawrotu głowy; a jednak jest bardzo możliwe, a nawet poniekąd prawdopodobne, że po tamtej stronie zrozumiemy powody cierpień, które stąd przesłaniają nieraz cały horyzont i ukazują się w rozpaczliwych proporcjach potopu. O proporcjach jednak wiemy bardzo mało i lepiej jest patrzeć na pole zboża, nawet namalowane na płótnie.

5 lipca 1889

Rozmawiałem dziś rano z lekarzem tutejszym — powiedział mi to, co i ja myślałem, że trzeba poczekać rok,

by móc się uważać za zdrowego; byle co może spowodować atak.

Zaproponował mi, że weźmie do zakładu moje meble, żebyśmy nie mieli podwójnych kosztów. Jutro pojadę do Arles, żeby omówić tę sprawę z p. Salles. Kiedy przyjechałem tutaj, zostawiłem p. Salles 50 fr. na zapłacenie szpitala w Arles; na pewno coś mu z tego zostało. Ponieważ jednak często trzeba mi tu było różnych rzeczy, nadwyżka, którą miał p. Peyron, jest wyczerpana. Jestem trochę zdumiony, że żyjąc tu powściągliwie i w sposób regularny od 6 miesięcy po opuszczeniu mojej pracowni — nie wydaję mniej ani nie maluję więcej niż w ubiegłym roku, stosunkowo bardziej rozrzutnym, i nie czuję z tego powodu większych czy mniejszych wyrzutów sumienia itd. Wynika z tego, jak mi się zdaje, że wszystko, co nazywa się dobrem i złem, jest dość względne.

Żyję tu z umiarem, ponieważ sytuacja temu sprzyja, dawniej piłem, ponieważ nie wiedziałem, co robić. W końcu, jakże mi wszystko jedno!... Co prawda dobrowolna wstrzemięźliwość prowadzi do takiego stanu, kiedy myśl — jeśli się ją ma — płynie swobodniej. To taka różnica jak malować szaro albo barwnie. Rzeczywiście, będę malował bardziej szaro.

Rzecz sprowadza się do tego, że zamiast płacić właścicielowi, płaci się zakładowi; nie widzę więc wielkiej różnicy i nie jest o wiele taniej. Malarstwo to oddzielna sprawa i zawsze kosztowało mnie drogo.

Ze zdrowiem jest jednak dobrze i doznaję podobnego uczucia, jak wówczas, gdy byłem znacznie młodszy i także bardzo powściągliwy; mówiono wówczas, że za bardzo, jak mi się zdaje. Ale wszystko jedno, spróbuję sobie dać radę.

Jeśli idzie o to, że miałbym być ojcem chrzestnym twego syna — przede wszystkim to może być córka — wolałbym poczekać do chwili, kiedy nie będę już tutaj.

Poza tym matce zależałoby z pewnością na tym, żeby dziecko nosiło imię naszego ojca, co uważałbym za bardziej logiczne w danych okolicznościach.

Doskonale bawiłem się wczoraj czytając Miarkę za miarkę. Potem przeczytałem Henryka VIII, gdzie są takie piękne miejsca, na przykład scena z Buckinghamem i słowa Wolseya po jego upadku.

Uważam za szczęście dla siebie, że mogę to czytać i wracać do lektury tyle razy, ile mam ochotę; mam nadzieję również, że w końcu przeczytam Homera.

Na dworze koniki polne drą się wniebogłosy, skrzeczący krzyk, dziesięć razy mocniejszy od głosu świerszczy; spalona trawa nabiera tonów starego złota. Piękne miasta Południa są jak nasze martwe miasta nad Zuyderzee, tak niegdyś ożywione. Wśród upadku i schyłku wszystkiego pozostały tylko świerszcze, tak drogie Sokratesowi. I tu na pewno śpiewają jeszcze o starym Greku.

Bez daty

Chciałbym cię powiadomić, że jest mi bardzo trudno pisać, tak bardzo mam zmąconą głowę. Korzystam z chwili przerwy. Doktor Peyron jest bardzo dobry dla mnie i bardzo cierpliwy. Rozumiesz, że jestem głęboko przygnębiony nawrotem ataków, skoro zaczynałem już mieć nadzieję, że nie powtórzą się więcej.

Zrobisz może dobrze, jeśli napiszesz do doktora Peyrona i powiesz mu, że praca nad obrazami jest konieczna, jeśli mam powrócić do zdrowia; dni spędzane bezczynnie, bez możliwości pójścia do pokoju, który został przeznaczony na pracownię, są dla mnie nie do zniesienia.

Przyjaciel Roulin także do mnie napisał.

Otrzymałem katalog wystawy Gauguina, Bernarda, Schuffeneckera itd., który wydaje mi się ciekawy, Gauguin również napisał do mnie dobry list, jak zwykle nieco nieokreślony i niejasny, ale muszę powiedzieć, że przyznaję im rację: słusznie zrobili organizując tę wystawę.

Przez wiele dni nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, zupełnie jak w Arles, jeśli nie gorzej, i należy przy , puszczać, że te ataki powtórzą się w przyszłości, to odrażające.

Przez cztery dni nie mogłem jeść, miałem spuchnięte gardło. Nie przytaczam ci tych szczegółów, żeby się skarżyć, ale żeby ci dowieść, że nie mógłbym teraz pojechać do Paryża czy do Pont-Aven, najwyżej do Charenton . Nie widzę już możliwości, żeby odzyskać odwagę albo nadzieję, ale w końcu wiemy nie od wczoraj, że ten zawód nie jest wesoły.

Ten nowy atak, mój drogi bracie, zaskoczył mnie na polu, kiedy malowałem w wietrzny dzień. Poślę ci to płótno, które minio wszystko skończyłem.

Sierpień 1889

Mam się lepiej od czasu, kiedy do ciebie pisałem; nie wiedząc, jak długo to potrwa, nie chcę czekać dłużej i piszę znowu.

Wczoraj zacząłem trochę pracować — motyw z mojego okna — żółte ściernisko, które orzą, kontrast fioletowej zoranej ziemi i wiązek żółtej słomy, w tle — wzgórza.

Praca jest dla mnie znacznie większą rozrywką niż cokolwiek innego i gdybym mógł zacząć pracować na całego, byłoby to prawdopodobnie najlepsze lekarstwo.

Brak modeli oraz wiele innych rzeczy stoi mi na przeszkodzie.

Muszę jednak brać wszystko w sposób bardziej bierny i zdobyć się na cierpliwość.

Często myślę o kolegach z Bretanii, którzy na pewno pracują lepiej niż ja. Gdybym mógł zacząć na nowo mając to doświadczenie, które posiadam już teraz, nie szukałbym Południa. Ale niezależny i wolny, nadal byłbym entuzjastą Południa, ponieważ można tu zrobić wiele pięknych rzeczy.

Na przykład winnice, gaje oliwkowe. Gdybym miał zaufanie do tutejszej administracji, najlepiej i najprościej byłoby sprowadzić wszystkie moje meble tutaj, do zakładu, i pracować w spokoju.

W wypadku wyzdrowienia, albo w przerwach między atakami, mógłbym pojechać na pewien czas do Paryża albo do Bretanii,

Po pierwsze, tu jest bardzo drogo, a po drugie, boję się teraz innych chorych. Wreszcie dla wielu powodów nie wierzę, bym tu nawet mógł mieć jakąś szansę.

Może przesadzam w moim smutku — snów bowiem powaliła mnie choroba — ale czuję lęk.

Powiesz ml — mówię to sobie takie — że błąd jest we mnie, nie zaś w okolicznościach czy w innych ludziach. Ale to nie jest wesołe.

P. Peyron był dobry dla mnie i ma wielkie doświadczenie, nie lekceważę tego, co mówi i co uważa za stosowne.

Alę czy ma wyrobiony pogląd, czy pisał ci coś wyraźnego? możliwego?

Widzisz, że jestem wciąż jeszcze w bardzo kiepskim nastroju, bo jakoś to nie idzie. Poza tym czuję się durniem prosząc lekarzy o zezwolenie na malowanie obrazów. Mogę się zresztą spodziewać, że jeśli prędzej czy później wyzdrowieję do pewnego stopnia — to dlatego, że wyleczę się pracą, która umacnia wolę i, w konsekwencji, zmniejsza możliwość ataków.

Mój drogi bracie, chciałbym ci napisać lepszy list, ale nie iest ze mną dobrze. Bardzo lubię chodzić w góry i malować przez cały dzień, mam nadzieję, że w tych dniach mi pozwolą.

Znikło dławienie w gardle, przynajmniej częściowo, co prawda z pewną trudnością, ale jest lepiej.

Bez daty

Jeśli piszę do ciebie dzisiaj, to dlatego, że załączam list do przyjaciela Gauguina; w ostatnich dniach czuję, że wraca mi spokój, i to w dostateczniej mierze żeby mój list me był zupełnie absurdalny; zresztą nigdzie nie jest powiedziane, że okazując najskrupulatniej szacunek lub uczucie innym, zyskujemy powagę czy zdrowy rozsądek. Skoro tak, to rad jestem porozmawiać z kolegami, chociażby na odległość. A ty, mój dzielny chłopcze, jakże się miewasz? Napisz do mnie w tych dniach, wyobrażam bowiem sobie, że wzruszenia, jakich doznajesz jako przyszły ojciec rodziny — wzruszenia, o których nasz zacny ojciec tak lubił mówić — są zapewne równie wielkie i równie szlachetne jak jego, ale na razie nie sposób ci ich wyrazić wśród chaosu drobnych utrapień paryskich.

Sprawy tego rodzaju są zapewne jak gwałtowny mistral, niezbyt przyjemny, ale uzdrawiający; dla mnie to wielka radość, to pomoże mi przezwyciężyć zmęczenie moralne, a może i obojętność. Zresztą ochota do życia mi powraca, kiedy myślę, że zostaną wujem tego chłopca zapowiedzianego przez twoją żonę. To dość zabawne, że ona jest pewna chłopca, ale zobaczymy. Na razie maluję trochę, mam właśnie w robocie wschód księżyca nad tym samym polem, którego rysunek jest w liście do Gauguina, ale tam są stogi zamiast zboża. Żółty ugier i fiolet. Zobaczysz to za jakiś czas.

Maluję też nowy obraz — z bluszczem. Mój dzielny chłopcze, proszę cię nade wszystko, nie martw się, nie popadaj w melancholię i niepokój z mego powodu, na pewno masz fałszywe wyobrażenie o tej koniecznej i zbawiennej kwarantannie; musimy powoli i cierpliwie wracać do zdrowia. Jeśli tak będzie, zaoszczędzimy sił na zimę.

Lekarz mówił mi, że uważał zawsze Monticellego za dziwaka, ale że wariatem stał się dopiero pod koniec Zastanowiwszy się nad wszystkimi nieszczęściami, jakie spadły na Monticellego w ostatnich latach jego życia czy można się dziwić, że ugiął się pod zbyt wielkim ciężarem, i czy słusznie mówi się, że jego dzieło w sensie artystycznym jest chybione?

Myślę, że nie, jego malarstwo jest bardzo logiczne i oryginalne; jaka szkoda, że nie znalazł pomocy, która umożliwiłaby mu pełniejszy rozwój! .

Załączam rysunek koników polnych.

Ich śpiew podczas wielkich upałów ma dla mnie taki sam urok, jak głos świerszczy w domu chłopskim z naszych stron. Mój drogi, nie zapominajmy, że małe wzruszenia w sposób decydujący kierują naszym życiem i że jesteśmy im posłuszni nie wiedząc nawet o tym. Jest mi jeszcze trudno odzyskać odwagę, kiedy myślę o błędach popełnionych i przyszłych — a w niej jest moje uzdrowienie — ale pamiętajmy, że nasze spleeny i melancholie, nasza poczciwość i zdrowy rozsądek nie są naszymi jedynymi przewodnikami, zwłaszcza zaś naszą strażą; ty także ryzykujesz wiele i za wiele rzeczy jesteś odpowiedzialny, toteż nie zajmujmy się zanadto jeden drugim, chociaż bowiem przypadki oddaliły nas od naszego młodzieńczego rozumienia życia arysty, niemniej pozostaliśmy braćmi i pod wieloma względami towarzyszami niedoli.

Wrzesień 1889

Jak się miewasz — chciałbym, żebyś był Już o dwa lata starszy i żebyś miał za sobą pierwszy czas małżeń stwa, choć jest to czas chwilami piękny. Jestem przekonany, że małżeństwo jest dobre dopiero później i że wówczas wraca spokój.

Traktuj więc wszystko z flegmą północną i uważajcie oboje na siebie. To przeklęte życie sprawami sztuki jest męczące.

Siły wracają mi z dnia na dzień i znowu zdaje mi się, że mam ich niemal za dużo. Bo żeby wytrwać przy sztalugach, nie trzeba być Herkulesem.

Mówiłeś mi, że Maus oglądał moje obrazy; dlatego ostatnio i podczas choroby dużo myślałem o malarzach belgijskich.

Wspomnienia spadają na mnie jak lawina i staram się przypomnieć sobie całą tę szkołę nowoczesnych artystów flamandzkich, aż ogarnia mnie tęsknota za krajem — jak Szwajcara.

To nie jest dobre, ponieważ droga jest przed nami, zawracać nie wolno i niepodobna; to znaczy można myśleć o przeszłości nie popadając jednak w zbyt melancholijną nostalgię.

Henri Conscience nie jest pisarzem doskonałym, ale tu i ówdzie, po trosze wszędzie, jaki malarz! i jaka dobroć w tym, co mówił i czego chciał. Wciąż mam w pamięci wstęp do jednej z jego książek (Conscrit), gdzie pisze, że był bardzo chory i podczas choroby, mimo wielkich wysiłków, czuł, jak gaśnie jego uczucie dla ludzi; wówczas zaczął długo przechadzać się po polach i ta miłość powróciła. To jest przekleństwo cierpienia i rozpaczy, ale teraz już jest lepiej na pewien czas i dziękuję za to.

Fiszę do ciebie ten list w przerwach między malowaniem, kiedy czuję się zmęczony. Praca idzie dość

dobrze — walczę z obrazem rozpoczętym kilka dni przed moją niedyspozycją, jest to żniwiarz, płótno całe żółte, okropnie grubo malowane, ale motyw był piękny i prosty. Widzę w tym żniwiarzu — niewyraźna postać, która w okropnym żarze miota się jak diabeł, żeby dać sobie radą ze swoim zadaniem — widzę w nim obraz śmierci, w tym sensie, że ludzkość jest zbożem, które się kosi. Jest to przeciwstawienie siewcy, którego malowałem przedtem. Ale w tej śmierci nie ma nic smutnego, wszystko dzieje się w pełnym świetle, w słońcu, które zatapia pejzaż w delikatnym złotym blasku.

Tak to jest, nie ustępuję jednak i na nowym płótnie zaczynam szukać na nowo. Ach, mógłbym niemal uwierzyć, że mam przed sobą nowy okres jasnego malowania.

Nie wiem, co robić; czy ciągnąć tak dalej przez najbliższe miesiące, czy szukać zmiany. Ataki nie są zabawne i boję się, żeby mi się to nie przytrafiło przy tobie czy przy innych.

Mój drogi bracie — wciąż piszę w przerwach między malowaniem — pracuję jak potępieniec, szał pracy ogarnął mnie bardziej niż kiedykolwiek. Może będzie ze mną tak jak z Delacroix, który mówił, że „odnalazł malarstwo, kiedy nie miał już zębów i brakło mu tchu", w tym sensie, że moja smutna choroba wywołuje we mnie głuchą wściekłość pracy — pracuję bardzo powoli — ale od rana do wieczora, bez wytchnienia; może na tym właśnie polega tajemnica: pracować długo i powoli. Nie wiem, ale myślę, że mam jedno albo dwa niezłe płótna, żniwiarz w żółtym zbożu i autoportret na jasnym tle — to będzie dla Vingtistes, jeśli kiedykolwiek przypomną sobie o mnie, ale byłoby mi zupełnie obojętne, a nawet wolałbym, żeby o mnie zapomnieli.

Ja nie zapominam o inspiracji, jaką są dla mnie wspomnienia pewnych Belgów. To jest ważne, reszta tak drugorzędna.

Oto mamy wrzesień, wkrótce będzie jesień, a potem zima.

Będę nadal pracował bardzo ostro, potem, około Bożego Narodzenia, jeśli atak powróci — zobaczymy; nie widziałbym nic niewłaściwego, gdybym mając już atak za sobą, posłał do wszystkich diabłów administrację tutejszą i wrócił na jakiś czas na Północ. Wyjazd teraz, kiedy nowy atak zimą, to znaczy za 3 miesiące, wydaje mi się prawdopodobny, byłby może nieostrożnością. Od 6 tygodni nie wysunąłem nogi z domu, nie byłem nawet w parku; spróbuję jednak w przyszłym tygodniu, kiedy skończę płótna, które mcm w robocie.

Ale jeszcze kilka miesięcy, a będę tak ślamazarny i ogłupiały, że zmiana zrobi mi prawdopodobnie bardzo dobrze.

Jestem jednak zdania, że nie należy bardziej krępować się z ludźmi w zakładzie niż z właścicielami hoteli. Wynajmuje się tu pokój na jakiś czas, każą sobie dobrze płacić za to, co dają: tylko tyle. Nie mówiąc już o tym, że oni marzą o chronicznych stanach choroby i trzeba by być zbrodniczo głupim, żeby się dać na to nabrać. Zanadto interesują się nie tylko mną, ale i tobą, ile zarabiasz itd. Nie kłócąc się można się nie dać.

Walczę ze wszystkich sił, żeby zapanować nad moją pracą, mówiąc sobie, że jeśli zwyciężę, będzie to najlepszy sposób na moją chorobę. Oszczędzam się bardzo, zamykam przed innymi; to egoizm z mojej strony, powinienem raczej przyzwyczaić się do moich towarzyszy nieszczęścia i widywać się z nimi, ale w końcu nie widzę w tym nic złego, skoro moja praca postępuje, a tego nam właśnie trzeba. Jest rzeczą konieczną, żebym malował lepiej niż przedtem, tamto nie było zadowalające.

Myśl moja jest teraz jasna i czuję się zupełnie normalny. Jeśli zastanawiam się nad swoim stanem, mając nadzieję, że

pomiędzy atakami — gdyby, niestety, miały one powracać od czasu do czasu — będą okresy jasności i pracy, jeśli się nad tym zastanawiam, powiadam sobie, że nie powinienem upierać się przy myśli, że jestem chory. Ale że muszę nieustępliwie kontynuować moją skromną karierę malarza. Zostać jednak na stałe w zakładzie, byłoby chyba przesadą.

Czytałem w Le Figaro przed kilku dniami o pisarzu rosyjskim , który chorował na chorobę nerwową — niestety umarł na nią — której straszne ataki następowały od czasu do czasu.

Cóż robić, nie ma na to sposobu, a jeśli jest jakiś, to tylko pracować z zapałem.

Za bardzo zagłębiałem się w te sprawy.

I wolę w gruncie rzeczy wiedzieć, że jestem chory, tak jak to wiem teraz, niż stan, w jakim byłem w Paryżu, kiedy choroba dojrzewała.

Uff! żniwiarz jest gotów, myślę, że ten obraz weźmiesz do siebie — jest to obraz śmierci, o jakiej mówi nam wielka księga natury, ale ja chciałem, żeby to było „niemal uśmiechnięte". Płótno jest żółte, prócz linii fioletowych wzgórz, bladożółte. To zabawne, że ujrzałem to poprzez żelazne kraty mojej celi.

Wiesz, czego się spodziewam — skoro już mam nadzieję — spodziewam się, że rodzina będzie dla ciebie tym, czym dla mnie jest natura, grudy ziemi, trawa, żółte zboże, chłop; to znaczy, że w twojej miłości do najbliższych znajdziesz nie tylko cel pracy, ale i pociechę i odrodzenie, czego ci bardzo trzeba.

Proszę cię więc, nie przemęczaj się, dbajcie oboje o siebie, może w niedalekiej przyszłości będzie jeszcze dobrze.

Jem i piję teraz jak wilk i muszę powiedzieć, że lekarz jest bardzo życzliwy dla mnie... Otwieram raz jeszcze ten

list, żeby ci powiedzieć, że widziałem się z p. Peyronem, z którym nie rozmawiałem od sześciu dni.

Powiedział mi, że w tym miesiącu jedzie do Paryża i że zobaczy się z tobą.

Sprawia mi to przyjemność, jest to bowiem człowiek, który ma wiele doświadczenia — nie da się temu zaprzeczyć — i myślę, że będzie rozmawiał z tobą dość szczerze.

Mnie powiedział tylko tyle: „Miejmy nadzieję, że to nie powróci", ale ja liczę, że to będzie wracać jeszcze długo, przynajmniej przez kilka lat.

Ale liczę także na to, że skoro odzyskałem możność pracy, będzie ona postępować i stanie się dla mnie lekarstwem.

Mówię jszcze raz — nie dotyczy to zupełnie p. Peyrona — że z administracją tutejszą trzeba postępować grzecznie, ale poprzestać na tym i nie zobowiązywać się do niczego.

Trudność polega na tym, że gdybym gdziekolwiek tu pozostał na dłużej, miałbym wciąż do czynienia z przesądami ludowymi — nie znam nawet tych przesądów — i wówczas życie stałoby się dla mnie nie do zniesienia.

10 września 1889

Czy wiesz, że jeszcze dziś, kiedy czytam o jakimś energicznym przemysłowcu, a zwłaszcza o wydawcy, ogarnia mnie to samo oburzenie i ten sam gniew, jakie czułem, gdy byłem ongi u Goupilów et Co.

Tak więc toczy się życie, czasu nie można cofnąć, ale pracuję zaciekle, chociażby dlatego, że okazje do pracy nie wracają.

Zwłaszcza w moim wypadku, gdy gwałtowny atak może na zawsze zniszczyć we mnie zdolność malowania.

Podczas ataków czuję się tchórzem, boję się lęków i cierpienia — bardziej tchórzem niż trzeba i może to tchórzostwo moralne sprawia, że jem za dwóch, pracuję, oszczędzam się, jeśli idzie o stosunki z innymi chorymi. Dawniej nie miałem najmniejszej ochoty wyzdrowieć — teraz boję się, że znów zachoruję, staram się zdrowieć, jak samobójca, który widząc, że woda jest zbyt zimna, usiłuje dotrzeć do brzegu.

Mój drogi bracie, wiesz, że wyjechałem na Południe i zacząłem tu pracować dla tysiąca powodów. Chciałem widzieć inne światło, myślałem, że przyroda pod czystym niebem może mi dać właściwsze wyobrażenie o sposobie odczuwania Japończyków i o ich rysunku. Chciałem w końcu widzieć silniej świecące słońce, ponieważ nie widząc go, nie sposób zrozumieć w sensie wykonania, techniki, obrazów Delacroix, a także dlatego, że kolory widma słonecznego są na Północy spowite w mgłę.

Wszystko to jest nadal prawdą. Do tego trzeba jeszcze dodać upodobanie serca do tego Południa, które Daudet odmalował w Tartarinie, oraz to, że znajdowałem tu i ówdzie przyjaciół i rzeczy, które lubię.

Czy zrozumiesz więc, że uważając moją chorobą za okropność, czuję mimo wszystko zbyt mocne więzi z Południem; tak dalece, że później może przyjść mi ochota tu wrócić, gdybym wkrótce znalazł się na Północy.

Nie ukrywam bowiem przed tobą, że podobnie jak czuję teraz ogromny apetyt, tak też czuję ogromne pragnienie, żeby zobaczyć przyjaciół i wieś północną.

Praca idzie mi bardzo dobrze, znajduję rzeczy, których na próżno szukałem od lat, i wciąż myślę o znanych ci słowach Delacroix, że nauczył się malować, kiedy brakło mu już zębów i tchu.

Otóż ja, chory umysłowo, kiedy myślę o tylu artystach cierpiących moralnie, powiadam sobie, że nie jest to

przeszkoda, żeby wykonywać zawód malarza, jakby nic się nigdy nie zdarzyło.

Widzę, że ataki nabierają tu jakiegoś absurdalnego mistycznego znaczenia, toteż uważam, że powrót na Północ jest konieczny. Nie mów o tym wiele z lekarzem, gdy go zobaczysz, ale nie wiem, czy to nie jest rezultat mieszkania przez długie miesiące w szpitalu w Arles i tu, w tych starych klasztorach. Wreszcie, nie powinienem żyć w takim środowisku, lepiej byłoby na ulicy. Nie jestem obojętny w sprawach religii i w cierpieniu myśli religijne przynoszą mi niekiedy pociechę.

Byłem chory, ale nie byłem dzielny. Boję się bardzo cierpienia związanego z atakami i stąd, jak sądzę, moja gorliwość w pracy; to jest tak jak z samobójcą, który widząc, że woda jest zbyt zimna, szuka brzegu.

Ale posłuchaj, być w przytułku, jak był Braat — na szczęście są to odległe czasy — nie i jeszcze raz nie. Co innego, gdyby ojciec Pissarro albo Vignon na przykład zechcieli mnie wziąć do siebie. Jestem malarzem, to dałoby się załatwić i lepiej, żeby pieniądze szły na wyżywienie malarzy niż do rąk zacnych sióstr.

Wczoraj zapytałem nagle p. Peyrona: Jedzie pan do Paryża? Co by pan powiedział, gdybym pana poprosił, żeby wziął mnie pan ze sobą? Dał odpowiedź wymijającą — że to zbyt nagłe, że trzeba by wpierw napisać do ciebie. Ale on jest bardzo dobry i bardzo pobłażliwy dla mnie i choć bynajmniej nie jest tu panem, zawdzięczam mu wiele swobód. Przecież nie tylko trzeba malować obrazy, ale trzeba również widywać ludzi i od czasu do czasu przez obcowanie z nimi nabrać wigoru i ożywić myśl. Porzucam nadzieję, że to nie wróci — przeciwnie, muszę sobie powiedzieć, że od czasu do czasu będę miał ataki. Ale na ten czas mógłbym się znaleźć w zakładzie albo nawet w więzieniu, gdzie zazwyczaj jest cela dla wariata.

Nie martw się w każdym razie — praca idzie mi dobrze i nie umiem ci powiedzieć, jak mnie to rozgrzewa, gdy mówię sobie od czasu do czasu: Zrobię jeszcze to i tamto, namaluję zboże itd.

Jednakże wiem dobrze, że — jeśli człowiek jest dzielny — zdrowie przychodzi od wewnątrz z poddania się cierpieniu, z rezygnacji wobec śmierci, z porzucenia zachceń i miłości własnej. Ale ja nie dorastam do tego, lubią malować, widywać ludzi i rzeczy, wszystko, co stanowi nasze życie, być może, pozorne. Tak, prawdziwe życie jest gdzie indziej, ale nie sądzę, żebym należał do tej kategorii ludzi, którzy są gotowi żyć i zarazem w każdej chwili cierpieć.

Żeby dojść do czegoś, żeby osiągnąć trwały sukces, trzeba innego temperamentu niż mój; nie zrobię nigdy tego, do czego mógłbym i powinien bym dążyć.

Ale mając tak często zawroty głowy mogę znajdować się tylko w czwartym, piątym rzędzie. Kiedy czuję wartość, oryginalność, wyższość Delacroix i Milleta na przykład, powiadam sobie: Tak, jestem czymś, mogę coś zrobić. Ale muszę mieć oparcie w tych artystach i robić to, do czego jestem zdolny, idąc w tym samym co oni kierunku.

Ojciec Pissarro został straszliwie ugodzony tymi dwoma nieszczęściami naraz.

Ledwie to przeczytałem, przyszło mi na myśl zapytać, czy nie mógłbym być z nim.

Jeśli zapłacisz mu tyle samo co tutaj, wyjdzie na swoje, nie mam bowiem wielkich potrzeb — byleby pracować.

Zapytaj go otwarcie, a jeśli Pissarro nie zechce, pojadę do Vignona. Boję się trochę Pont-Aven, tyle tam ludzi, ale to, co mówisz o Gauguinie, bardzo mnie interesuje. I powtarzam sobie ciągle, że może jeszcze będziemy z Gauguinem pracowali razem.

Wiem, że Gauguin potrafi więcej niż to, co dotychczas zrobił, ale trzeba, żeby nie miał wreszcie kłopotów!

Mam ciągle nadzieję, że namaluję jego portret.

Czy widziałeś mój portret, który Gauguin namalował? maluję na nim słoneczniki. Twarz bardzo mi się rozświetliła od tego czasu, ale to byłem ja, skrajnie zmęczony i cały naładowany elektrycznością, ja ówczesny.

A przecież, żeby zobaczyć tę Prowansję, trzeba żyć z prostymi ludźmi, w małych domach, w zajazdach itd.

Moje siły wyczerpały się zbyt szybko, ale inni mogą tu zrobić wiele pięknych rzeczy. Idea nadal jest słuszna: trzeba założyć tu pracownię, żeby ułatwić przyjazd innym. Nie sposób pojechać od razu z Północy do Hiszpanii na przykład, człowiek nie zobaczy wówczas tego, co powinien zobaczyć; trzeba stopniowo przygotować o c z y do innego światła.

To dziwne, że już przedtem kilka razy pomyślałem, żeby jechać do Pissarra; teraz, kiedy opowiedziałeś mi o jego niedawnych nieszczęściach, nie waham się już i proszę, byś to załatwił.

Tak, trzeba z tym skończyć, nie mogę robić dwóch rzeczy naraz, pracować i zmuszać się do współżycia z tymi chorymi tutaj, to rozkłada.

Na próżno chciałem zmusić się do wyjścia. A przecież od dwóch prawie miesięcy nie byłem w plenerze.

Jeśli tak dłużej potrwa, przestanę pracować, to byłby Koniec; jeśli się zgadzasz, niech ten cały zakład idzie w diabły.

I płacić jeszcze za to wszystko — nie; w nieszczęściu któryś z artystów zgodzi się zamieszkać ze mną.

Na szczęście piszesz mi, że masz się dobrze i Jo także, i że jej siostra jest z wami.

Chciałbym być na Północy, kiedy twoje dziecko przyjdzie na świat; nie z wami, na pewno nie, to niemożliwe, ale w

okolicy Paryża z jakimś innym malarzem. Mógłbym też zamieszkać u Jouve'a, który ma dużo dzieci i gospodarstwo.

Starałem się porównać drugi atak z pierwszym i wydaje mi się, że raczej jest tu jakiś wpływ z zewnątrz niż z wewnątrz. Mogę się mylić, ale chyba zrozumiesz, że lękam się wszelkiej egzaltacji religijnej. Zacny p. Peyron opowie ci różne rzeczy, będzie mówił o prawdopodobieństwie i możliwościach, o działaniach mimowolnych. Dobrze, ale jeśli przejdzie do szczegółów, w nic nie uwierzę. I zobaczymy, czy jego szczegóły są ścisłe. Łatwo jest tu pielęgnować chorych, nawet podróżując, ponieważ nie robi się dla nich absolutnie nic; chorzy wegetują, próżnują, dostają jedzenie mdłe i trochę zepsute. I powiem ci teraz, że od pierwszego dnia nie chciałem jeść tego, co tu dają, i aż do ataku żywiłem się tylko chlebem i odrobiną zupy; jak długo tu będę, będę się tak żywił nadal. Co prawda po ataku p. Peyron dawał mi wino i mięso, na co z początku zgodziłem się chętnie, ale nie chciałbym na czas dłuższy być wyjątkiem; należy zaś wyrobić sobie sąd o zakładzie na podstawie obowiązującego reżimu. Muszę również powiedzieć, że p. Peyron nie robi mi wielkich nadziei na przyszłość, co jest słuszne, daje mi do zrozumienia, że wszystko jest wątpliwe i że nic nie można wiedzieć z góry. Ale ja sam myślę, że to wróci; praca jednak pochłania mnie całkowicie i myślę, że przy moim stanie fizycznym tak może potrwać długo.

Bezczynność, w jakiej trwają ci nieszczęśnicy, to prawdziwa zaraza; jest to zresztą zło powszechne w miastach i wsiach Południa, gdzie żyje się pod palącym słońcem. Ale ja nauczyłem się czego innego i moim obowiązkiem jest się temu przeciwstawić.

Bez daty

Wielka to dla mnie przyjemność, że ty też pomyślałeś o ojcu Pissarro. Zobaczysz, że są jeszcze szanse, jeśli nie tu, to gdzie indziej.

A teraz do rzeczy. Prosisz mnie, żebym odpowiedział kategorycznie — i masz rację — czy zgadzam się być w jakimś zakładzie paryskim przez zimę, gdybym stąd od razu wyjechał. Odpowiadam tak, z takim samym spokojem, z jakim zgodziłem się na zakład, w którym jestem obecnie, i dla tych samych powodów; nawet gdyby ten zakład paryski był najgorszy, co łatwo może się zdarzyć, i chociaż nieźle tutaj mogę pracować, a praca jest moją jedyną rozrywką.

Co powiedziawszy, zwracam ci uwagę, że w moim liście podałem ci poważną przyczynę, która każe mi pragnąć zmiany.

Raz jeszcze powtórzę. Jestem zdumiony, że ja, który mam nowoczesne poglądy, który jestem gorącym wielbicielem Zoli i Goncourtów, który czuję wszystko, co artystyczne, mam ataki, jakie mógłby mieć człowiek zabobonny, i że osaczają mnie myśli mistyczne i okrutne, choć nie znałem ich nigdy na Północy.

Wyjaśnić to można w ten sposób, że jestem bardzo wrażliwy na otoczenie i przebywam tak długo w tych starych klasztorach — w Arles i tutaj. Toteż nowy zakład, nawet najgorszy, powinien być świecki.

Niemniej, żeby nie wyglądało na to, że działam szaleńczo i skoro już uprzedziłem cię o tym, czego pragnę — to znaczy zmiany — oświadczam, że czuję w sobie dość spokoju i ufności, żeby poczekać jeszcze jakiś czas, by przekonać się, czy nowy atak nie nastąpi w zimie.

Ale jeśli wówczas ci napiszę: chcę stąd wyjechać, nie będziesz się wahał, będziesz bowiem wiedział, że mam poważny powód, albo nawet wiele powodów, by udać się do zakładu, gdzie nie ma, jak tutaj, sióstr, nawet najdoskonalszych.

Jeśli w ten czy w inny sposób, wcześniej czy później opuszczę ten zakład, zacznijmy, jakby niemal nic nie było, zachowując się jednak ostrożnie i słuchając we wszystkim Riveta; ale nie postępujmy tak, jakby sprawa była przegrana. Jeśli idzie o to, żeby dużo jeść, robię to, gdybym był jednak własnym lekarzem, zabroniłbym sobie tego.

Nie widzę żadnej korzyści dla siebie w nadmiernych siłach fizycznych; logiczniej byłoby skupić się na idei malowania i być tylko artystą, niczym więcej. Matka i Wil po wyjeździe Cora zmieniły otoczenie i miały rację. Nie trzeba, żeby smutek gromadził się w naszej duszy jak woda w bagnie. Ale czasem zbyt drogo i trudno jest zmienić. Wil napisała bardzo słusznie, że wyjazd Cora jest dla nich wielkim zmartwieniem.

Posyłam ci dziś mój autoportret; trzeba mu się przyglądać przez pewien czas; mam nadzieję, że zobaczysz, jak uspokoiła mi się twarz, choć spojrzenie jest jeszcze bardziej nieokreślone niż dawniej — tak mi się przynajmniej zdaje. Mam jeszcze jeden portret z okresu choroby, ale ten spodoba ci się bardziej, chciałem malować najprościej; jeśli zobaczysz ojca Pissarro, pokaż mu ten obraz. Będziesz zdumiony widząc, jakiego efektu nabierają prace w polu dzięki kolorowi — Pissarro ma całą taką serię.

Spróbuję ci powiedzieć, dlaczego uważam za dobre kopiowanie tych rzeczy i czego w nich szukam. Od nas, malarzy, żąda się zawsze kompozycji, żąda się, żebyśmy byli tylko kompozytorami.

Zgoda, ale w muzyce tak nie jest; jeśli ktoś gra Beethovena, dodaje do muzyki własną interpretację, dzieje się tak zwłaszcza w śpiewie; interpretacja kompozytora to nie jest mało i niekoniecznie tylko kompozytor musi grać swoje własne kompozycje.

Teraz, kiedy jestem chory, chcę malować dla własnej przyjemności, żeby znaleźć w tym pociechę.

Piszesz mi w liście, że nigdy nie robiłem nic innego, tylko pracowałem; nie, to nie jest słuszne, jestem bardzo, bardzo niezadowolony z mojej pracy i pocieszam się tylko tym, co mówią ludzie doświadczeni: że trzeba malować przez dziesięć lat na darmo. To, co zrobiłem, to tylko dziesięć lat tych nieszczęsnych i chybionych studiów. Ale teraz może przyjść lepszy okres.

Bernard i Gauguin czują to także; nie obchodzi ich rzeczywista forma drzewa na przykład, ale forma okrągła albo kwadratowa, i mają po stokroć rację, są bowiem zniechęceni fotograficzną i głupią doskonałością pewnych malarzy. Nie będą żądali, żeby ton gór był prawdziwy, ale powiedzą: Do diabła, góry są niebieskie, więc połóżcie błękit i nie mówcie mi, że góry są niebieskie tak lub inaczej, ale że są po prostu niebieskie, prawda? malujcie więc je niebiesko i koniec na tym!

Gauguin jest czasem genialny, kiedy to tłumaczy, ale Gauguin zbyt nieśmiało okazuje swój geniusz, a przecież, jak często powiada, bardzo to pożyteczne dla młodych. Jaki to dziwny człowiek mimo wszystko.

Myślę często o tym, co ci już kiedyś powiedziałem, że jeśli sam nie osiągnę sukcesu, wierzę, że to, nad czym pracowałem, będzie kontynuowane w przyszłości. Nie bezpośrednio, ale nie jestem sam w mojej wierze w pewne prawdy. I cóż to znaczy, co zrobiło się samemu! Czuję, że z ludźmi jest jak ze zbożem, jeśli nie wzejdziesz jako ziarno, przemielony, staniesz się chlebem.

Różnica między, szczęściem i nieszczęściem! Jedno i drugie jest konieczne i pożyteczne, i śmierć także albo zniknięcie... to takie względne i życie również...

Ta wiara nie ulega zachwianiu nawet w obliczu choroby, która rozkłada czy niepokoi.

A zatem, jeśli napiszę ci po prostu, że chcę jechać do Paryża, będzie jasne, że mam do tego powód, który

wyłożyłem ci wyżej. Na razie nie ma pośpiechu i skoro cię już uprzedziłem, wystarczy mi ufności, żeby czekać na zimę i atak, który może wówczas przyjść. Ale jeśli znów miałaby nastąpić egzaltacja religijna, chcę wyjechać natychmiast nie podając przyczyn. Nie powinniśmy jednak wtrącać się do sióstr czy nawet krytykować ich.

Mają swoją wiarę i swój sposób czynienia dobra innym, często bardzo skuteczny.

Ale nie uprzedzam cię lekkomyślnie.

I nie po to, żeby mieć więcej swobody czy czegokolwiek innego.

Czekajmy więc ze spokojem, aż nadarzy się okazja, żeby się urządzić.

Dużo zyskałem na tym, że żołądek jest w porządku, myślę więc, że nie będę tak wrażliwy na zimno. A jeśli będzie zła pogoda, wiem, co można robić: chcę kopiować obrazy, które lubię.

Bez daty

Zobaczysz, że jestem cierpliwszy i że wytrwałość będzie rezultatem mojej choroby. Czuję się wolniejszy od wielu kłopotów.

Wrócił stary Peyron i rozmawiał ze mną; opowiadał mi, że się z tobą widział i że poinformujesz mnie w liście o szczegółach waszej rozmowy. W każdym razie uważa, że najmądrzej byłoby jeszcze tu poczekać. Oczywiście, jestem tego samego zdania.

Niemniej, jeśli atak wróci, chciałbym zmienić klimat i pojechać na Północ, nawet gdyby tam były gorsze warunki.

Czuję się obecnie całkiem normalny i zupełnie już nie pamiętam o złych dniach.

Jeśli będę pracował i odżywiał się regularnie, to może to potrwać dość długo; tak lub inaczej zrobię swoje.

Bez daty

P. Peyron był bardzo dobry, że chciał ze mną rozmawiać w ten sposób. Nie odważyłem się poprosić go o wyjazd do Arles, na co mam wielką ochotę, myśląc, że się nie zgodzi. Nie dlatego jednak, żebym podejrzewał, ze moją poprzednią podróż do Arles kojarzy z atakiem, który zaraz po niej nastąpił. W Arles jest kilka osób, które chciałem i chcę nadal zobaczyć.

Nie mając na Południu jak dobry Prévot kochanki, do której bym się przywiązał, mimo woli przywiązałem się do ludzi i rzeczy.

A może na wiosnę zostanę też tutaj, skoro zostaję prawdopodobnie na zimę? To będzie zależało przede wszystkim od zdrowia.

To, co mówisz o Auvers, wydaje mi się bardzo przyjemną perspektywą, i trzeba będzie się na to zgodzić wcześniej czy później, nie szukając zbyt daleko. Jeśli przyjadę na Północ i jeśli u tego doktora nie będzie miejsca, może znajdzie mi z rekomendacji Pissarra i twojej jakieś mieszkanie przy rodzinie czy po prostu w zajeździe. Najważniejszą rzeczą jest znać lekarza, żeby w razie ataku nie wpaść w ręce policji i żeby siłą nie zawlekli mnie do jakiegoś zakładu.

Zapewniam cię, że Północ zainteresuje mnie jak nowy kraj.

Ale na razie nic nas nie zmusza do pośpiechu.

Bez daty

Często wydaje mi się, że gdyby Gauguin tu został, nic by na tym nie stracił, widzę bowiem z jego listu, że nie. jest tam u nich najlepiej, i wiem, na czym to polega; mają za mało pieniędzy, żeby zapłacić modela, i żyć tak tanio, jak to sobie wyobrażał z początku, nie udało się na dłużej. Ale przy jego cierpliwości następny rok będzie może świetniejszy, wówczas jednak nie będzie miał przy sobie Bernarda, skoro Bernard odbywa służbę wojskową.

Ze zdrowiem jest dobrze; p. Peyron ma rację mówiąc, te nie jestem wariatem we właściwym sensie tego słowa, moja myśl jest bowiem całkowicie normalna i jasna w okresach pomiędzy atakami — bardziej nawet niż dawniej Ale podczas ataku jest strasznie, tracę świadomość wszystkiego. To jednak skłania mnie do pracy i powagi, jak górnika, którego niebezpieczeństwo zmusza do pośpiechu... Wieczorami nudzę się śmiertelnie, mój Boże, perspektywa zimy nie jest wesoła.

Bez daty

P. Peyron powtórzył mi raz jeszcze, że poprawa jest znaczna, że jest dobrej myśli i nie widzi nic niewłaściwego w mojej podróży do Arles.

Jednakże często ogarnia mnie melancholia i to z wielką siłą; im lepiej jest ze zdrowiem, im bardziej chłodno potrafię rozumować, tym większym szaleństwem, czymś przeciwnym rozsądkowi wydaje mi się uprawianie malarstwa, które kosztuje, a nic nie przynosi, nawet nie pokrywa wydatków. I czuję wielki smutek, zło bowiem polega na tym, że w moim wieku jest diablo trudno zacząć od nowa.

Bez daty

Ze zdrowiem jest bardzo dobrze, tylko ta melancholia, ale czuję się dobrze, znacznie lepiej niż w lecie, nawet lepiej niż wówczas, kiedy przyjechałem tutaj, lepiej nit w Paryżu.

Toteż moje idee malarskie stają się, jak mi się zdaje, pewniejsze. Nie wiem jednak, czy spodoba ci się to, co robię teraz. Mimo tego, co mówisz w swoim ostatnim liście — że poszukiwanie stylu obniża często inne wartości — skłaniam się do poszukiwania stylu, ale przez styl rozumiem rysunek bardziej męski i bardziej świadomy. Jeśli dzięki temu stanę się bardziej podobny do Bernarda i Gauguina, nic na to nie poradzę. Myślę jednak, że z czasem się do tego przyzwyczaisz.

Zdrowie to wielka rzecz i wiele od niego zależy, także w sensie pracy.

Na szczęście nie dręczą mnie już ohydne koszmary. Wybieram się do Arles w najbliższych dniach.

Bez daty

Gauguin napisał mi bardzo miły list; mówi z zapałem o Haanie i o ich trudnym życiu nad brzegiem morza.

Bernard także napisał; skarży się na mnóstwo rzeczy, ale przystaje na wszystko z właściwą mu dobrocią; nie jest jednak szczęśliwy, choć taki ma talent, tyle pracuje, tak jest umiarkowany. Zdaje się, że ten dom jest często piekłem dla niego.

List J. sprawił mi wielką przyjemność, załączam odpowiedź, którą przeczytasz; myśli nabierają ładu, ale, jak zobaczysz, nie wiem, czy mam dalej malować, czy porzucić malarstwo.

Jeśli będę malował nadal, zgadzam się z tobą, że lepiej jest szukać prostoty niż abstrakcji.

Nie jestem na przykład entuzjastą Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym Gauguina, którego rysunek od niego otrzymałem; dostałem też rysunek Bernarda, przyrzeka mi fotografię, ale obawiam się, że te kompozycje biblijne mnie nie zadowolą. W tych dniach widziałem kobiety zbierające oliwki — nic jednak nie zrobiłem, model jest dla mnie nieosiągalny. Jednakże nie mogę uważać kompozycji Gauguina za dobrą, Bernard zaś nie widział zapewne nigdy drzewa oliwkowego. Unika więc wszystkiego, co jest rzeczywiste, prawdopodobne, a to nie jest droga do syntezy; nie, z ich interpretacjami biblijnymi nie mam nic wspólnego.

Powiem ci teraz, że byłem w Arles i widziałem się z p. Salles, który dał mi resztę pieniędzy, jakie mu przekazałeś, i resztę z tego, co ja u niego zostawiłem — razem 72 franki. Jednakże w kasie p. Peyrona jest tylko ze dwadzieścia franków, ponieważ kupiłem w Arles farby, zapłaciłem za pokój, gdzie są meble itd. Zostałem tam przez dwa dni, nie wiedząc, co zrobię dalej; dobrze jest pokazać się tak od czasu do czasu, żeby nie powtórzyła się ta sama historia z ludźmi. Teraz nikt nie ma do mnie pretensji, przeciwnie, byli dla mnie bardzo mili i przyjęli mnie z entuzjazmem. Jeśli zostanę w Prowansji, potrafię się powoli zaaklimatyzować, co nie jest łatwe dla cudzoziemców i co przydaje się przy malowaniu. Ale zobaczymy wpierw, czy rezultatem tej podróży nie będzie nowy atak; mam nadzieję, że nie.

Gdybym wiedział wcześniej, że pociąg stąd do Paryża kosztuje tylko 25 franków, na pewno przyjechałbym. Dopiero jadąc do Arles zorientowałem się w cenach, a jeśli nie pojechałem do Paryża, to ze względu na koszty. Wydaje mi się jednak, że dobrze by było, gdybym przyjechał na wiosnę, żeby przynajmniej zobaczyć ludzi i rzeczy Północy. To życie tutaj jest strasznie otępiające, i jeśli tak potrwa dłużej, stracę energię. Nie śmiałem wierzyć, że będę się czuł tak dobrze, jak czuję się teraz.

Wszystko jednak zależy od tego, czy to ci odpowiada, a pośpiech nie wydaje mi się w każdym razie rozsądny. Może, jeśli poczekamy jeszcze trochę, nie będzie nam potrzebny lekarz z Auvers ani Pissarro.

Gdybym był nadal zdrów i gdybym pracując starał się sprzedawać, wystawiać, wymieniać obrazy, może mógłbym ci być mniejszym ciężarem i może zarazem nabrałbym większego zapału. Nie kryję bowiem przed tobą, że pobyt tu jest bardzo męczący przez swoją monotonię, zaś towarzystwo tych wszystkich nieszczęśników, którzy absolutnie nic nie robią, działa mi na nerwy.

Ale cóż, nie trzeba mieć pretensji w moim przypadku, i tak mam za dobrze, jeśli jest tak, jak jest.

Bez daty

Jaki ty jesteś dobry dla mnie i jak bym chciał zrobić coś dobrego, żeby ci dowieść, że nie jestem zupełnym niewdzięcznikiem... Pracowałem w tym miesiącu w gajach oliwkowych, doprowadzili mnie bowiem do wściekłości tym Chrystusem w Ogrójcu, gdzie nic nie jest zaobserwowane. Oczywiście, nie chodzi mi o to, żeby namalować temat biblijny; napisałem Bernardowi i Gauguinowi także, że naszym zadaniem jest oddanie myśli, nie zaś marzenia, i że zdumiewa mnie ich skłonność w tym kierunku. Bernard przysłał mi bowiem fotografie swoich obrazków: są to sny i koszmary senne.

Bez daty

Byłbym gotów zostać tu jeszcze na przyszły rok, myślę bowiem, że praca posuwa się nieco. I dzięki długiemu pobytowi czuję tę ziemię inaczej niż pierwszą lepszą okolicę; pomysły kiełkują we mnie i trzeba im pozwolić się rozwinąć.

W ten sposób mało odszedłem od mojej pierwotnej idei — żeby szukać w kraju Tartarina. Chciałbym bardzo namalować raz jeszcze cyprysy i Alpilles; robiąc częste i długie przechadzki we wszystkich kierunkach, zapamiętałem wiele motywów i znam piękne miejsca do malowania, na czas, kiedy przyjdzie piękna pogoda. Z punktu widzenia wydatków zmiana będzie kosztowna, a korzyść dla pracy wątpliwa. Dostałem znów list od Gauguina, list bardzo miły, w którym czuć bliskość morza; myślę, że on tam robi piękne rzeczy, zapewne trochę dzikie.

Mówisz mi, żebym się nie martwił zanadto, że lepsze dni jeszcze dla mnie przyjdą. Odpowiem na to, że te lepsze dni już się zaczęły, nawet myślę, że mogę skompletować trochę płócien, tak że dostaniesz serię studiów prowansalskich, nie najgorzej odczutych i nie pozbawionych związku z naszymi odległymi wspomnieniami młodości z Holandii. Dla przyjemności maluję jeszcze raz kobiety zbierające oliwki — dla matki i siostry. Gdybym mógł kiedyś dowieść, że nie zubożyłem mojej rodziny, przyniosłoby mi to ulgę.

Teraz bowiem czuję wielkie wyrzuty wydając pieniądze, które się nie zwracają. Ale, jak mówisz, jedyna szansa, , żeby było inaczej, to praca i cierpliwość.

Jednakże mówię sobie często, że gdybym zrobił jak ty, gdybym został u Goupilów i ograniczył się do sprzedawania obrazów, zrobiłbym lepiej. W handlu bowiem, jeśli człowiek sam nie maluje, skłania do tego innych, zwłaszcza teraz, gdy tylu artystom trzeba pomocy marszandów i tak rzadko ją znajdują.

Pieniądze, które miałem u p. Peyrona, wyczerpały się, a nawet p. Peyron dał mi przed kilku dniami 10 franków z góry; będę też potrzebował jeszcze jakichś 10 franków, zaś na Nowy Rok chciałbym dać coś służbie i dozorcy, co znów wypadnie około 10 franków.

Co do ubrań zimowych, nie mam ich wiele, jak sam rozumiesz, ale są dość ciepłe i z kupnem nowych rzeczy można by poczekać do wiosny. Wychodzą tylko po to, żeby malować, wkładam więc stare rzeczy, a tu mam aksamitną kurtkę i takie same spodnie. Jeśli będę tu jeszcze na wiosnę, pojadę namalować kilka obrazów do Arles i wtedy kupię trochę ubrania, to wystarczy.

Bez daty

Myślę często o tobie i Jo, ale z takim uczuciem, jakby stąd do Paryża było niezmiernie daleko i jakbym nie widział ciebie od lat. Mam nadzieję, że masz się dobrze, ja nie mogę się skarżyć, czuję się, że tak powiem, całkiem normalny, ale nie wyobrażam sobie przyszłości; doprawdy, nie wiem, jak będzie dalej, ale nie zgłębiam tej sprawy czując, że nic nie poradzę.

Bez daty

Przede wszystkim życzę tobie i Jo szczęśliwego Nowego Roku; żałuję, że wbrew mojej woli przysporzyłem ci może zmartwienia — p. Peyron pisał pewnie do ciebie, że znów miałem głowę bardzo zamąconą.

Nie widziałem się z p. Peyronem, nie wiem więc, czy ci coś pisał o moich obrazach. Był u mnie, kiedy chorowałem, powiedział, że dostał list od ciebie, i pytał mnie, czy chcę wystawiać, czy nie. Odparłem, że wolałbym jeszcze nie wystawiać. Co nie miało sensu i spodziewam się, że obrazy zostały wysłane. Żałuję, że nie widziałem się dziś z p. Peyronem, żeby dowiedzieć się, co ci napisał. W końcu nie jest to ważne; skoro mówisz, że jest czas do 3 stycznia, dostaniesz ten list w samą porę.

Jakie to nieszczęście dla Gauguina, że dziecko wypadło z okna, a jego nie było! Myślę często o nim; ile nieszczęść na niego spada mimo jego aktywności i tylu niezwykłych zalet.

To doskonale, że siostra Jo przyjedzie na czas porodu.

Oby wszystko poszło dobrze — myślę tyle o was, wierzaj mi.

To, co mówisz o mojej pracy, jest mi oczywiście przyjemne, ale wciąż myślę o tym przeklętym zawodzie, w którym człowiek jest jak w sieci i dzięki któremu staje się mniej praktyczny niż inni. Ale nie trzeba się tyra gryźć i trzeba robić to, co się da robić.

To zabawne, że pracowałem z doskonałym spokojem nad płótnami, które zobaczysz wkrótce, i że nagle, bez żadnego powodu, przyszedł znów atak.

Nie wiem, co poradzi mi p. Peyron, ale licząc się z tym, co mi powie, nie sądzę, by pozwolił mi żyć jak przedtem. Można się obawiać, że te ataki powrócą. To jednak nie powód, żeby się trochę nie rozerwać.

To skupisko wariatów w starym klasztorze staje się niebezpieczne i człowiek ryzykuje, że straci tę odrobinę zdrowego rozsądku, jaka mu pozostała. Nie chodzi o to, że upieram się przy tym czy przy tamtym, przyzwyczaiłem się do tutejszego życia, ale trzeba spróbować inaczej.

Jakkolwiek będzie, widzisz, że piszę do ciebie ze względnym spokojem.

Przede wszystkim nie mogę tracić czasu, zacznę pracować, ledwie p. Peyron mi pozwoli, a jeśli mi nie pozwoli — nie zostaję tutaj. Tylko praca daje mi względną równowagę i mam mnóstwo pomysłów do nowych obrazów.

Kiedy byłem chory, spadł wilgotny i topniejący śnieg, wstałem w nocy, żeby spojrzeć na pejzaż. Nigdy, nigdy natura nie wydała mi się tak wzruszająca i czuła.

Poglądy nieco zabobonne, jakie żywi się tu na temat malarstwa, przyprawiają o melancholię większą, niż potrafiłbym ci powiedzieć; jest w tym trochę prawdy, że malarz zbyt pochłonięty jest tym, co widzą jego oczy, i nie panuje dostatecznie nad innymi dziedzinami życia.

Gdybyś zobaczył list, który Gauguin napisał do mnie ostatnio, byłbyś wzruszony jego prawością; jakie to smutne, że człowiek tak silny jest niemal unieruchomiony. I Pissarro także, i Guillaumin. Okropne, okropne.

W tych dniach będziesz się bardzo niepokoił o Jo, to trudny okres, ale bez tego życie nie byłoby życiem i te sprawy czynią człowieka poważnym. To dobrze, że Wil przyjedzie do ciebie.

Nie martw się mną zanadto, bronię się ze spokojem przed chorobą i myślę, że wkrótce zabiorę się znowu do pracy.

To będzie dla mnie jeszcze jedna lekcja, że powinienem pracować bez żadnych ubocznych myśli, które niepokoją sumienie.

Nie trzeba gardzić obrazem, książką; jeśli moim zadaniem jest malować, nie powinienem pragnąć czego innego.

Bez daty

Wczoraj zostałem mile zaskoczony wizytą p. Salles, który prawdopodobnie dostał list od ciebie. Czułem się zupełnie dobrze, kiedy przyszedł, i mogliśmy rozmawiać spokojnie. Ale przykro mi, że fatygował się dla mnie, tym bardziej że wróciła mi na pewien czas — mam nadzieję — przytomność umysłu.

Na razie trzeba chyba zostać tutaj, zobaczę, co powie p. Peyron, gdy będę miał okazję z nim rozmawiać; powie

prawdopodobnie, że nie może nic gwarantować z góry, co wydaje mi się dość słuszne.

Styczeń 1890

Nigdy nie pracowałem z większym spokojem aniżeli wówczas, kiedy malowałem moje ostatnie płótna — otrzymasz kilka z nich wraz z całkiem nowym. Chwilowo ogarnęło mnie wielkie zniechęcenie.

Ale skoro już jest tydzień po ataku, po cóż mam sobie mówić, że atak może wrócić? Przede wszystkim niepodobna wiedzieć ani przewidzieć, jak będzie wyglądał.

Pracujmy więc nadal, o ile to tylko możliwe, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Wkrótce, kiedy zrobi się cieplej, będę mógł wyjść i wówczas postaram się skończyć rozpoczęte tu prace.

To prawda, że w ubiegłym roku ataki przychodziły w różnych okresach — ale prawdą jest również, że wracałem do normalnego stanu pracując. Tak pewnie też będzie teraz. Zachowuj się więc tak, jakby nic się nie stało, ponieważ nic absolutnie nie możemy na to poradzić.

Znacznie byłoby gorzej, gdybym doszedł do stanu moich towarzyszy nieszczęścia, którzy nie robią nic całymi dniami, tygodniami, miesiącami, latami, jak to ci mówiłem wiele razy i co powtórzyłem też p. Salles, prosząc go, żeby nigdy nie zalecał tego zakładu.

Tylko praca pozwala mi zachować trochę przytomności umysłu i obiecuje mi, że mogę kiedyś wyjść z tego.

Teraz mam już gotowe obrazy w głowie, widzę miejsca, które chcę malować w najbliższych miesiącach — dlaczego więc miałbym zmienić środki wyrazu?

Gdybym miał tu wrócić, trzeba będzie zobaczyć, co da się zrobić z płótnami; będę miał trochę swoich, trochę

innych, i może spróbuję je sprzedać.

Nic nie wiem z góry, ale nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałbym tu jeszcze malować — obrazy przydadzą mi się, kiedy stąd wyjadę. Raz jeszcze: nie mogę nic przewidzieć, nie widzę wyjścia, ale widzę, że pobyt tu nie może przedłużać się w nieskończoność. Żeby jednak niczego nie przyśpieszać, nic nie załatwiać gwałtownie, będę pracował nadal, jak długo tu jestem.

Namalowałem teraz niewielki portret jednego ze służących, który chce go posłać swojej matce — mówię ci o tym po to, żebyś wiedział, że zabrałem się znów do pracy; gdyby p. Peyron był temu przeciwny, nie pozwoliłby mi malować. Powiedział mi: „miejmy nadzieję, że to się nie powtórzy" — a więc dokładnie to samo, co zawsze; rozmawiał ze mną z wielką dobrocią, jego te sprawy nie zaskakują, skoro jednak nie ma żadnego leku, uważa, że tylko czas i okoliczności mogą mieć dobry wpływ.

Chciałbym pojechać jeszcze raz do Arles, nie od razu, ale na przykład z końcem lutego, po pierwsze, żeby zobaczyć przyjaciół, co zawsze mnie ożywia, po drugie zaś, żeby sprawdzić, czy mogę zaryzykować podróż do Paryża.

Atak tym razem nie trwał tak długo jak w ubiegłym roku, możemy się więc spodziewać, że z czasem wszystko minie.

Bez daty

Teraz powiem ci, co powinniśmy zrobić na przyszłość, żeby zmniejszyć koszty. W Montevergues jest zakład, w którym jeden z tutejszych pracowników był strażnikiem. Opowiadał mi, że płaci się tam tylko 22 su dziennie i że chorym daje się tam nawet ubranie. Poza tym chorzy uprawiają ziemie należące do zakładu, jest tam także kuźnia, stolarnia itd. Jeśli będę trochę znany, pozwolą mi chyba malować; będę mniejszym ciężarem, to jedno, i będę

miał zajęcie, to drugie. Przy dobrej woli człowiek nie czułby się tam nieszczęśliwy i nie miałby znów tak bardzo powodu, żeby się skarżyć. Ale nawet gdyby nie myśleć o Montevergues i wrócić do Holandii — czy nie ma u nas zakładów tego rodzaju, gdzie można by pracować, gdzie nie jest drogo i gdzie można by się ulokować? Nie wiem, czy w Montevergues ceny nie są wyższe dla cudzoziemców, zwłaszcza zaś, czy nie ma trudności z przyjęciem, których należałoby uniknąć.

Muszę ci powiedzieć, że podnosi mnie na duchu myśl o tym prostszym załatwieniu sprawy w razie potrzeby. Teraz jest zbyt drogo, zaś wyjazd do Paryża, a potem na wieś, łączy się z kosztami — nie ma bowiem innego sposobu pokrycia kosztów jak malowanie, a malowanie wypada drogo.

Widziałem się znowu dziś rano z p. Peyronem, oświadczył, że pozostawia mi zupełną swobodę, że powinienem się trochę rozerwać, że trzeba walczyć z melancholią, co robię chętnie. Trzeba więc się zastanowić, jest to nawet obowiązkiem. W zakładzie, gdzie chorzy pracują na polach, znajdę mnóstwo tematów do obrazów i rysunków i nie będę ani trochę nieszczęśliwy. Trzeba to rozważyć, kiedy jest jeszcze czas do namysłu.

Jeśli przyjadę do Paryża, z początku będę tylko rysował odlewy greckie, ponieważ muszę się jeszcze wciąż uczyć.

Na razie czuję się bardzo dobrze i mam nadzieję, że to potrwa.

I spodziewam się, że to się nie zmieni, kiedy wrócę na Północ.

Nie trzeba tylko zapominać, że pęknięty dzban jest pękniętym dzbanem, w żadnym więc razie nie mogę mieć pretensji. Powiadam sobie, że u nas w Holandii szanuje się zawsze malarstwo i że nie robiono by mi trudności z malowaniem w tamtejszym zakładzie. Poza tym dobrze by

było prócz malarstwa mieć jeszcze jakieś zajęcie, ca zarazem obniżyłoby koszta. Czy pie lubiliśmy zawsze wsi i pracy na wsi? Czy nie jesteśmy obaj trochę obojętni, jeśli chodzi o życie w wielkich miastach?

Muszę ci powiedzieć, że chwilami czuję się zbyt dobrze, żeby pozwolić sobie na lenistwo, i obawiam się, że w Paryżu nie zrobię nic dobrego. Mogę i chcę zarabiać pieniądze malarstwem i trzeba tak zrobić, żeby moje wydatki nie przekraczały wartości obrazów, a nawet żeby wydane pieniądze mogły się zwrócić.

Wierzaj mi, że chciałbym żyć jak dawniej, nie kłopocząc się stale o zdrowie. Zrobimy raz (ale prawdopodobnie tylko raz) próbę na wiosnę, jeśli to zupełnie mi minie.

Wziąłem dziś 10 franków, które miałem u p. Peyrona. Kiedy pojadę do Arles, będę musiał zapłacić komorne za trzy miesiące (pokój, w którym są moje meble) — pojadę w lutym. Te meble przydadzą się, jeśli nie mnie, to innemu malarzowi, który chciałbym osiedlić się na wsi. Czy nie byłoby rozsądnie wysłać je raczej Gauguinowi, który zapewne spędzi jeszcze jakiś czas w Bretanii, niż tobie, który nie znajdziesz dla nich miejsca? Trzeba także i o tym pomyśleć zawczasu.

Myślę, że odstępując komuś dwie ciężkie, bardzo stare komody, mógłbym pokryć koszta komornego i opakowania. Te komody kosztowały 30 franków. Napiszę do Gauguina i do Haana, żeby zapytać, czy zostają w Bretanii, czy chcą, żebym im posłał te meble i żebym przyjechał do nich. Nic definitywnego, powiem tylko, że prawdopodobnie tu nie zostanę.

1 lutego 1890

Dostałem dziś dobrą wiadomość od ciebie, że moment krytyczny minął już dla Jo i że dziecko ma się dobrze. Jest to

dla mnie radość tak wielka, że nie potrafią jej wyrazić słowami. Brawo — i jak szczęśliwa będzie matka. Od niej także dostałem przedwczoraj długi i pogodny list. Oto więc wreszcie stało się to, czego od dawna tak pragnąłem. Nie muszę ci mówić, że w ostatnich dniach często o was myślałem i bardzo mnie wzruszyło, że dobra Jo w dzień przedtem napisała do mnie. Jaka ona jest dzielna i spokojna w niebezpieczeństwie. To bardzo mi pomogło zapomnieć o tych ostatnich dniach, kiedy byłem chory i kiedy mam tak zamąconą głowę, że nie wiem, co się ze mną dzieje.

Gauguin proponuje, żeby założyć pracownię — on, Haan i ja — ale propozycja jest bardzo nieokreślona i Gauguin dodaje jeszcze, że przede wszystkim chce pojechać do Tonkinu; nie wiem, z jakiego powodu wydaje się bardzo zniechęcony do malarstwa. Gauguin jest w istocie człowiekiem tego rodzaju, że mógłby pojechać do Tonkinu, trzeba mu rozmachu i nie bez racji uważa życie artysty za coś małodusznego. Ma doświadczenie z licznych podróży — cóż mu więc powiedzieć?

Wie jednak, mam nadzieję, że jesteśmy jego przyjaciółmi, nie licząc zbytnio na nas, czego zresztą nie czyni. Pisze z wielką rezerwą, poważniej niż w ubiegłym roku. Napisałem znowu do Russella, żeby przypomnieć mu Gauguina, wiem bowiem, że Russell jest człowiekiem poważnym i mocnym — w gruncie rzeczy obaj, Gauguin i Russell, mają naturę wieśniaków; nie są dzicy, ale jest w nich łagodność rozległych pól — bardziej niż w nas samych.

Trzeba pewnej inspiracji, promienia z góry, żeby malować piękne rzeczy, a to nie jest naszym udziałem. Kiedy malowałem słoneczniki, szukałem czegoś zupełnie przeciwnego, a przy tym równoważnego i mówiłem: to jest cyprys. Ale dość o tym. Niepokoję się o przyjaciółkę, która jest chora i którą chciałbym zobaczyć; malowałem jej żółto-czarny portret — ona się tak zmieniła. Jest to kryzys nerwowy, przedwczesne komplikacje związane z wiekiem;

bardzo to przykre. Kiedy ją ostatnim razem widziałem, była podobna do starego dziadka, przyrzekłem, że przyjadą za dwa tygodnie, ale sam byłem chory. Dobra nowina od ciebie i ten artykuł, o którym piszesz, wiele innych rzeczy poza tym — wszystko to razem sprawia, że czuję się dziś zupełnie dobrze. Żałuję, że p. Salles nie , widział się z tobą. Raz jeszcze dziękuję Wil za dobry list, chciałem odpowiedzieć jej dzisiaj, ale odkładam to na kilka dni; powiedz jej, że matka napisała mi znów długi list z Amsterdamu. Jak ta nasza matka będzie szczęśliwa!

Jestem myślą z wami kończąc ten list. Oby Jo długo była dla nas tym, czym jest. Co do małego: dlaczego nie nazwiecie go Theo przez pamięć dla naszego ojca, to by mi zrobiło wielką przyjemność.

12 lutego 1890

Tak więc Gauguin wrócił do Paryża. Przepiszę moją odpowiedź panu Aurier, żeby mu ją posłać, a ty daj mu do przeczytania artykuł w Mercure, uważam bowiem, że powinno się mówić takie rzeczy o Gauguinie, o mnie zaś dopiero na drugim miejscu. Gauguin pisał mi, że miał wystawę w Danii, która przyniosła mu sukces. Żałuję, że nie pozostał tu trochę dłużej. Razem pracowalibyśmy lepiej, niż pracowałem sam w ostatnim roku. I mielibyśmy mały domek, w którym moglibyśmy mieszkać i pracować, a także dać mieszkanie innym.

Starać się być prawdziwym to może sposób, żeby zwalczyć chorobę, która mnie nadal niepokoi. Jednakże ostatnio ze zdrowiem jest dobrze i myślę, że gdybym mógł spędzić jakiś czas z tobą, zrobiłoby mi to bardzo dobrze równoważąc wpływ ludzi, z którymi jestem tutaj. Ale nie ma z tym pośpiechu i trzeba się spokojnie zastanowić, czy chwila jest odpowiednia na wydatek związany z podróżą;

może rezygnując z tej podróży można by pomóc Gauguinowi czy Lauzetowi.

Kupiłem sobie garnitur za 35 franków, mam je zapłacić w marcu, pod koniec miesiąca; ten garnitur wystarczy mi na rok, bo przyjeżdżając tu kupiłem też garnitur za jakieś 35 franków i służył mi przez cały czas. Ale będę sobie musiał jeszcze sprawić parę butów i kilka par kalesonów — również w marcu.

Wszystko dobrze zważywszy, życie nie jest tu bardzo drogie, myślę, że na Północy wydaje się więcej.

I dlatego — nawet jeśli przyjadę na jakiś czas do ciebie — najlepiej byłoby, żebym kontynuował tu pracę.

Nie wiem — i wszystko mi jedno — ale nie trzeba się spieszyć ze zmianą.

Czy nie myślisz, że w Antwerpii — gdyby zrealizować plan Gauguina — trzeba żyć na pewnym poziomie, umeblować pracownię, wreszcie zachowywać się tak jak większość osiadłych tam malarzy holenderskich? To nie jest takie proste, jak się zdaje, obawiałbym się dla niego i dla siebie niechęci tych artystów — mogłoby być tak jak w swoim czasie z Gauguinem w Danii.

Trzeba sobie powiedzieć, że malarze osiadli zawsze w ten sam sposób potrafią dokuczać, a nawet zmusić do odwrotu awanturników, którymi bylibyśmy w Antwerpii. A na marszandów tamtejszych wcale nie można liczyć.

Akademia jest tam lepsza i pracuje się w niej lepiej niż w Paryżu.

Gauguin jest teraz w Paryżu, ma tam dobrą reputację i gdyby pojechał do Antwerpii, mógłby się przekonać, że trudno jest w r ó c i ć do Paryża.

Jadąc do Antwerpii miałbym więcej obaw o Gauguina niż o siebie; gdyż ja, rzecz prosta, dam sobie radę z flamandzkim i powrócę do studiów chłopów, które kiedyś

rozpocząłem i porzuciłem ku swojemu żalowi. Kocham Campine, nie muszę ci o tym mówić. Ale dla niego walka byłaby bardzo ciężka. Myślę, że powiesz mu, jak rzecz wygląda — wszystkie za i przeciw — tak jak ja bym mu powiedział, ja zaś napiszę do niego w tych dniach, przede wszystkim, żeby mu posłać odpowiedź na artykuł p. Aurier. Sądzę, że gdyby chciał, moglibyśmy jeszcze pracować tu razem, jeśli jego inne poszukiwania nie dadzą rezultatu. Ale Gauguin jest zręczny i może da sobie radę w Paryżu; i robi dobrze umacniając swoją reputację, ponieważ pierwszy malował w krajach egzotycznych. Powiedz mu wiele miłych rzeczy w moim imieniu i jeśli chce, niech weźmie replikę słoneczników i Piastunki w zamian za jakiś swój obraz, który ci sprawi przyjemność.

Połowa kwietnia 1890

Dziś chciałem przeczytać listy, które przyszły do mnie, ale mój umysł nie jest jeszcze dość jasny, żebym mógł je zrozumieć.

Mimo to próbuję ci odpowiedzieć; mam nadzieję, że to minie za kilka dni. Przede wszystkim spodziewam się, że masz się dobrze, tak samo jak twoja żona i dziecko. Nie kłopocz się o mnie, nawet jeśliby to miało potrwać dłużej, napisz to samo do domu, i przekaż im serdeczności ode mnie.

Pozdrowienia dla Gauguina, który napisał do mnie list — bardzo mu za to dziękuję; nudzę się okropnie, ale trzeba cierpliwości.

...Powracam do tego listu i próbuję pisać, to przyjdzie z wolna; głowa mnie nie boli, ale jest całkiem zamącona, otępiała. Muszę ci powiedzieć, że inni, tak samo chorzy jak ja, po pewnym okresie pracy, jaki mieli w życiu, nic już nie mogą. W czterech ścianach z trudem można się nauczyć

czegoś dobrego, niemniej jednak nie sposób pewnych osób wypuścić na wolność jak gdyby nic im nie było. Straciłem więc prawie albo całkiem nadzieję. Może, może wyzdrowieję na wsi na jakiś czas.

Praca szła dobrze, ostatnie płótno — kwitnące gałęzie, które zobaczysz — może malowałem najbardziej cierpliwie i najlepiej, z większym spokojem i pewnością ręki. A nazajutrz powaliło mnie to jak zwierzę. Trudno te rzeczy zrozumieć, ale niestety tak jest. Pragnę jednak wrócić do pracy, choć Gauguin, taki silny, pisze także, że trudno mu ciągnąć dalej. I czy nie tak wygląda historia artystów? Mój biedny bracie, traktuj więc wszystko w sposób naturalny, nie zamartwiaj się mną, będzie dla mnie zachętą i pomocą większą, niż myślisz, jeśli będę wiedział, że u ciebie wszystko dobrze. Po czasie próby może dla mnie nadejdą również pogodne dni.

29 kwietnia 1890

Do tej pory nie mogłem pisać, ale teraz czuję się trochę lepiej i nie chciałem ociągać się ze złożeniem ci życzeń, skoro to twoje urodziny; życzę wszystkiego dobrego również twojej żonie i dziecku. Jednocześnie proszę cię, żebyś przyjął rozmaite obrazy, które ci posyłam wraz z podziękowaniami za wszystko dobre, co zrobiłeś dla mnie, bez ciebie bowiem byłbym bardzo nieszczęśliwy.

Cóż ci powiedzieć o tych dwóch ostatnich miesiącach, wcale to nie wygląda dobrze, jestem smutny i ogłupiały bardziej, niż potrafiłbym to wyrazić, i nie wiem, co się ze mną dzieje.

W chorobie namalowałem kilka małych płócien z pamięci, które zobaczysz później, wspomnienia z Północy; teraz kończę fragment słonecznej łąki, który zdaje mi się dość żywy. Zobaczysz to wkrótce.

P. Peyrona nie było, więc nie czytałem jeszcze listów, ale wiem, że przyszły. Był tak uprzejmy, że poinformował cię o sytuacji; ja nie wiem, co robić i co myśleć, ale mam wielką ochotę opuścić ten dom. To cię nie zdziwi i nie muszę się nad tym rozwodzić.

Przyszły też listy z domu, których nie mam odwagi przeczytać, taka ogarnęła mnie melancholia.

Poproś p. Aurier, żeby nie pisał więcej artykułów o moim malarstwie, powiedz mu, że przede wszystkim myli się co do mnie, po drugie zaś, że zbyt czuję się przybity i zrozpaczony, żebym mógł znieść reklamę. Malowanie obrazów jest dla mnie rozrywką, ale kiedy się o nich mówi, bardziej mi przykro, niż p. Aurier może przypuszczać. Jak się miewa Bernard? Ponieważ masz moje niektóre obrazy w dwóch wersjach, możesz mu dać na wymianę, dobre płótno Bernarda nada się do twojej kolekcji...

Tak, trzeba stąd wyjechać, ale dokąd? Nie sądzę, żeby w domach, gdzie trzymają w zamknięciu — w Charenton czy w Montevergues — można się było czuć bardziej więźniem niż tutaj.

Maj 1890

Dziś wrócił p. Peyron, przeczytałem twoje dobre listy i listy z domu, co bardzo pomaga mi odzyskać trochę energii czy raczej poczuć pragnienie, by przezwyciężyć stan przygnębienia, w jakim się znajduję.

Proponujesz mi, żebym wrócił na Północ, i ja zgadzam się na to.

Zbyt ciężkie miałem życie, żeby z tego zdechnąć albo żeby stracić zdolność do pracy.

Załączam list Gauguina, zrób, co chcesz, jeśli idzie o zamianę, weź to, co się tobie podoba, jestem pewien, że

nasze gusty upodobniają się coraz bardziej. Ach, gdybym mógł pracować, gdyby mi nie przeszkadzała ta przeklęta choroba, jakie rzeczy zrobiłbym — sam, daleko od innych, słuchając tylko tego, co mi ta ziemia mówi. Ale ta podróż jest skończona. Pociesza mnie myśl, że zobaczę ciebie, twoją żonę i twoje dziecko, tylu przyjaciół, którzy pamiętali o mnie w nieszczęściu — ja zresztą także nie przestaję myśleć o nich.

Jestem niemal przekonany, że na Północy wyzdrowieję szybko, przynajmniej na jakiś czas, wiedząc, że to się powtórzy za kilka lat, ale nie od razu. Tak to sobie wyobrażam na podstawie obserwacji innych chorych, którzy częściowo są znacznie starsi ode mnie, młodzi zaś byli próżnującymi studentami. Ale co możemy wiedzieć?

Na szczęście listy od siostry i matki były bardzo spokojne. Siostra pisze bardzo interesująco: opisuje pejzaż czy wygląd miasta tak jakby to była stronica ze współczesnej powieści. Zawsze zachęcam ją, żeby raczej zajmowała się gospodarstwem domowym niż sprawami artystycznymi, wiem bowiem, że jest nazbyt wrażliwa i trudno jej byłoby, w jej wieku, znaleźć drogę rozwoju artystycznego.

Obawiam się, żeby nie cierpiała z powodu pragnień artystycznych natrafiających na przeszkody, ale -jest dość energiczna, żeby dać sobie radę. Rozmawiałem z p. Peyronem o mojej sytuacji, powiedziałem mu, że nie mogę tu dłużej wytrzymać, a ponieważ nie wiem dokładnie, co mam robić, wolałbym wrócić na Północ.

Jeśli uznasz to za właściwe i jeśli podasz mi datę, kiedy będziesz mnie oczekiwał w Paryżu, poproszę, żeby mi towarzyszono przez część drogi, do Taraskonu albo do Lyonu. Potem poczekasz na mnie, albo ja na ciebie, na dworcu w Paryżu.

Zrób tak, jak ci się wyda najlepiej. Na razie zostawię meble w Arles. Znajdują się u przyjaciół i jestem pewien, że prześlą mi je, kiedy zechcę, tyle tylko, że porto i opakowanie będą kosztowały niemal tyle, ile one są warte. Uważam to za katastrofę; więc nie można wyjechać tak, jak się chce, czy tak, jak by należało. Kiedy wyszedłem raz do parku, wróciła mi cała zdolność do pracy; mam więcej pomysłów w głowie, niż kiedykolwiek mógłbym zrealizować, ale to mnie nie rozdrażnia. Maluję jak maszyna. Dlatego śmiem wierzyć, że na Północy wróci mi pewność siebie — kiedy raz już uwolnię się od otoczenia i okoliczności, których nie rozumiem i nie pragnę rozumieć.

P. Peyron był tak uprzejmy, że napisał do ciebie, napisze raz jeszcze dzisiaj; żałuję, że muszę się z nim rozstać.

Maj 1890

Moja odpowiedź będzie prosta i możliwie najbardziej praktyczna. Przede wszystkimi nie zgadzam się absolutnie na to, co mówisz, mianowicie, że ktoś powinien mi towarzyszyć przez całą podróż. Kiedy już raz znajdę się w pociągu, nic nie ryzykuję, nie należę do niebezpiecznych; załóżmy nawet, że nastąpi atak — czy w wagonie nie ma innych pasażerów i czy na każdej stacji nie wiedzą, co robić w takim wypadku?

Twój niepokój tak bardzo mi ciąży, że może mnie doprowadzić do zupełnego zniechęcenia.

Powiedziałem to samo p. Peyronowi i zwróciłem mu uwagę, że po atakach zawsze są trzy albo cztery miesiące zupełnego spokoju, a właśnie jestem po ataku. Pragnę skorzystać z tego czasu, żeby zmienić miejsce pobytu; chcę to zrobić w każdym wypadku, moje pragnienie, żeby stąd wyjechać, jest absolutne.

Nie czuję się powołany do oceniania sposobu traktowania chorych w tym zakładzie, nie mam ochoty

wgłębiać się w szczegóły, ale przypomnij sobie, że uprzedziłem cię mniej więcej przed pół rokiem: jeśli nastąpi nowy podobny atak, chcę zmienić dom. I zbyt się z tym ociągałem, bo miałem już tymczasem jeden atak, ale wówczas bardzo pracowałem, chciałem skończyć płótna, które miałem w robocie — gdyby nie to, nie byłoby mnie już tutaj. Powiem ci więc, że najwyżej dwa tygodnie — a nawet tydzień, co bym wolał — wystarczą, żeby uregulować wszystkie sprawy przed wyjazdem. Ktoś będzie mi towarzyszył do Taraskonu, albo jedną czy dwie stacje dalej, jeśli ci na tym zależy; w Paryżu przyjdziesz po mnie na Gare de Lyon — wyjeżdżając stąd, wyślę ci telegram.

Najlepiej byłoby, żebyśmy jak najprędzej zobaczyli się z tym lekarzem na wsi, zostawiając bagaże na dworcu. Zostanę więc u ciebie dwa albo trzy dni, potem wyjadę na wieś, gdzie z początku zamieszkam w jakimś zajeździe.

Możesz już w tych dniach napisać do tego lekarza, naszego przyszłego przyjaciela: „Mój brat, który bardzo pragnie pana poznać i który wolałby się pana poradzić, zanim zostanie na dłużej w Paryżu, spodziewa się, ze uzna pan za wskazany jego kilkutygodniowy pobyt na wsi, gdzie pan przebywa i gdzie on chciałby malować; jest pewien, że dojdzie z panem do porozumienia, i ma nadzieję, że powrót na Północ wpłynie dodatnio na stan jego zdrowia, gdy dalszy pobyt na Południu groziłby zaostrzeniem choroby".

Napiszesz więc do niego w ten sposób, po czym wyślemy do niego depeszę w dzień albo w dwa dni po moim przyjeździe do Paryża; prawdopodobnie będzie mnie oczekiwał na dworcu.

Otoczenie ciąży mi tu bardziej, niż potrafiłbym ci to powiedzieć — doprawdy, czekam już więcej niż rok — trzeba mi powietrza, czuję się rozbity, zniszczony nudą i smutkiem.

Praca nie może czekać, traciłbym tylko czas tutaj. Dlaczego więc — pytam — tak bardzo obawiasz się jakichś

wypadków, nie to powinno cię niepokoić, doprawdy, odkąd jestem tutaj, widzę ataki i obłęd co dzień; ważniejsze jest znaleźć wyjście z nieszczęścia.

Zapewniam cię, że to już jest nie byle co: zgodzić się żyć pod dozorem, nawet jeśli jest to dozór sympatyczny, zrezygnować z wolności, znajdować się poza społeczeństwem i mieć tylko pracę — bez żadnej rozrywki.

To wszystko wyżłobiło mi zmarszczki na twarzy, które nie znikną szybko. Teraz już nazbyt mi to ciąży i myślę, że czas, by powiedzieć: dość.

Zechciej więc napisać do p. Peyrona, żeby mi pozwolił wyjechać, najpóźniej 15-go. Jeśli będę dłużej czekał, mogę stracić dobry moment między dwoma atakami; wyjeżdżając zaś teraz, będę miał czas, by zawrzeć znajomość z tamtym lekarzem. Jeśli za jakiś czas zło powróci, będziemy na to przygotowani i zobaczymy — zależnie od stopnia nasilenia choroby — czy mogę pozostać na wolności, czy też mam zamknąć się w jakimś zakładzie na dobre. W tym ostatnim przypadku — jak to ci już powiedziałem w ostatnich listach — pójdę do domu, gdzie chorzy pracują na polach i w warsztatach. Myślę, że znajdę tam jeszcze więcej tematów do malowania niż tutaj.

Pomyśl więc, ze podróż kosztuje drogo, że jest to niepotrzebne i że mam prawo zmienić zakład, jeśli mi się podoba, nie żądam przecież całkowitej wolności.

Starałem się być cierpliwy, jak dotąd nie wyrządziłem krzywdy nikomu, dlaczego więc mają mnie eskortować jak niebezpieczne zwierzę? Dziękuję — nie zgadzam się. Jeśli nastąpi atak, na każdym dworcu będą wiedzieć, co robić, i wówczas niech zrobią ze mną, co zechcą.

Ale śmiem wierzyć, że nie opuści mnie równowaga. Mam dość zmartwienia wyjeżdżając w ten sposób i myślę, że zmartwienie okaże się silniejsze od szaleństwa; nie stracę więc koniecznej równowagi. P. Peyron mówi niejasne

rzeczy, żeby uwolnić się od odpowiedzialności, ale w ten sposób nie skończymy z tym nigdy, nigdy, wszystko będzie się wlec w nieskończoność i w końcu obie strony będą rozgniewane.

Moja cierpliwość jest u kresu, u kresu, mój drogi bracie, dłużej już nie mogę, muszę wyjechać, nawet gdyby nowe miejsce miało być gorsze.

Jednakże widzę w tej zmianie realną szansę poprawy: praca idzie dobrze, namalowałem dwa płótna — świeża trawa w parku — jedno z nich jest największej prostoty; posyłam ci w pośpiechu zrobiony rysunek tego płótna.

Różowy pień sosny, trawa z białymi kwiatami i dmuchawcami, mały krzak róży i inne pnie drzew w tle, w górnej partii płótna. Tam będę w plenerze; jestem pewien, że praca pochłonie mnie całkowicie, tak że stanę się niewrażliwy na wszystko inne i odzyskam dobry humor.

Pozwolę się zagarnąć malarstwu, nie bez zastanowienia, ale nie dopuszczając do siebie żalów za tym, co mogłoby być.

Powiadają, że w malarstwie nie trzeba niczego szukać, żadnych nadziei, że dobry obraz, dobra rozmowa i dobry obiad są szczytem szczęścia, nie mówiąc o sprawach ubocznych i mniej świetnych. Może to i prawda, dlaczego nie zgodzić się na to, co możliwe, tym bardziej że w ten sposób można oszukać chorobę.

Maj 1890

Piszę do ciebie raz jeszcze, abyś wiedział, że ze zdrowiem jest nadal dobrze; niemniej czuję się trochę zmęczony ostatnim długim atakiem i sądzę, że projektowana zmiana odświeży mi umysł.

Najlepiej będzie, jeśli sam zobaczę się z tym lekarzem na wsi, i to możliwie najszybciej; wówczas będzie można

postanowić, czy mam zamieszkać u niego, czy tymczasem w zajeździe, i zarazem uniknąć zbyt długiego pobytu w Paryżu, czego . się obawiałbym.

Pamiętasz, przed pół rokiem, po ataku, powiedziałem ci, że jeśli to się powtórzy, będę żądał wyjazdu. Właśnie do tego doszło; choć nie uważam, żebym mógł wydawać sąd o ich metodach leczenia, jestem przekonany, że resztki mojego rozsądku i zdolności do pracy są absolutnie zagrożone — potrafię jednak dowieść temu lekarzowi, o którym mówisz, że umiem pracować logicznie, a ponieważ on lubi malarstwo, zrodzić się z tego może solidna przyjaźń.

Nie sądzę, żeby p. Peyron sprzeciwił się szybkiemu wyjazdowi; tłumaczę sobie zresztą, że przyjemność, jaką sprawi mi kilka dni spędzonych z tobą, przyczyni się do poprawy zdrowia.

Od tej chwili możemy liczyć na okres względnego zdrowia. Nie zwlekaj więc i zrób wszystko, co konieczne, żeby sprawa była załatwiona jak najszybciej.

Skoro już tam będę, mogę sprowadzić moje łóżko, które jest w Arles.

Zresztą wyjechałbym stąd tak czy inaczej, wolę bowiem być w zakładzie, gdzie chorzy pracują, od tej okropnej bezczynności tutaj, która naprawdę wydaje mi się zbrodnią. Powiesz mi, że tak jest wszędzie, nawet w Paryżu. Wszystko jedno; mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce.

Bez daty

Gdybym nie miał mojej pracy, od dawna już byłoby ze mną znacznie gorzej.

Teraz wszystko jest w porządku, straszny atak minął jak burza i pracuję tu ze spokojnym i nieustającym zapałem — na zakończenie.

Spodziewam się, że wyjadę w tym tygodniu, i zaczynam dziś pakować moje bagaże.

Z Taraskonu wyślę do ciebie depeszę. Tak, mnie także się zdaje, że minęły lata, odkąd pożegnaliśmy się na dworcu.

Ale rzecz dziwna: jak wówczas uderzyły nas płótna Seurata — tak teraz, w ostatnich dniach, jakbym odkrył na nowo kolor. Czuję większą pewność siebie, jeśli idzie o pracę, mój drogi bracie, niż kiedy tu jechałem, i byłbym niewdzięcznikiem, gdybym źle mówił o Południu; wyznaję, że opuszczam tę ziemię z wielkim smutkiem.

Gdyby praca nie pozwoliła ci przyjść po mnie na dworzec, gdyby godzina była niedogodna albo kiepska pogoda, nie niepokój się, znajdę sam drogę; jestem tak spokojny, że zdumiałbym się, gdybym utracił pewność siebie. Jakże pragnę cię zobaczyć, poznać Jo i dziecko. Prawdopodobnie przyjadę do Paryża około piątej rano, ale dowiesz się dokładnie z depeszy.

14 maja 1890

Po ostatniej dyskusji z p. Peyronem uzyskałem zezwolenie na spakowanie kufra, który wysyłam pociągiem towarowym. Ze sobą mogę zabrać 30 kilogramów bagażu, biorę więc kilka ram, sztalugi, blejtramy itd. Wyjadę natychmiast po twoim liście do p. Peyrona, czuję się spokojny i nie sądzę, żeby cokolwiek mogło mi się zdarzyć w stanie, w jakim jestem teraz.

W każdym razie spodziewam się przyjechać do Paryża przed niedzielą, żeby spędzić spokojnie twój wolny dzień z tobą i twoją rodziną.

Rano poszedłem nadać kufer i zobaczyłem pole po deszczu, świeże i kwitnące; ile rzeczy mógłbym tu jeszcze

zrobić.

Napisałem również do Arles, żeby wysłano oba łóżka i pościel. Spodziewam się, że transport nie może kosztować więcej jak- dziesięć franków, a zawsze coś uratuje się od zagłady. Łóżka mogą mi się na wsi przydać. Jeśli nie odpowiedziałeś jeszcze na list p. Peyrona, bądź łaskaw wysłać mu depeszę, tak żebym mógł wyjechać w piątek, najpóźniej w sobotę i mógł spędzić z tobą niedzielę. W ten sposób nie stracę wiele czasu, jeśli idzie o pracę — w tej chwili tu skończoną.

Zobaczysz, że nazajutrz po przyjeździe zacznę malować. Mam głowę spokojną i maluję w sposób konsekwentny, logiczny. A zatem, do niedzieli najpóźniej.

Spodziewam się, że odpisałeś już p. Peyronowi. Trochę byłem zaskoczony kilkudniowym opóźnieniem, które wydaje mi się zbyteczne. Bo albo zacznę tu nowe obrazy, albo wyjadę teraz, w najsposobniejszej do tego chwili.

Bezczynne spędzanie dni, tu czy gdzie indziej, przygnębiłoby mnie najbardziej.

P. Peyron zgadza się zresztą, ale przy wyjeździe natrafia się na pewne trudności z resztą administracji. Wszystko jednak jest w porządku i rozstaniemy się w zgodzie.

AUVERS-SUR-OISE 21 maja 1890 — 29 lipca 1890

Po dwóch latach i czterech miesiącach spędzonych w Prowansji Vincent zjawia się w Paryżu. Spotkanie rodzinne: Theo oraz jego żona i dziecko imieniem Vincent, których nigdy nie widział. Pani van Gogh jest mile zdziwiona szwagrem: nie wygląda na obłąkanego ani nawet na chorego. Mimo serdecznej atmosfery Vincent wie, że nie powinien zostawać w mieście i że nie będzie tu mógł malować. W trzy dni później wyjeżdża do Auvers (Auvers nie jest daleko: będzie mógł widywać się często z rodziną). Od razu składa wizytę doktorowi Gachet, któremu został polecony. Pierwsze wrażenie Vincenta nie jest najlepsze: doktor wydaje mu się człowiekiem nieco ekscentrycznym. Teraz, kiedy Theo ma obowiązki rodzinne, Vincent chce, żeby jego wydatki były możliwie najmniejsze: zatrzymuje się w gospodzie przy placu de la Mairie, która jest własnością państwa Ravoux; utrzymanie kosztuje tu 3,50 fr. Sala przypomina Cafe de l'Alcazar w Aries. Auvers bardzo podoba się Vincentowi, który natychmiast zaczyna malować.

Vincent udaje się znów do doktora Gachet, który bywa w Auvers przez trzy dni w tygodniu (resztę czasu spędza w Paryżu, gdzie ma swój gabinet lekarski). Gachet mieszka w ładnym starym domu, pięknie położonym na stoku, skąd widać zabudowania na skraju wioski i fragment doliny Oise. V tego miłośnika malarstwa van Gogh ogląda dzieła Pissarra, Guillaumina, Cézanne'a itd. Doktor, wielki entuzjasta akwaforty, sam robi ryciny i namawia do tego wszystkich artystów. Tak więc van Gogh robi miedzioryt — portret doktora Gachet palącego fajkę — i ma w projekcie cykl rycin z pejzaży Południa... Vincent, który ukończył 37 lat, jest gotów do przyjaźni z tym 62-letnim wdowcem i

chętnie maluje w jego domu. Doktor Gachet przychodzi obejrzeć jego obrazy. To malarstwo nie zjednuje go od razu, potem jednak mówi: „Jak trudno jest być prostym". Vincent bywa u niego na obiedzie co niedziela. Gachet ma siedemnastoletniego syna i trochę starszą córkę.

Vincent uczy się do ostatniej chwili: ponieważ źle zna anatomię, ponieważ nie dość rysował aktów, prosi Thea o podręcznik studiów węglem. Spodziewa się, że doktor zamówi u niego kilka portretów, i maluje tytułem próby jego portret i portret córki państwa Ravoux. Maluje również pannę Gachet przy fortepianie i zamierza zrobić jej portret przy fisharmonii. Maluje pejzaże z Auvers, chaty w zieleni, używając jasnych kolorów, czasem nawet bardzo delikatnych. Pejzaż jest tu bardzo barwny, może bardziej niż na Południu, gdzie słońce...

Choć Vincent nie jest w zamknięciu, prowadzi nadal życie bardzo regularne: wstaje o piątej, kładzie się o dziewiątej. Jego zdaniem, ze zdrowiem jest doskonale, maluje ze znacznie większą pewnością niż przed wyjazdem do Arles. Zaczyna wierzyć, że ataki spowodował pobyt na Południu.

Theo, Johanna zwana Jo oraz mały przyjeżdżają do Vincenta z wizytą, co jest dla niego wielką przyjemnością. Sam jedzie do Paryża z początkiem lipca i podczas krótkiego pobytu widzi się z Toulouse-Lautrekiem, E. Bernardem, zawiera znajomość z Albertem Aurier, dyskutuje z zapałem o sztuce. Ale wraca bardzo zmęczony. To nie jest normalne. Znowu zmiana humoru. Gniewa się nawet na doktora Gachet, do czego doktor nie przywiązuje wielkiej wagi. Coś psuje się w stosunkach między braćmi. Vincentowi zdaje się, że małżeństwo ma dość opieki nad nim (w czym bez wątpienia się myli). Listy Vincenta stają się gorzkie. Theo chciałby, żeby Vincent miał żonę, dom; Vincent, który wie, że to niemożliwe, czuje nieokreślony żal. „...Przyszłość nie wydaje mi się szczęśliwa". Czy ostatnie miesiące nie były

tylko chwilowym wytchnieniem? Mimo głębokiego zniechcenia pracuje, chce pracować, trzyma się kurczowo malarstwa. Maluje trzy ogromne pejzaże — pola zboża pod niespokojnym niebem, w którym chce „wyrazić smutek, skrajną samotność". Maluje również kościół w Auvers. Na swój sposób obchodzi święto 14 lipca malując merostwo przybrane flagami i lampionami. Rozpoczyna wielki obraz: ogród i dom malarza Daubigny (w liście z 23 lipca zapewnia, że jest to jeden z jego najbardziej namierzonych" obrazów).

Zły symptom: bezsenność. Vincent, nieufny, boi się poskarżyć doktorowi Gachet. Natomiast pisze do Thea, że uważa swoje życie za chybione. Nigdy nie będzie mógł zwrócić pieniędzy, które jest mu winien. Nie wierzy w swoje dzieło i, co gorsze, obawia się nowego ataku: nie czuje się na siłach, żeby ten atak przetrzymać. On, który nie zwierza się obcym, mówi p. Ravoux, że nie zniesie tego dłużej, że czuje, jak wymyka mu się życie. Restaurator, nie traktując zbyt serio tego wyznania, odpowiada kilku serdecznymi słowami; Vincent nie nalega.

List do Thea nosi w kieszeni, nie może zdecydować się na wysłanie. W chwili „częściowego kryzysu" powtarza raz jeszcze, że Theo ma udział w jego dziele. „Za moje malarstwo płacę ryzykiem życia, ono zabrało mi połowę rozumu — dobrze — ty jednak nie jesteś marszandem, który handluje ludźmi, i możesz mieć swój udział, bo naprawdę postępujesz po ludzku, ale cóż z tego?" Od Ravoux pożycza stary rewolwer pod pretekstem, że chce strzelać do kruków: ma go przy sobie. Chce umrzeć na polach, umrzeć jak ostatni włóczęga, samotnie. W Saint-Rémy nie udało się z terpentyną. Ale kula rewolwerowa jest pewniejsza.

W ostatnią niedzielę lipca Vincent rusza drogą, która wznosi się w górę, obiega zamek i prowadzi na pola dojrzałych zbóż. Tara spokojnie przykłada rewolwer do serca i strzela. Żyje. Piekący ból nie pozwala mu utracić przytomności. Wstaje, chwiejąc się idzie w stronę wsi, w

stronę kawiarni, do swego pokoju. Państwo Ravoux widzieli, jak szedł przez sale krokiem pijanego człowieka. Kiedy nie schodzi na posiłek, Ravoux idzie do jego pokoju. Vincent, leżąc w zakrwawionej koszuli, mówi: „Chciałem się zabić, ale chybiłem".

Sprowadzają natychmiast miejscowego lekarza, wkrótce przybywa również doktor Gachet, powiadomiony o wypadku. Jest wieczór, obaj lekarze badają Vincenta przy świetle świecy. Serce jest nienaruszone. Vincent jest bardzo spokojny, zdaje się, że nie cierpi; prosi o fajką; doktor Gachet wyjmuje fajkę z niebieskiej bluzy Vincenta, nabija ją, zapala i wkłada do ust choremu. Zdaje się, że jego życiu nic nie grozi. Niemniej młody Paul Gachet zostaje, żeby czuwać przez noc przy nim. W nocy van Gogh nie śpi, pali niemal bez przerwy, rzadko się odzywając.

Nazajutrz rano zjawia się Theo, sam, ponieważ Jo i dziecko są w Holandii. Długa rozmowa po holendersku między braćmi. Theo nie może powstrzymać łez i Vincent powiada: „Nie płacz, zrobiłem to dla dobra wszystkich".

Przez cały dzień Vincent jest bardzo spokojny. Pyta nawet, co lekarze mówią o jego stanie, i kiedy Theo zapewnia go, że zostanie uratowany, szepce: „Niepotrzebnie, smutek będzie trwał przez całe życie". W nocy traci przytomność i umiera spokojnie.

Bez daty

Teraz, kiedy już znam Jo, trudno mi będzie pisać do samego Thea, ale mam nadzieję, że Jo pozwoli mi pisać po francusku; po dwóch latach spędzonych na Południu, lepiej potrafię w tym języku warn powiedzieć, co mam do powiedzenia. Auvers jest piękną miejscowością, wiele tu starych strzech, co staje się rzadkie.

Mam nadzieję, że malując kilka takich pejzaży będę mógł pokryć koszta pobytu; doprawdy, tu jest bardzo pięknie, prawdziwa wieś, charakterystyczna i malownicza.

Widziałem się z doktorem Gachet, który zrobił na mnie wrażenie człowieka dość ekscentrycznego, ale jego doświadczenie lekarskie powinno mu pomóc w zachowaniu równowagi i zwalczeniu choroby nerwowej, którą wydaje mi się dotknięty co najmniej w tym samym stopniu co ja.

Zaprowadził mnie do zajazdu, gdzie zażądano ode mnie 6 franków dziennie. Znalazłem inny, gdzie będę płacił 3,50 fr.

Myślę, że powinienem tu pozostać aż do nowego rozkazu. Kiedy zrobię kilka studiów, zobaczę, czy warto będzie zmieniać mieszkanie, ale nie wydaje mi się słuszne, żeby człowiek pracujący jak każdy inny robotnik miał płacić niemal podwójnie dlatego, że zajmuje się malarstwem. Zacząłem więc od 3,50 fr.

Prawdopodobnie zobaczysz doktora Gachet w tym tygodniu; ma bardzo pięknego Pissarra — zima, czerwony dom w śniegu — i dwa piękne bukiety Cezanne'a.

Ma także innego Cezanne'a — wieś. Bardzo mam wielką ochotę tu pracować.

Powiedziałem doktorowi Gachet, że proponowany przez niego zajazd uważałbym za lepszy, gdyby kosztował 4 franki dziennie, ale dla mnie jest o dwa franki za drogi. Łatwo mu mówić, że tam miałbym więcej spokoju. Dom w którym doktor mieszka, jest pełen starych gratów — czarnych, czarnych, czarnych, jasne są tylko obrazy wymienionych impresjonistów. Zrobił na mnie dobre wrażenie. Kiedy rozmawialiśmy o Belgii, o dawnych malarzach, uśmiech pojawił się na jego twarzy zakrzepłej od smutku; myślę, że zostaniemy przyjaciółmi i że namaluję jego portret.

Powiedział mi też, że trzeba pracować dużo i odważnie i nie myśleć o tym, co było.

W Paryżu zdałem sobie sprawę, że cały ten zgiełk tamtejszy nie jest tym, czego mi trzeba.

Jakże jestem rad, że widziałem Jo i małego, i twoje mieszkanie, które na pewno jest lepsze niż poprzednie.

Spis treści

Strona tytułowa
HAGA sierpień 1872 — maj 1873
LONDYN czerwiec 1873 — maj 1875
PARYŻ maj 1875 — marzec 1876
ANGLIA Ramsgate — Isleworth kwiecień 1876— grudzień 1876
DORDRECHT 21 stycznia 1877— 30 kwietnia 1877
AMSTERDAM 9 maja 1877— lipiec 1878
ETTEN lipiec 1878 — sierpień 1878
BRUKSELA sierpień 1878— listopad 1878
BORINAGE listopad 1878 — październik 1880
BRUKSELA październik 1880 — kwiecień 1881
ETTEN kwiecień 1881— grudzień 1881
HAGA grudzień 1881 — wrzesień 1883
DRENTHE wrzesień 1883— listopad 1883
NUENEN grudzień 1883— listopad 1885
ANTWERPIA koniec listopada 1885— koniec lutego 1886
PARYŻ marzec 1886 — luty 1888
ARLES 21 lutego 1888 — 6 maja 1889
SAINT-RÉMY maj 1889— maj 1890
AUVERS-SUR-OISE 21 maja 1890 — 29 lipca 1890